

Jan Ziółkowski
Kawaler Złotej Ostrogi

Konie zapadały w zaspy. Płozy z ostrym szelestem drażyły koleinę w śniegu roziskrzonym od blasku słońca.

Człowiek leżący pod pierzynami na wymoszczonych słomą .saniach uniósł głowę i zapytał:

— Janie, daleko jeszcze?

— Ze staje — odparł nazwany Janem woźnica, okutany w kozuch.

Drugi towarzysz leżącego jechał konno za saniami. Wiódł luźnego konia.

— Ale żołdatów widzę na majdanie karczmy — dodał.

Na progu kuczy z grubych bierwion, od strony drogi, stał już karczmarz: snadź dojrzał przybyszów przez odchuchane z mrozu szyby.

— Najpokorniej o ciszę upraszam — szepnął żałośnie — albowiem jego dostojność pan hetman Żółkiewski raczy gościć w domu moim i właśnie snu zażywa po całonocnej podróży. A orszak tak liczny posiada, że tu na palec miejsca nie masz.

— Do czarta z twoim hetmanem! Nie widzisz, że chorego wiezieni? — huknął Jan, człek porywczy, i zamierzył się batem.

Ale konny towarzysz schwycił go za rękę i rzekł z białogłowską niemal delikatnością:

— Pozwól mi, mój drogi, pogwarzyć z tym dobrym człowiekiem.

— Ja bym z nim gadał! O tym! — Jan uderzył dłonią w szablę. Ale jego druh inne miał sposoby prowadzenia dyskursu.

— Wielki honor dla nas usłyszeć dostojne chrapanie pana hetmana, a chyba i jego wielmożność nie zazdrosny o nie... Całonocną zadymkę w poluśmy przeszli. Rannego rycerza wiezieni, którego ugodzon wrażą kulą na wojnie w obronie króla i ojczyzny. Dla takiego kawalera, mniemam, znajdziesz acan miejsce.

— Wszędy ludzie pana hetmańscy — rzekł płacziwie karczmarz. — A pan Burczak przykazał nie wpuszczać nikogo.

Jakoż w szopach i pod gołym niebem, na majdanie i poza budynkami stało wiele pojazdów i sań. W stajniach i koło nich jadły obrok liczne konie z chrzęstem i parskaniem. We wnętrzu kuczy i innych zabudowań, jak sprawdzili przybysze zaglądając przez drzwi i szyby, spali pokotem ludzie na podłogach i pryczach. Od strony majdanu, pod oknami komnatki zajętej przez hetmana, stali na warcie dwaj muszkietery. Tu a ówdzie przechadzały się miarowo patrole.

— Na śniegu jako wilki nie ostaniem! — zawołał Jan i odepchnął karczmarza. •— Stefanie, przeniesieni Marka do izby.

Karczmarz zagroził drogę.

— Miłosierdzia! Pan Burczak zakazał, chłostą groził...

— Jaki znów Burczak?

— Ano taki... taki hochmagister! jego włelmożności... taki pan Burczak... — jęknął karczmarz.

— Z drogi! Bierz, Stefanie!

Zatarg wywabił rzeczonoego Burczaka z głębi domu na próg. Był to osobnik rosty, brodaty, zbrojny w szablę.

— Co się tu dzieje? — spytał głosem podobnym do pomruku lwa i uderzył przybyszów swymi stalowymi oczyma.

Jan najeżył się i poprawił szablę na rapciach. Natomiast Stefan uchylił grzecznie futrzanego kołpaka i rzekł dwornie:

— Kłaniam unizenie waszej wielmożności panu mojemu miłościwemu, o przebaczenie prosząc. Ale przyjaciela my, pana Marka Jakimowskiego, wiezieni, rannego w batalii morskiej u Helu, bosmana jego królewskiej mości, i spocząć nam pilnie trzeba.

— Hm, bosmani! Szweda jeno drażnicie. Turka byście pilnowali —• mruknął Burczak. — Z kim mam okazję?

— Jestem Stefan Satanowski, a oto mój przyjaciel, pan Jan Stołczyzna, do usług miłościwemu panu.

ochmistrz, intendent, marszałek domo1 Hochmagister (niem.-łac.) wy, zarządca domu. Burczak nie przedstawił się nawzajem. Oцениwszy spojrzeniem trójkę podróżnych i niebogatą ich wyposażenie, rzekł pogardliwie:

— Tu miejsca nie będzie.

— A to czemu — spytał grzecznie Satanowski, a łagodna jego twarz nabrała raptem ostrych orlich rysów.

— Tu miejsca nie będzie — powtórzył z naciskiem Burczak. — Zobaczym, co za ptaszek w tych betach. Może szpiegów jakich przemycacie albo ważne dokumenta...

Nachyliwszy się nad Jakimowskim uczynił ruch, jakby chciał odwinąć pościel, by zobaczyć jego twarz. Lecz nagle spod pierzyny wyjrzała goła stopa i krótkim kopnięciem odepchnęła Burczaka tak silnie, iż zatoczył się na środek drogi i upadł w śnieg. Zerwał się jednak w mgnieniu oka i dobył szabli.

— Bij-zabij! —• wyrwało mu się, ale wspomniawszy nakaz ciszy, sam sobie usta zatkał dłonią, po czym znów mimo woli zagrzmiął na zwojujących się żołnierzy, co biegli mu na pomoc. •— Cicho, do stu...

Po kilk;i cięciach jego szabla furknęła w powietrzu, wytracona młyńcem Stołczyzny, zaatakowanego przez żółkiewszczyków. Satanowski obok ścinał się z innymi rębajłami. Jakimowski usiadł na posłaniu. Jedną ręką trzymał lejcami konie płoszone rozruchem, drugą trzymał w pogotowiu pistolet, który miał zawsze pod pierzyną.

Karczmarz czmychnął za węgieł domu. Choć nawykły do burd, aż gębę otworzył ze zdumienia nad mistrzostwem podróżnych. Szable padały raz po raz w śnieg. Ten a ów żołdat, ugodzony, wycofał się z walki. Broń szcękąła w ciszy i-stopy dudniły o ubity śnieg.

Skośnooki starzec w półkożuszku, w drzwiach stojący od początku zajścia, wezwał z głębi domu dwu ulubionych oficerów hetmańskich: rotmistrza Wrzeszcza i porucznika Złotopólskiego.

— Stać! —• zagrzmiął rotmistrz. — Co się tu dzieje?

Na dźwięk tego władczego głosu walczący zaprzestali bitwy.

— W dyby! Szaraki! Włóczykije! — syczał jeszcze Burczak, ale zaraz wyjaśnił Wrzeszczowi sytuację.

Wtedy rotmistrz zagroził podróżnym:

— Odpowiedcie za burdę pod bokiem dostojnego ministra Korony.

Jakimowski schował pistolet i odparł spokojnie:

— Zaliś waćpan wysłuchał i drugą stronę, że wyrok ferujesz?

— Wysłucham podczas konfesat.

— Jesteś wasze pewien, że nas na konfesaty weźmiesz?

— Kawalerska u waściów fantazja — powiedział Wrzeszcz. — Potrafię to uszanować i w pęta was nie wezmę, jeno z wolnej stopy zeznacie, jak było. Uciezki odradzam, boście zewsząd otoczeni.

— Uciekamy jeno przed smutkami — odpowiedział za Marka Satanowski. — Kto zechce brać nas w pęta, musi wprzódy zakosztować smaku naszych brzeszczotów, a bezkarnie nikt nas nie znieważy. Wyznamy, jak było, ale tylko po dobrawoli, jurysdykcja zaś hetmańska zgoła nam niestraszna.

Stołczyzna nie zdzierzył długiego gadania i palnął porywczo:

— Nie trzymajże nas waćpan na mrozie, jeśli masz Boga w sercu! Oto nasz przyjaciel, którego za majestat zdrowie na szanc wystawiwszy, ranny w batalii wywczasu potrzebuje.

— O! — zdziwił się Wrzeszcz. — A w jakiej potrzebie?

— W morskiej, ze Szweda ręki. Zdziwili się wszyscy słuchający.

— No oczywiście, musi być dlań miejsce w izbie — rzekł rotmistrz. — Ale waćpanowie obaj pójdziecie ze mną na konfesaty.

Przechodząc koło sprawy tumultu Stołczyzna zgrzytnął:

— Widzisz, „burczaku” jeden!

Tamten zmełł w ustach przekleństwo i aż zasapał ze złości.

Po konfesatach złożonych przez uczestników bójki Wrzeszcz uznał Burczaka winnym zajścia. Przeważyły zeznania skośnookie-go starca, który sprowadził rotmistrza do ugaszenia tumultu. Lubo zaledwie sługa hetmański, cieszył się ogólnym zaufaniem. Był to Dymitr, ochrzczony i spolonizowany Tatar.

Odprawiwszy w końcu wszystkich Wrzeszcz wezwał Burczaka.

— Jesteś, waćpan, za gorliwy — powiedział surowo. — Znasz przecie skromność i dobroć pana hetmana. Zali imaginujesz sobie, że odmówiłby miejsca rannemu żołnierzowi?

Przypominam, że waścina funkcja to przygotowywanie noclegów, paszy, żywności.

— A waść nie masz prawa z góry mnie traktować! — huknął • Burczak i wyszedł z izby trzaskając drzwiami.

Tymczasem marynarzy zakwaterowano w jednej z izb oficynki ogrzanej kominem, w którym płonęły szczapy drzewa. Obecni tu ludzie wstawali z posłań i wszczynali z nimi rozmowy. Widzieli zajście.

— Wilkami bosmanów zowią, ale i słusznie — mówił ktoś z gderliwą życzliwością. — Ledwo się pokazali, już kąsają...

— Aż powpadają w jakowe wilcze doły — dodał drugi.

— Zwady nie szukamy, drodzy bracia, jeno się bronim — odparł z właściwym sobie wdziękiem Satanowski.

Stołczyzna już się zakręcił i po kątach szukał amatorów z dziewczkami karczemnymi, taką bowiem kogucią miał naturę.

Tymczasem porucznik Złotopolski, tyle wymuskany dworak, co żołnierz, przyprowadził do Marka domowego lekarza Żółkiewskich, słynnego Stanisława Anczowskiego, rodem ze Lwowa. Doktor był szpakowaty, odziany w czarny strój uczonego, miał spiczastą brodę. Za nim pacholek wniósł skórzany sepecik z przyborami medycznymi.

— Nie będzie chyba przeciw waścinei woli, jeśli ranę obejrzę.

— Dzięki! —' odparł Jakimowski.

Rana była rozległa, poszarpane mięśnie lewej łydki, ale znacznie podgojona. Sprawny opatrunek przyniósł rannemu wielką ulgę.

— A któż to waści zszywał? •— zagadnął doktor.

— Medycy pana wojewody chełmińskiego Weyhera, a.-korowali przynależni do armady, w Pucku.

— Dobra robota. Jeśli takich kapitanów ma armada jako medyków, tedy w kozi róg zagnamy Niderlandy w rzemiośle morskim, hę, hę!

— Armada rośnie, fortalicje nabrzeżne takoz — rzekł Jakimowski. — A pan Weyher co za człowiek! Cały Puck, armada nim stoją!

Nagły rozruch zapanował w całym zajeździe, gdy wyszedł z alkowy hetman. Doktor wnet pośpieszył 'do niego. Stołczyzna i Satanowski podskoczyli do okna zobaczyć najpotężniejszego obecnie po królu człowieka w Rzeczypospolitej, bohatera tyłu wojen.

— Toż to pokurcz! — krzyknął porywczy Stołczyzna. — I taki dziadyga, grzyb, chce iść w paragon z panem hetmanem Chod-kiewiczem, od którego głosu drży ziemia?

Kiedy druhowie przysunęli rannego z ławą do okna, wszyscy trzej wydziwiali. Acz pochodzili ze starostwa barskiego, które hetman trzymał, nigdy go dotąd nie widzieli. A że wychowani pod wpływami Chodkiewicza i Zbaraskich, wrogów Żółkiewskiego, przeto i

teraz patrzyli z niechęcią. Ba! w całej Rzeczypospolitej niezbyt nawidzono tego człowieka i wiele niepowodzeń ojczyzny •mu przypisywano.

Niebawem nadszedł Wrzeszcz pożegnać się z zawadiakami.

—• U nas po wojskowemu: snu na pacierz czasu, śniadamy przez mrugnięcie oka i marrrsz!

— mówił. — A dobrze, iż rychło odjeżdżamy, bo mógłby się pan hetman o burdzie dowiedzieć i źle by z waćpanami i Burczakiem było. Nic u jegdostojności nad praworządność... A oto doktor Anczowski przesyła panu Jakimowskiemu znakomity balsam gojący, wynalazku medyka Dziurdzi ze Lwowa... Żegnam!

Zagrały trąby, a wkrótce orszak przewalił się sprzed karczmy i znikł w dolinie ciemniejącej za tutejszymi wzgórzami.

Marynarze przenieśli się z oficynki do głównej kuczy i tam w jednej z izb legli spać podjadłszy do syta.

—• Ździebko odetchniem i w drogę! — rzekł Marek. — Chciałbym do Jołtuszkowa jednym tchem! Matula i siostry to nawet nie wiedzą, gdzie Bałtyk, na którym ich Marek dokazuje.

Ninie boją się, żem popadł w jasyr podczas ostatniej inskursji tatarskiej.

Zachichotali młodo.

Ale w istocie Marek bał się o rodzinę. Dlatego tak pilił towarzyszy, by jak najspieszniej go wieźli. Toteż pośpieszali, mało popasając, choć ranny gorączkował od niewywczasu, a śniegi, wczesne niniejszego, 1618 roku, zwaliły i szalały zadymki. Bo Tatarzy znowu ogniem i mieczem nawiedzili południowo-wschod-nie kresy Rzeczypospolitej, zagarniając obfite łupy i jasyr.

— Jakżem rad, iż wracam! — ozwał się ponownie ranny.

— A ja nie! — palnął Stołczyzna. — Nie mam do kogo ni czego.

— I ja nie — wtrącił Satanowski. —• Dziadowską moją fortunę zdałem na krewnego, którego notabene nie lubię. Nie wiem, czy ma z niej jaką intratę. Ergo po co mi wracać? Odprowadziwszy Marka zaciągniem się gdzie na służbę i może do Tatar skoczym...

— Na służbę macie czas! — zaprzeczył Jakimowski. — Do Jołtuszkowa zapraszam, a rodzice będą wam radzi. Wykurują mnie, to razem wynajdziemy służbę godną bosmanów jego królewskiej mości.

Ta' gotowość przyjaciela uciszyła Stołczyne i Satanowskiego. Kochali się jak bracia. Dziesięć lat wspólnie zażywali żołnierki, trudów, niebezpieczeństw —• zawsze w trosce jeden o drugiego.

Jako szesnastoletni gołowąs Marek Jakimowski uciekł ze szkoły do hetmana Chodkiewicza, gubernatora Inflant. Marzył o morzu. Chodkiewicz organizował właśnie flotyllę na wodach inflanckich dla zwalczania żeglugi szwedzkiej, bo ze Szwecją toczyła się wojna. Potrzebował wprawdzie służyłych matrosów, ale że mu się dziarski młodzian podobał, oddał go jako jungę w ręce sławnego kapitana Szyła, dowódcy flotylli. Tam wśród jungów Marek zastał już Jana Stołczyne, a w kilka dni potem dobił do nich Stefan Satanowski, żak z akademii zamojskiej zbiegły. Sprzęgli się z sobą niby ogniwa łańcucha. Jeden za drugiego poszedłby w piekło.

Zdarzyło się, że gdy Satanowski rażony szwedzką kulą w bitwie pod Salis wpadł ze statku do wody, Stołczyzna pod ogniem nieprzyjacielskim skoczył za nim i uratował go. Po zawarciu rozejmu ze Szwecją trzej przyjaciele dwa lata hulali po morzach na kaperskim statku, zwalczając żeglugę szwedzką i narodów ze Szwedem sprzymierzonych.

Żeglarstwo jednak sprzykrzyło się niespokojnym duchom. Przez następne dwa lata wojowali z Chodkiewiczem pod Moskwą, potem w szeregach konfederacji żołnierskiej awanturowali się we Lwowie. Aż nareszcie przystali do samowolnych „chadzek" kozackich „do Tatar i Turek". Brali udział w napaści na Krym, na azjatycki brzeg Morza Czarnego, na Sinope, a później, wraz z podobnymi sobie śmiałkami, w samym Carogrodzie łuną pożarów zaświecili w oczy sułtanowi Achm[^]dowi I i pobili jego flotę pościgową. Aż poniosło ich na samowolną wyprawę księcia Samuela Koreckiego do Włoch. Tam, podczas klęski, jaką Turcy

Koreckiemu zadali, Satanowski odpłacił Stołczynie za ów ratunek pod Salis. Gdy bowiem księcia wraz ze Stołczyzną pojmano w niewolę, Satanowski i Marek nocą wkradli się do obozu tureckiego i wydarli przyjaciela z rąk straży, którą wybili do nogi.

I w wielu błahszych okazjach nadstawiali łba jeden za drugiego.

Po wyprawie wołoskiej zaciągnęli się do armady w Pucku, gdzie wojewoda chełmiński Jan Weyher budował potęgę morską Rze czyzospolitej. Jakimowski został ranny w potyczce morskiej, a jego przyjaciele wystąpili ze służby. I oto teraz na żądanie Marka ciągnęli mozolnie do Jołtuszkowa, gdzie stary Jakimowski wójtostwo-trzymał.

Obudził ich o zmroku hałas rozbrzmiewający w jadalni zajazdu.

Satanowski i Stołczyzna przenieśli tam przyjaciela owiniętego po pachy kocą z wielbłądziej wełny. Gwar od razu przycichł, obecni bowiem zwrócili mimowolną uwagę na dorodnych dziwu-nów bez wąsów, a tylko z brodami krótko strzyżonymi na okrągło.

Bo też wszyscy trzej byli chłopami na schwał, jak to zwyczajnie ludzie morza, zwłaszcza zaś bosmani jego królewskiej mości.

Jakimowski, rozrosły, .kruczowłosy, śniadoliczy i czarnooki, orlich rysów i władczej wymowy, odznaczał się nadto brwiami zrosniętymi nad nosem w jedną grubą kresę. Stołczyzna, nie mniej rosły, miał bystre szare oczy, kasztanową czuprynę niesfornie opadającą na czoło i szerokie szczęki o ruchliwych mięśniach. Był gwałtowny, czujny na każdy bodziec niby zwierzę. Szlachcic herbu „Złamane Strzemię”, mówił o przehulanych przez ojca włościach, Satanowski pochodził ponoć z wielkiego, lecz zubożałego rodu, spowinowaconego z książętami Zbaraskimi. Wygląd miał pański co się zowie: delikatnie rzeźbiona twarz o ujmującym wyrazie, smukła postać o układnych ruchach. Falujące złote włosy bujną gęstwą niby peruka spadały na plecy, a okalając jasne, lekko ogorzone lica dodawały im łagodności. We wzburzeniu twarz ta stawała się groźna, jakby ostro w diamencie rzezana.

Zatrzymali się w progu dłużej i rozejrzeli po świetlicy tchnącej wonią mięsa a trunków, oświetlonej łuczywem i łojowymi świecami.

— Czołem! — pozdrowili.

— Czołem! — odpowiedziano.

Przy jednym stole siedziało kilkunastu szlachty — zuchy rozpanoszone, buńczuczne. Przy drugim — sześciu chłopów zastrachanych obecnością tyłu panów. Na widok wchodzących poderwali się skwapliwie, choć miejsca było dosyć, i złożyli niski ukłon. Żeglarze polecili im usiąść z powrotem, sami zaś zajęli miejsca na ławie pod oknem — za stołem chłopskim, bo tu było bardziej przestronne.

Nie wyglądali jednak na włościan: z pewności siebie, nonszalancji i ubioru —• łosiowe obcisłe kaftany, także spodnie z falendyszu, wpuszczane w wysokie buty, oręż u boku. Toteż wnet jeden ze szlachty zaprosił ich do szlacheckiego stołu.

— Dzięki waszmość panu — odpowiedział z uśmiechem Satanowski. — Tu wszelako ostaniem, bo miejsca więcej, rannemu przeto wygoda — zwrócił się do szlacheckiego stołu:

— Kłaniam mościwym panom uniżenie, za łaskawa inwitację po stokroć dziękując.

— Milsza kompania chłopów nad szlachecką... — zaczął tamten z przekąsem.

— Może — przerwał mu zawadiacko Stołczyzna.

Szlachcic zaczepiając szablą o ławę podszedł doń blisko i wpa-, trzył się wyzywająco w jego oczy.

— Podobam się acanu? — zapytał Stołczyzna przez zęby.

— Nie — odparł tamten.

— Tedy idź w inne zaloty, bo tu nie wódką, ale szablą częstują.

— Taka podzięką za polityczną inwitację!

Jan rzucił się ku niemu. Ale Marek żelazną prawicą osadził go na miejscu.

— Siadaj! — rozkazał. — W gorącejsz wodzie kąpany, tedy w najbliższej przerębli cię zanurzym...

Satanowski załagodził jakoś zatarg. Atoli poruszona nim szlachta najeżyła się srodze, a dla dodania sobie fantazji jęła snadniej zażywać trunków i dworować sobie z wyglądu matrosów, co ich rozdrażniało do żywego. Przy wieczery też zdrowo podchmielili.

Karczmarz z niepokojem śledził oba stoły. Bał się animuszu zawadiaków, którzy ośmielili się targnąć nawet na świętę ministra.

Wezwany skinieniem, stanął przed nimi ze służalczą miną.

— Dalekośmy od Lwowa odbili? — spytał Jakimowski.

— Będzie z pięć mil — odparł karczmarz.

— A gdzie mamy następny zajazd, jeśli ciągnieni na Tarnopol?

— Znowu drugie tyle: przy niniejszym trakcie. Aliści muszą wielmożnych panów przestrzec. Pod Tarnopol zapędził się tatarski zagon kilka niedziel temu, nim spadły śniegi: znista wszędy tam.

— Ba! Pod Lwowem nawet spustoszenia widzieliśmy! •— Im dalej, tym większe.

— Macie, karczmarzu, szczęście, że was nie naszli poganie.

— Ja też ciągiem Panu Bogu dziękuję.

Po odejściu karczmarza Marek zagadnął najbliższego chłopca:

— Wy tutejsi?

—• Nie, jaśnie wielmożny panie, my ze starostwa kałuskiego.

•— A ki diabeł was aż tu przyniósł?

Chłop zląkł się czegoś, spojrzął po towarzyszach.

•— Me bój się, mów! — zachęcił szorstko Jakimowski.

— Oj, diaboł-diaboł! Zgadliście, jasny panie — odważył się chłop. — Podstarości nas ciśnie przeciw prawu, bo mamy reskryp-ta i przywileje królewskie, poręczenia pana hetmańskie... A on roboczną pomnaża nad prawo, ruguje z ziemi co urodzajniejszej, zakłada jakieś forwarki... Tedy nas do sądu we Lwowie wsie nasze wysłały w legacyji (bośmy piśmienne), a także do jego dostojności pana hetmana Żółkiewskiego, któren starostą kałuskim.

•—• Wskóracie co? Pono dziadyga okrutnie zachłanny na dobro. Teraz chłop z prawdziwym przerażeniem spojrzął na rozmówcę.

— To zacności pan — rzekł cicho. •— Oby wszystkie takie były!

— Polacy wy, katolicy? Bo z ruska zaciągacie w mowie...

— Trzech nas katolików i trzech prawosławnych, bo nasze wsie ruskie, aliści i Polaków nie brak.

Na dworze tymczasem rozszalała się znowu zadymka. Huczała, wyła i trzęsła kuczą, a śnieg i odpryski lodu tak siekły szyby, że karczmarz w obawie o ich całość pozamykał czym prędzej okiennice.

Do drzwi gwałtownie zastukano. Karczmarz skoczył do sieni otwierać. Buchnął nań tuman śniegu i do wnętrza wwałiło się z rumorem kilkunastu ludzi: szlachty a pachołków.

— Prowadź, karczmarzu, i pokaż miejsce na zaprzęgi! Karczmarz narzucił na barki kozuch i wywiódł pachołków na dwór. Przybyłych benenatów było pięciu. Rozejrzeli się po izbie.

Jeden z nich widząc wstających chłopów huknął:

—• No, czego się, chamy, gapicie? Precz na dwór!

Chłopi z hałasem odsunęli ławy, aby wyjść.

Ale drugi z przybyłych, bardziej ludzki, perswadował tamtemu:

— Daj pokój! Psa nie wygnać na taką aureę.

— To ja będę stał, a oni stoły obsieda, tak? — zaperzył się ów.

— Pomieścim się jakoś przy dobrej woli.

— No, nie będę się ceregielił! Chłopy, jazda!

— Czelne chamy! Zwlekają! — wołano przy szlacheckim stole.

Stołczynie purpura ubarwiła policzki, z nawyku dłoń jego spadła na jelce szabli. Nawet twarz Satanowskiego zaostrzyła się. Jakimowski natomiast zachował spokój.

— Hola! Masz acan sumienie wyganiać ludzi w zamieć? — rzekł wolno, po czym rozkazał chłopom władczy tonem: — Siadać!

•— Precz! — ryknął tamten.

Chłopi nie wiedzieli, co począć: to siadali, to wstawali. —• Nie! Oni zostaną tu! •— wycodził Jakimowski tak szczególnym głosem, że się niektórym zimno zrobiło.

— Coś za jeden? Wnet ci nosa utrę!

Stołczyna dobył szabli, Satanowski błysnął rapierem, Jakimowski zaś sięgnął po ukryty pod kocą pistolet. Ta gotowość bojowa ostudziła przybyłych.

— Trzeba było od razu mówić, że to wasi pachołkowie.

— Nasi, nie nasi — odparł ponuro Jakimowski — a mogliście politycznie zagadnąć i miejsce dla wszystkich by się znalazło.

Od słowa do słowa — jakoś się pogodzili. Nawet pachołkowie przybyszów pomieścili się snadnie przy dobrej zgodzie.

Aż i do ogólnej pijatyki doszło, do zbratania. Po pijanemu chłopów, pachołków i karczmarza dopuścili benenaci do kompanii, bo „wszystkich ludzi jedna para rodziców spółdziła”, jak bełkotał Stołczyna, a za nim niemrawymi językami powtarzali wszyscy.

Satanowski wyjął lirę ze skórzanej torby, przewieszanej przez ramię. Oczy miał wniebowzięte, gdy trącił palcami o struny, stając na środku sali. Towarzysze umilkli, wpatrzyli się weń. Uderzył w struny — wydarł z nich hejnał żeglarski, aż i wystrzał armatni, wzywający pławaczów na pokład. A potem z burzy tonów wywiódł melodię rozlewną niby morze i zaśpiewał:

Nie znamy, pławacze, co mury, granice, Pierś nasza swobodna i wesołe lice. Wolny my lud!
Przed nami odmęty mórż i świat szeroki, Pod nami wodniki, syrenyismoki Na głębiach
wóćL^śjff*^?Ż /'& - \

Aż i gorąco zatargał strunami, a potem oćmił je smutkiem.

•*»- i 2 — Kawaler złotej ostrogi r Czuj-duch! Hej, bosmani! Wróg lonty
zażega I z armat czterdziestu daleko od brzegu Zaprasza w tan!

Pal! ognia po stokroć! — za tany w podzięce!

Burt wraźych się czepić! Topory wziąć w ręce!

Bosman to pan!

A jeśli polegniem, królewscy pławacze, Kochanka żałosna u portu zapłacze, Uczyni ślub...

Twój bosman już nigdy nie wróci, dziewczyno.

Weź kwiecie i rozrzuc je ponad głębiną —

Na jego grób...

Oklaskom i okrzykom nie było wprost końca. __ Vivant milites regales maritimi!1 —
huczało.

Nazajutrz o brzasku, choć głowy jeszcze mieli ciężkie po trunkach i śnieg popadywał, ruszyli w dalszą drogę.

Zagłębiali się w kraj coraz bardziej zniszczony przez niedawny napad Tatarów. Spod kożucha śnieżnego tu i tam sterczały zgliszcza, gdzieniegdzie wiatr odwiał popioły, trupy ludzi a zwierząt, których żywi nie zdążyli pogrzebać przed zimą.

Wskazany wczoraj przez karczmarza zajazd na szlaku wędrówki trzech matrosów był opustoszały, w ruinie. Ocalały tylko dwie izby głównej kuczy, reszta spłonęła. Ponieważ zapadła już wczesna grudniowa noc, mroźna po zamieci i rozgwieżdżona, wybrali tu nocleg. Sanie nakryli znalezionymi pod śniegiem deskami, konie wprowadzili do jednej izby i zadali im obroki, a sami zamieszkali w drugiej — z kominem. Przez nadwątlone ściany wiało ze

wszech stron. Rozpaliwszy ogień w kominie i łuczyciem oświetliwszy izbę, zgotowali posiłek ze swoich skąpych zapasów.

— 'Ale dziadyga przywiódł do zniszczenia! — rzekł Stołczyzna z igrasze chodkiewiczowską animozją do Żółkiewskiego. — Pono wojska zacne miał, jeno ich sprawić nie chciał czy nie umiał, grzyb pio-ruński. Cała Rzeczpospolita go winuje.

— A, co tam gadać! Nie wróci się — mruknął Jakimowski ziewając. — Niech żyją królewscy żołnierze morscy! (łac.)

wając. — Żakurzym tabaki, co? W karczmie, przy tych zafajda-nych hrekosiejach, nijak było, boby nas zakrakali.

Satanowski, uśmiechnąwszy się po swojemu, wydziwiał:

— Jak to jest, kochani bracia? Na trunki, co we łbie mieszają, nikt nie krzyw, a tabakę, która zbytek wilgotności wyciąga z głowy i myśli rozjaśnia, nawet księza z ambon wyklinają.

— Nie wszyscy — zastrzegł Jakimowski. — Mnisi i księza lubią z cybucha pociągnąć nie mniej niż z gąsiora. To u nas. Gorzej Angielczykowie: ich król Jakub ani palić, ani nosem zażywać nie pozwala. Podajcie no stanbułki i kapciuchy z tabaką!

Napełnili pękate lulki grubo krojonym tytoniem, zapalili i z rozkoszą jeli wciągać w siebie dym przez długie, smukłe cybuchy fajek stambulskich wypuszczając go ustami i nosem.

— Tak człowiek przywykł do tabaki przez sześć lat, że ani rusz bez niej i... — zaczął Jakimowski, ale zaraz przerwał.

Za okiennicami zamkniętymi na sztaby zabrzmiał tłumiony miękkością śniegu tupot kroków i parskanie konia, a po chwili drzwi się otwarły i wszedł brodaty mąż w delii podbitej futrem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powiedział.

— Na wieki wieków, amen.

— Cóż to? — skrzywił się. — Waćpanowie cybuchami się bawią? Fe, grzechem zalatuje! Ale nie moja sprawa... Pozwolicie, wasze moście, spocząć ździebko?

— Prosimy. Raźniej będzie — odparł Satanowski. — Radziśmy waszej miłości. A karczma do wszystkich, co drogą idą, należy.

— Tedy usiędę odetchnąć, ale na krótko, bo mi pilno w drogę. Ot, ze dwa pacierze — powiedział przybysz i patrząc przenikliwie na bosmanów dodał ostrożnie: — Tatarowie zniszczyli Ukrainę na oczach naszych wielkich wojsk, jakich król jegomość za wszystek czas panowania swego nie miał. Ktoś tu walnie zawinił. Ale kto?

Stołczyzna wyrwał się z odpowiedzią:

•— Wiadomo przecie, kto onymi wojskami naczelnie dowodził.

— Roztropnieś to waćpan wykalkulował.

Rozgadali się na dobre. A już najwięcej o hetmanie Żółkiewskim, na którym psy wieszali bez żadnego umiarkowania. Przybysz odpoczął i wedle zapowiedzi brał się do wyjścia.

— Tak na noc. na mróz, sam w tę pustynię?

•— Nie straszne mi one, bom żołnierz — odparł. 4— Pro me18.

2*

•

moria : naszej pogawędki, ostawię waściom pewne pouczające pismo, które cała Republica znać powinna. Przeczytawszy podajcie je innym.

Wręczył Satanowskiemu ulotne pismo, które wyjął z sakwy podróżnej, i pożegnał przygodnych znajomków. Po chwili już galopował w stronę Lwowa. Słuchali czas jakiś cichnącego tętentu jego konia.

— Dziwny człek. Wyglądało, jakby nas szukał i ciągnął potem za język — stwierdził Stołczyzna, a przyjrząwszy się ulotce wykrzyknął zdumiony: — I ja mam takowy skrypt! Dał mi go wczoraj ów rudzielec w karczmie, alem dotąd nie czytał, bom zapomniał.

Wyjął pomięte kartelusze z kieszeni — takie same, jak zostawione przez tajemniczego jeźdźca — i głośno przeczytał nagłówek:

List do Jego Mości Króla Zygmunta III od obywateli ruskiego i podolskiego województw, w którym skargę na hetmana koronnego przekładają.

•— Paszkwil — mruknął Jakimowski.

Paszkwil zarzucał Żółkiewskiemu tchórzostwo i niedbalstwo w prowadzeniu wojny z pohańcem, żądał jego degradacji, konfiskaty mienia i oddania władzy komu innemu, lżył go. ...Aż nie mieliśmy sił oprzeć się najazdom tatarskim i uskromić turecką zapalczywość, jeśli z dwudziestoma tysiącami wojska niecnotliwy i niebaczny hetman Tatarom wstętu uczynić nie chciał?... W hetmanie samym cnoty żadnej... O fałszywy stróżu Rzeczypospolitej! O wierutny zdrajco! Puszczales na łup kraje ruskie, sprzedales wiarę i cnotę swoją, ukradles męstwo i sławę rycerstwa polskiego... Ty, francie, kiedy nieprzyjaciel na karki nasze następuje, traktować chcesz...

Dalej zarzucał mu zachłanność na dobra materialne:

...W mocną ohydę sławy narodu polskiego przywiedli nas. Tyś pierwszy, hetmanie zły, dobra się najadłszy, łaknąć począł. A im więcej masz, tym bardziej tego pragniesz, czego nie masz...

— Co tam arkana polityki! Spijmy lepiej — rzekł Stołczyzna. Po chwili zachrapał na podłodze wedle buzującego jędrnym płoPro memoria (łac.) — dla pamięci.

mieniem komina, załadowanego smolistymi polanami. Satanowski zgasił światło i legł między Janem a Markiem w betach i słomie, które z sań byli znieśli.

— Ja myślę, że paszkwil jakoweś bladesyny układały. Górze by było Rzeczypospolitej, gdyby jej najwyżsi wodzowie zdrajcami się okazowali... — rzekł posepnie Jakimowski. — Dziadyga jest nie-milec, ale przecie sztandary ze stu bitew rzucał pod nogi jego królewskiej mości ku chwale królestwa naszego.

II Przez grubo mrozem zaciągnięte szyby okien dobiegało z dziedzińca ujadanie psów.

Pani Dorota Jakimowska, która z kuchni weszła do świetlicy, nie zwracała zrazu uwagi na hałas. Miała ręce pełne roboty: za dwa dni imieniny męża, Mikołaja, przygotowywała więc ucztę, pilnowała pieczenia imieninowych kołaczy, ryb, mięsiwa. Szukając czegoś w almarii nuciła wesoło, choć to postne były dni adwentu. Nagle jednak sposepniała. Nie było powodu do radości.

Każde święta przypominają stratę, pomnażają ból drażący serce. Ponad dziesięć lat! Co się zresztą trapić o nieczułego hultaja, który zapomniał o wszystkich. Gdyby nie ludzkość — najpierw pana Chodkiewicza, a potem pana Weyhera, którzy dali znać z Inflant i Prus —••• nic by nie wiedziała o losie niewdzięcznika... Morze. O Jezu! Podobno woda tak ogromna, że brzegów nie widać, a głęboka, że najwyższe wieże kościelne po kilkakroć by się w niej schowały. Strach myśleć! Ale co tam! Niech go... Jednakże mógł polec, utonąć! O Jezu-Jezu! Spojrzała błagalnie w twarz Matce Boskiej, wymalowanej misternie przez jakiegoś wędrownego artystę.

— Pieszkowieomal się z łańcucha nie urwą. A taki Eliasza ich nie uciszy, no! — podeszła do okna i środkiem szyby, odchucha-nym z mrozu, wyjrzała na dwór. — Czyżby goście?

Drzwi się raptem rozwarły, a po chwili trzy różne postaci całkiem je sobą zasłoniły.

Zamrugła prędko, jakby niedowidziała 1 Almaria (z łac.) — szafa lub skrzynia do przechowywania dokumentów.

w półmroku komnaty: dwaj przybysze trzymali pod pachy trzeciego, opartego kolanem lewej nogi na szcudle.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — krzyknęła rozdzierająco. — Kto to? O Jezu! Marek! Skoczył ku niej na prawej nodze, lewą wraz ze szcudłem trzymając w powietrzu.

—••• Mamo! mammo! — szeptał wzruszony.

Tuliła go i całowała bez słowa, łkając cicho, zachłannie przyglądając się jego ogorzalej twarzy, rozrosłej postaci.

Przez drzwi zerkał coraz ktoś z czeladzi, więc rozniosła się wnet nowina po całym dworze, a nawet -dalej. Toteż niebawem doszła i do pobliskiej Brygidówki, małego przysiółka, gdzie

właśnie bawił pan Mikołaj Jakimowski, ojciec Marka. Stary skoczył na koń i przygnał do domu, gdzie panował niesłychany rwetes.

Służba na wypródki bieгла witać młodego pana. Kuchenne dziewczki umizgały się do przybyszów. Pani Dorota szykowała posiłek.

— Olgo, duchem ryby! — wołała tracąc głowę z wrażenia. — Urszulko, przynieście co rychlej pierogi z grzybów!

— Eliaszu! Eliaszu, trojniak z piwnicy!

— Eliaszu, balsam dla panicza!

Stary Jakimowski, widząc szczudło, nie czekał na powitanie, lecz sam podbiegł do siedzącego na zydłu syna i uściskał go. Jakiś czas milczał ruszając podejrzenie wąsami i nosem.

— Wpierw powitanie, mosterdzieju, potem łajanie —• rzekł wreszcie. — To ty, taki synu, dopieroś sobie, przypomniał? Mów, mosterdzieju, usprawiedliw się, bo cię oćwiczyc każe, hultaju!

Markowi purpura zalała twarz. Satanowski i Stołczyzna, którzy już mieli starego powitalnie podjąć za nogi, pobaranieli.

— Odzyskaliśmy go, dzięki Bogu. Mikołaju, poniechaj — szepnęła błagalnie pani Jakimowska.

— Odzyskaliśmy? Poniechaj? — huczał pan Mikołaj. — A kogo tośmy odzyskali, hę? Do szkół oddałem miedzianka bez skazy, wraca natomiast z włóczęgi, mosterdzieju, hultaj, który przestąpił prawa boskie i ludzkie, zakała rodu, który za nic ma sobie posłuszeństwo a szacunek dla tych, mosterdzieju, co go splotdzili...

Marek, acz hardy, przemógł się i wzburzonym głosem rzekł:

— Panie ojcze, upraszam o przebaczenie.

— Co? No, niech będzie. Ale aż mnie ręka świerzbi, mosterdzieju, by cię oćwiczyc... No, pokaże się! O, zmężniałeś!

Pan Mikołaj udobruchał się nie na długo. Znowu wpadł we wściekłość, gdy Eliasz spytał, co robić z przywiezionym zbożem.

— Ach, taki synu! Mam powtarzać sto razy? Precz, bo rozmaś-lę! — zamierzył się polanem drzewa, leżącym przy kominku.

Pani Dorota omal się w ziemię nie zapadła ze wstydu. I jej się zaraz od męża dostało •— wydarł na nią gębę:

— Jeszcze jadła nie ma? O suchym pysku będziemy gadać? Był bardzo podobny do syna, tyle że dwa razy starszy i nie jak on spokojny, lecz gwałtowny niby burza z piorunami.

— Co to? — wskazał krótką, okrągłą brodę Marka.

— Takie brody bosmani naszają.

— Wiecheć, nie broda. Hańba, mosterdzieju! A gdzie wasy?

— Nie we zwyczaju pławaczów...

— Do pioruna! Jak ty się ludziom pokażesz? Na Podolu nic po bosmanach, śmiechy z nich jeno, mosterdzieju. Szczurów wodnych po młynach aż nadmiar mamy. U nas szlachta, mosterdzieju, w rzemiośle rycerskim ćwiczona, o własnym koszcie na wyprawy do Turek czy Ordy stawa, a nie jako szczury na cudzych, mosterdzieju, kupczykowskich galerach.

Kaczka, nie szlachcic, niechaj po wodzie pływa, bo jej Pan Jezus takowe dał przyrodzenie.

Satanowskiemu i Stołczynie nijako było, że ich groźny szlach-ciura nie zauważa. Kwapili się go powitać, ale jakoś nie wychodziło. Dopiero pani Dorota dostrzegłszy ich zamiary rzekła:

— Ichmościowie pragną się pokłonić...

Uścisnął ich szorstko, gdy pochylili mu się do kolan. •—• A skądże to aściowie, hę? Jak was wabią?

— Jam jest Satanowski. „Korczakiem" my się pieczętujęm, a wywodzim z Satanowa.

— A ja Stołczyzna, herbu „Złamane Strzemię".

Pan Mikołaj z rycerskim znanstwem patrzył na trójkę chwatów, pewny, że na całym Podolu równych im nie ma.

•—• Szkada was, mosterdzieju, na te pływające truny — mruknął. — Ładnieście Marka strzegli! W burdzie ugodzon, co?

— W batalii morskiej, z ręki Szweda —• odparł Satanowski.

I potoczystą wymową słauił przewagi bojowe przyjaciela, co ojciec kwitował powściąganym uśmieszkiem dumy a zadowolenia, matka zaś okrzykami — to przerażenia, to szczęścia.

Marek, chcąc przerwać potok żenującej chwalby, spoglądał co chwila w okno i mówił:

— Anieli jakoś i Wandy nie widać z Chodaków...

. — Jeno ich patrzeć •— odpowiadała pani Dorota^ za czym ponagłała narratorów: —• No i co dalej, no i co? Okrutniem ciekawa! Tedy i Stołczyzna rozwijał swą rubaszną, gwałtowną wymowę:

— Marek go wonzas cap za łeb i do wody. Bum-bum! bum--bum! wałą Szwedowie z armat. My do lontów. Ba-bach! ba-bach! Pudło szwedzkie stanęło dęba rufą do góry. Ale i nas z innych okrętów trafili. Idziem do dna. Bum-bum! — wałą. My do łodzi. Szast-prast, wiosłami i do brzegu! Kula rni w łeb, jeśli nas, piorunie, dosiężesz! , Starzy

Jakimowscy gustowali wielce w takiej gadce.

Zręczny Eliasz, pacholek pana Mikołajów, z iście medyczną umiejętnością opatrzył ranę Marka namaszczając ją „cudownym” balsamem, otrzymanym od samego sławnego doktora Kampiana ze Lwowa.

Aż przed ganek zajęchały dzwoniąc sanie, a po chwili uwiadomione już o wszystkim panny Jakimowskie, Aniela i Wanda, wpadły z piskiem do komnaty i rzuciły się na brata z powitaniem. Ale na widok obcych kawalerów opamiętały się i»na ich głęboki ukłon odpowiedziały niezbyt foremnie, zarumienione od zimna i konfuzji.

— Witamy uniżenie waszmość panny, osobliwe nasze dobrodziejki — mówił dwornie Satanowski. — Peany my od Marka 0 waćpannach słyszeli, ale to nic wobec żywego obrazu. Toż Diana 1 Wenus mogłyby komnatki u waćpanien zamiatać, a jeszcze za honor to sobie uważać.

— Jako żywo! Kula mi w łeb! — huknął Stołczyzna.

I aż mu rumieńce ukontentowania zabarwiły twarz. Zbliżył się nawet do hożych dziewczek i uczynił mimowolny ruch ręką, jakby chciał którą po zadku poklepać, ale się w porę opamiętał. A i pan Mikołaj zgromił go surowym wzrokiem, przy sposobności zaś również słowem:

— Znadto ci się, kawalerze, w ślepiach pali •— szepnął. Stołczyzna pokrył zakłopotanie gromkim śmiechem.

Przy stole dalej krzyżowały się pytania, opowieści, popłakiwanie, uściski. Kawalerom po gorzałce języki się rozwiązały. Panie z rozdziawionymi buziami słuchały przygód. To wszystko było ponad ich wyobrażenie o świecie. Pantom na domiar okrutnie podobali się przyjaciele brata, którzy robili do nich „piękne oczy”, a nawet szukali butami ich bućków pod stołem. Zagadywane coraz, wniebowzięte, płonęły jak maki. Baczny pan Mikołaj, nierad z przedwczesnej konfidencji młodych, pod lada pozorem odesłał córki do kuchni.

Zabrakło jakoś od razu materii do swobodnej pogawędki. Rozmowa więc zesłała na temat najważniejszy: ostatniego napadu Tatarów.

— O, wierutny zdrajca! — syknął zaraz na wstępie stary Jaki-mowski. — Przepuścił na szyje nasze nieprzyjaciela Krzyża Świętego! Aż dziw, mosterdzieju, że się żaden żołdat w obozie orynińskim nie trafił, co by tego fałszywego hetmana sprzątnął. Stał z wielką armią i patrzył, jak pohaniec hula. O, przeklęty starzec! Miast godzinki, mosterdzieju, śpiewać, władzy i bogactwa pożąda. Na panach Zbaraskich pomsty szukał i dlatego Tatarzyna puścił w ich

włości. Cały kraj zniszczony! I tu omal nie zaszli. Przebiegli mimo, Jołtuszków otoczywszy wieńcem pożarów. Skrzyknąłem, mosterdzieju, ludzi do obrony...

— Ocaleliśmy, bo Bar niedaleko, tam zaś twierdza potężna i załoga — wtrąciła pani Dorota.

— A już! — prychnął. — Naszej się fortalicji zlekli... Ile ludzi zabili, ile wzięli! Ile dobra złupili, a ile z dymem poszło!

— Dziadyga pioruński! — rąbnął Stołczyzna. — Gdybym pod Oryninem był, już by łba na karku nie nosił.

— Miałeś go pod ręką w karczmie pod Lwowem — zadrwił Marek.

— Zgapiąłem. Już by Rzeczpospolita wolna była od kuternogi.

— O, to podlec! Zaprawiony do krwi szlacheckiej na Zborow-skich, Wiśniowieckich, Koreckich... — huczał pan Mikołaj.

Marek w milczeniu patrzył na pniącego się ojca.

Żywił do Żółkiewskiego złożone uczucie: podziwiał go, a zarazem nienawidził, jak większość szlachty. Wszyscy trzej przed kilku laty brali udział w osławionej lwowskiej konfederacji żołnierskiej. Nawet po ukontentowaniu buntowników zapłatą żołdu, jeszcze pod komendą słynnego infamisa Jana Karwackiego, hul-taili nad Bugiem i Dniestrem. Gdy watahy jego zostały rozbite, wielu ich dowódców poszło pod sąd: jedni zginęli na palu czy pod toporem, inni jęczą w więzieniach. O, bezlitosny jest Żółkiewski dla kawalerów wielkiej fantazji! On to pogromił kupy konfede-rackie. Markowi i jego druhom udało się zbiec. Atoli dotąd kondemnaty na nich ciążyą, bo ich ów przekłety sejm piętnastego roku od czci odsądził, a także sądy hetmańskie, których wyroki z czasów wojny starostwie egzekwują.

— A wiecie — głosował pan Mikołaj —• że on jeszcze szuka owych wojskowych.konfederatów lwowskich, co na infamię skazani? I kogo najdzie, do lochu wtrąca, łakomiec na krew ludzką!

Przyjaciele wymienili spojrzenia. Dotąd jakoś nie myśleli o pościgu. Bo i w armadzie przeszłości ich nie dochodzono, bacząc jeno na służbę, i młodzieńcza niefrasobliwość oddalała troskę o minione sprawy. Teraz jednak tutaj, w starostwie barskim, sprawowanym przez Żółkiewskiego, kondemnata stawała się groźna.

Zaspokoiwszy pierwszy głód synowskiego towarzystwa, pani Dorota w trosce o sprawność imieninowych przygotowań pośpieszyła do kuchni komenderować kucharkami, które podczas jej nieobecności gościły się u boku jaśnie# panienek i obgadywały przybyszów.

Zamyślony wciąż o Tatarach pan Mikołaj kiwał głową i mówił:

— Jaka znista! Ile ofiar! Ile jasyru! A on nic! Marek utkwiał wyzywające spojrzenie w oczach ojca.

— Dobra nauka ów jasyr ciężki: za nielitościwe ciemnienie kmiotków — rzekł ponuro. — Zmiękł w więzach każdy okrutnik, co bez miłosierdzia trapił poddanych. W jasyrze wszyscy równi.

— Co? co? jak? Coże ty bredzisz?

•—• Przecie wiem, jako jest. Niejedhom w świecie pojał.

Pan Mikołaj oniemiał na chwilę ze zdumienia, nim krzyknął:

— Zawsze, mosterdzieju, byłeś głupi! Ale na tym morzu do cna ci ryby rozum zjadły. Przed dziesięciu laty, pomnę, chciałeś żenić się z Marfą. Cha-cha-cha! Żałujesz, żeni was rozpędził? Marek nic nie odrzekł, chociaż dźwięk wypowiedzianego imienia ukłął go. Nie chciał od razu na wstępie odnawiać zatargów z ojcem, nie chciał kłótni, ale nie mógł też przez wrodzone zawadiactwo powstrzymać się od wyrażenia poglądów, które go nurtowały.

— Widzę, że mnie, ojcze, po dawnemu traktujesz — rzekł. — A przecie mi już dwudziesty siódmy rok idzie. , — Jeszcze cię mogę, mosterdzieju, do słupa uwiązać i wy chłostać, albowiem władza ojcowska tak prawomocna, jak szlachecka nad poddanymi — odparł stary z ponurą rubasznością.

— Odwykłem od obu.

— Na nowo cię, mosterdzieju, przyzwyczaję, jeśli mi się przeci-wisz, i oćwiczę, dalipan, oćwiczę.

Marek nie udawał nawet wesołości. Gdyby nie matka i siostry, może by wcale o Jołtuszków nie.zawadził. Ojciec, ciężki, niby góra, gniótł sobą całe otoczenie: domowników, poddanych, sąsiadów.

— A może chcesz popróbować plag, hę? — drażnił się ojciec.

— Nie, nie chcę! — odparł syn dobitnie. —• Ale chcę wyznać, że na okręcie nie masz ani szlachty, ani plebejów, jeno bosmani, różni między sobą jedynie szarżą, i że zarówno wszyscy idą na dno, kiedy kule ich tam wyślą. Kapitanowie często z pospólstwa wychodzą, ale nikomu nawet nie zaświta w głowie, by ich woli nie spełniać.

•—• Byle kogo słuchać? Tfu! Do diaska z taką służbą! Aleś promocję, mosterdzieju, zyskał w świecie! Na panaś wyszedł, nie ma co. To i przed Eliaszem kolano zegnij, psiamać!

— Jeśli go król wyznaczy kapitanem okrętu, to zegnę. Na panam wprawdzie nie wyszedł, ale niewolnictwa, czyjego czy własnego, ścierpieć nie mogę.

— Chłopi nie zażywają wolności, ale też jej onym nie potrzeba, bo byłaby ku ich skazie. Kto duszy swej używać nie umie, tedy lepiej, żeby był niewolnikiem niż wolnym człowiekiem.

— Przecie to takóž membra społeczności, bez których by żyć nie mogła! — zakrzyknął wzburzony Marek.

•— Tylko król z radą i rycerstwo stanowią naród — wywodził pan Mikołaj z powagą — oracze zaś, rzemieślnicy, kupcy nie są istotnymi członkami Rzeczypospolitej, bo wolnymi nigdzie nie są.

Ma szczęście wróciła z kuchni pani Dorota i wyprawiła Marka wraz z przyjaciółmi na spoczynek do wielkiego pięciookiennego erkieru 1. Tak zażegnała, grubszą zwadę.

Tutaj zaraz fajki sobie zakurzyli, co uśmierzyło rozdrażnienie wyniesione z rozmowy w jadalni. Chmura dymu wypełniła izbę.

1 Erkier (niem.) — balkon na piętrze, obmurowany, opatrzony oknami.

— Skoro nas hetman ściga, niedługo tu popasiem — rzekł Marek'. — Po Godach hajda!

— W zadku mam wyroki! — warknął Stołczyzna.

— Ale ojczulek gorszy instygatora *. Jan zaśmiał się na znak, że nie zaprzecza.

— Ja tak uczynię, jak wy, mili bracia — oznajmił Satanowski. Opanowany sentymentem, wyglądał przez zamrożone okno, odchuchawszy w- nim okrągły wyzier na świat: na obronny dworzec, na wzgórze... Aż i wyrecytował znany wiersz Zbylitowskiego, trawestując tak, by pasował do przywalonego śniegiem Jołtuszkowa:

...Jeśli zaś moje oczy wejrzeniem wesołena Ucieszyć kiedy zechcę, ujrzę: ano kołem Wzgórza, doliny, jary w oddal rozciągnięte I bory gałęziste, i sady szczepione, I rzeka tuż pod górą, na której dwór leży...

•te Tęsknota nim owładnęła. Wydobył lirę i zagrał a zanucił.

Zaraz od owej muzyki Stołczyzna stał się senny i chrapnął zdrowo na wymoszczonej pierzynie pryczy. Jakimowski nie mógł zasnąć, nawet wówczas, gdy Satanowski uciął i położył się spać.

Marfa Kozaczka. Chłopięce kochanie Marka. Spotykali się w zagajniku. Tam ich zdybał stary Jakimowski. Synowi własnoręcznie wymierzył karę: dwadzieścia kijów. Marfę skazał na tyleż samo miotełek. A że bardzo nań pomstowała przy każdej sposobności, powiadomiony przez usłużnych donosicieli, zaaplikował buntownicy dalsze dziesięć plag „ku pamięci i nauce, jak trzeba przyrodzoną zwierchność szanować, która ładu społecznego fundament stanowi". Dla Marka chłosta była ostatnią kropią, która przepełniła miarę zatargów z ojcem. Po wakacjach czmychnął ze szkoły do armady hetmana Chodkiewiczza. Wtedy pod wpływem jędrnego młodzieńczego bólu uwierzył w słowa jednego z profesorów w szkole: „Jakież złe prawo, którym szlachta poddanych w niewolników zmieniła, okrucieństwa im nieznośne zadając! A przecie to ludzie lepsi nieraz od swych ciemiężycie!!!". Taka Marfa: zakasuje wiele

szlachcianek. A kapitan Szył? A kapitan 1 Instygator (łac.) — oskarżyciel, w dawnej Polsce prokurator.

Mora? Ej, kto z tych, co łyków za nic mają, dorównuje im w męstwie, rozumie, dworności!

— Spisz, Stefanie? — zapytał cicho Marek.

— Jaszczcze nie, bracie.

— Tyłeś mi prawić o arianach, „Braciach polskich”. We łbach nam przewracałeś, zachwalałeś ich, do Rakowa, Kisielina, Dążwy nas ciągnąłeś. A dlaczegoś sam do onych „Braci” nie poszedł?

— Jużem ci to mówił, kochany, ale powtórzę. „Bracia”, widzisz, nie pozwalają wojować, ba! nawet oręza nosić, nawet ku własnej obronie, nawet na złoczyńców! To nie dla mnie. Bez szpady i wojaczki żyć nie mogę. A już kiedy sobie morze wspomnę, to mi brzydnie cały suchy świat i pelzające po nim „szczury lądowe”. Hej! „Nie znamy, pławacze, co mury, granice, pierś nasza swobodna...”

— Czy naprawdę oni głoszą, że wszyscy ludzie równi?

— Kto? „Bracia”? Oczywiście.

• — Brednie! Zalim ja równy królowi, przed którym bić muszę czołem, czy magnatowi, któremu mam służyć? Albo mnie równy Eliaszu, co mi buty czyści? Eh! szkoda głowy!

— Może i szkoda — zgodził się Satanowski. — Spijmy lepiej.

Marek chętnie by wstał i zwiedził dworzec, ale mu przy chodzeniu okrutnie dokuczają szczydła źle dorobione przez cyrulika i cieślę w Tarnopolu. Chciał jeszcze pogawędzić z Satanowskim, ten jednak już spał. Z dalekiej kuchni dobiegały tłumione odległością pogłosy. W innych izbach domu panowała cisza.

Zabrzmiało pukanie i do alkierza wszedł Eliasz, rudy Rusin o wesołej gębie, w wieku Marka. Ujrawszy dym tytoniowy, szepnął:

— Gore!

— E-tam! Nie słyszałeś o fajce? — odparł Marek opryskliwie.

— Słyszeć słyszałem, aliści mi to ninie do głowy nie przyszło, bom nigdy nie widział.

Eliasz mówił biegle po polsku, tylko z ruskim akcentem. Z ciekawością oglądał przyrządy do fajczenia. Marek nabił fajkę, przypalił od główki z kominka i podał pacholce.

— Masz, spróbuj — polecił. — Ciągnij mocno! W siebie! Eliasz zakrztusił się dymem i zakaszłał. Przerażony odrzucił fajkę, a rękawem otarł łzy z oczu.

— Spasi, Chryste! Jakoż się tym bawić można!

— Ano można, jak widzisz — zaśmiał się Jakimowski Burząc fajkę. — Pochodziłbym, ale mi szczydła doskwiera.

• — O! — zawołał Eliasz. — Mam dwa szczydła wysokie dp pach, z poduszczkami u góry, które nosił mój ojciec po Muszyńskiej potrzebie. Podobno wygodnie ich zażyć.

Niebawem dostarczył rzeczonych szczydeł. Chodziło się ia nich cicho, bez stukotu, bo końce miały obite skórą. Marek ubrał się i Tuszył na dwór, wraz z Eliaszem. Zaglądali tu w różne zakamarki.

Warowna siedziba! Tkwiła u krańca położonej na wzgórzu mieściny, nad rzeką Ladawą, przyparta do samego brzegu, dość tu wysokiego i stromego. Była to drewniana fortalicja o trzech podmurowanych bojnicach i piętrowej bramie ze strzelnicami, f-ortalicja, jakich mnogo na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej, zagrożonych napadami Tatarów lub awanturami magnatów czy hultajstwa. Dwór i dziedziniec obwiedzione ostrokołem, za którym rozciągało się gumno i sad, otoczone wysokim tynem. Całość opasywał okazały wał ziemny i szeroka fosa, przedłużona z jednej strony Ladawą, zasilana wodą tej rzeki. Dębowy, potężnie okuty żelazem zwód, opuszczony teraz na fosę, wciągano pod wieczór na wrzeczadkach. Okna domu mieszkalnego chroniła gruba krata żelazna, drzwi dębowe były gęsto metalowymi ćwiekami nabijane i wzmocnione sztabami. Werbowani z

poddanych włościan strażnicy dęli co pewien czas w piszczałki przez okienka w bojnicach na znak czujności.

Marek, lubo nie takie twierdze widywał, z dumą patrzył na rodzinną warownię, której baszty ocenił na sześć sążni wysokości. Należała wprawdzie do starostwa barskiego, a więc aktualnie do hetmana Żółkiewskiego, który to starostwo dzierżył, ale ponieważ wójtostwo jołtuszkowskie od kilkadziesiąt lat piastowali Jaki-mowscy, przywykł je uważać za rodowe, własne. Tym więcej że jego dziad i ojciec wiele kosztu a trudu włożyli w rozbudowę warowni, jak również całej włości jołtuszkowskiej.

W końcu wyszli poza fosę dworu, na ścieżkę przetartą w śniegu: wzdłuż warowni i dalej — brzegu Ladawy.

— Opowiedz mi o ostatnim najściu Tatarów.

— O, łuny były na pół nieba!

— A to? — spytał Jakimowski, z dala wskazując osmalony róg jednej baszty i nadpaloną miejscami palisadę.

— Zaraz opowiem... I ninie, i zeszłego roku Tatarowie zniszczyli dobra pod Snitkowem. Pan nasz wielkie szkody tam poniósł: chłopów siła w jasyr poszło, wsie zżęły, folwarki, które erygował, także. Musiał tedy z reszty poddanych wydusić większe podatki, daniny] powinności, bo już niedostatek do dworu zajrzał.

•— Jak to, jeść nie mieliście co? — zdziwił się Marek.

•— No nie! Ale szkody pan poniósł tak wielkie, że intrata do dziesiątej części spadła. Trza było na gwałt ratować włości. Chłopy jak to chłopcy: podnieśli lament, jęli pyskować po kątach.. Podjudzał ich niejaki Góra, Mazur zbiegły tu przed laty. Samem na własne uszy słyszał, jak mówił do chłopów: „Idźcie do dwora prosić p/ana, by pofolgował, nie czynił wam gwałtu ni krzywdy. Gdyby i;o nie pomogło, wiecie, co robić...” Pan nasz, wiadomo, człek stanowczy. Jedną legację psami wyszczuł, drugą w dyby osadził. A gdy popy katolickie i prawosławne jęły po kościołach i cerkwiach imiennie wyklinać buntowników, niektórzy chłopcy przycichli, inni na Dzikie Pola zbiegli. Jeszcze inni pod wodzą onego Góry próbowali nasz dwór wziąć szturmem. Rozgromieni pierzchli, a Góra, ranny, w fosę wpadł... Pan kazał go na pal wbić...

•— Rannego?

— Tak. Próbowali wtedy podpalić: dlatego tak osmalone. „Stary się jeszcze doczeka...” — pomyślał Jakimowski. A po chwili milczenia, chcąc przeprowadzić wywiad o Marfie, dla niepoznaki wypytywał o wiele osób, nim zagadnął o jej rodzinę.

— O! to pierwsze buntowszczyki! — ocenił Elias obłudnie. — I Bondareńki, i Prokopiuki dopiero niedawno wrócili z uchodu na zimowniki do Jołtuszkowa.

— Co za Prokopiuki?

— Marfa Bondareńko wyszła za Iwana Prokopiuka, Kozaka z Baru, któren tu osiadł, kiedy go z rejestru wygnali (pono wojska kozackiego ma ostać jeno dwa pułki!). O, siła Kozaków chleba szuka po rozpedzeniu rejestrów!

— Ty mi nie o rejestrach mów, lecz o Bondareńkach! — zniecierpliwiał się Marek.

— Nasz pan kipi na nich i na Prokopiuków. Bo to wszystko rejestrowe Kozaki, harde, dumne, bez szabli nie dostają. Wykreśle ni z rejestru, dziedzice ich też pędzą z uchodów, ryb łowić, polować na zwierza, miód zbierać i opał im zabraniają, nakłaniają dd pługa na swojej, pańskiej roli... — zagalopował się Elias. /

— Roztropnyś, widzę, chłop — rzekł Marek drwiąco. I — Ano, co Pan Bóg w głowę włożył, to mam, i profitu j e także... Owóz pan chciał ich przymusić do robocizny na folwarku w Jołtuszkowie Podleśnym. Gdzie tam! Jakoweś przywileje okazali i hardo się postavili, najwięcej zaś Iwan. Wynikła [wojna między nimi a naszym panem, który, wiadomo, przed żadną wojną nie dryfi. Pozabierał im role różne, zabronił wstępu do lasów wójtowskich, konie im zajął, ich chutor zajechał kiedyś. Bondareńków mnogo w Barskiem, tak szeroko

rozrodzone. Prawują się jiiine z naszym panem o „pustki” nad Ladawą, na których oni i chłopci tutejsi pastwiska mieli. Bo nasz pan, kiedy zakładał folwark, odjął im one „pustki” i obsiał. Krzyk się zerwał, Święta Przczysta! Wtedy pan położył rękę na lasach, z których i Bondareńki, i joł-tuszkowskie poddane brali drzewo, miód, zwierzynę, grzyby, jagody i różne takie zyski... Sprawa offerła się o sądy. Chłopy tutejsze na czynszach są. Nasz pan chce ich przymusić, by dwa dni w tygodniu odrabiali pańszczyznę dla folwarku. Znowu krzyk i znowu sąd. A sąd, wiadomo: przecie nie dla zbuntowanych chamów będzie wyrokował. Ostatnie słowa Eliasza wypowiedział tak szczególnym tonem, że Marek aż na niego z ukosa spojrzął i powtórzył:

— Roztropnyś chłop... A gdzież to chutor onego Prokopiuka? Eliasza wskazał odległą o wiorstę kępę drzew i budynki.

— Chodźmy tam — rzekł Jakimowski.

— Co? — zdumiał się pacholek. — Żywi by my stamtąd nie wyszli.

Markowi zaświeciły oczy niby drapieżcy. Zapowiedź niebezpieczeństwa podniecała zuchwalca żadnego hazardu. Zaprzagnął go pokosztować, a im by karkołomniejsze było, tym dlań smakowit-sze.

— Sam pójdę — rzekł.

— Nie, ja z paniczem! — zawołał Eliasza. — Razem my żerzenie podchodzili i wrony strzelali, razem baraszkwali w dzieciństwie, gińmy razem!

— Gińmy? Chybaś przesolił — rzekł Marek myśląc, że Eliasza nie wygląda na „wiernego sługę”, narażającego łeb dla pana, ale przyjaźń mu chyba nieobca. Spojrzął na niebo zaciągające wczesnym zriierzchem zimowym i dodał: — Ale dziś za późno. Nie zdążymy pogadać z Prokopiukami. Idź doma, ja sam ździebko pochodzę, i — Ale niebawem będziem zwód zaciągać — przestrzegął Eliasza. •— A potem, to żeby sam król, musi za fosą rana czekać.

— Raz można zwodu nie wciągać.

— Jutro by już naszego dworu nie było: ludzie tu zawistni i łakomi na dobro pańskie a krew... — Eliasza mówił te słowa znowu jakby ze szczególną satysfakcją.

Jakimowskiego, gdy został sam, jeszcze silniej korciło iść do chutoru. Nagle jednak ujrzał jeźdźca cwałującego stamtąd wprost na niego. Bezwiednie poprawił króciwę i krótki kord za pasem.

— Ki diabeł? — mruknął.

Niebawem jeździec zarył przed nim konia i zeskoczył na śnieg.

— Marf a — wykrzyknął zdumiony Jakimowski.

— Jam jest — odparła wzburzona.

Tak był zaskoczony, że nie wiedział zrazu, co mówić. Ładna była, bujna, dojrzała, tchnęła zdrowiem. Fiołkowe oczy błyszcząły podnieceniem. Wysokie piersi rozsadały kozuch. Spod futrzanego kołpaka wyzierały pukle platynowojasnych włosów.

— Słyszałam o przyjeździe waszej wielmożności — rzekła patrząc mu zuchwale w oczy. — Wyglądałam, wyglądałam, aż zobaczyłam z daleka i od razu poznałam... Musiałam przyjechać, musiałam! Czort mnie na konia posadził i przygnał tu! Pomyłuj, Chryste Pane! Pożądliwie wyciągnął znad szczudła prawą rękę, jakby chciał objąć Marfę w pół, ale umknęła mu się i skoczyła na koń.

— Zobaczyłam i... — zawołała nie kończąc zdania. Pognała na powrót ku chutorowi.

— Bądź jutro o południu w Zakłej Bałce! •—• krzyknął.

— Nie! — odkrzyknęła. — Nigdy!

• Ściemniło się i trzeba było czym prędzej wracać.

Spotkanie wzburzyło go. Wobec oporu pożądliwość wzrosła. Odżyły niespodziewanie dawne afekty, ale w całkiem innej postaci. Kiedyś gotów był modlić się do Marfy — anioła. Teraz o władnęła nim żądza do bujnej niewiasty, która wydała mu się pospolita 3 — Kawaler złotej

ostrog

q o w porównaniu z

pięknościami, z jakimi wdawał się w amory na dworach wielkopańskich czy indziej. Ale dawne uczuci/ było 0 wiele słabsze niż obecne, jak zachwyty jest słabszy od głodu. Już za zwodem dobiegły go z alkierza tony liry i śpiew Satanowskiego, przenikające przez ściany a szyby.

...Puśćże mnie do sieni, Mam ci coś w kieszeni; Co ja, miła, dam tobie, Ulubże to sobie.

Tylko niechaj na łonie, W tej zielonej zasłonie, Dziś będę u ciebie — Puść mnie do siebie...

— Utrafił w moje afekta •— mruknął do siebie Marek. Mimo woli stanął, gdy usłyszał głosy siostr za węglem bojnicy.

— Boga się nie boisz — mówiła surowo Wanda.

— Albom co zawiniła? — odparła Aijiela żałośnie. — Ledwie go ujrzałam, a serce mi

rzekło: „To ten!” Ach, jakże cudnie gra 1 śpiewa! Anioł, zda się, spłynął do naszego gródka.

— Bluźniesz!

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznej! Może i nie wiem, co mówię.

Chrząknął ostrzegawczo. Za węglem siostr już nie było.

Na grodek wtoczył się księżyc i oświecił go jasno.

„Amor zapanował nad Jołtuskowem •—• pomyślał Jakimowski. — Takem się rozpałił do Marfy, że mi chyba nosem bucha ogień”.

Uśmiechy zgasły mu jednak na twarzy, gdy posłyszał gniewny głos ojca wymyślającego gdzieś służbie, żonie i córkom. Zdawało mu się nawet, że i odgłosów bicia w zgiełku nie brakło.

III Zakłęta Bałka, wąwóz nie opodał Ladawy, zawałona była śniegiem. Z zasp sterczały miejscami czarne kołtuny tarnin porastających stoki. Ale na krawędziach, po obu stronach Bałki, między zaroślami wydeptano ścieżki tuż nad urwistymi ścianami, z których wiatry zwiały śnieg.

x Marek daremnie czekał, gniewny na Kozaczkę za wygaśnięcie namiętności, a na siebie samego za tak łatwe zadurzenie.

Po paru godzinach, gdy ziemia zastygła w przedwieczornej martwojcie zimowej, ruszył do domu. Zatrzymał się często i patrzył z dala na futór Prokopiuków. Pchało go tam ślepe zuchwalstwo. Ale zwyciężył rozsądek. On to mu podszeptał słuszny osąd jego dzisiejszych zmagañ: „Dobrze, iżem ranny, bo inac, już by się tu krew polała. I o co? O podwikę, o zachciankę!”

Nazajutrz, dzień św. Mikołaja, 6 grudnia, drugą akurat niedzielę adwentu, rozpoczęła we dworze uroczysta prymaria, odprawiona przez plebana z pobliskich Chodaków, księdza Sulimirskiego, dobrodusznego grubasa, o którym mówiono, że chętniej pija gorzałkę niż mszalne wino. Czego o nim nie mówiono! Nawet to, jakoby się z niecnymi spachnął „ponurzeńcami” i tylko dla oka nosił sutannę. Fakt faktem, że dobra swe rozdał ubogim (jak nieraz arianie czynili), za co go wszyscy wyśmiewali, nie wyłączając obdarowanych. Odprawiwszy nabożeństwo w kaplicy urządzonej we wschodniej baszcie, wezwał uczestników na sumę do Chodaków, po czym lekko, mimo tuszy, skoczył na koń i pognął do domu.

Pan Mikołaj, solenizant dzisiejszy, nigdy by go do rodzinnej celebry nie zaprosił, gdyż koty darli o principia moralne i polityczne, ale miał z nim osobliwy interes. Oto kapłan z Chodaków udzielił mu dyspensy od postu adwentowego, czego nie chciał uczynić proboszcz jołtuszkowski, ksiądz Wojnowski, wróg Sulimirskiego. A szykowała się huczna solenizacja, bo jutro, 7 grudnia, Marcina, panu Mikołajowi zaś na drugie imię było Marcin, pojutrze znów wielkie święto: Niepokalane Poczęcie Najświętszej Marii Panny.

Od małżonki solenizant otrzymał w podarunku imieninowym nowe rapcie do szabli, od córek — pas skórzany z ozdobną klamrą, nabity srebrnymi blachami, od syna — kordzik fiński z

kościaną rękojeścią, zdobyty podczas bojów w Inflantach. Toteż łaskawy był jak nigdy, nikogo nie łątał, uśmiechał się nawet do każdego.

Obaj Jakimowscy ubrali się w karmazynowe żupany i kontusze popielate o srebrnym odcieniu. Senior opasał się oczywiście pasem otrzymanym od córek i miał szablę na rapciach żony.

Włóścianie także uroczyście obchodzili dzień św. Mikołaja, którego uważali za opiekuna stanu chłopskiego. Obchód zaczęli od zno szenia duchownym drobiu, nabiału, owiec, prosiąt, cieląt — wedle starego zwyczaju. Legaci jołtuszkowskiej ławy miejskiej i poddanych także złożyli życzenia solenizantowi, lubo tyran dla plebsu. Przyjął ich nadspodziewanie uprzejmie, poczęstunkiem uraczył i obdarzył różnymi obietnicami.

Po śniadaniu cała rodzina wraz z osobistą służbą udała się saniami i konno do Chodaków na sumę. Pełno tu już było wiernych — samej szlachty, przy uderzającym braku poddanych — aż to się dziwne zdawało. Snadź chłopci katolicy do Jołtuszkowa na sumę podążyli.

Tłok panował w kościele. Nawet luminarzy powiatowych, do których i Jakimowscy należeli, w stallach nie brakło. Mimo powagi nabożeństwa, szlachcianeczki bezwiednie krygowały się na widok trzech obcych kawalerów. Aż męska młodź tutejsza jęła zębami zgrzytać i sztyletować „przybłędów” groźnymi spojrzeniami. Natomiast pan Mikołaj podkręcał wąsa, rozglądał się buńczucznie po świątyni, a choć wargi jego szeptały pobożne słowa, oczy zdawały się mówić: „Patrzcie na mojego sokoła i pękajcie z zazdrości a zachwytu!” Ale podczas kazania stracił dobry humor. „Zawsze mówię, że się z lichem kuma. Pijany czy co? — mrucał. — Odkąd się ci przekłeci nurkowie zagnieździli na Rusi, spokoju nie masz...”

— Ani mi zmilczeć o tym — grzmiał kaznodzieja — że panowie kmieci niewolnikami czynią, jakby kmiecie owi kupieni byli albo na wojnie sprawiedliwej pojmani. Robią z nimi, co chcą: na majątności, na zdrowiu, na gardle. A żadnej im obrony ni forum dla ich krzywd nie zostawują! Jeśli nie kupieni, nie pojmańcy, jeno Polacy tej samej krwi i wiary co panowie, czemuż w tej niewoli stękają? Pierwsi chrześcijanie, którzy z czasów swego pogaństwa niewolników kupnych mieli, wolność im potem dawali jako braciom. A my takich jak sami jesteśmy Polaków bezprawnie zniewalamy i gdy z nędzy uciekać muszą szukając chleba indziej, okup z nich niby bisurmany ściągamy...

Pan Mikołaj siedział jak na szpilkach i kłął w duchu zapominając o świętości miejsca. Kłąby, oczywista, głośno, gdyby mógł. O nim to bowiem była mowa: on pobrał okup od pewnego zbiega, a drugiego w lochu trzymał za nieposłuszeństwo.

— ...Depcą poddanych panowie, niszczą przez arendy, zastawy, podwody, propinacje, robocizny, daniny, więzienia, zabójstwa bez sądu, często bez przyczyny. Tyrani, niegodni miana ludzi! Bratem twoim jest, panie szlachcicu, ten chłop, o którego spytają cię w swoim czasie: „Kędy jest Abel, brat twój? Głos jego krwi woła do mnie o pomstę!”

Pan Mikołaj spotniał: w uniesieniu zabił niegdyś chłopca z Brygidówki. Wściekłość go ogarnęła, nie dopuszczając żadnej skruchy.

— ...Słuchaj dekretu Dawidowego, zbójco kmiotków: jesteś synem śmierci, musisz zwrócić owieczkę w czwórnasób, a sam idź pod miecz! Wspomnij, jak karano Achaba, który wydarł winnicę poddanemu swemu, Nabotowi. Myślał, że mu wolno, mówił pewnie tak jak ty, łupieżco: „Mój chłop i to, co on ma, wszystko moje”. Omylił się: okrutną, ale słuszną poniósł karę. Głowy jego synów sponiewierane, krew jego i jego żony chyliły się...

Tego już było narwanemu panu Mikołajowi za wiele. Powstał i wyszedł z kościoła. Przez chwilę myślał nawet o wywołaniu rodziny, ale mu już na to swady nie starczyło. Dosiadł Stołczynowe-go gniadosza i pogalopował do kościoła w Jołtuszkowie dla formalnego dokończenia sumy. Wyznawał bowiem żelazną zasadę, że tylko śmierć uwalnia od sumiennego wykonywania obowiązków religijnych. W najwyższym wzburzeniu modlił się: „Zdrowaś, Maryjo, łaskiś pełna. Psiawiaro, ja cię urzęduję w kurii! ...Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami... Dawałem ci na świece, na malaturę kościoła, na

inne porządki, nawet do kalety... Święta Maryjo, Matko Boża... Dam ja ci, czarcie nasienie, mosterdzieju! ...módl się za nami grzesznymi..." Myliło mu się haniebnie: „...i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom... i błogosławion owoc żywota Twojego, Jezus... O, do pioruna, mosterdzieju! Błuznię niby poganin! Będę musiał znów do spowiedzi, u diaska!...” Był w szczerzej rozterce.

Po sumie przemocą ściągnął do domu cnotliwego proboszcza jottuszkowskiego. Do księdza Sulimirskiego zaś wysłał obraźliwy list, napisany od ręki, acz zjeżdżali się już goście z dalszego i bliższego sąsiedztwa: Czajkowsy, Krukowiec, Ziółkowsy, Smolińscy, Krasowsy — dojrzały, młódź i dzieci.

Dwie kapele z Jottuszkowa, ruska i żydowska, przygrywały na 1 Propinacja (łac.) — prawo wyszynku napojów spirytusowych.

przemian, to w wielkiej sieni, obwieszanej bronią, a ogrzewanej okazałym kominem, to w komnacie stołowej lub świetlicy. Nie tylko po pańskiej stronie domu przygotowano fetę. Strdona cze-ladna także rozbrzmiewała gwarem: to służba i co lojalniejsi poddam obsiedli stoły suto jadłem i napitkami zastawione.

Powszechną ciekawość przybyłych budzili bosmani, a zwłaszcza Marek chodzący o kulach. Niektórzy z młodzi poznawali go z czasów dzieciństwa, wspólnych zabaw. Atoli bezwiednie boczyli się na niego jako obcego, niepokojącego światowca. Toteż wraz z pytaniami i żartami sypały się na całą trójkę docinki, zaczepki.

Jedną stronę ogromnego stołu obsiadły kolorowe i rozszczebio-tane jak ptaki białołowy, drugą — mężowie w ubiorach nie mniej barwnych niż niewieście. Dzieci hasały po całym dworcu. Chociaż się na hulankę zanosilo, gorliwy pleban długo modlitwą nudził biesiadników, jakby wypróbując ich cierpliwość chrześcijańską.

Podczas „pełnych” strażnicy z rozkazu Marka gruchnęli na wałach z rusznic, a nawet z działek, które były chlubą solenizanta.

— Sto lat! Tysiąc lat! • — grzmiało raz po raz.

Feta była wielka, bo oprócz imienin i trzech dni świątecznych solenizant oblewał swój mandat poselski na sejm walny, który otrzymał na listopadowym sejmiku wojewódzkim i potem — prowincjonalnym wiszeńskim. Piastował go już po raz drugi w życiu, ale słabo odróżniał republikański program Zbaraskich od królewskiego programu wzmacniania władzy monarszej. Tęgą miał jednak głowę do picia, zwawą szablę i zawsze gardłował przeciw dominium absolutum¹, Żółkiewskiemu i podatkowi. Tu, na domowej uczcie, wśród ptasiogłowych kwok i zapyziałych mocium-panków, uchodził za statystę a luminarza ziemi podolskiej.

— Niech żyje trybun Podola!

— Vivat! Vivat!

Od wiwatów brzęczały szyby, przez które bił na pokoje migotliwy blask płonących na wałach beczek ze smołą i pochodni, iż mimo zmierzchu długo jeszcze nie trzeba było oświetlać wnętrza domu. Po toastach — za zdrowie solenizanta i po kolei wszystkich obecnych, za gospodarskie porządki, za pomyślność lub szkodę lu¹ Dominium absolutum (łac.) — władza nieograniczona.

minarzy Rzeczypospolitej — zakurzyło się z czupryn. Rósł hałas na równi z konfidencją między biesiadnikami i wiwatową strzelbą załogi.

Obfity trunek obficie zakąszano. Mięso było co niemiara z jarzynami, kaszą, sosami różnych barw i ostrości: kapłony, wołowina, dziczyzna. Nie brakło nawet takich osobliwości, jak pieczeń z żubra, chrapy łosia, niedźwiedzie łapy, sarnie kielbasy, aż i ryby a śledzie.

Wszystko zaś z saporami tak ostrymi, że w gardle żywym ogniem paliły. Drób iście po pańsku podawano — na ostro lub słodko — wedle smaku. Aż i ciasta oraz inne łakocie weszły na stół.

Stary pan Czajkowski upodobał sobie w' Satanowskim i jał mu rodzinne wyznawać afekty, wyszukawszy w swej otchłannej pamięci domorosłego genealoga pokrewieństwo Czajkowskich z Sa-tanowskimi.

— Miłyś mi, synem moim ostań — baręczał — jeno to zafaj-dane pławactwo kin do czarta! Jednego my praszczura dzieci.

— Krewny jak żerdź po płocie albo woda po kisielu •— śmiał się Stołczyzna.

— Poczekaj: zaraz ci wyliczę...

— Jego baba i moja były to dwie babie, kochały się, jednakie mając w herbie grabie — pomógł Czajkowskiemu złośliwy Stołczyzna.

Ale niezrażony genealog, nie mogąc przebrnąć zapory jego kpin i chłodu Satanowskiego, zapragnął setnie dogodzić Jakimowskim, którzy herbu „Czewoja” zażywali. Poprosił o głos, za czym wywodził.

— Nie trzeba nam zacności rodu wielmożnych panów Jakimow-skich wychwalać, albowiem jako klejnot błyszczący, tak i ona familia, sławna swymi przodkami i cnotami. Aliści dla pouczenia młodych, którym jeno figle w głowach, podam, że ród ten od czeskiej królowej Libuszy, córki króla Kraka, i księcia Przemysława pochodzi.

— I od króla Ćwiczka XVII •— mruknął Marek.

•— Wielka ta monarchini założyła Pragę, stolicę królestwa czeskiego, od Przemysława zaś wywodziła się sławna dynastia królów. Przeto i Jakirnowscy poniekąd w onym monumentalnym dziele partycypują.

— I ja także, bom nieraz Marka gruszkami częstował — rzekł Jan.

A Marek, jakby lekce sobie ważąc swój stan i splendor rodu, jał szyderczo wywodzić ucieszna historię herbową.

—• Jako wiecie waszmość państwo, herb nasz „Czewoja” aż pięć odmian posiada. Jedną z nich jest „Łzawa”. „Łzawa” ma historię skromniejszą niż ta, którąśmy dopiero co słyszeli. Za panowania Leszka Białego rycerz pewien straż trzymał w obozie. Kiepsko, bo usnął. Śniło mu się, że nieprzyjaciel napada na obóz. Rycerz zrywa się, woła ogromnym głosem na trwogę, obóz alarmem stawia na nogi. Aliści czaty i podjazdy dają zewsząd znać, że nieprzyjaciela nigdzie w pobliżu nie ma. Kto larum uczynił? Szukają wszędy. Rycerz zaś strwożony, bo przecie za spanie na służbie i fałszywy alarm na gardle by go pokarano. Nie mógł wreszcie znieść i wyznał, jak było. Darowano mu życie, ale na pamiątkę kłamnego larum, na pamiątkę, że łże-alarm był, „Łzawą” jego herb nazwano.

Panu Mikołajowi krew omal z policzków nie trysnęła.

— Co to ma do rzeczy? — krzyknął. •— My się tą „Czewoja” pieczętujęm, co ma w polu błękitnym miecz pomiędzy barkami dwu srebrnych podków, nad hełmem zaś w koronie trzy strusie pióra. Zresztą nad bramą herb nasz widny i snadnie go obejrzyć można.

Ale że śmiechu wiele było i toastów, nie zmył synowi głowy za postponowanie przeszłości rodu.

Koło księdza Wojnowskiego rozgorzał dyskurs o niepokojach wśród chłopów, o trudnościach przy wprowadzaniu folwarków i unii kościelnej. Ale zaraz przeszedł na materię wojny czeskiej, o której jeszcze nie wszyscy z obecnych wiedzieli, choć od lata już trwała.

— Antychryst tam zapanował i świętą wiarę rzymską poniżył! — wołał pleban z patosem.

— Świętobliwy Zakon Jezusowy z całych Czech wywołany przez heretyków, którzy odmówili posłuszeństwa prawowitemu monarsze swemu, arcychrześcijańskie-mu cesarzowi Maciejowi. Wojska cesarskie pogromione, Unia protestancka triumfuje, rośnie!

— Miło słuchać, że pludrów łożą — rzekł zaczepnie Stołczyzna. Pleban pobaraniał na takie dictum. Miał ostro zreplikować, ale zląkł się gospodarza, w którego szkatule siedział i od którego często nieprzystojne wysłuchiwał inwektywy. Odparł więc tylko:

— Wszak rękę podnieśli na cesarza! Na swego króla!

— O-wa! Toż i u nas był rokosz przeciw królowi jegomości. —• Racz mówić dalej, wasza wielbność — domagali się hreczkosieje, którzy byli okrutnie ciekawi światowych wydarzeń, a w swoich deskami zabitych siedzibach mało co z nich słyszeli.

•—• Ano pazerność heretycka —opowiadał ksiądz. — Przez pół wieku, od religijnego pokoju augsburskiego, heretycy do takiej czelności doszli, że zagarnęli kilkanaście diecezji katolickich i ponad tysiąc sto klasztorów a opactw! Zdradziecka Francja wspomaga protestantów ku skazie arcychrześcijańskiego władcy. Anglia i Holandia takż. Toteż heretycy za nic sobie mają List Majestatowy nieboszczyka cesarza Rudolfa, acz^warował im przywileje. Łaknęli większych, pazerni! Tak się już rozzuchwalili, że w kościelnych miastach katolickich plugawe swoje zbory budowali! Toteż jego arcychrześcijańska mość Maciej, obecny cesarz, kazał te zbory poburzyć i wszelkich wicherzeń, godzących w jego majestat, poniechać. I wiecie, waćpaństwo, na co się kacerze powazyli? Oto legatów cesarza jegomości oknem wyrzucili!

Wiadomość o tym młodzi przyjęli gromkim śmiechem. Ale starsi nie bardzo wiedzieli, czy się śmiać, czy nie. Bo ich uczucia anty-heretyckie były równe zadowoleniu z wszelkiego poniżenia Raku-szan i cesarza.

— A to bobu dali pludrakom! —• rżał Stołczyzna. —• Żeby im Czesi tak wkropili, jako nasi pod Byczyną!

— Wszędy się to rakuskie plugastwo rozłazi, tfu!

— Biada prawdziwej wierze! Biada kościołom Pańskim! — wołał pleban. —• Wojna! Wojska cesarza jegomości pogromione!

Ktoś jeszcze ujął się za katolikami i ich cesarskim opiekunem, ktoś znowu natarł na nich •—• rozgorzały kontrowersje.

Marek, aby rozładować burzliwą aurę, jął głośno, na całą komnatę, opowiadać zabawne facecje. Zaraz też ucichły spory i tylko salwy wesołego rechotu przerywały raz po raz gawędziarzowi.

— Chłop opowiadał swemu panu, co słyszał na kazaniu w kościele — mówił facecjonista.

— „Prawił ksiądz, że i panowie, i chłopci jednako po śmierci pójdą do piekła”, rzecze chłop.

„No to ciesz się”, odpowiada pan. A chłop na to: „Myśleli my, że . służba nasza dla panów skończy się na tyrn świecie, a tu ksiądz powiada, że musim służyć i na tamtym, by miał kto dREW podkładać pod kotły, żeby wielmożnym panom było ciepło”.

— Ale trefność! — wołano z uznaniem. —• Jeszcze! Jeszcze!

— Pewien bosman ciężko chorzał od ran — mówił Marek. •— Odwiedził go druh i powiada: „Szczęśliwyś, że już idziesz do nieba oglądać wieczną chwałę bożą”. A ranny na to: „Jak tylko tam zajdę, Pana Boga zaraz poproszę, by i tobie co rychlej przygotował słuszne miejsce dla oglądania onej chwały swojej”. „O nie! Nie wdawaj się w moje sprawy i nie przynaglaj Pana Boga”.

— Biesiadne chłopy te bosmany — huknął ktoś.

•—• W armadzie snadź jeno zbytki a trefności wyprawują.

— Gadaj wasze więcej! Słuchamy!

— Jakowemuś łykowi utonęła w rzece żona. Zdesperowany mąż najął chłopów z osękami i razem z nimi szukał w wodzie nieszczęsnej białogłowy, ale przeciw prądowi. „Jak to? Trza przecie z prądem szukać, bo tam zwłoki zaniósła woda” — mówili najemnicy. A łyk na to: „Wiem, co robię. Znam ja obyczaj swojej baby: za żywa z nikim się zgodzić nie mogła, to i ninie popłynęła na przekór rzece”.

Stołczyzna pozazdrościł Markowi oklasków. Chcąc także popisać się dowcipem i polityką a zyskać pochwały, poprosił o głos.

— Raz fregata nasza stała na Morzu Czerwonym, w tym miejscu, któredy ongiś Żydowie pod wodzą Mojżesza przeszli suchą nogą. Właśnie samostałem na pokładzie, bo załoga zesłała na pobliską wyspę. Gorąco jak w piekle: tam słońce bardziej żarkie od naszego.

Postanowiłem wykapać się dla ochłody. Rozebrałem się do naga i siup do wody! Nura dałem na dobre dziesięć łokci głęboko. Otwieram w wodzie oczy i pot mnie oblał: ogromna niby smok ryba z otwartą paszczą rwie prosto na mnie! „Panno Święta!” — krzyknąłem. Nie zdążyłem uciec, jenom nurknął jeszcze głębiej, pod bestię ona, wyciągam nóż i trrrach ją pt> kałdunie! Rozpłatałem go na dwoje, iż rozwarł się jak wrota. Myślicie, wasz-mość państwo, żem już był wolny? To dopiero początek kłopotów! Z wnętrza potwora wypłynęła przecudnej urody wodnica, syrena, ze śpiewem na ustach! I co powiecie, waćpaństwo? Lubo zimna woda element nieodpowiedni do amorów, takem się od razu rozmiłował w tej wodnicy, żem zapomniał, kim jestem, skądem się wziął na dnie morza (na samo dno za nią pobieżyłem!), zapomniałem o świecie. Bo syreny, trzeba waćpaństwu wiedzieć. uwodnym głosem i urodą, jakiej żadna białogłowa nie sprostą, skusiłyby najcnotliwszego mnicha. Idę tedy za onym głosem po dnie usianym klejnotami, muzykę zewsząd słyszę. A kochanie już mnie tak rozgrzało, że od ognia, co ze mnie buchał, woda zawrzała wokół. Aż wodnica nagle woła: „Uwierzysz w Mahometa, to cię poślubię i sultanem tej krainy ostaniesz”. Bo te strony, trzeba waćpaństwu wiedzieć, należą do sprośnego bisurmana. „Jezu-Maryjo!” — krzyknąłem. I proszę sobie wyimaginować: na dźwięk tych świętych imion — zaszumiało, jakby oceany wystąpiły z brzegów, a fala mnie z powrotem na pokład fregaty wyrzuciła! I to w chwili, gdy komilitoni wracali z wyspy! Nie chcieli wierzyć w moją przygodę. Taka nieufność ludzka! Ach, dopierom sobie teraz przypomniał, że przysiągłem zdarzenia tego nikomu nigdy nie opowiadać. No, aliści stało się.

Nagrodziły go huczne, długo nie milknące oklaski i prośby o dalsze opowieści. Ponieważ mu na nie konceptu zabrakło, wykręcił się jakoś sianem i umknął do świetlicy wraz z gromada miłośników tańca.

Młodzież zatańczyła, a rej powiódł dworny Satanowski.

Pląsano żywego „cenara”, który choć staroświecki, wielce był lubiany. Potem skoczną „galarde”. Aż i „gonionego”, aż i staromodnego „lipka”. Wreszcie Stołczyzna, żołnierz z profesji a przyrodzenia, powiódł taneczników do żołdackiego „hajduka”, którego muzykanci tak hucznie zagrali, jakby palba rozbrzmiewała. Ten siarczysty tan wywijano do upadłego, aż dworzec drżał w posadach. Ale po krótkim wytchnieniu Satanowski zatoczył z powagą „polskiego”, który na Podolu dopiero do świetlic wchodził i mało go znano. On jednak z taką udolnością go prowadził, że wszyscy niebawem należytego drygu nabrali. Tańczono parami w krąg: na przemian para pań i para panów — długim dwurzędem. Po ukłonach nastąpiły wdzięczne, spokojne kroki w takt muzyki. A kiedy ów dwurząd się rozdzielił, para przodownic poskoczyła lekkim biegiem przez środek między rzędami, jakby umykała parze mężczyzn, następujących za nią.

W tańcu od chłodnej zwykle panny Wandy Jakimowskiej biło lube, podnietliwe ciepło, patrzyła zaś na Stołczynę z rozchylonymi niby do pocałunku wargami, że mu ciarki po krzyżu przemykały. Aniela zaś pożerała wzrokiem uduchowioną twarz Satanowskiego i szukała w tańcu sposobności, by się doń zbliżyć, uścisnąć mu rękę.

Stary Jakimowski na wszystko miał oko. Dostrzegł więc afekty, jakim uległy córki. Ponieważ miał widoki na dwu Smolińskich, którym chciał swe dziewczki wyswatać, zawadzał mu każdy zalotny przybłąda.

Pan Mikołaj podszedł przy sposobności do syna i syknął: •— Odstrasż no od naszych dziewczek tych swoich obieżyświatów! Nie dla psa kiełbasa. Marnaż to chyba szlachta, nie? — Przednia.

Stary zaśmiał się szyderczo i wyrecytował znany dwuwiersz:

Ojciec mój był pan Dzbański Komes de Wątory, Gdzie aże jeden kmiotek, a trzy wielkie dwory.

— Nie bój się, panie ojczy: niedługo my tu zagrzejem.

— Co-co? Dla mnie możecie... — prychnął stary nie kończąc. Odszedł spiesznie od Marka i — o dziwo! — sam nie odstraszał „przybłędów”, lecz wrócił na swe miejsce i spokojnie siedział.

Po „galardzie” Stołczyzna i Wanda dla wytchnienia usiedli na ławie w rogu komnaty, podczas gdy inni płasali starożytnego „fir-leja”.

— A jak ona wodnica wygląda? — zagadnęła, dręczona tą materia.

— Kubek w kubek do waćpanny podobna — odparł z powagą.

— Doprawdy?... A waćpan to chyba wielce kochliwy...

— Skądże! Jużem w armadzie za jakowymś przytulnym oglądał się klasztorkiem i gdyby nie Marków postrzał...

— A za wodnicą w mig waćpan poleciałeś — rzekła z żalem.

— Bo... bo to czary. No i owo podobieństwo do waćpanny...

— Ach, czary! A można by się takowych kędy nauczyć?

— Oczywiście! Sam umiem. Mógłbym i asannie nauk udzielić.

— Naprawdę? — szepnęła z niedowierzaniem.

— Kula mi w łeb, mościa panno! — zaklął się niedoszły zakonnik z taką gorącością, że rozproszył jej wątpliwości.

Tymczasem umilkła kapela, ustały tańce, a Satanowski zagrał na lirze spełniając prośbę Anieli i zaśpiewał:

Czuj-duch! Hej, bosmani! Wróg lonty zażęga I z armat czterdziestu daleko od brzeza
Zaprasza w tan!

Wszyscy zbiegli się do świetlicy i zasłuchali w pieśni. Pal! ognia po stokroć!...

Śpiewak urwał nagle. Bo eto Eliasz z rumorem przypadł do pana Mikołaja, a w widocznych stąd drzwiach, wiodących z jadalni do sieni, ukazali się żołnierze.

—• Veto! •—• ryknął stary Jakimowski. —• Jakim prawem? Za najście szlacheckiego domu gardłem zapłacicie! Dom szlachcica jest nie-ty-kal-ny, nie podlega rewizji nawet wtedy, gdy ukrywa banitę! Precz stąd! Precz!

Na widok dowódcy żołdatów bosmani osłupieli.

— Za pozwoleniem! — odpowiedział on panu Mikołajowi urzędowo. — Jestem Burczak, rotmistrz jego dostojności pana hetmana koronnego, i rozkaz jego wypełniam. A oto pismo w tej sprawie.

— Czego waś życzysz? — spytał solenizant stłumionym głosem.

— W imieniu jego królewskiej mości, z woli dostojnego hetmana kanclerza i starosty barskiego, pana Żółkiewskiego, mam haresztować urodzonego Marka Jakimowskiego, urodzonego Stefana Satanowskiego oraz urodzonego Jana Stołczyne, na których kondemnaty sprzed lat ciążą za udział z niesławnej lwowskiej konfederacji żołnierskiej i bunt przeciw majestatowi •—• wyrecytował Burczak.

Zapanowała grobowa cisza. Ale zaraz wszczął się zamęt, bo pani Dorota omdlała, inne zaś niewiasty uderzyły w okrutny lament, a panowie ze srogimi wielce minami jęli trzaskać w szable.

Pierwszym odruchem bosmanów było bronić się i uciekać. Ponieważ jednak czyn taki naraziłby rodzinę Jakimowskich na śmiertelne niebezpieczeństwo, spojrzeli po sobie i całym zwichrzonym towarzystwie, po czym Marek stojąc już o kulach rzekł do Burczaka twardo:

— Prowadź!

— Prowadź! — powtórzyli jak echo dwaj jego przyjaciele.

— Bij-zabij! — huknął stary Jakimowski dobywając szabli. Atoli żadna inna szerpentyna nie wyblęśla z pochwy. Nikt nie śmiał zadzierać z potężnym Żółkiewskim, drugą po królu osobą w Rzeczypospolitej. Solenizant chwycił gąsior z winem i począł pić bez opamiętania.

IV Zegar powoli wydzwonił północ.

Biesiadnicy zebrani w zacichłej nagle jadalni żółkiewskiego zamku słuchali uważnie głębokich tonów. Gdy umilkły, pan tego zamku, hetman wielki i kanclerz Korony, Stanisław Żółkiewski, powiedział uroczyście:

— Pwóż i mamy Nowy Rok. Oby niósł ojczyźnie i nam pomyślność większą niżli jego poprzedniki ostatnie!

Na murach zagrzmiały długimi salwami forteczne działa obwieszczając światu rok 1619. A wraz życzyli sobie wszyscy wzajem „dosiego roku”, całując się i ściskając. Po czym odmówili modlitwę pod przewodem jezuitów — spowiednika Wybirka i sekretarza Turowskiego, nieodstępnych towarzyszy hetmańskich. Aż i kielichy poszły wokół, aż i gwar spotężniał. Ale nie było wesela u noworocznego stołu. Wspominano ostatni napad tatarski, który spustoszył południowo--wschodnie połacie Rzeczypospolitej. Wspominano zmarłych niedawno bliskich: córkę hetmana, Konstancję Koniecpolską, i brata jego, Jana. Łzy mieszały się z trunkiem, westchnienia z życzeniami.

Zebrało się rodziny sporo: małżonka hetmana, Regina, syn Jan. córka Zofia z mężem, Janem Daniłowiczem, wojewodą ruskim, bratanek Łukasz z żoną Dorota i jej stryjem Sebastianem Kurzańskim, domownikiem tutejszym, oraz dalsi pociotkowie.

Hetman utkwiał wzrok w złotej meluzynie, która wyobrażała — według starożytnej rzeźby rodyjskiej — duszonych przez węże Laokoona i jego synów, trzymających napiętymi w śmiertelnej walce rękami świeczniki o mnogich świecach. Każdy się gdzieś zapatrzył, zasłuchał we własne myśli. Nawet rękodajni dostroili się do ogólnego smutku, na murach umilkła strzelba.

— Precz ze smętkami! — zahuczał nagle jowialny Kurzański, któremu tu wiele wolno było.

— Wróżby „sylwestrowe” pomyślne były. I dla Rzeczypospolitej, i dla nas.

Dziad na schwał, a choć rówieśnik zgrzybiałego hetmana, wyglądał na dużo młodszego. Rotmistrzowski mundur opinał jego potężny tors. Kurzański innego przyodziewku nie uznawał, od pół wieku nie odstępując w wojnach swego znakomitego przyjaciela i wodza. Niespodziewanie hetman wstał, pobladły, i rzekł z wysiłkiem:

•— Ostańcie, moi drodzy... beze mnie, proszę... Osłabłem...

Poskoczyła hurmem służba i lekarz nadworny, doktor Stanisław Anczowski, by go wesprzeć. Hetman przyjął ramię Kurzańskiego. Oparty na nim, kulejąc, opuścił jadalnię. Za nimi wyszła stroskana hetmanowa, która w sypialni własnoręcznie usłała mężowi łóżce.

— Nazbyt się wasza mość azardujesz — gderała. —• Tak nie można! Medyk ci przecie zakazał wstawać.

— Jakoż mam nie wstawać, skoro za kilka dni na sejm do Warszawy pociągnąć muszę? — burknął zniecierpliwiony.

— Tyle mil! Nie ma mowy! Sejm się i bez ciebie obejdzie.

•— Jechać na sejm potrzeba, a żyć nie potrzeba — wybuchnął rozgorączkowany. •— Wszystko mi już za ciężkie: i łaska królewska, budząca powszechną ku mnie inwidię, i dostojęństwa, i wrogość tych, co do onych dostojęństw pretendowali, i ustawna z pohańcem gonitwa...

— Krom choroby, wszak i podłe oskarżenia czekają cię na sejmie, jako i na poprzednich. Nie jedź, wasze, zmiłuj się nad sobą i nami! Oszczercy niech gadają do pustego krzesła, gdy zasług nie cenią.

Chcąc rozładować wzburzenie żony hetman próbował żartować:

— Widzę, że w Nowy Rok niniejszy szablą, waćpani, pobrzękujesz i, czego Boże nie daj, wojnę domową ze mną poczniesz.

— Wróżby zapowiadają pomyślny rok — wtrącił się Kurzański. — A przysłowie: „Nowy Rok pogodny, zbiór będzie dorodny”.

— Waść zawsze z tymi wróżbami! — fuknęła.

Przed odejściem pogasiła srebrnym gaśnikiem świece w świecznikach osłoniętych kryształowymi kloszami i umbrellkami z jedwabiu. Zostawiła tylko dwa światełka u drzwi, ustawione na mahoniowych gerydonach.

Po pewnym czasie hetman przez pacholka wezwał swego spowiednika, księdza Wybirka, i sekretarza, księdza Turowskiego. Odbył z nimi długą rozmowę na tematy polityczne, przedsejmowe. Na koniec w przypiływie pobożności rosnącej z wiekiem wyspowiadał się w kaplicy zamkowej i jakiś czas pokutnie leżał krzyżem.

Nazajutrz rano po nabożeństwie przyjmował gości. Przyszli z życzeniami noworocznymi sławni i ulubieni przez hetmana oficerowie: pułkownik Szemberk, artylerzysta, kapitan piechoty Alman-dy, rotmistrz husarski Wrzeszcz, porucznik Złotopolski a inni. Aż i służba, aż i legacje mieszczan Żółkwi oraz chłopów, aż i rządcy, oficjaliści, dzierżawcy... Za namową hetmanowej rodzina wciąż go molestowała, by poniechał wyjazdu na sejm.

•— Jakże stanie sejm bez kanclerza i hetmana a „głównego winowajcy”? Ruszę dopiero po Trzech Królach, zdążą tedy wydo-brzeć.

Podczas gdy w zamku czyniono ostatnie przygotowania do uczty noworocznej, hetman, by uniknąć dalszych nagabywań, siadł z Ku-rzańskim do sań i bez asysty, sami na przemian powożąc, ukradkiem, bo gości już siła napływało, puścili się na przejażdżkę.

Żółkiew była potężną warownią, otoczoną wałem. Zamek o wielkim dziedzińcu z arkadami, zbrojny w cztery ogromne baszty kryte hełmami ze złożonej w ogniu miedzi, zadziwiał obronnością i pięknem. Złoty cios, marmury, brąz, alabastry nastęrczały myśl o potędze złotego cielca, który posługując się talentem artystów i rzemieślników powołał do życia urzekające kształty. Rzeźby, polichromiczne freski i wymyślne sgraffita mówiły o boskim trudzie bezimiennych twórców, zaprzężonych w służbę magnata. Do zamku hetmańskiego nad jeziorem tuliło się ludne miasto, niedawno powstałe, rosnące z dnia na dzień, ozdobione okazałymi świątyniami: dwa kościoły, cerkiew, bóżnica.

Sanie śmignęły rażno przez park i wedle zwierzyńca, stoczyły się ze srebrzystym dzwonieniem na skutą lodem i ośnieżoną tafel jeziora, czmychnęły po niej lekko na drugi brzeg.

— Ktoś ku nam jedzie — oznajmił Kurzański.

4 — Kawaler złotej ostrogi Jakoż z
tumanów śnieżnego pyłu, wzbijanych kopytami cwałujących koni, wyłonili się trzej jeźdźcy. Koło sań zeskoczyli z kul-bak.

— Przychwyciliśmy we Lwowie ohydny paszkwil.

— Dobry początek roku. Daj! •— warknął hetman wyciągając po pismo rękę, a rzuciwszy na nie okiem, kazał Kurzańskiemu zawracać.

Do zamku dalej zjeżdżali się goście. Ale hetman i jego druh sekretarną furtką weszli w mury i na pokoje, nie zauważeni. W swoim gabinecie hetman podał Kurzańskiemu paszkwil.

— Czytaj! — skomenderował.

„List do Jego Mości Króla Zygmunta III od obywateli ruskiego i podolskiego województw, w którym skargę na hetmana koronnego przekładają” — wyrecytował nagłówek Kurzański. Podczas czytania paszkwila Żółkiewski siedział nieruchomo, zasłoniwszy dłońmi twarz, łokciami oparty o płaszczyznę sekretarza.

Kurzański, czerwony jak burak, spotniały, rzucił papier na podłogę i zaklął szpetnie, po żołniersku.

— A bodaj ich franca stoczyła! I ty, hetmanie wielki, słuchasz spokojnie tej ohydy? Na twoim miejscu ja bym tych bładychsy-nów...

— Ja ten paszkwil znam — rzekł hetman. — Podrzuciono mi go, acz mnie sztyldwachy pilnują! Mamże wrogów i na własnym dworze? Szczęściem, paszkwil nie dotarł do Reginki. Zagryzłaby się!

Kurzański popatrzył na niego z wahaniem, za czym wyznał: •—• Jejmość pani wie. Zakazowała ujawniać go tobie.

— Cała Rzeczpospolita czyta. Poznają w ulotce styl Zbaraskich.

— Uderz manu militarix na takich synów! Przywróć swoje prawo!

Żółkiewski pokiwał głową i powiedział ze smutkiem:

— Przywrócić prawo. Armia Rzeczypospolitej. Toż ojczyzna od prywat właśnie choruje. Ja tego nigdy nie uczynię! Gwałt nie przywraca prawa, jeno je dobija. Nie dawaj mi takowych rad!

— Niewdzięcznicy! — huknął znowu Kurzański. — Pobijeś ro- 'koszan, bijaleś Moskwę, Rakuszan, Szwedów, Kozaków, Tatarów, -1 Manu militari (łac.) — za pomocą wojska. Turków, belzebubów... Miałeś dziękowania od króla, sejmów, narodu. Czegóż teraz chcą, do pioruna! W Jarudze siedemnastego roku ocaliłeś' paktami Rzeczpospolitą, bo przecie nie mogła jednocześnie wojować z Moskwą i Szwedem na północy, a z pohañcem na południu... — Jaruga i Orynin to dwa ćwieki do mojej trumny! — wybuchnął hetman. — Ale com ja winien, skoro mnie słuchać nie chcieli?

Kurzański ze współczuciem popatrzył na przyjaciela i pomyślał, że to już nie ów zadziwiający Europę wódz, jeno zniedołężniały starzec.

— Tyle mi hańby przysporzyły te pyszne panięta, a ninie czci mi odmawiają — ciągnął Żółkiewski. — Nienawidzą mnie, zem ich przewyższył, lubo mniej pałek mam w koronie „Lubicza” niż oni w swoich herbach, że działałam za wolą królewską...

— Król! Jeno się o korony carów, szwedzką a perską ubiega... —• Nie wolno źle mówić o pomazańcu bożym! — skarcił druha hetman. — Ponieważ wszelka zwierzchność od Pana Boga pochodzi, choćby też i niedostatki jakie w królu były, cześć nasza mu należy. Bóg jeden ma prawo go sądzić, bo mu berło dał.

— Gdyby nie nasze kreski, miałby berło — mruknął Kurzański.

Pobożny hetman zdawał się nie słyszeć tych libertyńskich słów.

•—• Gdyby w obozie oryński karność była, rozgromiłbym pogan tak zacnym wojskiem, jakie tam stało —• mówił z desperacją. •—• A teraz niedołośćwo i zradę mi zadają, mnie, pogromcy carów i chanów! Mnie, którym, którym... —•" głos mu uwiązał w gardle. — Panowie utyskują, że ich po wojskowemu traktuje, szlachta, że dążę do wojny i wymuszam podatki wojenne, żołnierze zaś, zem za srogi w uśmierzaniu ich swawoli. Osaczono mnie zewsząd jak zwierza w kniei.

Osunął 'się głęboko w fotel, głowa opadła mu na piersi.

Jaruga i Orynin, sejm oskarżycielski i rozwrzeszczane sejmiki, paszkwile i wrogowie, którzy chcą go widzieć pokonanego, w hańbie. To była udręka starego wodza, rana, którą obrzucano jątrzącym gnojem. Zdawał sobie sprawę, że dobiega kresu. Wnosił to nie tylko z upadku sił cielesnych. Szlachta uważała go za niewzruszonego regalistę, a tymczasem Zygmunt III nigdy mu naprawdę nie ufał ani on nie ufał Zygmuntowi. Nawet pieczęć 4'

kanclerską i wielką buławę otrzymał tylko z kaprysu monarchy pragnącego w ten sposób upokorzyć przywódców opozycji: Zbaraskich, Sieniawskich, Zborowskich, Wiśniowieckich. Wojsko znowu zraziło się do niego za surowe wystąpienia przeciw buntowniczym związkom żołnierskim.

Ocknął się nagle z zadumy i zażartował z uśmiechem podobnym do grymasu boleści:

— Fruwaj, Kurku, i zapiej gościom, że niebawem wyjdę.

W samotności czytał paszkwil raz po raz, bicząc się jego treścią. Znużony życiem, pragnął ciszy. A jednocześnie trwająca pół wieku służba publiczna stała się drugą jego naturą. Utrata jej to śmierć, śmierć wśród dręczącego rozpamiętywania klęsk, co wtrąciły w niepamięć sławę pogromcy wrogów. Nie ugaszonej wiekiem ambicji, wyczerpane siły nie mogły już sprostać. Ale choć narzekał-na ciężar dostojeństw, pragnął ich w istocie. Starcza niemoc i gorycz klęsk zmagwały się- ze wspomnieniem siły i poczuciem wielkości.

„Skoro posłuchu u wojska nie mam, to jużem nie hetman” — pomyślał ze zgrozą. Podeszedł do okna, rozwarł je z furią i chrapliwie chwycił ustami mroźne powietrze. Odświeżyło go, wzmocniło. Jął przechadzać się po komnacie. Kulał na prawą nogę, zraniona w potrzebie, byczyńskiej. Wyjrzał znowu oknem.

Na dziedzińcu i w zajezdniach stały zbitą masą wszelkiego rodzaju pojazdy, obstawione służbą, w stajniach lokowano konie. Do westybulu ciągnął nieprzerwany sznur gości znikających w portyku, a dalej — na marmurowych schodach.

Hetman, odświeżony przez cyrulika, wzmocniony jakąś miksturą, przyodziął się w żupan ze złotogłowi, ciemnoniebieski kontusz, czarne spodnie i trzewiki z szafirowego kordybanu, do boku przy-pasał szablę, głowę nakrył czarną magierką. Przejrzał się w zwierciadle: mimo wszystkich zabiegów wyglądał staro i niezdrowo.

Długo błądził po komnatkach niedawno wzniesionej siedziby, niesyty jej wspaniałości. Nie mógł się nią nacieszyć. Wciąż jeszcze, pomimo tylu lat wielkiej kariery i splendorów, był parweniuzern w magnackim stanie, odzywała się w nim natura szlachetków z Mazowsza, skąd Żółkiewscy pochodzili.

Z daleka, z sali biesiadnej i przyległych, przenikały doń dźwięki kapeli a gwar głosów.

Kiedy już zapłonęły świece w kinkietach ściennych i koronach u sufitów, a szyby okien podlał wczesny zmrok zimowy, Żółkiewski poszedł wreszcie do żony. Była już gotowa, strojna pięknie, lecz dość staromodnie: w czarną szatę aksamitną o bufiastych rękawach i białej kryzie, zdobioną złotymi feretami a perłami, oraz w złoty diademik o dziewięciu kompartymentach, sadzonych brylantami. Wraz z nią czekali już na hetmana jednak, Jan, i rotmistrz Kurzański.

Szli przez komnaty oświetlone pajakami, meluzynami lub małymi zawieszkami i przez sale ułożone w amfiladę, na końcu której największa rozbrzmiewała muzyką i zgiełkiem.

Wszędzie w podwojach stali strojni w różnobarwne żupanki paziowie albo wyprężeni na baczność trabanci. Tu a ówdzie krzątała się służba w liberiach znaczonych herbem Żółkiewskich, „Lubiczem”, przechadzali się dworzanie i rycerze. Na widok hetmańskiej rodziny stawano w szpaler i chylono głowy w niskim ukłonie. Podwoje jak gdyby same otwierały się przed magnacką trójcą, odsłaniając przepych coraz innych zakątków.

W komnatach przy sali biesiadnej i na ozdobionym posagami podeście schodów mrowił się tłum. Na powitanie Żółkiewskich — wśród nagłej ciszy, bo i muzyka umilkła na znak marszałka dworu — goście złożyli głęboki ukłon, po czym uczcili ich okrzykami:

— Niech żyje hetman! Niech żyje kanclerz! Vivat!

— Niech żyją Żółkiewscy! Vivant! Vivant! Minister odpowiadał z właściwym sobie umiarem:

•— Czołem waszmość państwu dobrodziejom! Czołem, panowie bracia! Dzięki za pamięć! Dzięki za odwiedziny! Wielcem rad. Witam!

Nie zadowalała go ranga gości. Miał przed sobą przeważnie klientów domu Żółkiewskich oraz oficerów. Z niezależnych rodzin szlacheckich mało kto na zaproszenie przybył, a bez zaproszenia •— nikt. Żółkiewski witał się ze wszystkimi, wymieniał życzenia noworoczne. Ale nie umiał być przymilny lub rubaszny na zawołanie, jak np. Zbarascy, śmiertelni jego wrogowie, którzy rozkochane w nich tłumy szlachty wodzili za sobą. Ale pamięć miał niepospolitą. Poznawał wszystkich, każdego zagadnął stosownie, choć raczej oschle, by nie uchodzić za pochlebcę a obłudnika.

Wśród gości dostrzegł ze zdziwieniem wyniosłą postać wójta . z Jołtuszkowa — Mikołaja Jakimowskiego, o którym wiedział, że należy do frakcji Zbaraskich i wszędy gębuje przeciw niemu. Wizyta tego szlachcica, i to bez inwytacji, była czymś niesłychanym. Hetman zatrzymał się i na ukłon Podolanina odpowiedział słowami:

— Witaj mi, panie Jakimowski!

- Wasza dostojność raczy pamiętać? — zdumiał się zagadnięty.
- Miałżebym nie pamiętać miłych gości, starych towarzyszy broni? Tatarów i Nalewajkę my przecie razem bijali.
- Zaszczyt dla mnie, mosterdzieju, e-tego, wasza dostojność...
- Po obiedzie zajdź acan do mojego kabinetu. Pogawędzimy.
- Z uniozoną ja prośbą przybył do waszej wielmożności...
- Tedy po obiedzie —• hetman mimo woli zmarszczył brwi.
- Ja go przyprowadzę — zaofiarował się Kurzański.

Sala biesiadna, na sześćdziesiąt łokci długa a czterdzieści szeroka, oświetlona była olbrzymim pajakiem mosiężnym o tysiącu świec, zawieszonym u powały rzeźbionej w girlandy kwiatów. Ogromny, na całą ścianę, obraz bitwy Muszyńskiej królował nad wszystkim. Przy innej ścianie piął się olbrzymi kredens o licznych półkach i przegrodach, zawalonych srebrami cudnej roboty. Okryty kosztownymi obrusami stół hebanowy, ustawiony w podkowę o obwodzie ponad sto łokci, otoczony krzesłami zdobionymi kością słoniową i złotem, ugiął się pod zastawą ze szlachetnych kruszców i fajansu. Między ramionami owej podkowy widniał na okrytym kobiercami podium drugi stół, mniejszy, przeznaczony dla najgodniejszych. Mistrzowsko rzeźbiony komin z marmuru ogrzewał tę niezwykłych rozmiarów salę.

Na znak marszałka zajmowano miejsca wedle przepisu różnicującego znaczenie gości w świecie — z tym, że panie po jednej stronie stołu, panowie po drugiej. Przy mniejszym stole, na podwyższeniu, zasiedli: hetman z rodziną, jezuici Turowski i Wybirek, Kurzański oraz dwaj zagraniczni posłowie •— mołdawski dwornik Byczek i multański postelnik I Musat, władający biegle językiem polskim.

Tłoczno było. Albowiem każdy z gości miał kilku sług, którzy za jego krzesłem stali.

I Postelnik (rum.) — dworzanin, do którego obowiązków należała piecza nad sypialnią księcia, stał na czele straży przybocznej.

Jakimowski żałował, że oprócz Luby nie ma paru podręcznych, obeznanych z biesiadną „ludzkością”. Musiał baczyć pilnie, jak postępować, słaby bowiem był w towarzyskiej „polityce” i etykietce wielkopańskiej, a nie chciał uchodzić za prostaka. Łypał więc oczyma na różne strony, naśladując politycznie j szych współbiesiadników i śledząc losy flasz, dzbanów, półmisków a innej zastawy. Przywiózł z sobą w srebrnym futerale „nożenki”, czyli nóż z grabkami, nawet łyżkę. Ale przed każdym biesiadnikiem, obok talerza i flaszki z winem, leżała łyżka, wraz z chlebem przykryta serwetką. Przestraszyło Jakimowskiego podejście czterech ręko-dajnych, choć widział ich uprzednio przed każdym z gości. Poddał się jednak potulnie ich zabiegom. Jeden ze srebrnej nalewki oblał mu ręce wodą, drugi dołem podtrzymywał miednicę, do której opłuczyny spływały, inni trzymali za końce długi ręcznik, którym ocierało się umyte dłonie. Jakimowski aż spotniał przy tej prostej czynności: zdawało mu się, że wszyscy widzą jego niezręczność i pokazują go sobie oczami.

Wreszcie do dawań bankietowych przyszło. Krajczowie odbierali od służby półmiski z potrawami, • obdzielali nimi biesiadników, a inne stawiali na stole — na tacach metalowych, zwanych „prawdami”.

Przy jedzeniu Jakimowski potniał z zawstydenia. Głodny był jak wilk, a jadło smakowało mu nad wszelki wyraz, ale miarkował łaknienie i żuł wolno, by nie wyglądać na głodomora. Nie wytrwał jednak w owej pozie. Wszystko to były rzeczy tak wyborne, tak korzennością apetyt budzące, że nabrawszy po piwie i małmazji kurażu, wtrajał, aż mu się uszy trzęsły, lubo już w żywocie ciążyło.

Dopiero teraz hetman pomyślał o toastach. Wstał z pucharem w dłoni i uchylił czapki dla okazania rewerencji zebrany:

— Mili goście! —• przemówił. •— Wraz z najlepszymi życzeniami noworocznymi mogę waszmość państwu przekazać słowa radosnej nadziei pokoju. Owóz trzy niedziele temu został

po długiej wojnie podpisany rozejm z carstwem moskiewskim. Nie koniec na tym. Mars, jakby przerażony krwi rozlewem, zgoła opuszcza Rzeczpospolitą. Bo i pokoju z Porta zaświtała jutrzeńka. Oto wielmożni panowie posłowie ich hospodarskich mości zwiastują mi ciepły powiew ze Stambułu, a także basza Iskinder o pokój trwały nas prosi i w Porcie usilnie zabiega. Wznoszę więc pełny: „Niech żyje pokój!”

Wszyscy panowie także odkryli głowy i stojąc odkrzyknęli:

— Niech żyje pokój!

A wraz na murach twierdzy zaryczały działa na noworoczny wiwat, jakby zapowiadały larum i wojnę.

Potem wypijano „pełne” za zdrowie króla, cesarza, gospodarów oraz na inne intencje.

Spełniony przez gospodarza puchar wędrował z rąk do rąk i wracał do niego. Czujna służba skwapliwie napełniała winem flaszę stojącą pyzed każdym biesiadnikiem, który nalewał sobie trunku do pucharu podanego przez sąsiada, po czym wychylał. A' że na domiar każdą intencję opijano z innego pucharu — wszystko trwało niezmiernie długo. Kielichy były tak pojemne, że mieściły po pół flaszki i rychło zaszumiało biesiadnikom w głowach.

Na galerii, wysoko, za alabastrową balustradą zagrała ponownie kapela, piali zamkowi i przyjezdni śpiewacy, a między nimi trze-bieńcy dyszkantowi o głosach wprost niewieścich. Wspaniałość rezydencji hetmańskiej oszołamiała Jakimowskiego. Nigdy w magnackich siedzibach nie bywał, nawet u wielbionych Zbaraskich, widywanych jedynie na zjazdach.

„Mówią: szlachta wszystka równa — myślał gorzko. — Ładnie ja równy temu kuternodze! Tfu! Żółkiewscy. Ważny mi ród! Ale jak to się pnie w górę, no! Siedziba książęca! Aż grzech! Wcalem się nie spodziewałem... A jaki łaskawca! Witaj mi, panie Jakimowski, powiada. Chciał mnie rozbroić. Nic z tego, łamago!... Ale tu cuda, cuda”. Nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, oszołomiony mnogością dworzan, oficerów, służby kontuszowej i liberyjnej, gości, ogromem murów i sal, pięknem kolumn i pilastrów, wytwornością komnat obitych altembasem i brokatelem, wspaniałością kasetonowych powań a plafonów i rozet, stiuków, boazeryj, rzeźb, sprzętów, obrazów i kobierców, złożonych meluzyn, kryształowych koron z mnóstwem rozjarzonych świec... bogactwem szat i wyszukanych potraw... A przecie to tylko obiad noworoczny!

Te wszystkie zbytki napawały Jakimowskiego zazdrością, a jednocześnie nabożeństwem. Był hetmanowi wrogiem, w osobliwy jednak sposób uwielbiał go dziś za potęgę i splendor. Nie pamiętał o jego zaletach ni zasługach, ale uległ widzianej wspaniałości ze wnętrzej, pozorowi. „Złośliwy kuternoga” urósł teraz w zachwyconych oczach szlachciury w „Belzebuba” władnego uczynić wszystko.

Oczy Jakimowskiego błędząc po twarzach ześlizgiwały się nieraz po licu Burczaka, ale go nie poznawały. Nie był jednak pijany: musiał zachować trzeźwość na czas rozmowy z hetmanem. Śledził każdy jego ruch. Żółkiewski nagle w towarzystwie Kurzańskiego opuścił salę. Jakimowski zawahał się: kusiły go nowe potrawy i rozpoczęta na dobre pijatyka, jak też piliła sprawa do hetmana. Chapnął jeszcze coś niecoś, popił winem i pobiegł za Żółkiewskim. Ale już za podwojami sali zgubił ślad. Na domiar trabanci nie wszędzie go puszczali krzyżując przed nim halabardy lub- muszkiety. Dopiero jeden z dworzan, widząc jego rozpaczliwe usiłowania, zalecił mu czekać w kornatce z obiciami ze skóry wytłaczanej w złote kwiaty, na które padało łagodne światło kinkietów.

Wkrótce zatupały dziarskie kroki i wszedł Kurzański., — Idziemy do jego dostojności — oświadczył.

Hetman już czekał w swoim kabiniecie siedząc koło mahoniowego, inkrustowanego srebrem sekretarza, oświetlonego świecznikiem ustawionym na niskim gerydoniku. Wskazał Jakimowskiemu wolne krzesło.

—• Siadaj, waszmość, i mów, co cię do mnie sprowadza — rzekł.

•—• Nieszczęście, wasza wielmożność.

Jakimowski opowiedział o aresztowaniu bosmanów i powodach tego zdarzenia, a przemagając abominację do rozmówcy, kończył pokornie:

—• Proszę unieźlenie waszą dostojność o miłosierdzie nad moim synem, któregośm dziesięć lat opłakiwał, w dwa dni zaś znowu utracił.

— Nic nie mogę waćpanu poradzić •— rzekł sucho hetman. •—• Jak to? Wasza dostojność wszystko może!

— Wszystko może jeno Bóg Wszechmogący. Zali naprawdę acan sądzisz, żeś władny przeinaczać prawa Rzeczypospolitej? Wszak takowej mocy sam król nie ma. Uchwalony na sejmie „Porządek około zachowania żołnierza” gardłem karze buntury i konfederacje wojskowe, a starostom zapewnia egzekucję wyroków. Ja ustaw publicznych łamać nie mogę i nie chcę! Buntownicze zaś konfederacje żołnierskie uważani za największe zło. I nie mam dla nich litości.

Jakimowskiemu przypomniała się opinia o łakomstwie hetmana na krew szlachecką. Z trudem hamując wybuch, odpowiedział:

— Przed kilką laty sejm konfederację łagodnością uśmierzył.

— Uczuje ojczyzna jeszcze, ile zła nieskaranie onej konfederacji narodzi — rzekł proroczko a z głębokim smutkiem kanclerz. — Współczuję waćpanu. Ale po męsku powiem: na co zasłużył twój syn względem Rzeczypospolitej, to mu dna wypłaci — gardło on postrada. i*

Jakimowski osłupiał: nie doceniał potąd niebezpieczeństwa grożącego synowi. Mniemając, że królestwo, jak zawsze, okaże pobłażliwość dla występnego szlachcica, spodziewał się tylko uwięzienia.

— Toż przecie nie złoczyńca. Ot, fantazja kawalerska... —• jęknął.

— Fantazja! — zachnął się kanclerz. — To waćpan masz za-złoczyńcę tego, któregośm jednego człeka ubije lub obłupi, a konfederata obracającego kraj w perzynę ze skwirkiem ubóstwa, podkopującego majestat i moc Rzeczypospolitej, mordującego mnogich ludzi, zowiesz kawalerem z fantazją. A gdyby tak twoje dobra konfederaci złupili, żonę i córkę pohańbili na twoich oczach, ciebie zaś czekaniem w łeb? Zaiste, gwałtownik taki nawet sta gardel zła by narządzonego nie wynagrodził, sprawiedliwości nie uczynił zadość!

Jakimowski runął na kolana.

— Ratusz, panie! — wołał. — Wszak dopiero próg rodzicielski przekroczył. Crimina może l ma na sumieniu, ale i zasługi dla ojczyzny. Żaden mu oręż nieobcy: od dzieciństwa na lądzie a morzu wojował, jako dragon, jako husarz, jako bosman. Ninie ranny wrócił z morskiej potrzeby. Ratusz go, panie miłościwy, a żywot ci oddam swój!

Żółkiewski podniósł go z pawimentu i zapytał:

— Takiz zasłużony? A jego dwaj komilitoni?

— Krew wszystkich trzech mieszała się w bojach ku chwale Rzeczypospolitej — odparł górnice Jakimowski.

— Któż o tym wszystkim, co mówisz, zaświadczyć może?

— Oto dokumenta służbowe i pochwały ich wielmożności pana hetmana Chodkiewicza, pana wojewody Weyhera, pana kapitana Szyła, pana kapitana Mory — recytował Jakimowski olśniony nadzieją pomocy magnata — jego książęcej mości Samuela Koreckiego...

— Kniazia Koreckiego mi nie wspominać, bo to szkodliwa wobec jego królewskiej mości rekomendacja, gdyż w znacznej mierze przez niego wojnę z Porta mamy... Wezmę te dokumenta i przedłożę je najjaśniejszemu panu do rozpatrzenia, a w razie potrzeby sejmowi. Może ułaskawia... Daj mi one pasporta i pochwały.

Jakimowski roztrzęsioną ręką podał żądane papiery. •— Dziękis! dziękis! — szeptał.

— Nie ma jeszcze za co — mruknał oschłe hetman. Dokładnie przeglądał dokumenty.

Rekomendacje Chodkiewicza i Koreckiego, zaciętych wrogów, nie były mu miłe. Ale nie

miął w naturze ni zwyczaju przenosić osobiste niechęci na osoby postronne tylko dlatego, że były przez jego przeciwników protegowane.

— To dokumenta waścinego syna —• rzekł. — A jego druhów?

— Nie śmiałem, mosterdzieju, nadmiernie trudzić •—• odparł naiwnie Jakimowski. — Anim przypuszczał, że raczysz wasza, dost...

— Widzę, żeś acan altruista z Sobkova — przerwał z pogardą hetman wyjmując z rąk skonfundowanego sobiepana dokumenty Satanowskiego i Stołczyny. — Pomogę acanu w staraniach, boście dobrzy żołnierze. Ale na jotę nie przestąpię litery ani ducha praw. Jego królewska mość albo stany Rzeczypospolitej rozważą, co większe: zasługi onej sławetnej trójcy czy występki... Potrafisz waść napisać prośbę, per exemplum na imię najjaśniejszego pana?

— Bo ja wiem, mosterdzieju. Dawnom pióra nie zażywał. Kanclerz podjął srebrny dzwonek z płaszczy sekretarza i zadzwonił.

Do kabinetu wbiegli dwaj pachółkowie.

— Poproście do mnie ichmość panów mecenasa Abramowicza, dependenta 1 Zaklikę, ferianta 2 Kurasa oraz jego wielebność księdza Turowskiego — polecił, a po wyjściu pachółków wyjaśnił: —

1 Dependent (łac.) — młodszy adwokat, pomocnik mecenasa albo notariusz.

2 Feriant (łac.) — praktykant adwokacki, uczeń i kandydat na prawnika.

Przyjdą tu juryści, którzy określą, czy sprawa zdalna do apelacji, jako też prośbę waści skomponują i napiszą.

— Czym ja się wywdzięczę? Bóg zapłać! Bóg zapłać! — wołał Jakimowski całując nieskorą do tego dłoń hetmana. — Dzięki! Dzięki!

— Powtarzam: nie ma jeszcze za co — burknął Żółkiewski.

Uczynność i wspaniałomyślność hetmana nie obudziły wdzięczności w sercu Jakimowskiego, przyuczonym do wrogości. „Za nic człeka ma — myślał. — I gromi z góry, napomina niby chudopa-choła, i łaskę świadczy z pychą, jakbym ja niczym był. A czy to Czewoja gorsza od takiego Lubicza? Ej, chyba starożytnie j sza i lepsza!”

•— Kto hareshutował waścinego syna i jego towarzyszy? — spytał kanclerz. — Wywiódł się okazując uniwersał starościński? •—• Oczywiście. Zwał się Burczak, rotmistrz.

— Aha, burgrabia barski. Siedział blisko ciebie u stołu.

— Blisko? — rzucił się Jakimowski. — Ja tego psisyna...

U-- Nie zapominaj się! — zmroził go kanclerz lodowatym głosem. •—• Burczak burgrabia barskim? Odkąd? Znam burgrabię!

— Burczak teraz mianowan. Zaraz go pachółek przyprowadzi. Tymczasem przybyli wezwani uprzednio juryści. Poznawszy akta sprawy, odszukane przez młodziutkiego ferianta Kurasa w olbrzymiej szafie z dokumentami, nadszpiewanie prędko opracowali prośbę. Jakimowski położył na niej kulfonowaty podpis i pieczęć sygnetową, zachwycony wynikiem swych pierwszych starań. Nareszcie wszedł do kabinetu burgrabia barski. Nim zdążył usprawiedliwić przydługą mitręgę, runął nań z impentem Jakimowski:

— Ten! •—• huknął zapominając się i dobył szabli. — Ja cię, mo-sterdzieju, łotrze...! Stawaj!

— ale opanował się nagle. — Wybacz, wasza dostojność! —• jęknął sam już nie wiedząc, co robić.

— Gorączka z waści — mruknął wyrozumiale Żółkiewski, a głośno spytał Burczaka: — Tyś miał nakaz hareshtacji Jakimowskiego, Satanowskiego i Stołczyny w Jołtuszkowie?

Z podpitej gęby burgrabiego omal krew nie trysła.

— Tak, ja... — bąkał. — Aliści, wasza dostojność... Pojechałem z drabami grodowymi i... aliści...

V Jakeś wyniuchał onych trzech? •—• zdziwił się hetman.

— Wywiedli mi się raz koło Lwowa. Na razie przepomniałem. Ale przeglądając dokumenta w Barze natknąłem się na ich personalia.

— Zuch z ciebie, Burczak! Za pilną służbę jego wielbność ksiądz sekretarz Turowski sto złotych ci jako praemium wyliczy po bankiecie. Nie żałowałeś trudu i w świąteczne dni spełniłeś swój obowiązek burgrabi, żołnierza a obywatela.

— Nie żałowałem trudu, to prawda — odparł niemal płacząco Burczak. — Pojmałem infamisów... Aliści, pobiwszy mi kilku drabów, sprzed samego zamku barskiego uciekli... Nazajutrz rano, po zwykłej jak co dzień mszy i komunii, hetman wezwał do siebie Jakimowskiego i oznajmił:

•— Wstawię się za onymi hultajami, lubo do szpetnego wieńca ich występków przybył jeszcze jeden: znieważenie urzędników na służbie. Może iście summa ich zasług przewyższa summę występków. Przez gońca uspokój, wasze, jejmość małżonkę swoją. Niech się zawczasu nie martwi, bo dość bólu dozna, jeśli syn nie otrzyma rehabilitacji. A teraz pytanie: czemuś nie zakwaterował swej świty tutaj?

— Prawdą a Bogiem, to myślałem, że mnie wasza dostojność... •—• ...że cię zjem — dokończył drwiąco hetman.

— Tyle gadają, iż...

— Gadają? A własny dowcip? Nie trzeba wierzyć we wszystko, co gadają. Ale mniejsza! Będąc na sejmie, dojrzyś lepiej swojej sprawy. W razie potrzeby przyjdź w Warszawie do mnie.

Na pożegnanie Jakimowski runął do nóg ministra ze szczerą podzięką. Ludzkość Żółkiewskiego podzielała wreszcie i kazała zapomnieć o jego szorstkości.

Wyjechał z Żółkwi przenicowany w uczuciach, a pacholkom nakazał wręcz słowami i pięścią modlić się za jego dostojność.

Tymczasem, choć na zamku dalej ucztowano przy stołach, jak również igrano po parku, zwierzyńcu i okolicach, kanclerz omawiał w swym gabinecie poważne materie.

Niedawno w Multanach zmienił się gospodar. Został nim protegowany Żółkiewskiego, Gabriel Mohyła, na miejscu zdetronizo /

wanego księcia Raduła Serbana. Sytuacja postelnika Musata, kfó-ry przedtem posłował od Raduła, a teraz od Gabriela i baszy Islan-dera, wodza okupujących Wołoszę wojsk tureckich, była dość drażliwa.

— Czy gospodar jegomość może wystawić na szlakach tatarskich wojsko, w razie gdy w odwet ruszymy do Tatar? — spytał Żółkiewski.

— Jego gospodarską mość krępuje warunek dostarczania wojska Turkom na każdą potrzebę — odparł Musat. — Po drugie, władca mój ośmiela się radzić, aby Rzeczpospolita puściła płazem ostatnie inkursje pohańskie i wyprawiła wielkiego posła do Porty. Podobny jest pogląd jego wysokości baszy Iskintera.

— Pogląd ten znam, ale mniemałem, że gospodar wykaże więcej samodzielności. Oto spóźniony list Iskintera, proszę, przeczytaj sobie, wasza miłość, lubo znasz chyba tenor pisma.

...przyczyna złego formalna, że nie wyprawiono posła do Porty, a rzeczowa, że nie powściągnano Kozaków. Gdy więc Byczek z listem przybędzie, posła wielkiego wyślijcie. Nie pożałuję pracy, sam pojedę z nim do Porty i ustanowimy pokój, że my Tatarów, wy Kozaków utrzymacie w ryzach...

— O! bardzo pragniemy zgody! — rzekł gorąco postelnik. — Pokój Rzeczypospolitej jest pokojem i ochłodą ziemi naszej, która łaknie ciszy od dwu wieków, jak bisurmani zaciążyli nad nami. Ja warunki waszej wielmożności przedstawię Iskinterowi.

— Oto mój respons dany baszy — powiedział kanclerz.

...Nim miesiąc wyjdzie, poseł nasz będzie w Wołoszech, tylko oznajmij, czy Tatarzy poniechają najazdów. Hamuj ich, bo inaczej w gnieździe tych wilków poszukamy...

— Wzywam jednak hospodara jegomości — ciągnął Żółkiewski — by w razie potrzeby stawił opór najazdowi.

— Przemoc wielka... — jęknął bojar.

Po jego wyjściu przybył na konferencję dwornik Byczek, poseł hospodara mołdawskiego Stefana Tomży. Na żądanie hetmana, by Mołdawia stawiła opór w razie napadu, odpowiedział podobnie jak Musat:

•— Me jesteśmy w stanie bronić Mołdawii, bo to właśnie jakby się mucha na słonia porwała, tak siła nasza przeciwko Ordzie.

Pod koniec narady jezuita Turowski przyniósł zapieczętowane pismo. Przeczytawczy je hetman nie-umiał opanować wzburzenia, gdy mówił:

— Oto nowina: jego mość Tomża tron hospodarski utracił. Byczek zerwał się na równe nogi i zawołał:

— To intryga tego łotra Grazianiego! Błagam o azyl w Żółkwi!

— Nie mogę waszmości udzielić azylu — odparł bezlitośnie Żółkiewski. — Mam nawet porachunki i z tobą, i z wiarołomnym księciem twoim. Ale żeś poseł, zaniecham. Radzę natomiast wyjechać bez zwłoki i pokłonić się księciu 'Graziani.

Byczek zaraz opuścił komnatę, a niebawem i Żółkiew. Kanclerz był zadowolony z upadku Tomży, zaciętego wroga Polski.

— Moje przeciw niemu praktyki dopiero ninie się udały —• rzekł do swych doradców. — Był to zdrajca, tyran i gwałtownik.

— Nade wszystko zaś poturczeniec, którego Porta stawiła dla zniszczenia wiary Chrystusowej w Mołdawii — dodał książę Wy-birek.

Gaspar Graziani, Styryjczyk, z łaski sułtana książę wyspy Naxos, od dawna w Porcie i Rzeczypospolitej intrygami podkopywał Tomżę łaknąc gospodarstwa mołdawskiego. Żółkiewski mu w tym pomagał.

Po konferencji politycznej kanclerz z zarządcami dóbr dokonywał zmundnych obliczeń, dotyczących stanu majątkowego. Nie lubił szastać pieniędzmi, jak inni magnaci. Potem jezuita wałko-. wali wspólnie z nim nieskończone modły, do których miał z wiekiem coraz większą skłonność. A gdy obmyślał swe kanclerskie i hetmańskie wystąpienia sejmowe, do każdego punktu wtykali swoje trzy grosze.

— Taka polityka dobra — prawił spowiednik hetmański, Wybi-rek — która miła Bogu i pożyteczna dla świętej wiary rzymskiej. W czasach jeneralnego natarcia sił szatana, uosobionych w podłości kacerzy i zaborczości islamu, jeno ten, kto za Boży Kościół walczy, spełnia zacie obowiązek względem Rzeczypospolitej, która katolicyzmem stoi, a którą, gdy ów osłabia, wrogowie powalą.

— Tarczę i miecz Kościoła stanowią Cesarstwo Rzymskie i Królestwo Polskie — wtórował o. Turowski. —• Jedno niby pawęż niezłomna ochrania Kościół, drugie jak brzeszczot razi karki pogan.

Jeżeli czart te dwa oręża odwróci od obrony wiary prawdziwej, skruszeją skutkiem kary Boskiej.

Na takie i tym podobne wywody nie mógł być obojętny człowiek przejęty ideą walki i poświęcenia za wiarę, statysta podległy fanatycznemu władcy i zażarcie bojujący o dobro szkodliwych dla Rzeczypospolitej, znienawidzonych powszechnie jezuitów. Miał zastrzeżenia przeciw prorakuskiej polityce, był niegdyś jej zaciętym wrogiem. Atoli starość kazała mu oglądać się na niebo, dokąd wiodą ludzie w habitach, a nie pozwalała wojować z królem, który zaszczytami uspił jego dawny impet republikański i antyhabsbur-ski.

W sukurs domowym duchownym przybył z Krakowa przeor jezuitów o. Wielewicki z gromadą biegłych w sprawach publicznych zakonników. Godzinami urabiali ministra wedle tajemniczych instrukcji: „Zbarascy planują atak opozycji na Kościół chcąc go pokrzywdzić

nieślusznymi daninami, by od nich uwolnić stany świeckie. Żaden dobry katolik nie pozwoli uciążyć wiary ni sług bożych".

Gwałtowna odwilż ogarnęła świat. Śniegi, które obficie spadły w listopadzie, topniały szybko od ciepłych wiatrów i niespodziewanych w styczniu deszczów. Ziemię pokryła niezmierna topiel.

W taki czas Żółkiewski ruszył na sejm wyteżonymi pochodami — niby na wojnie.

V Uwolnwszy się z rąk Burczaka, bosmani, pokrwawieni w bójce z eskortującymi ich drabami grodowymi, znaleźli się w położeniu bez wyjścia. Bramy miejskie na noc zamykano, murów obronnych zaś i wałów z fosami pilnie strzeżono. O wymknięciu się z sieci posterunków a patroli i wydostaniu z miasta nie mogło być mowy. Bar stanowił komorę celną dla handlu z Wołoszą i potężną twierdzę z warownym zamkiem, najeżoną armatami, pełną wojska, drabów, celników, zbrojnej ludności, mnichów. Na jakiś ratunek można liczyć tylko za dnia, gdy ulice pokrywa ruchliwy tłum różnople, miennych mieszkańców: Polaków, Rusinów, Żydów, Ormian, Wołochów.

Satanowski kulał, uderzony w kolano kolbą muszkietu. Jeden Stołczyzna zachował pełnię sił, choć pokaleczono mu twarz i rękę. Na domiar złego zbiegowie nie posiadali żadnej broni, rozbrojeni po aresztacji. Ale w opłakanej sytuacji była i szczęśliwa okoliczność. Jakimowski, acz podczas śmiertelnej próby stracił kule i szczudło, a rozrażona rana broczyła krwią, mógł o własnej mocy kuśtykać. Potrzeba wyzwoliła zeń niespodziewane siły.

Zdołali odbić ledwo ze staje od zmieszanego, lecz nie pokonanego oddziałku drabów i na chybi-trafi wpadli na poddasze jakiejś szopy. Słyszeli stąd nawoływania, trąbki i gwizdki, tupot, widzieli błyskanie światłami. Pogoń to zbliżała się, to oddalała.

Gdy oczy nawykły do ciemności, Jakimowski jał rozpoznawać otoczenie przez szpary w ścianach i przez nie wskazywał kierunki.

—• Tam zwodzony most, zamek, komora celna, tu franciszkanie, a tu kościół Sw. Anny... •— wyliczał dla orientacji w dawno nie widzianym mieście — tu zaś... Co to jest? •— głowił się widząc najbliższe budynki. — A! chyba kolegium jezuitów, które, mówiono mi, niedawno ufundował Żółkiewski, ten służka jezuicki.

—• Lepiej w lochu na sąd czekać — mruzczał Stołczyzna. — Nawarzyłeś piwa namawiając nas do tej pioruńskiej ucieczki.

— Namówiłem i dobrzem uczyniłem — odparł Jakimowski władczo.

Najpierw zawieja gnała białe tumany na szopę, że szparami sypał się na poddasze śnieg. Ale z czasem ustała, znikły chmury, wzmógł się mróz, zaświecił jasno księżyc.

— Bodaj być mnichem! —• westchnął Stołczyzna drżąc z zimna. — Leżałby sobie człek w cieple i spał.

— Mnisi modły adwentowe po nocach teraz odprawują — zauważył Satanowski... — Nie daliby ci spać, mój kochany.

— No to bym bezpiecznie a syto klepał różańce. Kula mi w łeb, jeśli habitu nie przywdzieję, gdy nas ręka Boża z opresji salwuje!

— Modły, habit, powiadacie? — zawołał Jakimowski. — Świetna myśl! Posłuchajcie! Z kwaterę czasu naradzali się gorączkowym szeptem, nasłuchując odgłosów oblawy, która chwilami docierała aż po mury kolegium... W księżycowym świetle, przeciekającym na poddasze szpa5 — Kawaler złotej ostrogi rami, widzieli nawzajem swe upiorne, zbroczone krwią twarze i wycierali je chustami.

Odczekawszy, aż patrole oddalały się na inną ulicę, przez otwo_ spuścili się z poddasza na ziemię. Zapleczem domów, ogrodami, zapadając często w przygodne kryjówki wobec ruchliwych zagonów oblawy, przekradali się w pobliże kościoła Sw. Anny i klasztoru dominikanów. Tu przyczaili się z zaułku między tymi gmachami, nie opodał bramy kościoła, w którym zapłonęły właśnie światła.

— Przed świtem, a więc lada chwila, będą szli na roraty adwentowe — szepnął Jakimowski.

Przemarli na wskroś, zanim doczekali się tego.

Z furty klasztornej wyszedł na drogę do kościoła przerywany pojedynczy rząd postaci. To dominikanie tutejsi: szare kaptury, czarne płaszcze, spod których widać dołem białe habity. Zbiegowie wcisnęli się w załom muru i czekali na sposobną chwilę. O parę kroków od nich przechodzili nierównym sznurem zakonnicy i znikali po kilku naraz za okutymi żelazem podwojami kościoła. Czasami bywało tak, że gdy jeden odcinek owego sznura przekraczał próg świątyni, następny szedł oddalony o kilkanaście łokci. Na końcu rzędu postępowało dwu dominikanów chromających silnie. Wchodzili dopiero na dziedziniec kościelny, gdy poprzednicy weszli już do kruchty.

— Psiakrew! Tylko dwóch! — szepnął Marek. — Aliści trudno... Gdy chromi zbliżyli się zbiegowie runęli na nich i obalili w śnieg, zatykając im usta dłońmi. Taki wyczyn był fraszką dla ćwiczonych bosmanów. Zaciągnęli r braciszków do stodoły za plebanią i tam, zakneblowawszy im usta szmatami, zdarli z nich odzienie.

— Nie bójcie się, ojculkowie: włos nie spadnie wam z czcigodnych głów — klarował ledwie żywym biedakom Satanowski. — W naszym przyodziewku poczekacie sobie na jakąś litościwą duszę, która was najdzie. Bądźcie spokojni, bracia: krew niewinnych nie ciąży i nie zaciąży nigdy na naszych sumieniach.

Podczas gdy druhowie przebierali się w mnisze odzienie, on szukał po omacku powrozów, wiedząc, że często w stodołach — na belkach nad sąsiedkami lub klepiskiem — wiszą takowe. Jakoż znalazł. Niebawem dominikanie, obleczeni w ubrania napastników, zostali związani i zakopani w słomę po szyję, by nie zmarzli. Płaszcze ich nie mieściły się wprawdzie na kozuchy bosmanów, ale same były dość ciepłe.

Tymczasem psy plebanijne wywęchały obcych i z okrutnym szczekaniem warowały przy wrotach stodoły lub miotały się wokół niej, co mogło ściągnąć na zbiegów groźne niebezpieczeństwo. Wymknęli się ze stodoły i opędzając się rozjuszonym zwierzakom — na ulicę zachałupiem sąsiednich zagród.

Teraz chodziło o to, by jakoś doczekać rana i otwarcia bram miejskich, którymi można wyjść poza Bar.

Umywszy śniegiem twarze i ręce, wałęsali się po ogrodach a zaułkach, unikając obławy. Zmordowało ich to do cna.

Światło dzienne ujawniło żalosną śmieszność ich wyglądu: na brodatych a bezwłosych twarzach, źle umytych śniegiem po ciemku, smugi rozmazanego brudu i krwi, mnisze ubiory za ciasne i za krótkie dla osiłek mierzących ponad sześć stóp wysokości. W dodatku Jakimowski kulał coraz bardziej, a Satanowski, w kozuchu krytym szarzą, nieudolnie udawał sługę „zakonników”.

Umywszy się śniegiem ponownie, ruszyli do bramy miejskiej.

Tutaj strażnicy sprawdzali przechodniów opuszczających miasto i przybywających.

Niektórych legitymowali, rewidowali wozy i sakwy, kogoś zatrzymali na wartowni.

„Mnichów” i ich „służącego” obrzucili także czujnymi spojrzeniami, aż zadrżały męzne serca bosmanów. Jeden z wartowników chwycił za rękaw Sata-nowskiego, jakby go chciał zatrzymać. Wtedy Jakimowski odwrócił się i rzekł łagodnie:

— Poniechaj go, mój synu, to nasz pacholek klasztorny — uczynił znak krzyża nad głową żołdata. — Bóg z tobą, dziecię!

Wartownik pochylił się do ręki bogobojnego „zakonnika”, by ją ucałować, ale ten przestąpił bramę z dziwnym pośpiechem. Kuśt[^]kając gorączkowo, wkroczył wraz z towarzyszymi na zwód i minął go niemal biegiem. Koło zwołu na zewnątrz wałów stało pod dozorem koniuchów stado koni, partiami wprowadzane do miasta. Zbiegowie, by zniknąć z oczu straży, zamieszali się między te konie.

Nagle od środka miasta przygnali konno żołdaci. •— Trzymaj! Łapaj! •— rycieli. — Hej! Zawierać bramę!

Wśród okrutnego popłochu spełniono wezwanie, wciągniono .zwód na wrzeczadkach. Nie wytrzymując dalej napięcia zbiegowie skoczyli na grzbiety najbliższych Koni i pognali brzegiem rzeki Rów, opasującej podgrodzie. Nawet dla kulawego Marka nie było to czymś nadzwyczajnym, nie takich bowiem sztuk w życiu już dokonywał.

Zaciągnięty zwód obniżono z powrotem, przepuszczając pościg. Gruchnęły rusznice a muszkiety.

— Stój! Stój! Łapać łotrów! — grzmiało.

Ale zbiegowie odbili już daleko. Przebrnęli w bród rzekę, przeskoczyli niskie łęgi i .znikli w lesie. Pościg jednak trwał dalej Jazda na oklep, bez rzędu, po bezdrożu pełnym zdradliwych wykotów, pośród gęstwy drzew i podszycia zawalonego śniegiem, w którym zapadały się a płątały konie, była karkołomna. Długo słyszeli głosy pogoni. Nawet gdy umilkły, bali się wychynąć z gąszczy, by nie wpaść w zasadzkę. Położenie było nadal rozpaczliwe. Mróz ziębił do szpiku kości poprzez zmoczone łachy, głód doskwierał coraz bardziej, gorączka od ran i niewywczasu pospołu z zimnem wywoływała dreszcze. Obława, choć ucichła, przeczesywała zapewne okolice w długim promieniu. Trzymali się blisko Rowu jadąc na zachód.

Bór zgęstniał w nieprzebytą knieję. Miejscami do koron drzew sięgały zasypy śniegu, przez które nie sposób było przebrnąć. Chwilami niemal spod samych kopyt końskich czmychała zwierzyna leśna: sarny, jelenie, tumaki, łasice, wiewiórki. Może pościg tu nie dotrze. Snadź było to jedno z tych uroczysk, jakich unika człowiek, a jakie nawiedzają jeno upiory po nocach i zwierz za dnia. Splecione górą konary, obrosłe igliwiem, czyniły strzechę przepuszczającą tak mało światła, że na dnie puszczy panował niemal mrok pospołu z ciszą maconą tylko rzadkimi szelestami i poszumem.

Po kilku godzinach kluczenia ujrzeli na polanie kuczę o jednym oknie. Wyglądała na nie zamieszkałą. Długo śledzili zagrodę, chruściany płot, podwóreczko, zanim odważyli się wejść do wnętrza, uzbrojeni w sękate kije...

Olbrzymia sień bez pułapu, wysoka aż po strzechę, tchnęła silną wonią, obwieszona sznurami suszonych ziół, korzeni, grzybów. Po obu stronach zbite z nie oheblowanych tarcic drzwi — z lewej nawet dwoje. Weszli przez prawe do dużej izby mieszkalnej z jednym oknem o szybach z woskowanej błony płóciennej, przepuszczających niewiele światła. Stół, ławy, prycza w kącie, na środku samym kurnego pomieszczenia wystygłe palenisko... i Na pryczy leżał w ubraniu pod skórą niedźwiedzia białowłosy, długobrody starzec z trupiożółtą twarzą i zgasłymi oczyma, ocienionymi krzaczastą, nawisłą brwią. Poruszył się na widok przybyszów.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — pozdrowili.

— Na wiki wików, amin1 — padła cicha odpowiedź. Wpadłe oczy z wytężeniem wpatrywały się w mnisze ubiory. Po przerwie starzec z uśmiechem ciągnął dalej, jakby majaczył: •— Bił ja czołom i prosył, szc Zob Spaś prostył mnie hrisznoho i mohorycz da w: szczastie na wiki. I budę mohorycz: smert2.

Biegle władający ruskim językiem przybysze łatwo rozmówili się z Rusinem, który zresztą mowę polską znał również. Zwał się Ostap Karmanczuk i był niegdyś kantarzejem³ na Kramnym Bazarze w Siczy, ale za nieposłuszeństwo względem nakaźnego hetmana zaporskiego został wyświecony z obozu. Teraz, wyznał, wraz z dwoma synami, też Kozakami, żyje tu na „uchodzić”, w lasach należących do starostwa barskiego, i jedną część wszelkiej zdobyczy leśnej przekazuje tytułem daniny staroście, a drugą •— duchowieństwu. —• Zimujem tu i latujem — ciągnął. — Żyjem na mięsie, rybie i miodzie, mamy barcie a pasieki w boru. Synkowie moi kędyś wyjechali miesiąc temu, a mnie słabość z nóg zwała, że ani się ruszyć. Gdyby nie wy, tobym pomarł. Aliści skąpiec mi chyba nie dacie.

— Oczywiście, że nie. Pomożem wam, ojcze.

— Katolickie monachy, a nie gardzicie prawosławnym., no...

— Brata uzna jem w każdym — odparł spieszenie Satanowski.

— Umieram z głodu i pragnienia. Pewnego dnia ja omdlał i władzę mi w nogach odjęto.

Ledwie się na barłóg rękami wciągnął. Dziś ł tego ja by nie potrafił. Leżę niby kłoda. Wilki tu jeno zaglą-

1 Na wieki wieków, amen (ukr.)."

2 Biłem ja czołem i prosiłem, aby Zbawiciel przebaczył mnie, grzesznemu, i dał nagrodę: szczęście na wieki. I będzie nagroda: śmierć (ukr.).

3 Kantarzej (z ukr.) — urzędnik wojskowy.

dają, czasem rogacz stanie w oknie, jakby chciał zagrzać się u mnie. A tu ziąb, że przez niedźwiednię kęsa!

— Napalim, ojcze, ogrzejem...

— Jej Bohu, co za monachy! Bóg wam zapać, ojcowie duchowni. Niebo zsyła was, by przedłużyć moje dni. Gospodarujcie. W komorze jadło najdziecie, jeśli go już myszy albo lisy nie spasty.

Niebawem w palenisku jęły trzaskać smolne szczapy, ogień buj-.ny oświetlił i ogrzał izbę, dym osnuł kąty, nim znalazł ujście ku otworowi w dachu.

Po lewej stronie sieni jedne drzwi prowadziły do komory, drugie do stajni o kilku przegrodach dla koni. Teraz mieszkał tam tylko jeden. Zerwał się on był z łańcucha, gdy mu głód po omdleniu starego dokuczył, i tłukł się po stajni wyskubując i tratując siano nagromadzone u ściany przeciwległej do żłobów. Bosmani uwiązali go i wprowadzili własne konie do pustych zagród. Z zadowoleniem spostrzegli wiszące na krokwiach rynsztunki końskie.

Ze znalezionych w komorze zapasów, jak miód sycony, kasza, suszone mięso, słonina, Jan, najzdolniejszy do takich prac, nawarzył jadła i wrzątku do mycia, gdy druhowie przynieśli wody ze źródła wskazanego przez Karmanczuka.

Po trunku i posiłku stary Kozak zmocnił tak, że mógł usiąść.

— Na mnichów to wasze moście zgoła nie wyglądają — odważył się nabrawszy wigoru. •—

• Gdyby nie szaty zakonne, przysiągłbym, żeście wojskowo służywali.

•— I nie zbłądzilibyście — palnął Stołczyzna. —• My nie mnichy, jeno w przebraniu zakonnym uciekamy przed drabami grodowymi.

To szczere wyznanie uradowało Karmanczuka.

— Odwdzięczę się za pomoc... Tu pogoń nie trafi, bo wokół bagna jeszcze niezupełnie zamarzę. Pod zaspami bezdena tu a tam głębia ukryta. Snadź Święta Przechysta was wiodła, boście sprawiedliwi... — zwrócił się do Jakimowskiego: — Chromasz, panie, od szwanku. Ja waszmości wykuruję. Mam lecznicze zioła wielce skuteczne. Sobie jednych naparzysz, a mnie drugich. Mam i balsam gojący. Odzienie wasze nie dla junaków. Idźcie do komory a unieście trzecią od progu deskę (bo tam podłoga): wybierzcie stamtąd przyodziewek i rynsztunek, godne waszego poloru. A i dla koników takż.

Tajemniczy schowek pod podłogą w komorze zawierał różną broń palną i sieczną oraz stopy odzienia. Poczuli się nieswojo, domyślając się pochodzenia tych zasobów. Odrzuciwszy jednak wszelkie skrupuły przebrali się i uzbroili w szable a pistolety, nie zapominając też o rynsztunkach dla koni.

Gdy wrócili do izby, Ostap rzekł z naciskiem:

•— Jakem ja was nie pytał, czemu przed drabami grodowymi uciekacie, tak i wy nie pytajcie mnie, skąd ja one rzeczy posiadam.

Zrobił opatrunek Jakimowskiemu z ziół, sam napił się naparu z innych i przybyszów nim poczęstował, za czym wyczerpany a podchmielony miodem usnął kamiennie. Trunek i tchnące z paleniska lube ciepło podziały też na bosmanów. Mieli zrazu na zmianę

strażować, by nie zaskoczył ich pościg, ale przemogło znużenie. Ledwie zdołali rozesać na klepisku izby trochę siana ze stajni i dołożyć drew do paleniska, a zaraz chrapnęli.

Niebawem zapadły ciemności nocne. W głębi puszczy zawyły wilki, rozbrzmiał posepny głos puchacza. Po dachu kuczy i ścianach zadudniła wichura, która wzbudziła twarde poszum w koronach drzew ośnieżonych i oblanych potokami miesięcznego światła.

Po tygodniu, gdy rana Jakimowskiego została wygojona, bosmani ledwie już mogli usiedzieć na miejscu. Wykurowawszy się z wszelkich szwanków i wywczasowawszy, pragnęli co prędzej wyfrunąć z puszczańskiego gniazda w otwarty świat. Nijako im było jednak zostawić starego sam na sam z chorobą.

Aż pewnego rana dwaj zbrojni jeźdźcy przybyli do kuczy.

— Daniło! Prokop! Bywajcie! — krzyknął radośnie stary, ale gdy młodzi Kozacy na widok nieznajomych, dobyli broni, skomen-derował groźnie: — Spokój, synkowie!

Po rozmowie z ojcem pokłonili się gościom i zaprosili ich do uczyt zapewniając:

— .Jeśli kto nam serca bodaj ździebko okaże, my jemu odpłacim stokrotnie. W puszczy wyvodu nie trza, starczy, żeście życzliwi.

Chłopy były dziarskie, iście kozackiej fantazji. Podpiwszy chcieli dzielić się z gośćmi całym swym mieniem i namawiały ich do pozostania na „uchodź”, obiecując przy tym „złote góry”.

— Inny proceder takoz najdziem, który pełniąc, złota nie po-dźwigniem. Do Turek, na Stambuł, na sułtana pójdziem, a tam niewiast najkraśniejszych co niemiara i klejnotów niby piasku.

— Jam gotów, kula mi w łeb! — podchwycił zapalczywy Stoł-czyna, który bardziej od razu przylgnął do Kozaków niż jego druhowie. — Chadzałem kiedyś na Turków, mogę i teraz. Rozważny Jakimowski, by zwrócić rozmowę na inne tory, zapytał: —• Daleko stąd do jakowego miasta?

— Do Baru ze dwie mile — odparł Prokop, suchy, wysoki Kozak o tatarskich rysach twarzy i kruczym zaroście, podobny do ojca — tyleż samo do Żinkowiec, Jołtuszkowa i Żeniuzkowiec. To wszystko we władzy pana hetmana Żółkiewskiego. Aliści w Joł-tuszkowie wójtuje ten paliwoda Jakimowski i nasz „uchod” na jego ziemiach.

— Paliwoda? Zali przykry człek?

— Szczob jeha franca stoczyła! —• huknął Daniło, pucółowaty, z jasną czupryną, opadającą na wesołą gębę. — Doczeka się tego, że mołojcy Jołtusków mu spalą, a może i jego samego nożem dosięgną.

Ostap trochę niespokojnie spojrział na syna i potem na gości. •— A cóż on takowego nabroił? — spytał Marek cicho. Kozacy doszli snadź do przekonania, że ta serdeczna trójka godna ufności, bo Daniło ją wywodzić gorąco:

— W chłopstwo nas chce zapędzić, ot co! A my Kozaki rejestrowe z dawna! Ale że teraz rejestr zwinięto do garstki żołnierza, musim na „uchodach” ślęceć. A Kozaki to przecie rycerze, jakby szlachta. I nigdy się w chłopcy obrócić nie damy! Z „uchodów” nas wygania, uciążyc chce pańszczyzną, daniny podwyższa... A żadnego poszanowania dla wojskowych ludzi, którzy w wojnach nie mniej niż on na szanc żywoty swoje wystawiali. Ojciec służywał jeszcze pod królem Stefanem, my też zdzierali się w potrzebach przeciw pohańcowi. My rycerze! W chłopcy nigdy, nigdy nie pójdziem!

Rozważniejszy Prokop w obawie, by się pijatyka nie popsuła, huknął wznosząc szklanicę z miodem:

—• Co tam o skurczybykach gadać! Wiwat dobre druhy! — i zaraz rozczulił się wielce. — 'Wyście Lachy, ale serdeczne ludzie.

Wy ubodzy jak i my, a miejsca dla się we świecie szukacie i przed pańską jurysdykcją uchodzicie. Przystańcie do nas! Ileż to szlachty przystało! Tutaj ich niemało i na Zaporozu, i na Nizu, i wszędy. Bo komu źle, do nas idzie. A my na Stambuł, na sułtana!

— Kula mi w łeb, jam gotów! — powtórzył Stołczyzna.

Ale Jakimowskiego, choć uznawał winy ojca, zraziła nienawiść Kozaków.

— Do rodzin a gospodarek musim wracać — rzekł sucho. Satanowski, by zapobiec niesmakom, jął mówić o żeglarstwie.

Dla Kozaków nie było to nowością, bo sami przecie „chadzali” czajkami przez Morze Czarne aż na azjatycki brzeg i mieli sporo do powiedzenia w tej materii. Ale prawdziwe zapanowało wesele, gdy zapytawszy o jakiś instrument muzyczny, otrzymał z komory lutnię. Śpiewy a tańce polskie i ruskie konkurowały z sobą o prym.

Nazajutrz bosmani zabrali się do wyjazdu. Po otrzeźwieniu i reprimendzie Jakimowskiego nawet Stołczyzna poniechał zamiaru kozakowania pospołu z Karmanczukami. Ci jednak namawiali ich nadal —• jeszcze przy strzemiennym kusząc ponętными widokami, •— Już jutro moglibyśmy uszczknąć coś niecoś z orszaku knia-zia Zbaraskiego kraj czego. Książ ciągnie do Zbaraża. W Jarmo-lińcach, ze cztery mile stąd, ninie popasa.

Jakimowski zamyślił się, po czym rzekł żywo:

— No, bądźcie zdrowi! Gdy zajdzie potrzeba, pomyślę o was.

— I chyba o chęci nasze spytasz... — odparł drwiąco Prokop.

Wybrnąwszy z gęstwiny na jakąś rzadziłą, bosmani wedle mchu zarastającego północną stronę pni drzewnych pociągnęli na południe, do Jołtuszkowa, uspokoić Jakimowskich co do swego losu.

W dalszym planie, wobec zagrożenia ze strony kanclerza, mieli zamiar wstąpić na służbę do Jerzego Zbaraskiego, który krajczo-stwo koronne piastował. „Książę pan ochroni nas przed hareszta-cją choćby'na przekór temu kuternodze” — przewidywali. Gniewni na Żółkiewskiego za docieklivość w egzekucji wyroków sądowych, pod wpływem osobistej „krzywdy”, powtarzali zawzięcie pogłoski o jego podłości. Zbaraskich natomiast, których nimb to warzyszył im całe życie, uważali za naturalnych obrońców przed zakusami hetmana. Pani Dorota Jakimowska osłupiała na widok haresztantów.

— W imię,Ojca i Syna, i Ducha... — przeżegnała się.

— To my, pani matko, nie zjawy żadne! — wołał Marek. Opowieść zuchów znowu wprowadziła panią Dorotę w osłupienie.

— Zali to możebne? A nie koloryzujecie waściowie?

— A jakoż byśmy śmieli! — zarzekali się.

— Gdzież to ojculek? — spytał Jakimowski.

•— Pociągnął na sejm niedługo po waszej haresztacji. Ale miał przedtem wstąpić do Żółkwi.

— Do Żółkwi? Po co? Do onego przeklętego kuternogi?

Pani Dorota, tyranizowana całe życie przez męża, bała się każdego wzburzenia, nawet synowskiego.

— Prosić za wami — szepnęła.

— Żeby miał skonać 'na palu, nie wykrztusiłbym doń słowa prośby! -- zaklął się Marek zapalczywie. — Zaraz uciekamy, bo nas przecie ścigają jego siepacze. Aż dziw, że ich tu po naszej ucieczce nie było.

— Znowu cię nie będzie, synku — załkała matka. — Boże! Jąkam nieszczęśliwa! Śmierć nad wami wisi! Boże! Boże!

Uklękła przed obrazem Matki Boskiej i zanosiła głośne modły. Po pewnym czasie wstała nieco uspokojona.

— Skoro potąd nikt z grodu tu nie był — wywodziła — to może teraz uszanują nietykalność domu szlacheica. Ojciec poruszy na sejmie gwałt pana hetmański: najście Burczaka na dom nasz.

— Eh! co tam zrobi pierwszej po królu osobie! — odparł niecierpliwy Marek. — A gdzież.to panny?

— Anielcia jest u państwa Smolińskich. Taką cieszy się atencją u nich, powiadam ci, synku. Prawie co dzień przysyłają po nią sanie, by chorej pani Smolińskiej asystowała. Wiesz chyba czemu...

— Ano wiem...

Satanowski i Stołczyzna też wiedzieli: panny Jakimowskie miały być wydane za dwu młodych panów Smolińskich. Satanowskiego niewiele to obchodziło. Natomiast Stołczyźnie rumieńce zapaliły lice. Albowiem zagrożona swatami Wanda zapadła mu od razu w serce.

— Wandzia zaś popadła w melancholię po waszej haresztacji — ciągnęła pani Dorota. — Co ja z nią miałam! Od zmysłów odchodziła, płakała po nocach. A teraz jeno w kościele przesiaduje i modli się za panów. Ona już taka wrażliwa: na oko kamienna statua, aliści gdy ją co poruszy, to amen... Zaraz poślę po nie obie.

Kiedy wyszła dać polecenie służbie, Marek i Stefan ze zdumieniem zauważyli, że nie ma Jana. Szukali go daremnie.

Stołczyzna tymczasem cwałował co koń wyskoczy do kościoła. Wiorstę dzielącą dwór od świątyni przebył błyskawicznie. Ujrawszy sanie koło bramy, zagadnął woźnicę drepcącego po śniegu dla rozgrzewki.

— Czyj to zaprzęg?

T— Jaśnie wielmożnego pana Jakimowskiego. Przywiezieni ja-śnie panienkę jejmość. To mnie wasza miłość nie poznał?

Stołczyzna zeskoczył z kulbaki, rzucił chłopu na ręce cugle swego wierzchowca i wszedł do kościoła. Mimo półmroku wnet odszukał wzrokiem Wandę. Cicho, na palcach, minął kilka mieszczek, które nie przerywając modlitwy przyglądały mu się z natrętną ciekawością, podszedł do zatopionej w modłach dziewczyny i ukląkł obok niej. Gdy go zobaczyła, rozplakała się bezgłośnie, a nie zważając na plotkarskie oczy, bez opanowania chwyciła go jedną ręką za dłonie złożone do modlitwy i uściśnęła je. W twarzy, ociekającej łzami, miała wyraz szczęścia. Ale ochłonawszy zawstydzona się wybuchu uczucia, wstała i wyszła z kościoła. Jan podążył za nią.

Raptus, nie bacząc na woźnicę chwycił dłonie Wandy i obsypywał pocałunkami, dopóki mu ich nie wyrwała, co uczyniła niezbyt rychło, zniewolona nie znaną dotąd błogością.

—• Zapominasz się waćpan — szepnęła w końcu naiwnie.

— A waćpanna przy ołtarzu, gdyś mnie spostrzegła?

•—• Bom się domyśliła, że skoro waść, to i Marek, i pan Stefan...

— Błagam: nie idźmy jeszcze do sań, przejdźmy się dokoła.

Zawahała się. Niektóre bowiem mieszczki, nie mogąc wytrzymać ciekawości, wyszły przed kościół, a i woźnica gapił się na niespodziewaną dlań konfidencję młodej pary. Mimo to wyraziła zgodę.

Za kościołem, gdy znikli z oczu ciekawych, Stołczyzna znowu stracił panowanie nad sobą i wycwałował ręce Wandy.

— Co waść czynisz? Co waść... Boże! — szepnęła, przejęta na wskroś niepojętym ogniem, ale wyrwała się bez skwapliwości.

Stali długo naprzeciw siebie patrząc sobie w oczy. —• Nie jesteś waszmościanka rada, żem się salwował?

— Radam, że Marek... że waćpan, że... — bąkała. — Jak to było?

•— Opowiem drogą. Ninie mam ważniejsze materie. Powiem jeno, żeśmy wszyscy trzej cali i zdrowi... A waćpanna to jednako rada z mojego powrotu, jak i dla przykładu — z powrotu Stefana?

— Tak. Bo niby...

— A ja mniemałem, że zaraz po Marku u waćpanny idę. Spojrzała mu wymownie w oczy i odrzekła:

—• A waść potem za jaką wodnicą popłyniesz...

— Ławica, wodnic to samo dla mnie, co ławica śledzi, kula mi w łeb! — zawołał gorąco. — Niewarta jednej łezki waćpanny.

—• One są niby królowe. A cóż ja...

— Cesarzowa! Kula mi w łeb! Jakem był w łykach, to dlatego żywota żałowałem, że waćpanny nie obaczę.

— Chodźmy do sań! — rzekła nagle.

W drodze żywo rozmawiali. A woźnica, acz młody, niedoświadczony pachol, od razu poznał, że mają się ku sobie. Toteż podsłuchiwał ich madrygały słowne, by je spożytkować kiedyś dla siebie.

W domu panował wielki rwetes. Wróciła już bowiem z sąsiedz-stwa Aniela, przygotowywano posiłek i rozmowom nie było końca.

Pani Dorota była zadowolona z adoracji Jana wobec Wandy, jakby nie istniały małżeńskie projekty Smolińskich. Aniela dostrzegła obojętność Satanowskiego. Nie desperowała jednak, zdążyła już bowiem zakochać się w przeznaczonym dla niej panu Smolińskim, rezygnując z pięknego jak bożek światowca, którego zrazu chciała usidlić i była nim oczarowana. Wanda natomiast umknęła ze świetlicy, by się przy wszystkich nie rozplakać na wieść o rychłym odjeździe junaków. Gdy wróciła, oczy miała zaczerwienione i pod-puchnięte.

Stołczyzna również posmutniał. Przypomniwał on sobie takie zdarzenia z przeszłości, że mu się żyć odechciało. „Tyś nie dla mnie” — myślał o Wandzie. Wszystko wydało mu się marne i niewarte wysiłku. Nie zważał na ogólną rozmowę, tylko oczyma wodził za Wandą. Gdy ponownie wyszła, podążył za nią, choć to niepolityczne, a dla reputacji panińskiej szkodliwe. Zapędził się aż do pokojów białogłowskich, do których obcemu wchodzić nie wolno. Ledwie stanęła przy oknie komnatki, objanej kwiacia-stymi koltrynami, pełnej makat i kobierczyków a przeróżnych drobiazgów, aby w samotności dać upust smutkom rozpierającym serce, już był przy niej.

— Ach! Tu nie Iza! Na miłość boską, jeszcze kto zobaczy!

— Trudno. Ostatni raz może się widzimy.

— Ostatni?

— W życiu żołnierza zawsze to możliwe — rzekł z powagą. •— A cóż dopiero, gdy nań oprócz wroga i własna dybie władza...

— Tato wszak zabiega o bezpieczeństwo dla waćpanów.

— Kiedy odjadę, nie zapomnij waćpanna o mnie od razu.

— Bóg by mnie pokarał! — wyrwało się niebodze.

Jan runął na kolana i wtulił twarz w jej rozgrzane dłonie, których mu zgoła nie wzbraniała, potem wstał z klęczek i całował mokre od łez, ledwie oddech łapiące usta. W końcu opamiętała się jednak i wyrwała z jego objęć.

!— Ach, co my robimy! To grzech, grzech śmiertelny!

;— Bodajby wszyscy tak grzeszyli: nikt by piekła nie zaznał.

Spłoszył ich odgłos czyichś kroków. Jan wrócił do świetlicy.

Mieli wyjechać od razu, ale ulegając namowom pani Doroty zostali wywczasować się po trudach. Przesiadawali całymi dniami w swym wielkim alkierzu, paląc fajki, grając na lirze i śpiewając światowe pieśni ku zgorszeniu otoczenia zachowującego post i wszelaką wstrzeźliwość adwentową.

Stołczyzna aż nazbyt widocznie adorował Wandę. W oczach służby uchodził za konkurenta do jej ręki. Pani Dorota, odrodzona nieobecnością srogiego męża, nie zapobiegała amorom młodych, acz bała się trochę bałamuctwa tego uroczonego obieżyświata, który zdawał się ulepiony z dobroci i zapalczywości.

Jakimowski wieczorami patrzył przez jedno z okien erkieru. Widział w ciemnościach -żółte światelka chutoru- Prokopiuków. Myśl o Marfie nie dawała mu spokoju. Ona to sprawiła, że zasiedziało się tu miast uchodzić przed strażą starościńską.

Raz we dnie zobaczył Marfę z okna. Nie zważając na nic wybiegł z kasztelu i dogonił Kozaczkę. Chciała go minąć, ale chwycił ją za rękaw i osadził na miejscu.

— Mam powiadomić straż? — warknęła wrogo, wrywając się.

— Marfo, zaczekaj! Pomówmy!

— Nie ma o czym.

— Przecie my się miłowali.

— Jako dzieci. Nie pomnę już. A ninie mam ja kogo miłować: Kozaka mojego ślubnego i dzieci z nim urodzone. Więcej mi nie trza.

Opór i dojrzała uroda niewiasty podniecały go.

— Chodźmy do Zaklętej Bałki — rzekł prosząco.

— A cóż mi to, niewola? Odejdźcie, panie, bo nas kto zobaczy i źle będzie. Zrozumcież, panie, że ja już nie ta sama, co wtedy. Ja żona, matka i po bożemu żyję. Niczego nie pamiętam i nie chcę! Tamto, dziewczynskie, minęło, że i śmiać się trzeba.

— Marfo, chodź ze mną! — szeptał gorąco. — Porzuć wszystko i jedźmy razem daleko: do Krakowa czy dalej. Będzie nam dobrze.

Spojrzała nań jak na' szaleńca. Ale nie tylko jego się złąła: opodal na drodze ukazał się Kozak i szedł ku nim od chutoru.

— Ot i mój Iwaśko! •—• szepnęła. — Dla zachcianki, dla igraszki wasza miłość chce zburzyć cały mój chutor, moje szczęście, mój żywot, wszystko... Iwaśko idzie. Krew się tu zaraz poleje.

— Krew? Czyja? •—• prychnął wzgardliwie. — No, moja śliczna, jeszcze do tego nie doszło, by mi taki... taki do oczu skakał...

•—• A czemuż to? —• szczeękła zuchwale. — Mój Iwaśko mu-rzów i bejów na powrozie trzymał.

— A ja takich, jak on, tuzinami!

Spojrzała nań z nienawiścią i pobiegła ku mężowi. Marek nie odchodził, by nie myślano, że tchórzy. Prokopiuk obejrzał się na Marka. Ta chwila starczyła, by Jakimowski pojął, że dalsze napaści na Marfę nie ujdą bezkarnie. Ale to tylko wzmagalo jego żądze.

— Miłuję tę niewiastę! — wyznał w domu Jakimowski druhom. Stołczyna, wysłuchawszy długiej historii o Marfie, zawołał:

— Kińże ją k'czartu, skoro cię nie chce!

— Na jej widok żar mnie oblewa. Musicie mi pomóc, przyjaciele. Porwę ją i wywiozę daleko. Pomożecie mi w takowym rapcie?

Satanowskiemu zaostrzyły się rysy twarzy i stały się przerażająco groźne. Stołczyna zapłonął na gębie. Zawadiactwo i żądza przygód zawrzały w awanturniczych sercach.

— Gotowiśmy.

Po chwili namysłu jednak Stefan ochłonął i rzekł: •—• Jeśli będziesz obstawał przy zamiarze, pójdziem, bośmy bracia ślubni. Aliści rozważ: nie młódka już, żeniata, dzieciata. Dla przelotnej chuci takowy gwałt? I ona cię nie chce. Zniewolić białogłowe? Nadto po tatarsku. A co z nią potem? Bo nie wierzę w twój z nią ożenek, choćby dlatego, że prawo wzbrania bigamii.

— Nie baczę, co będzie. Ninie muszę ją posiąść, muszę!

Gdy naradzali się nad atakiem na chutor Prokopiuków, Eliasza dał im znać, że przybył niejaki rotmistrz Wrzeszcz i dziedziczka pyta, czy mu wyjawic ich obecność. Bosmani postanowili wyjść do przybysza, którego orszak zostawiony u zwodu widzieli z okna. Nie przeczuwali • haresztacji, choć przyjazd Wrzeszcza zdumiał ich.

Rotmistrz powitał ich serdecznie, jakby dobrych znajomych. Nie miał wrogich zamiarów.

— Nawet się z futra nie rozbieram, bom wpadł jak po ogień — rzekł. •—• W przejeździe będąc postanowiłem priyatim ostrzec wać-panów: uchodźcie stąd, albowiem wyszły nakazy do starostów, by wzmogli czujność wobec byłych konfederatów żołnierskich, a szczególnie

wobec was. Pan hetman jest wielce na praworządność czuły i żeby nawet o jego syna chodziło, nie darowałby mu. Lubię chwatów i dlatego nie szczędzę fatygi, byście w lochu nie gnili.

— Całe życie w mysiej norze? •—• mruknął posepnie Marek.

•— Ależ nie! — Wrzeszcz uśmiechnął się życzliwie. — Ninie wyrok jeszcze działa. Atoli na sejmie najbliższym ma wyjść amnestia. Musicie tedy przetrwać ten okres. Radzę uchodzić bez zwłoki.

. — Dzięki waszmości! Marek kazał podawać poczęstunek, ale Wrzeszcz odmówił.

— Wybaczcie, waćpaństwo, nie mogę! Żegnam uniżenie wasz-mość panią, osobliwą moją dobrodziejkę; i do nóg padam. Życzę wszystkiego najlepszego z okazji Godów. Uciekam! No, najwyżej szklaneczkę miodku. Za pomyślność waszmość państwa.

Musiał jeszcze i do strzemienia wypić przy zwodzie, dokąd służba gąsiory wyniosła.

Jakimowski kazał nawet wytaczać beczki trunków na śnieg — dla orszaku rotmistrza — ale ten skomende-rował gromko i konie pocwałowały ku miastu.

Pani Dorota w lament. Zapanował gorączkowy ruch we dworze, szykowano bowiem młodych panów do drogi.

Wanda czmychnęła do swojej komnatki. Zastał ją tam Jan zapłakaną, chwycił w objęcia i obsypał pocałunkami. Przez dni, jakie spędzili w aurze uwolnionej od tyranii pana Mikołaja, zbliżyli się do siebie i pokochali, przeżywszy skuwające serce poufałości.

—• Boże! Boże! •— szeptąła. — Coś mi mówi, że...

— Miłuję cię więcej niżli siebie samego! — przerwał. — A może się już nigdy nie obaczym...

•— Po tym, co nas złączyło? — przeraziła się. — Dlaczego?

— Bom ja ubogi, a tyś pani na kasztelu i setkach poddanych. —• Wszystka szlachta równa w Polsce! •—• zawołała naiwnie.

— Tak •— szepnął nie po swojemu.

Wyjęła z drewnianego puzderka maleńki złoty pontalik, wysadzany kilkoma różnokolorowymi kamykami: koralem, perełką, żabińcem, turkusem. Podała mu klejnocik, mówiąc łamliwym głosem:

— To ode mnie na pamiątkę. Korale będzie chronił waści od pioruna, perła od melancholii, żabinię od czarów, turkus zaś od śmierci. Jeśli będziesz waćpan w niebezpieczeństwie, spójrz na on turkusik: gdyby ci śmierć groziła, posmutnieje on i zapadnie się, chroń wtedy życie wszystką mocą. I przyjmij... •—• załkała — moje błogosławieństwo na drogę... Będę czekała... na waćpana.

— O nie! Nie wiąże waćpanny czekaniem! •— zaprzeczył żywo.

— Nie szczędzisz mnie, waść, na ostatek — szepnęła z płaczem.

— Kocham cię od pierwszego dnia! Ale mam takie sprawy, co...

— Jakie? O Jezu! — przeraziła się myślą, że Jan żonaty.

— Powiem, jeśli wrócę — odparł ze ściśniętym gardłem, po czym opuścił komnatkę, goniony przez łkania dziewczyny.

Pani Dorota wymogła na synu, że do ogłoszenia amnestii ukryje się on u krewnych w Jakimowicach sandomierskich.

— Ojczulek spędzi tam Wielkanoc, jeśli tu nie zdąży.

Wiele łez oblało pożegnanie. Matka chlipała przy wtórze córek:

— Za parę dni Gody, a wy na poniewierkę i niebezpieczeństwo!

6 — Kawaler złotej ostrogi Bosmani mieli teraz sześć koni wraz z porwanymi w Barze, trochę zdobytych wojennych a odzienia w jukach i resztki żołądu. Matka zaopatrzyła Marka w pieniądze i żywność. Sanie, którymi przyjechali tu znad morza, zostawili w zajezdni pana Mikołajowej.

Ruszyli na noc — w ciemność i zawieruchę.

Chutor Marfy świecił żółtymi okienkami, nie tknięty jeszcze zapalczywością Marka Jakimowskiego.

VI Marszałek izby poselskiej, referendarz koronny Świętosławski, stronnik opozycyjnej faksji książąt Zbaraskich, we wstępnym przemówieniu do Sejmu biadał:

— ...Ciężka znista od Tatar nawiedziła przednie prowincje koronne. Siła szlachty i plebsu w niewolę zagarnionych, wybrane stada, dobytki i plony, obrócone w popiół kościoły, wsie, miasta. Płacz chrześcijan niebo przeraża! Obywatele w jasyrze, niebawem w meczetach chwalić będą Boga!

Długo mówił pijąc do króla i hetmana wielkiego koronnego.

Żółkiewski z miejsca między ministrami widział swych wrogów, Zbaraskich, na ławach poselskich. Strojni jak na festyn, ujmowali szczególnym, drapieżnym wdziękiem. Hetman odszukał wzrokiem swych nielicznych zwolenników między posłami oraz na miejscach senatorskich, ustawionych w cztery długie rzędy frontem do tronu królewskiego, tyłem do ławy ministrów, a bokami do ław poselskich i galerij dla arbitrów. I na niego zwrócone były oczy, ale bez tego zachwytu, który opromieniał książąt Zbaraskich, trybunów szlacheckich. Z propozycją od tronu wystąpił podkanclerzy koronny Lipski: — ...Wisi nad nami nowa burza pohańska. Porta zamierza owoładnać Rzeczpospolitą, by wygłodzić i opanować rozdartą konfliktem obecnym Europę. Musimy obmyślić obronę! Jego królewska mość raczy podać prześwietnym stanom punkta do deliberacji, tyżące bezpieczeństwa kraju. Primo: obrona od Tatarów. Secundo: w}^-prawa ładowa za Dunaj oraz jednoczesne puszczenie Kozaków czajkami na Morze Czarne. Tertio: poselstwa zagraniczne. Quarto: sprawa morska...

Przerwały mu nieprzyjazne gwary. Lipski popatrzył gniewnie a szyderczo na warchołów i skandował dobitnie:

—• Jak nam potrzebna armata na morzu, chyba szalony nie widzi. Byle w dobrym zostawała porządku, Szwedzi by się na nas nie porywali, a budulca u nas na okręty siła i ludzi mnogo.

— Veto! — ryknął spośród posłów Podola pan Mikołaj Jaki-mowski, z powodu syna wściekły na samo wspomnienie morza. Chciał wołać dalej, ale go inni Podolanie przygłęli za łeb do ławy.

••• Quinto: środki pieniężne — ciągnął nie zrażony minister. — W tej materii widać nowe wspomnienie skarbu: część intraty z kró-lewsczyzn, dochody z ceł, wzmożenie handlu, obciążenie szlachty cłami i mytem od wywozu towarów za granicę, a duchowieństwa — daniną na walkę z Tatarami.

Na wszystkich teraz ławach zapanowało niespokojne poruszenie.

Podskarbi koronny Mikołaj Daniłowicz poparł projekty Lipskiego:

— Państwo nasze bogate: za samo zboże, co do Gdańska poszło, wzięliśmy 1618 roku dziesięć milionów złotych — ujawnił w swej mowie — a lubo konfederaci wojskowi przed pięć laty wydusili z kraju sześć milionów, dziś tego nie znać.

Szemranie na ławach przerosło w hałas:

— Żadnych nowych ciężarów! Zerwać pakta z Habsburgami! Odebrać Turkom Wołoszę! Niech senatorowie rezydenci przy majestacie mieszkają! O niczym nie radzić przed rozdaniem wakansów!

Dopuszczani przez marszałka do głosu mówcy nacierali coraz gwałtowniej — słowami żywcem z paszkwilu:

— ...Bić się z póhańcem należy, nie paktować! Musimy pomścić ziemie wydane Tatarowi, który łupił, niszczył, mordował i... bezkarnie uszedł!

— ...Prosimy waszą królewską mość, abyś raczył niecnotę słusznym zapłacić karaniem. Daj na przykład potomnym małoduszność i zdradę winnych klęski, rozdziel między rycerstwo ich majątki, urzędy, beneficia, których niegodnie używają. Dosyć mamy ludzi wojennych, życzliwych ojczyźnie, w powinności swej przezornych, czułych, dbałych...

— ...O, wstańcie z mogił, Mużyłowice, Buczaccy, Jazłowieccy, Strusiowie! Brońcie osierociałych gniazd swoich!...

6*

Po ciężkich atakach

Świętosławski zażądał od hetmana wyjaśnień. Gdy Żółkiewski powstał, w sali zapanowała grobowa cisza. Poprosił króla, aby z uwagi na chorobę mógł siedząc zdać sprawę z działań, otrzymawszy zaś pozwolenie usiadł i przemówił.

— Taki już sprawiedliwych los, że ich cześć szarpią złe języki. I na mnie tu spadły gromy inydii, zarzuty niesłuszne. Od dawna wszak nawoływałem do jeneralnych przygotowań wojennych, do wzięcia w kluby Kozaków, by nie watahami napadali Turcję, ale jako miecz sprawny byli w ręku Rzeczypospolitej. Daremnie! Żałowano grosza i okrzyknięto, że pragnę tychże Kozaków przywilejami szlacheckimi opatrzyć na zgubę rycerskiego stanu. I czego chcą teraz malkontenci? Za napady Kozaków i panów ukraińskich Porta mści się najazdami Tatarów. Aż i sama wystąpiła. Ponieważ prowadziliśmy równocześnie wojnę z Moskwą i Szwecją, oznaczało to śmiertelne niebezpieczeństwo. Gdy wzywałem obywateli zagrożonych przez pohańca ziem do wojska na ratunek ojczyzny, moje uniwersały wyśmia-no!

— Wobec ogromnej przewagi liczebnej nieprzyjaciela okopałem się pod Buszą. Wojsko miałem niekarne. Panowie wiodący własne hufce nie uznawali władzy mojej hetmańskiej, a najjaśniejszy pan życzył pokoju z Turcją. Pokój więc zawarłem. Winowano mnie, że nie poraził wroga. Dawniej nie bywałem na to skąpy. Gromiłem Tatarów, Kozaków, Wołoszę, Szwedów, Rakuszan; Szujskich w jeństwie przywiodłem do stóp tronu... Bałem się wtedy jeno o wojsko, które prowadziłem. Gdybym je stracił, inne stało gotowe. Ale gdyby pod Buszą wojska moje pogromiono, żadnej by już osłony nie miała ojczyzna z powodu równoczesnej wojny moskiewskiej i szwedzkiej. Nie wolno mi tedy było narażać ich na zgubę!... Dlaczegoż pozwolił Tatarom płądrować? Nie mogłem przecie szczupłego wojska rozdzielić. Wolałem część kraju odżałować niż całą Koronę podać na zniszczenie.

— Ostatnio również ostrzegałem uniwersałami, że grozi nowa wojna. Jeśli komu, co gardził przestrogi, szkoda wynikła, sam siebie ma winować, nie mnie. Jam spełnił swój obowiązek!

— Pod Oryninem zebrało się potężne wojsko, wielkie poczty pańskie. Ale pycha panów i spory obezwładniły tę świetną armię. No i Tatarzy gromić tak niemal możliwe, jakby ptaki na powietrzu latające pobić: zdarzy się, owszem, ptaka w locie trafić. Kiedy przerwali oblężenie obozu i poczęli rabunek kraju, zaleciłem panom gnać ich komunikiem. Atoli ichmościowie żalowali swych wozów, z ciężarami zaś nie uszliby mili dziennie, gdy Tatar pędził siedemnaście. Jeślibym offensive działał przy takowej niesforności, zgubiłbym armię i ojczyznę.

— Nie żałuję swoich fortelów, a rad jestem, że nie naraził się na pohańskie, i wróg, który szedł do nas pewny zwycięstwa, teraz upadł na duchu, sromotnie umknąwszy z niemłą swoją szkodą.

•—• Starym już i niezdrów. Czterdzieści cztery obozy odbyłem, w bojach krew swoją rozlewałem dla ojczyzny. A przeciemi ja zły, bezpieczeństwo Rzeczypospolitej dźwigając, drudzy zaś lepsi, którzy ją w niebezpieczeństwo wtrącają. Pokornie tedy proszę waszą królewską mość, abyś ten urząd, tak ciężki na mój wiek, miłościwie raczył zdjąć ze mnie, gdyż boję się, że wobec niewdzięczności, którą miast wdzięczności ponoszę, nie będę mógł godnie służyć majestatowi i ojczyźnie. Na odpoczynek też muszę nie tylko od niewczasów, ale i złych języków.

Mowa sędziwego wodza wywołała poruszenie.

Imieniem króla odpowiedział podkanclerzy Lipski:

— Jego królewska mość, pomnąc twą całą drogę do nieśmiertelnej sławy, zawsze sądzi, że waszmość dobrze służy ojczyźnie. Przyznawać raczy i to, że urząd hetmański odprawiał jako wódz i żołnierz. By zaś splonęli ze wstydu oszczercy, oświadcza, iż w onych ekspedycjach

wszystko spełniałeś na rozkaz majestatu, a roztropnością uchroniłeś królestwo od klęski.

Życzy też sobie najmiłościwszy pan, abyś wiódł do końca swe dzieło dla dobra

Rzeczypospolitej, za co łaskę swoją pańską oświadczy waszmości i potomstwu twemu...

W imieniu senatu dziękował wodzowi prymas Wawrzyniec Gę-bicki:

— Dziękujemy uniżenie najjaśniejszemu panu, że nie przyjął dymisji waszmościnej.

Prosimy i my wszyscy: służ ojczyźnie nadal, nie odbiegając jej w ciężkich terminach. Jego królewska mość i Rzeczpospolita życzą ci, wielki wodzu, abyś z nieśmiertelną sławą tronu i narodu kończył swe miłe Bogu służby.

Wielu jeszcze mówców złożyło Żółkiewskiemu szumnosłowy hołd.

— Vivat pater patriae!! — huknął Mikołaj Jakimowski, aby zostać zauważony przez hetmana, któremu ze względu na Marka chciał się przypodobać.

Wzruszony owacjami wódz powstał z krzesła, dobył szabli, wzniósł ją w górę wojowniczym gestem i głosem nabrzmiętym zakrzyknął:

— Pragnąc posłużyć Rzeczypospolitej położeniem życia na szanc, zasłonię ją pierściami! Tak mi dopomóż Bóg i święta Jego męka!

— Wszyscy polegniem dla Rzeczypospolitej! — zahuczała sala i błysnęły szable z dziarskim brzękiem dobywane z pochew.

Wszelako opozycja unicestwiła plany stronnictwa dworskiego zamieniając sejm w nabrzmięte prywatą forum walki o wakanse i waśni stanowej między szlachtą a duchowieństwem, jednak skąpyimi na potrzeby ojczyzny. Żółkiewski boleśnie przeżywał niepowodzenie reformatorskich projektów, korzystnych dla Rzeczypospolitej, a koniecznych w razie nowej wojny. Zbaraskich wynoszono na rękach z sali obrad. Nie cieszyło ich jednak to uwielbienie. Król bowiem nie rozdał wakansów mimo żądań sejmu i nie ukontentował ich, Zbaraskich. Przegrali też walkę z duchowieństwem o nadzwyczajny podatek na wojnę z Tatarami, którym to podatkiem chcieli obciążyć duchownych.

— Nie masz pokoju w Rzeczypospolitej! — wołali na zgromadzeniach szlachty poza sejmem. — Znowu nam grozi dominium absolutum! Widać to jasno, skoro równowaga między stanami wyższymi zachwiana, prawo rozdawnictwa wakansów i prawa senato-rów-rezydentów pogwałcone. A są i tacy, co nas Habsburgami częstują!

— Siekać ich! — wrzeszczano znad biesiadnych kielichów i półmisków mięsiwa, od których ugięły się książęce stoły.

Jakimowski też by chętnie powarcholił przeciw stronnictwu dworskiemu, ale bał się Żółkiewskiego, na którego łasce przecieź tak mu zależało. Zrezygnował nawet z poruszenia na sejmie sprawy pogwałcenia przez Burczaka nietykalności szlacheckiej siedziby.

! Niech żyje ojciec ojczyzny! (łac.)

Uległ zresztą osobliwemu, wynikającemu ze szlachetności urokowi szorstkiego wodza. Na domiar w Warszawie kanclerz przez f erianta dawał mu znać, że sprawa Marka i jego druhów na dobrej drodze. Jakimowski nie wotował przeciw projektom Żółkiewskiego, acz w instrukcji poselskiej miał przeciwne im wskazówki, i dbał o kabzę szlachecką. Nie znał się na polityce ni finansach, ale wiedział, że zawsze lepiej nie płacić, niż płacić. Nie był wyjątkiem. Podobnych ignorantów, wybranych • dzięki niezrozumiałemu mirowi u szlachty lub machinacjom oligarchów, było sporo. Jakimowski wołał hałaburdów swego pokroju od wyrobionych działaczy. Nad wszystko jednak przekładał pijatyki urządzone przez Zbaraskich dla pozyskania szlachty. Lubował się w kompanii kniaziów, choć przez wdzięczność dla Żółkiewskiego już wotami ich nie popierał. „W sprawozdaniu na sejmiku relacyjnym jakoś się przed bracią wyłgam" —• myślał beztrosko.

Dobrze mu było w Warszawie także i z tego powodu, że miał wygodną kwaterę z ładnym widokiem na renesansowy kościół Matki Boskiej Łaskawej i kolegiatę. Tu po sesjach sejmowych i magnackich festynach, ulicznych wiecach i burdach mógł się wywczasować.

Pewnego razu odwiedzili go znani mu z Żółkwi ludzie hetmańscy: rotmistrz Wrzeszcz i dependent Zaklika.

•— Syn waćpana zostanie wkrótce przywrócony do praw — oznajmił Zaklika. — Po wydaniu amnestii starostowie wstrzymają pościg.

—• Przed Godami, będąc przejazdem w Jołtuszkowie, wstąpiłem do domu waszej mości — dodał Wrzeszcz. — Zastałem syna wa-ści i...

— A to dureń! Czekał ponownej haresztacji! — przerwał stary.

— Zwierzył mi się, że do krewnych w Sandomierskie czmychnie. •—• Szkoda, że hajdukom sądowym nie wskazał, kędy go mają szukać.

— Pan Satanowski także będzie amnestionowany —• rzekł znowu Zaklika. •— Atoli sprawa pana Stołczyny przedstawia się inaczej: czeka go nagana szlachectwa i wywód, a nawet coś dużo gorszego.

Jakimowski zerwał się z ławy jak oparzony.

— Co waćpan powiadasz? Mówiłem, mosterdzieju, że to hetka -pętelka! I takiego mi jednak sprowadził doma, no! Może odar-dus1?

— Po amnestii a sejmie powiadomisz waść onych trzech kawalerów, by do asesorii2 zwrócili się o pasporta świadeczne z adnotacją, że od dalszej kary uwolnieni.

Jakimowski radował się z przywrócenia czci synowi, ale też klął jego niestatek i konfidencję z niepewnym Stołczyną. „I taki zerkał na moją Wandusię!” — myślał ze zgrozą. Ta zgroza wzrosła, gdy otrzymał od żony list przywieziony przez Eliasza. Pani Dorota donosiła o pobycie syna i jego druhów w Jołtuszkowie, o ich wyjeździe do Jakimowic, a wreszcie o amorach Jana i Wandy. „Oh! Gdybym miał psisyna pod ręką!” — kipiał stary.

Pod koniec sejmu doczekał się wreszcie promulgacji wyroku zdejmującego z Marka wszelkie grawamina 3.

Uszczęśliwiony pobiegł do kolegiaty św. Jana ślubować dziękczynną pielgrzymkę na Jasną Górę. Ale w końcu wykalkulował, że taniej wyniesie podróż w Krakowskie, dokąd mógł zabrać się z orszakami wojewody Zebrzydowskiego, pod którego przewodem rebelizował przeciw królowi w pamiętnym rokoszu szlachty. A skorzystał z tego, że magnat zagadnął go na sali obrad i pro forma zaprosił na swój dwór, podobnie jak zgrają innych „urodzonych” darmożjadów. Bawiąc w Krakowskim, łatwo odwiedzić założoną niedawno, a już słynną Kalwarię Zebrzydowską na Podkarpaciu. Wielkanoc już za sześć tygodni. Przedświąteczna pora, wielki post, najodpowiedniejsza, dla zamierzonych praktyk religijnych. Jakimowski pomyślał, że ponieważ nie zdąży na święta do Jołtuszkowa, pojedzie do krewnych w sandomierskich Jakimowicach, gdzie spotka się z synem.

Przed wyjazdem próbował podziękować Żółkiewskiemu za protekcję. Ale minister nie przyjął go wymawiając się przez sekretarzy byle powodem. Nie lubił czołobitności, podziękowań.

W Krakowie Jakimowski oderwał się od wojewodzińskiej świty i stanął gospodą przy ul. Grodzkiej.

1 Odardus (niby-łac., makaronizm) •— obdarty, pogardliwa nazwa szlachty chodackowej.

2 Asesoria (łac.) — sądy królewskie, rozpoznawały m.in. sprawy o ważność przywilejów.

3 Grawamina (łac.) —• oskarżenia.

Miasto uczyniło na podolskim hreczkosieju wielkie wrażenie. Wprost nie wyobrażał sobie takiej okazałości. Warszawa była bardzo skromna w porównaniu z tą wspaniałą stolicą, pełną świetnych pałaców, kościołów, ulic i placów.

Jakimowski wybrał sobie kościół Sw. Andrzeja na ul. Grodzkiej, a zostawiwszy pacholków w gospodzie, udał się do spowiedzi wielkanocnej sam: nie chciał im pokazywać swojej pokory i skruchy uważając, że powinni go widzieć tylko triumfującym. Dlatego też i do Kalwarii zamierzał pielgrzymować bez ich asysty.

Każde rzetelne zetknięcie z Panem Bogiem napawało go bo-jaźnią. Nie wiedział przecie, jak zostanie potraktowany przez pośredników Miłosiernego i co się Najwyższemu Sędziemu podoba, a co nie.

Pod strachem Boga więc odbył spowiedź. Surowy spowiednik nie udzielił skruszonemu winowajcy rozgrzeszenia. Gromił, wzywał do poprawy i pokuty, nakazywał hojność dla domów i sług bożych, cytował przykłady z żywotów świętych, zawstydział porównywaniem nikczemności Jakimowskiego ze świętością bogobojnego wyrobnika z Betsaidy, aż na koniec, wyznaczwszy termin następnej spowiedzi i ciężką pokutę, odprawił złamanego grzesznika od konfesjonau.

Jakimowski do końca dnia i przez noc w poniżeniu a udręce odkupiał swe winy: leżał krzyżem na kamiennej posadzce kruchty. Wstał przy pomocy klechy. Nazajutrz znowu jak'wczoraj. Atoli dziś opadały go buntownicze myśli, mozolnie odganiane modlitwą. Pokorę dobrowolną zastąpiła wymuszona. „Czart mnie doświadcza” —• myślał ze zgrozą. Zgroza ta jednak stawała się coraz płyt-sza, a męka cielesna nieznośniejsza. Pomimo strachu przed świętokradztwem uciekł z miejsca kaźni nie kończąc pokuty.

Ale pragnął przecież rozgrzeszenia i komunii. Postanowił oczyścić sumienie przed łagodniejszym kapłanem, nie śmiejąc szturmować tamtego. Znalazł się takowy w kościele św. Marcina. Rozgrzeszył biedaka, dopuścił do komunii, zadając jednak znów ciężką pokutę. Jakimowski udał się sam w pielgrzymkę do Kalwarii Zebrzydowskiej, by tam do reszty oczyścić duszę, uładzić sprawę sumienia.

Z okazji bliskiej Wielkanocy do „świętego miejsca” ciągnęły gromady pielgrzymów najróżniejszej konduity: magnatów, szlachty, mieszczan, chłopów — mężczyzn, kobiet i dzieci •— bogaczy i żebraków. Konno, koleśno, pieszo. Szumnie lub skromnie, w asystencji dworów lub w osamotnieniu. Wśród nabożnego śpiewu czy pokornego milczenia, wśród pijatyk a burd po karczmach i na postojach pod gołym niebem.

W piątek przed Niedzielą Palmową Jakimowski dobił celu.

Kalwaria była zapchaną pielgrzymami osadą u stóp lesistej góry. Na zboczu wznosił się klasztor z kościołem i licznymi kapliczka-mi-stacjami „Męki Pańskiej”. Pielgrzymi zajmowali domy, biwakowali pod gołym niebem. Modlili się tłumnie, gdzie popadło, odbywali procesje, śpiewali, tu a ówdzie tocząc bójki o miejsce. W gospodach i przed kramami pili na umór. Hulanka mieszała się z modłami, pokora z pieniactwem. Pokuta miała oczyścić grzesznych ze wszystkiego złego, a więc i z win popełnionych u progu „świętego miejsca”. Obok ludzi przejętych pobożnością widziało się handlarzy dewocjonaliów i świeckich towarów, rajfurów kupczących niewiastami, złodziei, wykorzystujących ekstazę fanatyków.

Jakimowski po kilku godzinach czekania w kolejce do konfesjonau znowu się wypowiadał. Przespawszy resztę dnia w sieni jakiegoś domu, nocą pośpieszył do kościoła, otoczonego tłumem. Jedni ludzie modlili się na kłęczkach, inni leżeli krzyżem na błocie świętym przymrozkiem. Przecisnął się przez ciżbę do izby przylegającej do kościoła. Zastał tu kilkudziesięciu pokutników różnego stanu.

Pod ścianami stały chorągwie bractw, szafy i stół z krucyfiksem. Pokutnicy tłoczyli się do dwu otwartych szaf, z których jacyś brodacze wyjmowali i rozdawali rzemieńne bicz, zakończone żelaznymi haczykami, oraz krwią zbroczone kapy płócienne z rozcięciami na plecach. Pokutnicy przebierali się w owe kapy, wkładając je na gołe ciało. Barwna ciżba przeistoczyła się w szarą gromadę nędzarzy o zasłoniętych kapturami twarzach, z biczami w rękach. Po chwilowej ciszy znowu zabrzmiał hałas nie licujący z rodzajem miejsca: swary, wyzwiska, śmiechy, pokrzykiwania. Gdziegdzie pokrzepiano się trunkami, ktoś pijany zwałił się w kąt izby, doszło do bójki. Dwaj brodacze, „marszałkowie” ceremonii, rozdający kapy i bicz, ze złorzeczeniem wzywali do porządku. Wśród „kapników” wyróżniała się jedna postać: wyobrażający Jezusa tęgi parobczak z wielkim krzyżem drewnianym na ramieniu,

bosy, w cierniowej koronie. Dobrze już podpity, gadał sprośne żarty, za które „marszałkowie” łobzowali go biczami, przypominając świętość miejsca i chwili.

Wywiedli wreszcie „kapników” przed kościół, a ustawiwszy ich parami, wysunęli na czoło ukoronowanego cierniem parobka z krzyżem na plecach, sami zaś stanęli na końcu pokutniczej kolumny i zaintonowali pieśń o „Męce Pańskiej”.

Przy blasku pochodni „kapnicy” ruszyli z przeraźliwym śpiewem. Roztrącając stłoczone mrowie ludzkie okrążyli zabudowania klasztorne, modlili się przy „stacjach”. Ositek w cierniowej koronie, jako pierwszy w pochodzie, miał trudne zadanie. W torowaniu drogi pomagał sobie krzyżem, a nawet kopniakami. Otrzymał za to niejednego cios, ale odpłacał go z sowitą nawiązką. W drodze powrotnej przyłączyła się gromada „kapniczek”. Ci, co w przebieralni pociągnęli z flasz, zapominali się chwilami, toteż w grupie żeńskiej zabrzmiały piski, zakotłowało się nieco, poszły w ruch laski „marszałków”. W miarę jednak zbliżania się do kościoła pochod nabierał powagi i w pobożnym już nastroju śpiewał uroczyście.

Jakimowski czuł się niesamowicie. Nie tylko z powodu obrzydzenia, jakim napawała go śmierdząca, skrwawiona w poprzednich praktykach kapa. Błuznierstwa niestatecznych oburzały go lub śmieszyły, acz siłą woli narzucał sobie nabożne skupienie. Modlił się z uporem, chciał zatopić duszę w uniesieniu odrywającym od świata, ale nie mógł. Ciekawość ciągnęła jego oczy i uszy ku wszystkiemu, co go otaczało. „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu” — powtarzał bijąc się w piersi.

Weszli do kościoła o świcie.

Padłszy krzyżem parami, jak szli, długo modlili się chaotycznym, przeraźliwym szeptem. Na hasło „marszałków” uklękli. Każda para rozsuwała kapy na plecach poprzedzającej. Na gołe ciała spadły ze świstem harapy. Polała się krew, zabrzmiały przeraźliwe jęki i wrzaski. Bicze szarpały „ziemską powłokę” pokutników do żywego mięsa. Ktoś padł zemdlony w kałużę posoki na posadzce. Jednocześnie przy ołtarzu odprawiano nabożeństwo dla biczowników i gapiów. Po kwadransie na rozkaz „marszałków”

przerwano biczowanie i ułożono się znowu krzyżem do kornej modlitwy. Towarzyszyły jej krzyki bólu i jęki, płacz i narzekania.

„Kapnicy” wreszcie opuścili kościół ślaniając się i brocząc krwią. Nie wszyscy o własnych siłach. Niektórych wlekli towarzysze.

Z ubieralni Jakimowski wyszedł na zwiotczonych nogach. Strużki krwi spływały po obolałym ciele do butów. Huczało mu w głowie, serce rozpieierała trwoga. Nie było w nim ulgi ani wzniosłości, jeno zgroza. „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!” — powtarzał w kółko. Czuł straszliwą dziwność przebytej praktyki, lecz nie pojmował jej niedorzeczności. Bezsilny, osunął się na wy-gniłą trawę przed kościołem rozbrzmiewającym dźwiękiem sygnaturki i głosami ludzkimi. Zamglonymi oczyma patrzył na coraz nowe gromady „kapników” wyglądających niby widma nie z tego świata.

Przeleżał w jakiejś chałupie trzy dni i przez ten czas ozdrowiał. Pozbył się także błuznierczych myśli, oczyszczony pokutą.

Do Krakowa wrócił wynajętym wozem. Rano stanął w zajeździe.

— Odbyliscie spowiedź i pokutę? — zapytał na wstępie.

— Czekali my na waszą miłość — odparł Luba, gruby, wąsaty i brodaty szlachetka.

•— A gotowiscie do drogi?

— Nie, bośmy...

Luba nie dokończył, bo szabla pana wraz z pochwą spadła płazem na jego plecy, po czym przeskoczyła na plecy pacholców.

— A wy bladzisyny! To Najświętsza Panienska i słodki Zbawiciel będą czekać na waszą skruchę? To miast oczyścić duszę, mo-sterdzieju, bąki zbijaliście? A wiecie wy, że do Jołtuszkowa stąd daleko i roztopy, i bezdroża, i zbójców kupy po drodze? Zamiast

przygotować wszystko, na mnie się oglądacie? Żadnej wyręki, mosterdzieju! Żadnego serca dla żywiciela, co jeść daje a odziewa!

Unikali ciosów, jak mogli, biegając po izbie.

— Za kwadrans odjazd do Jakimowic! •—• skomenderował. — Musimy zdążyć na Zmartwychwstanie Pańskie!

Wymiotło ich przed zajazd.

Jechali przez Miechów, Sędziszów, Małogoszcz, Łopuśnię. Jakimowski gnał bez opamiętania, nie słuchając przestróg, że konie i wozy nie wytrzymają tak spieszного pochodu przez bezdroża.

Wiosna wprowadzie pięknie zabłysła, ale ciepło, roztopy, przelotne deszcze zamieniły ziemię w topiel kryjącą drogi, w której grzęzły konie po brzuchy i wozy powyżej kół. Wylały rzeki a strugi i trzeba je było forsować w największym mozole lub objeżdżać daleko.

Pan Mikołaj miał zrazu rozsiekać Stołczynę. W drodze zmienił zamiar. Nie mógł przecież przy krewnych prac niejako brudów domowych. A nagana i wywód szlachectwa spotykają nawet znamienite osoby. Rzecz w tym, aby się wywieść. Takie rozumowanie chłodziło gniew, ale nie zapobiegało mimowolnej abominacji do Jana.

Wściekłość pana Mikołaja osiągnęła szczyt, gdy utknęli w lasach. Wozy zapadły w błoto powyżej piast, iż konie, choć sieczone bez miłosierdzia, nie mogły ruszyć z miejsca. Była właśnie noc przed Wielką Sobotą — nigdzie żywego ducha, daleko do jakiegokolwiek sadyby ludzkiej... Jakimowskiego omal nie zadusiła apopleksja. Ryczał, bił ludzi i konie batem, kijem, szablą, szarpał wozy, jakby je sam chciał wyciągnąć z błota.

Wysłani na zwiady pacholki nie docierali do sadyb. Jeden z nich nawet zbłądził czy uciekł — nie wrócił więcej. A gdy wreszcie po południu Wielkiej Soboty Luba sprowadził pomoc, okazało się, że pojazdy trzeba gruntownie naprawiać, czego z powodu święta nikt nie chce robić. Trzeba było zatrzymać się w najbliższej karczmie, kupić nowe pojazdy, dać wytchnąć koniom i ludziom. Dopiero po świętach, w czwartek, zajechali do Jakimowic.

Żeglarze na wieść o amnestii zerwali się jechać do Warszawy.

Pan Mikołaj przy wszystkich nie mówił Stołczyni o wywodzie. Dopiero gdy go w sadzie zbywał samego, rzekł opanowując wzburzenie:

— Z tego wszystkiego zapomniałem powiedzieć, mosterdzieju, że masz się acan wywieść ze szlachectwa w asesorii.

Stołczyna stanąłby w pąsach, gdyby nie fakt, że słowa pana Mikołaja nie były dlań zaskoczeniem.

— Tak? Uczynię wszystko, co trzeba •— rzekł niedbale.

— A można wiedzieć, mosterdzieju, kędy acana włości?

w- Owszem: koło Tulczyna, Jakimowski miał wypytywać dalej, ale ponieważ zobaczył, że Stołczyna odchodzi, wściekłość go znowu ogarnęła i zawołał:

— Hola, mosterdzieju! Jeśli się dowiem, żem gościł osobę niegodną mego domu i do konfidencji ją przypuścił, a ona z niej czelnie korzystała, to, mosterdzieju...

— Nie zawracaj mi, wasze, głowy! — zawołał Jan z gniewem, odwrócił się na pięcie i zostawił starego z rozdziawioną gębą.

— Takiej fantazji u chama nie masz — mruknął pan Mikołaj. Niebawem bosmani opuścili Jakimowice.

Stołczyna jechał ponury za druhami. - Nie cieszysz się amnestią? — zagadnął go Satanowski.

— Lepiej nie zasługiwać na karę i nie doświadczać amnestii — warknął opryskliwie Jan.

Ciągnęli do Warszawy na Stąporków, Szydłowiec, Radom.

W Radomiu zatrzymali się na postój w gospodzie nie opodał trybunału. Po podwieczorku i wykurzeniu fajek poszli spać, choć jeszcze wcześniej, bardzo bowiem byli utrudzeni. Marek i Stefan natychmiast zasnęli. Janowi nie pozwoliły na to myśli.

„Tu się rozstaniem — postanowił z przeszywającym bólem. — Wcześniej czy później musi wyleźć sztydło z worka”. Już na początku -drogi zdecydował się opuścić druhów. W asesorii zostałyby uwięziony. Nie był bowiem szlachcicem! Dla niego samego stwierdzenie to było dziwne i przykre: tak przywykł do przybranej skóry. Chłop spod Bodzentyna, zostawił niegdyś we wsi Podgórze rodzinę i przypadającą na niego po rodzicach część dziedzicznej gospodarki.

Po cichu wstał, ubrał się, wziął swoje sakwy. Ze ściśniętym sercem i łzami u powiek patrzył chwilę na niewyraźne w mroku twarze śpiących kamiennie druhów. Potem spieszenie opuścił alkierz.

Wyprowadziwszy ze stajni swoje dwa konie, zawahał się jeszcze. Aż skoczył na siodło i pognał ku żółciejącym w ciemnościach okienkom niedalekiej wsi Rajec.

Przemieszkał tu parę dni u jakiegoś chłopca, któremu sprzedał jednego konia. Upewniwszy się, że druhowie pociągnęli traktem ku V/arszawie, wrócił do Radomia. Miał tu pewną sprawę. Tymczasem Jakimowski i Satanowski po przebudzeniu zdziwili się niemało, nie widząc w pokoju Stołczyzny. Zdziwienie ich wzrosło, gdy odkryli brak jego rzeczy i koni. Zapytany o Jana gospodarz odpowiedział, także zdziwiony:

— Mniemałem, że ów pan odjeżdża z wiedzą waszych miłoś-ciów.

— W którą stronę pojechał?

— Może kozienicką drogą, a może odrzywolską...

Po śniadaniu, zamiast jechać dalej, wrócili zwarzeni do alkierza, daremnie głowiąc się nad postępkim Jana. Rozdzielili się wreszcie: Stefan został w gospodzie na czatach, Marek zaś konno objechał miasto i okolice szukając .przyjaciela Na próżno.

— Może go zbójcy... Może pomocy potrzebuje. Będziem czekać, aż wróci. A jeśli nie wróci?

— Miał dość naszej kompanii, a zabrakło mu odwagi wyznać nam wprost, umknął wiec po kryjomu — osądził wreszcie Jakimowski. •—• Nawet kartelusza z wieścią nie ostawił!

Markotno im było. Bo przecie ślubowali sobie dozgonne braterstwo i szli ramię przy ramieniu ponad dziesięć lat — brzemiennych w przeżycia i ważnych niby sto zwykłych, spokojniejszych.

Po trzech dniach poszukiwań pociągnęli zgodnie z zamiarem do Warszawy.

Załatwiwszy w sądzie swoje sprawy, zapytali o Stołczynę.

Urzędnik asesorii popatrzył na nich badawczo, po czym rzekł:

— Pan Stołczyzna sam załatwi swoją rzecz. Jeśliście waszmościo-wie jego znajomki, to poradzcie mu, by jak najrychlej tu przybył. Im wcześniej, tym dla niego lepiej.

— A to dlaczego?

—•• Każdemu chyba zależy na oczyszczeniu się całkowitym.

— Zali nie możesz, wasza mość, powiedzieć nam więcej?

— Zbyt ciekawi jesteście, mości panowie. Tu panuje takowy zwyczaj, że każdy załatwia rzecz dla siebie.

Druhowie domyślali się, że Jan popadł w srogie tarapaty, skoro nie przyjechał po dokumenty i skoro asesor zachowuje się tak zagadkowo. Przykro im,było, że przyjaciel rezygnował z ich drużby a pomocy i że długie lata ukrywał przed nimi jakąś tajemnicę.

•— Wiesz co, bracie? •— zagadnął Satanowski po wyjściu z asesorii. — Pojedziem w Braclawskie: do wsi Jana. A nuż, sprzykrzywszy sobie świat, spokojnie gospodaruje...

Jakoweś wspominał Zawale, Mazurówkę i Kopijówkę. Okolice Tulczyna. Potem zajedziemy do mojej Aleksandrowki, dobrze?

•— Oczywiście! •— zgodził się Marek. — Ciekawym jej.

Pociągnęli spiesznymi pochodami na południowy wschód.

VII W Radomiu Stołczyzna wstąpił do Będzińskiego, sławnego, patrona zbiegów, nieposłusznych władzy hardoszów i „zbójów świętokrzyskich”, jak nazywano w ogóle młodź łysogórską. Jurysta mieszkał w okazałym domu koło gotyckiego kościoła bernardynów pod

wezwaniam św. Katarzyny Aleksandryjskiej. Był to jegomość pod sześćdziesiątkę, o wyglądzie rębajły sejmikowego, ale miły w obejściu.

Jan ubrał się na te odwiedziny w wyjęty z juków okazały strój. Poczekalnia patrona nabita była klientami. Młodziutki feriant wzywał ich po kolei do kancelarii mecenasa. Dopiero po dwu godzinach Stołczyzna został przyjęty, wpłaciwszy uprzednio pddka-sanemu, ubranemu z włoska dependentowi złotówkę za poradę prawną. „Oby go grom ubił! — zaklął w duchu. — Dwie dniówki cieśli, murarza!”

Będziński wyszedł do drzwi na jego spotkanie, skłonił mu się i taksując badawczymi oczyma rzekł przyjemnym głosem:

— Witam wielmożnego pana, osobliwego mego dobrodzieja. Ośmielę się zapytać: z kim mam honor?

— Jestem Jan Stołczyzna herbu „Złamane Strzemię”.

— O, bardzom uhonorowany! A skąd, jeśli wolno wiedzieć?

— Spod Tulczyna — odparł Jan, ale teraz nie miał już tej pewności siebie w wywodzie personaliów, co przed rehabilitacją.

— Taki świat drogi! Zaszczyt dla mnie gościć syna tej wspaniałej ziemi Marsa,! — patron zwrócił się do ferianta: — Podaj no gąsiorek czworniaczku! — a do dependenta: — Siadaj, acan, z nami!

— Ależ tam czeka ona wdowa, którą ksiądz biskup ruguje z gospodarki należącej do kościoła Św. Trójcy — szepnął dependent. — A za pół godziny mija termin rugów. Należałoby iść na miejsce dla przeprowadzenia wizji.

•— Dopłaciła te dziesięć złotych?

— Nie. Z czego?

— Pędź ją, asan, w diabły! — huknął patron ubogich, przeistoczony raptem z jowialnego jegomościa w karczemnego warchoła.

Dependent położył uszy po sobie i umknął do poczekalni. Stołczyzna wstał z podsuniętego usłużnie zydła i rzekł:

— Dzięki za poczęstunek, ale mi spieszno, muszę więc odmówić.

— Ach, jakże mi przykro!

— Wyłuszczyć sprawę na poczekaniu. Otóż przed dziesięcią laty zbiegł mi poddany, wonczas szesnasto-siedemnastoletni, do Inflant. A ninie, imaginuj sobie, mości mecenasie, wraca do mych dóbr.

— No to doskonale!

— Owszem, ale chcę go ukarać •—• powiedział Jan z wahaniem. Będziński z płąści sekretary wziął do rąk grubą księgę, otworzył ją na zaznaczonym skórzaną wkładką miejscu i objaśnił:

— Konstytucja z roku 1588 powiada, że przedawnienie w sprawie zbiegłego chłopca następuje po dziesięciu latach, jeśli umknął na Litwę. Jednakże gdyby uszedł bardzo daleko, wolno go tam poszukiwać w ciągu dwudziestu lat. A czeladź zawsze.

— Mój chłop był w Inflantach na służbie morskiej, potem na Rusi, także wojskowo sługując, aż wreszcie w armadzie puckiej.

— Toż zuch nad zuchy! — zawołał zdumiony jurysta. — Mówiąc między nami, ogromnie zgłupiał, że po takowych przewagach wraca w poddaństwo, pod kije. Aliści ad rem. Nie potrzebujesz go waćpan karać za zbiegostwo, skoro wrócił. Bo żadna z tego korzyść dla nikogo. A z chłopca może być pożytek. Przyjmij go wasze w poddaństwo, jakby obcego, na nowe kondycje. Później zaś swoją patrymonialną władzą ukarzesz go wedle woli pod jakimkolwiek pretekstem.

•— To on już pozbył się poddaństwa względem swego pana?

— Poniekąd. Ale kto chce psa uderzyć, kij znajdzie: w zasadzie pan jego, opierając się na konstytucji z 1588 roku, może go odzyskać w poddaństwo i nawet przed sądy pozwać

dowódców, co zbiega przetrzymywali. Mało kto jednak ochotny włóczył się po sądach, i to przeciw magnatom. A że na hultajstwo czy do „swobód” ukraińskich, wolnych na lat dziesięć i dwadzieścia od powinności, ucieka mnóstwo poddanych, każdy pan „nawróconego” zbiega przy- 7 — Kawaler złotej ostrogi — mię polubownie, bez mściwości, na rolę. A ma jakoweś zasoby ów zuch?

— Ma coś tam.

— Pomyśl, waszmość: może wykupi się z poddaństwa i dla was-cię popłatne będzie dać mu libertację. Czasami lepsze to niż robocizna całej rodziny chłopskiej. Znam wypadek, że pewien wielki pan ogromnie zbogacił na takowych libertacjach „za sprawiedliwą zapłatę”. Dziwisz się, waszmość? Z czego ludzie nie czerpią korzyści!

Jan wyszedł od jurysty niespokojny. „Po kiego czarta jam tu, w Sandomierskie, przybył? Chłopem wszędy mogę ostać i na lepszych kondycjach niż tutaj. Alem głupi!” — wyrzucał sobie. Jednocześnie wszakże rysowały mu się w głowie pewne plany.

Czujny niby zwierzę, zauważył sprzed domu, że patron śledzi go przez okno, a jego pacholek wybiega na ulicę. Coś go tknęło.

Trafnie. Bo po wyjściu Jana patron polecił pacholekowi:

— Bieź na posterunek straży miejskiej i wskaż tego obiboka! „Chciał mi oczy zamydlić — myślał — mnie, staremu wydze!”

Przez takowych w Eadomskim brak nieraz żywności, bo z ról pańskich uciekają i nie ma komu robić. Jeśli prawda, co mówił, za dwadzieścia złotych wybroniłbym go. Przedawnienie tu wszak zachodzi”.

Tymczasem Jan pozwolił pacholekowi oddalić się od domu. Dogonił go dopiero na pustej drodze, omotanej zaroślami, schylił się z konia, porwał chłopaka na siodło i dłonią zatkawszy mu usta pogalopował za miasto. Puścił go dopiero o milę od Radomia i rzekł:

— Zapowiedz swemu panu, że mu kiedyś gnaty policzę. Kłusował dość długo. Dopiero zagłębiwszy się w bory jodłowe, jakie oddzielały Radom od Łysogór, zwolnił i jechał dalej stępą, rozmyślając: „Skoro mam przyjść do statku, to ze wszystkim. Wrócę do Podgórze, pogodzę się z panem, a potem wykupię z poddaństwa. Wszystko wedle prawa, by już niespodzianek nie było. Jako wolny człek, z czasem się prawdziwego szlachectwa dochrapię...” Miarowy, kołyszący chód konia usypiał, tym więcej że szumiał las i słońce wiosenne przygrzewało. „Trzeba się ustatkować, ożenić...” ciągnął Jan coraz sennie. — „Ożenić...” Zakłuło go to słowo, gdyż wiązało się z wyobrażeniem Wandy Jakimowskiej, niedostępnej już dla niego teraz. Za bardzo zasmakował w tamtym, bezprawnie używanym świetle, by mógł być szczęśliwy w tym, przyrodzonym, do którego przykuwało go pochodzenie. „Zali zdzierzę upokorzenia, jakie mnie spotkają, odwykły od ich znoszenia?” — pytał siebie. Od Bodzentyna do zagrody Stołczynów w Podgórzu, między Mokrym Borem a Psarską Górą, było ledwie ze cztery wiorsty. Ale na tym krótkim odcinku długiej drogi Jan doznał najsilniejszych wzruszeń. Aczkolwiek gnał na złamanie karku do rodzinnej wioski, przecie zdążył nalubować się drogimi widokami.

W Podgórzu zza płotów śledziły go mnogie oczy. Wyglądał nader pańsko w podbitej futrem bekieszy żółtej z błękitnymi potrzebami i czarnymi wyłogami, w magierce i tekinowych butach, na objuczonym koniu. Ale bał się, że wypadnie trefnisiem na za-gnojonym podwórku ojcowizny, w porównaniu z ziomkami w siermięgach i łapciach.

Do domu wszedł zniecka, przez nikogo nie zauważony. Zastał bratową Balbinę, pięcioro dzieci i starą babkę Balbiny.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł drżąc. Baby nie poznały go zrazu. Bratowa oderwawszy się od koryta, w którym mieszała żarcie dla świń, podeszła blisko do przybysza.

— Ołaboga! Dziewierz przyjechali! — krzyknęła.

— Prawda — potwierdziła babka.

Po okrzykach pełnych podniecenia nieśmiało się jakoś witali. •— A gdzie Franek? — spytał o brata. Dostrzegłszy osobliwe spojrzenia niewiast spytał krótko: — Kiedy pomarł?

— Półpięta roków temu — odparła Balbina — na suchoty...

Rozdał przywiezione jako gościniec słodycze a podarunki babom i dzieciom. Ogarnęła go taka żalność za bratem i utraconym trybem życia, taka niechęć do powrotu na nędzę wieśniaczego bytowania, do zaduszonej chałupy i zabiedzonych ziomeków, że bliski był ponownej ucieczki — na zawsze. Ale opamiętał się.

— Tak długachno dziewierza nie było, że cała gospodarka przęsała na mnie i na dziecku — oświadczyła Balbina z wahaniem i obawą, by nie dochodził swoich praw do części majątku.

— Nie bój się, nie mam pretensji — odparł.

?*

Uradowana, jęła mu dogadzać w jadłach i napitkach, wdzięczyć się. Dorodna jeszcze była •— rumiana, bujna w kształtach, jak mało która wieśniaczka w jej wieku: trzydziestu lat. Gdyby nie to, że bratowa, Jan pomyślałby o osłodzeniu sobie nią gorzkiego życia, jakie stało się przed nim: niby stare, w dawnych koleinach, a nowe.

Rychło o powrocie Jana zwiedziały się druhy z dawnych lat. Przyleciał więc Kuba Łakomic, Walek Bystroń, Tomek Safian, Stach Koza i inni. Jan posłał do karczmy po gorzałkę, Balbina usmażyła jajecznicy, uwarzyła krup. Przy wódce druhowie wyznali, że chodzą na rozbój po całych Łysogórach, a nawet ku Podhalu. Ale stateczny Bystroń zachwalał robotę w kopalniach a kuźnicach Samsonowa, Miedzianej Góry, Radostowa, Chęcina a indziej, albo po prostu u biskupa w Bodzentynie. Stołczyńskie, zawsze tak ochoczemu do pijatyki, nie szła dziś wcale biesiada. Toteż rychło pozbył się gości i położył spać w pierwszej izbie na wiązce słomy, rozłożonej w kącie klepiska, podczas gdy rodzina zajęła posłania w drugiej izbie. Janowi do rozboju czy roboty w kuźnicach nie było pilno. Nie chciał hazardów. Myślał o ustaleniu życia na roli, jakby zapomniał o niedolach chłopskiego stanu, co go wyгнаły niegdyś z Podgórze w świat. Ale wspomnienie o druhach czy Wandzie kłuło boleśnie. Trzeba się ich wyrzec. Gdyby wiedzieli, kim jest naprawdę! Co myślą o jego ucieczce i jak postąpiliby w razie spotkania? Dziwne! Udawało się szlachcica i czuło nim, a po powrocie do własnej, chłopskiej skóry czuje się człowiekiem obco, jakby udawał. Jakże źle wyzbyć się przynależności do swojego stanu, a nie zdobyć jej do innego. Tak dobrze było potad! Przygody, trudy, niebezpieczeństwa, gdy im towarzyszyło poczucie wolności, to był urok żywota. A tu? Z szeregu równych sobie druhów idź pod kije dworskie! Z podziwanego rycerza zamień się we wzgardzonego parobka! Dawaleś krew ojczyźnie, za to ci w kunie zapłata będzie, jeśli na jotę zapomnisz, kim jesteś. Najboleśniejsze było wspomnienie o Wandzie. Nie myśl o gwiazdach, siermiężny pachołku!

Mijał dzień za dniem, a Jan nie brał się do niczego. Dawnych druhów zraził rzekomą pychą, Balbinę — obojętnością na jej umizgi, babkę zaś — nieróbstwem. Choć sypał podarkami nad pojemność swej kabzy, był przecie uciążliwą „gębą do miski”, skoro nie kwapił się do roboty ni do baby, którą po prostu Pan Bóg raił. Radziły mu przeto uprosić dziedzica, pana Duczymińskiego, o nadanie jakiejś działki gruntu. Sam zresztą postanowił zabiegać u dworu o kawał jałowego pola, który sobie upatrzył. W samą porę. Dworusy bowiem wytropiły obecność Jana w Podgórzu i doniosły Duczymińskiemu. Mogło to być niebezpieczne, bo gdyby nawet „przedawnienie” zabraniało dochodzić niegdysiejszego zbiegostwa, to inne prawo, prawo przeciw hultajstwu, nakazywało pojmać plebejusza bez zajęcia czy libertacyjnego dokumentu.

Stołczyzna zaczął od pojednania z Panem Bogiem, by z panem dziedzicem pomyślniej załatwić.

Przed zamierzoną spowiedzią poszedł do Wilkowa, gdzie był drewniany kościółek parafialny i proboszczował nie znany Janowi, bo niedawno osadzony na parafii, ksiądz Tur, ponoć chłopski orędownik.

W Wilkowie Stołczyna długo patrzył na Łysicę uwieńczoną rumowiskiem gołoborza, osnutą mgłami w dzień pochmurny, przypominając sobie chłopięce wyprawy z bratem na jej wierzchołek i w puszcze.

Plebania, przyparta do usypu głazów, wyglądała na pustą. Dopiero w ogrodzie zobaczył Jan grubasa lat pięćdziesięciu kilku, odzianego po włościańsku w parciane ubranie i kopiącego łopatą ziemię. Był to ksiądz Tur — nomen omen — chłop turzej postury.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Pleban podniósł się znad łopaty i odrzekł głosem rubachy:

— A niech będzie, jeno nie samą gębą, ale i sercem. Ktoś zacz? Ach, to ty, bracie, tatarska doło! Widuję cię w kościele, owszem, aliści u spowiedzi jeszcze nie byłeś. Dlaczego?

Wytłumacz się!

Jana zmieszały te słowa, acz życzliwe. Pocałował Tura w rękę.

— Niedawnom przybył w te strony — odparł.

— Ejże, tatarska doło! Jużem cię z ambony dawno w tłoku wyłowił: mojemu oku nic nie ujdzie, a tym bardziej taki chwyt, któ-ren, tatarska doło, żołdatem z daleka pachnie. Co, zgadłem? Gada j że!

— Tak, wasza wielebność.

— A widzisz, tatarska doło! — pleban ze śmiechem wycierał dłonie o portki. — Ja też byłem żołdatem. I dlatego drugiego żoł-data na miłe wyczuwam. Po ruchu, po kroku, po przyklęknięciu i nakładaniu czapki. Żołnierka na całe życie zostaje w człowieku, choćby przy kądzieli siedział i babskiego przyrodzenia dostał. No, tośmy z jednego krza szyszki, co?

— Ano, niby tak — rzekł Jan chichocząc, ośmielony już.

— Na żołnierzaś za cichy. W izbie cię rozruszam. Dobroduszny rubacha mimo otyłości miał krok i ruchy jak na placu ćwiczeń. Zaprowadził Jana do pokoju, w którym na stole obok krucyfiksu stał gąsior z winem i szklanki. Nalał.

— Pij! — skomenderował, a po wypiciu spytał. — Jaki pułk? Mimo woli Jan omal nie stanął na baczność.

— Bosman armady puckiej króla jegomości! — zameldował.

•—• Co takiego? Bosman? Fiuuu! A ja byłem husarzem. Ostatnio z panem hetmanem Chodkiewiczem bijaliśmy, tatarska doła, Szwedów pod Kircholmem, a przedtem z Janem Zamojskim świętej pamięci — kogo popadło.

Wypili kilka szklanek. Poweseleli, rozgadali się na dobre.

— No, toś mi się z gruba wypowiedał. Reszta jutro w konfesjonale. A ninie mów, coc sprowadziło. Prędko, bo zaraz moi domownicy z pola wrócą i rejwach tu nastanie jak na targu.

Dowiedziawszy się, o co chodzi, ksiądz przyrzekł protekcję. Stołczyna ukląkł nazajutrz u konfesjonatu i po krótkiej spowiedzi, ponaglany przez spowiednika, otrzymał rozgrzeszenie.

— Ciężko grzeszyłeś, tatars... e-hm... zbląkana duszo, aliści nieprzebrana jest łaskawość Dobrotliwego Ojca. A teraz idź do komunii świętej. Co zaś dotyczy one j sprawy, to bądź jutro we dworze.

Idąc do dziedzica nazajutrz Stołczyna mijał na rozstaju kapliczkę przydrożną z figurą św. Izydora Oracza, niedawno kanonizowanego patrona rolników. „Opiekunie święty, obrzydź mi zło i nie-statek!” •— wymamrotał. Nagle opuściły go resztki pokory: „Jeśli mi nie pomożesz... niech się dzieje, co chce, kula mi w łeb! Dostanę gospodarkę, to ci drugą figurę na Miejskiej Górze postawię. Nie dostanę, to pewno znać mnie nie chcesz i potępienie dla mnie wraz z Najmłodszy Panem Bogiem gotujecie. Wszystko więc mi jedno będzie: pójdę z Łakomcem na rozbój i nigdy już świeczki do kościoła nie kupię, bo potępińcowi to i nawet nie uchodzi”.

Duczymiński, zażywny jegomość po pięćdziesiątce, dziedzic obszernej enklawy w dobrach biskupa krakowskiego, już czekał.

Chociaż Jan, hardy z natury i do szlacheckiego trybu życia nawykły, bez czołobitności, bez rąk całowania, jeno umiarkowanym ukłonem witał „przyrodzonego pana” i bez skruchy mówił o swym zbiegostwie, szlachcic, wysłuchawszy jego prośby, powiedział łaskawie:
— Niech przeszłość i wszelkie niesmaki pójdą w niepamięć. Dam ci wygon koło Psarskiej Góry.

— Dzięki —• wycedził skąpo Jan. Już to, że mu zamiast „wać-panie”, do czego przywykł, mówiono per „ty”, bolało go jak dźgnięcie szpilą. A gdy nastąpią inne, o wiele cięższe upokorzenia?

— Masz pieniądze?

— Nic prawie — skłamał Jan.

— No to z czym zaczniesz? Niewieleś w świecie zwojował. A rodzinę masz?

—• Gdy się obstanowię, to pomyślę o ożenku.

— Bez pieniędzy i rodziny naszarpiesz się i nic nie zdziałasz. „Wolę” ci dam na trzy lata. Gdybyś mi zapłacił, puściłbym ci wygon dziedzicznie i dał „swobodę” na dziesięć czy nawet dwadzieścia lat, jak dają w królewskich.

— Mam konia. Gdyby wasza miłość raczył użyzyć mi na pewien czas narzędzi, wozu, ździebko ziarna do zasiewu i budulca, tobym wszystkiemu podołał, bo mam w sobie dużo ochoty.

— Francie! Chcesz za wiele! Aliści dobrze. Próbuj. Ponieważ po jedenastu latach na nowo musimy postanowić układ między mną, panem twoim zwierzchnim, a tobą, moim poddanym, przygotowałem dwa dokumenta, które w grodzie oblatowane zostaną. Umiesz czytać?

— Oczywiście.

— Tedy przeczytaj sobie ten akt i podpisz go, jeśli potrafisz. Warunki, na jakich dziedzic puszczal mu. ćwierćłek ziemi u podnóża Psarskiej Góry, Stołczyna podpisał po wniesieniu poprawek, które trafnością zdumiewały szlachcica. W miarę czytania drugiego dokumentu rumieńce ciemniały mu na twarzy coraz silniej.

Ja, niżej podpisany robotny Jan Stołczyna z Podgórza, przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Sw. jedynemu, a zdrowy będąc na ciele i umyśle, jasno i dobrowolnie zeznawam, że od dnia dzisiejszego, 5 maja roku Pańskiego 1619, wiernym poddanym wraz z przyszłą żoną i dziećmi dla ważnych przyczyn po wieczne czasy chcę ostać u Jaśnie Wielmożnego Pana Wojciecha z Radostowa Duczymińskiego, na potem zaś — u potomnych dziedziców państwa podgórskiego sprawiedliwie służyć pragnę, wszystkie robocizny i powinności wedle prawa odprawiać będę. Władzy przyrodzonego Pana Jego Mości nie z musu ni strachu, ale z dobrej woli mojej poddaję się na wieczne czasy. Z dóbr powyższych nigdy nie odejdę ani żadnej niechęci czy zdrady względem wymienionego Jaśnie Wielmożnego Possesora i jego Spadkobierców nie poweźmę.

Upraszam, aby zeznanie moje do ksiąg grodzkich opatowskich przyjęte było. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący i Syna Twego niewinna męka.

Stołczyna aż spotniał z wrażenia czytając ten czartowski cyrograf, którym miał zaprzedać w powtórny niewolę swoje bujne życie.

— Tego nie mogę podpisać — rzekł wzburzony.

— Jak to? — zdumiał się Duczymiński.

Niecierpliwiła go już przewlekła rozmowa, bo śpieszył się na ucztę do biskupa, który właśnie w zamku bodzentyńskim bawił.

•— Ja o czym innym zgoła myślałem — wyjaśnił opanowując się Jan. — Prosiłem waszą miłość o działkę do uprawy na jakiś czas i później poproszę o libertację za słuszną i sprawiedliwą zapłatą.

—• O, to jednak masz pieniądze!

— Może bym i ten wygon w dziedziczne posiadanie z czasem kupił, gdy z nieużytku zamienię go w żywną rolę...

Dziedzic dziwował się wielce. Ale że mu się ziemia pod nogami paliła z powodu owej biskupskiej biesiady i na gwałt potrzebował gotówki, przystał na propozycje. A choć mu się diablo nie podobał brak należytej uwagi w zachowaniu się chłopca, zrezygnował z zamierzonego na początku ukarania go chłostą. Jakoś — poza wszystkim — nie śmiał źle traktować tego podpaniałego świa-towca.

Przy pomocy dworskiego oficjalisty spisali umowę na trzy lata.

W drodze powrotnej do domu Stołczyzna spotkał koło figury św. Izydora na rozstaju księdza Tura. Podziękował mu za protekcję.

— Erygujesz, chłopcze, nową komorę budowli społecznej — z przesadną powagą rzekł pleban. — Oby ci niebiosy błogosławiły! Pracuj, zdobywaj — żeń się, rozmnażaj! Miej nade wszystko to na uwadze, czemu ów święty oracz — proboszcz wskazał posąg św. Izydora — dał swym żywotem świadectwo: pokorę, nabożność, pracowitość. I on był włościaninem. Pana swego miłował i był mu posłuszny, za co świętym ostał. Bo im większa na ziemi małość, tym poważniejsze w niebie znaczenie. Należysz do bractwa św. Izydora Oracza, którem założył przy naszym kościele? •r— Nie.

— Przystap tedy, tatarska doło! Tam się nauczysz, że trzeba „szczerym sercem i z chęcią zwierzchności, tak duchowej jako i świeckiej, oddawać miłość, cześć, posłuszeństwo i podatki powin-ne, niby samemu Panu Bogu, na ich żywot zły albo dobry żadnego względu nie mając” — wyrecytował ksiądz i odsapnął, jakby pozbył się ciężaru. — Kiedy się żenisz? Chciałbym, póki żyję, ślub wam dać, z mendel dziatki pochrzcić. A już mi niedługo na świecie.

— Toć ksiądz dobrodziej, z przeproszeniem, jak koń flamandzki.

— A ty, tatarska doło! Chciałbyś Panu Bogu dyktować, kiedy mi odwrót stąd ma otrąbić? Może On olbrzyma uczynić chuchra-kiem, a chuchraka osiłkiem. No, dosyć! Pomóż mi dosiąść konia, bom po kluskach mojej Tekli, gosposi, przyciężki.

Ksiądz gwizdnął trzy razy, a na ten znak wypadł z zarośli okul-baczony gniadosz i przykłusował do niego.

•— Wytresowany, co? Pod Kircholmem nosił mnie na Szweda, staruch: już mu dwadzieścia lat. No, bywaj zdrów, tatarska doło!

Pleban puścił się truchtem do Wilkowa. Jan z zachwytem popatrzył za nim. „Sam bym chciał ostać takowym księdzem” — pomyślał.

W środę, kiedy dzień targowy w Opatowie, Stołczyzna pojechał z dziedzicem na obiatę umów w tamtejszym urzędzie grodzkim.

W wiosennej dołomie z zielonego falendyszu, w wysokich butach i czarnej magierce, przy szabli, na koniu — niczym nie przypominał chłopca i dodatnio wyróżniał się spośród świty Duczumiń-skiego. Ten upodobał sobie w pełnym fantazji kawalerze i namawiał go do wstąpienia na dworską służbę w drużynie zbrojnych, jaką utrzymywał. Jan nie odmawiał, ale myślał: „Nie chcę osta-wać służalcem”.

W grodzie długo musieli czekać.

Urząd zapchany był interesantami. Załatwiano tu wpisy do ksiąg publicznych i wypisy dekretów, manifestów, relacyj pozy/ów, sporządzano kontrakty kupna i sprzedaży dóbr, zastawów i arend, długów i pożyczek, zapisywano posagi, darowizny i spadki, rejestrowano przywileje królewskie i nominacje na urzędy, sądzono zwaśnionych i przestępców. Komnaty i korytarze roiły się od palestry różnej maści: napuszonych patronów i sędziów, czujnych dependentów, intrygantów i pisarzy, unizonych i zastracha-nych woźnych i feriantów...

W jednym z pisarczyków Stołczyzna poznał ze zdziwieniem swego rówieśnika z Podgórze, Michała Dudę. Zagadnął go jednak dopiero po wyjściu dziedzica, którego Duda pożegnał najuniżeń-szym rąk całowaniem. Zza drewnianej barierki, dzielącej pokój, szepnął:

— Kłaniam ci, Michale!

Duda pogardliwie wydał wargi, palcami strzepnął ze swej aksamitnej dołomy niewidzialny pyłek i wyrzekł bez pośpiechu:

— Waść do mnie mówisz?

Jan poczerwieniał na to dictum. Ale puścił despekt mimo uszu.

— My z jednej wioski. Druhami byliśmy — rzekł z głupia frant.

— Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

— Niby tak. Aliścim rad, że...

— Nie masz się'znowu czego radować.

— • Wasza miłość wysoko zaszedł, to i nie dziwota, że chudopa-chołka nie pomni — powiedział Jan z udanym podziwem. — Nawet z takowego jak Podgórze gniazda może wyfrunąć górny ptak.

— No, nie najgorsze to gniazdo — odparł Duda już nieco łaskawiej. — A ciebie pomnę, owszem... Co to ja powiedziałem? Aha, że cię pomnę. Skoro zaś pomnę, to i coś ważnego mogę ci wyjawić, jeno wyjdźmy stąd. Skończyłem urzędowanie. Odprowadź mnie doma, zacny człeczce, to pogawędzimy. Mieszkam przy ul. Sandomierskiej.

Śmieszna była ta łaskawość pisarczyka. Jan nie wiedział, jak go tytułować: per „ty” czy per „waćpan”, skoro on „tykał”.

Na ulicy Dudzie czapkowano z rewerencją. Puszył się, nadymał, spoglądał na ludzi z góry, spod przymkniętych powiek, uniósłszy trochę brwi. Nie miał jeszcze własnego pojazdu ni służby, ale przed Stołczyną szedł o pół kroku, jakby przed sługą. Coraz odwracał głowę i rzucał doń jakieś słowo, które uważał za ważne.

— Okpiono cię, człowiecze, aliści... — zaczął raptem, i spojrzał na szynk przy trakcie — ...może coś dla ciebie wymyślę.

— Zapraszam waści na szklaneczkę — pośpieszył Jan zrozumiawszy jego spojrzenie na wiechę. — Napij się, wasza mość, z chudopachołkiem, a wdzięczny za ten honor będę.

Duda podniósł brwi wyżej niż zwykle.

— Napiję się, mój drogi — odparł z monarszą łaskawością. Stołczyną nie był pewien, czy wytrzyma długo w tej roli. Szynk nabity ludźmi huczał pijackim zgiełkiem. Nigdzie nie było wolnego miejsca. Ale szynkarz na widok Dudy wybiegł z za szynkwasu i zaofiarował mu stół w alkierzu przeznaczonym dla „śmietanki”.

— Wielmożny pan mecenas raczy? — pytał zgięty w pół. Przy gąsiorze i jadle Duda zstąpił jakoś z piedestału.

— No, kto mnie okpił, mości mecenasie? — pilił Jan. Duda zaśmiał się i odpowiedział bez pośpiechu, nie na temat:

— Zaraz, pomału. Nie jestem mecenasem dopóty, dopóki szlachectwa nie uzyskam. Jam pisarz grodowy. Aliści nie narzekam. Zamierzam nawet nabyć Jałowęsy. Jeno mi nobilitacji potrzeba. Bez szlachectwa przecie nie wolno posiadać ziemi. A wiesz, jakem się wyuczył? Wykorzystałem to, że wolno jednemu synowi chłopskiemu z całej wsi iść na naukę do miasta: do szkoły czy rzemiosła a indziej. Ojciec mi nie bronił, lubom potrzebny był doma. No i ciągnę ten wózek, jak widzisz, niezgorzej. Trzeba jednak na to głowy nie lada!

W miarę spijania trunków przechwalał się coraz bardziej. Mówił wyłącznie o sobie, Stołczyny nie dopuszczając nawet do głosu. Na ponawiane pytania o „okpienie” zwlekał z odpowiedzią, jakby chciał najwięcej napitków wytrąbić przed ujawnieniem „tajemnicy”.

— Zaprosiłeś mnie, aliści ja płacę, bo mi nie honor pić za chu-dopacholskie pieniądze... — patrzył na Jana osowiałym wzrokiem. — Pytasz, kto cię okpił? Dziedzic cię okpił, duraku!

— za wołał nagle z pijacką zaczepnością. — A możeś sam ponownie łeb w jarzmo podał? Byłeś durniem i jesteś. Słyszałem o tobie, gamoniu. Na wojnie nadstawiałeś łba za panów, a tutaj ten łeb, ledwie ocalony, w jarzmo wraziłeś. Tfu! I właściwie dobrześ zrobił, bo co osłu po łbie...

Stołczynę bardzo już świerzbiała ręka.

— Zapisaleś się do służby u dziedzica na trzy lata! Po kiego czarta na trzy? Swiatowiec niby, a ni be, ni me! Pan Duczymiński łakomy na poddanych, bo mu wielu ucieka na Ukrainę: tam panowie dają swobody, by chłopami osadzić swoje bezludne dobra. Kiedyś to mu połowa chłopów uszła. Jego szczęście, że z Wielkopolski trochę włościan przybyło, też zbiegów: tam pono gorzej chłopom. Łapie więc, kogo popadnie. A że lubi pohulać, goni za dochodem i poddanymi. Ciebie też złowił. I nie puści! « • — Jak to? Za trzy lata odejdę, jeśli zechcę.

— Cha-cha-cha! Gamoniu! Odejdiesz chyba po to, żeby cię wszyscy starostowie ścigali. Bo to już nie czasy sprzed jedenastu lat. Kiedyś zbiegł, dziedzic machnął ręką. Po drugie, wiele nowych konstytucyj na zbiegów wyszło... Można by nawet wyszukać przepisy, że twoje zbiegostwo uległo przedawnieniu, żeś już nie poddany Duczymińskich. Czyj przeto? Niczyj, „luźny”, „hultaj”. A na takowych są srogie przepisy prawne. Ja wiem, ponieważ ustawnie mam do czynienia z tymi sprawami. Jeden tylko przepis przytoczę, a brzmi on plus minus tak: żadnemu panu nie wolno cierpieć w swym majątku hultaja, jeśli on na roczną doń służbę nie przystanie; w miastach zaś aby ich urząd do trzeciego dnia nie cierpiał; jeżeli się hultaj we wsi lub mieście najdalej w dwie niedziele po Godach nie urządzi przynajmniej na rok, tego trzeba imać i okować aż do Godów następnych.

— Jam się wszak urządził na trzy lata.

— Właśnie! Tutaj cię dziedzic podszedł. Założmy nawet, żeś po przedawnieniu wolny. Aliści dłuższe nad rok i sześć tygodni przemieszkowanie takowego „wolnego” hultaja w jednej wsi grozi mu „zasiedzeniem”, a więc ponownym poddaństwem. Pan Duczymiński już się o to wystara, by cię straż starościńska pojmała, gdybyś zbiegł powtórnie z Podgórze.

Stołczyną zapłonał na gębie i krzyknął:

— To dlaczegoś mnie przed obiata nie uprzedził, baranie?

Palestrant osłupiał. Udana czołobitność Jana brał dotąd za dobrą monetę. Zląkł się osiłka, wyrzeczniał.

— Pan Duczymiński był przy tym, więc mi było nijak — bąkał. — Nie wadźmy się, Janie! Daj pyska! Druhyśmy od kołyski!

Stołczyna pomyślał, że dobrze mieć w Dudzie sprzymierzeńca.

— Kula mi w łeb, daj gęby! • — • zawołał, a wyczałowawszy się z kauzyperdą zapytał: — Ale jaka rada na moje zmartwienie?

— Pan Duczymiński stale gotówki potrzebuje, nie tylko pańszczyzny — odparł Duda. — Jeśli masz pieniądze, wykup się z poddaństwa. Szkoda, żeś od razu tego nie uczynił. Jan podпиты kłusował wieczorem do domu z zamiarem ponownej ucieczki z Podgórze. Ale gdy przez drogę otrzeźwiał, powiedział sobie stanowczo: „Wszystko zgodnie z prawem! A potem w świat!”

Nazajutrz o brzasku wziął się do roboty na wygonie.

Pole zarosło krzewami, zarzucone drobnym kamieniem, pokryte odziemkami drzew po wyrąbanym lesie, wymagało mozolnego kar-czunku, wywózki karp i gładów, obfitego nawożenia i głębokiej orki.

Noc wyganiała Stołczynę na wyrębę, noc przyganiała go do domu. Schudł i szerniał, zajeżdżał konia i sprzęt. Za resztki łupu kupował potrzeby. Z dworu otrzymał pomoc na duży odrobek. Krzepiony nadzieją, zacisnąwszy zęby, nie ustawał w bolesnym trudzie. Zdawał się przeistaczać z zamiłowanego obieżyświata w żadnego stałości chłopca i zapominać o dolegliwościach włościańskiego stanu. Czasem odwiedzał go ksiądz Tur i po swojemu dodawał otuchy. Czasem pokiwał nad nim głową dziedzic. Czasem pokpili zazdrośni chłopci. Aż przy pomocy Kwaśnika, cieśli z Wilkowa, wystawił chałupę, sklecił sprzęty, po czym przeniósł się tu i na oczyszczonym półku jał zakładać ogród warzywny, uprawiać rolę pod zboże. Dopiero teraz przydały mu się nauki brata Franka, starownego rolnika.

— Walnyś gospodarz! — podziwiał ksiądz Tur. — Kto cię, piorunie, tak wyedukował i kiedy?

— Brat nieboszczyk. Przed wojskiem. Nikt mu w okolicy pro-fesją rolniczą ni różnymi rzemiosły nie dorównał.

Dość często gawędzili. Przeważnie o wTojaczce. Pleban bowiem, acz zmienił pancerz na sutannę, żył ciągle żołnierką. Jowialny człek, Ignącego doń osadnika czasem nawet w domu ugościł.

Kiedy tak raz siedzieli przy wieczerzy, nagłe stukanie w okiennicę poruszyło domowników. Z kuchni nadbiegła wylekła gospodyni.

— • Zbóje! — szepnęła. — Co czynić?

— Otwierać, tatarska doło! — huknął pleban. — Jeśli ty dry-fisz, ja pójdę. Czy to aby nie Skoruta?

Wyszedł do sieni, a Jan podążył za nim — na pomoc w razie potrzeby. Pleban nie był zadowolony z jego skwapliwości.

— Sam sobie ppradzę — burknął bez zwykłej dobroduszności. Otworzył drzwi. Buchnął przez nie ostry, ale ciepły wiatr z gór.

W ciemności nikogo nie było widać.

— Hej, kto tam? — zawołał ksiądz. — Zali to ty, Skoruta?

Od okiennicy, w którą kołatano, przyczłapał zataczając się szlachcic, odziany w złachany kontusz i sfatygowane buty.

— To ja... ipp... • — oznajmił czkając — Adaś Skoruta... Niech będzie,, ipp, pochwalony... Nie gniewaj się, wuju...

— Łotrze! Pijanico! — powitał go' pleban. — • Wchodź, łajdaku! Przekraczając próg Skoruta zawadził butem, zwałił się ciężko pod nogi wuja i natychmiast usnął.

— Świnia! — mruknął proboszcz podnosząc krewniaka bez najmniejszego wysiłku. — Otwieraj drzwi! — rozkazał Stołczynie.

Zaniósł Skorutę do swej sypialni i położył go na ławie.

— Hej, Tekło! Tekło! Pościel no łóżko! — zawołał.

Gdy gospodyni spełniwszy polecenie wyszła, z pomocą Jana rozebrał Skorutę i położył go pod pierzyną. Długą chwilę z głębokim smutkiem przyglądał się urodziwej twarzy śpiącego ciężko człowieka, niespełna czterdziestoletniego, nim z Janem wrócił do stołu.

— Ależ z waszej wielebności osiłek! — podziwiał Stołczyna. — Takowego chłopca dźwignąć niby piórko, bez trudu, no-no!

i— Dwu nas było w dywizji hetmana Chodkiewicza: ja i pisarz polny Łącki, który wołu obalał, kark mu złamawszy. W kircholm-skiej potrzebie udo miał od postrzałów poszarpane, a jeszcze ponad dwie mile pędził Szwedów. Ja Dunaj w pełnej zbroi przepłynąłem podczas wyprawy świętej pamięci hetmana Zamojskiego do Wołoch.

Po długiej zadumie pleban odezwał się znowu:

— Takowy Skoruta. Człek zacnego rodu, „Korcakiem" jako i ja się pieczętuje. Miał żonę, dzieci, majątności. I co? Kostera, pijanica, rozpustnik, bluźnierca! Dobra przehulał, żona z dziećmi go porzuciła, wierzycciele ścigają... Ruina, ruina! Pijaństwo — przypadłość okropna! Ten człowiek upadł na dno i nikt go nie podniesie...

Jan już przedtem widywał Skorutę po różnych szynkach. Człek ów zapijał się stale, często leżał w rowie lub rynsztoku, sypiał po przedsionkach gospod, żebrał niemal. Mówiono, że zrujnował nie tylko siebie, ale i księdza Tura, który na niego stracił majątek.

„Skoruta gotów na wszystko dla pieniędzy" — ta myśl nie dawała Stołczynie spokoju.

VIII Mimo długich poszukiwań nie znaleźli dóbr Stołczyny koło Tul-czyna. W różnych zaś urzędach zapewniano ich, że w Braclaw-szczyźnie całej nie ma rodziny o tym nazwisku.

— Co to znaczy? — głowili się zdumieni. — Okpiłby nas brat ślubny? Jakąż tajemnicę miał przed nami?

Nawykli do sponiewieranych, ciemnych pańszczyźniaków, nie mogli domyślić się chłopca w Stołczynie, człeku pełnym fantazji. Przed laty, gdy zdruzbili się jako jungowie we flocie inflanckiej, nie znali się na tym, że Jan jest razowym, lubo roztroprnym chłopakiem, nie umieli wysledzić, jak z czasem nabierał poloru.

Ale pewnego dnia Satanowski wyraził to przypuszczenie:

— Może Janek nie jest szlachcicem?

•—• Nawet nie mów! Toż jakobym brata stracił — burknął Marek.

— A ja nie. Brataśmy może i stracili, ale dlatego, że go jakoweś nieszczęście od nas oderwało. Ja mu bratem ostanę.

— Boś antytrynitarskimi błędy zarażon! — wybuchnął Marek. — U was niczym porządek społeczny, świętości, cały Boży ład...

Łagodna twarz Satanowskiego zaostrzyła się z gniewu.

— Żadna świętość nie jest nam obca! W każdym brata uzna-jem...

— Dosyć! — przerwał Marek. — Nie wiem, do czego popchnie mnie serce, gdy spotkam Jana, aliści ninie wiem, że mi przykro myśleć o jego plebejskim stanie i oszustwach, jakie nam wyrządził.

— A jeśli to był jeden z tych koniecznych dla ocalenia żywota forteli, jakimi salwujemy się w walce?

— Nie jestem filozofem.

Z Tulczyna jechali na Morachwę i Snitków.

W zajeździe snitkowskim spotkali niespodziewanie pana Mikołaja, który swoje dobra pod Snitkowem, zniszczone przez Tatarów, lustrował był właśnie i teraz bardzo smętną miał minę.

— W perzynę, w perzynę! — biadał, gdy zasiedli do stołu. — Tyłem funduszu, mosterdzieju, w odbudowę włożył po zeszłorocznej inkursji, długi nawet poza ciągałem! A com chłopów obsadził, to mi, bładzisyne, pozbiegali i jeszcze okradli! O, żebym ja którego złapał, uff! Zrujnowali mnie i Tatarowie, i poddani własni!

— Jesteś, panie ojczu, zbyt srogi — rzekł Marek.

— Co ty tam wiesz, smarku! Na galerze to może i potrafisz się obrócić, aliści w kunszcie rolniczym toś durny, mosterdzieju.

Pan Mikołaj zadumał się ponuro. Nie tylko zresztą nad swą ruiną materialną. Srożył się na córkę Wandę, która wyplakiwała oczy za Stołczyną, ani chcąc słyszeć o zrękowinach ze Smolińskim. Zaświtały mu teraz w głowie inne plany matrymonialne.

— A jak waszeci idzie w gospodarstwie? — zagadnął Stefana.

— Wszakem od lat wielu nie bywał doma, czcigodny panie.

— A racja! Przecież waćpan osadził krewniaka na swoim. Dobry pewnie gospodarz, co? Wybacz, iż pytam. Duże masz włości?

— Jest coś niecoś — odparł niedbale Stefan. Stary wziął tę niedbałość za cechę bogatego pana.

— A ile duszyczek, jeśli wolno wiedzieć? — spytał przymilnie.

— Daruj, czcigodny panie, aliści...

— I co? —• przerwał stary indagując chytrze dalej: — Po powrocie do domu chyba żeniaczka, prawda?

— Chyba pomyślę o tym — odparł na odczepnego Satanowski.

— O, trzeba, trzeba! Człek nieżonaty to niby ptak na gałęzi: i głodny być może, i onej gałęzi niepewny.

— Pewno — dogodził staremu grzeczny młodzian. — Pomyślę.

— Oj, trzeba, trzeba! Bo to i Panu Bogu miłe, i człekowi.

Pan Mikołaj spod oka śledził Stefana, „Dziewka za tamtym durniem płacze, aliści ten strojniś łyż jej obetrze. Przy takowym kawalerze nie pomyśli o innym” — rozważał swe zakusy na jego osobę.

8 — Kawaler złotej ostrogi 113, —• Czas najwyższy, byś doma zawitał, włóczykiju! —• rzekł ostro do syna, Satanowskiego zaś z cukrzonym uśmiechem zapytał: •— A waćpan dokąd się wybierasz?

— Do domu, pod Satanów.

— Wstąp, waćpan, do nas, gorąco proszę! Wszyscy będziemy radzi.

Obaj Jakimowscy tak gorąco zapraszali Stefana, że uległ wreszcie i obiecał wstąpić po drodze do Jołtuszkowa — ku szczególnej radości Marka, któremu nad wyraz ciężko było rozstawać się z druhem.

W czasie podróży stary zagadnął syna na osobności:

•—• Wiesz ty, że ten wasz Stołczyzna do wyvodu pozwan?

— No to co? — odburknął Marek. •— Niejednemu to wypadnie.

— Może się okazać, żeś z chłopem družbował.

—• Jeśli idzie o wywód, to i naszemu dziadowi ktoś szlachectwo naganiał a do wyvodu go przynaglił.

— Oj, aż się prosisz, chłopak, żeby cię na ławie rozciągnąć i ze dwadzieścia plag na gołą wyliczyć!

— Nie próbuj, wasza mość — ostrzegł ponuro Marek — bo gdyby mnie sam anioł dotknął, szablą go poczęstuję...

— Wilku!

Do starc między nimi nieraz dochodziło w drodze. Ale po kryjomu. Pan Mikołaj bowiem hamował się przy Satańskim, którego zamierzał podsunąć córce. Pragnąc upewnić się co do stanu, paranteli i zamożności wybrańca, w tajemnicy wysłał z drogi Lube i Eliasza na zwiady pod Satanów. Nie liczył się z uczuciami młodych.

W Jołtuszkowie okazało się jednak, że Wanda swymi wiecznie teraz zapłakanymi oczyma nawet nie spojrzy na urodziwego Adonisa, również dalekiego od amorów, Aniela była szczęśliwsza: nie mając żadnych szans u Satanowskiego, zadurzyła się z wzajemnością w przeznaczonym jej Smolińskim i myślała tylko o ślubie.

— Po co ty go przywiozłeś? — ośmieliła się raz pani Dorota.

— Ehm, mosterdzieju, przyjechał — odparł mąż. — No, przecie gość w dom, Bóg w dom. Markowy druh, bez którego żyć pono ten nasz dureń nie może. Ergo, mosterdzieju...

—• Mikołaju, ja się domyślam: ty masz zamiary...

— Każdy ma jakoweś, mosterdzieju. I bardzo proszę: bez ta kich pytań! Wiem, co robię. Zapytaj lepiej, co w Snitkowskim. Ruina! Wójtostwo nie nastarczy na wszystko. Magnaci, mosterdzieju, otrzymali różne odszkodowania. Ale tobie, jeśliś już nie pan na szczeblu grafa, łajno, mosterdzieju. Musimy zwolnić wiele służby, sprzedać niektóre cuganty, zaprzęgi, i precjoza, nawet sporo ziemi. Atoli co to ciebie obchodzi, królowo w obłokach fruująca! Martw się, biedaku sam, uff! A ile tu roboty! Już przecie maj!

I dalejże gderać! O motykowaniu, bronowaniu, pielenu, o siewie, o wałkoniach w rodzie Jakimowskich, o tym złodzieju Stoł-czynie...

— Mam ja z wami! Innym dzieci wyręka, małżonki im zarządzą. A ty, mości Jakimowski, myśl sam za wszystkich! Już jare zboże trzeba, mosterdzieju, bronować, bo wschodzi, czas opleć len, kończyć' siew buraków, konopi, brukwi, potem siać fasolę i proso. Sam, człowieku, myśl, łam sobie głowę...

Wyfrunął na dziedziniec, gdzie czeladź na własnych grzbietach odczuła jego wymagania i humory. Poza tym niewiele zdziałał. Pokłusował zaraz bez żadnej asysty do sąsiada, pana Krukowieckiego, na kuszyk miodu, co oznaczało, że odwiezie go, pijanego jak bela, służba Krukowieckich. Wszystkie obowiązki gospodarskie spadły na znużone barki pani Doroty, osoby niezbyt energicznej.

Marek nie myślał o pomocy w gospodarstwie. Ćmiąc obaj ze Stefanem fajki w alkierzu, obmyślali sposoby porwania Marfy. Marek nie zważał na perwazje przyjaciela, który mu imprezę odradzał, gotów zarazem uczestniczyć w niej —• gwoli drużby.

Mijały dni, a z planów raptu nic nie wychodziło...

Pan Mikołaj gnał Marka do gospodarskiej roboty i nigdy nie był zeń zadowolony. Burczał, pilił, wyśmiewał. I Stefanowi, gdy zakusy matrymonialne okazały się płonne, dawał do zrozumienia, że ów darmo chleb jada. Satanowski chciał nieraz i powinien co rychlej opuścić Jołtuszków, ale na prośby Marka odkładał wyjazd.

Marek całymi dniami wypatrywał Marfy — z okien, w polu, na drodze wciąż mówił o swych afektach.

— Opamiętaj się! —• gromił go Stefan. — Potępieńcze!

.Na domiar niepowodzeń Marka wynikła pewnego dnia gruba awantura z Lubą, jedynym możliwym pomocnikiem w zamierzonym porwaniu.

8*

Chłopi pracowali właśnie w spichrzu pod dozorem Luby. Przed spichrzem stał rząd furgonów, na które ładowali worki ze zbożem przeznaczonym na dostawy dla wojska. Luba dokuczliwie pilił ludzi, bo na noc miała ruszyć w drogę kolumna wozów z ładunkiem; — Co, ołów w portkach, że się grzebiecie niby krówki w gównie? — wrzeszczał. —• To może ja go wam wytrząchnę harapem, co? Ruszać się, bladysiny, bo jaśnie wielmożny pan dziedzic ra-, czy patrzeć! A wiecie, że z nim nie przelewki. Ruszać się, do pioruna!

Jakoż pan Mikołaj z okna bramy lustrował postępy prac.

Chłopi pośpieszali na łeb na szyję, by się nie narazić.

— Co się tam, gnyzie pioruński, gmerasz niby baba w dziewiątym miesiącu? — ryczał słuźalec. — Zaraz ci bykowcem pomogę!

No i dostało się niejednemu porządnie po grzbiecie. Co więcej zuchowaci sarkali buntowniczo. Jeden się nawet sztorcem postawił i rzucił worek o ziemię, za co go do gąsiora za bramą osadzono.

Marek, widzący to wszystko z okna erkieru, powiedział:

— Nie znoszę wytrząsania się nad ludźmi. Krew mnie zalewa!

— Świat pełen krzywdy a nieprawości —• odparł Satanowski.

— Nie do wszystkich jeszcze dotarła prawda, że ludzie są braćmi, równymi dziećmi Jedynego Boga.

— Co tam komu z twojego mędrkowania!

— I z twojego zgrzytania zębami nic, drogi bracie.

— Patrzą j! — krzyknął nagle Marek.

Na progu spichrza jakowys słabeusz upadł pod workiem zboża, a rozwścieczony Luba, któremu surowo nakazano załadować wozy do zachodu słońca, jął chłostać i kopać leżącego. Marek wyskoczył oknem i dopadł Luby, a wyrwawszy mu kor-bacz jął go okładać. Sługus, zasłaniając się przed razami, wytrącił bicz z dłoni napastnika. Wtedy otrzymał pięścią w szczękę cios tak potężny, że, lubo chłop na schwał, zatoczył się i runął na ziemię. Upłynęła długa chwila, zanim począł wstawać oszołomiony.

Chłopi pobaranieli. Jedni ze zgrozą przyjęli interwencję młodego pana. Inni •—• z kryjomym śmiechami.

Śmiechy te zgasty, gdy między syna a Lube wpadł dziedzic.

— Jego mość panicz przeszkadza mi w pełnieniu obowiązków — poskarżył się Luba. — Gdyrn za nieposłusz...

— Milczeć! — huknął Marek. — Ja opowiem.

— Widziałem! Widziałem! — rechotał stary. — Aż się nogami, mosterdzieju, nakrył! Cha-cha-cha! Luba, gdybyś był co dobrego, tobyś się jeszcze raz ustawił pod pięść, by swego pana uradować. Ustaw się! Ordynarię ci podniosę. Cha-cha-cha!

I chłopcy ryknęli zdrowo śmiechem. Kiedy zaś Luba odszedł do studni wyplukać zęby, bo mu krwawiły, Marek na stronie rozmawiał z ojcem. Twarz pana Mikołaja zmierzchła.

— No, mosterdzieju, widzę, że mi już zaczynasz włościć bałamucić, buntować. Żarty żartami, ale jak śmiałeś zwierzchnika w przytomności poddanych tak spostonować? Zakazuję! Pojąłeś? Bo cię do gąsiora wsadzę! Pomnij, chłystku! Z Lubą zaś musisz się pojednać!

— Nigdy! Śmierdzi mi. Chętnie bym go...

— Powtarzam: nie wolno chłopów bałamucić, bo i tak obałamu-ceni, a jeno sposobności wyglądają, by pana uzreć do kości.

— Ale trzeba być człowiekiem!

—• Gamoniu ty! Chłopu nigdy nie dogodzisz.

— Gdybym ja tu panował — zaczął Marek — ludzie by... —

— Patrzcie go, rezoluta! — krzyknął stary. — Jak po mnie nastaniesz, to ci się jeszcze dziadek z babką przyśni. Ty myślisz, że z chłopstwem to niby z żołdatami pod chorągwią, co? Durak ty!

—• Wszędy trzeba być człowiekiem. Pozwól mi, ojczy, dozorować tych włościć przy dalszej robocie —• poprosił Marek.

— Do rana by łazili jako muchy w smole. •— Za kwaterę czasu skończym.

— A, pal cię licha! Ale jeśli nie zdązysz, do gąsiora cię wsadzę. Ojciec pobiegł do domu, a Marek przemówił do chłopów ładujących furgony jakby do bosmanów na statku:

— Chłopczy! Za kwaterę czasu, powiedzmy — za trzy pełne pacierze, ma być koniec! Każdy otrzyma ode mnie po dwa grosze.

Dobra była zachęta i dobry skutek. Marek wysupał z trzosa złotówkę, bo chłopów było piętnastu. Ładowne wozy niebawem poszły w drogę. Atoli gdy pan Mikołaj dowiedział się o zapłacie, omal go krew nie zalała. Od razu powiadł na syna:

•— Koźmi cię rozerwać każę! Przy takowym gospodarowaniu pójdiesz na dziady, obiboku! On płaci poddanym, którzy powinność swoją odrabiają, no! Niedługo będą chcieli Bóg wie co. Durak!

Aliści ja ich po swojemu przeciwicę, oj przeciwicę! Durak! Du-rak!

Marek zaciął zęby i bez słowa odszedł do alkierza.

•— Nie zdzierzę długo! — wybuchnął tutaj.

— Porywasz się z motyką na słońce — ocenił Satanowski — Musiałem im przecie pomóc, u czarta!

— Kołkiem rzeki nie zawrócisz, bracie. — rzekł poważnie Stefan. — My, chrystianie, znamy sposób na jeneralną odmianę losu małuczkić, ubogich, pokrzywdzonych: zaprowadzenie równości braterskiej między ludźmi, a to osiągnąć można tylko przez wyrzeczenie się majątków i rozdanie ich biednym.

Marek parsknął śmiechem.

— Słyszałem to tyle razy! Wymyśl coś mądrzejszego!

— Nie ma rzeczy mądrzejszych od tego, bracie.

—• Czemu więc nie trzymasz się tych swoich, „Chrystian”?

— Jużem to nieraz mówił. Wojaczka im wadzi, którą potępiają.

— Rzuć więc wojaczkę.

— Nigdy! I oto sedno sprawy. Zalecają skromność, a mnie się świata i przygód żąda.

Nakazują pokój, mnie szabla kusi. Ani dziewczek pokosztuj, ani surmy usłuchaj, ani się strojnie odziej, nie pohulaj. To nie dla mnie. Ale inne nakazy do serca pasują.

— To czemu mnie do statku namawiasz, gdy o Marfie napomknę?

— Bo przed tobą świat otwarty z tyła wolnych niewiast, u których miłość naleźć można bez niczyjej krzywdy. Przed Marfą świat jest zamknięty, ona sama zabroniona i na domiar niechętna tobie. Zdobywać ją to unieszczęśliwić całą rodzinę. Opamiętaj się przeto!

•— Tak czy owak, jedziem jutro na targ do Jołtuskowa — rzekł Marek zawzięcie. — Blisko, musim się zabawić, bo tu, brr, nudno, niby na dnie wieży. Spędzone tu dni wydają się wiekami.

—• W duszy własnej można też należeć zajęcie, kochany — powiedział Satanowski. — Zaciejszą nieraz można mieć w sobie pociechę niżli na wystawnym festynie.

Marek wzruszył ramionami: nie pojmował poetycznego druha.

— Nie jestem filozofem i nawet nie bardzo nawidze takowych. Stefan, jakby nie słysząc przygany, ciągnął dalej:

— Myślę, per exemplum, o dalekich morzach, krainach i zda mi się, żeśmy tam dopiero co kotwicę zarzucili. Imainuję sobie lazuruowe tonie, białe porty, czarnoskórych braci naszych, podniebne palmy, żarkie pustynie czy dla odmiany — mglisty Albion, gwardie szkockie, szare mury Tower... Wszystko to wszak można mieć przed sobą: zamknąć jeno oczy. A gdy i to nie pomaga... Urwał i wzięwszy do rąk lirę zaśpiewał:

Na cóż mi trony, na co korony, Kiedy na lutni gędzę? Los mam ja złoty, świata klejnoty, Różaną na strunach przędzę.

Gędźba jak morze — pomagaj, Boże! Bo w niej utonę przecie! Chcę dobić brzegu w druhów szeregu, A w jej się pogrążam siecie...

—• Tej śpiewki jeszcze nie słyszał — zdziwił się Marek.

— Tutaj była — Stefan wskazał serce — a wykluła się ninie. —• Niechże cię sąalus 1 ogonem trąci!

— Bóg zapłać podobnym specyjałem!

Wieczorem znów z winy starego wynikała burza, której Satanowski na szczęście nie był świadkiem. Pan Mikołaj wrócił bowiem szczególnie wzburzony z sąsiedztwa, gdzie gościł u państwa Smolińskich. W drodze nieznanymi sprawcy strzelali doń z zarośli, raniąc konia.

— Ruszyć się na tym przeklętym Podolu nie można! Jeno się za króciwą trzymaj! Muszę ja, mosterdzieju, powiadomić kogo trzeba. Przyjdą grodowe hajduki, wojsko, to pohulają z reżunami.

— Boś i przyciężki ludziom, panie ojczy —• rzekł Marek.

— Durnyś jako zawdy! Nic nie mądrzejesz!

— Do innych nie strzelają, a do taty już z mendel razy.

— Syn, psiakrew, a ze zbójami przeciw ojcu rodzonemu trzyma!

— Bo tato winien być lepszy dla służby, ba! dla rodziny! Wszak tutaj to jakoby w domu zamieszkałym przez wzajemnych wrogów, a nie przez familię i życzliwych domowników. Stale jeno krzyki, ubijatyka, groźby, kłótnie. Ani zdzierżyć!

— To nie dźierz, gówniarzu jeden ty! — ryknął stary. — Będzie 1 Sąalus (łac.) — żariacz, rekin, ludojad.

mnie rozumu uczył, chmyz pioruński! Żle ci, to fora ze dwora! Nie było kawalera dziesięć lat doma, może nie być i drugie dziesięć.

— Mikołaju! — szepnęła błagalnie pani Dorota. Nie zważał na nią, jeno dalej wymyślał synowi:

— Będiesz miał swoje gospodarstwo, to będziesz po swojemu gospodarzył. A teraz wara! Chce mnie pouczać taki wypędek ze szkoły, no! taki osieł, co się uczyć nie chciał i za głupstwami po świecie latał, no! O, niedoczekanie twoje, durniu!

Marek podszedł do ojca blisko i rzekł dobitnie skandując:

—• Trzeba być człowiekiem dla bliźnich! Pojąłeś asan?

Po tych słowach, które wprowadziły starego w chwilowe osłupienie, opuścił świetlicę i udał się do alkierza, gdzie zostawił był Satanowskiego. Aż tu dobiegał potężny głos dziedzica.

— Uff! znowu burda — mruknął Marek. — Trudno wytrzymać. — Nie dziw, mój drogi — rzekł dobitnie Stefan. — Człek leciwy, sterany, napięty jak struna. Może i my tacy będziemy kiedyś.

— Gdybym miał środki! Zabrałbym matkę, siostry, niańkę Mag-dusię. Niechby stary ostał sam, opuszczony. Może by pojął...

Gorzko było Markowi w domu rodzinnym, który na tułaczce wydawał się przytulnym gniazdem, pełnym słońca i szczęścia.

Zapaliwszy fajki i wypiwszy po kusztyczku lipcowego miodu syconego poweseleli jakoś.

— Co się frasować! — rzekł Marek. — Jutro pohulamy. Może się uda coś z Marfą.

— Na innych krzywdzicieli wyrzekasz, a sameś nie lepszy. Marek nie zreplikował. Zmienił naraz materię rozmowy:

— Niedługo tu zabawim. Odpasiem się ździebko i kędyś do wojska przystaniem, bo kuczno bez wojaczki. Wcześniej czy później wybuchnie wszak wojna z pohańcem. Uderzą w bęben, to się i za-ciągniem.

—• Jakoś nie klei się nam družba z tutejszymi kawalerami.

— Borsuki są i zapyziałki, lubo to niby lud bojowy i kaźden przeciw pohańcowi czyni w razie inkursji.

Satanowskiego nurtowała .nadal myśl o Marfie.

— Dziw mi, drogi bracie, że tak na cnotę onej białogłowy nastajesz. Afekt afektem. Zali ci jednak ambicja męska, rycerski honor na takowy gwałt pozwalają? Krzywda to jedno. Ale czybyś mógł zażywać amorów z niewiastą, która gatowa cię za użycie przemocy znieawidzić, a która miłuje, jak wszyscy tu mówią, swojego ślubnego? Oj, nie honor to, nie honor!

—• 'fPrzezań! — warknął Marek.

Tak, ten Stefan to takie ciche, uparte sumienie. Zawsze jednakowy: i czasu pokoju, i za konfederacji wojskowej, i na wojnie. Niby do1 wszelakiej przygody czy swawoli aż -się rwie, ale jest w nim coc hamującego, coś, co go odróżnia od wszystkich awanturników i zabijaków. Ma słusność co do Marfy, ma, ani zaprzeczyć! Jen0 ów czart na wątrobie, w sercu, we krwi! Korci, że usiedzieć trudno!

IX Dzień wstał słoneczny. Zielony świat wypełniły świegoty ptasie.

Bosmani zaraz po śniadaniu dosiedli koni, by pojechać do miasteczka na targ. W bramie natknęli się na pana Mikołaja.

•—• A dokąd to? — zaczepił: snadź mu się wyprawa nie podobała.

— Na targ do Jołuszkowa — odparł syn. — A tato nie jedzie? Może co załatwić w mieście?

•— A co ty możesz załatwić? Na czym ty się znasz? Bąki jeno zbijać potrafisz a kłopotów rodzicom przysparzać. Marek zmilczał i ruszył koniem do wyjazdu.

— A dokąd to? — spytał znowu ojciec. — nie łaska dopilnować siewu buraków, prosa, mosterdzieju?

•— Zawdy mi tato zarzuca niedołośćwo w pracach na roli, więc się nawet już do nich nie kwapię.

— A do miski to się kwapisz, co? Pewno, żeś niedołęga — w starym wzbierał gniew. — Żadnej, psiakrew, wyręki, pomocy! Sam się o wszystko troszcz, sam haruj! Darmozjady! — łypnął na Stefana. — Do miski to cała, mosterdzieju, rzesza, a do roboty nikogo!

Ku zdumieniu obu Jakimowskich — Satanowski zeskoczył z konia i pobiegł na pokoje. Tu z niestatecznym pośpiechem pożegnał zaskoczone tym panie, po czym zabrawszy ze stajni drugiego swe go konia, z alkierza zaś manatki, powrócił do bramy, gdzie rozgorzała na dobre kłótnia między ojcem a synem.

— Wracam właśnie od mościwych pań, którym uszanowanie złożyłem — rzekł — a teraz pragnę waszmości, szczególnego mojego dobrodzieja, pożegnać, nisko kłaniając i za gościnę dziękując.

—• Co? co? Jak to? — zaplątał się stary. — Do pioruna! Kopyta Stefanowych koni zadudniły spiesznie po zwodzonym moście. A w chwilę potem przeleciał zwodem wzburzony Marek.

— Nie zatrzymuję, Stefanie —• rzekł. — Wiem, jakę skonfundowany tym wszystkim. Niebawem pójdę w twoje ślady. Co zamierzasz?

— Posiedzę ździebko doma, a potem pod jakowyś znak...

— Ja takż. Jeno że należnej stanowi mojemu wyprawy nie mam.

— Mój drogi, szabla w garści to najgodniejsza dla żołnierza wyprawa. Dotychczas było bez wyprawy, to i nadal będzie. Zbyt po mopańsku a fanfarońsku mówisz, druhu.

— No, tyś to gotów za gemajna służyć ramię w ramię w ciurami i parobkami —• rzekł chmurnie Marek.

Stefan się zgoła nie obruszył. Popatrzył nań dobrodusznie.

— A źli towarzysze z plebejów, drogi bracie? Pomnisz ich pod Salis? A kaprów? A Kozaków? A piechurów z wyprawy moskiewskiej? Dobrzy byli i do boju, i do druźby. Sameś powiadał nieraz, że na okręcie nie ma stanów ni herbów, jenos bosmani, co jednako na dno idą.

— A! ty zaś całe filozofie zaraz układasz! — burknął Marek. Satanowski obejrzał się na opuszczony dwór. W jednym z okien stała Wanda. Pomachała mu ręką, potem chusteczką. Czuł, że to pożegnanie bardziej przeznaczone jest dla Stołczyny niżli dla niego.

— Niebawem cię nawiedzę i zaciągniem się kędyś — ozwał się znów Marek. — Można do księcia krajczego. Pono lada dzień otrzyma podczaszostwo koronne. Będzie jeszcze hojniejszy, bo Zbarascy już tacy, że promocja szkatuły im otwiera na oścież. Można i do księcia Krzysztofa, koniuszego koronnego.

Miasteczko Jołtuszków pęcniało dziś od ludzi, pojazdów, zwierzyny. Zjazd był wielki a takż spęd bydła, trzody i koni. Oprócz Polaków i Rusinów pełno było Ormian, Wołochów, Żydów, Tata rów, Cyganów — kupców a sprzedawców, statecznych obywateli a handlarzy, szlachty a plebejów. Rynek, uliczki, podwórka zapchane przeróżnymi zaprzęgami. Wszędy zgiełk, harmider. Po targowicy, wśród tłumu przekupniów i kupujących, nurkowali żołnierze koronni i Kozacy rejestrowi, obwieszeni zdobyczną bronią i tkaninami na sprzedaż, na równi z handlarzami zachwalający swój towar. Widziało się takż zwolnionych z rejestru wojskowego, a jeszcze uzbrojonych i umundurowanych Kozaków z ucho-dów, którzy tu sprzedawali wosk, rybę, dziczyznę, smołę, proch, saletrę, suszone owoce, jak również trunki i własne wyroby kowalskie. Wszędzie włóczyły się dziady proszalne — teorbaniści, lirnicy, skrzypkowie, dudarze, pieśniarze lub obłudni, namolni żebracy bez żadnych tego rodzaju umiejętności, ale groźni i nieustępliwi.

Bosmani zatrzymali konie na skraju rynku i z kulbak przyglądali się barwnemu, zgiełkliwemu tłumowi.

•— Patrzaj! — szepnęła nagle Marek wskazując przeciwległą stronę rynku, którą zajmowały budynki zajazdu i szynku. — Tam! Ona!

Satanowski przyjrzał się budowli, na której szynkarz wywiesił wiechę na znak, że ma piwo, i wieniec, że wino, i krzyż, że miodu wyszynk też trzyma. Wśród wchodzących do szynku poznał Stefan Marfę i jej małżonka, Iwana Prokopiuka!

•—• Jedziem dalej! — burknął. — Wyrzuć głupstwa ze łba! Odprowadzisz mnie z milę. Łacniej pogadać w polu niżli w tym mrowisku.

Ruszył koniem, ale Marek schwycił jego cugle i osadził go na miejscu, po czym rzekł ponuro:

— Wejdzem do zajazdu za nimi. Nie chcesz, sam to uczynię.

— Nie, nie uczynisz! Bo to by oznaczało tumult i nową rozprawę z hetmanem Żółkiewskim, starostą tutejszym.

— Nie zawracaj głowy! Pójdę!

— Nie, nie pójdiesz! •— zgrzytnął Satanowski, a głos jego i twarz, zwykle łagodne, stały się złowieszcze.

— Co mnie tu będziesz musztrował?

— Nie pozwolę ci dla zachcianki, dla kilku nocy, które byś przespał z cudzą babą, burzyć spokoju twoich rodziców, wyrządzać krzywdy rodzinom, a wreszcie nie dam nadstawiać ci łba za błahostkę! Poczniesz burdę, obrócę szpadę przeciw tobie: za tamtymi. Wściekłość upodobniła, twarz Marka do pana Mikołaj owe j.

— Przecieżeś obiecywał mi pomoc!

— Alem się rozmyślił, a to dla twojego dobra.

Marek chwilę mocował się z sobą. Raptem położył dłoń na ręce przyjaciela, opartej o łęk siodła.

— Nie wadźmy się przy rozstaniu — rzekł serdecznie. Satanowski roześmiał się szeroko, dziecinnie.

Kupiwszy jadła dla Stefana, wyjechali na trakt, który przez Zińkowce i Jarmolińce wiódł do Satanowa. Ogarnął ich głęboki smutek, utrudniający rozmowę. Dotąd nigdy się nie rozstawali, a rozsypkę nierozzerwalnej trójcy zapoczątkował Stołczyzna.

— Może się już nigdy nie zejdziem — rzekł w końcu Marek.

— Dusza nie mówi mi nic złego. A wiesz przecie, jak trafna jej mowa. Tyle razy nam przepowiadała. Obaczmy się niedługo. Jeno dom odwiedzę... Mam także nadzieję, że i Jana' odnajdziem.

— Zważyłem — odparł Marek. — Boję się rozstań.

Jadąc przez las zaśpiewali ulubioną strofę bosmańskiej pieśni:

Czuj-duch! Hej, bosmani! Wróg lonty zażega I z armat czterdziestu daleko od brzega
Zaprasza w tan!

Pal! ognia po stokroć! — za tany w podzięce! Burt wrażyh się czepić! topory wziąć w ręce!
Bosman to pan!

Daleko, prawie pod Zińkowcami, rozstali się. Gdy padli sobie na pożegnanie w objęcia, ogarnęło ich wielkie wzruszenie.

— Do zobaczenia u mnie w Aleksandrówce!

— Do zobaczenia! Niech cię Bóg prowadzi, Stefanie!

— Ostań z Bogiem!

Marek podciął konia i pocwałował w powrotną drogę. Gnał ze ściśniętym gardłem, nie oglądając się za siebie. Aż z konia poleciały płaty piany. Zwolnił przed Joltuskowem. Miasteczko ominął z daleka, by nie mieć pokusy zobaczenia Marfy. Ale w końcu jęło go nieprzezwyčajalnie korcić. Wracił kilka razy, walcząc z rozsądkiem.

Rzesza targowa w miasteczku już się trochę przerzedziła. Po jazdy na powrotnych drogach gmatwały się w ciężkie zatory. Po podwórzach i zaułkach miejskich dobijano ostatnich targów, opijano transakcje na furach i brykach, żałośnie ryczały sprzedane krowy, kwiczały świny, jazgotał dręczony nielitościwie drób, dziadowską muzykę i śpiew zastąpiły pijackie wycia...

Marek jakiś czas błądził po mieście w pobliżu szynku, bronił się przed szaleńczym hazardem. Wreszcie zeskoczył z siodła przed zajazdem, przywiązał do pala swego konia wśród innych, należących do gości karczemnych, po czym wszedł do wnętrza.

Huczało tu jak w ulu. Szynkwias otaczali żołdaci, Kozacy, mieszczuchy. Stoły obsiadła też gęsta chmara. Szlachty nie było.

Gdy wszedł sięgający głową powały bosman o marsowym wyglądzie, wszyscy go dostrzegli. Ucichło. Poczuli się nieswojo. Dotąd zawsze miewał u boku niezawodnych druhów. Teraz był sam, i to wobec takich zawadiaków, jak Kozacy, u których szable łatwo w pochwach chodzą. Za jednym ze stołów siedziała zarumieniona od trunku Marfa i jej mąż, pijący z innymi Kozakami. Niektórzy czapkowali Markowi. Niektórzy szeptali:

— Wójtowicz!

— Młodego Jakimowskiego czarci przynieśli.

— Nowego wilka mamy.

— Baczość, mołojcy: młody Jakimowski!

Marfa na widok Marka wyraźnie się zatrwożyła. Poczzerwieniała jeszcze bardziej, błędziła niespokojnie oczyma. Jak potąd śmiała się i rozmawiała żywo, tak teraz nagle umilkła. Marek zapomniał już przestróg Stefana i własnych postanowień. Zagrała w nim gorąca krew zuchwalca nie uznającego kielzna. Wypił u szynkwasu coś niecoś, za czym usiadłszy przy sąsiednim stole naprzeciw Marfy, jął wiercić ją oczyma. Wszyscy wnet to zauważyli i poczęli trącać się porozumiewawczo łokciami.

Prokopiuk zerwał się nagle z ławy i dobył szabli. Ale Marfa siłą posadziła go z powrotem, mówiąc spiesźnie, nerwowo:

— Idziemy doma! Iwaśko, zbieraj się! Idziemy doma!

Prokopiuk, choć poduszczany przez towarzyszy, też groźnie nastroszonych, ustąpił jednak żonie. Cała gromada wysypała się przed zajazd. Tu mężczyźni i kobiety dosiadali koni lub odjeżdżali wozami. Prokopiukowie w asyście jeźdźców obojej płci ruszyli konno.

Marek machinalnie postąpił ku wyjściu. Chwilę przyglądał się biernie odjazdowi Marfy stojąc w drzwiach szynku. Aż i/on skoczył na koń, po czym prawie bezwiednie, jak urzeczony, pokłusował za nią, wpatrzony w jej czerwony kabat, jaskrawiejący na tle niebieskich, zielonych, szarych ubrań gromady tarasującej przed nim drogę. Podciął nagle konia, ubódł ostrogami. Zaświtała mu w głowie jedna z tych szalonych myśli, którymi zawsze najzuchwalszych zadziwiał śmiałków: dziki impuls, nie baczący na racje ni następstwa. Postyszawszy tętent cwałującego konia gromada rozstała się, by przepuścić jeźdźca. Runął między nią i w locie zmiótł z siodła Marfę. Trzymając ją na kulbace przed sobą, nie zwolnił pędu mimo podwójnego obciążenia wierzchowca. W zamieszanej gromadzie zabrział zgiełk, gruchnęły strzały. Kozacy rzucili się w pogoń.

Marek pod gradem kul odwrócił się i wolną ręką wypalił po dwakroć z obu luf jednego pistoletu, potem drugiego. Snadź trafił, bo pogoń na chwilę ustała. Ta chwila wystarczyła, by odbił od Kozaków znacznie i zniknął im z oczu w gęstwie drzew, jaką napotkał. W gęstwie owej kluczył zrazu, po czym, by zmylić pościg, jął nią zawracać ku miastu, równoległe do drogi, z której był zjechał.

Marfa, trzymana wpół wraz z rękami, nie wydała żadnego krzyku, nie objawiła najmniejszego oporu. Snadź omdlała, bo zwiła bezwładnie na ramieniu prześladowcy. Zląkł się o nią. Zjechawszy po zarosłym krzewami stoku w głęboką kotlinę, na której dnie lśniła struga, ułożył brankę na ciemnozielonej trawie, w miejscu ocienionym koronami drzew, osłoniętym. Lica Marfy odzyskały rumieńce.

— Ty, moja... — szepnął. — • Moja...

Odwrócił się, by ze strugi nabrać wody do manierki dla ocucenia zemdlonej, gdy ogłuszył go huk i ból oddał mu jakby ramię wraz z łopatką. Runął w trawę na twarz. Ale nie stracił przytomności. Wnet uświadomił sobie, co zaszło. Nadludzkim wysiłkiem próbował usiąść, ale zdołał jeno odwrócić się na wznak. Stała nad nim Marfa z dymiącą jeszcze dwururną króciwą w dłoni i z takim wyrazem wstrętu na twarzy, że zrobiło mu się straszno. „Koniec” — pomyślał widząc, że niewiasta mierzy doń ponownie.

Zawahała się jednak... Uległa swej niewieściej naturze: opuściła broń.

— Podeszłam cię — rzekła. — Nie omdlałam, jenom podstępnie gotowała pomstę. Ostatnio noszę zawsze ten oręż. Winnam zabić cię jako psa, boś mnie i domowi mojemu nieszczęściem, ale nie mam siły. Mścij się, zajeżdżaj nas: zdolnyś do wszystkiego. Ale wiedz, że miłuję swojego ślubnego Kozaka, a do ciebie mam odrazę! Pomnij to! — urwała nagle. • — • Zaklinam cię! — wybuchła po chwili. — Nie mści j się na Iwaśce! On nic nie winien! Zaklinam!

Chciał coś odpowiedzieć, ale już jąła wspinać się szybko na górę. Niebawem czerwony jej kabat znikł w zaroślach.

Marek otrząsnął się z oszołomienia. Myli się Marfa: on nie będzie dla niej zgubą. Ani fama o niezwykłym kochaniu między Marfa a Iwanem, ani perswazje Stefana, ani nawet strzał Kozaczki — nie były dlań tak wstrząsającym argumentem, jak owe słowa pełne nienawiści i wyraz wstrętu w jej twarzy. W jednej chwili przejrzał: „Biesy mnie opętały. Zaślepieni. Zmuszać niewiastę przemocą do miłowania? Toż hańba! Co za satysfakcja miłosna z wymuszonych uścisków? Jak mogłem tego nie pojmować? Zrozumiałem za późno!”
Leży oto ranny na bezludziu, w chaszczach, nie mogąc się ruszyć. Osłabienie rośnie z powodu upływu krwi, wycieka z ciała życie. Ściemnia się na domiar, nocą dziki zwierz nie da spokoju... Już słysząc podejrzane odgłosy, rozrywające spokojny poszum boru — koń strzyże uszami, chrapie, nastroszą się, rzy cicho, zadziera łeb... A wiły? A upiory? Owe tajemne twory każdego pustkowia, którym nie oprze się żaden junak, żaden niedowiarek?... Trwoga zajrzała w oczy nieustraszonego schwalca. Jakaż przewrotna ta Marfa,! Miast go dobić, skazała na powolne konanie od rany i dławiących uścisków zmory, która zdusiwszy ofiarę wysysa z niej soki żywotne.

Posłyszał nagle chrobot deptanego chrustu. W szarym zmierzchu dojrzał podpierającą się kosturem babę, przechodzącą teraz nie opodal przez strumyk. Kiedy posłyszała parskanie Markowego konia, stanęła, potem wróciła z wody na brzeg i jęła rozglądać się bacznie.

— Hej! Niewiasto! — zawołał Marek. — A bywajcie no tu!

— Spasi, Swiataja Preczystaja! Szczo z toboju, synku-/ Przydreptała do niego, a widząc okazałość ubioru zlekła się.

— Cóż wam to, jasny panie?

— Zbójnicy mnie postrzelili. Umiecie, matko, rany/ opatrować?

— Umiem, panie, jeno że do mojego „chutoru” z/póttora staja.

— Pomóźcie mi wstać, a może zajdę.

Wsparła go wcale nie bezsilnym ramieniem. Podtrzymywany przez staruchę, czepiając się drzew i jęcząc z bólu, dowlókl się na miejsce przeznaczenia. Koń szedł za nimi.

„Chutor” starej, która zwała się Ulana, był zapadłą w ziemię chałupiną dymną, podobniejszą z zewnątrz do kupy chrustu niż do mieszkalnego domu. W izbie było jeno palenisko i drewniana prycza ze spiętrzonymi na niej betami. Przez błony w okienku, zastępujące szyby, sączyło się szare światło, ledwo widoczne 0 zmierzchu.

Ulane oświetliła izbę łuczywem, roznieciła ogień w palenisku i ugotowała w blaszanym kociołku wody do przemycia ran. Marek leżał na pryczy czekając opatrunku. Napojony wywarem z ziół, zmocniał.

Na widok jego rany Ulana wykrzyknęła:

— Kość cała! Kula jeno mięso naruszyła na barku i łopatce. Trzeba zagnieść chleba z pajęczyną i przyłożyć do rany.

Po opatrunku, obwiązawszy rannego czystymi szmatami przepojonymi jakimś wystudzonym naparem, nakarmiła go czerstwym, kwaśnym podpłomykiem, który popił cierpkim napojem z ziół, krzywiąc się.

•— Wywar ten zdrowie dawa — zapewniła.

Posilony jadłem i odpoczynek, poczuł się znacznie lepiej.

— Bóg wam zapłać, matko, za pomoc. A i ja was nagrodzę.

— Wszak Pan Jezus każe wesprzeć potrzebującego.

— Tak niby jest, aliści niewielu go słucha.

— Wszyscy my grzeszni.

Marek z ubrania leżącego na krawędzi pryczy wyłuskał srebrną monetę i podał Ulane.

Widząc znaczną wartość datku rzekła:

— Moja pomoc tyle niewarta! Ja zresztą nie dla pieniędzy to robiła, ino z miłosierdzia.

Musicie być bogaczem, wielmożny panie. Bo ja to żywię z tego, co Pan Bóg dawa, las i dobre ludzie.

—• I tak sama tutaj?

— Miała ja rodzinę... Chłopa Tatarowie zadźgali, syny na morze tureckie chadzali i w chadzkach się wykruszyli, jedną córkę po-haniec w jasyr wziął, druga we świat poszła chleba szukać i nie wiem, co z nią. Tak ja sama ostała niby palec... A mieli my kiedyś gospodarkę piękną. Poddani my byli pana Smolińskiego. Dobrze nam się wiodło, bo i bogactwa dużo, i dziedzic ludzki... Aż one krzyże Pan Bóg zesłał. Ostałam z najmłodszą. I natenczas jeszcze jedno złe na nas runęło; pan Smoliński odprzedał naszą wieś panu Jakimowskiemu wójtowi. Poddani spadli z nieba do piekła.

— Czemuż to? — spytał Marek z nagłym rumieńcem na twarzy.

— -Pan Jakimowski (niech mu Matka Najświętsza policzy i daruje!) czort proklatyj! Wy takóž pan, uczyńcie ze mną jako wola, aliści ani mi zmilczec. Ile my obie z córką kijów od niego i jego sług nabrały, ile danin, przedtem nie znanych, napłaciły, ile razy w kunie płakały! Aż i z gospodarki nas wyrugował, że to niby rady nie da jem. To, co nam nadzielił potem, chleba do syta nie rodziło. Oto i córka moja we świat uciekła szukać go więcej. Tak przepadła kiedy w otchłani. Ale jest przecie prawo na poddane zbiegłe. Pan Jakimowski jał przez urząd szukać, a mnie tutaj wygnał, do tej mysiej dziury. Nie starej tu gospodarować. A i ochoty brak. Bo co mi z żywota ostało? Ino płacz za zmarłymi i czekanie końca.

— A co inni ludzie mówią na pana Jakimowskiego?

— Zębami zgrzytają, bo każdemu za pazury zalazł. Niechby się drugi Nalewajko trafił, toby krzywda ludzka onego pana zmiotła jakoby wiuga plewę!

— Nie boicie się tak mówić?

— A czego? —• Ułana wzruszyła ramionami. — Co mi kto zrobi? Na lepszy świat mnie rychlej wyśle? Toż mu za to podziękuję! A wreszcie wy, jasny panie, człek nie taki wredny: ja ludzi znajoma, z liczytam. Zabijaka wy, raptus, zuchwalec, ale w sercu zacny człek. Marek wysupłał z trzosu resztę monet i wszystkie dał Ułanie.

— Na co mi tyle? — wykrzyknęła. — Przecie ja za nic nie płacę, gorzałki po szynkach nie pijam, nie jadam łakoci z kramów, 9 — Kawaler złotej ostrogi ani się stroję, ani najemnikom myto dawam... Ale skoroście, panie, tak hojni, dzięki. Może trafi się potrzebujący, to mu/dam.

Nagle przez nie domknięte drzwi dobiegły z dala tętent i parskanie koni, zmieszane okrzyki ludzkie. Koń Marka, pasący się na trawie przed chatą, odpowiedział na te odgłosy donośnym rżeniem.

— Ukryjcie mnie, matko! — szepnął Marek.

Przywaliła go betami, narzuciła jeszcze jakieś łachy dla niepoznaki, nie było już bowiem czasu wywieść go dokądś z izby.

Kopyta końskie dudniły już pod samym oknem. W drzwiach stanęło kilka barczystych postaci, a wśród nich Iwaśko Prokopiuk.

— Sława Bohu, matko Ułano! — pozdrowił.

— Na wiki wikiw, amin. Witajcie, synkowie! Co was sprowadza?

— Szukamy jednego bladzisyna. Konia jego widzimy, którego rżenie przywiodło nas tu, matko.

— I ja widziała, bo go ani stąd odegnać. Za dnia jeszcze tu przyszedł. A że juchą oblan, to myślę, że jeźdźca ktoś przez łeb żelazem przejechał i z kulbaki zwalił.

•— Szczob jeho czarna smert ubyła! Wiecie wy, kto on zacz, ów jeździec? To pomiot czarci: syn Jakimowskiego. Gwałtownik nastający na cześć pocziwych białogłowi Nać nieodrodna ze złego ziarna.

Iwan klnąc opowiedział Ułanie o porwaniu i zemście Marfy.

— Szukamy go i najdziem! —• rzekł w końcu zawzięcie. — A wtedy tą oto ręką dobiję niby parszywego psa!

— Rannego? Godziż się?

— A jego ojciec rannego Dudę na pal wbił! On sam zaś matkę dzieciom, żonę mężowi dla swej grzesznej chuci...

— Szukajcież go tedy sporzej, bo noc — przerwała. Gdy tętent odjeżdżających koni zacichł, odkryła Marka.

— Cóż wy na to, matko? — spytał cicho.

— Powiem szczerze, panie —• odparła — a wy postąpicie, jako wam sumienie każe: gdyby ja to wszystko przedtem wiedziała, nie dałaby pomocy. Boście wy syn łotra i sam łotr.

— Jam ją miłował! — zawołał z desperacją. —• Ale gdy mnie ustrzeliła i dostrzegłem u niej wstręt a nienawiść, odmieniły się afekta. Nie potrafię ich nazwać.

130 , Popatrzyła mu w oczy i rzekła mądrze:

— Nie widać w was, panie, łotrostwa i dlatego ja was ukryła. Bóg was osądzi, nie ja. Kiedy odzyskacie siły na tyle, by pójść (bo konia wam Kozaki zabrały), wróćcie doma. Podkuruję was.

Chwycił jej pooraną, sękatą niby korzeń drzewa rękę i przycisnął ją do ust. Zdumiona tym niesłychanym postępkim szlachcica względem chłopki, wyszeptła:

<— Swiataja Preczystaja, pomyłuj nas hrisznych!

Na widok Marka, który wrócił do domu w tak złym stanie — ranny, w złaćmanionym odzieniu, bez konia — pan Mikołaj wykrzyknął:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Łazarz, mosterdzieju, łazarz!

Matka i siostry padły Markowi na szyję. Już myślały, że ponownie uszedł z domu albo że go zbójcy zamordowali. Ojciec zaś po czułym, jak na brutala, powitaniu powsiadł na Marka:

— Niech cię grom! Więcej zmartwienia z tobą, niż pociechy. Tfu-tfu! Bodaj cię diabli! A nuże, mów, tłumacz się, usprawiedliwiaj! Zaraz cię do gąsiora, urwipolciu, obieżyświecie zatabaczony!

— Przestań, Mikołaju •— pani Dorota po swojemu złożyła dłonie. — Bóg nam go przywrócił, radować się przeto należy.

—• Radość radością, a kara karą. Inak ładu nie ma. No, ale któż cię tak urządził, niepokonany, jakeś się chepił, zuchu, a?

— Łotrzykowie. Postrzelili mnie i konia porwali — odparł Marek.

— .Zawdy mówię, mosterdzieju, że ninie na Podolu spokojnie przejść drogą nie można.

Łotry, hultaje! Aliści ja na nich medi-camen znajdę na sejmiku alibo na wojewódzkim zjeździe czy nawet na walnym sejmie, jeśli mnie jeszcze posłem panowie bracia obiorą. I hetmana, mosterdzieju, podburzę na nich, a on na swawolę zajadły. Ale powiadajże, jak to byfo!

— Wracam doma — mówił Marek — aż lasu wypada kilku i nimem sięgnął po szablę czy krócięcę, wypalili do mnie. Spadłem z konia...

— To ci broni nie zabrali? — zdumiał się stary.

9*

— Zdążyli jeno z koniem

umknąć, bo podróżni jacyś7 nadjechali.

— Poszukamy. Psiesyny te chłopcy i Kozaki.

— Ależ to byli szlachta! — wykrzyknął Marek zaniepokojony zamierzonym śledztwem. — Poznałem: ubiór, maniery, mowa...

— Nie tak łatwo poznać, jeśli szaraki.

— Moźniejsi trochę byli, okazale oporządzeni. •—• Bywa i tak, mosterdzieju.

— Fiuuu! •—gwizdnał Marek. — Przecie to nie żaden wyjątek. Nieraz i karmazyni, i magnaci nawet od rozboju nie stronią.

— O, już po swojemu zaczyna, psiakrew!

— Trzeba sądzić sprawiedliwie...

Pani Dorota, widząc wypieki na licu syna, posłała do alkierza córki a służebną Magdę, by przygotowały posłanie.

— Ty masz gorączkę, synku — rzekła tklawie, dotykając dłonią jego czoła. — O, jakie rozpalone! Zaraz pošę Eliasza po księdzę Sulimirskiego do Chodaków, któren na ranach znający.

— Jeszcze mi onego „nurka” tu trzeba — sprzeciwił się dziedzic. — Można sprowadzić cyrulika z Jołtuszkowa.

— A masz to go doma? Przecie do Baru wyjechał.

—• Muszę więc Sulimirskiego znosić. Taki heretyk w sutannie może dom zakazić, uroki rzucić umyślnie czy nawet niechcący.

— Tyle razy tu był, tyle z tobą trunku wypił, a nic nam jakoś. Nie żaden on heretyk, jeno że nie zawzięty na ludzi.innej wiary. Uwziął się na niego, bo cię za surowość karciał.

— No, dosyć! —• zniecierpliwił się wójt. — Wszak wiada, że z „ponurzeńcami” trzyma: włości rozdał i poddanych buntuje. A niech tam! Ślij po niego, skoro nie ma innych! •— Zwrócił się do syna: — No i co było dalej? Spadłeś z konia, zbójcy pierchli. I co?

•— Na odgłos strzału nadszedł jakowyś pustelnik, wziął mnie do swej jamy kędyś pod Zińkowcami i pierwszej kuracji mi udzielił. •— Pustelnik? •— zdumiał stary. — Nigdy: nie słyszałem.

— O, nie susz mu głowy, bo ledwie zipie, dzieciaczyna! •—• ujęła się za synem pani Dorota biorąc go pod rękę i wiodąc do erkieru.

— Dzieciaczyna, co czartom łby urywa i w łozu się nie mieści!

— Dla ciebie może nie dziecko, ale dla mnie dziecko. Ksiądz Sulimirski, którego o arianizm w okolicy pomawiano, niebawem przyjechał konno. Ale że pan Mikołaj schował się przed nim w niewieścich komnatach, przykazawszy domownikom mówić, że objeżdża pola, chodakowski proboszcz pošpieszył z panią Dorotą do alkierza.

Po opatrunku „medyk” i pacjent wdali się w długą rozmowę. Bardzo sobie przypadli do gustu. Pogawędka przeciągnęła się nad miarę, a pan Mikołaj kipiał wśród „babskich faramuszek”.

— Czarci nadali, mosterdzieju! Dobrał się chłopski opiekun z chłopskim filozofem. Jeszcze mnie pokąsają, psiekrwie!

Pod dobrą ręką Sulimirskiego Marek szybko wracał do zdrowia. Nie mogąc uleżeć przechadzał się po jarach i polach, urządzał przejażdżki koczykiem. Przetrawiał swe niepomyślnie afekty i całkiem nowe myśli o życiu. Było mu nawet dobrze w tej odmianie losu, przywykł do samotności i czułości rodzinnych, do gorzkich, lecz coraz słabszych wspomnień o Marfie. A że ojciec przestał być napastliwy, dom wydawał się Markowi całkiem znośny. Atoli niebawem wybuchła nowa bomba.

Do pokoju syna wpał kiedyś pan Mikołaj, kipiący ze wzburzenia.

— Znowu ten cybuch pogański! — krzyknął widząc Marka kurzącego fajkę. — Z gęby, psiamać, komin robi, cymbał! — ujął się pod boki. — A jacyż to szlachta cię napadli, co? Magnaci, grafowie, karmazyny? Zmowę z chamstwem zawiązujesz! O, bodaj cię!

Marek powstał z zydła na całą swą wysokość: sześć i pół stopy.

— Co tam znowu? — zgrzytnął.

— Nie udawaj Greka! Wiem wszystko. Rzecz takowa nie ukryje się długo. Cóż to, myślisz, że ja, włodarz jołtuszkowskiej ziemi, nie mam na niej przyjaciół, życzliwych konfidentów? Czekał wyjaśnień!

Marek nie odkrył jeszcze, co ojcu wiadomo, a co nie. Chciał go wybadać nie pograżając Prokopiuków.

— Co mam wyjaśniać? — spytał.

— Przecie ja wiem, że to Prokopiuk i inne Kozaki tak cię urządziły. Okolica aż huczy od gadań o tobie i tej bladzi kozackiej.

— Jeśli chcesz, ojczy, porozumienia, to proszę na inną nutę. Ja się tyranizować nie dam, jako się matka, dziewczki i ludzie dali!

— A pozwolisz, by cię byle kto poniewierał, po ziemi włóczył? Wiem, żeś umizgał się do Marfy i za to cię Prokopiuk postrzelił. Takiś zuch niby, a głupiemu Kozakowi uległeś i jeszcze przed należną chamowi odpłatą dryfisz.

— Ja takowych Prokopiuków na kopy kładę — rzekł Marek chełpliwie. —• Aliści u mnie ponad wszystko sprawiedliwość: tak czuję w sumieniu swoim i tak nas uczyli w armadzie jego królewskiej mości. Nie zaczepiali mnie Prokopiuki i nie od Kozaków szwank poniosłem. I bardzo proszę nie prześladować ich za to! — zakończył dobitnie.

— Ach, ty kumie dziadowski! Ty chamski faktorze, opiekunie! •— ryknął stary Jakimowski.

— Hola! — zawołał Marek chwytając go za ramię palcami niby żelaznymi kleszczami. — Przysięgam, że jeśli wasza mość będziesz mścił się niesłusznie na tych Kozakach, to zbiorę watahę i tę for-talicję zburzę, zrównam z ziemią! Sam przy tym szczenę, ale i... — słów mu i głosu w gardzieli zabrakło ze wzburzenia.

— Oszalał, jak Boga Kocham!

— Może i tak. Ale nie znoszę ni krzywdy, ni niewoli. A tutaj obie one wiszą w powietrzu niby dusząca mgła, w której człowiekowi światło gaśnie, woda gorzknieje, gardło nie łapie dechu. Ja już mam tego dość! Ja się tu duszę! Mniemałem, iż zdzierzę, iż jakoś matkę i siostry od tyranii uchronię. Nie udało się: zabrakło mi sił.

Stary mruknął coś zduszonym głosem, zamachał desperacko rękami i wybiegł z izby, rozpalony do czerwoności. Dosiadłszy konia pogalopował w pole, by się tam wyhasać, wyszumieć.

Marek zamierzał opuścić bez zwłoki dom rodzicielski. Ale matka i siostry ubłagały go, by pozostał. Pożałował ich. Atoli czuł, że lada awantura doprowadzi już teraz do zerwania z ojcem.

Niesnaski, acz powściągliwsze, trwały. Aż raz, gdy ojciec zbił jakiegoś chłopca i zamknął go w dybach, Marek stracił panowanie nad sobą. Wyrwał ojcu kij, siekierą porąbał dyby, chłopca uwolnił. Stary po chwilowym osłupieniu zerwał się i pobiegł na bojnicę. Tam wydarł strażnikowi rusznicę z ręki i jął przez strzelnicę celować w głowę „marnotrawnego” jedynaka. Żołdaci zastygli... Dziedzic jednak odrzucił strzelbę, przeżegnał się rozdygotaną dłonią, po czym zbiegł na dziedziniec.

— Konia! — ryknął bawolim głosem.

Po chwili gnał co koń wyskoczy w pola, gdzie pstrzyły się ubiory włościan odrabiających pańszczyznę.

Marek zaś poszedł wzburzony do matki a siostr i opowiedział im zajście, którego echa już tu dotarły.

•— Ja już nie mam sił. Ostanę, będzie nieszczęście. Na nową się wojnę z połańcem zresztą zanosi, więc miejsce moje w wojsku. Tak i ojca a sumienie własne uchronię, i ojczyźnie oddam przysługę.

Niewiasty w płacz, nie wyłączając starej niani, Magdy.

•— Same znów ostaniem, o Jezu! Nikt się za nami nie ujmie...

— Atoli! Bóg cię prowadź, synu, bo widzę, że każdy dzień wodzi i ciebie, i ojca na pokuszenie...

— Wróć, mamó! — rzekł żarliwie. — Z łupami, a wtedy...

— Na wojnie więcej śmierci niż łupów — przerwała.

— Więc albo szczenę, albo wróć bogaty i wezmę was do siebie.

— Idź, bracie, i broń ojczyzny, o łupach nie myśląc.

— Wróć z pochwałami wodzów, synu.

Płakały, płakały rzewnie. Bo nie tak wyprawia się syna, brata, rycerza starego rodu na wojnę. Nie ucieczka z rodzinnych pieleszy to być powinna, jeno uroczystość wielka, niezapomniana, której celebrantami ból i radość, trwoga i duma •—• na równi.

Opatrzony na drogę jadłem i pieniędzmi, pożegnawszy rodzinę, domowników, służbę, nawet strażników gródka, dosiadł objuczonego rumaka t sam, bo nie chciał pachołka, którego mu proponowała matka, ruszył. Gardło miał ściśnięte. Spoglądał co chwila w szyby ubarwione sukniami niewiast płaczących głośno. Z okien boj-nic i zabudowań gospodarskich powiewały chusty, machały mnogie ręce...

Przebył właśnie zwód, gdy postyszał za sobą tupot niewieścich stóp. Obejrzał się: to biegła Wanda, zdyszana, zarumieniona. Podała mu błękitną wstęgę i wyszeptła:

— Weź. Daj jemu, gdy go spotkasz. I powiedz mu, że czekam. Schował wstążkę, po czym, schyliwszy się z konia, ujął siostrę pod ramiona i mimo bólu w rannym barku podniósł w górę i ucałował. Aż spuściwszy dziewczynę z powrotem na ziemię rzekł tkliwie:

— Oddam, powiem, gdy go spotkam. Do widzenia, siostrzyczko!

— Niechaj cię Bóg prowadzi! — odpowiedziała.

Machnął jeszcze ręką ku wszystkim oknom, po czym dawszy koniowi ostrogę pocwałował drogą ku Jołtuszkowowi.

Widział to pan Mikołaj. Wy wściekał się on już i wracał do domu. Na widok odjeżdżającego syna i domowników żegnających go z okien — uczuł niewymowną przykrość, domyślił się bowiem wszystkiego. Chciał dogonić Marka i jakoś pojednać się z nim. Ale nie mógł.

Przyhamował zerwanego do galopu wierzchowca i ukryty w zaroślach na wzgórzu patrzył długo na jeźdźca sunącego drogą w dole. Zdjął czapkę, przeżegnał się, poruszył modlitewnie wargami...

— Synu! — szepnął miękko jak nigdy przy ludziach. — Jedź! Jedź, bo nie wiem, do czego by doszło... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!... Ach, do pioruna! Zali go jeszcze kiedy obaczę, sokoła mojego?

Ruszył cwałem do domu. Koń jego kopytami wzbijał tumany pyłu, mieniące się w promieniach słońca.

X Było południe, gdy Marek stanął na jednym z porośniętych borem wzgórz, okalających położony w dolinie Są tanów z jego sadami, murem obronnym i wałem. Widział stąd kościół, cerkwie, ufortyfikowaną bóżnicę, umocniony wojennie zamek, połyskliwe zwierciadło rzeki Zbrucz.

Wczoraj jeszcze dobił do Zbrucza. Dzisiaj od świtu ciągnął równoległą do tej rzeki drogą, zwaną Wałem Trajana, zaczynającym się ponoć aż nad Dniestrem a ginącym za Satanowem. Wzniesienia, rozdoły, pagórki, mogiły, skalne rozpadliny i jaskinie, w których ukrywali się ludzie podczas napadów tatarskich albo opryszkowie... I tutaj, wokół Satanowa a w okolicznych miejscowościach, były owe skały, jaskinie, zwaliska, nad Zbruczem zaś — kamieniołomy. Na falistych, wykrojonych z puszczy polach podsatanowskich dojrzewały łąny zbóż, prażone niemiłosiernym upałem poczynającej się kanikuły żniwnej.

Marek z góry poglądał na miasto, wsie, folwarki, kamieniołomy, oddalony nieco od miasta klasztor, osłonięty drzewami schodzącymi niemal w koryto rzeczne. Wreszcie cwałem zjechał z góry wprost przed wskazaną mu przez jakiegoś pasterza Bramę Gródecką koło zamku. Tu od przekupek dowiedział się drogi do Ale-ksandrówki Satanowskich.

Popłynął miedzami wskroś złociejących łąnów i smętnego brzę-kotu owadów. Nad kłosami drgało rozgrzane powietrze, śmigały ptaki, z pastwisk zagubionych w zbożu leciały na wsze strony piosenki pastusze, pokrzykiwania, jękliwa gędzba wyrobionych niesprawnie instrumentów muzycznych. Markowi błogo było wśród onej gędzby, w tumanie rozedrganego ciepła, w lekkim poszumie pól. Sunął stępą pragnąc, by ta ozięcona słońcem i spokojem droga trwała jak najdłużej.

Postyszał skrzypienie żurawi studziennych, gwary, spostrzegł ludzi za płotami domostw. Ciekawi obcego, przerywali krzątanie i przysłaniając oczy rękami przed słonecznym blaskiem patrzyli na drogę. Uznał to za niezwykle, albowiem w innych stronach włościanie byli zastraszeni, umykali przed każdym okazalszym przybyszem.

— A kędyż to dwór ichmość państwa Satanowskich? — zapytał. Jakiś wyrostek przesadził płot i zaofiarował swoje usługi.

— Ja pokażę waszej wielmożności — rzekł po polsku.

W drodze do dworu Jakimowski przyjrząwszy mu się zapytał:

— Wy poddani pana Satanowskiego?

— Nie. My libertowane jeszcze przez nieboszczyka pana dziedzica — odparł roztropnie chłopak — na swoim my więc i na woli. Takż wszystkie familie w Aleksandrówce.

— A tyś Polak, katolik?

— A jakże. Aliści tu i prawosławne żywią, i chrystiany.

Z dalszej rozmowy dowiedział się Marek rzeczy dziwnych.

— Jam scholar: chodzę do szkoły na naukę — pochwalił się chłopak. — Szkołę niedawno założył nam nowy pan: ze trzy niedziele temu. Nie wszystkie chłopaki chcą chodzić, ale mnie tata wygnał. I mnie się zrazu nie chciało. Aliści rychło wielce sobie upodobałem. Bo pan bakałarz mówi, jak bywało dawniej i o gwiazdach na niebie, i pokazał litery, i opowiadał o czarownicach, jak na mie-tłach latają i ludzi gnębią czarami, chorobami, klątwą... A tata powiada, że mogę nawet księdzem ostać albo urzędnikiem.

— A żołnierzem chciałbyś ostać?

— O! Ja bym chciał wszystko! Ino że trza się uczyć tak długo, o Jezu! A już by się chciało, od razu! I ninie nauka przerwana, bo żniwa idą. Pono zawdy przede żniwy szkoły się zamyka.

— Ostań żeglarzem. Król jegomość ogromnie potrzebuje ludzi morza. Obaczyłbyś dalekie kraje, miasta, różne potwory i dziwa, a wodę taką, jako te pola i lasy okiem nie objęte, że końca nie widać, jeno woda i niebo, niebo i woda...

— O Jezu! Powiadajcie dalej, wielmożny panie, powiadajcie! Rozgadali się na dobre. I Marek poweselał, i chłopakowi wypieki na twarz wystąpiły od ochoty do szerokiego świata. Atoli oto z zarośli wychylił się szary, miejscami omszały zielono dach dworku.

— To już tutaj — oznajmił chłopak z żalem.

— No, do widzenia! — rzekł Marek. — Bóg ci zapłać za fatygę, a i ja miedziaka dołożę. Za furtą zsiadł z konia i powiódł go ku domowi ścieżką przez zarośla. Uwiązawszy wierzchowca do słupa ganku, zdziwiony brakiem żywej duszy, przebył puste izby, a wreszcie przez drzwi postyszał gwar i brzęk naczyń. Zapukał i wszedł.

Wielka, mrocznawa świetlica o zacienionych drzewami oknach — gromada ludzi przy posiłku, stłoczona dokoła stołu... Ucichło nagle, oczy zwróciły się ku przybyszowi.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, amen!

Pomyślał, że trafia na obiad służby. Dopiero, na widok dryblasza w płóciennych gaciach miast spodni i wyrzuconej na nie zgrzebnej koszuli, biegnącego doń od stołu, zawołał zdziwiony:

— Dalibóg! Tyżeś to, Stefanie?

Białobrody starzec, też w zgrzebnym odzieniu, wstał od stołu wraz ze wszystkimi i odmówił z nimi modlitwę dziękczynną. A gdy stołownicy opuścili jadalnię, podszedł do bosmanów.

— Wuju! To Marek Jakimowski! — przedstawił Stefan. Marek schylił się do kolan starego, który go z kolei lekko na powitanie uściskał za głowę.

•—• Miło mi poznać i gościć. Tyłem o waści słyszał! Witam i służby swoje ofiaruję, gdy jeno obowiązki gospodarskie spełnię. Wybaczcie, synowie, że was na razie samych ostawuję.

Po wyjściu starca Marek patrząc szyderczo na zgrzebną przy-odzieżkę Satanowskiego rzekł zjadliwie:

f— Na kolędę toś się za wcześniej przebrał, he-he...

Kpił, chociaż i szlachta, nie tylko chłopci, w takim odzieniu chadzała, co dziwowiskiem nie było.

Uczucie przykrości odmalowało się na twarzy Stefana.

— Ile masz jeszcze żądań dla mnie? — rzekł. — Jeśli już żadnego, to wyznam, że ogromnie rad z twojego przyjazdu.

Objął serdecznie ramieniem zakłopotanego rozbijającą odpowiedzią Marka i poprowadził go do swej izby.

Ugościli gospodarze Marka iście po bratersku. Stary przy tym, kiedy jeno mógł, nauczał gościa „prawdziwej wiary”.

•— Wiara służy tobie, człowiecze, byś osiągnął zbawienie — głosił, gdy zebrano się wraz w świetlicy trochę ludzi z okolic. — Nie dla chwały bożej ona, bo Wszechmocny, który stworzył wszystko, chwały nie potrzebuje. Dostyc ci wiedzieć, człeczko, że Bóg istnieje. W Trójcy jedyny? Cóż to takiego? Toż nie godzi się z rozumem! Bóg jest jeden, w jednej osobie! Tak twierdzi prawdziwa wiara! Objawił się ludziom Jezus Chrystus, syn boży, ale człowiek, nie Bóg, istota z ułomną, grzeszną naturą...

Szemranie przerwało naukę, rozogniły się twarze słuchaczy.

Marek omal nie wybuchnął po okropnym bluźnierstwie.

—, Nie trzeba nam innych objawień, pomocy jakowegoś „ducha świętego”. Rozum sam odróżnia prawdę od błędu. A jeśli zawiedzie, omylny człowiek ponosi szkodę, bo ma trudną drogę do zbawienia. Aliści nie lękaj się! Jeśli nie pojmiesz prawdy, boś nie w stanie pojąć, Bóg cię nie będzie prześladował ponieważż człek omylny, nie winien swego błędu. Tym bardziej nie wolno człowiekowi prześladować drugiego człowieka za odmienną wiarę! Może i my, chrystianie, błądzimy, ale tym różnimy się od innych, że nikogo nie potępiamy za przekonania. I nade wszystko u nas przykazanie miłości a braterstwa wszystkich bez wyjątku ludzi!

Ach! świerzbiała Jakimowskiego ręka, świerzbiała, by płać starego heretyka przez łeb szablą. Myślał, że nawet słuchanie jego bluźnierczych bzdur wymaga specjalnej spowiedzi.

•—• Jak wy się Boga nie boicie? — wołał do Stefana. — Grzech mówić, grzech słuchać! Przyjechałem zabrać cię kędyś do chorągwi, a nie słuchać bluźnierstw.

— I mnie już mdli w tym „ziemskim raj”: modły, nauki, przesiewanie ziarna, zbawienie, z kurami spać i od nowa modły, nauki etc., etc. — odpowiedział Satanowski. — Można tu zarobić na zbawienie, owszem, aliści już wolę zasługiwać na piekielne męki.

— To wy tak razem ze służbą a chłopstwem żyjecie, družbicie, modlicie się i żenicie nie bacząc na przyrodzony ład boski, dzielący ludzi na stany i dostojęstwa? — wydziwiał Marek.

Satanowski zmarszczył brwi i odparł surowo:

— Mów do mnie inaczej. Powinieneś przywyknąć przez tyle lat drużby ze mną. Jestem żołdat, czego chrystianie nie uznają, i tym się od nich różnię, nawet mnie ich nauki religijne nie bardzo obchodzą. Aliści jedną naukę od nich biorę i tobie ją polecam: wszyscy ludzie są braćmi! Nieraz ci to powiedziałem, jako i to, że jeno przemocą jeden człek nad drugiego uczynił się panem. Oni, arianie, uwolnili mnie ponadto od uciążliwego zabiegania o bogactwa. Aby być swobodniejszym, przygotowuję rozdział między chłopów mej ziemi, i hajda w świat! Dokonam do reszty dzieła, jakie mój ojciec rozpoczął uwolnieniem włościan z poddaństwa. Rozumuję tak: nie mam zamiłowania do roli, sumienie nakazuje mi obdarzyć chłopów, zbędę troski, a na wojnie albo zginę, albo zdobyczą, dzień bieżący sobie zabezpieczę.

— A na starość torba i kostur, co?

— Ostawiłem sobie kawałek ziemi. Kiedy miecz za ciężki się stanie, a Bóg nie przetnie mi jeszcze dni żywota, własnymi rękami za pług chwyć i lutnią na chleb zarobię. A jeśli rodzina będzie, zarobię na chleb tak, jako miliony ludzi. I niewiastę takową poślubię, co pracą nie gardzi. Bom tego się od arian nauczył, że kto nie orze, ten jeść nie powinien. Arianie...

— A gdzie masz arian? — nagle ozwał się od progu wuj Stefana. — Do żadnych się nauk Ebionowych, Ariuszowych ani Samo-stenowych nie przyznajemy. Na samego Chrystusa nauce przesta-wamy i wedle niej w Boga wierzyć a żyć usiłujemy. Dlategośmy chrystianie i

ta nazwa obok miana „braci” jest nam właściwa. Wreszcie nie o miano idzie, lecz o istotę wiary... •— przerwał, za czym dodał ze smutkiem: — Idziecie do wojska, zabijając...

. Marek czuł się coraz bardziej nieswojo w tym heretyckim domu. Niecierpliwiło go też to stałe, na każdym kroku filozofowanie. — Żołdaciśmy, nasze miejsce w wojsku — rzekł z przymusem.

— Warto zmienić profesję, która zbawieniu na zawadzie stoi. Nie potępiam tego człeka, co w niebezpieczeństwie, w celach koniecznej obrony ucieka się do oręża. Atoli ochotnicza służba wojskowa, której imają się ludzie czy z animuszu, czy dla sławy, czy z chęci zysku, odbiega od nauki Jezusa i zbrodnią jest.

— A, niech tam! •— ironizował Marek. — Taki grzesznik, jako ja, jeno piekła wart, gdzie by wieczny ogień grzechy wysmażył.

— Piekło? Byłaby to największa niesprawiedliwość, gdyby Bóg człowieka, którego stworzył śmiertelnym, dlatego nieśmiertelnym uczynił, by go dręczyć mękami przez całą wieczność. Marek ani chciał, ani potrafił odpowiedzieć. Stary też zaniechał swych peror, które już miał wygłosić, i wyszedł.

— Wieczne morały... — mruknął Marek. — Istna mogiła! •—• Toteż czmychniem z niej, pókiśmy nie potruchemeli.

Ale dokąd? Kiedy się nad tym głowili, doszły ich wieści, że książęta Zbarascy, koniuszy koronny Krzysztof i jego brat Jerzy, dopiero co z krajczego na podczaszego kreowany, gromadzą koło siebie w Zbarażu szlachtę: podobno na wyprawę do Wołoch, zamierzoną wbrew woli i hetmana Żółkiewskiego, i króla.

— Jedziem do Zbaraża! —• postanowił Marek zacierając dłonie. — Dopieroż tam zjazd! A festyny, a turnieje i nagrody, a żołdy wysokie i nadania... Znowu się świata zażyje a zażyje!

— Wolałbym zaciągnąć się do wojsk Rzeczypospolitej — rzekł niespodziewanie Stefan. •— Dość mam prywatnych pułków, koza-kowania! Jakaż z tego chwała? Że komuś mitry się gospodarskiej zachce, to my... Posłużyć chcę ojczyźnie!

— Posłużym, gdy ogień i miecz poniesiem w sułtańskie ziemie. Takeś zmniszał, że cię nie poznaję.

Satanowski popatrzył przeciągle na Marka i rzekł:

— Od czasu, jakem słyshał w Satanowie mowę do szlachty pana wiślickiego Rafała Leszczyńskiego, który tu bawił przejazdem, wiele przemyślałem. Czytałem także pismo ulotne o silnej władzy monarszej, a drugie o zasługach pana Żółkiewskiego... Teraz pojmuję, że Polakom nade wszystko trzeba posłuchu wobec majestatu.

— Tere-fere-kuku! — burknął Jakimowski. — Wolno w Polsce, jak kto chce. U nas nie dominium absolutum! Kto zresztą nie słucha króla? Czy to w ogóle możebne? Dostyć gadania! Pojedziemy tam, kędy lepiej!

Ale przypomniało mu się, co mówił na odjeźdym: „Na nową się wojnę z pohańcem zanosi... ojczyźnie oddam przysługę”. I słowa matki: „Wróc z pochwałami wodzów, synu”. Przecie łupienie wołoskich miast to nie obrona przed pohańcem, nie o poc-hwały Zbaraskich matce chodziło. Przecie po uwolnieniu Marka od kon-demnaty rodzice zmienili stosunek do Żółkiewskiego. Tak, ale Marek nie mógł się przekonać do starca, który chce surowe każdemu wpajać cnoty i z królem o dominium absolutum zamyśla.

— Jak słyshać, Rzeczpospolita uderzy, by ubiec Portę — rzekł Satanowski. — Wielkie wojska pójdą z Żółkiewskim. Będą promocje, awanse, nagrody. I chwała — najdroższa żołnierzowi.

Marek zapatrzył się przez okno na krajobraz podobny do jołtu-szkowskiego. Ocknął się z zadumy, gdy Satanowski zagrał niespodziewanie na lirze i zaśpiewał przyciszonym głosem: Czuj-duch! Hej, bosmani! Wróg lonty zażega I z armat czterdziestu daleko od brzegu Zaprasza w tan!

Pal! ognia po stokroć! •— za tany w podzięce! Burt wraźych się czepić! topory wziąć w ręce!
Bosman to pan!

Marek popatrzył życzliwie na śpiewaka i szepnął:

— Na morze, co?

—• Na morzu ninie rozejm — odparł Stefan. — Ale i skrzydła husarskie nosiły nas nie gorzej od żagli.

Odtąd naradzali się codziennie, sprzeczali, a jednocześnie przygotowywali do podróży. Na domiar Satanowski w urzędach załatwiał sprawę zabezpieczenia funduszu na niedawno erygowaną szkołę i nadzieją chłopów ziemią. Musiał też ze sprzedaży sprzętu gospodarskiego i domowego zdobyć środki na wyprawę wojskową.

— Wyzbywasz się wszystkiego, jakbyś się na tamten świat wybierał — dowcipkował Marek bez wesołości.

— Kto pod znak wojskowy idzie i to musi mieć na względzie •— odparł z powagą Stefan.

— Do nieba żywcem pójdiesz za dobre uczynki, he-he...

—• Nie drwij, bracie. Żywcem iść do nieba nie mam ochoty. Ale gdyby po śmierci otrzymać od Pana Boga bodaj najskromniejsze opatrzenie... Może i okupię czymś-tam co cięższe grzechy...

Kilku parobków, którzy z rozdziału dworskich majątności otrzymali po koniu, napało się jechać z nimi. Bosmani wzdrali się zrazu, lubili bowiem - występować bez asysty i myśleć tylko o sobie, ale w końcu zabrali łaknących świata młodzików.

Wież cała żegnała odjeżdżających z płaczem, życzeniami, przestrogi, bo wiadano, że na hazardy wojenne los ich niesie. Dziewczęta i chłopcy daleko odprowadzili dziarską gromadkę.

Gdy odeszli, Satanowski oglądając się za nimi i domem swego dzieciństwa jął przypozostawać w tyle za towarzyszymi. Nie dało to jednak spokoju Markowi. Przyklusował do druha.

— Tak mi ciężko wyjeżdżać, jak nigdy — szepnął Stefan.

•— Ja tam patrzę na to jeno, co przede mną — odparł Marek.

Satanowski wydobyl lirę ze skórzanego futerału, przytroczonego do siodła obok ryszunków bojowych i podróżnych sakw. Od strun popłynęła cicha, tęskna melodia.

XI Jesienią, że to bogaciej w chałupach niż inną porą i pilne roboty ukończone, na potęgę się ludziska żenili. Nie tylko młodziaki, ale i podstarzałki. Cętkowano ściany na biało albo zawieszano w oknach wianki lub na tyczkach przed progiem — kawalerom na znak, że w danym domu panna na wydaniu. Wieczorami swatowie krążyli z gorzałką między zainteresowanymi chatami i kojarzyli pary. Zagrody trzęsły się od hucznych zrękwonin i wesel, na których obok trunków lała się nieraz krew zawadiaków czy rywali. Odpaleni konkurenci zapijali swe niepowodzenia. Szczęśliwi raczyli napitkami dziewosłębów i przyszyłych teściów Niemałą rolę odegrali dziedzic i pleban, którzy często łączyli małżeństwa według własnych planów, nie zważając na wolę stron. Trzeba się było śpieszyć przed adwentem.

Książd Tur miał ręce pełne roboty. Za dnia w kościele, nocami hulał na weseliskach. Podobno uboższym bezpłatnie dawał śluby, a niektórych nawet wianował, starym pannom zaś prokurował związki.

Stołczyzna do jesieni naharował się jak wół. Uprawił kawał pola i zebrał plon, wystawił stodołę ze stajnią w jednym budynku, sporządził lub nabył wiele narzędzi, uzupełnił sprzęt. Na domiar musiał wykonać wiele prac a posług dla dworu. Zaciał zęby, ujarzmił swoją gwałtowną naturę, byle osiągnąć legalne wyzwolenie, które w jego mniemaniu otwierało mu spokojny powrót do dawnego życia. Pomagało mu w tym lepsze niż wobec innych włościń traktowanie ze strony dziedzica. Ułatwiała hamowanie wrodzonej gwałtowności.

Kochanie do Wandy, rozwijające się w satmtności pozbawionej pokus i rozrywek, uniemożliwiało trwały związek z inną niewiastą. A przecie nawet do gospodarstwa stawała się ona niezbędna.

Kiedyś ksiądz Tur powiedział swoim stylem:

•— Nie wolno młodemu leżeć odłogiem niby ugór. Ożenić się musi, rozmnażać Panu Bogu na chwałę, ludziom na pożytek. Upatrzyłeś co?

— Jakoś nie mam głowy do zeniaczki.

— Trzeba tu czego innego, nie głowy, tatarska dolo! Żeń mi się, piorunie! Jakowaś dziewczka potrzebuje męża, pan dziedzic robotnika, a król jegomość żołnierza. Nie słyszysz, że w dokładzie do szwedzkiej ma być jeszcze z Turkiem wojna?

— Przecie zaraz po ożenku nie zasile pułków żołdatami.

— A ty myślisz, tatarska dolo, że wojna z bisurmanem, który pół świata dzierży, prędko ustanie? Jeszcze nasze wnuki w ogniu będą.

— To po co wszczynać nową wojnę?

— Po co? Bo Rzeczpospolitą na to Pan Bóg nieomylny stworzył i do potęgi przywiódł, by na stolicy Beliala krzyż zatknęła, półksiężyc obaliwszy. Kiedy więc zeniaczka? „Kto się zaleca w adwen-ta, będzie miał żonę na święta”. Czekam do Godów. Rzekłem.

Jan odszedł skonfundowany. Cnił wprawdzie za niewiastą, ale nie myślał o ożenku. Acz Wandę uważał za straconą, miał jej pełną głowę.

Posłyszał wkrótce, iż dziedzic postanowił go, niby najzwyczajszego poddanego ożenić. I to ni mniej, ni więcej, tylko — z Bal-biną, bratową, gdyż jej gospodarka z powodu braku mężczyzny nie nastarczała powinności. Swaty owe świadczyły, że dziedzic zgodnie z prawem chce półwolnego hultaja przytwierdzić do roli 10 — Kawaler złotej ostrogi i poddaństwa przez ożenek z poddanką. Jana krzepiła jedynie nadzieja znalezienia, skoro już trzeba, stosownie j sze j niewiasty.

Jakoż upatrzył sobie gospodarną dziewczynę: córkę cieśli Kwa-śnika, Helenę. Dziewka była dorodna, acz nie młódka już, bo dwudziestopięcioletnia. Za mąż potąd nie wyszła, gdyż, jak mówiono, zniewolili ją żołnierze przechodzący kiedyś tędy, nikt jej przeto nie chciał. „Jam mniej cnotliwy. Wygląda na stateczną” — myślał Jan. Nie mógł jednak wykrzesać z siebie afektu. Myśl jego była przy Wandzie, a tylko potrzeba tutaj. Zwlekał z oświadczeniami, lubo wieczory spędzał u Kwaśników, a nocami nawiedzał komorę Heleny rozmiłowanej w nim bez pamięci. Ba! wszystkie dziewczki w okolicy marzyły o junaku, który uroda i polityką przyćmiewał niejednego pana. Rodzice panien przez pośredników namawiali go do małżeństwa. Powodzenie zaostrzało dokuczliwość projektów Duczymińskiego.

Nadeszła wreszcie chwila, której się bał: wezwał go dziedzic.

— Znalazłem ci niewiastę —• oznajmił. — Nie wiór, jędrna, rozłożysta. Uczciwa, nie latawica, pobożna, pracowita. A przede wszystkim już ci dobrze od dawna znajoma i bliska...

— Jam znalazł już pannę i zamierzam ją poślubić — odparł Jan z nagłymi rumieńcami na policzkach. — Helenę Kwaśnikównę.

— To nie dla ciebie.

— Kiedy miła mi, po sercu...

— Ta którać raję, takóž będzie po sercu, jak się z nią wyśpisz. Życzę, byś pojął swą jątrewkę. Gładka, zaradna, no i swoja. Będiesz dobrym ojcem dla jej dzieci jako stryj i ojczym w jednej osobie. Wszystko obmyśliłem. Będzie wam dobrze. Jej gospodarka, dam wam jeszcze porębę po lesie, z którego budulec brałem. Nie przerywaj! Najstarsze pasierby już duże, pomogą walnie. Bez pracy nie ma kołaczy, mój drogi, ni błogosławieństwa bożego. Nie oponuj! Nie lubię tego. Gdzie posłuch, tam ład. Nie ma posłuchu, wszystko diabli biorą. Tak-tak, mój kochany.

Stołczynę krew zalewała. Cudem trzymał się na wodzy. Jeszcze niedawno jucha by się z takiego hreczkosieja polała. Wahał się, co wybrać: gwałt i ucieczkę czy rozagę. Wybrał to drugie.

— Ośmielał się przypomnieć — rzekł głosem zdławionym ze wzburzenia — że nie jestem już poddanym tutejszym i że wasza wielmożność obiecał mi libertację.

Duczymiński zerwał się z krzesła i zakrzyczał:

— Jak śmiesz? Ja cię w dyby! Tu nie wiec, na którym o radę pytają. Dowiedz się u pana starosty, czyś mój poddany!

Stołczyzna mimo woli postąpił krok, jakby miał rzucić się na dziedzica. Wyglądał snadź groźnie, skoro pan zmienił nagle taktykę:

— Nie chcę bynajmniej twojej krzywdy. Uważam cię za mądrego, jeżdżącego człeka. Wiesz chyba, że nie masz czego we świecie szukać, jeśli umkniesz stąd wbrew mojej woli, bo ja ci po raz wtóry ucieczki nie daruję. Zali ty nie wiesz, że na luźnych srogie teraz prawa i coraz srozsze będą? Balbina albo żadna!

— To już niech będzie żadna. Myślałem żenić się za rok-dwa.

— Za dwadzieścia! — szlachcic coraz więcej się ośmielał widząc, jak Stołczyzna słabnie. — Żeby mi te amory z Heleną ustały! Co rychlej wyślij rajów do Balbiny czy inak urządź, jak tam chcesz.

Jan, skoro nie poszedł za odruchem swej gwałtowności, stracił wszelki impet. Toteż dziedzie mógł pojechać na całego:

— Marsz do domu!

Jan skłonił się potulnie i wyszedł. Dopiero na dworze pojął swoją bierność: „Zbaraniałem do cna! Maluczko, a ceberek będę ich-mość państwu podstawiał” —• myślał, dręczony poczuciem bezsilności. Wiedział, że z dziedzicem, obwarowanym setką przywilejów szlacheckich i zarządzeń przeciwchłopskich, nie wygra. Trzeba polubownie albo wyrzec się myśli o legalnym wyzwoleniu i uciekać na powrót do świata żołnierki, gdzie pytają tylko o sprawność szabli.

Tymczasem dziedzie po wyjściu Jana wezwał Kwaśnika na rozmowę, po której cieśla sprął w domu córkę na kwaśne jabłko.

— Z kałdonem mi bedzies chodzić na obmówisko ludzkie! — wołał. — Kiej ino ten obibok przyńdzie, kij na niem połamie!

— Dyć on się ze mno ozyni po adwencie.

— Pon dziedzie naloz ci chłopa kieby złoto.

— Każ on chłop? Żeby to, a tu nic. Jo wreście chce Jasia!

— A, naści, psio, Jasia! a naści! a naści!

Wieczorem przywitał Jana kłonicą. Niefortunny zalotnik domyślił się interwencji dziedzica. Mimo dość późnej pory podążył do księdza Tura i opowiedziawszy sprawę prosił go o orędownictwo.

w

•— Źle, że się zwierzchności

przeciwasz — rzekł pleban zafrasowany. — Aliści porozmawiam z panem dziedzicem.

Duczymiński jednak miał swoje plany co do kojarzonych małżeństw i ich gospodarstw.

Helenę, jej wiano i działkę Jana przeznaczył komu innemu. Stołczyźnie przy tym obiecywał korzyści.

— Pan ma swoje racje — oświadczył Janowi ksiądz któregoś rana. — Musisz być, chłopcze, posłuszny. Oddaj sprawę w ręce Boga.

Me tego się Stołczyzna spodziewał. Zasiadziały chłop połaszczyłby się może na obiecywane korzyści ziemskie i niebieskie. Ale Jan tyle w życiu zakosztował i utracił chlebow a marzeń, że nie myślał teraz sprzedawać się za gorzką kromkę i marną złudę.

Zanim doszedł przez ogród do furtki i odwiązał konia od płotu, słyszał przez otwarte okno plebanii stentorowy głos proboszcza:

— Co mi herbem w oczy rzucasz, tatarska doło! Herby są znakami szlachectwa, a nie samym szlachectwem. Gdy piwo kwaśnieje, mądry karczmarz wiechy zmiata. Tak i ty winienesz rzucić swój herb, gdy się twoje szlachectwo złotrzyło. Nie chlub się zacnością swoich przodków, bo tym większa twoja niecnota, im oni byli cnotliwsi. Jako zły szkapie nie dodaje zacności, że się w porządnej stajni wylęła, gdzie stało dobre stado, tak tobie zacność rodu nie pomoże.

Na te słowa coś odpowiedział Skoruta, ale cicho i niewyraźnie.

— Nie mam grosza! Wyssałeś ze mnie niby pijawka. Przez ciebie musiałem przyjść na to odludzie, między świętokrzyskich zbójów, do tej nędznej parafii. Sameś dziadem ostał, nawet konia i szablę sprzedałeś, poniewierasz się jak żebrak, honor utopiłeś w kielichu, teraz chcesz mnie na manowce wyprowadzić, z torbami.

Stołczyzna nie słuchał dalej, lecz pocwałował do domu.

Mijając zagrodę statecznego Walka Bystronia spotkał się z nim u wrót, za którymi uwijała się cała jego rodzina. Bystron wiedział o małżeńskich tarapatach Jana i po swojemu radził mu uciekać na popłatne prace w rudniach i killnicach Samsonowa a Miedzianej Góry.

— To czemu sam nie lecisz do owych dobroci? — burknął Jan. Zafrasowany Bystron spojrział na swoją babę-jędzę użerającą się z umorusanymi dziećmiakami i odparł żałośnie:

— Bym jako ty był wolny kieby ptosek na powietrzu, tyle by mnie tu widzieli...

Stołczyzna pojechał dalej.

Była już niby jesień, ale tak ciepło, że ludzie w lekkim przyodziewku chodzili, a gdzieniegdzie po raz wtóry kwitły różne rośliny. Słońce przygrzewało, powiew zdawał się wiosenny. Inaczej niż w zeszłym roku, kiedy to już w listopadzie zaczęła się sroga zima.

Jan miał dzisiaj szczęście do znajomków. W Mokrym Borze spotkał Kubę Łakomca. Ten miał inną radę na zmartwienia matrymonialne Stołczyny: rozbój. Rugowany już trzykrotnie przez dziedzica z dobrych gruntów na kamieniste nieużytki, nie mógł powinnociom poddańczy wydołać.

— Zmów się z nami i dwór skurzyć, pańskie ziobra pomacać, a zara pan Ducymiński zmięknie. Za Łysogórami różne dziedzice i zarządcę biskupie takie dla poddanych były zdziercę a okrutniki, ze dychać ludzie nie mogły. I co? Jak jem wkiejś dwory skurzono, a ich samych poturbowano, to któren ostoł, od razu spoćciwiół. Tak będzie i tu. A można by się dobrać i do dworów indziej...

— Przecie strażnicy wywączają, kto, co...

— Pierona-tam! Jeden z drugim kubana dostanie, to ozór za zębami będzie trzymoł i cekoł na inse kubany.

Stołczyzna, zawsze skory do hazardu, był teraz głuchy na zbójnickie pokusy. „Przypomnę o libertacji” — postanowił.

Kilka razy prosił dziedzica o uwolnienie. Bez skutku: zbywano go byle czym. Dochodziło nawet do lekkich starć.

Aż raz, gdy nalegał niecierpliwiej niż zwykle, pan huknął:

— Jazda mi stąd!

Ale i Stołczyzna już wybuchł po dawnemu:

— Kula. mi w łeb, dosyc tego! Wasza mość obiecał libertację! —• Aliści ninie cofam swoją obietnicę, boś nazbyt czelny. Jan nie zdejmując dłoni z rękojeści szabli ostrzegł groźnie:

—• Hamuję się ostatkiem mocy. Jestem raptus i jak raz wybuchnę, to od onego wybuchu wszystko się wokół mnie pali!

Niewiele brakowało, by dziedzic kazał go związać i wyełostać. Atoli nie był okrutny ni zawzięty i jakoś się pohamował.

Stołczyzna dawno już nie był tak wzburzony. Wróciwszy do domu chodził gorączkowo po swej małej izbie. Pakując przy świetle łuczywa swoje chude mamatki i obliczając pieniądze w kalecie, myślał:

„Dziś nocą ujdę stąd. Tracę sprzęt i zboże, ale uzyskam swobodę. Łgałem dziesięć lat, mogę i dalej. Do czarta z tą przeklętą pokorą!... I odejść bez porachunku z dziedzicem? Warto by mu gnaty policzyć. Ale za co? U innych panów krew i pot się z poddanych leje, a tu jako-tako. Dziedziczka nawet litościwa dla ubogich: i pieniędzmi a jadłem wspomaga, i chorym medykamina daje, i męża do łagodności namawia... Za co więc?" Nienawiść stanowa, ta druga natura zniewolonego człowieka, podszeptała odpowiedź: „Bo on bogaty, a ja biedny. Bo on wyniosły pan, a ja upokorzony rab. Bo on mną pomiata, ja mu zaś muszę bić pokłony." Opatrzył króćce i szablę, hubkę i krzesiwo, po czym wybiegł na dwór. Przed progiem stanął jak wryty.

Purpurowa łuna pożaru zaciągała niebo coraz wyżej: płonął dwór i zagrzmiała tam teraz strzelanina.

Jan nie śpieszył ratować. Nawet wówczas, gdy przegalopował mimo ksiądz Tur, zwołując wszystkich po drodze do gaszenia ognia. Nawet wówczas, kiedy pomyślał, że po zwadzie z panem na niego, Stołczynę, padnie podejrzenie. Ale i ucieczka wzmoże posądzenia. Do rana dwór spłonął i tylko szczątki jeszcze dogorywały. Nazajutrz opadli wsie strażnicy i jakby im kto palcem wskazał, otoczyli zagrody Łakomców a Safianów. Kilku mężczyzn uwieźli w łykach, lamentujące zaś niewiasty i dziecka srodze poturbowali. Po ich odmarszu dziedzic pojechał konno do księdza Tura. Przejeżdżając koło zagrody Stołczyny i widząc jego krzątanicę na podwórku, przystanął i zagadnął go zza ogrodzenia:

— Kończ z Bogiem zaczęte dzieło. Pomocy nie poskapię, o li-bertacji także jeszcze pomyślę, byłeś mi z nieużytków gospodarkę erylował. Drużbowaleś niecnotom, aleś inny od nich. Widzę twój statek a pracowitość. Tamci poniosą zasłużoną karę.

Ludzkie to niby słowa. Ale Jan, który nie znosił takiej protek-cjonalności i całą duszą współczuł uwięzionym, z nienawiścią słuchał tego białorekiego hulaki, bez trosk i pracy opływającego we wszystkie dostatki.

Ponowna obietnica libertacji zatrzymała go jednak w Podgórzu.

Dziedzic, przezimowawszy w lichej siedzibie radostowskiej po drugiej stronie gór, już o przedwiośni zaczął budować w Podgó-

rze nowy dwór —• istną fortalicję, otoczoną palisadami i wałem na wzór kresowych.

Potrzebował przeto pieniędzy, lubo znaczną część robocizny przy budowie wykonywali darmo poddani. Opętała go ta budowa! Szukał dochodu, gdzie się dało. W pogoni za groszem

•— niektórym zamożniejszym poddanym zamienił za słońną opłatą pańszczyzną na czynsze i sprzedał nieco gruntu sąsiadom. A twardy stał się dla poddanych po przebytej opresji niby topór. Za byle co karał służbę i włościan chłostą, gąsiorem, obarczał coraz nowymi 'powinnościami, rugował. „Byłem za miękki — mawiał. — Koń poty wierzga i ponosi, póki ma za lekko". A wraz zajął się pilniej gospodarstwem. Żadnego uchybienia nie puszczał płazem. Z rugowanych gruntów zakładał folwark. Wzmoczona zapobiegliwość pana spowodowała nie tylko odbudowę i poprawę gospodarskiego ładu. Z włości zbiegało teraz więcej chłopów. Jedni do Słowacji, mamieni obietnicami węgierskich nobilów, drudzy u innych panów polskich szukali polepszenia doli, trzeci dobijali się na wyrobników do manufaktur, a jeszcze inni uchodzili na Ko-zaczyznę. Tutaj natomiast ściągały różne obieżyświaty, „luźni" i zbiegowie skądinąd. Tych przyjmowano na folwark, obsadzano nimi opuszczone grunty chłopskie lub czyniono z nich zagrodników w wyludnionych chałupach i wpychano na komorne do kmiecych domów.

Wreszcie rugował dziedzic Balbinę z jej rzetelnie urządzonego gospodarstwa na mniejsze, gorsze — pod pozorem, że nie mając w domu mężczyzn, nie może ona podołać obowiązkom. Wprowadził na jej miejsce liczną rodzinę, przybyłą ze świata, a większą część gruntu wcielił do folwarku. Było to jaskrawe bezprawie, ponieważ Stołczynowie posiadali gospodarkę dziedzicznie.

Na domiar ludzkie znowu poczęli gadać o wojnie z bisurmanem. Jedni szabelką pobrzękiwali dowodząc, że król dlatego się z cesarzem sprzymierzył, by znieść Półksiężyc i wszelaką herezję. Drudzy przewidywali upadek Rzeczypospolitej, która wedle nich, po długoletnich wojnach ubiegłego okresu, nie podoła dwu takim potęgom, jak Szwecja a Porta. Gromadzono więc zapasy na „czarną godzinę”. Szły w górę ceny towarów, które w porównaniu z początkiem panowania Zygmunta III sięgały już granic niebezpiecznej drożyzny. Samsonów i Miedziana Góra pracowały dniem i nocą, w zabite deskami Bodzentyńskie, do zatopionych w puszczech Łysogór dochodziły niepokojące wieści i zbiegłe do wojska młodziaki już nie wracały doma.

Wojna wojną, a życie płynęło dalej utartym trybem.

Duczymiński podczas największej gorączki budowlanej wezwał Stołczyne do siebie. Jan zastał w nie urządzonej jeszcze komnacie nowego dworu dziedzica oraz gracjalistę i biskupiego z Bodzenty-na, trzech sąsiadów szlacheckich i księdza Tura.

— Wchodzisz kim innym, niż wyjdiesz — zagrmiał Tur. —• Dziękuj Najświętszej Mateńce, tatarska doło, i panu swemu!

— Upraszałeś mnie o litertację — ozwał się dziedzic. — Będzie to kosztować czterdzieści grzywien. Masz tyle?

— Tak — odparł wzburzony Stołczyna.

— Przeczytaj — rzekł z krzywym uśmiechem Duczymiński podając mu papier do podpisania. — Znowu pojedziem do grodu na obiatę.

W imię Pańskie, amen. Ja, Wojciech Duczymiński, ze szlachetną swoją małżonką, Anną, i potomkami swymi daję znać wszem wobec, komu to trzeba wiedzieć, iż poddanego swego, Jana Stołczyne, włościanina z Podgórze, syna pracowitego Antoniego Stołczyzny i Zuzanny de domo Wróbel, uczyniłem wolnym od poddaństwa swego i potomków moich po wieczne czasy. To sobie tylko waruję, aby wyżej pomieniony Jan Stołczyna żadnego mego poddanego nie zachował przy sobie i nie od-stręczał ode mnie, a to pod przepadkiem takiejże drugiej summy. Od którego to Jana Stołczyzny za wolność od poddaństwa wziąłem w pieniądzech grzywien 40, każdą grzywnę rachując po groszy 48 polskiej monety. To wszystko stwierdzam w obecności szlachetnego księdza Rafała Tura, proboszcza z Wilkowa, szlachetnego księdza Pawła Adam-czowskiego z Baćkowic, gracjalisty X. Biskupa Krakowskiego w Bodzentynie, szlachetnego Adama Białeckiego z Dąbrowy oraz szlachetnego Piotra Domarata ze Świętomarza, podsędka opatowskiego. Dla lepszej zaś wiary pieczęć swą przycisnąłem i własną swą ręką podpisałem...

Choć Stołczyna hultał dziesięć lat, zażywając swobód szlacheckiego stanu i coraz bardziej do przybranej skóry przywykając, to nigdy nie czuł się tak wolny, jak w tej chwili. Zdawało mu się, że odtąd na drodze życia nie będzie już żadnych przeszkód. Nie kwapił się jednak do czołobitnych podziękowań, nie obcałowywał rąk Gracjalista (z łac.) — prywatny urzędnik. „dobrodzieja” na klęczkach, jak to czynili zwykle oszołomieni szczęściem wyzwoleńcy, jedno drżącym głosem powiedział:

— Dzięki waszej mości.

— Harda sztuka! —• mruknął podsędek Domarat. •—• Ja bym takiego od razu do kuny... Stołczyna spojrział nań tak, że zuchwałe oczy panka nie wytrzymały spojrzenia, w którym czaiła się groźba. W jednej chwili przyszły mu na myśl różne porachunki. Wyfrunął fantazją wysoko ponad skromne znaczenie libertacji.

— Zastrzegam sobie — rzekł zuchwale —• bym każdej chwili mógł opuścić dobra waszej mości pomimo umowy na trzy lata.

— Ja. bym tego chama...! — warknął wściekle Domarat.

Z nienawistnym lekceważeniem, jakby nie słyszał, Jan_ ciągnął:

— Upraszam, o dopisanie w libertacji tego, com rzekł. Niech mi będzie wolno wystać, kiedy zechcę.

Dziedzic, zniecierpliwiony i podjudzony do żywego przymówkami świadków, wstał gwałtownie z zydlu i krzyknął:

— Aleś czelny, chłopie! Nic we świecie nie zwojowałeś, jenoś cnotę wszelką utracił a pomiarkowanie. Mogę przecie podrzeć ten karteluszek i przemocą cię tu zatrzymać.

—• Jak wola — rzekł Jan, a pomyślał, że może uciec z pieniędzmi, po libertacji zaś zostanie goły jak święty turecki.

— A to tatarska dola! •— mruzczał ksiądz Tur więcej z podziwem i sympatią niż z gniewem.

— Istny squalus!

Duczymiński przeszedł się parę razy po izbie.

— Nie lubię zawracać w połowie drogi. Wy, chłopie, chcecie zawsze szkody pana, wiadomo. Takie już wasze przyrodzenie... Ja mam stracić, trać i ty: dodasz dziesięć grzywien za swój warunek.

Stołczyzna nie miał tyle, ale bez namysłu zgodził się na żądanie, tym skwapliwiej, że ksiądz Tur dawał mu ukradkiem jakieś znaki, wyglądające na zachętę. Sporządzono pośpiesznie nowy dokument, uwzględniający już za dziesięć grzywien poprawkę Jana.

— Masz pieniądze przy sobie? — spytał dziedzic.

— Przy obłacie będziem się rachować — odparł hardo Jan.

Im większa potrzeba, tym mniejsza wrażliwość na dyshonory. —• Słusznie. Co nagle, to po diable — zażartował kwaśno pan. Tego samego dnia libertował jeszcze kilka zamożniejszych TO dzin, a tak je wycisnął, że chociaż de nomine zyskiwały wolność osobistą, de facto przeszły tylko z pańszczyzny na wysokie czynsze i zapożyczyły się u dziedzica na dziesiątki lat.

Stołczyzna oszołomiony wrócił do domu. Chodził po izbie medytując nad swoim nowym położeniem: teraz do szlachectwa jeden krok.

50 grzywien to 80 złotych. Sprzedawszy przed tygodniem, jakby w przeczuciu uwolnienia, złotogłów zdobyty podczas wyprawy na Sinope, miał niespełna 72 złote. Niema już nic do sprzedania. Co zostało, niezbędne jest dla gospodarstwa. Skąd wziąć te 8 złotych? Kawał grosza! Przynając się do roboty nie ma gdzie. Kopalnie i kuźnice tłumy wyrobników oblegają: co setnego los wybierze. Należy poprosić dziedzica, by poczekał. Wolność się odwlecze. A pragnęłoby się zażyć jej najprędzej! już! całkiem prawnie!

Na drodze zabrzmiał tętent konia i po chwili do mieszkania Stołczyzny wszedł ksiądz Tur, nieco podchmielony: wracał z dworu.

— Niewdzięczniku! — grzmiał od progu. — Ale pał cię sześć! Najważniejsze, żeś wycyganął od pana ów rewers. Masz osiemdziesiąt złotych na wykupno, tatarska dolo, czyś łgał?

Czułem, że to drugie.

— Chętnie bym dopożyczył piętnaście — odparł Jan.

— Przyjdź jutro do mnie: pożyczę ci. Nie mam przy sobie.

— Stokrotne Bóg-zapłać! Dzięki!

— Przenajświętszej Mateńce dziękuj, nie mnie! Ubogo tu i po dziadowsku. A wiesz czemu, tatarska dolo? Bo nie masz baby! Miałbyś takową, to i ciepło by ci było, i czysto, i niekuczno. Po libertacji, tuszę, zmądrzejesz. No, bądź zdrow! Jutro po pieniądze!

Jan wsłuchiwał się jakiś czas w ciężki tętent plebańskiego flamańda, za czym powrócił do swych trudnych rozważań.

Każda myśl o małżeństwie kłuje, bo towarzyszy jej nieodstępne wspomnienie o Wandzie, a wraz z nim dziwna tęsknota za tamtą daleką ziemią. Z czułością oglądał pontalik Wandy, chroniący rzekomo od pioruna, melancholii, czarów, śmierci. Brak mu najważniejszej właściwości: ochrony przed kochaniem i tęsknotą. Cnił nie tylko za panną, ale i za druhami, za szerszym widnokregiem. Nie, nie będzie tu wiekował! Ale czy libertacja przybliży Wandę, szlachciankę na kasztelu? Ani o piędź. Trzeba zdobyć herb! Jak? I czy świeżo upieczone szlachectwo wystarczyłoby drapieżne mu, wyniosłemu Mikołajowi Jakimowskiemu, który

gardzi każdym człowiekiem, niższym odeń w hierarchii społecznej? Nie. Wprost nie można sobie wyobrazić, by wydał on córkę za uszlachconego plebeja. Więc?

„A co powie Wanda? Wyznam jej wszystko!” — postanowił Jan.

Po obłacie libertacji w grodzie Stołczyna znowu, po raz już któryś, zaprosił Dudę do szynku. Palestrant inaczej teraz traktował swego ziomka. Światowy polot, szczodrośliwa w poczęstunkach ręka i obecne wyzwolenie podniosły Jana w oczach bufona.

— Będę zabiegał o szlachectwo —• wyznał Stołczyna.

— O! •— zdumiał się Duda. — Musisz leżeć na pieniądzech. Mnie jeszcze na to nie stać. Owszem, dziedzic Jałowęs gotów mnie dopuścić do herbu, ale wówczas, gdy razem z adopcją kupię dobra jałowęskie. A na to, niestety, muszę poczekać.

— Co czynić, by takową adopcję przeprowadzić?

— Dobrze komuś herbowemu zapłacić. Aliści to nie wszystko. Pankowie zazdrośni. Ongi łatwiej było wejść do ich stanu, ninie coraz trudniej. Szlachectwo nabyć można przez „adopcję” czyli „przyjęcie do herbu” lub „nobiletację” za zasługi, za pieniądze. Aliści tak liczni benenaci kupczyli ona adopcją, że odebrano królowi prawo nadawania szlachectwa i przekazano je sejmowi. Teraz szlachectwo musi być objaśnione konstytucją sejmową. Nie wolno szlachcicowi *privatim* 1, jako dawniej, przypuścić kogoś do herbu. Coraz trudniej dzielnym ludziom rosnać. Rada jednak zawsze się najdzie. Potrzebne są na nią pieniądze, pieniądze i pieniądze. Pankowie niby tacy honorowi, ale dukaty lubią, że gotowi dać się za nie powiesić. A może masz jakowe dla Rzeczypospolitej zasługi?

Stołczyna wyjął z kalety jakieś dokumenty i rzekł: — Przez te dziesięć lat w wielu potrzebach wojennych stawałem. Mam tu różne pisma świadeczne od pana hetmana Chodkie-wicza, od pana wojewody Weyhera, od różnych kapitanów armady morskiej, od księcia Koreckiego, a także od atamanów kozackich, z którymi chadzki do Wołoch odprawowałem...

— Ho-ho-ho! — mruczał Duda wertując papiery. —• Aleś ty 1 *Privatim* (łac.) — sekretnie. baran a baran! — ocenił bez cienia uznania. — Z takimi dokumentami wrócić do Podgórze, gdzie groziło wtórne poddaństwo, to trzeba mieć tu fijała — wskazał czoło. — One, obok pieniędzy, pomogą ci w uzyskaniu szlachectwa, ale go nie zapewniają. Chyba że ci panowie, autorowie niniejszych świadectw, zajmą się tobą na sejmie. Kiedy sprawy te leżały w królewskich rękach, sprawiedliwiej było i łatwiej. Od 1601 roku potrzebna nobiletacja sejmowa. A to trudne!

Stołczyna niewesoły wrócił do domu.

Tu nie dała mu spokoju Balbina. Przybiegła z lamentem, że bez wspomogi pomrze z dzieckami od niedostatku. Gonił wprawdzie resztkami pożyczonych od Tura pieniędzy, ale dał jej dwa złote, kosz żywności, wór zboża i furę siana.

Tak, przednówdk stawał się coraz cięższy i głód zagnieżdził się na długie miesiące pod wieśniaczymi strzechami.

Pod wieczór Stołczyna leżał na barłogu, skleconym z desek i słomy a przykrytym brudną pościelą, rozważając swoje ubóstwo oraz długą drogę do szlachectwa i Wandy. Co to za życie! Niedostatek, zakisłe ścieżki nędznego bytowania, żadnej nadziei na przyszłość mimo legalnego uzyskania wolności. Licha siedziba: jednoizbowa kucza o wilgotnym klepisku i okienku z błoną zamiast szyb szklanych, stodółka, przystawka dla konia, drewnitnia...

Przypomnieli mu się Karmanczukowie i Skoruta. Gdyby tak z Karmanczukami ruszyć na „chadzki”; zaraz by się z bogaciało. Skoruta zaś... Można go teraz, wczesnym wieczorem, spotkać w szynku.

Jan namyślał się krótko. Po kilkunastu już minutach cwałował.

W Bodzentynie na rynku uwiązał konia do pala, obok innych koni, po czym wszedł do wnętrza.

W szynku, jak zazwyczaj o tej porze, sporo było ludzi: paru szlachty przy osobnym stole, sporo bodzentynian i chłopów z podmiejskich wiosek. Na widok chwackiego przybysza

wszyscy podnieśli głowy znad mis i kufla. Ponieważ Skoruty nie było, Jan postanowił na niego poczekać. Usiadł na ławie przy pustym końcu chłopskiego stołu, by nie doznać jakiegoś despektu przy szlacheckim, i śledził wejście a szynkwas, odległe odeń o kilka łokci. Skoruta wreszcie nadszedł. Ukłonił się nisko szynkarzowi i gościom. Miał w twarzy wyraz zakłopotania, nieporadności, jakby przestachu. Obecni witali go gromkim śmiechem. Wszystkie stały się połączyły się zgodnie w okrutnym szyderstwie, które dziwnie zabolowało Stołczynę. Skoruta, niby spragnione zwierzę, pociągnął nosem ostre zapachy trunków i w oczach odmalowała mu się nieposkromiona żądza. Uśmiechnął się do szynkarza i zagadnął unieżenie:

•— Wybacz, wasza miłość, iż zwracam się jeszcze z takową prośbą: bądź łaskaw użyczyć mi ostatni kusztyczek onej sławnej wódeczki gdańskiej, bo żyć po prostu nie mogę, susząc od rana.

— A zapłacisz aść? — spytał grubiańskim tonem szynkarz.

— Poproszę unieżenie ostatni raz (ostatni!) na borg 1... •— Borgen macht Sorgen 2. Idź wasze w diabły!

•— Za dzień, dwa wypłacę, przysięgam.

— Doprawdy, żeby szlachcic tak postępował! Darmo waćpan stoisz: nic nie dam.

— Błagam, na sumienie zaklinam! •— skamlał Skoruta.

•— Klękni! — huknął ktoś z sali. — Trza się pomodlić do szafarza! — a skądinąd wołano:

— chodź tu, „książę”, dostaniesz gorzałki! Aliści wypij z trzewiczka Jagusinego!

Jagusia była znaną ogólnie z niechlujstwa i rozwiązłości dziewczką karczemną.

— Niech nożem kwartę wypije! •— podsunął ktoś.

Skoruta poskoczył ku stołom. Już jeden z wesółków ciągnął z kuchni umorusaną Jagusię, drugi nalał kwartę wódki i włożył w nią ostrzem nóż. Inny zerwał kapeć z nogi kocmołucha i napełniony gorzałką podał zaślinionemu, bliskiemu płaczu Skorucie. Ten ujął, zawałany łajnem, cuchnący chodak w drżące dłonie i podniósł do ust. Ale w ostatniej chwili przypadł doń Stołczyzna, wytrącił mu z ręki ohydny przedmiot, oblewając wódką rechocących pijaków i zawołał wzburzony:

— Wstyd, waszmościowie! Proszę do mego stołu, gości Skoruta!

— Co to za wielmoża? — huknął jeden ze szlachciców, wysoki niemal do powały, dobywając szabli.

W Janie zagrała krew niedawnego zabijaki. W ostatnich czasach jednak nauczył się panować nad sobą.

1 Borg (nłem.) — kredyt, pożyczka, dług.

2 Borgen macht Sorgen (niem.) — pożyczanie sprawia kłopoty (nie pożyczaj, zły obyczaj).

— Nie jestem szlachcicem — rzekł zduszonym głosem — • dys-honor przeto waści potykać się ze mną, chłopem, a jeszcze większy — paść z mojej ręki, co by się nieochoybie stało.

Wypowiedział to z taką żelazną pewnością siebie, że szlachcic na chwilę zbaraniał. Zaraz wszakże wrócił do siebie:

— Chłop? To kijem oberwiesz! — otworzył drzwi i krzyknął w rynek, gdzie stał jego ekwipaż: — Pachołki, do mnie!

— Jeśli zechcecie mnie pojmać, krew się tu poleje i nim ja padnę, wielu was legnie, a waść pierwszy — zagroził Jan.

Bojowy szlachciura nie ustąpiłby. Ale kompanowie jęli go namawiać do poniechania zwady wyrażając przypuszczenie, że Stołczyzna snadź biskupi sługa, skoro ma odwagę tak hardo stawiać szlachcie. Dał się jakoś przekonać: pachołków odesłał na powrót do zaprzęgu.

Stołczyzna ujął pod pachę ogłupiałego zajściem Skorutę, za czym poprowadził go do swego stołu, zamawiając dlań u szynkarza ku-sztyczek gdańskiej wódki.

— Dzięki za poczęstunek, dzięki! — krygował się Skoruta. — Co za polityczny kawaler!

Ach, zacna ta „gdańszczoneczka”, zacna!

Oczy mu wnet zmętniały, nabrały wyrazu spełnionego szczęścia, a w kącikach powiek i warg ukazał się biały nalot, zwykły u nałogowych pijaniców. Ale niebawem zapragnął jeszcze, pożądanymi oczyma wodził za kielichami innych.

Był to człek piękny, nobliwy, lecz wynędzniały.

Stołczyzna nie zamierzał go fetować. Zaproponował więc przechadzkę w obawie, by Skoruta, upiwszy się za wcześnie, nie utracił zdolności rozważenia sprawy, która tu Jana przywiodła.

Licząc na późniejszą fundę Skoruta skwapliwie wyraził zgodę.

Wyszli na kielecką drogę •—• w stronę Podgórze.

—• Powiem od razu: jam libertowany chłop, a chcę szlachectwa. Czy waćpan dopuściłby mnie do swego „Korcza”?

Zaskoczony pytaniem Skoruta przystanął.

— Jeszczem nigdy takowej materii nie roztrząsał. Zgołam jej nieświadomy. Prawe mówiąc, to waści wcale nie znam.

•— Ale pieniędzy waść na pewno potrzebujesz — rąbnął Jan.

— Ponoć tylko anioły nie potrzebują — zażartował Skoruta. — Wkrótce dam waści trzos wypchany dukatami za adopcję.

— To daj waćpan lepiej ćwierć onego, byle od razu.

— Słyszałem, żeś waćpan stracił fortunę...

— Skądże! te wszystkie wieści? Zaliś, wasze, śledca sądowy?

— Gdybyś ją waszmość chciał odzyskać z nawiązką, po trosze jeno głowę narażając, to ci mogę pewien sekret wyjawić.

Zniszczona, wyzuta —• zdało się — z oznak wszelkich prawdziwych wzruszeń twarz Skoruty ożywiła się.

— Cóżeś za kuglarz, mości nieznajomy? Zaciekawiasz mnie! •—• Bacność! Ktoś idzie •— szepnął Jan widząc jakieś cienie. Skoruta oparł dłoń na rękojeści damascenki otrzymanej świeżo od wuja, której nie zdążył jeszcze przepić.

Z bliska cienie okazały się Kubą Łakomcem i Tomkiem Safianem.

— W imię Ojca...! Skąd wy tu? — zdumiał się Jan. Gdy zeszli wszyscy z drogi w zarośla, Kuba opowiadał:

— Kraty my w kabacie kieleckim wylamali i uciekli. Tułamy się po lasach i dobrych ludziach.

Mimo mroku widać było, że wynędzniali, odziani w łachmany.

— Wracajmy do szynku! —• szeptał niecierpliwie Skoruta.

•— Nie pali się! — fuknął Jan. — Umowiliśmy nie dokończyli! Skoruta popatrzył wzgardliwie na niego i jego ziomków.

— Nie wiadomo, czy zechcę ją dokończyć — rzekł z nagłym zuchwalstwem. — Nie pytałeś mnie o gusta w doborze kompanii.

— Wolna droga, mościwy panie! Nikt, powiem na pożeganie, nawet wuj, nie da waści na gorzałkę, jeno ja mogę.

Skoruta wnet, spokorniał i nie odzywał się więcej.

— Przyśliśwa oboczyć famielią i nazad uciekać trza — oznajmił Safian. •— Nocka na to najsposobniejso.

— Idźcie do rodzin, a potem śpieszcie do mnie na naradę — rzekł Jan. — Garście wam dukatami naplotę, kula mi w łeb!

Nabierał animuszu i fantazji, wyciągał się z portek, gdy tylko poczuł przed sobą przygodę i chwatów nie mających nic do stracenia.

Powiadomił wnet Balbinę o swym wyjeździe z Podgórze i upoważnił do wywiezienia z jego zagrody wszystkiego, co się da. Baby w lament, bo całą rodzinę wspierał. Ale zaraz obliczyły, że zostawione rzeczy też będą niemałej wartości.

•—• Zmowę wyczuwam zbójcecką — rzekł Skoruta, gdy wracali.

— Bardziej rycerska niżli waćpan suponujesz — odparł Jan. —

Może nas ona wszystkich wyciągnąć z błota, w które nas wtrącił los. —• Fantazja u waści niezwykła!

— A co, fantazja to jeno prerogatywa szlachecka?

— Zdumiewasz mnie, jako żywo! Ponieważ jakowyś szlachcic zapewne przyczynił się do twych narodzin, przypuszczę cię do konfidencji z sobą, kawalerze.

•— Dzięki waszej dostojności — zadrwił Stołczyzna.

— Przystaję także na twój plan, lubo go nie znam — oświadczył Skoruta z właściwą lekkoduchom skwapliwością. —• Dobry masz, widzę, dowcip, kawalerze. Na twoją głowę wszystko zdawani. Idę za tobą! Zwij mnie po imieniu i rozporządzaj mną!

Jan nisko ceniał ślepy zapał pijanicy bez charakteru.

— Wasze służywałeś wojskowo? •— spytał chłodno.

— Obaj my z wujem, księdzem Turem, byli pod Kircholmem, a ja potem i pod Parnawą a Diamentem, jako namiestnik chorągwi husarskiej. Później... Ach, szkoda mówić!

Skoruta jakoś nie wspominał już o szynku. Ale w chałupie Jana z pijacką apatią zwiesił głowę i milcząco siedział na ławie.

Chłodno jeszcze było na świecie, toteż w ogrzewającej cały dom grubie, której otwór wychodził na sień, paliły się jodłowe polana. Szpary między bierwionami ściennymi utkane były pakułami, mchem, gliną, ale i tak wiatr przewiewał przez nie. Chałupy bywały w Łysogórach przeważnie kurne. Stołczyznowa jednak miała komin z plecionki .polepionej gliną. Chłopi sypiali zwykle na ławach albo piecu czy po prostu wiązce słomy rozestanej na klepisku, nakrywali się płachtami lub kozuchami. Jan zaś — na podobnej do łóżka pryczy, pod ciepłą kocą wełnianą albo pod dwiema. Choć niezonaty, przecie i kłoda tu była z kiszoną kapustą, i słomiany pęczniały od zboża, a na kołkach wbitych w ścianę wisiały naczynia gliniane i drewniane. Skrzynia, którą sam pomalował, zawierała odzienie —• zdobywcze i otrzymane od Karmanczu-ków. Nad pryczą wisiały sztuki różnej broni.

—• Lubujesz się, widać, w orężach — rzekł nagle Skoruta. — Kup ode mnie tę szablę: przednia demeszka, w Szamie pławiona.

— Nie wstyd waści? Ja chłop, a jeno z życiem oddam szablę. — Nie rezonuj do stu diabłów! —• wrzasnął niespodziewanie Skoruta. — Kupisz czy nie, a nie gadaj dużo! Lepiej daj wódki!

Jan, zirytowany, zdjął z półki flaszkę prostuchy, nalał w kubek, a gdy- pijanica pożądlawie wypił, rzekł twardo:

•— A ninie jazda stąd! Albo... Jeżeli chcesz przystać do nas, musisz być zawsze trzeźwy i czujny, a mnie posłuszny niby dowódcy na wojnie. Ja wyznaję takowe principium: trunek dobry i na radość, i na frasunek, aliści jeno dla człowieka, a nie świni.

— Przykre będzie twoje dowództwo — smętnie mruknął Skoruta. —• Atoli nie mam nic do stracenia.

Łakomiec i Safian nadeszli dopiero nad ranem, przebrani w czyste odzienie i jakby załzawieni, z torbami żywności na plecach.

— Co tak długo? Zaraz będzie świtać — burczał Stołczyzna.

•— Przecie musieliśwa się ździebko do babów przyłożyć, nie? Kiedy Jan wyłuszczył swe plany, Skoruta aż w dłonie klasnął.

— Prowadź! Będę ci posłuszny jak cień! Czuję w tobie wodza! Stołczyzna nie ceniał ślepego zapału takiego człowieka.

— Dnieje, a musim się stąd wymknąć niepostrzeżenie i porwać konie ze stadniny biskupa wedle Dębna — rzekł.

Ubrał towarzyszy w magierki, dołomy, obcisłe spodnie i wysokie buty, uzbroił wszystkich w pistolety, a Łakomica i Safiana tak~ .że w bojowe czarne szabliska: rozdał do reszty cały

dorobek z lat spędzonych w świecie i dary Karmanczuków. Ale czymże to było w porównaniu ze zdobyczą, jaką miał na uwadze!

Wyglądali bojowo i groźnie. Potrzebowali jeno koni.

Znaleźli je tuż za miastem — w biskupiej stadninie, z której mimo ostrzału koniuchów porwali kilkanaście doborowych wierzchowców: dla siebie i na sprzedaż, by zyskać pieniądze na podróż. Początek był więc pomyślny. Tym więcej że koniuchowie nie podjęli pościgu, a po ucieczce rabusiów z koszary przestali też strzelać.

Hultajska czwórka ruszyła szumiącą sennie puszczą jodłową ku brzaskowi obejmującemu od wschodu niebo nad Łysogórami.

XII Spieniężywszy w Sandomierzu zbywające konie, gnali iście po tatarsku: do dwudziestu mil dziennie, aż musieli kilka razy zmienić wierzchowce. Toteż sto mil do Białocerkwi przebyli w tył — Kawaler złotej ostrogi dzień. Dopiero w drodze doszły ich wieści o rastawickiej ugodzie, zawartej przez Rzeczpospolitą z Kozakami, i o rozłamie w łonie Kozaczyzny. Słychać było także o bliskiej już wojnie z bisurma-nem.

Stołczyzna zamierzał odszukać w Białocerkwi i wtajemniczyć w swoje plany oficera tamtejszego pułku wojska zaporoskiego, Jacka Nierodowicza Borodawkę, z którym zawarł był kiedyś po-bratymstwo, a później w Barskiem — przyciągnąć do siebie Karmanczuków. Ciągnęli wedle obszaru jesiennej koncentracji wojsk polskich i kozackich. Obóz polski, w którym wówczas podpisano ową ugodę, leżał przy ujściu rzeki Pawołoczy do Rastawicy, oparty o wody tych rzek, miasto Pawołocz, zamczysko, wały. Tkwiły w nim jeszcze niektóre oddziały, z daleka sygnalizujące swoją obecność patrolami przemierzającymi drogi, pola, osiedla i kupami luźnego żołnierstwa.

Obrali postój w Pawołoczy. W gospodzie zastali gromadę oficerów z Wrzeszczem na czele. Od niego Stołczyzna dowiedział się, że Marek i Stefan są w wojsku hetmana Żółkiewskiego.

— Chyba i waćpan dążysz do naszego wojska — rzekł rotmistrz. — Przecie jeneralna wojna z Półksiężycem wisi w powietrzu! A pod kim chciałby służyć dobry żołnierz, jeśli nie pod największym wodzem naszych czasów, panem Żółkiewskim?

Stołczyzna pomyślał, że hetman Chodkiewicz nigdy nie przegrywa i gdzie się pojawi, zmienia losy wojen.

— Na razie nie wstąpię do wojska — odparł.

•—• Zali to możliwe? •—• zdumiał się Wrzeszcz. — E! chyba waści sumienie ruszy, gdy ujrzysz ojczyznę w potrzebie.

— Nigdy jej krwi nie skąpił i nie poskąpię! — wyskandował Jan, a pomyślał, że ona wielu mu rzeczy skąpiła.

— Nowa wojna — rzekł rotmistrz. — Tyle zawdy te pioruńskie Kozaki nabroją swoimi „chadzki”, na które sułtan zębami zgrzyta. Jesienią Konaszewicz przyrzekł utrzymać ich w ryzach. Ale nie wierzę w ich spokojność ni w jego nad nim wszechwładzę. A więc do zobaczenia! Niebawem usłyszysz waćpan surmy bojowe.

Pożegnawszy się z rotmistrzem Jan wrócił do swoich. Ale już nie zastał ich w głównej izbie, gdyż ustąpili podochoconym oficerom. Pożywali w jednej z bocznych. Pijany jak bela Skoruta chrapał ległszy na ławie. Stołczyzna zgrzytnął ze złością na jego widok:

— Pijanica! Lejcie mu wodę na łeb, bo jeno zjem, i ruszamy!

O wiorstę lub dwie za Pawołoczą do rana popasiem.

Po ocuceniu Skoruty według recepty Jana — cichaczem wymknęli się z gospody. W drodze Stołczyzna powiadł na opoja:

•— Adamie! Tak dalej być nie może! Wyprawa nasza wymaga największej czujności, a więc trzeźwości. Za opilstwo na czajce podczas chadzki zostaniesz utopiony. Bo ataman takowego pija-nicę, co zakazy picia przestąpi, każe za burtę czajki wykidać.

Skoruta milczał. Jechał osowiały za towarzyszymi.

Jan był w nie lepszym nastroju. Żywe przypomnienia braci ślubnych i pokusa wstąpienia u ich boku do wojska odbierały mu spokój. Musiał mozolnie walczyć z tą pokusą.

W Białocerkwi nie znaleźli Jacka Nierodowicza Borodawki, został on bowiem, jak ich powiadomiono w dowództwie tutejszego pułku zaporoskiego, odkomenderowany przed rokiem na Sicz. Wszelako, włócząc się po resztkach zesłorocznego obozu kozackiego nad rzeką Uzien, natknęli się wśród czerni, pozostałej częściowo jeszcze od jesieni, na Karmanczuków i innych barskich Kozaków.

Dowiedziawszy się, że Stołczyzna jest chłopem, Karmanczukowie zaprosili przybyszów do swej ziemianki pod wałem obozowym i świecąc łuczycywem zastawili stół mięsivem a trunkami.

Wieczór był gwiaździsty, księżycowy. Po obu stronach Uzieni jaśniały gdzieniegdzie ogniska żołnierskie. W ziemiankach i szałasach kwaterowały resztki armii obozującej tu jesienią i czerni nabiegłej ze znacznych obszarów. Przy ogniskach i na kwaterach toczyły się uczty przy udziale ściągniętych z okolic niewiast fry-wolnych. Grano na instrumentach i śpiewano.

— Mołojcy hulają, aż przehulają szczątki swojego dobra — rzekł stary Ostap Karmanczuk.

— To tak przed wiosenną chadzką... Nowe prawo niby zabrania. Ale co wart Kozak bez chadzek i łupu?

— Jedziem na Sicz — oznajmił Jan.

— Razem tedy z nami! — Karmanczukowie aż klasnęli w dłonie. A gdy wyjawiał swe plany i pobratymstwo z Borodawką, Daniło wykrzyknął podochocony:

— Od razu wtedy wyczułem w tobie brata! Borodawką to sokół nad sokoły i hetmanem naszym mógłby ostać. Jedziem tedy...

11*

Stary Karmanczuk sposepniał i rzekł w zadumie:

•— Rada kozacka będzie, na którąśmy wezwani. Ważna rada! Ważniejsza jeszcze niż jesienna tu, na Uzieni. Bo Ruś rozerwana, starszyzna chce mołojców przędac panom. Jedyna w Borodawce nadzieja.

Uczta ściągnęła niebawem mołojców z innych kwater, a wśród nich i atamanów, i setników i esawułów. Wszyscy bez względu na kondycję siedzieli przemieszani przy stole i ucztowali jak równi, zowiąc się wzajem „towarzyszami”, jeżeli ich ściślejsze nie łączyły więzy, na „ty” przejść pozwalające. Łakomiec i Safian zachwyceni byli tą równością i wprost uszom a oczom nie dowierzali.

— Bodaj tu żyć ubogiemu! — szeptali żałośliwie.

—• Możecie, bo u nas miejsca dość! Niech wszystkie chłopcy ze świata tu zbiegną i Borodawkę hetmanem obiorą, a panów na powrót weźniem, iż nie ostanie żaden!

Ale nie tylko ponurości gadali, bo i pieprzne głupstwa o kochaniu i swawoli.

Daniło zdjął ze ściany teorban i potraćiwszy struny zaśpiewał tęsknym głosem •— po polsku: dla gości.

Jedna góra jest wysoka, Druga góra niska. . Jedna dziewczyna daleka, Ta druga zaś bliska.

U tej bliskiej są dostatki, Aż się w izbie tłoczy, A u tamtej, co daleko, Jeno czarne oczy.

Hej, ta moja miła! Hej, ta czarnobrewa! Hej, ta czarnobrewa! Hej, ta miła!

O tę bliską nie dbam wcale — Ludziom ją daruję. . A do tamtej, co daleko, Pieszko powędruje.

Hej, ta moja miła!

Zadumał się Stołczyzna, bo jakby jego daleką czarnobrewa opiewała ta pieśń. I on gotów pieszko wędrować bodaj na kraj świata. Stary Karmanczuk klarował smętnie Tomkowi i Kubie:

— Dawniej tu chłop płacił jeno 30 groszy czynszu rocznie od łanu.

— O! A u nas 100 groszy i więcej!

— "Teraz nam ziemię pany pozabierały, każą na swojej darmo harować i jeszcze płacić podatki! A wtarżki tatarskie to już plaga nad plagi. Rzadka przecie chata, żeby się 10 rokov ostała na szlakach tatarskich. Żle się u nas, w Ukrainie, robi, źle...

Ale pucołowaty Daniło potrafił rozchmurzyć towarzyszy. Targnął ostro strunami i zapiał frywolną piosnkę kozacką:

Sławni chłopca Zaporozci Wik zwikuwały — popa ne wydały.

Jak zobaczyły u poli capa, Otoman kaže: „Oce, bratci, pip, pip!”

Osawuł kaže: „Szczę ja i pryczaszczawsia!”

Sławni chłopci Zaporozci Wik zwikuwały — popa ne wydały. Jak zobaczyły taj u poli skyrtu, Otoman kaže: „Oto, bratci, cerkwa!” Osawuł kaže: „Ja w nij spowidawsia!” Inni podchwycili melodię i chóralnie ryknęli: Sławni chłopci Zaporozci...

Ciągnęli przez Kumejki, Czerkasy, Kurukowe Jeziora, aż i przez Dzikie Pola — szlakiem handlowym wzdłuż Dniepru.

Za Kurukowym Jeziorem kończył się kraj cywilizowany, a zaczynało bezludzie: dziewicze lasy, stepy, zdradliwe rzeki, jary i rozpadliny, bezdenne bagna, karkołomne bezdroża i manowce...

Czasem mijali zimowniki pojedyncze lub osady wielorodzinne — to otwarte a bezbronne, to obwałowane, najeżone orężem. Czasem widywali stada owiec i bydła pod nadzorem czabanów albo groł Sławni chłopcy zaporoscy Wiele przeżyli, a popa nie widzieli. Jak zobaczyli na polu kozła, mady osadników jadących wozami czy konno. Byli w ustawicznym napięciu, z dłonią na szabli, czujni, gotowi w każdej chwili do odparcia napadu półdzikich ludzi, łakomych na cudze dobro, i krew. Podziwiali odwieczne dąbrowy, jeszcze świeżym listowiem nie ozielenione, srebrzyste bukowiny, nieprzejrzane lasy grabów i klonów, brzeziny biało-zielone, gaje dzikich wiśni, grusz, jabłoni, śliw, orzechów, samorodne winnice... a wszystko bujne, zwaliste... Oczerety roiły się od wodnego ptactwa, spod nóg końskich na wsze strony pierzchała najrozmaitsza zwierzyna, niebo zaciągały nieskończone chmury ptaków, powietrze brzęczało i trzęsło się od tumanów przeróżnego owadu wiosennego...

— Aż hen po Morze Czarne te pustki — wyjaśnił Kubie i Tomkowi Stołczyzna. — Komu źle, komu poddaństwo doskwiera, do kogo się sądy dobierają, ten tutaj nowe zakłada sobie życie.

— Rozmaicie można — uzupełnił Ostap. •— Jedni na lato tylko osiadają, a nałowiwszy zwierza i ryb, nazbierawszy miodów i wosku w barciach, nasoliwszy mięsa, wyprawiwszy skór, do osad wracają przedawać one dary boże. Inni stale tu żywią. Boży kraj, bogata włość. Ale źle się na Rusi ninie dzieje! Rozterka okropna!

Ominęli niewielkim łukiem skalne porohy Dniepru, na których z hukiem rozbijała się spieniona woda, po czym wrócili na brzeg rzeki.

Skaliste tu jeszcze były urwiska, strome pagórki, przepastne zapadliny, ale korytem płynęły spokojne już wody, rozplecione w liczne odnogi i łachy, pełne zalesionych wysepek, zarosłe runem szuwarów i trzcin, często błotne lub kamieniste. Obeznani z krajem Karmanczukowie pokazywali stare Sicze na wyspach — na Chortycy i Tómakówce, zniszczone przez Tatarów, oraz na Wyspie Klasztornej.

Odbiwszy ponad cztery mile od Tomakówki, znaleźli się na Ataman rzeczce: „Oto, bracia, pop, pop!” Esawuł rzeczce: „U niego komunię brałem!”

Sławni chłopcy zaporoscy Wiele przeżyli, a popa nie widzieli.

Jak zobaczyli na polu stertę, Ataman rzeczce: „Oto, bracia, cerkiew!”

Esawuł rzeczce: „Ja w niej się spowiadałem!”

wzgórzu, z którego widać było dużą wyspę Bazawłuk, położoną koło Czartomeliku, jednej z odnóg Dniepru, pełną dziwacznych zabudowań z górującą nad nimi cerkwią, a otoczoną małymi wysepkami oraz nieprzejrzanym gąszczem trzcin i sitowia.

Wśród tych wodnych zarośli i na czystych wodach pływały czółna, a nawet bajdaki i czajki. Jedne wiozły kupie w obie strony, z wysp i do wysp, drugie — rybaków na połów, załogi

innych czerpały piasek z dna rzecznego. Od siczowych osiedli biegł głuchy huk młotów, rżenie pił, hasła robotników — rozbudowywano fortalicje, naprawiano pomosty łączące niektóre wyspy, stawiano domy, sporządzano łodzie i tratwy.

— Oto i Sicz — oznajmił stary Karmanczuk. — Istne miasto. Dniepr ma tu milę szerokości. Znakomite miejsce do obrony. Toteż siła tu galer tureckich przepadło. Zapędzały się nieraz w pościgu za naszymi czajkami, załadowanymi łupem z sułtańskich grodów. A potem w gąszczu ostrowów i łąch utknawszy, ginęły od kozackiego ognia. Teraz już bisurmanie przeczniejsi po klęskach. Zda się, że zimą, gdy Dniepr zamarznie, po łodzi Turcy przejdą. Ale są na to sposoby. Kozacy wyrąbują lód dookoła i budują zeń wysokie wały. Przeręble zaś, na których cienki lód skrzepnie, posypują śniegiem dla niepoznaki i tak czynią chytre zasadzki.

Koło przeprawy strzeżonej przez straże Siczowe ukazała się gromada jeźdźców i piechurów. — O, Kozacy ze stepu i z chutorów — domyślił się Ostap. — Jedni na radę ciągną. Drudzy na letnią porę kupią się w Siczy, a na zimę doma wracają i ostaje tylko załoga wojskowa. Bab tam nie ma, bo przy babach Kozacy skapieliby niczym świece w gorącu. A tu przecie jakby ciągiem na wojnie.

Do Siczy na Bazawłuku, otoczonej w dalekim promieniu zbrojnymi placówkami, był dostęp po moście zwodzonym. Objęta wysokim na dwadzieścia łokci wałem ziemnym i palisadą, najeżona basztami zbrojnymi w działa, stowarzyszona z mnogimi wysepkami, robiła wrażenie niezdobytej twierdzy. Na wałach, działow-niach i basztach czuwały bezustannie straże. Na wielkim placu pośrodku Siczy stała z boku cerkiew, a wokół niego — mogące pomieścić ponad sto osób każdy — kurenie z bierwion, kwatery Kozaków, jako też składy, warsztaty, kuźnie, stajnie, prochownia, zbrojownia, kancelaria.

Wszędzie ruch. Na maneżu ujeżdżano konie. W strzelnicach próbowano samopały i łuki. W rusznikarniach naprawiano broń, w kuźniach huczały młoty. Szewcy, krawcy, rymarze, cieśle, cyrulicy przed domami wykonywali swój zawód, potracani przez jeźdźców i przechodniów. To na przedmieściach, na podwalu. Ale i kurenie wrzały pracą lub zabawą. Kucharze kurenni warzyli w kotłach jadło. Gdzieś w ciasnych uliczkach brzmiały odgłosy pijatyki, zgiełk bójk. Łakomcowi wszystko się podobało, ale nie mógł darować jednego:

— Ino ze babów ni ma, no! — mrucał.

— Kozakowi trzeba wojuwati, a nie bilia ženki propadati! — odparł niecierpliwie Ostap siczowym porzekadłem. — A gdyby kto zechciał niewiastę po kryjomu trzymać sobie w Siczy, surowo byłby karany. Małoz to mołodyc niczym łanie w słobodach, na ługu? — przerwał -raptem, wsłuchał się w piękny śpiew płynący z jakiegoś okna, po czym zagadnął syna: — Słyszysz, Daniło? Potrafiłbyś tak?

Niewidoczny śpiewak przy dźwiękach liry śpiewał starą dumkę:

Za riczkoju wohni hariat, Tam Tatarzy połon dilat. Seło. nasze zapałyły I bohatstwo rozgrabyły. Staru neńku zarubały, A mileńku w polon wziały. A w dołyni bubny hudut, Bo na zariz ludej wedut, Koło szyi arkan wjetsia I po nohach łańcuch bjetsia 1 Kozakowi trzeba wojować, a nie przy żonie przepadać (ukr.). 2 Za rzeczką ognie płoną, Tam Tatarzy łupy dzieł. Wieś naszą spalili I dobytek zagrabili. Starą niańkę zarabali, A najmilszą wzięli w niewolę. A w dolinie huczają bębny, Bo ludzi wiodą na rzeż — Szyje arkan im owija, A na nogach bręczą łańcuchy.

Łatwo odnaleźli Borodawkę, Stołczynowego pobratymca: stał właśnie z jakimś setnikiem przed swym kureniem.

— Jej Bohu! Toż to Stołczyna! — krzyknął. Pobratymcy ściskali się i całowali, aż strzelało.

— Patrzaj, Skidan! — wołał Borodawka do setnika. — Razem ja z tym pobratymcem na pohańca chadzał — a do Jana: — Co ze Stiepanem i Markiem?

Uśmiechnięty potąd Jan zachmurzył się raptem i odparł:

— Musieliśmy każdy w swoją stronę, jak to w życiu. •— Jeno na Siczy prawdziwa družba: aż do śmierci.

— Mniemałem, żeś się już ożenił, założył rodzinę...

Śniada, prawie czarna twarz Borodawki błysnęła wilczymi zębami w szerokim uśmiechu.

Odpowiedział przysłowiem, jak stary Ostap:

— Kozakowi trzeba wojuwati, a nie bilia żenki propadati.

Po odejściu setnika Skidana Borodawka zakwaterował Sando-mierzan na przedmieściu Hassan Basza, u pewnego kupca na podwalu, gdzie usadowiły się kramy i rzemiosła siczowe. Karman-czukowie zaś, obeznani z osadą, zamieszkali na jednej z sąsiednich wysp. Zmordowani podróżą towarzysze Stołczyny legli spać, a on sam, lubo nie mniej znużony, wyszedł z Borodawka na powietrze.

— Co cię tu sprowadza, bracie? — spytał ataman.

— Miłuję szlachciankę, a samem chłop libertowany — wyznał Jan.

— O! Miałem was wszystka trzech za szlachtę.

— Marek i Stefan, owszem, szlachta... Ona szlachcianka wzajemna mi. Ale ojca ma sukinsyna. Na chadzkę chcę z wami, w suł-tańskie włości, bo mi pieniędzy trzeba a trzeba. Na libertację zaciągnąłem długi i na nobilitację potrzebuję pieniędzy, i na urządzenie domu należnego przyszłej żonie nawykłej do dostatków...

— Kińże białoręką panienkę, skoroś sam nie szlachcic! — zawołał Jacek. — Na Niżu krasawic mnogo jak wiosną kwiecia na ługu. Wybieraj! A z łupu pańskie sobie urządzisz życie. Szlachcianka, gdy czad miłosny minie, przestanie uznawać w tobie prawdziwego człeka. Zawdy będziesz dla niej tylko „cham libertowany”.

— Ależ! — zaperzył się Stołczyna. — To anioł, nie dziewczka!

Opowiedział pobratymcowi o własnych i towarzyszy perypetiach.

— Kińże wszystko! — wzywał Borodawka. — Ostańcie na Niżu! Ci właśnie, których prawo pańskie gniecie, tu szukają swobody. Bo na ługu, jeśli do Siczy nie przystaniecie, jenó Pan Bóg nad ludźmi.

— Oni uczynią, co chcą. Ale ja nie potrafię żyć bez onej niebogi, co czeka i łzy za mną leje. A zresztą, żeby do Siczy przystać, trzeba Rusinem być i prawosławnym.

— Takie niby prawo. Atoli nie brak u nas katolików, Polaków i Litwinów, i Węgrów, Tatarów nawet. Ba! i Hiszpanów paru mamy, a Italiańców! I Niemcy się zdarzają, i Wołochy. Nawet Jewreje!

— Nie mogę. Bo bez onej dziewczki noc mi snu skąpi, a dzień spokoju, wszystko mi gorzkie, wszystko nic warte...

— No, widzę, żeś odurzony do cna! — zaśmiał się ataman. •— Nie ma rady: ostawaj panem. Będzie ich więcej na nasze szyje.

— Sameś pan, widzę — zażartował Jan wisielczo.

— Przystań do nas, a i ty będziesz — odwzajemnił się Kozak. Istotnie wyglądał nader pańsko. Miał na sobie żupan z białego atłasu, czerwony kontusz sukienny, jedwabny pas, sapogi safianowe, futrzaną czapę —• ubiór ze srebrnymi guzikami i zapinkami, uzupełniony szablą ozdobioną złotem, rubinami.

— Wracam z narady u koszowego — rzekł jakby się sumitując, po czym dodał: — Pogwarzymy o chadzce. Ale nie tu: pod cerkwią.

Usiedli na zwalonym pniu drzewa w cienistych zaroślach cerkiewnego cmentarza, skąd było widać rzekę i sąsiednie wyspy.

— Zali wiesz, co się w Ukrainie dzieje? —• spytał ataman.

— Coś niecoś słyszałem o rozterce — odparł Jan ostrożnie.

— Niestety! Jesienią ubiegłego roku Konaszewicz zawarł z hetmanem Żółkiewskim ugodę na nowe prawo dla Kozaków: chadzki zabronione, czajki kromia przewozowych mają być zniszczone, ci, co mniej niżli pięć lat temu do nas przystali, a także rzemieślnicy, mają

zostać wydalen; nowy rejestr zmniejsza liczbę mołojców o pięć tysięcy: Kozacy mogą mieszkać w dobrach królewskich, jeśli zaś chcą w prywatnych, muszą poddanymi panów ostać. No, bracie, nas się w chłopstwo nie ujmie! Zawrzało też wśród Kozaków, zarówno wypisanych z rejestru, jak tych, co na włości żywią. Od razu jesienią tysiące opuściły Konaszewicza i uszły z obozu na Uzieni. •—• Przecie Konaszewicz to wasz, kozacki, kochanek!

— Ale uległ panom. Jutro zbiera się nadzwyczajna rada kozacka, której po raz trzeci przedstawią starsi treść ugody. Zwykle rady bywają noworoczne, wielkanocne i październikowe. Tamte rady były nieudane. Teraz dopiero zjeżdża się ludzi a ludzi: rejestrowi, niżowcy, czerń. Jutro tu może być gorąco. Radzę wam wyjechać, bo w tumultcie was, obcych, posądzą o szpiegostwo.

— Stanę przy tobie w ciężkich terminach — zaofiarował się Jan — bom przecie twój pobratymiec i obowiązek mam.

Borodawka uśmiechnął się z wdzięcznością.

— A Karmanczukowie? •— zapytał Jan. — Wezmą udział w radzie?

— Oczywiście, wszak oni Kozacy. Wszyscy mężowie z Siczy i Nizu, jeśli mają za sobą trzy lata kozactwa, mają prawo radzić...

— Wobec zakazu Rzeczypospolitej i rozgrywek między Kozakami, o „chadzach” mowy być nie może •—• zaniepokoił się Jan.

—• Chadzki zabronione, ale niejedyn ataman zbierze watahę i skoczy bodaj na Tatary, żeby choć bydła zagarnąć — pokrzepił strapionego pobratymca Jacek. — I ja ludzi skrzyknę, a przynajmniej na Tehinię czy Chadżybej pójdziem.

—• Należy śpieszyć, bo wojna z potęgą bisurmańską za pasem. Pono Rzeczpospolita ma nie czekać na Turka, jeno sama ogniem i mieczem nawiedzi sułtańskie dziedziny. Najedziem więc pohańca.

— Byle jedność była. Niezgoda to zguba! Bo i panowie nas ujarzmią, i bisurman zawojuje, i w pogardę u narodów pójdziem... Jedni za Konaszewiczem, drudzy za mną, trzeci na atamanem Wo-łyńcem, inni jeszcze za kimś... O! Skidan i Wołyniec to sokoły, jakich mało! Ci, co od Konaszewicza odeszli, mogą sobie drugich obrać hetmanów. A wtedy krew się poleje, bo on nie daruje.

•—• Takeś w górę poszedł! A ty za kim? — zaciekawił się Jan. Borodawka przemówił z opanowywaną usilnie afektacją:

— Wahałem się długo. Bo starszyźnie Konaszewicz wyjednał przywileje. Ale serce boli, że dobre mołojcy w poddaństwo albo na tułaczkę idą. Ludzie z obozu na Uzieni uciekali, ale w samym obozie cicho było. Każdy bowiem pomniał, że hetman podczas wyprawy ma władzę nawet śmiercią karać nieposłusznych. Jed nakowoż teraz burzą się śmiało, bo w czasie pokoju odpowiedzialny jest przed radą kozacką. A Wołyniec nowego prawa nie chce, czajek niszczyć nie da i obiecał poprowadzić Kozaków bodaj na sam Carogród... Obyśmy jeno przeżyli dzień jutrzejszy! Wstał nagle z kłody słysząc hałaśliwe bicie w kotły.

— Południe i obiad w kureniach — oznajmił. — Idę. Wieczorem zajrzę do was na stancję. Jakoż kucharze kurenni biciem w kotły iście ogłaszały porę obiadową, pomagając sobie na domiar krzykiem:

— Duchem, mołojcy! Tietiera stygnie i baranina!

Kureń miał wielką izbę jadalną, zastawioną stołami a stołkami, i przyległe do niej izby sypialne dla mołojców. Gromada zebrała się już u stołów.

— Cześć, dzieci! — powitał Borodawka podkomendnych.

— Cześć, towarzyszu atamanie! •— odkrzyknęli chórem. Zasiadł przy stole na pierwszym miejscu, pod ikoną, odmówił wraz ze wszystkimi krótką modlitwę i dał znak kucharzowi.

Kozacy podchodzili do kotła z drewnianymi miskami. Polewkę jedli łyżką, mięso •— rękami.

Pili do obiadu gorzałkę, piwo, wino. Zwykle krzykliwi, dzisiaj obiadowali prawie milcząco, osowiali, posepni nawet.

Na koniec Borodawka wstał i przemówił cichym głosem:

•— Towarzysze! Jutro rada, jak wiecie. Liczę na was.

A wraz, że to już po obiedzie, wstali wszyscy i pod przewodem atamana odmówili znowu krótką modlitwę dziękczynną.

—• Towarzyszu! Dzięki ci za smaczne jadlo! —• zwrócił się do kucharza, po czym zapłacił mu za obiad.

— Dziękujemy, bracie, że nakarmiłeś Kozaków! — zawtórowali chórem mołojcy.

Rozeszli się do swoich zajęć. Niektórzy odpoczywali na sianie, czy słomie, w brogach i stertach stojących przy palisadzie Ba-zawłuku i na sąsiednich wysepkach.

Borodawka przyglądając się napływowi coraz nowych gromad, stwierdził w myśli, że zjeżdża się mrowie jak nigdy.

Kurenie, szopy, zarośla wysp, place, wybrzeża Dniepru i Czar-tomeliku zatłoczyły hałaśliwe tłumy jezdnych i pieszych. Palono* ogniska, rąbano drzewa na opał. W nadbrzeżnych trawach rżały i parskały konie. Na przejściach stały wszelkiego rodzaju pojazdy. W wielu miejscach grano na różnych instrumentach, śpiewano.

Wieczorem w oświetlonych płonącymi szczapami smolnymi ku-reniach wieczorzano hucznie wraz z braćmi niżowymi. Lały się trunki, znikało jadlo. Izby, zasnuwane niebieskawym dymem, kopciem, swądem, pękały od tłoku i zgiełku. Pijani leżeli pod ławami, na uliczkach, w zaroślach. Czupurni rżnęli się nożami, wybijali sobie w bójkach zęby. Na placach tańczono do upadłego przy świetle zapalonych w bodniach smoły. Tylko straże nie ustawały w służbie.

Borodawka wstał od stołu i przerwał pijatykę skinieniem.

— Towarzysze! Przypominam: jutro rada! — zawołał.

— Na pohybel Konaszewiczowi! — ryknął jakiś zuchwalec.

•— Na pohybel! Wiwat Borodawka! — zagrzmiało bełkotliwie.

Borodawka nie pił prawie wcale. Toteż był trzeźwy. Przy drzwiach odsunął nogą chrapiących u progu pijaniców, po czym, żegnany ogłuszającym wrzaskiem, wyszedł na dwór.

Zaglądał do wybranych kureniów i powtarzał swe hasło:

— Towarzysze! Przypominam: jutro rada!

Wszędzie w tych kureniach wrogie dla Konaszewicza padały okrzyki. Atoli nisko je cenił i bał się o jutro.

Dosiadł wreszcie konia i po moście zwodzonym pokłusował na brzeg, który zalegały przybyłe tłumy. Objężdżał je, z mnóstwem ludzi prowadził rozmowy. W zaroślach, wśród nocnych ciemności wrzała uporczywa praca wielu podżegaczy — jego zwolenników.

Wróciwszy do osady nocą, zastał już wszędzie ciszę i wygaszone światła. Chodziły gdzieś jeno patrole, a na strażnicach błyskały nikłe płomyki. Atoli był jeden dom rżęsiście oświetlony: to kwatery samego hetmana zaporoskiego Piotra Konaszewicza, zwanego Sahajdacznym, legendarnego wodza kozackiego, pogromcy bisurmanów. Mimo nocy naradzał się właśnie z najwyższą starszyzną.

Borodawka podążył na stancję Stołczyny w Hassan Basza.

W kwatery Konaszewicza rojno było i gwarno. Zebrało się tu obok hetmana całe dowództwo zaporoskiego wojska: dwaj generalni sędziowie, generalny oboźny, podskarbi, generalny pisarz, dwaj generalni esawułowie, generalny chorąży i buńczuczny. Poza tą najwyższą starszyzną zasiedli również do stołu dowódcy pułków rejestrowych oraz dowództwo Siczy: ataman koszowy, sędzia, esawuł i pisarz.

— Ataman Borodawka buntuje nie tylko niżowców, nie tylko czerń — skarżył się jeden z pułkowników — ale i wojsko rejestrowe.

— Zawsze twierdzą, że im więcej bojów, tym lepszy w wojsku porządek, dyscyplina — rzekł głębokim basem Konaszewicz, rosły, szpakowaty mąż, pięćdziesięcioletni, o żywych oczach,

wielkich wąsach i brodzie. — Obmyślam wyprawę, bo już od ugody rasta-wickiej dużo upłynęło czasu. Przewietrzmy się na bisurmańskich ziemiach, jeno nie pod samymi oknami jego czartowskiej mości sułtana tureckiego. No, a Borodawce kat utnie łeb — dodał z niezachwianą pewnością.

•— Niedawno, w obozie na Uzieni, mołojcy przez aklamacją przyjmowali ugodę rastawicką — wspomniał melancholijnie generalny oboźny — a ninie wszyscy sarkają...

— Wszyscy? — zdziwił się hetman. — Raczej wielu — zwrócił się do jednego z generalnych esawułów: — Lubo znana już treść ugody, przypominam, że dziś ją ogłosisz ponownie, towarzyszu.

Nagły wystrzał armatni zatrzęsł domem, aż w oknach zabrzęczały szyby, po czym zagrzmiały gdzieś na majdanie bębny — wszystko na znak, że już czas rozpocząć radę.

Konaszewicz wstał od stołu i wyjrzał oknem.

Z szałasów i kureni, a także spoza wałów, biegli mołojcy na majdan: rejestrowi zbrojni w szable, rusznice, pistolety, rohatyny i spisy, zamożni Kozacy z Niżu, podobnie wyekwipowani, oraz czerń uzbrojona zaledwie w łuki i siekiery, a nawet w maczugi. Stawali w ogromne półkole oddziałami na wyznaczonych stanowiskach. Niżowcy wszystkich kondycyj tłoczyli się na zewnątrz tego półkola, w razie zaś braku miejsca — na wale, dachach, drzewach.

— Zawsze to samo: nie wszyscy chcą wychodzić na radę — zaśmiał się Konaszewicz. — Udział w radzie niby dobrowolny, kazałem jednak, jako zazwyczaj, podekscytować leniwszych mołojców.

Wszyscy zarechotali grubym śmiechem widząc, jak oficerowie kijami okładali maruderów, by wygonić ich z kwater na majdan. Najwyższa starszyzna dziwnie ociągała się z wyjściem. Na stronie ataman koszowy szepnął do hetmana:

— Kazałem działa skierować na majdan...

•— Nie będę przecie strzelał do Kozaków — odparł Konaszewicz. — Rada dziś ujawni buntowników. Znać wroga to już połowa zwycięstwa. Mógłbym, owszem, zbombardować radę. Ale po wybicciu tutejszych buntowników zostałaby jeszcze cała Ukraina.

— Zginiern tedy!

— Zginiem, jeśli utraciliśmy mir u Kozaków — rzekł twardo Konaszewicz, po czym skomenderował: — Wychodzimy:

Generalny chorąży wziął ze stoiska przy oknie chorągiew kozacką, rozwinął ją, po czym całą starszyznę wyprowadził na dwór. Pośrodku majdanu zatknął sztandar i cofnął się za hetmana. Zgiełkliwy tłum ogarnęła cisza. Dawniej żadne regulaminy ni nakazy nie zdołały zapobiec entuzjizmowi względem wodza.

Konaszewicz położył na ziemi obok sztandaru swą buławę na znak, że wita zgromadzenie i składa mu hołd należny ludowi nawet od dygnitarstw. Za jego przykładem cała starszyzna czapkami kłaniała się tłumom na wsze strony. Aż i pop, kapelan obozowy, poddał słowa modlitwy, którą następnie chórem odmówili zebrani.

— Towarzysze pułkownicy, esawułowie, setnicy, atamani i wszystko rycerstwo jego królewskiej mości zaporskie! — przemówił hetman donośnie. —• Mości panowie!

Chadzaliśmy razem na po-hańca. Synopa, Stambuł, Trapezunt, Kaffa i inne gniazda bisurmańskie poznały moc naszego oręża i ogień naszej żagwi, którą nawet sułtanowi, czartowemu synowi, w ślepialiśmy świecili. Pospołu pracowaliśmy na sławę naszą kozacką, rozgłośną w świecie. Nie były nam straszne groźby sprośnych pogan. Atoli ninie cała Porta Ottomańska wraz ze swymi wasalami zaprzysięgła pomstę: i nam, i wszystkim Rzeczypospolitej. Zagrożeni muszą się tedy połączyć, ugodzić, by skutecznie stawić czoła temu okropnemu smokowi, przed którym drży świat.

— Mamyż krew mołojcką wylać za panów białorekich i dla panów? — krzyknął ktoś. — Bo przecie...

Konaszewicz .spojrzał na mówiącego takim wzrokiem, że śmiałek ów, lubo miał mówić dalej, umilkł niespodziewanie. Hetman zaś, jakby nic nie zaszło, nie zgromił oponenta, jeno mówił dalej:

•— Układ z Rzeczpospolitą Kozacy na Uzieni akklamowali jed nomyślnie. Ciężkie w nim niektóre kondycje. Ale musieliśmy je przyjąć, stojąc wobec bliskiej już wojny z bisurmanem. Ugodę ową, znaną już towarzyszom z uzieńskiego obozu i z rad ordynaryj-nych, jeszcze raz ninie przeczyta pan esawuł jeneralny. Mości esawule, proszę!

Wezwany punkt po punkcie odczytał traktat w ciszy, co było niezwykle, albowiem kiedy indziej przerywano okrzykami w zamęcie trudnym do opanowania. Potem esawułowie generalni obchodzili oddziały wyjaśniając treść ugody, sondując opinię zebranych.

Ale nie zabrzmiał żaden głos protestu, co Konaszewicza niepokoiło bardziej niż najgwałtowniejszy tumult. Nie nakazał głosowania.

•— Zali wszystko jasne? — spytał bodąc spojrzieniami twarze.

Milczenie...

— A co ma do powiedzenia towarzysz Borodawka? — spytał znowu.

Szmer przemknął po tłumie. Borodawka stał nie opodal najwyższej starszyny. Czarna jego twarz poszarzała ze wzburzenia. Pokłonił się tłumowi tak zamasyście, że osełdec1 odczepił mu się zza ucha i zamiótszy wygoloną głowę opadł na przeciwne ucho'. Błyskawicznie uczynił ostatni przegląd swych sił: bystre jego oczy odsiały zwolenników z ciżby, dojrzały na dachach Stołczynę i Kar-manczuków, zlustrowały własny, kureń z dłońmi opartymi o rusznice i pobuntowane gromady niżowców, odpowiednio ustawione. Zawahał się, czyby nie uderzyć na zwolenników Konaszewicza... Ale pomyślał podobnie jak on, że Sicz to jeszcze nie cała Ukraina, a przecie wszędy stoją watahy złożone z tych, co od jesieni do dziś opuszczają Konaszewicza, widząc w Jacku Niedorowiczu Bo-rodawce obrońcę przed panami. Jeszcze więc czas...

••• Słuchamy! — ponaglił Konaszewicz zaniepokojony.

Borodawka poprawił osełdec. Na ten gest półkole pękło na dwoje: jedni poczęli kupić się z prawej, drudzy z lewej strony.

•— Słuchamy, towarzyszu Borodawka! — powtórzył Konaszewicz.

Borodawka przemówił nareszcie:

— Pytałeś, mości hetmanie, czy wszystko jasne, w tym, coś ostał Osełdec (ukr.) — u dawnych zaporozców kosmyk włosów na czubku ogolonej głowy, pleciony w warkocz albo rozpuszczony.

12 — Kawaler złotej ostrogi tnio uczynił i powiedział. Tak, wszystko jasne. Bo zapytać trzeba inac: „Mołojcy, zali to wszystko podoba się wam?” Pozwólcie, panowie starsi, bym ja zapytał •— zwrócił się do tłumy: — Towarzysze! Jesteście zadowoleni, wołajcie „tak”, jako zwykle na radach, i wyrzucaniem czapek w górę potwierdźcie życzenia wielmożnego pana hetmana, towarzysza naszego i wodza! Natomiast...

Tłum nie dał mu dokończyć. Prawy odcinek półkole zaryczał:

••• Tak! Tak! Niech żyje hetman Konaszewicz! - Chmura czapek raz po raz unosiła się nad prawą stroną placu.

Atoli lewy odcinek półkole, zrazu ledwie oddzielony od prawego, odsunął się_ teraz znacznie i skandował ponuro: .

— Nie! Nie! Nie! Precz z ugodą! Niech żyje Borodawka!

Zgiełk stał się ogłuszający. Regularne zrazu półkole i czworoboki oddziałów, składające owo półkole, uległy rozsypce i zamieszaniu. Szable wyskoczyły z pochew.

•— Borodawkę na hetmana! —• poddał ktoś.

— Borodawkę na hetmana! — zawtórowały tysiące gardeł. A drugie tysiące wołały wniebogłosy:

— Niech żyje hetman Konaszewicz!

Ale wśród tych okrzyków zabrzmiał jeszcze inny, niespodziany:

— Gawryłę Wołyńca na atamana!

Konaszewicz patrzył i słuchał z niewzruszonym spokojem. Liczył wzrokiem przeciwników, zapamiętywał ich twarze, nazwiska, przynależność. Otaczający go dostojnicy, zdumieni jego bezczynnością, podszeptywali sposoby działania, przypominali sotnie wyborowych strzelców, armaty na wałach. Nie dawał im ucha. Podniósł nagle rękę do góry na znak, że chce mówić.

Natychmiast zapanowała cisza.

— Towarzysze! Wolni Kozacy! Bracia! — przemówił. — Żadna ugoda nie jest wieczna.

Wraz ze starszyzną, którąście obrali darząc ją zaufaniem, rozpatrzę jeszcze ostatnie układy z Lachami. Wiem, że wielu pragnie nowych porządków dla Kozaków...

— Porządku z czasów, kiedy my wolni byli! —• krzyknął ktoś. Hetman zlekceważył tę przeszkodę i ciągnął dalej:

— Nowe porządki nastąpią! Albowiem Rzeczpospolita, jako wiecie, zwiększyła nam żołd, a ponadto wyasygnowała summy na wysłużonych żołdatów i na strzelbę.

Znowu zabrzmiały krzyki zbuntowanych. Ale oddani Konasze wieżowi oficerowie już sprawili wierne oddziały jakby do walki. A i sam hetman miał sposób na malkontentów, aby nie wzięli się do szabel:

— Ogłaszam wyprawę na pohańca! Niech zawstydzą się ci, którzy myślą, że szabla mołojcka zardzewiała w pochwie, że Kozacy stracili bojowego ducha! Podczas gdy małoduszni ryli pod nami, my gotowaliśmy pochód. Niebawem dowódcy ogłoszą swym oddziałom, na którą z Ord uderzymy: na Ordę Jedysańską, Bu-dziacką, Nogajską czy Perekopską. Do broni, towarzysze!

— Do broni, bracia! — zagrzmiało i czapki furknęły w górę.

— Rada przyjęła wniosek o wyprawie! — ogłosił hetman. Malkontenci nie wiedzieli, co czynić. Oglądali się na swych przywódców rozumiejąc, że wyprawa czyni zadość ich żądaniom. Bali się już jawnych protestów. Albowiem z chwilą ogłoszenia wyprawy wojennej hetman stawał się nieograniczonym samo-władcą, mającym prawo karać nawet śmiercią za nieposłuszeństwo i bunt.

Trzy wystrzały z dział ogłosiły szerzej wieść o wyprawie.

Borodawka nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Był dotąd pewien, że Konaszewicz nie odstąpi od ugody rastawickiej, zabraniającej Kozakom „chadzek”. Nie wiedział też o bawiącym u Konaszewicza tajnym wysłańcu Żółkiewskiego, poruczniku Złotopol-skim, domagającym się — wbrew ugodzie —• dywersji kozackiej w wojnie.

Po radzie Konaszewicz sam wrócił do swej kwatery, gdzie w prywatnej komnacie czekał Złotopolski.

— Znam już treść obrad —• oznajmił porucznik. — Powszechna ochota bojowa wojska zaporoskiego rokuje dobre nadzieje. Jego dostojność pan hetman wielki zabiega u najjaśniejszego króla, by mimo zakazów rastawickich Kozacy w przyszłej wojnie szkody Turkom wyrządzać mogli. Pan hetman prosi takó,ż, abyś wasza wielmożność pośpieszył z jak najliczniejszym wojskiem tam, gdzie on wskaże.

— Jeśli to będzie możliwe... Ukraina bowiem rozerwana...

Po naradzie, odbytej z esawułami generalnymi, Konaszewicz odprawił porucznika z listem do Żółkiewskiego. Zbrojna eskorta miała odprowadzić wysłańca daleko od Siczy, by nie spotkało go niebezpieczeństwo ze strony Kozaków czy hultajstwa stepowego.

Po odjeździe Złotopolskiego Konaszewicz niedługo był sam. Ponowny zgiełk na zacichłym po radzie placu nie pozwolił mu przemyśleć położenia, a do izby wtargnęła starszyzna wzburzona do głębi.

— Borodawka, Wołyńiec i Skidan wywiedli znów część załogi siczowej na brzeg! Niżowcy uchodzą watahami! Co czynić, hetmanie?

— Bunt! Trzeba działać!

— Skierowałem armaty na brzeg i na uchodzących — zameldował ataman koszowy. — Zali dać ognia? Sprawili my sotnie do boju...

Konaszewicz milczał długo, zanim przerz " ,wił. —• Kędy Borodawka? —• spytał spokojnie.

— Odszedł z czernią na brzeg.

— Ilu mogło ostać mołojców?

— Trzecia część ledwie tego, co było rano.

— Poczekamy, aż odejdą daleko — rzekł z ulgą.

— Jak to? Trzeba ich ścigać i pokarać na gardle!

— Ile szyj urezać? Całemu narodowi? Jesteśmy ninie silniejsi niżli rano, kiedy z każdego kurenia wyzierały bunt i zdrada. A buntownicy zginą! Pisarzu, odczytaj mi nazwiska tych, co z nakazu Borodawki podburzali przeciw nam ludzi w obozie na Uzieni w pułkach, w Siczy i na Niżu — wszędy...

W' zupełnej ciszy padały liczne nazwiska —• pułkowników rejestrowego wojska, setników, atamanów, esawułów, Kozaków z włości...

— Ci, osiemdziesięciu, dadzą szyję — rzekł Konaszewicz. — Musimy obmyślić sposoby uśmierzenia buntu. Pierwszy to uniwersał do ludności. Potem ruszymy na Perekop. Jeśli wypadnie znowu zniszczyć czajki, uczynimy to po powrocie z Ordy Perekopskiej.

Natchnął towarzyszy dobrą myślą.

To wszystko zaskoczyło Jana. Spodziewał się raczej boju niż dobrowolnego wypuszczenia buntowników z warowni. Poza Ba-zawłukiem poznał dowódcze talenty Borodawki, którego miał dotąd za pospolitego watażkę. Tłumy w szyku marszowym ruszyły wzdłuż Dniepru.

W czasie pochodu Borodawka przywołał Stołczynę do siebie. • — Widziałeś wiele, zobaczysz jeszcze więcej — rzekł chępliwie.

— Konaszewicz ma długie łapy — bąknął Jan.

—. Ja niebawem Konaszewicza na powróż wezmę i oddam czerni, by z nim poigrała...

Ostaniesz u nas? Uczynię cię pułkownikiem.

To były nowe nuty u Borodawki. Jan odrzekł niespokojnie:

— Może ostanę. Ale dopiero wtedy, gdy dopnę tego, com wyjawiał.

— E! Kto w puchu z babą wczasu szuka, łba na kule nie narazi. No, ale bądź spokojny: popłyniem do Turek. Powiodę wyprawę nie gorszą niż Sahajd-aczny! A potem Ukraina za mną pójdzie. Konaszewicz niepotrzebnie poniszczył czajki. Trzeba je było przed komisarzami ukryć i czekać dogodnej chwili, by je wydobyć. Teraz idziem sposobić nowe czajki.

Wyprawa Konaszewicza na Sy-nopę w czternastym roku dała łupu na czterdzieści milionów złotych. Moja nie będzie gorsza. Powiedz swoim, jakiego posłuszeństwa będę wymagał:

kropli gorzałki na czajce nie wolno wypić i każdy rozkaz atamana musi zostać spełniony!

Inak — za burtę i top się jako szczenię!

Tak, to było coś całkiem nowego u Borodawki.

— Ty, twoi towarzysze i Karmanczukowie będziecie moją strażą przyboczną — dodał łaskawie. — O! czyhają na mnie skrytobójcy!

Zapadli w nadbrzeżne bory dniewrowe, za których wąskim pasem leżał step rozciągniony aż po Krym. Ciągnęli ubezpieczonym marszem niby czasu wojny, a na postojach wystawiano strażę, placówki, czujki, rozsyłano podjazdy na wsze strony w obawie przed zaskoczeniem przez Konaszewicza lub watahy tatarsko--hultajskie z Dzikich Pól.

Na postojach Borodawka zorganizował tłum w oddziały wojskowe, wyznaczył dowódców.

Do stanic kozackich, zimowników i futorów rozsyłał podjazdy po żywność, paszę, broń, prochy. Maszerowali nocami.

Przy świetle księżycy ciągnęli wzdłuż mętnych, porośniętych trzcina wód Końki, załamujących się na mieliznach i ostrowach. Końka stale towarzyszyła Dnieprowi, to rozszczepiając się z nim, to łącząc, dzięki czemu w pętłach obu tych rzek istniały liczne wyspy. Po drugiej stronie Dniepru, na Tatarskim Brzegu, widzieli ogni ska Nogajców pasących stada w stepie.

Panoszyła się tam niby Orda Nogajska, ale nikt nie utrudniał przepraw przez rzekę w obie strony.

„Cisza i spokój •—• myślał Stołczyzna. — Czabanowie ruscy razem z tatarskimi może siedzą przy ogniskach. A niebawem zapłonie ta dziwna ziemia i krew popłynie. Bo przecie Rzeczpospolita podczas wojny przyciśnie żelazem te stepy”.

Trzeciego dnia stanęli naprzeciw wyspy Tawań, przebywszy od Siczy ze dwadzieścia mil przeważnie nadbrzeżnym pasem leśnym.

Był tu nie tylko słynny „uchod” tawański, obejmujący samą wyspę i okolice na obu brzegach Dniepru, Ruskim i Tatarskim, ale również graniczny zamek z basztami — strażnicę przepraw i stepów. Roilo się tu od Kozaków i czabanów ze stadami, a panowało niezwykle wzburzenie, nadeszły bowiem już wieści o bezkrwawym buncie Borodawki. Czajki zalegały brzegi, wody, wyspy. Gromady i oddziały zbrojnych snuły się po podzamczu na Tawani, po wybrzeżach i stepie. W stajniach a ogrodzeniach rżały spędzane od tygodni konie.

Tutejsi Kozacy, czabanowie i chłopci przystąpili od razu do partii Borodawki. Także ludzie z dalszych stron jęli napływać pod Tawań na wieść o przybyciu zapowiadającego lepsze porządki ata-mana. Wkrótce samozwaniec urósł w znaczną potęgę. Potrzebował teraz tylko formalnego potwierdzenia swej faktycznej władzy.

Zebrał w dolinie opodal Tawani „czarną radę” na wzór siczowej. Skidan objął przewodnictwo obrad nad wyborem hetmana i starszyny. Borodawka stanął w tłumie nie wyróżniając się nawet ubiorem spomiędzy Kozaków. Ale chroniła go straż ze Stołczyzna' na czele.

— Towarzysze! — przemówił Skidan. — Mamy wybrać hetmana, który by mnożył, nie wyprzedawał swobody nasze kozackie, który by zwiększał, nie zaś podawał w pogardę naszą sławę mołojecką. A któż wyprowadził nas z domu na drogę wolności? Któż godniejszy buławy niż najdzielniejszy z dzielnych? Kto godniejszy od mołojca, któren porohy przebył, a Nienasyteć ujarzmił niby powolnego konia i na grzbiecie jego wedle ochoty hasa? Kto godniejszy od tego, którego sława rozbrzmiewa ninie po całej Rusi i przyćmiewa nadętą pychę sprzedawczyka naszych swobód kozackich?

— Borodawkę na hetmana! — ryknął Daniło Karmanczuk.

— Borodawkę na hetmana! — zawtórowały, tłumy.

— W żadnym boju ni radzie nie brakło naszego drogiego brata Borodawki — zachwalał dalej Skidan. — Wodził nas na chadzki po bogactwa i branki pohańskie. Powiedzie nas jeszcze na sto wypraw! Na Synopę, na Trapezunt, na Stambuł!

— Niech żyje Borodawka! Na pohybel sprzedawczykom!

— Prowadź na pohańca, hetmanie! Śmierć bisurmanom! Nagle ponad ryk tłumy wybił się głos ostry jak brzytwa:

— Wołyńca na hetmana! — zagrzmiało wokół po krótkiej ciszy. Borodawka wbił swój ostry wzrok w twarze ludzi aklamujących Wołyńca i zapamiętywał je w sobie, a pamięć miał nadzwyczajną. Atoli zwolennicy jego byli w większości. Skupili się przy nim.

— Na pohybel Wołyńcowi! Precz! Precz — wołali.

— Niech żyje Borodawka!

Dwie grupy zwały się w zażartej bitwie na pięści. Za czym błysnęły szable, połała się krew, zgiełk spotężniał. Straż przyboczna dzielnie osłaniała Borodawkę. Płazowała walczących) groziła lufami i szablami. Tam i sam rzucili kogoś na ziemię. Wołyńcowi ludzie jęli wymykać się z koła, dosiadać koni i uchodzić z doliny. Sam Wołyniec stał jednak niewzruszony blisko Borodawki.

Wykorzystawszy chwilową przerwę w krzyku zawołał gromko:

— Borodawka na hetmana! Niech żyje!

Zdumione tym hasłem tłumy podjęły okrzyk Wołyńca. Wtedy Borodawka wstał na głaz sterczący z ziemi i pokłonił się zebrany. Nowe okrzyki i wyrzucanie czapek w górę potwierdziły wybór hetmana.

—• Towarzysze! Bracia! Bóg zapłać za ufność! — przemówił. —• Poprowadzę was do .samego piekła, jeśli taka wasza wola! Ja się ani przed łąckimi panami, ani przed pohańcem nie ugnę! Powtarzam: bodaj na samo piekło was poprowadzę!

Długo, bardzo długo trwały owacje...

Wreszcie Skidan podał Borodawce oznaki władzy hetmańskiej: buńczuk, buławę i chorągiew. Teraz miał nastąpić wybór, a raczej zatwierdzenie starszyny, którą wyznaczył był Borodawka. Nowy hetman myślał o zdobyciu z czasem Siczy, bo przede wszystkim podsunął radzie kandydata na atamana koszowego, przyszłego do wódce warowni. Aby rozbroić rywala, przez Skidana zaproponował Wołyńca.

— Tak! Tak! — zagrzmiała rada i czapki wyfrunęły w górę. Wołyniec wystąpił na środek, zdjął czapkę z głowy i wraz z puł-

kownikowskim buzdyanem złożył ją w dowód poszanowania rady — na ziemi obok siebie.

• — Towarzysze! — przemówił. —• Dzięki wam za cześć, którą mi dawaliście jako swemu pułkownikowi. Dzięki wam także za obecne zaufanie i życzliwość. Atoli niegodzien ja sprawować tak wielkiej władzy nad wojskiem zaporoskim — skłonił się i wsiąkł w tłum. Był to stary obyczaj kozacki, nakazujący wybranemu dostojnikowi odmówić do trzech razy przyjęcia dygnitarstwa.

— Wołyniec na atamana koszowego! — wołano, — Niech żyje! Wedle zwyczaju — ponownie odmówił.

— Wołyniec na atamana koszowego! Niech żyje!

Dopiero po trzeciej aklamacji przyjął ofiarowane stanowisko, podziękował, za czym, podniósłszy czapkę i buzdyan, z odkrytą głową stanął obok hetmana. Kilku Kozaków z półkola podeszło .doń i biorąc garściami ziemię spod butów sypali ją na jego głowę. Było to zwyczajowe potwierdzenie wyboru.

Podobny ceremoniał towarzyszył obiorowi całej starszyny, którą po kolei zręcznie podsuwał radzie Borodawka.

Od tego dnia nowy hetman występował już jako władca: w bogatym stroju, pod buńczukiem i chorągwią"; z dworskim niemal ceremoniałem. Zamyślał teraz o wyjednaniu sobie protekcji króla. Na wsze strony poszły jego uniwersały, nawołujące do posłuszeństwa wobec niego i wzywając pod Tawań, oraz podjazdy po broń, amunicję, żywność, paszę. Uniwersały te zderzały się w kraju z Konaszewiczowymi, które apelowały o lojalność wobec „prawnej władzy" i nakazywały zwalczanie buntu. Załoga warowni ta-wańskiej odmówiła Borodawce wszelkiego poparcia i przeciw jego watahom wytoczyła armaty.

Tymczasem tysiące Kozaków rozbiegły się wzdłuż rzeki. Wycinali drzewa i budowali czajki o kilkunastu wiosłach, stateczki długie na czterdzieści łokci a szerokie na osiem, opatrzone w ruchome maszty i żagle, w falkonety 1 z miast ogarniętych buntem.

1 Folkonet (franc.) — dawna mała armata polowa, śmigownica.

W dwa tygodnie spuszczone na wodę poniżej Tawani i Kizy--Kerman, ominąwszy je lądem, sto dwadzieścia czajek. Dookoła każdej, aby snadniej unieść mogła ciężar broni, zasobów, ludzi i przewyciężyć burzliwość fal morskich, przymocowano pływaki ze snopów trzciny. Tymczasem już cały kraj ogarniała gorączka wojenna. Albowiem z pogłosek i uniwersałów królewskich a hetmańskich stało się wiadome, że bisurmanie gotują wielki pochód na Rzeczpospolitą. Wszędzie już mówiono o koncentracji obronnej jednych wojsk polskich na południowo-wschodnich kresach Korony i o żarnie-* rzonym marszu innych nad Dunaj, w sułtańskie włości. Słychać też było, jakoby hetman Żółkiewski przez tajnych wysłańców ekscytował zarówno Konaszewicza, jak Borodawkę, a nawet luźnych watazków — do napadów lądem i morzem na posiadłości bisur-mańskie.

Borodawka zwołał tajną naradę oficerów. Brał w niej też udział Stołczyzna jako doświadczony bosman i żołnierz.

— Towarzysze! Poniesieni trwozę i śmierć na ziemi sprośnego Mahometa! Przypominam: każdy mołojec na wyprawę ma wziąć rusznicę, pistolet, szablę, siedem funtów prochu, ołów, jadło na kilka niedziel, słodką wodę w bukłaku. Każda czajka pomieści czterdziestu mołojców. Przypominam też, że przewinienia będę karał gardłem. Gorzałkę wykiadać z czajek precz! Pohulamy, gdy z łupem i brankami wrócim na Ukrainę... Powtarzałem rzeczy znane. Ale musimy omówić ostatecznie wyprawę na bułgarską Warnę, osadzoną silnymi oddziałami janczarów. Mamy do wyboru rozmaite drogi. Pierwsza — przez girła Dniepru, a jest ich sześć, wyjść na Morze Czarne. Przypominam: ujście Dniepru zamykają łańcuchy założone przez Turków w poprzek rzeki dla zatrzymania czajek naszych oraz działa pohańskich warowni Oczakowa, Kizy--Kerman i Aslan-Kerman, a także armada sułtańska. Druga droga — to zbliżyć się do Siczy, przetoczyć czajki na wałach drewnianych lasami, potem Samarą i Wilczymi Wodami popłynąć daleko, aż i znowu łodem przetoczyć czajki do rzeki Kałmius lub Mius i nimi na Morze Azowskie, a stamtąd cieśniną kerczeńską na Morze Czarne i wzdłuż zachodniego brzegu tegoż morza do Warny.

Drugą drogę odrzucono od razu. Albowiem wszyscy bardziej bali się bliskości Siczy i Konaszewicza niżli potęgi tureckiej.

— Biełogrudowym Girłem wypłyniemy nocą na płytki liman i kanałem wedle Oczakowa na morze — mówił Skidan. — Z łańcuchami damy sobie radę. Szczęściem Kizy-Kerman mamy za sobą.

Po naradzie Kozacy mający wziąć udział w wyprawie jęli obok żywności i różnorakiego sprzętu ładować na czajki lub przyczepiać do nich linami ciężkie kłody drzewa, okute żelazem. Aż którejs nocy cała flotylla z kilkutysięczną załogą ruszyła w drogę.

Bez żagli i przy złożonych żaglach płynęli ostrożnie lasami sitowia a trzciny porastających brzegi i leniwe tu wody rzeki, czujni jak żurawie. Ciągnęli nocami, we dnie zaś, niewidoczni z brzegów, stali cicho w gąszczu wodorostów. Nawet rybacy łowiący ryby z wybrzeża, łodzi i tratwę nie zawsze odkrywali obecność flotylli.

Na pierwszej czajce płynął Borodawka, a także Stołczyzna z towarzyszami. Dalej — całe mrowie lekkich niby ptaki stateczków.

—• Każdy złotem karman napełni — piał Borodawka. — Przed szesnastą lat płynęli my tak samo na Warnę. Niby niezdojta twierdza, a szturmem my ją wzięli, działami ostrzelawszy. I teraz tak będzie. Janie, ty swoją białoruczkę w brylanty oprawisz jak ikonę.

Przed Oczakowem, na wodach błotnistej limanu, porośłych gęsto, zwiady doniosły, że cieśnina oczakowska zamknięta jest zaporami z potężnych łańcuchów, przeciągniętych od brzegu do brzegu, i że wobec ugody rastawickiej Oczaków nie spodziewa się wypadów kozackich. Borodawka podciągnął w pobliże twierdzy swa flotyllę, po czym zarządził postój w wodorostach. Kozacy odczepili od czajek nabite żelazem kłody, spiętrzyli je u czoła flotylli i trzymali na linach przy brzegu limanu, by ich nie porwał prąd dnieprowy.

Wieczór był ciemny, ledwie poświatą gwiazd rozjaśniony. W Oczakowie świeciły za murami forticznymi zapalone stosy drzewa, beczki ze smołą, pochodnie.

Po czajkach przemknął rozkaz Borodawki, niesiony z ust do ust — od atamanów do mołojców.

— Puskaty! Ł

Kłody zwolniono z lin. Porwał je od razu prąd piętrząc lub roz1 Puskaty (ukr.) — puszczając. dzielając. Wzburzyły spokojną wodę. Ciszę nocną zamącił głuchy łoskot pni zderzających się z sobą.

Przyczajeni Kozacy czekali cierpliwie... Zwały pni znikły im rychło z oczu, w ciemną dal wsiąkły tępe odgłosy.

Nagle pod Oczakowem zahuczało dźwiękiem podobnym do bicia taranu w mur. To kłody piętrzyły się na tureckich zaporach i rozrywały je. Na ten dźwięk warownia oczakowska odpowiedziała gwałtowną kanonadą rozbłyskując niezliczonymi ogniami wystrzałów. — Bisurmani myślą, że przepływamy właśnie przez zapory — szydził Borodawka. — Allah odurnił swoich bękartów.

Armaty były kilka godzin, jakby pod Oczakowem gorzała bitwa.

Gdy ucichło, czajki wionęły ku Oczakowowi i cieśninie. Z największym napięciem robiono wiosłami. Przemknęły niepostrzeżeni koło twierdzy, aż i przez niebezpieczną cieśninę.

•—• Durne bisurmany! — chichotał Borodawka. — Rano będą szukać naszych trupów i szczątków czajek.

O wschodzie słońca byli już daleko na pełnym morzu. Rozwinęli żagle i pomknęli z wiatrami w zawody.

Stołczyzna z dzioba czajki spoglądał w dal. Wyprawa miała mu dać stanowisko w świecie — prawne, nie zaś oszukańcze, miała dać szlachectwo i herb, których udzieli Skoruta. Herb „Korczak”: w złotej czarze wyżeł wspięty do góry, w polu czerwonym na hełmie nad koroną trzy wręby. Znamienity herb! Ale najważniejsza zdobycz to Wanda. Skarbami przekupi się starego Jakimowskiego. Wanda! O tym, iż może polec w boju o skarby owe, nie myślał.

XIII Żółkiewski umilkł. Może niejeden z zebranych w kabinecie po-ufników pomyślał, że z wodza, który gromił jak burza armie nieprzyjacielskie, obalał i osadzał monarchów na stolicach, w jeństwo brał koronatów, hetman stał się zgrzybiałym starcem.

— Wojna z Porta staje się ciałem — ciągnął po chwili znużonym głosem — Konaszewicz najechał Perekop, Borodawka zaś ze swoją partią spalił i złupił Warnę, janczarską jej załogę w pień wyciąw-szy. Ponieważ Ukraina rozerwana między tych dwóch atamanów, nie wiemy, jakie posiłki od Kozaków nadejdą. Tyle że dywersja.

Podobno i Wołyniec własną partię tworzy. Jeśli chodzi o drugą stronę... Z Krymu ruszył już namiestnik chański, sułtan-kałgaj Dewlet Girej z Tatarami. Ci pustoszyć nas idą przed siłami tureckimi, które wiodą baszkowie Iskinder, Ibrahim i Hussein. Kante-mir-murza z Nogajcami rusza także. Wojny jeszcze nam nie wypowiedziano. Atoli nie możemy czekać, jeno bello offensivo nawiedzić wroga. Wojsko mamy niewielkie, ale jako zazwyczaj nieporównane w rzemiośle rycerskim. Ponadto liczymy na Wołochów hospodara Gracjana. Pomaszerujemy bowiem w głąb Mołdawii. Taka jest wola króla jegomości, zgodna z moimi zamysłami.

— Zali wasza dostojność naprawdę liczy na znaczne wojsko hospodara? — wyraził ktoś wątpliwość.

— Pomoc Mołdawii wzrośnie po pierwszej naszej Wiktorii.

— Możliważ ona z tak szczupłymi wojskami, jako nasze? Na twarzy hetmana odmalowało się uczucie przykrości.

— Wszystko w rękę Boga — odparł. •—• Bijaliśmy, na przykład pod Kłuszynem, dziesięciokroć liczniejszego nieprzyjaciela. Byle zgoda w wojsku panowała, rozbijem każdego przeciwnika.

— A gdyby tak wedle Kamieńca poczynić obronę?

— Defensivo bello iść, to zginiemy! Tak mniemał sam wielki król Stefan. Chciał maszerować lądem, a księżę Parmy morzem: u archipelagu w Grecji zetknąć się rnieli. My nie pójdziem aż tam.

Niespodziewanie zabrał głos jezuita Turowski:

— Jak wahać się można, gdy wojna przeciw wrogom Krzyża, i wątpić, skoro Matka Najświętsza hufce w bój prowadzi?

Wojennicy nosami kręcili na tę i dalsze wypowiedzi jezuitów (bo spowiednik hetmana, ksiądz Wybirek, też przemówił) .

— Skoro tacy wodze niebiescy, to po co my? — zadrwił któryś, jedni zaś zgromili go za to, inne prześmiewkami wsparli.

Po naradzie oficerowie rozjechali się do oddziałów.

Hetman, wyczerpany odprawami, przeglądami wojsk i uczną pożegnalną, wrócił do kabinetu. Długo siedział z głową zwieszoną nad blatem sekretery. Mocował się ze swoją starczą niemocą, ze sprzecznymi między sobą myślami. Rozumiał błędność polityki królewskiej wobec Szwecji, Porty, Habsburgów, Węgier, obu Wołosz, wreszcie zaś wobec własnego królestwa, a nie miał siły przeciwstawić się jej. W miarę upływu lat wygasła w nim opozycyjność względem króla, wzrastała zaś uległość.

I Gdy począł przechadzać się po komnacie, odwiedzili go dwaj jezuici, starzy przyjaciele i doradcy.

— Bywajcie, wielebni ojcowie, bo mnie samotne myśli dławią.

— Człowiek nigdy nie jest samotny, bo zawdy towarzyszy mu Bóg lub szatan — rzekł sentencjonalnie Turowski. — Smutek wasz, panie, dziwi. Wszak wybieramy się na radosną biesiadę: na wojnę za świętą wiarę katolicką, za ojczyznę, za pomyślność króla i cesarza, dwu wielkich bojowników Kościoła Rzymskiego.

Hetman strzepnął rękami ni to rozpaczliwie, ni z niecierpliwością. Długo jeszcze w milczeniu przemierzał komnatę.

— Wre we mnie walka! — wybuchnął wreszcie. — Zali wy nie pojmujecie, że trzeba inak działać? Król jegomość winien wesprzeć Siedmiogrodzian, Czechów, Ślązaków w ich boju przeciw cesarzowi, a nie sojuszem pomnażać jeszcze potęgę tego mocarza.

—• Apage, satanas! 1 — zawołał ze zgrozą Wybirek. — Wspomagać heretyków zhańbionych na domiar protekcją bisurmańską, buntowników podnoszących rękę na prawowitego władcę, pomazańca bożego, arcychrześcijańskiego monarchę?

—• Rzeczpospolita mogłaby wyzwolić Czechy i Śląsk — mówił swoje hetman. •— Nie zapomnę wypowiedzi księdza Łubieńskiego, który prorokował: „Przyjdzie czas, kiedy albo Ślązacy wrócą do swoich ojców, albo Polakom nie zbraknie powodów do poruszenia swoich praw, które nie mogą być prywatnymi układami zniesione ani co do których nie może zajść przedawnienie”. A przecie i sam król na radzie stawia kwestię: „Czyby teraz nie był czas i pogoda do poparcia tego prawa, które nam tak na Śląsko, jak na kościoły i biskupstwo wrocławskie, służy?”

— Zali wolno szpony po włości te wyciągać, gdy cesarz jegomość wojuje z szatanem? Dobro Kościoła ważniejsze nad ziemskie!

Żółkiewski swoim upartym głosem mówił niezrażony:

— Trzeba wyzwolić narody, z Wołoszczyzn a Węgier utworzyć Regnum Daciae 2 i z Rzeczpospolitą związać. Turków należy wo! Apage (grec.), satanas (łac.) — precz, szatanie!

2 Regnum Daciae (łac.) — Królestwo Dacji; projektowane przez Zygmunta III Wazę i biskupa mołdawskiego Lubienieckiego państwo; miało składać się z obu Wołoszczyzn i Siedmiogrodu i podlegać protektoratowi Polski.

jować, owszem! Ale nie tak, jak ninie! Zaklinałem: jesteście Bogaci, panowie szlachta! Bądźcie wielkoduszni, uszczknijcie krzynę z kabzy, wyrzucicie węża z kieszeni! Ośm milionów złotych trzeba! 90 tysięcy wojska na pierwszą ekspedycją, na dalsze trzy jeszcze 100 tysięcy! Nie za wiele dla tak potężnej monarchii, jako nasza! Bracia mnie jednak nie pojmują ani pan słuha. A co ze mną, na Boga? Gdy stanę przed królem, ulegam jego fantastycznym planom. Najjaśniejszy pan pragnie południową i wschodnią Europę brać pod swoje berło, do Azji sięga, a mało dba o jeneralne przygotowanie do tych ogromnych imprez. Jam zaś posłuszny! I oto idę z garstką żołnierza na największą potencję świata.

— Bóg ci to nagrodi, rycerzu boży! Idź i walcz dla chwały Krzyża Świętego, bo takie twe przeznaczenie i taka woła Stwórcy!

— Na kolana! — krzyknął w uniesieniu ksiądz Turowski. —• Przebłagajmy Pana, by nam wybaczył błędy i wahania, które przeszkodami są na drodze do wiecznej chwały! Nie liczymy

żołnierzy, bo to tak, jakbyśmy w sprawiedliwość boską zwątpiwszy, nędznym siłom ludzkim ufali. A przecie ta armia mocniejsza, nad którą Bóg! On krocie powalić może u stóp jednego prawego rycerza.

Odprawiwszy jezuitów po modlitwie hetman wezwał syna i żonę.

— Minęła chwila przełożeń, słuchać tylko i bić się należy —• powiedział, a wskazując widok za oknem, dodał: — Dokończysz te mury, dookoła Żółkwi ciągnione, gdybym ja zginął, a ciebie na tej odwadze Pan Bóg zachował...:

Przerwał mu bolesny płacz żony.

—• Dla wiary świętej, synu, żywota poświęcić nie żałuj i dobrym sercem służ Rzeczypospolitej. Z nauki pomoc do godności, służby ojczyźnie, uczciwego życia mieć będziesz... Śmierć dla ojczyzny słodka. A gdy jeszcze dla wiary świętej trafi się okazja poświęcić . żywot, to i u ludzi będzie sławno, i u Boga odpłatne. Gdy hetmanowa znów załkała, zwrócił się do niej:

— Ciebie, moja najmilsza małżonko, poruczam Panu Bogu. Je-goż i twojej opiece poruczam dziatki nasze pamiętając, w jakiej zgodzie i miłości żyliśmy z sobą. Niech nie gaśnie w tobie moja pamięć. Pewien jestem, iż jako dotąd chwalebne były postęпки twoje, tak i w razie mojej śmierci nie poniżysz uczciwości swojej. — Ty żegnasz się z domem! Ty przeczuwasz... — szepnęła.

— Wszakem żołnierz i na wojnę idę. Każda kula czyha. Jam hetman! Tułowiem zagrodzę drogę wrogowi. I mój to obowiązek!

— Ty przeczuwasz klęskę, panie! — krzyknęła przerażona.

— U Pana Boga w tajemnicy, jako rzeczy padną. Starzec, zawsze winienem o śmierci myśleć, a zatem i o pogrzebie. Bywa, że nawet ciała monarchów bez pogrzebu zostają. Chwalebnie j sze losy Władysława króla, co u Warny zginął, niż wielu innych, na których nagrobki patrzymy. Ale to idzie wedle woli i obiecania bożego. Gdybym na wojnie umarł, miałbym aksamitu czarnego, który znaczy żałobę, niech trumna przykryta będzie szkarłatem na znak wylania krwi dla Rzeczypospolitej. A to nie dla chluby żadnej, lecz dla pamiętki i pobudki drugich do cnoty, do poświęcenia życia ojczyźnie... Nagrobek także bez chlubnych słów. Zresztą spisałem wszystką wolę moją w testamencie... Syn nie podzielał smutku rodziców. Marzył o sławie.

— Bijaleś, panie ojcze, dziesięćkroć liczniejszego wroga — mówił z emfazą —• teraz pięć razy silniejszego rozniesiesz w puch. Naszemu wszak wojsku żadne nie dorówna.

— Tak, synu. Boję się jeno niezgody i zawiści panów, co hufce prywatne wiodą. Oni mniemają, że Żółkiewscy niżsi od nich, że ja chudopacholek, niesławne im więc hetmaństwu mojemu ulegać..

Przez następne dni rozesłał hetman po Rusi uniwersały o pochodzie Tatarów, wzywając do wojska, które kupi się w rejonie Kamieńca. Przy organizacji wyprawy miał wiele roboty. Gońcy dniem i nocą latali między Żółkwią a obozami armii. Sam też gotował się do drogi. Gdy wreszcie pewnej nocy wyjeżdżał z Żółkwi na wyprawę, żona odprowadziła go daleko za miasto. Przy pożegnaniu zaś trudno ją było oderwać od męża i syna, od karety, która ich uwoziła.

Po odjeździe małżonki hetman, przejęty wzruszeniem, ni słowa nie mówiąc do towarzyszy — jedynaka, Kurzańskiego i obu je-zuitów-druhów — patrzył uparcie w okno powozu, za którym migwały zapalone pochodnie orszaku. Dusznemu się uczyniło, uchyAutentyczna, prawie dosłowna wypowiedź Żółkiewskiego.

I Autentyczna, prawie dosłowna wypowiedź Żółkiewskiego.

lił szybko, odetchnął rześkim powietrzem nocy. Rozkazał żołnierzom odjechać z pochodniami, od karety.

— Nie migajcie mi w oczy, chłopcy! —• rzekł.

Nagle dostrzegł na czarnym niebie przedziwną smugę jasności podobną kształtem do ogromnego jataganu.

— Stój! — rozkazał woźnicy, a gdy karetą stanęła, zwrócił się poruszony do towarzyszy: — Patrzajcie! Boski znak!

Wysiedli nawet z karety, ale nie mogli dojrzeć jasności.

— Tam! tam! — niecierpliwił się. — To moja śmierć!

Wieść o dziwnym zjawisku rozeszła się wnet po całym orszaku. Panowie, żołnierze, czeladź wyteżali wzrok: nie wypatrzyli niczego. Wszystkich jednak ograneło niewytlumaczalne uczucie zgrozy.

— Ruszaj! — rozkazał hetman.

Kiedy towarzysze udali się do swoich pojazdów na spoczynek nocny, a on ułożył się do snu w karecie, sam już nie potrafił odnaleźć oczyma owej niesamowitej smugi jasności, która tak wszystkich poruszyła, lubo jej nawet przez chwilę nie widzieli. Między zwroty uporczywie odmawianego różańca wplatał dziwne słowa:

— Idę przed boski trybunał... Idę przed boski trybunał... Spadające gwiazdy chłostały sierpniowe niebo gęstym deszczem.

Wokół parskały konie, odzywały się opodal jakieś nocne ptaki, szumiał lekko ciepły wiatr.

Wielki spokój bił od pól i lasów, nad które wznosił się powoli księżyc oblewając zielonawobiałym światłem i ziemię, i niebo, gdzie stary wódz szukał wróżby.

W drodze doszła prośba gospodarza Gracjana, aby wojska polskie za Dniestrem połączyły się z jego hufcami i wspólnie z nimi broniły Mołdawii. Gospodar proponował też ponownie — przywrócenie pełnego protektoratu Polski nad Mołdawią, ostatnio uszczuplonego.

Dokonawszy przeglądu wojsk pod Kamieńcem i naradziwszy się z hetmanem polnym, Żółkiewski ruszył do Baru w nadziei zgromadzenia tam znacznych sił kozackich. Zawiódł się. Albowiem skłócona Ukraina dała na wyprawę ledwie kilka sotni Kozaków pod wodzą sławnego zagończyka, Stefana Chmieleckiego. Ściągnęło natomiast w rejon Baru około pięciu tysięcy regularnych wojsk Rzeczypospolitej i prywatnych. Świetna to była armia, ale mała, a pod Kamieńcem gromadziła się jeszcze mniejsza.

Żółkiewski stanął kwaterą w potężnym zamku barskim.

— Tą siłą mam rekuperować 1 Wołoszę! — biadał. — Przebóg! oczadziła Rzeczpospolita od swej dotychczasowej potęgi! Panowie znów nie obmyślili należytych środków wojennych. Na żadnym sejmie nie przyjęli zbawiennych planów. Jak smokowi bisurmańskiemu, któremu cały świat chrześcijański ustępuje, damy radę?

Na domiar hufce prywatne przywieśli do Baru zagorzali wrogowie Żółkiewskiego i tacyż sami prowadzili wojska na miejsce koncentracji nad Dniestrem. Hetman myślał o tym z desperacją.

W depresji napisał do króla list smutny, ale nie beznadziejny:

Najjaśniejszy Królu, Panie mój Miłościwy!

Klejnotu, powierzonego mi od Waszej Królewskiej Mości nie chciałem dać w niebezpieczeństwo, na które sam się chętnie biorę...

Teraz już do tego przyszło, że albo zwyciężym nieprzyjaciela, albo nas zwycięży nieprzyjaciel... Wypadnę-li to drugie, nieszczęścia Rzeczypospolitej nie chcę przeżyć. ...Rad żywot położę dla wiary świętej, dla Waszej Królewskiej Mości, dla Rzeczypospolitej... Masz, Miłościwy Królu, Panie mój, wielką przed sobą sprawę. Wojna z Turkami nie igraszka. Albo Turki trzeba zrazić z ich przedsięwzięcia, którzy chcą tej Rzeczypospolitej i wszystkiemu światu panować, albo Tobie królestwo stracić...

Tyle jest sposobów w tej zacnej Koronie, żeby jeno sami obywatele chcieli, że można nieprzyjacielowi radę dać, jest tyle dostatków, których wojna potrzebuje... Gdzie idzie o wyniszczenie chwały bożej, na co się poganie nasadzili, o całość, o zdrowie Rzeczypospolitej, o zniewolenie — zgoła o wszystko! — trzeba dostatków nie żałować.

Defensivo bello działać to zguba... Jeśli zaś bello offensiyo czynić i najeżdzać nieprzyjaciela będziem w jego ziemi, nie można wątpić o zwycięstwie...

Znowu radził staranne przygotowania do wojny, przypominał plany króla Stefana, zamierzającego poprowadzić przeciw Półksiężycowi Europę, jakby wierzył w dobry skutek swoich rad i napomnień. A przecież od lat daremnie powtarzał je królowi, szlachcie. Przerwali mu pisanie gońcy od poszczególnych dowódców, a także szpiedzy z alarmującymi wieściami, że bez mała sto tysięcy Tatarów i Turków ciągnie na Rzeczpospolitą. Miał też prawdziwsze doniesienia: o czterdziestu dziewięciu tysiącach bisurmanów.

1 Rekuperować (łac.) — odbierać na powrót, odzyskiwać.
is —

Kawaler złotej ostrogi Dokończył wreszcie pisanie do króla:

Zawierając ten list żegnam Waszą Królewską Mość, Pana mego Miłościwego. Tak się czuję i z tym idę przed sąd boży, zem wiernie i życzliwie Waszej Królewskiej Mości służył. Jeśli w czym jako człowiek nie dogodziłem, racz Wasza Królewska Mość odpuścić, a synowi memu, gdyby go ochronił los wojny, racz być miłościwym panem.

Opatrzył list datą 25 sierpnia 1620 roku.

Wybrał się wreszcie do kolegium jezuitów. Zostawiając tutaj swe insygnia hetmańskie i kanclerskie, polecił rektorowi:

—• Gdybym poległ, niech wasza przewielebność odda panu wojewodzie kijowskiemu, który zwróci to królowi jegomości.

Wróciwszy do zamku hetman nakazał obożnemu rozpoczęcie wymarszu wojsk. Samostał jeszcze w kabinecie dla niezbędnego odpoczynku. Po napisaniu pożegnalnego listu, do króla i oddaniu insygniów władzy poczuł się tak, jakby mu już nic w życiu nie pozostało do zrobienia.

Wejście przyjaciół oznaczało, że oto czas wyjazdu.

Zza okien dobiegały odgłosy pochodu: tupot nóg ludzkich i końskich kopyt, turkot kół, szcęk oręża, rzenie koni, okrzyki... Upał wielki panował, bezchmurne niebo wisiało nad ziemią niby rozpalona płyta, żar bił od słońca niemiłosierny.

Jakiś żołnierz śpiewał niespodziewaną tu, dziwną pieśń:

Czuj-duch! Hej, bosmani! Wróg lonty zażega I z armat czterdziestu daleko od brzega
Zaprasza w tan!

Pal! ognia po stokroć! — za tany w podzięcie! Burt wraźych się czepić! topory wziąć w ręce!
Bosman to pan!

— A któż to? •— zdumiał się hetman.

— To dwaj towarzysze z chorągwi przysłanych przez księcia Jerzego Zbaraskiego —
odpowiedziano. •— Dziwuny i cudaki.

Żółkiewski, wsparty na ramieniu swego druha, Kurzańskiego, wyszedł na zajazd, gdzie czekała nań poszóstna karetka.

Część wojska była już w pełnym pochodzie, a to lekkie chorągwie konne i artyleria. Za nimi, a przed piechotą, pancernymi, husarią, Kozakami, ruszyć miał hetman. Ledwie jednak wsiadł do karety, podjechał doń konno obożny, oficer sztabu hetmańskiego, zawiadujący rozmieszczeniem wojska, obozowaniem a porządkiem marszu, i wskazując niebo, rzekł niespokojnie:

— Niech wasza dostojność raczy spojrzeć: burza nadciąga. Jakoż od zachodu niebo szarzało coraz rozległej, na widnokręgu ukazały się ciemne obłoki, rozbrzmiewające głuchym pomrukiem grzmotów. Konie jęły rzeć cicho, niespokojnie, strzyc uszami...

— Zali wasza dostojność rozkaże wstrzymać pochód?

— Wstrzymać? — oburzył się hetman. — A cóż to burza dla wojska? Nie ma chwili do stracenia! Marsz, mości panie!

Wiatr wzmógł się, niebo zaciągnęło niskimi, ołowianymi chmurami, zygzakami błyskawic, rozgrzmiało do najtajniejszej głębi. Konie tarnosiły uprząż, siadały na zadach. Równy pochód wojska zachwiał się, gdy na pociemniałą, rozdygotaną od grzmotów ziemię spadła

ulewa, a gromy zahuczały nad głowami. Żołnierze sarkali, żegnali się i modlili.

Wolontariusze zlorzeczyli w głos dowództwu.

— Zły znak! Zła wróżba! •—• szeptano w szeregach, a nawet w otoczeniu hetmańskim. — Śmierć nad nami!

Żółkiewskiemu również ścisnęły serce złe przeczucia.

— Ruszaj! — skomenderował jednak woźnicom.

Straszliwy huk i wstrząs powaliły jego i Kurzańskiego, stojących jeszcze, na poduszki karety. To piorun strzaskał okuty buńczuk hetmański. Ofiar śmiertelnych na szczęście nie było. Ale ludzie w pobliżu buńczuka stracili głowy z przerażenia, konie spłoszyły się — stawały ręba, łamały dyszle i rwały uprząże płacząc się w nich. Jedne padały, drugie dziko rwały się do biegu. Kareta omal nie runęła. Obaj starcy dziarsko wyskoczyli z niej.

— To na moją zgubę! •— szepnął hetman, ale wnet, jakby zawstydzony swą słabością, huknął przekrzykując grzmoty: — Konia mi!

Dosiadł podstawionego rumaka. Skinął buławą, a na ten znak zabrzmiały komendy oficerów, wyprostowały się zmieszane kolumny wojska. Jechał czas jakiś na ich czele, znosząc jak wszyscy przykrości ulewy. Towarzyszył mu nieodstępnie Kurzański.

— Spójrz! — szepnął nagle. — Na niebie znak Wiktorii! Błyskawica i oświetlane nimi chmury uczyniły właśnie w górze 13*

przedziwne znaki ogniste, w których jadała tuż za hetmanem Asysta jęła upatrywać potykające się wojska.

— -To na moją głowę. Idę przed sąd boży — rzekł hetman. Rychło całe wojsko jęło szeptać o złych wróżbach, szemrać na hetmana, przeciw wyprawie. Serca żołnierzy, choć nawykłe do rzeczywistych niebezpieczeństw i odważne wobec nich, lękały się zabobonnie tego — urojonego.

Burza nie trwała długo. Z wiorstę za miastem poczęło się wypo-gadzać, nawałnica odpływała gdzieś na wschód i północ, a jak się niebawem okazało, wyszła niespełna milę poza Bar. Hetman przesiadł się do odkrytego pojazdu. Medyk Stanisław Anczowski, który dotąd ze zgrozą patrzył, jak hetman moknie, począł go usilnie namawiać do przebrania się w suche odzienie.

— Słońce i wiatr mnie wysuszą, jak to żołnierza — odparł Żółkiewski. — Przecie i oni — wskazał wojsko — tak samo schną.

•— Ośmielam się przypomnieć waszej wielmożności — rzekł medyk, któremu wiele było wolno u hetmana — że oni mają po dwadzieścia i trzydzieści lat wieku, a nie siedemdziesiąt trzy.

•—• Ostanę wszakże w mokrym. Dość, mości eskulapie!

Aż tu profos! dał hetmanowi znać, że niektórzy oficerowie nie tylko nie przeciwdziałają sarkaniom żołdaków, ale wręcz rozsiewają w wojsku niezadowolenie.

— Rozgłaszają, że wasza dostojność na zgubę wiedziesz wojsko. Dowodem tego znaki na niebie i szczupłość armii oraz... •— profos zaciął się. •— Niech wasza dostojność raczy darować, iż powtórzę opinię tych warchołów, doniesioną mi przez hajduków polowych: że wasza dostojność winien już pod pierzyną się wczasować, a nie wojować, że wasza dostojność umyślnie chce zgubić ludzi i że cała ekspedycja niepotrzebna, bośmy winni czekać Turka, któren nas jeszcze nie atakuje.

Ognie przeszły po bladej twarzy hetmana. — Któż to wszystko powiada?

Profos skwapliwie wyjął ze skórzanej torby, przewieszanej przez ramię, kartelusz papieru i odczytał zeń nazwiska: jaśnie oświecony książę Samuel Korecki.

1 Profos (niem.) — oficer kierujący służbą sprawiedliwości i policji (żandarmerii) wojskowej.

jego miłość pan strażnik Jan Odrzywolski, jego miłość pan starosta chmielnicki Mikołaj Struś, jego miłość pan starosta kamieniecki Aleksander Kalinowski oraz ich miłości"panowie rotmistrze:

Łagonia, Maskiewicz, Ujazdowski i inni, których hajducy polowi dopiero utożsamiają. — W każdym wojsku na świecie daliby szyje, tylko nie w tym wolontariuszowskim Rzeczypospolitej — rzekł ponuro hetman. — Zali rotmistrz Łagonia, któregoś między innymi, wasze, wymienił, to ów, który przywiódł oddział od kniazia Jerzego Zbaraskiego? — Tak jest, wasza wielmożność! Ludzie bardzo wojenni. Przeważnie z Podola i Braclawszczyzny.

Z dalszego raportu wynikało, że ludzie rozpowiadają również niestworzone rzeczy o bogactwach, jakie Kozacy rzekomo zdobyli w Perekopie i w Warnie. Każdy uczestnik onych chadzek —• mówią — zdobył worek klejnotów. Zazdroszą im niepomernie a sarkają na niniejszą wyprawę, na której jeno profoską pałką można zarobić. Niektórzy nawet myślą o dezercji do Kozaków.

Hetman zamyślił się ponuro: bywały intrygi, niezgody w wojsku, ale żeby od razu, w pierwszej dosłownie godzinie wyprawy — tego jeszcze nie doświadczył. Na Boga! Co będzie dalej?

— Dadzą nam jeszcze bobu wolontariusze — westchnął.

— Już poczęli dawać — wykrzyknął profos. — Jeden z podkomendnych pana Łagoni uparł się odwiedzić dom rodzinny w Joł-tuszkowie, którą to miejscowość niebawem miniemy. Uparł się, lubo artykuły wojskowe tego. wzbraniają i pan oboźny zawiadujący wszak ciągnięciem wojska, i nawet sam pan Łagonia. Po skardze pana oboźnego kazałem warchoła związać, by go wasza dostojność raczył ukarać. A jaki szum, jakie szemranie, poszło po wolontarskich chorągwiach!

— Jak się on warchoł zowie?

•— Urodzony Marek Jakimowski.

Żółkiewski drgnął. Po krótkim namyśle rozkazał:

— Przywiedź go do mnie.

Powóz hetmański przystanął. Hajdukiwie przyprowadzili Marka z rękami związanymi z tyłu, wzburzonego, patrzącego spode łba. Żółkiewski oddaliwszy świadków został sam na sam z hare-sztantem.

— Wstyd! Amnestionowany niedawno, chcesz-li znów popaść w srogie terminu? Dziw mi, żeś żołdat z profesji, z wojenników ród wiedziesz, a postępujesz, jakbyś jeszcze prochu nie wachał.

••• Za pozwoleniem... — zaczął Marek.

— Zezwalam ci jechać doma — przerwał hetman — lubo przez Jołtuszków twój huf nie ciągnie. Zezwalam pod warunkiem, że o północy zameldujesz się na postoju w Kopajgrodzie. Jeśli nie, poszukają cię hajducy pana profosa, a wiesz chyba, co to znaczy.

Marek wolałby najgorsze niż tę reprimendę, wygłoszoną nieprzyjemnym tonem. Z nienawiścią patrzył na hetmana.

i— Potraktowano mnie niby, niby... — zabrakło mu słów ze wzburzenia. — Przeciera szlachcic, przeciem wolontariusz...

— Nie bredź! Pierwsze już punctum artykułów wojskowych powiada: „Wszyscy ludzie, którzy w wojsku służą, tak zaciężni, jako wolontariuszowie wszelakiego stanu, powołania i narodu, podlegają porządkowi i artykułom wojskowym... gdyż na to każdy tu przyjechał, by pomagać, a nie utrudniać sprawy wojenne...” Żołdat musi to znać! No, jedź doma! Oficer ordynansowy da ci przepustkę na permisją 1 do północy — hetman skinął na hajduków. — Rozwiązać go!

„Pokurcz przeklęty” — myślał Marek wracając z przepustką do szeregu. Nie docenił łaskawości hetmana, a nie poczuwał się do winy. W wojsku zaciężnym był

subordynowany. Miał nawet wrodzone i rozwinięte przez długą służbę wojskową zamiłowanie do ładu. Ale już konfederacje żołnierskie, z racji niedostatecznego żołdu zawiązywane, uważał za słuszną samoobronę żołnierza. A teraz, jako wolontariusz bez żołdu, na samej zdobyczy z nieprzyjaciela, mniemał się być więcej towarzyszem niż podkomendnym wodza.

W kolumnie marszowej wrócił do Satanowskiego, nagabywany przez wielu towarzyszy. Nie znalazł u Stefana zrozumienia.

— Łaskawy pan i zacny człowiek, że ci karygodny warchoł puścił w niepamięć i jeszcze permisji udzielił.

— Nie cierpię go! — wybuchnął Jakimowski. — Suchy bady! Gdyby nie twoje namowy, nigdy bym nie przystał do hetmańskiego wojska. Tak nam przecie dobrze u księcia pana było. I Permisją (łac.) — urlop.

— Wszak ninie Rzeczpospolita, jak nigdy, naszych szabel potrzebuje. Sympatie lub animozje do poszczególnych osób nic nie mają do tego, cośmy robić winni.

— Nie praw mi tu kazań! Lepiej jedź ze mną do Jołtuszkowa.

— Przecie nie mam permisji.

— Też przeszkoda!

— Tobie, widzę, pilno do profoskich okowów. Dopieroś się z jednej kabały wykaraskał, a już w drugą leziesz. Wszak nie wolno w marszu wydalać się z ufu. Jedź sam z Bogiem i z Bogiem wracaj!

— Ja już nie wrócę — szepnął Marek.

— Oby cię na powrozie nie sprowadzono pod szubienicę!

— A ty co uczynisz?

Stefan zwrócił na Marka oczy i rzekł dobitnie:

— Napluję ci w gębę, gdy się spotkamy! Jakimowski odskoczył odeń jak oparzony.

Ze swoim poczem pachotków satanowskich, wpisanych w przepustkę permissyjną, pogalopował na przetaj ku Jołtuszkowowi, wzburzony zajściami z władzą i Satanowskim. Ale niedługo pędził. Po pierwsze, potrzebował dla uspokojenia się zakurzyć fajkę. Po drugie, musiał przedzierać się wskroś kolumn wojska, armat, taborów, ciągnących wieloma szlakami: przez drogi, ścieżki i pola.

Zanim wyplątał się z sieci ubezpieczeń marszowych, straży i patroli profosowych — a na każdym kroku legitymowano płynących pod prąd — zapadł już zmierzch. Dopiero za ostatnimi posterunkami Marek puścił się znowu cwałem.

Ziemia tu była sucha: snadź burza nie nawiedziła tej okolicy.

Marek stanął nagle i wpatrzył się w dalszą lunę, zaciągającą znaczne połacie nieba pociemniałego już wieczornie.

i—Co to jest? — spytał pachotków zmienionym głosem.

— Pali się. Pożar — padła odpowiedź. — Łuna.

— W konie! — ryknął.

Bryzgi ziemi prysnęły spod kopyt. Pianą spłynęły sieczone harapami konie, zmagające się z miękką rolą, w której grzęzły im nogi znacznie powyżej pęcin. Dopadli wzgórze, skąd był rozleglejszy widok.

— Stój — skomenderował Marek.

Nie miał już wątpliwości: płonął dwór Jakimowskich. Teraz dopiero przypomniał sobie, że po wymarszu z Baru słychać było strzelaninę w oddali i że nawet wysłano porucznika Złotopolskiego, hetmańskiego ordynansa z podjazdem w tamtą stronę.

A oto chyba i on! Oddział konny wspiał się mozolnie na stromy stok wzgórze. Złotopolski, nie dając dojść do słowa Markowi ni jego pocztowym, wziął się do ich legitymowania.

— Puszczaj wasze! Gniazdo mi z dymem idzie! — wołał Marek.

— Wybacz asan, ale powinność to moja — odparł porucznik — a po wtóre, nie wiedziałem, że to twój dom. Wracamy stamtąd.

— Mówże waćpan, na Boga, co się tam dzieje!

— Kozacy i chłopcy oprymowali dwór i skurzyliby go całkiem, a mieszkańców wyrznęli, gdyby nie to, że wystraszył ich pochód naszego wojska i podjazdy. Bądź waćpan spokojny: pożar przygasa, bośmy walnie pomogli tłumić, rodzina cała i zdrowa... Wać-panu radzę pośpiech, bo ani się obejrzysz, północ będzie.

Marek pocwałował ku przygasającemu istotnie pożarowi swego domu. Doznawał dziwnego uczucia: wzburzenia z powodu klęski rodzinnej i gorzkiej satysfakcji z nauczki, jaką ojciec otrzymał za swoje okrucieństwo, gwałtowność i brutalność.

XIV Stołczyzna i jego towarzysze wykapali się w rzece, ubrali w najlepsze odzienie posiadane w jukach. Wszyscy prezentowali się nader okazale. A już Jan, wyświeżony, strojny, rwał po prostu oczy. Dosiedli koni i z kwaterę czasu jechali stępa ku Jołtuszkowi. Zatrzymali się na wzgórzu nad Ladawą, na jej wysokim tutaj brzegu.

Widać stąd było dwór Jakimowskich z jednej strony, z przeciwnej — chutor Prokopiuków, z trzeciej strony — zwierciadło rzeki w dole, z czwartej zaś — miasteczko Jołtuszków.

Nie zsiadając z konia Jan wpatrzył się w okna dworu.

Podjechał doń Daniło i wskazując kasztel Jakimowskich rzekł:

— Można by zbrojną ręką. Tutejsze krewniaki nasze pomogą.

— Zamierzam odwiedziny, a nie zajazd •—• odburknął Jan. — Albo przyślę kogoś stamtąd po was, albo sam wrócę tutaj.

Reszta puściwszy na trawę konie, przyłączyła się do rozmowy.

Rozzuchwaleni udaną „chadzka” w ottomańskie ziemie druhowie namawiali Jana do najścia dworu. Na każdą spotkaną w drodze siedzibę szlachecką byli tak zawzięci. Tylko Skorucie chodziło o co innego.

—• Jedziesz więc sam — rzekł. — Muszę ci uprzytomnić, że świta z nas godna i znacznie ci przydawa okazałości. Byłbyś tam widziany milej z nią niżeli sam.

— Skąd wiesz? — zachnął się Jan. — Nie jadę na festyn, jeno dla załatwienia dawnych spraw.

— Tedy ci może posiłków trzeba, jeśli nie okazałości.

•— Gdybym nawet poległ w tym grodku — rzekł surowo Stołczyzna •— zabraniam wam następować.

Dźgnął konia ostrogą i pomknął w dół po zboczu. Zjechawszy z pagórka w płytki jar, sunął dalej stępa.

W miarę jak zbliżał się do domu Jakimowskich, rosła w nieustraszonym junaku trwoga.

Liczył się z najgorszą możliwością: afrontem ze strony pana Mikołaja. Dlatego właśnie nie wziął z sobą towarzyszy. Nie chciał świadków. Planował, że w ostateczności porwie i uwięzie Wandę — po jej, oczywista, woli. Książ Tur da ślub, łupy zaś zdobyte w ostatniej „chadzce” starczą na dostatnie życie, na starania o szlachectwo i posiadłość ziemską.

„Pan Czepielowski, kupiec w Sukiennicach krakowskich, nobi-lem zwać się każe, jako szlachcic żywię, to i ja będę — myślał. — Albo pan Luboradzki, z Wąchocka mieszczech, któren szlachciankę pojął i nobilem go zwa... Bywa, bywa... Pan Mikołaj dobra ma zniszczone, w kłopotach a długach po uszy, ja zaś nie tylko posagu nie chcę, ale pieniądzem sypnę, zniszę mu odbuduję... No i przecie nie jestem lada kto, jeno żołdat Rzeczypospolitej... A wreszcie bez Wandy mnie, Wandzie zaś beze mnie nijak żyć. Trudy, despekty, upokorzenia zniosę, czołem przed starymi uderzę, odłożę wszelką pychę na bok, byle Wandę zdobyć! To jedynie ważne! A potem...” Okrzepł jakoś na duchu.

Z fantazją iście szlachecką — lewa ręka wsparta na biodrze, prawa na cuglach, głowa śmiało podniesiona — przebył zwód. W bramie natknął się na Eliasza, dziwnie speszonego jego widokiem.

— Jaśnie wielmożni państwo doma? — spytał niepewnie.

— Doma — odparł bez zwykłej gadatliwości Eliasza.

— I panicz? I panny?

— Panicz we wojsku. Panny są.

Jan domyślił się już, że nie spotka go miłe przyjęcie.

—• Powiadom ichmość państwa, że proszę o posłuchanie — rzekł.

Eliasza zawahał się, otworzył usta, jakby miał coś powiedzieć, ale zmilczał i odszedł.

Niebawem wrócił z oznajmieniem:

— Jaśnie wielmożny pan czeka na waszą miłość w świetlicy. Jan zeskoczył z kulbaki i rzucił cugle na jego ręce. Eliasza nagle z niesłychaną u niego poufałością chwycił go za rękaw.

•— Zawróćcie, wasza miłość! — szepnął. — Pan okrutnie sierdzisty. Jeszcze czas: zawróćcie! Powiem panu, żeście umknęli.

— Sierdzisty? Na kogo?

— Pan zawdy sierdzisty. Na kogo? Na wszystkich.

Jan spojrzął na podbite sino oko Eliasza, zawahał się... A wreszcie podążył do świetlicy.

Wszędy panowała taka cisza, jakby domostwo wymarło.

Stołczyzna nikogo po drodze do samej świetlicy nie spotkał. Tutaj dopiero zastał pana Mikołaja, siedzącego za stołem na wprost wejścia. Drzwi do dalszych komnat były otwarte i Janowi się zdawało, że w następnej ktoś jest. Opanowawszy wrywające się tam spojrzenie uczynił ruch, jakby chciał rzucić się Jakimowskiemu — wedle zwyczaju — z powitaniem do kolan. Ale poniechał gestu w połowie, zmrożony groźną nieruchomością starego.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — szepnął. Zamiast odpowiedzi Jakimowski rzucił:

•— Słucham waćpana — wymówił z przekąsem wyraz „waćpa-na”.

— Przybyłem w nader ważkiej sprawie — odparł Jan opanowując się — od której rozstrzygnięcia zależą losy kilkorga osób.

Niespodziewanie Jakimowski zaśmiał się na całe gardło.

— Aż tak, no! — chichotał. — Wał dalej! Śmiało!

— Miłuję córkę waszmość państwa, dobrodziejów moich osobliwych, i chyba...

Jakimowski przestał się śmiać, twarz mu spurpurowiała.

— A wywiodłeś w asesorii swe prawa do amnestii? — przerwał. Stołczyzna zawahał się, co rzec: wyznać prawdę czy kłamać?

Z tej krótkiej chwili milczenia skorzystał pan Mikołaj:

r*'

Y fa.

\

J>

— No co, mości chamski herbu łajno?

Stołczyzna zakipiał, szkarłatne rumieńce ubarwiły mu twarz, dłoń odruchowo spadła na rękojeść szabli. Ale ostatnio nauczył się nakładać kaganiec na swoją gwałtowną naturę. Zgryzł w sobie wybuch, puścił obraźliwe słowo Jakimowskiego mimo uszu.

— Nie, nie wywiodłem swoich praw — odparł ochryłym ze wzburzenia głosem. — Bom nie niaa żadnych.

•— Żadnych praw, powiada, no! — krzyknął stary. •— Słyszycie!

•— Wyznam wszystko szczerze — mówił straceńcze Jan. — Nie jestem szlachcicem. Alem człek wolny, niczyj poddany, alem bogaty i ojczyźnie zasłużon. Szlachectwo za pieniądze, a zasługi otrzymam na sejmie, majętności kupię. Bo u mnie ot... wyjął z kieszeni garść złotych monet i klejnotów, po czym rzucił to wszystko na stół, przed osłupiałego szlachcica. —•

Waszmościne dobra, zniszczone przez pohańca, odbudować mogę, dostatki przyszłej małżonce mojej zapewnić, erylować kościół ku jej sławie i chwale bożej...

Jakimowski milczał. Jan wziął to milczenie za dobrą monetę.

— Ileż to ludzi, niepozorni plebeani, do szlachectwa dochodzi i splendoru! — ciągnął żarliwie. — Nie jestem szlachcicem, ale wkrótce nim ostanę, z pomocą zaś waszmość pana, mojego osobliwego dobrodzieja, jeszcze rychlej.

•— Dość! — syknął Jakimowski wstając i patrząc nań z pogardą. — I co? Prosto od gnoju do szlachcianki na kasztelu, tak? Stołczyzna użył ostatniej kozery w tej beznadziejnej walce:

— Ale ta szlachcianka jest mi w afekcie wzajemna i wszędy za mną pójdzie! — zawołał z desperacją.

Zdawało się, że staremu krew tryśnie z lic, oczy wyjdą z orbit. Odruchowo rozluźnił sobie kołnierz na szyi, po czym odwrócił głowę ku otwartym do sąsiedniego pokoju drzwiom, za którymi słyhać było szepty a westchnienia, i wychrypiął:

— Słyszaliście? Doroto, Wando! Chodźcie no tu!

Do świetlicy weszły wezwane niewiasty: purpurowa na twarzy żona i blada jak płótno córka.

•— Słyszaliście? •— powtórzył. —• Tak — 'odparła ledwie słyszalnie pani Dorota.

— A ty, Wando, słyszałaś? — wołał natrętnie, a gdy skinęła głową nie mogąc wymówić słowa z powodu wzruszenia, zapytał: — I co ty na to, mościa panno?

Jan błagalnym wzrokiem wpatrzył się w drogie oblicze, szukając w nim ratunku. Ale w danej chwili nie była to już rozanielona, wyszlachetniała od miłości istota, lecz obrażona, wzgardliwa be-nenatka o kamiennym uporze. Nie patrzyła na Jana. Powieki miała spuszczone, nozdrza rozdęte od wzburzenia i gniewu.

— Wando! Wszak się miłujemy! Powiedz! — zawołał z rozpaczą.

Nie zmieniając wyrazu twarzy, bez słowa, podążyła ku wyjściu.

— Ty! ty!... •— krzyknął za nią. Zapamiętał się, nie mógł dobrać słów. — Ty!... łotrzycy!... Ty...

— Pachołki! Luba, Eliasz! Do mnie! — ryknął Jakimowski. Wezwawni wpadli hurmem, zbrojni w kije i pałasze.

— Brać go! Wiązać!

Pani Dorota zanosząc się łkaniem umknęła ze świetlicy.

Stołczyzna nie bronił się, acz nieraz wychodził zwycięsko z groźniejszych oparów. Było mu wszystko jedno. Chciał umrzeć, byle nie odczuwać udreki zadanej przez najdroższą osobę.

— Otrzymasz, na coś zasłużył: chłostę — oznajmił Jakimowski. — Gdyby nie twoja družba z Markiem, któregoś haniebnie oszukiwał, a któremu także przy sposobności kija nie poskapię, pasy bym z ciebie darł. Brać go do gąsiora! — rozkazał pachołkom. Słyszała to Wanda. Po opuszczeniu bowiem świetlicy zatrzymała się za progiem, by ochłonać oraz dowiedzieć się losu zuchwalca, którego mimo wszystko nadal po swojemu miłowała. Wstrząśnięta pobiegła z płaczem do swej komnatki. Rzuciwszy się na łóżko wtuliła twarz w poduszki, które wnet zrosiła obficie łzami.

Nachyliła się nad nią raptem siostra, Aniela, która. tu niepo-strzeżona weszła. Przygarnęła Wandę, gładziła jej 'zmiertzwione włosy.

— Uspokój się; kochaneńka — czule szeptała .szlochając wraz z nią. — Mogłoby przecie być gorzej, wiesz, jaki tata. Uspokój się, uspokój... Zali nam to nowina, że chłopą chłoscza? Iluż się karze za różne przeciw zwierzchności przewiny! Stołczyzna włościanin, a włościanom kije nie pierwszyna. Taki już ich los; Zresztą z nimi nie można inac, boby nam na głowy powłazili.

Wanda zerwała się, usiadła i powiedziała przejmująco:

— Aliści jam go miłowała! Pojmujesz? Żyłam nadzieją, że...

Ach, przepadło!... Zawdy dorozumiewałam się z jego niedomówień, że kryje przede mną jakoweś tajemnice. Myślałam różnie, ot, żoł-dat, konfederat, ma coś na sumieniu, może kondemnaty, może blu-źnierstwo, może wreszcie kędyś żonę ostawił ślubną, tutaj zaś serce zmusiło go do nowych afektów, którym nie potrafi się obronić... Gotowani była wszystko mu

wybaczyć, nawet zbrodnię: takem go miłowała! Atoli ta hańba, którą mi wyrządził... Nie! Nie! To prze— Słysząc, że szlachcianki za plebeanów wychodzą — wtrąciła Aniela faryzejskim tonem. — Sama znam nazwiska, które...

— Nie nie! Święci Pańscy! Cóż ja zawiniłam, że mnie to spotkało? Tak mnie zawiódł, tak pohańbił! I jeszcze skazał na ból... Natchnij tatkę, Mateńko Najświętsza, by mu darował i puścił wolno tam, skąd go fatum przyniosło na jego i moje nieszczęście!

Od progu ozwał się niespodzianie gruby, lecz dobrotliwy głos starej niańki młodych Jakimowskich, Magdy:

.>— Nie wzywaj tak wysokiej osoby, skoroś do niższej instancji próśb jeszcze nie zaniosiła. Idź do tatki, dziecię, i zmiękcź jego serce błaganem. Powinnaś, choćby przez pamięć na afekt, co...

— Nie kończ! — krzyknęła Wanda. — Nie pójdę. Nie honor mi. Żadnej przecie wspólności okazywać nie mogę z tym...

Magda, rosła, silna niewiasta, ujęła ją pod ramiona, zsadziła z łóżka, doprowadziła przemocą do okna i wskazując gąsior za bramą dworca oraz most zwodzony, po którym właśnie wleczono Stoł-czynę na miejsce kaźni, rzekła twardo:

— Honor ci tedy będzie poglądać na ona imprezę. Patrzaj i wzmacniaj swą duszę, i módl się do Przenajświętszej, i błagaj Ją o zmiękczenie ojcowskiego serca...

Oszołomiona wszystkim Wanda niezupełnie rozumiała intencję piastunki. Oderwała osowiały wzrok od Stołczyny, by przenieść go na Magdę. Ale ta znikła już za drzwiami.

Przebywszy w odrętwieniu przestrzeń od świetlicy, Jan ocknął się dopiero na miejscu kaźni.

Od widoku narzędzi tortur załopotało w nim serce •—ni to z trwogi, ni z bólu upokorzenia.

Powiódł oczyma po prześladowcach: Jakimowski, Luba, Elias, pachółkowie. W oknie znanej komnatki zobaczył Wandę. Na jej widok wezbrała w nim taka męka, że omal mu nie pękło serce. Pożałował swej rezygnacji z walki, rezygnacji, która wytrąciła mu broń z reki. Bez względu na wynik obrony uniknąłby ostatecznego upokorzenia.

— Słuchaj! — hardo zwrócił się do Jakimowskiego. — Nie proszę o zmiłowanie. Radzę ci jeno i żądam: odwołaj egzekucję. Nie po rycersku to znęcać się nad przeciwnikiem uległym przemocy, Marek by nigdy tego nie uczynił. Wstyd i hańba spadną na ciebie i twoją rodzinę. To jedno. Po drugie, jako człek wolny powołam cię przed sądy za zniewagę, gwałt i krzywdę cielesną. Namyśł się i...

— Zatkanąć mu gębę! — wrzasnął Jakimowski. Zakneblowano Janowi usta i tak stał w pohańbieniu a upadku, oglądany ze wszystkich okien. Ach, czemu poddał się sentymentom? Braterstwo ślubne z Markiem wydało się złudzeniem. Ale najgorsze ze wszystkiego było wejrzenie tamtych, ukochanych oczu, dawniej słodkich, a teraz bezlitosnych — wejrzenie odbierające siły.

Gąsior był to przyrząd składający się z dwu drewnianych słupów wkopanych w ziemię o kilka łokci jeden od drugiego i połączonych dwiema rozsuwanymi deskami z otworami na szyję i ręce. Zamykano w gąsiorze skazańca w takiej postawie, jakby stał na czworakach. Była to postawa nader niewygodna, a zwłaszcza upokarzająca.

Na rozkaz Jakimowskiego Elias z ociąganiem wtłoczył głowę i ręce Stołczyny w otwory, zasunął deski, spiął je klamrą, tę z kolei zamknął na klucz, który oddał następnie dziedzicowi.

— Na co się gapisz, kpie? Rozdziewaj go! •— krzyknął Jakimowski.

Elias odwrócił się na pięcie, a przeżegnawszy się prawosławnym krzyżem, jął ściągać Janowi kontusz, żupan, koszulę...

Ponieważ działo się to przy drodze do miasteczka, wnet zebrała się gromada przechodniów — • wieśniaków i mieszczan. W roz-gwarze nie obeszło się bez naigrawań ze skazanego, ale i ubolewania nad jego losem, i wydziwiań nad okazałym ubiorem, i dociekań tyczących stanu, ba! i kryjomych złorzeczeń na dziedzica.

Rozebrawszy Jana Elias znów stanął w wyczekującej postawie.

— Bij! — skomenderował Jakimowski gromkim głosem. Luba podał Eliaszowi kańczug spleciony z twardych rzemieni.

Eliasz uczynił wielki rozmach i miarkując siłę uderzenia rozpoczął chłostę, zagrzewany okrzykami rozognionej widowiskiem ciżby. Po kilku smagnięciach ciało bitego powinno upstrzyć się krwawymi pręgami. Tu tego nie było ku niezadowoleniu zebranych.

— Mocno, mocno! — wołali. — Nuże go! Nuże go! Nuże! Jeszcze bardziej „praca” Eliasza nie podobała się panu.

— Nicponiu! Tobie by trzeba łeb. w kunę wrazić! — huknął, a wyrwawszy mu z rąk bicz, podał go Lubię.

Ten był gorliwszy. Już kilkoma razami zadanymi z całej siły, pomnożonej niepojętą wściekłością, skrwawił wygięty z bólu grzbiet Stołczyny. Z. wysiłku aż spotniał. Odgłosy bicia dźwięczały coraz wyraźniej w ciszy zapadłej po pierwotnym hałasie. Katowany nie wydał nawet jęku, co potęgowało wściekłość oprawcy.

— Twarda sztuka — szeptano. — Chwat co się zowie!

— Chłop a chłop!

— Zdorowiennyj mołojec!

— Zdorowij jak wił!

Luba na chwilę przerwał, by odsapnąć i otrzeć pot z czoła. — Ile? — spytał Jakimowski.

— Czterdzieści cztery —• odparł Luba. — No, dalej! Bo do sta daleko.

— Zaraz będzie — słuźalec zaśmiał się przypochlebnie. Kańczug zaświstał znowu. Jeszcze jakiś czas Stołczyna stał kamiennie. Ale w końcu zwiśł bezwładnie jak zboczona krwią szmata. Niektórzy z widzów twierdzili nawet, że naderwał sobie onym zwiśnięciem kręgi a rdzeń pacierzowy i Luba chłoscze już trupa.

Nagle w Jołtuszkowie zagrzmiały dzwony kościelne na południowy „Anioł Pański”.

•— Stój! — skomenderował Jakimowski i spytał Luby: •—• Ile?

— Osiemdziesiąt siedem — padła odpowiedź.

— Matko święta — mruknął ktoś, a wnet mu inny zawtórował: — Chryste, pomyśl!

— Przerwij, Luba! I na kolana wszyscy! — rozkazał dziedzic. Sam ukląkł pierwszy i zaintonował modlitwę:

Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi i poczęła z Ducha Świętego.

Zdrowaś, Maryjo, łaskiś pełna...

Nagle od pobliskich Chodaków zabrzmiał tętent cwałującego konia. To pędził z gołą głową ksiądz Sulimirski, którego o tajemny arianizm posądzano, odziany po świecku, w kaftan łosiowy i kozackie hajdawery. Zeskoczył z siodła przed samym Jakimowskim w momencie, gdy przebrzmiała modlitwa i ludzie wstawali z klęczek.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, amen! Na wiki wikiw, amin! Odprowadził Jakimowskiego na stronę i począł nalegać, by dalsza kara została Stołczynie darowana.

— Waćpan okrucieństwa tu. wyprawiasz, a wraz szturmujesz niebo modłami. Jakoż ci się zda? Że Najlepszemu miła modlitwa takowa, co o krok w duszy od zbrodni?

Jakimowski czuł do Sulimirskiego rankor nie tylko za domniemane „ponurzeństwo”, ale i za ustawne prawienie morałów, strofowanie, solidarność z chłopstwem. Parszywa owca! Sam przecie szlachcic.

— Nos w sos! — pysknął. •—• Ja się do ojca wielebnego nie wtrącam, acz lud buntujesz i kumasz się z heretykami, acz ninie, per exemplum, miast „Anioł Pański” odmawiać, po polu się hultaisz.

— Dość! •—• syknął „arianin”. — Do takich, jako waść, to jeno mieczem a żagwią przemawiać trzeba.

Pomimo otyłości żwawo skoczył na koń i pogalopował z powrotem do Chodaków, gnany szyderczym śmiechem gromady podu-szczone j .bezczelnym postępowaniem jołtuszkowskiego wójta.

— Luba! Czyń dalej swoje! •—• rozkazał Jakimowski.

Po egzekucji pan wskazał złachmanione ciało Jana i przemówił:

— Każdego, mosterdziej, kto intencją, słowem lub czynem uwłacza przyrodzonej zwierchności, panu swemu, spotka los podobny alibo gorszy. Zapamiętajcie to sobie i innym powtórzcie! A ninie rozejść się do swoich zajęć!

Miejsce kaźni rychło opustoszało: odeszli gapie i służba.

— Żywie? — spytał Luby.

•— Żywie — odparł sługus i zaraz dodał chełpliwie: — Ale się ledwo w nim duch kołacze, lubo chłop niby koń. No, bo i mnie Jezus krzepy w kościach nie poskąpił.

14 —

Kawaler złotej ostrogi — Odknebluj go! Gdyby gębował, wetknij mu knebel w gębę.

— Milczy jak ryba, jeno tchnie.

— Zatwardziały cham. Rezun! Takowi dwory palą i rzną szlachtę. Oj, żeby nie mój syn, dałbym łotrowi łupnia nie gorzej niżli onemu Dudzie spod Ciechanowa.

— Takóż był chłop z kamienia: dwie doby na palu tańcował.

Jakimowski za włosy uniósł głowę Jana na tyle, na ile pozwalała górna deska gąsiora, i zajrzał mu w twarz. Ale odskoczył jak oparzony, bo Jan plunął mu w gębę obfitą, gęstą śliną.

— Bładzysynu! Dołożyłbym ci, gdyby nie słowo moje szlacheckie: sto to sto. Postoisz tak do rana, to albo skapiejesz, albo na zawsze odechce ci się amatorów ze szlachciankami. Dałem parol, że rano cię puszczę, i tak będzie, luboś wart pała.

Stołczyzna po nagłym zrywie znowu zwiśł na rękach i głowie, wpuszczonych w wycięcia między zsuniętymi deskami gąsiora. Wyglądał na zmasakrowanego trupa.

Jakimowski, wracając do domu z Eliaszem i Lubą, mówił:

— Klucz od gąsiora biorę. Łotra dozorujcie z bramnej bojnicy. Gdyby kto próbował go rozkuć (może ma kamratów w pobliżu), alarmujcie. A tobie, sukinsynu (tobie, Eliaszu, nie oglądaj się!), też by należało wygarbować skórę, niezguło pioruński!

•—• Jaśnie wielmożny panie, za co? — jęknął Eliasz truchlejąc.

i— Ty dobrze wiesz za co, psi ogonie!

Elias odetchnął dopiero na piętrze bramy, gdy uwolniony od tyrańskiej obecności dziedzica, przez strzelnice obserwował Stoł-czynę. Zamyślony, nie gawędził nawet z rozmieszczonymi po kwaterach bramy żołdatami z obronnej załogi gródka. Aż poprosiwszy jednego z nich o zastępstwo w obserwacji, wybiegł na dziedziniec. Chciał porozmawiać z Magdą, a bojąc się szukać jej na pokojach, by nie natknąć się na pana, w ukryciu oczekiwał jej wyjścia na dwór. Magda pomagała właśnie pannom w toalecie. Miały bowiem z rodzicami jechać po południu z zapowiedzianą wizytą do państwa Smolińskich, przyszyłych swoich teściów. Atoli po silnych przeżyciach dzisiejszych mało sprawne były w przygotowaniach.

Wanda, rozczochrana, zapuchnięta od płaczu, roztrzęsiona,- coraz padała na łóżko zanosząc się łkaniem. Magda długo patrzyła bez współczucia, a nawet z gniewem, na jej mękę. Ujęła ją wreszcie ostro za ramię i spytała na pozór spokojnie:

— Żal ci go?

— Ach, Boże! Jakież to straszne!

— Pomóż mu, wyzwól, uratuj!

— Co ty mówisz, niewiasto?

— Idź, córuchno, obmyj krew, namaść go leczniczym balsamem, szepnij dobre słowo — mówiła żarliwie Magda — a odżyje, dostanie skrzydeł... Idź, idź!

— Ojciec nie dozwoli, zabije!

— Zabiłby może każdego, ale nie ciebie. Oto twoja moc! Weź topór, rozbij gąsior, uwolnij go! Uczyni to, uczyni!

— Zamilcz — krzyknęła Wanda, a rysy jej twarzy zaostrzyły się dziwnie. — Boleję, aliści hańby swej pomnażać nie mogę.

— Okaż serca odrobinę! Jakoż pojedziesz na wesoły wieczór, z uśmiechem dla miłego, gdy Stołczyzna może konać będzie?

Wanda wstała gwałtownie z łóżka. Miała teraz w twarzy coś podobnego do ojca i głos twardy, gdy mówiła:

— Nie mam miłego i mieć nie będę! Pójdę do klasztoru! Mojej woli a postanowienia nic nie zmienia! Tak mi dopomóż Bóg!

— Na to ci ojciec nie pozwoli! — rzekła niańka. — Postanowił i basta! •—• zwróciła się nagle do milczącej potąd Anieli: — A co ty myślisz o tym, do czego nakłaniam Wandzie?

— Szlachcic może się mylić, ale winien umieć z mylnej zawrócić drogi — odparła Anieli z godnością i niebywałą u niej siłą.

Magda zaśmiała się dziwnie, jakoś niepokojąco, i rzekła:

— Zaczynam się was bać. Skoroście tak twarde dziś dla udęczonego człeka, któren miał nieszczęście przestąpić wam drogę, to mogłybyście i mnie okazać to samo, gdybym straciła wasze względy.

Anieli zarzuciła jej ręce na szyję, szepcząc z właściwą sobie słodyczą a przymilnością:

— Ach, mateńko nasza, co powiadasz? Nie Iza tak! Stara szorstko odepchnęła ją i spiesznie wyszła z pokoju. Na dworze natknęła się na Eliasza.

— Czekam na waćpanią — szepnął rozglądając się bojaźliwie. •—• Właśnie wyszłam ciebie poszukać — odparła podając mu małe puzderko. — To medicamen: balsam gojący. Strzegąc gąsiora, przy sposobności namaść onemu biedakowi rany. Podaj mu pić 14*

ukradkiem i jeść, gdyby łaknął. Jeśli z pannami nie pojedę w sąsiedztwo, sama się niebożatką zajmę, kiedy ściemnieje na świecie.

•—• Jak pomyślę, że to panicza brat ślubny, to mi aż dech zapiera — rzekł z przejęciem. — Co by panicz na to? Sochroni Bih!

Odskoczyli nagle od siebie i rozbiegli się w przeciwne strony. Usłyszeli bowiem kroki i głos dziedzica. Szedł od bramy. Magda znikła w sieni domu. Eliasza zaś jakby wrósł w ziemię, struchlał ze strachu, bo Jakimowski przecie odkrył jego nieobecność na posterunku obserwacyjnym w bramie.

— Pomyśluj, Chryste! Spasajcie, wsie swiatyje! — szeptał Rusin. Pan już go dostrzegł. Skinął nań, a w chwilę potem jął okładać pięściami po twarzy, głowie, gdzie popadło.

— Ledwie się odwróciłem, a ten bladziśmyk myk na kominki, na mielenie ozorem jak baba! Ty parchulu! Ty skatino! Niczego powierzyć takiemu nie można, bo okpi i zaniedba. A co będzie, gdy wyjadę z domu? Tatarzynów tu sprosisz, gnyzie!

Odszedł rozwrzeszczany, co zaś żyło, umykało z drogi jak przed dzikim zwierzem. Potulny zwykle Eliasza pogroził teraz za odchodzącym, nie bacząc na donosicieli. Posiniaczoną jego twarz wyraz mściwości uczynił straszną. „Dosyć, dosyć!” — mruczał pacholek.

Zdeterminowany, mało ostrożny, poszedł do gąsiora i namaścił rany skazańca. Potem nazgarniał ziemi pod jego kolana, by nie zwisał, lecz mógł klęczeć, co było ulgą nie lada.

•—• Chcesz pić, jeść?

— Nie — jęknął Stołczyzna.

— Nie lękaj się, panie. Jam ci życzliwy...

Eliasza przeraził się i umknął spod gąsiora, ujrzawszy dziedzica w oknie komnaty córek.

Powrócił na piętro bramy.

Jakimowski wyładował już swoją furię i gotów był niemal wynagradzać pokrzywdzonych. W pokoju zastał samą tylko Aniele. Ta przymilała mu się wielce w obawie przed nowymi wybuchami.

— Gotowieście? — spytał, udobruchany jej uległością i szczebiotem.

— Bez mała. Jenó Wandzia ma jeszcze cos niecoś do zrobienia. —• A kędyż ona? A matka, a Magda, mosterdzieju?

— Jenó ich patrzeć...

Jakoż niebawem nadeszły, ale bez pani Doroty, która, wstrząśnięta wydarzeniami dnia, zamknęła się w swojej komnatce. Aniela czmychnęła w kąć przeczuwając najgorsze rzeczy.

— Czupiradło, jak mi Bóg miły! — wykrzyknął zdumiony Jakimowski na widok Wandy. — Co to znaczy, mosterdzieju? Jak ty wyglądasz? Co wyście robiły tak długo, a? Nuże, śpiesz, bo jedziem!

Wanda podniosła głowę, jakby stawała do śmiertelnego boju.

— Ja nie pojedę, ojczy! — rzekła z taką odwagą, że stary osłupiał. — Nie pojedę ani dziś, ani kiedykolwiek! I najpokorniej błagam, abyś wasza miłość raczył pozwolić mi do klasztoru... Oblicze Jakimowskiego tymczasem nabiegało krwią coraz więcej, co świadczyło, że nowy wybuch może być groźniejszy od poprzednich.

— Co? co? Co ona bresze? — zakrztusił się własnym głosem.

— Nie sądzę, abyś, ojczy, zechciał walczyć z wolą Boga, która mnie do służby Jego powołuje — mówiła dobitnie Wanda.

— Dość! — ryknął. — Powołanie, mosterdzieju! Oh, krew mnie zalewa! Wczoraj miałaś powołanie do łożnicy, a dziś już do bożnicy, tak? Cha-cha-cha! Ubieraj się! •— powoli stąpił od okna ku niej, a ona cofała się do drzwi, Aniela i Magda zaś stały osłupiałe u łoża. — Masz być gładka, strojna i uśmiechliwa, jako zawdy bywałaś na festynach! Spiesz się! Czekam jeno kwaterę czasu!

Ale to była nieodrodna jego córka i nieodrodna siostra Marka, który miał żelazną wolę. Przestała się nagle cofać i stanęła twarzą w twarz z tyranem.

— Nie! — rzekła niewzruszenie. — Łamiesz, ojczy, wszystkich, aliści mnie nie zdołasz. Ja za mąż nie wyjdę! Nie poślubię nikogo okrom Chrystusa Pana!

Runęła na podłogę, ugodzona pięścią na odlew. Zerwała się jednak i krzyknęła:

— Przysięgam, że nie poślubię nikogo!

W ślepej furii rzucił ją na łożo. Lubo Aniela i Magda błagały go o zmiłowanie, odciągały, wyjął zza pasa batog, którym bijał służbę a poddanych i począł ją nielitościwie smagać.

—• Pachołki, do mnie! — ryknął.

Gdy z ociąganiem weszli, wskazał Wandę i polecił:

— Związać i wrzucić do kocza, którym zaraz wyjeżdżamy! Jak naJrychlej wszystko ma być gotowe do wyjazdu! Nuże!

Zdumieni pachołkowie nie śmieli wykonać polecenia, równocześnie bojąc się pańskiego gniewu.

— Nuże! — huknął ponownie, co wnet poskutkowało. Związali dziedzicównę i wynieśli z komnaty.

—• Nie chce po dobrowoli, musi po niewoli! Luba! Bywaj! Sługus wpadł tak rychło, jakby za drzwiami czekał na wezwanie.

— Gotowe?

— Gotowe, wasza wielmożność!

— Ruszamy! Ty z nami i Magda. Olga i Eliasza zostają. Obaj z Anielą wyszli, a Magda jęła ubierać się spiesźnie.

— Boże! Boże! — jęknęła ta silna istota. — Co z Wandzią uczyni ten dziki zwierz? A co z onym biedaka?

Po wyjeździe Jakimowskich zapanowało w grodku uczucie ulgi. Eliasza wymknął się ze strażnicy i pobiegł do Stołczyny.

— Wieczorem uwolnię waszmości — zapowiedział.

Jakoż o zmroku, tuż przed zaciągnięciem zwołu, z toporem wyszedł kryjomo za wały i fosę. Gdy przebrzmiało zgrzytanie wrzeczadźców podnoszących most, jął bez zwłoki rozrywać przyniesionym narzędziem gąsior tak ostrożnie, że ledwo błąhy odgłos było słychać. Rychło też uwolnił skazańca. Ale Jan leciał przez ręce, nie mógł ustać na nogach. Eliasz raźnie dźwignął potężnego bosmana i wziął go na plecy.

— Zali masz, panie, blisko jakieś schronienie, przyjaciół? — spytał. —• Nie bój się, wasza mość, wyznać, bom ci życzliwy.

— Idź tedy na wzgórze wedle Zakłętej Bałki.

Podczas marszu Jan stękał z bólu za każdym niemal stąpieniem, broczył krwią. Chwilami cichł, jakby wydał już ostatni dech.

— Stój! — warknął nagle ktoś ukryty w zaroślach na stoku wskazanego wzgórza, a po chwili kilku zbrojnych ludzi otoczyło idących. — Ktoś zacz i co niesiesz? Boże! Toż Stołczyzna!

— Jam jest — jęknął Jan.

Wśród zarośli, na miejscu osłoniętym ze wszech stron ogromnymi głazami, płonęło ognisko. Koło niego ułożono Stołczynę na drogich materiałach wyjętych z juków i wygodnie usłanych. Mógł leżeć tylko na brzuchu. Posiłony strzępką pieczonego mięsa i łykiem wina, orzeźwiony wodą, którą umyło jego zgorączkowane ciało, odpocząwszy na miękkim posłaniu, zmocniał, rozejrzał się rażniej.

— Co to wszystko znaczy? — spytał Skoruta.

— Stare porachunki! — odparł Jan. — Ot, po prostu zmógł mnie mocniejszy przeciwnik.

Towarzysze, ogromnie ciekawi, chcieli go dopytywać, ale zapadł w sen ciężki czy majaczenie. Rosnąca gorączka zabarwiła jego twarz purpurą. Pojękiwał, rzeził, wymawiał jakieś imiona.

Eliasz pojął, że życzeniem Stołczyzny jest utrzymać w tajemnicy przed druhami zajście w grodku. Toteż daremnie go wypytywali.

— Skoro jegomość Stołczyzna, terańszy mój pan, nic wam nie wyjaśnił, to co ode mnie chcecie? — obruszył się w końcu.

— Twój pan? A skądęś ty?

— Ja tutejszy, ale z jegomością znamy się dawno. Ktoś znający się na ranach musi opatrzeć jegomości. Trza go zanieść do futoru Prokopiuków i Bondareńków, niedaleko: tam poradzą.

•— Znasz Prokopiuków? — zdziwili się Karmanczukowie.

— Ja się z tutejszych Kozaków wywodzę —• odparł z dumą.

— O! tośmy druhy! A może krewni?

Wdali się wnet w kozackie rodowody i dogadali wielu wspólnych pokrewieństw, powinowactw, znajomości, powiązań...

W kolebkę, sporządzoną z kijów, rzemieni, opróżnionych ze zdobyczy juków skórzanych, a zawieszoną na pasach między dwoma końmi i wymoszczona miętko, włożyli Stołczynę, za czym wolno pociągnęli ku rzeczonemu chutorowi. Ponieważ jednak ranny bardzo cierpiał przy wstrząsach, zaraz ponieśli kolebkę ostrożnie sami.

W chutorze zółciało migotliwym światłem jedno okienko — znak, że nie spano tam jeszcze.

— Kozaki na „uchodach”, Kozaczki jeno z dziećmi doma ostały — mówił Eliasz. — Bramy na noc zawarte, a i baby nie gorzej chłopów wygarnąć potrafią z samopałów czy garłaczy. Trza politycznie kołatać, by siekańca nie dostać w gębę.

Przez okutymi wrotami ostrokołu otaczającego zabudowania futoru rzuciły się na nich ze wściekłym ujadaniem psy. Wewnątrz ogrodzenia zawtórowały inne. Przybysze ledwo się mogli im ognać, - Hej! Liudi! Liudi! — zawołał Eliasz. — Wpustyte nas!

Powtórzył wezwanie po kilkakroć. W końcu zza wrót ozwał się głos niewieści, który chwilę uspokajał psy, nim zapytał:

— A chto tam?

— Ce ja, Eliasz Zaruba! Otwórzcie, Marfo!

Wrota otwarły się przed przybyszami. Ukazała się Marfa z zapaloną pochodnią w dłoni oraz jej matka, Oksana Bondarenko, znana w okolicy baba powitucha 1, i świekra, Jewdokia Prokopiuk.

— Szczęście, szczo my was wpustyły 2.

— Acz! Siromacha! Win achaje! — Szczo ce oznaczają? — szepnęła Marfa. — Chto win?

— To mój pan: służę teraz u niego — odparł Elias. — Uchodzę właśnie od ludojada (niech go mór udusi!)

Weszli do wielkiej, oświetlonej łuczywem izby, stanowiącej lewą część kuczy zbudowanej z nie obłupionych z kory bierwion. Tutaj towarzysze ułożyli Stołczynę na pryczy pokrytej wilczura, sami zaś posiadali, gdzie popadło.

— Głodniście? — spytała Jewdokia.

•— Nie, matko — odparł za wszystkich Zaruba. •— Szukamy jeno schronienia przed wściekłym wilkiem i sposobów na zakłu-cie go.

— Snadź mocno cię kłem zawadził, synku...

— Mnie i tego człeka. Ratujcie nieboraka, bo źle z nim! Oksana i Jewdokia wyszły po przybory do opatrunku, a Marfa z kagankiem pochyliła się nad Stołczyną, by mu się przyjrzeć. Gdy światło padło na przekrzywioną do środka izby twarz chorego leżącego na brzuchu, wyprostowała się nagle i szepnęła zmieszana: •— Toż to druh młodego Jakimowskiego! We trzech tu dc~ kazowali.

•— Zgadłaś —• przyznał Elias. — Dobrze masz oczy.

Stołczyną ocknął się nagle i zapytał jękliwie:

•— Gdziem ja jest?

•— Bądź spokojny, panie. Zaczne a znające niewiasty wykurują waszmości — odparł Elias. Jan spojrział na Marfę i poznał ją. Na wspomnienie doznanej 1 Powitucha (ukr.) — położna.

2 Szczęście, żeśmy was wpuścili.

3 Patrz! Biedaczysko! On jęczy!

4 Co to znaczy?.. Kto on?

krzywdy taka boleść ścisnęła mu serce, że musiał odwrócić twarz do ściany, by ukryć łzy, których nie mógł powstrzymać.

Niebawem Oksana z pomocą Marfy i Jewdokii opatrzyła Stołczynę, nakarmiła go i napoiła. Zabiegi te przyniosły mu ulgę a pokrzepienie. Niedługo po nich znowu zapadł w głęboki sen. Tymczasem wszyscy pożywali z wolna wieczerzę.

Marfa i chuda Jewdokia siedziały milczące. Natomiast Oksana, zażywna, urodna jeszcze baba czterdziestokilkoletnia, rozgadała się na dobre, susząc nawet do przybyszów zęby. Rozmowa toczyła się w dziwacznej gwarze polsko-ruskiej, albowiem Skoruta, Łako-miec ni Safian języka ruskiego prawie wcale nie znali.

— Wy, panie, jakiś między nami obcy — zwróciła się Oksana do małowóznego Skoruty. — Warn chyba proste ludzie niemiłe, co?

—• Pan Skoruta szlachcic •—• odpowiedział Daniło.

— O! — mruknęła zaniepokojona.

— Jam szlachcic, ale z tych, co z Kozakami „chadzki" odprawują na pohańca. Nie bójcie się więc, matko.

•— A jakąż ja wam matka, panie? — obruszyła się. — Przecie ja niedawno Kozaka ślubnego miała, któren nie był starszy od waszmości, a ninie mi swatają nawet młodsze.

t— A gdzież to wasi Kozacy? — spytał raptem Skoruta.

—• Gdzież zaś mają być? Skoro im teraz do wojska zaporoskiego zaciągać się trudno, to na „uchodach" łupu chłopskiego szukają. I my, baby, nieraz tam do nich przymknem (bo niedaleko), by się im, siromachom, nie cniło i bałamuctw grzesznych nie chciało.

Zaśmiali się wszyscy gromko, lubo im potąd markotno było.

— Już wkrótce na zimowniki wrócą — ciągnęła. —• Niniejszego roku Kozaki tutejsze, barskie, bliskich się okolic trzymają, bo przecie od wiosny wojnę czują, na którą mogą być przydatni.

Po długim namyśle Skoruta nachylił się do Eliasza i szepnął:

— Ty potrzebujesz zemsty i my potrzebujem. Trzeba nam onych Kozaków czy nawet chłopów wójtostwa jottuszkowskiego skrzyknąć...

— Jej Bohu, tak jest! — zgodził się skwapliwie Zaruba. Skoruta, wyłudziwszy od Eliasza prawdę o przygodzie Jana w grodku, wstał nagle z zydła i stojąc rzekł bez wstępu:

- Potrzebujem znacznej siły, bo zamierzamy dokonać krwawej pomsty na wójcie Jakimowskim w jego własnym gnieździe. Mamy z nim porachunki. Tak samo, jak wy.

— Tu wszyscy wrą: Kozaki, chłopci, mieszczuchy — dodała Oksana.

— Śmierci na niego nie ma — rzekła Jewdokia. — To już takie nasienie. Jego syn... — urwała nagle, bo Marfa zgromiła ją wzrokiem, nie chcąc mowy o Marku i sobie.

— Gdyby nie kasztel •— rzekła zarumieniona po same platynowe włosy, spiętrzone nad czołem — potańcowałyby ze starym Jakimowskim Kozaki i chłopcy, oj, potańcowałyby!

••• I na kasztelu potańcujem •— zapowiedział Skoruta. — Ale do tego potrzeba nam pomocy Kozaków i włościan.

Naradzali się do późna w noc. A potem Marfa, Karmanczukowie i Skoruta konno pognali w szarzejącą już brzaskiem ciemność.

Gdy rozedniało całkiem, obudził się Stołczyzna. Kuracja Kozaczek i sen przyniosły dalszą ulgę a wzmocnienie jego obolałemu ciału. Ale natrętne wspomnienia doskwierały srodze. Jedynie zemsta uśmierzy ten straszny ból. Krew Jakimowskiego będzie najskuteczniejszym balsamem. Zebrać watahę, spalić grodek, starego obłupić ze skóry, baby sprzedać bisurmanom w Kizi--Kermen czy Tehini... Zemsta lepsza niż driakwie i zaklęcia znachorów... Atoli myśl o Marku odbierała smak pomście. Marek przecie nic nie winien. Doszłoby może do śmiertelnej walki między braćmi ślubnymi, związanymi krwią i miłością. Bo Marek nie zrozumie czyjejś krzywdy i z bólu wynikłej pomsty. Uciekać stąd przeto, by przekłete miejsce nie kusiło do czynów nieobliczalnych...

Rozejrzał się po ścianach zawieszonych rozmaitym orężem i trofeami myśliwskimi, po zasłanej słomą polepie, na której chrapali jeszcze Eliasza, Kuba i Tomek. Ruchy sprawiały mu ból. Próbował wstać, usiąść, odwrócić się na bok —• daremnie: to było zbyt bolesne. Ale jego usiłowania obudziły śpiącego najbliżej Eliasza.

— My w chutorze Marfy? — szepnął. — Kędy reszta naszych?

— Ot, udali się na przejażdżkę z Marfa.

Jan poprzestał na tej dziwnej odpowiedzi. Na domiar przyszły z opatrunkami i śniadaniem stare Kozaczki, przebudzili się pod-górzanie — wynikała krzątanina, rwetes. Po zabiegu zaś i posiłku Jan, wyczerpany zbyt wielkimi na jego siły trudami, znów usnął.

Obudziła go daleka strzelanina, gdy w otwarte okno zaglądało ukośnie zachodzące słońce.

Na słomie już nikogo. W domu głucha cisza, jakby nie było żywego ducha. Stołczyzna poczuł się niesamowicie. Po przerwie strzelanina wzmogła się. Grzechot samopałów i rusznicy przeplatały potężniejsze huki.

— Hej! Ludzie! •— krzyknął. Milczenie.

— Hej! Jest tam kto?

Milczenie. Gdzieś poza ogrodzeniem chutoru czekały psy.

— Hej-tam! — krzyknął po raz trzeci. Żadnego odzewu...

Zaszło już słońce. Ściemniało się coraz bardziej.

Z niesłychanym wysiłkiem zwłóknął się z barłogu. Doznał zawrotu głowy, nogi ugięły się pod nim: opadł na ławę podług stołu. Odпочawszy ponowił próby. Czepiając się sprzętów doszedł do okna. Stąd widać było tylko burzany na stoku wzgórze, w które wrósł chutor, w dole Ladawe i za nią błonia ograniczone wzniesieniami i gęstniejącą ciemnością, posrebrzoną

księżycowym światłem. Wszedł więc na dwór i trzymając się ścian, a potem płotu, dotarł do wrót otwartych na ścieżaj, nie atakowany przez psy. Z drogi okalającej futorowe wzgórze ujrzał w dali fortalicję Ja-kimowskich, rozblaskującą wystrzałami. Wokół niej ciemniała ruchliwa ciżba ludzka, od której ku grodkowi również smużyły się strzały.

Jan z największym mozolem szedł w tamtym kierunku, opierając się o krzaki, drzewa, głązy. Wkrótce jednak, opadłszy z sił, musiał usiąść. Domyślając się w napadzie na grodek pomsty swych towarzyszy, doznawał złożonego uczucia: obłudne zadowolenie z ich żywiołowej wyręki oraz trwoga o Wandę mimo jej przenie-wierstwa.

Postyszał nagle ciężki tętent konia, po czym ujrzał kłusującego Skorutę, wiozącego przed sobą na siodle coś wielkiego.

— Ty tutaj, na Boga! — zdumiał tenże zeskakując z konia, potem zdjął z kulbaki toból i złożył go na ziemi u stóp przyjaciela. — Patrzaj, com ci przywiózł! Zaczna zdobycz!

— Na rany Chrystusa, coś ty zrobił? — szepnęła Jan osłupiała. — Dopełń zemsty! Spiesz się! Tam kasztel, dobywaj ją!

>„Zdobyczą” była Wanda Jakimowska, związana powrozem, półżywa.

Strzelanina trwała. Część gródka zajęła się już ogniem.

— Powstrzymaj ich! — wezwał Jan, wstając z nadludzkim trudem.

— Nie mogę — odparł Adam. — Dałem wprawdzie hasło, ale oni wzięli wszystko w swoje ręce. Gdym pojmał idącą polem dziewczkę — wskazał Wandę — mniemałem, że cię to usatysfakcjonuje i chciałem poniechać natarcia. Za późno. Ster uchwyciły inne dłonie. Spazmatyczny szloch zatrzęsł ciałem Wandy. Nie ozwała się jednak żadnym prosielnym słowem.

— Eozwiąż ją! — polecił Stołczyna.

Adam uczynił zadość temu żądaniu, za czym posadził ją. Siedziała kamiennie, wpatrzona w pożar huczącego palbą domu rodzinnego.

Strzelanina trwała. Zapowiedź zdobycia gródka nie spełniała się jakoś. Płomienie migały w jednym rogu kasztelu.

— Bóg mi świadkiem, zem nie chciałem zrazu napaści na dom szlachcica, bo samem szlachcic — rzekł Adam z żalem. — Aliści później zapragnąłem cię pomścić, Janie, gdyż cię miłuję.

Wanda spojrziała nań tak wymownie, że mimo mdłego światła księżycowego dostrzegł w jej twarzy i oczach bezbrzeżną pogardę.

Nagle strzelanina ustała.

•— Już chyba po wszystkim — mruknął Adam.

Łkanie zatrzęsło znowu Wandą. Widać było, że walczy z nim, nie chce przed wrogami okazać słabości.

Skoruta zasłuchał się w zapadłą właśnie ciszę... Aż ukląkł i przyłożył ucho do ziemi.

Nadśluchiwał długą chwilę. Rozróżniał dość bliski tętent koni biegnących gromadnie w różne strony i dalekie, regularne dudnienie. Domyślił się, co to znaczy.

Raptem przycwałowali z dołu Safian i Łakomic. Skoruta wziął ich na stronę, by Wanda nie słyszała rozmowy.

••— Rozpirzgo się sytko — rzucił Kuba wylękły. — Uciekajmy!

— Jak to?

— Ano zwiady dały znać, że wielgie wojsko od Baru następuje i jego podjazdy o pół mili stąd. Przeto chłopcy, ze tutejse, po norach się kieby mysy pokryły. Dwór zaś w połowie ino zgorzał.

— No, a co z Marfą, Eliaszem, Karmanczukami?

— Usły kajś sytkie, a Marfa nawet z dzieckami i famielią...

Wysławszy obu chłopów do futoru po wóz dla Jana i Wandy, Skoruta wrócił na poprzednie miejsce. Szeptem zdał druhowi sprawę.

— Wstawaj, waćpanna! — polecił Wandzie. •— I marsz z nami! •— Nie! Poniechaj! — zawołał Jan, a przełknąwszy z trudem ślinę, przemówił do dziewczyny: — Jesteś, waćpani, wolna. Idź doma, nic tam już nie grozi... •— wzruszenie odebrało mu głos.

— Niechże cię! •— mruknął zdziwiony Adam.

Wanda, nie spojrzawszy na nich nawet, bez słowa podzięki, jęła z podniesioną głową zstępować z góry w jar, którym dojść mogła do domu, gdzie pożar już małał, gaszony usilnie przez obrońców. Jan długo wiódł za nią oczyma, aż znikła w mroku.

— Twarda sztuka •— ocenił Skoruta.

Podjechał wóz, dwukonny, szeroki i wymoszczony. Ułożono na nim do cna wyczerpanego Stołczynę wśród tobołów zdobycznego dobra, Łakomic zasiadł powozić, Safian i Skoruta wiedli luźne konie.

— Jazda! —• skomenderował Adam.

Jan uniósł się na rękach i spojrzął na pożar. Zobaczył Wandę widoczną na tle ognia. Opadł z jękiem na posłanie.

XV Po odjeździe Marka do Jołtuszkowa wojska rozłożyły się na nocleg między Snitkowem a Łuczyńcem.

Satanowski bardzo był niespokojny o druha, by nie- zdezerterował. A hetman wydał surowe zarządzenia i profos czuwa.

Wokół było gwarno i wesoło, jakby w czasie popisu wojska, nie zaś pochodu na wojnę ze strasznym wrogiem. Żołdaci tu a tam grali na teorbanach, gęślach i fletach, śpiewali.

Gdzieniedzie brzmiały nawet śmiechy niewieście — żon rycerzy i gamratek, ciągnących za wojskiem mimo zakazów dowództwa. Między ogniskami, tchnącymi żarem i wonią warzonej strawy, przemykali się ordynansi z rozkazami i służbowi strzegący ładu na postojach.

Noc sierpniowa była czysta, wysoka, rozgwieżdżona.

Z wolna obóz przysnął, ale Stefan nie zmrużył oka.

Doczekał się wreszcie powrotu druha. Gdy pachółkowie odprowadzili konie do chorągwaniej zagrody, Marek legł na trawie koło Satanowskiego owiniętego w burkę.

— Wielcem rad z ciebie — szepnął Stefan. — (3o w domu?)

— Trzasnąłem drzwiami i oto jestem — odparł Jakimowski.

— Jak to? Powadziłeś się z ojcem?

—• Ach! gdyby to nie ojciec, zabiłbym go i dwór spalił!

— Co ty mówisz, bracie?

Jakimowski długo milczał, zanim podjął rozmowę na nowo. Opowiadaniem o zajściu między ojcem a Stołczyną wprowadził druha w osłupienie.

— Potem Jan skrzyknął watahę. Napadli dwór i podpálili. Ale ich nasze wojsko spłoszyło, więc w części jeno zgorzał. Jeszcze się we mnie wszystko trzęsie! I Eliasza ojca zdradził, i inni. Gdybym Eliasza złapał, na pal bym go nawlókł!

•— Za co? — spytał surowo Stefan. — Ty wiesz najlepiej, ile Eliasz wycierpiał od twojego rodzica. Ani mu się dziwię, że pomsty szukał. Ty i Jana potępiasz za odwet, co?

Jakimowski nie odpowiedział wprost:

•— Jan winien od razu wyznać nam, jakiego jest stanu.

—• Nie wiem, czy winien, ale wiem, że strasznie pokrzywdzon. Gdybym mógł, odszukałbym go, bo przecie daleko od Jołtuszkowa nie odbieżał, i niósłbym mu wszelaką pomoc.

— Nawet w najściach na dwory, co?

— Ja ciebie nie pojmuje! Raz jesteś sprawiedliwy i powiadasz, że u ciebie cnota miernikiem człowieczeństwa, innym, razem zachowujesz się tak, jakbyś stał po stronie krzywdzicieli.

— Zali można dziwić się tak bardzo, że ojciec, szlachcic dobrego rodu, odrzucił konkury chłopca do córki? — wybuchnął Marek. — Wielu obywateli, nawet sprawiedliwszych,

uczyniłoby to samo. Ja co innego: gotów bym poślubić plebeankę, aliści innych", którzy swój szlachecki stan szanują, rozumiem.

— W tobie, bracie, różności zmieszane jak w czarnoksięskim tyglu. Nie dysputujmy. Ale mówię: Jan doznał strasznej krzywdy. Jeśli przeżyję wojnę, odszukam go i nigdy nie odstąpię.

— I jam to gotów uczynić! Rozmawiali do samej niemal pobudki.

Zagrały trąbki, zagrzmiały komendy. Wojsko ruszyło w pochód.

\
Szlachcic Piotr Sielecki, który w marszu i na postojach sąsiedował z Markiem a Stefanem, wyjawiał im wiadomość:

— Pono Tatarzy niedaleko: pod Czernijowcami. Powiadają ludzie, że na zgubę hetman wojsko wiezie.

— Może i na zgubę — mruknął ponuro Jakimowski. Ten nieuzasadniony brak wiary oburzył Stefana.

>— Niech każdy tak myśli i gada, to żeby nas pół miliona było, przegramy. Hetman bijał nie takich wrogów, jak Iskinder.

Po kilku dniach pochodu wojsko Żółkiewskiego połączyło się z hufcami hetmana polnego Koniecpolskiego i prywatnymi chorągwiami panów. Daremnie wyglądano znaczniejszych sił kozackich.

Na radzie wojennej Żółkiewski zapowiedział przeniesienie wojny do Mołdawii oraz udzielenie pomocy wojskom hospodara Gracjana.

Zapowiedź ta wywołała niezadowolenie panów wiodących prywatne zastępy, zwłaszcza osobistych wrogów kanclerza, jak księżę Samuel Korecki, starosta kamieniecki Walenty Kalinowski, starosta halicki Stefan Chmielecki, starosta chmielnicki Mikołaj Struś i inni.

— Korzyści z walki w obcym kraju są oczywiste — mówił Żółkiewski. —• Zostać tu, rzecz bardzo niebezpieczna. Albowiem nęciłaby żołnierza nieświadoma nadzieja ucieczki, dająca do niej po-chop. W razie naszej klęski za Dniestrem, skutki jej będą mniejsze. Postaramy się jak najbardziej przedłużyć walkę, aby tymczasem Rzeczpospolita przygotowała odpowiednie siły. Bogu jeno wiadomy wynik tej wojny. Jeżeli niepomyślny, spełni się to, cze-gom zawsze pragnął: polegnę za wiarę świętą katolicką, za króla i ojczyznę!

Po krótkiej dyskusji rada uchwaliła wkroczenie do Mołdawii.

Mimo różnych złych pogłosek wojsko maszerowało ochoczo i było dobrego ducha. Polakom nie nowina — rozumowano — zwycięskie walki z przeważającymi siłami nieprzyjaciela.

Wojsko było niewielkie, ale znakomite i pod świetnymi dowódcami. Husarię wiedli mężczyźni rotmistrze: Wrzeszcz, Kowalkowski i Goślicki. Artylerię — wytrawny pułkownik Teofil Szembek. Piechotą dowodził pułkownik Waldemar Farensbach. Rajtarią — młody zapaleniec Herman Denhof. Pod komendą Kalinowskiego i Chmieleckiego szli Kozacy. Lekką jazdę lisowczy/ków, którzy przemierzali w bojach Europę aż do Francji, prowadził pułkownik Walenty Rogawski. Szły też chorągwie panóyy, . męźnych, ale niesfornych wojenników. Doborową armię prowadzili dwaj wodzowie, z których jeden ustępował już z pola/chwały, drugi był wschodzącą dopiero gwiazdą.

Przeprawa przez Dniestr, trwająca dwie doby, nie była uciążliwa przy niskim podczas upalnego lata stanie wód.

Na ziemi mołdawskiej zaniepokoił wszystkich brak obiecanych przez hospodara posiłków wojskowych. Na domiar przyszły wieści o wymordowaniu Turków przez gawieź uliczną w Jassach, o ucieczce Gracjana do Chocimia i rozsypce wojsk mołdawskich. Ale że na wezwanie hetmana hospodar przybył do hufców polskich, to chociaż wiódł zaledwie kilkuset żołnierzy, przyjęto go z zadowoleniem. Maszerujący w straży przedniej lisowczycy natknęli się na luźne czambuły tatarskie i znieśli je w kilku utarczkach.

— Twierdziłeś, wasza książećca mość, że Tatarów nie ma w armii Iskinder-baszy — wyrzucił Gracjanowi Żółkiewski.

— Drobne jeno oddziały krymskie i nogajskie idą z Turkami — odparł wystrachany gospodar.

— Wydałem uniwersały do poddanych waszej książęcej mości, wzywające ich pod broń. Nie ma odzewu.

— Ja takż wydałem. Wkrótce zbiegną się tłumnie tutaj.

Po dziesięciu dniach marszu przez gospodarstwo armia polska wieczorem stanęła w starym obozie, założonym ćwierć wieku temu przez wielkiego Jana Zamojskiego. Na jednym z załomów Prutu połączył wtedy Zamojski wygięcie wałem długim na ponad dwie wiorsty. Uformował w ten sposób dogodny obóz o powierzchni bez mała dwu wiorst kwadratowych, osłoniony ze wszech stron: rzeką i wałem. Wewnątrz obozu było i pastwisko dla koni, i opał a budulec na szałas, brzegi Prutu bowiem porastał las. Równina przed wałami sposobna była dla działań jazdy. Drugą zaletę stanowiła krótka linia obrony: wałów. Atoli dalszy obszar za równiną, góry Kodra, pozwalał nieprzyjacielowi kryć swe siły i zamiary.

Kilka dni wojsko naprawiało wały. Lisowczycy obozowali jeszcze na zewnątrz, penetrując znaczne obszary. Czeladź w liczbie około tysiąca ludzi zdobywała w okolicach żywność i paszę. Aż tu strażnik wojsk Odrzywolski, wróciwszy z podjazdu, zameldował, że już nadchodzą Tatarzy, a Turcy są o pół dnia drogi. Żółkiewski więc rozkazał dać ognia z dział na alarm dla czeladzi. Ale ostrzegawcza kanonada okazała się spóźniona. Zza wzgórz wychyłała ćma tatarska i rozlewała się coraz szerzej.

— Nie mamy już dziewięciu tysięcy żołnierza, mamy osiem — rzekł z goryczą Żółkiewski.

— A to dlatego, że rozkazy moje nie zostały należycie spełnione.

Kniaź Korecki nachylił się z siodła do Kalinowskiego.

— Do różańca czas, a nie do buławy — szepnął zjadliwie. — • Do truny! — wtrącił nienawistnie Struś.

— Iskinder-basza ma wszystkich wojsk nie więcej niż dziesięć tysięcy — zaręczał gospodar. Żółkiewski odpowiedział mu szeptem, by nie słyszeli inni:

— Radzę nie przewidywać. Żadna z obietnic i przepowiedni waszej wysokości jakoś się nie spełnia.

W rozbieganych oczach Gracjana zamigotały złe ognie.

Tatarzy zuchwale podchodzili pod same niemal okopy polskie, miotając chmury strzał. Nic złego one nie uczyniły, ale rozdrażnieni żołnierze gruchnęli siekańcami, z muszkietów i łuków tak skutecznie, że pohaniec, zostawiwszy poległych, cofnął się z pola ostrzału.

Rozgrzani żółkiewszczycy chcieli dosiadać koni i gnać „sprośnych mahometów”. Ledwie ich dowódcy utrzymali w ryzach.

Już o świcie nazajutrz jęły od północo-wschodu nadciągać zastępy tureckie. Na północ od obozu polskiego mrowiły się ordy.

Z okopów skoczyło na ochotnika wielu harcowników. Kto z bi-surmanów odważył się chwatom owym stawić czoła, ginął, w szermierce bowiem Polacy nie mieli równych sobie. Skoczył nawet kniaź Korecki. Poszybował porucznik Złotopolski. Wielkie wśród pogan czynili spustoszenie. Aż i Satanowski runął na harcowników bisurmańskich. Pomknął mu na pomoc Jakimowski. Niby ogromny ptak przeleciał pole i zdejmował w locie pohańców z siopeł niczym kukły. Zanim dobiegł, Stefan szablą wyrąbał sobie drogę powrotną przez całą watahę, obalając konie, strącając 2 kulbak ludzi. Jakimowski nie poprzestał na rozproszeniu gromady. Zapędził się ku kolumnie tureckiej i urwał z niej oficera 15 — Kawaler złotej ostrogi janczarów. Wytrąciwszy mu w potyczce oręż, chwycił Turka wpół, przerzucił go przez siodło i umknął ku wałom. Turcy puścili się w pogoń, gdy wpadli na nich lisowczycy i/jęli ich siekać. Aż i gromady całe wyskoczyły z za okopów, aż i całe chorągwie.

Marek oddał jeńca swym pachołkom, którzy' towarzyszyli mu w harcach, a sam rzucił się w wir tłumnej walki. Miał teraz koło siebie Stefana i Sielickiego, a cała trójka walczyła między lisow-czykami pod komendą pułkownika Rogawskiego.

Do zmierzchu Polacy wyparli bisurmanów za góry okalające równinę cecorską. Zapędziliby się jeszcze dalej. Ale w obozie zabrzmiały trąby na znak do powrotu. Rycerstwo niechętnie schodziło z pola, przerywało zwycięski bój, sarkając na dowództwo.

W obozie Jakimowski przekazał swego jeńca profosowi.

— Dostojny pan kanclerz raczy wzywać asana — oznajmił tenże.

Żółkiewski bez żadnych ceregieli przyjął Marka, jeszcze nie ochędżonego, zbryzganego krwią, zavalanego błotem.

— Dokazywałeś mężnie, mówiono mi — oświadczył. — Chwat z ciebie, mospanie! Jeśli Bóg pozwoli wyjść z tych terminów, nie zapomnę o nagrodzie. Biorąc w niewolę tureckiego oficera, pomnożyłeś wieści o nieprzyjacielu... A jak wojsko? Rade z potyczki?

— Szemrzą ludzie, że im pohańca gnać nie pozwolono.

— I na to przyjdzie czas. Oby jeno wytrwali w tym duchu! Rad jestem z ciebie, synu. A niesnaski puśćmy w niepamięć. Idź, chłopcze, i odpoczywaj póki czas: ciężkie nas trudy czekają — zakończył hetman z niebywałym u niego ciepłem.

Marek wyszedł z kwatery wodza, ujęty jego ludzkością i łaskawością. Niechęć do „kulawego pokurcza” znacznie zmalała. Nie potrafiłby już nazwać go, nawet w duchu, tak obelżywym mianem.

Z zeznań oficera tureckiego, pojmanego przez Marka, dowiedziano się, że armia bisurmańska liczy pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

Żółkiewski ze spokojem traktował tę liczbę. W poufnej rozmowie z Kurzańskim wyraził troskę o co innego.

— Bisurmanie mają sześciokrotną przewagę nad nami — powiedział. — Bywały większe... Pragnę przed jeneralnym bojem wyczerpać przeciwnika uporczywą obroną obozu, złamać go na duchu, zmniejszyć przewagę liczebną urywaniem całych zastępów z jego wojsk, aż i walnie nań uderzyć. Jeśli go nie pokonamy, nasza klęska, przeciągana jak najdłużej, pozwoli Rzeczypospolitej zebrać siły. Zanim poginiemy, opatrz się ojczyzna. Lękam się jednego. I zapal wojska niby jest, i panowie niby ugięli karki. Ja jednak czuję coś niedobrego. Niechęć wrogich mi panów przenosi się w szeregi wojska. Musimy offensive działać, aby się karność nie rozprzegła. Jutro uderzym. Trzeba zarządzić szyk wojska.

— Co do niesfory panów, to ci przypomnę: masz prawo miecza w stosunku do podkomendnych w bitwie — rzekł Kurzański.

— O, Jezus-Maryja! — przeraził się hetman. •—• Ale nie w stosunku do magnatów, wolontariuszy. Gdybym choć jednemu uciął łeb, toby mi się wojsko rozleciało na cztery wiatry, a ja sam nie miałbym już po co doma wracać. Toż król Stefan, potężny monarcha, a ledwie wygrał ze zdrajcą Samuelem Zborowskim, którego jemu, świętej pamięci Zamojskiemu i mnie do dziś wypominają.

Niebawem starszyzna jęła schodzić się na radę.

Wszyscy byli wyjątkowo zgodni co do planu jutrzejszej bitwy, zaproponowanego przez kanclerza. Nawet tacy wrogowie Żółkiewskiego, jak Korecki, Kalinowski, Struś. Ta zgoda niepokoiła doświadczonego statystę: mogła kryć jakieś niebezpieczeństwa.

— Mości panowie! — wzywał. — Plan bitwy, stwierdziliśmy, jest doskonały. Aliści jej wynik zależy od ścisłego wykonania tego, cośmy tu uchwalili. Każde uchybienie grozi klęską.

Mimo nocy obóz nie spał. Między namiotami i szałasami zbierały się gromady rycerstwa, przy ogniskach burzliwie rozprawiano o bojach minionego dnia, nad ranem doszło do istnych wieców.

— Powinniśmy dalej gnać psubratów! — gardłowano. — Ma-myż czekać, aż nas wybiorą niby raki? A jeżeliśmy słabi, to po co tu leżliśmy? Kto nas przyprowadził?

— Wiadomo kto!

— Gnuśnych wodzów nam nie trzeba! Drugi Orynin urządzają!

— Precz z niedołączkami!

—• Do hetmana, mości panowie!

— Do hetmana, panowie bracia! Ochotę naszą okazać! Piotr Sielecki wezwał Marka i Stefana do demonstracji pod namiotem Żółkiewskiego.

— Szablą należy brzęknąć! Niech wiedzą wodzowie, czego nam trzeba! — wołał. •—
Chodźcież, bracia, ze wszystkimi!

— Panie Sielecki! Jeśli żołdat sejmikuje, żadne dla mnie tako15*

we wojsko! — odparł surowo Satańowski. — Sam to i owo mam do powiedzenia, ale poczekam na sejmik albo inna'okazję. Jam żołdat z profesji: dyscyplina u mnie grunt.

— Nie to nie! — pysknął Piotr. — Sam idę! Trzeba rozruszać starego, by stawał jako niegdyś pod Rewlem czy Kłuszynem.

— A ja idę! — zawołał przekornie Jakimowski.

— Stój! — krzyknął Stefan chwytając druha za rękaw. —• Za-liś całkiem zwarcholał przez te dwa roky? Jak ci nie wstyd bratać się w haniebnym procederze z pieniaczami? Zawdy utrzymujesz, że lubisz ład żołnierski, subordynację. A ninie co robisz?

•— Puść, do pioruna!

Stefan puścił Marka. Chwilę stał. Ale wnet pognał do zbiegowiska w obawie, by podczas tumultu służyć pomocą bratu ślubnemu w razie niebezpieczeństwa.

Do zebranych przemówił rubasznie rotmistrz Koirzański:

— O niech was! Spać nie dacie, sami się nie wywczasujecie. Jego dostojność właśnie batalią na dzień ordynuje.

Szumieli jeszcze aż do trąbek na pobudkę, gdy wyprawę ogłoszono. Do południa hetmani sprawiali szyki i ustanawiali obronę obozu na wypadek ataku nieprzyjacielskiego zza Prutu. Zabrzmiały wreszcie komendy oficerów i trąbki.

Wojsko wyruszyło z obozu. Prawe skrzydło prowadził Koniec-polski, lewe —• Korecki, środek — sam Żółkiewski. Po obu bokach wojska ciągnęły tabory, każdy w cztery długie rzędy wozów. Między tymi rzędami maszerowała piechota. Tabory najeżone były działami przeznaczonymi do ubezpieczania ogniem całej kolumny. Pochód otwierała jazda wypełniająca przestrzeń między taborami. Sformowana w ten sposób armia stanowiła ruchoma twierdzę.

Lewy tabor posunął się niedostatecznie w lewo i stanął w miejscu. Wychodzące z obozu i rozwijające się w prawo oddziały zepchnęły prawy tabor aż po same góry. Koniecpolski natychmiast dostrzegł błąd. Rozkazał go naprawić: cofnąć zbyt wysunięty tabor. Ale ponieważ wozy prowadzili nie obcy w bojach ciurowie, nie umieli rozkazu wykonać. Skutkiem tego prawe skrzydło wojska zostało odsłonięte. Na nie wnet runęli Tatarzy z dzikim krzykiem:

-r- Ała! Ała! Ała!

A jednocześnie od czoła zaatakowali Turcy.

Zagrzmiały armaty, grzechot wszelakiej strzelby, okrzyki bojowe. Pod ulewą ognia i żelaza Tatarzy zrazu pierchli, zostawiając setki poległych. Ale wkrótce nieprzejrzana ćma tatarska opadła wysunięty za daleko prawy tabor. Po zażartej walce zdołała wespół z Turkami otoczyć całe prawe skrzydło wojsk polskich, cofających się ku okopom. Długo trwał bój blisko samych szanów, z których Polacy nie wspomagali już swoich oddziałów ogniem, by ich, zmieszanych z nieprzyjacielem, nie razić. Nie wyszła też z okopu pomoc, gdyż z powodu ciasnoty miejsca chorągwie posiłkowe nie mogłyby się rozwinąć w bojowy szyk.

Husaria, którą wiódł sam Żółkiewski, również nie mogła rozwinąć szarzy, uderzyć kopią. Odcinała się szablą i mieczem, a wyrabując sobie drogę odwrotu, kładła gęsto bisurmanów trupem. Wśród niej zaś z najwyższą sztuką szermiercza i brawurą walczył hetman wielki, jakby odmłodzony, natchniony dawną sprawnością. Obok niego — syn Jan i bratanek Łukasz. Wokół tej trójcy skupili się najdzielniejsi. Chorągwy wysoko dzierżył chorągiew hetmańską.

Pomimo wyniesionej z domu, malejącej zresztą, niechęci do Żółkiewskiego, Marek musiał go podziwiać za tę waleczność.

•— Jezu-Maryja! •— ryknął nagle niby zraniony zwierz.

Bo oto chorągiew hetmańska zachwiała, się i wypadła z rąk chorążego ugodzonego śmiertelnie. Marek, Stefan i Piotr Sielecki rzucili się rozpaczliwie ratować ją. Ale wataha odcięła ich od niej. Zapamiętali rąbali łby, plecy, ręce, konie. Wdarli się aż w głąb watahy oszołomionej morderczą sprawnością trzech rycerzy. W ich oczach spadł z konia rotmistrz Wrzeszcz i nie powstał więcej. Aż i rotmistrz Goślicki, aż i rotmistrz Kowalkowski, aż i inni... Śmierć dowódców przyśpieszyła odwrót jazdy do obozu.

W pewnej chwili Żółkiewski został sam, otoczony chmarą pogan.

Marek, Stefan i Piotr, acz mieli wolną akurat drogę do obozu, runęli jak potrójny piorun w ową chmarę i rozproszyli ją. Za czym Piotr i Stefan, z obu stron chwyciwszy konia hetmańskiego za wodze, jęli cwałem ujeżdżać ku szansom, Marek zaś stawił czoło rozproszonej przed chwilą i na nowo zebranej wataże. Dobywszy z przytroczonych do kulbaki olstr dwa pistolety wypalił z obu rąk do pogoni, a potem ze wzniesioną szablą wpadł między bisurma-nów. Zmieszał watahę, strącał ordyńców i spahisów z siodeł, wy wijął się raz po raz z osaczenia. Aż wreszeie, widząc znikającego za zbawczymi szaniami hetmana, sam poszedł w jego ślady.

Do późnego wieczora wycofał się do obozu hufiec hetmana Ko-niecpolskiego i niedobitki piechoty broniącej prawego taboru, wraz z czterema działami zagarniętego przez nieprzyjaciela.

Jak się później okazało, padło w boju ponad siedmuset żołnierzy, a wśród nich waleczni oficerowie: Wrzeszcz, Kowalkowski, Goślicki, Cielecki, Drobieżański. Między rannymi byli obaj młodzi Żółkiewscy, siostrzeniec hetmana wielkiego Bałaban, dowódca rajtarii Denhof, dowódca piechoty Farensbach. Niektórych poległych udało się zabrać z pobojowiska i z honorami pogrzebać w obozie.

Straty, acz umiarkowane, wywołały przygnębienie "wojska.

Rozpalali żołdaci ogniska bez zwykłych ochoczych gwarów. Gromadzili się wokół szałasów z rannymi, wsłuchiwali w jęki tychże albo w. rozpaczliwe głosy okaleczonych, zagubionych na pobojowisku, do którego nie było teraz dostępu. Sarkali, biadolili...

Po zaniepokojonym obozie jeździli konno osobiści wrogowie wodza — Korecki, który mniemał, że Żółkiewski czyha na jego życie, Struś i Kalinowski, posądzający starego hetmana, że szkodzi im u dworu. Otaczali ich żołnierze i szemrali przed nimi śmiało.

— Co z nami będzie, wasza miłość?

— W następnym boju zginiem, bo ich émy nieprzejrzane. >— Oblężeni, zamknięci, pozdychamy z głodu.

— Wodzów mamy nieudolnych, ot co! Niedołęgi, psiamać!

— Ostatnie termina. Pójdziem na powróż albo pod nóż. A panowie owi rozkładali ręce i odpowiadali obłudnie:

— Nie my tutaj wodzami, panowie bracia.

— Mamy inne zamysły, ale nie nasza wola. Słuchać nas panowie hetmani nie mają obowiązku, choćby nawet błędzili.

—• Myśmy inak radzili: za Prut uchodzić. Ale groch o ścianę...

— Za nic tutaj rada szlachcica, mości panowie.

Porucznik Złotopolski, służbowy dziś oficer obozu, oraz rotmistrz Kurzański, węszący wszędzie wraz z profosem, wykryli te rozmowy malkontentów. Donieśli wodzowi.

— Nicują twoje zarządzenia, bładzisyń! — wybuchnął Ku-•rzański, gdy został sam na sam z Żółkiewskim. —• Obwiniają cię! Kilku powiesić, a od razu całe wojsko poweseleje!

— Znasz ich chyba, Sebastianie — rzekł hetman bezradnie.

Od rana malkontenci zbierali gromady żołnierzy i Wałkowali wczorajszą bitwę w duchu nieprzychylnym dla Żółkiewskiego.

— Stanisławie! Łotrów w dyby! Powywieszać! I będzie spokój — pieniał się Kurzański. — Ten zapiłowany tchórz, gospodar Gracjan, także po obozie lata i maści. Weźże fircyka na powróż! Wołosi go już mają dosyć i Turcy, a ty hołubisz szubrawczyka.

•— Ale z ciebie polityk, Sebastianie! —• zaśmiał się hetman.

— Polityka dobra, ale nie na wojnie i nie wobec tych, co pod sztychem nieprzyjacielskim, a jeszcze ogień wznecają.

Rano zwiad przyznał do obozu języków. Na konfesatach przed dowództwem zeznali oni, że prawie cztery tysiące pohańców poległo we wczorajszej bitwie. Wieści te dodały sił staremu wodzowi.

— Były rzeczy dobrej nadziei wczoraj, więc i dalej możemy potężnie czynić przeciwko wrogowi — stwierdził. — A że mało naszych poległo, proponuję, abyśmy dziś wznowili bitwę. Po kilku uporczywych szturmach nieprzyjaciel odejdzie. Poweźmiemy rezolucje dalsze stosownie do skutków.

Obruszyło się wielu panów. Żądali odwrotu. Sprzeciwy zagłuszył dziarski głos hetmana polnego:

— Ja wotuję za propozycją jego wielmożności i mościwych panów do tego samego wzywam!

•— Veto! •— zakrzyknął Kalinowski. •—• Veto! — powtórzyli Korecki, Struś i inni.

Żółkiewski przybladł. Wiedział, że przy takim usposobieniu starszyny nowa bitwa nie ma widoków powodzenia.

— Mam także inny plan — powiedział — który waszmościom pod rozważę oddawana: jeśliby nie powiodły się próby zmuszenia bisurmanów do zwinienia oblężenia, otworzymy sobie mieczem drogę przez nieprzyjaciela i taborem przebijemy się za Dniestr.

— Ta droga jest zgubna — ocenił Kalinowski.

— Jako żywo, zgubna! — przemknął szmer.

— Idąc nią wyginie cała armia, a Rzeczpospolita wrogom stanie otworem. Lepiej ocalić część niż wszystko utracić. Trzeba poświęcić piechotę, zostawić ją wraz z rannymi i chorymi w obozie, a z jazdą uchodzić wzdłuż Prutu na Bukowinę i dalej na Pokucie. Tak ocali się bodaj część rycerstwa. Poza tym na Bukowinie gromadzą się wojska jego gospodarskiej mości.

Gracjan wzrokiem wyraził Kalinowskiemu uznanie.

— Słusznie! Tę materię rozważajmy! — zażądano z ław. Żółkiewski poczerwieniał teraz ze wzburzenia.

— Zali dobrze słyszę? — rzekł zduszonym głosem. — Mamyż więc braci odbieżyć? A ja was pytam, mości panowie, którzyście radzi zwać się solą tej ziemi: jak byście spojrzeli w oczy swym dzieciom? jak by was ocenili potomni? Zaprawdę, jeśli panowie uczynicie, co zapowiadacie, stanie się to wbrew mojej woli, beze mnie!

— I beze mnie! — zawołał Koniecpolski.

— I beze mnie! —• zawtórował pułkownik Kazanowski.

To samo wykrzyknęli Szembek, Kurzański, Złotopolski, aż i ranni, ale obecni na radzie Denhof i Farensbach, aż i inni.

Czując tak możne oparcie Żółkiewski jął przekonywać oponentów. Nie przekonał ich, lecz nakłonił do swego projektu. Uchwalono, że armia taborem przebiję się do Mohylewa nad Dniestrem.

— Rad jestem, widząc moich przyjaciół pogodzonych mądrą rezolucją — rzekł słodko Gracjan.

Po radzie zaprosił panów do swej kwatery na puchar wina przed podjęciem nowych trudów. Odmowę hetmanów potrakował bez żalu. Jedni oficerowie odrzucili, drudzy przyjęli

zaproszenie. Wracając do namiotu gospodar szeptał do swego logofeta: 1 •— Polacy mogą nas wydać Turkom za cenę pokoju. Roześlij znowu poufników naszych po obozie, by rozpowiadali, że trzeba uchodzić wzdłuż Prutu na Pokucie i że tamtędy hetmani umkną. Niewidocznymi kanałami rozterka z „koła” panów przeniosła się między żołnierstwo. Nieuchwytni podżegacze rozgłaszali przeróżne wieści i poglądy. Wiecowano po chorągwiach i kompaniach. Przydybawszy logofeta Byczka żołnierze nagabywali go: —• Wasza miłość na radach bywasz. Powiedz, co z nami będzie!

— Zali prawda, że mamy na sto tysięcy bisurmanów uderzać? Dwornik rozejrzął się i odparł z uśmiechem:

— Będziemy przebijać się przez morze pohańców do Mohylewa. Tak pan kanclerz Żółkiewski postanowił. Łacniej co prawda wzdłuż Prutu uchodzić i panowie hetmani chyba z tej drogi skorzystają, wojsko dla pozoru wywiódłszy do bitwy, ale taka to już wojenna sztuka, której arkana dostępne jeno wielkim wodzom.

Przydybali też Kalinowskiego.

— Prawda to, że jedni Prutem, inni na Mohylew uchodzić będą?

Kalinowski był szczery, mówił wprost:

— Komu życie miłe, za Prut! Ale nie moje regimentarstwo, jeno tego, co pod Buszą i Oryninem laury zbierał.

Wzburzenie rosło. Wśród podżegaczy byli godni wiary wojenni-cy i statyści, jak Struś, niegdyś gubernator Moskwy, Kalinowski, dawny towarzysz Żółkiewskiego, regimentarz Korecki, zuchwały zagończyk, junak nad junaki Chmielecki, utalentowany dowódca, żołnierz nieustraszony. Zdania ich rozchodziły się po obozie stokrotnym echem. Żołdaci pod ich wpływem rzucali posterunki a służby i wiecowali.

•—• Bracia! Za Prut! Hetmani wydają nas na jatki!

— Znowu bitwę zaordynują, a sami w nogi przez Prut!

— My weźmiemy wroga na się, oni zaś bezpiecznie ujdą! Koniecpolski konno przemierzał obóz i uśmierzał wzburzenie.

1 Logof et (grec.) — kanclerz.

— Na miejsca! Buntownicy na gardle pokarani będą! — wołał. Rozganiał gromady, płazował szablą, rozkazał profosowi aresztować najzuchwalszych piniaczy.

— Hetmani uchodzą! — ryknął ktoś opodal.

Dopał go piorunem i w oczach tłumu przebił szablą. Ciżba struchlała, grobowa cisza zaległa majdan.

— Niechaj ten brzeszczot i ta krew przelana zaświadczy prawdę! — zawołał hetman polny, kredowo blady ze wzburzenia.

Dopiero kiedy odjechał, tłum rozwrzeszczał się na nowo.

— Samosąd wymierza! Odpowiesz za to, mości Koniecpolski! Zamęt wzmagał się. Wojsko nie pełniło już służby.

— Źle — rzekł Jakimowski do druha. — Jeszczem takowego bardaku w wojsku nie widział. Dziadyga rady sobie nie daje.

—• Za co go nienawidzisz? — wybuchnął Stefan. — Przez wasze nienawiści wszystko złe. Burzyć się w obliczu wroga to zguba! Aż dziw, że bisurman nie następuje.

—• Ja Żółkiewskiego nawet ninie i nawidzę. Aliści mniemam, że oponenci z „koła” słuszne racje dają. Primo: nie należało zamykać się w tym zafajdanym obozie, jeno w polu czynić. Secundo: trzeba uchodzić wzdłuż Prutu, nie zaś na Mohylew.

— Nie rezonu j! Wcale nie trzeba uchodzić! — krzyknął Stefan z niesłychaną u niego desperacją. — Trzeba czynić tak, jako hetmani każą! Nie twoja rzecz nicować zarządzenia hetmańskie, boś nieświadom spraw dowodzenia.

Od kwatery głównej przy kłusował Inianowłosa, rumiany rotmistrz Łagonia. Spojrzał z kulbaki na swych żołnierzy, przed namiotami stojących z końmi trzymanymi za uzdy. Milczał długo...

Wszędy po chorągwiach oficerowie zaprowadzali ład. Szykowano do wymarszu armaty i tabory. Puszkarzy, piechotę, woźniców, wszelakich ciurów — ludzi z plebsu, a więc. sforniejszych niż be-nenaci — najrychlej przywołano do porządku.

— Na koń! —• skomenderował swoim. Łagonia.

Komendę powtórzyli podwładni mu namiestnicy, dowodzący trzema chorągwiami stanowiącymi hufiec koniuszego wielkiego koronnego Krzysztofa księcia Zbaraskiego.

Następnych rozkazów nie było.

Poczęło zmierzchać. Znowu zamieszki jeły ogarniać wojsko mające wymaszerować taborem z obozu, podobnie jak wczoraj.

Niepokoje wzmógł widok orszaku wołoskiego z Gracjanem na czele. Albowiem, gdy akurat trębacze jeły otrębywać wymarsz wojska taborem, gospodar cichaczem, przez podwale wymykał się z obozu ku Prutowi. Wnet go dostrzeżono i poznano, mimo gęstniejącego zmroku.

— Wołosza uchodzi! — huknął ktoś wielkim głosem. — Zdrada!

— Zdrada! — zawtórowały tysiące gardeł. •— Zdrada! Zdrada!

— Pan Kalinowski uchodzi, pobrawszy kubany gospodar-skie!

•— Do Prutu, komu żywot miły! Do Prutu!

— Książę Korecki umyka!

— Zdrada! Zdrada! Przekłęci panowie!

— Ała! Ała! Tatarzy! Tatarzy!

— Ratuń się, kto w Boga wierzy!

Place zbiórek i posterunki pustoszały. Poszczególni oficerowie porywali chorągwie i w panice uciekali ku Prutowi. Konie w ciemnościach tratowały ludzi, wpadały na siebie, na koszary i szafasy, łamały nogi, strącały jeźdźców, płoszone krzykiem i zamieszaniem, oszalałe ze strachu. Przerażliwy kwik koński, zgiełk, trzask, dudnienie zatrzęsły obozem. Ludzie siekali się wzajem szablami, torując sobie drogę ku rzece, co miała przynieść wybawienie.

Za Kalinowskim i Koreckim uciekli wojewodzie podolski Sie-niński, rotmistrz Tyszkiewicz, rotmistrz Ujazdowski; pułkownik Chmielecki i strażnik Odrzywolski polami, przez kosze tatarskie uszli. Dziw, do czego doprowadzić mogą zawiść, niesubordynacja! Wszak to nazwiska, których sam dźwięk rozpraszał nieraz wraże kolumny!

Hetmani w otoczeniu wiernych oficerów ruszyli między ogarnione zamętem żołnierstwo.

Wołali aż do zachrypnięcia, do utraty głosu.

— Stój! Stój! Oficerowie do mnie!

— Baczność! Na stanowiska marrsz!

— Hańba, panowie rycerze! Miejcie Boga w sercu! Kłusowali to tu, to tam, daremnie hamując ucieczkę, walcząc z paniką. Płazem szabel zapędzali zbiegów w szeregi, których niestety nie można było utrzymać w ryzach.

— Ludzie! —• wołał z rozpaczą Żółkiewski. —• Sam ja zginę, bądźcie więc na pogrzebie wodza waszego!

Łagonia długo trzymał w porządku swój hufiec, acz do ogólnego hałasu i zamętu ploszyły się konie, a spod ręki umykali pojedynczy jeźdźcy i rwali ślepo za innymi ku Prutowi.

Wśród karnej dotąd piechoty a ciurów też powstał zamęt.

— Jazda uchodzi! Pod nóż bisurmański nas ostawują!

— Zdrada! Zdrada!

Buchnął nagle ku niebu pożar w ciemnościach nocy, upstrzonych zaledwie światłami pochodni i nielicznych dziś ognisk. Tu a tam zapłonęły sterty siana i słomy, składy żywności,

namioty, podpalone zbrodniczą ręką. Tu a tam ciuro wie i lisowczycy rzucili się rabować opuszczone kwatery. Tu a tam zawrzała walka z rabusiami, połała się bratnia krew.

Łagonia wspiął się w strzemionach i skomenderował gromko:

•— W konie! Do Prutu! W cwał!

Hufiec zerwał się z miejsca i runął w ciemność ku rzece.

1 Autentyczne.

Stefan, Marek i Piotr mknęli wraz z innymi, porwani nawałnicą. , Satanowski chwycił nagle cugle Markowego konia krzycząc:

— Stój! Stój!

Marek odciął mu rękę i płazując konia szablą pędził dalej.

Z tyłu zostawała za nimi przerażająca wrzawa rozprzęgłego obozu, nad którym wisiał żałosny księżyc i niebo zaciągała coraz wyżej szkarłatna luna pożarów. Ale przed zbiegami również nie było ciszy ni spokoju. W miarę jak zbliżali się do -rzeki, rósł im w uszach zgiełk rozbrzmiewający tamże. Co chwila mieszały się z gromadami pieszych i jeźdźców, którzy wracali stamtąd w takim samym szaleńczym pośpiechu, w jakim niedawno uciekali z obozu.

— Biada! Biada! —• brzmiał czyjś obłąkany głos.

Aż i przed hufcem Łagoni załśnił w świetle księżycy zbawczy Prut. Jeźdźcy pojedynczo i watahami gnali do rzeki i na oślepk skakali w spienione jej wody, rozkołysane od tysięcy ciał ludzkich i końskich, rozchlustane wysoko i występujące z brzegów. Wrzask żołdatów, kwik, rżenie i parskanie koni brzmiały nad pru-tową głębią rozpaczliwie, przejmująco, strasznie.

Nurt porывał ludzi i konie, szastał nimi, topił. Fale wyrzucały na brzeg trupy topielców.

Poblask księżycowy oświetlał plamy krwi na wodzie.

— Ratunku! — wyli tonący.

Ale i ci, którym udało się przepłynąć na przeciwny brzeg, wpadali pod szable lub w łyka tatarskie — wśród krzyku rozpacz, zwycięskiego ałłakowania, beładnej strzelaniny.

Sielecki już miał skoczyć w rzekę, ale zrezygnował i stanął na brzegu wahając się, co czynić.

Marek nie wahał się. Spiał ostrogami konia, iż zawisł on kopytami nad wodą i nagle runął niby gromem rażony na bok, przygniatając jeźdźca. To Satanowski z króciicy wypalił zwierzęciu w łeb.

— Ty bladziynu! — ryknął Jakimowski usiłując wydobyć się spod wstrząsanego śmiertelnymi drgawkami kadłuba końskiego.

— Zginiesz! — wychrapał nie swoim, strasznym głosem Stefan. — Jeszcze nigdy nie uciekaliśmy z pola bitwy, zwłaszcza ta-•kiego, na którym ważą się losy Rzeczypospolitej. I nie uciekniesz dziś! Jestem twoim bratem i nie pozwolę, by potomność oplwała twą pamięć. Dobył szabli i ciał w odkrytą szyję Marka. Ale ostrze szczęknęło w żelazo: to Sielecki podstawił szablę i odparował cięcie. Satanowski straciwszy do cna panowanie nad odruchami rozpacz, rzucił się na Piotra. Ten zginąłby pod brzeszczotem nieźrównanego szermierza. Ale już Marek wy dostał się spod konia i chwycił od tyłu Stefana w pół wraz z rękami, obezwładniając go. Szamotali się we trzech, tarzali po ziemi, choć świszcząły nad nimi tatarskie strzały. Stefan został wreszcie rozbrojony. Wybuchnął przejmującym jękiem i zanurzywszy twarz w mokrej murawie łkał.

Marek ukląkł. Wpatrzył się modlitewnie w niebo i w zamęt ogarniający brzegi a głębię prutową, wsłuchał w dzikie wrzaski zbiegów, tonących i zabijanych szablą tatarską. Za czym podniósł przyjaciela, ujął pod ramię i jał prowadzić z powrotem do obozu. Za nimi postępowal z dwoma ocalałymi wierzchowcami Sielecki.

— Bóg ci zapłać, panie Piotrze, za ocalenie życia — mówił z przejęciem Jakimowski. —• I tobie, Stefanie, dzięki. Tyś mnie uchronił od hańby. Jakowys szał mnie był ogarnął, porwała mnie do ucieczki fala, ośleplem, zdumiałem...

— Nikt nas nie uchroni od hańby! — krzyknął Satanowski, wyrwał się druhowi, dobył drugiego pistoletu. — Chyba to!

Podniósł króciwą do otwartych ust i już miał pociągnąć za cyn-giel, gdy Marek rozpaczliwym uderzeniem pięści podbił mu rękę i wytrącił broń, która wystrzeliła w powietrze.

— Skoro wróciło opamiętanie, trzeba wytrwać! — rzeźł twardo. — Nie pozwolę ci na żadne głupstwo! Tyś mnie ocalił. I ja ci się odwzajemnię. Wracamy do obozu! Nie wszystko jeszcze stracone. W jednej chwili wstrząsu pojąłem więcej niżli przez lata.

Podobnie jak oni, wracali do Prutu inni żołdaci, pojedynczo lub gromadnie, doznany niebezpieczeństwem nakłonieni do opamiętania. Ale i dalsze watahy zbiegów leciały błędnie, na złamanie karku, do rzeki, niebaczne na ostrzeżenia nawróconych towarzyszy.

— Bracia! Zawróćcie! Tam zguba!

•— Tam topielisko! Tam pohaniec naszych wyrzyna! Wracajcie! Straceńcy nie słuchali. Jak ómy do ognia, gnali w otchłań zguby, zaślepieni ułudą ocalenia. Satanowski po ataku hysterii szedł bezwolnie, prowadzony przez /L uspokojonego już Marka i otepiatego Piotra.

Oddalali się od hałasów nad Prutem, a zbliżali do roztrzęsionego obozu.

Straszny widok uderzył oczy nawróconych buntowników: ogołoczone z posterunków szańce, pożary, rabunek opuszczonych kwater, odbywający się w oczach bezsilnych oficerów, trupy ludzi padłych w krwawych samosądach... Fala buntu i paniki jeszcze niezupełnie opadła. Tu a tam brzmiały głosy ochryple od szaleństwa i gorzałki.

— Kędyż hetmani?

— Za Prutem ich szukać, psiawiarów, oczajduszów, zdrajców!

— Uciekli! Uciekli!

Marek, przejęty zgrozą, krzyknął rozdzierająco:

— Poszaleli! Ludzie! Opamiętajcie się! — głos jego utonął w ogłuszającej wrzawie.

Ich namiot zrabowany jak inne. Z pachółków żaden nie wrócił znad Prutu. Satanowski jął grzebać wśród rzeczy zniszczonych podczas rabunku, wśród wypróznionych sepetów, pudzer, w wyróconych legowiskach. Wyprostował się nagle z wypogodzoną twarzą. W rękę miał teraz otwarty futerał skórzany, z którego widać było rogi liry.

— Już jej nigdy nie ostawię, będę brał z sobą — szepnął. Marek wzruszył ramionami.

Koło ich namiotu przejeżdżał właśnie konno Żółkiewski. Niesiono przed nim buńczuk hetmański i zapalone świece a pochodnie, aby go widzieli wszyscy, co wątpią w jego obecność w obozie.

— Dzieci! Żołnierze! Oto jestem i będę! —• wołał. — Z wami chcę żyć, z wami umierać!

Razem aż po kres, który Bóg wyznaczy! Opamiętajcie się, synaczkowie!

A gdzie indziej:

— Jeżeli Bóg zdarzy klęskę, nie szukajcie mnie pomiędzy jeńcami, lecz tylko między poległymi.

Widząc zaś rozbitków wracających od Prutu, gromił:

—• Na gardle winniście być pokarani! Usłuchaliście zwodników, a nie tych, co walczą o chwałę Boga i Rzeczpospolitą. Wracajcie na swe posterunki i rzetelną służbą zmażcie popełnione błędy!

Obróćmy nasz sławny oręż na wroga, a w zgodzie zwyciężymy! Szańce obsadziły resztki piechoty i jazdy pod osobistą komendą Koniecpolskiego. Aż dziw, że pohaniec nie atakował.

i »'

l — Impune : mnie pożakowali rabusie, że mi nawet i koszule pobrali — skarżył się hetman polny.

— Nie lepiej u mnie — odparł Żółkiewski. — Ale ważne, że zbiegowie wracają. Nie wszystko jeszcze stracone.

W świetle pochodni, pod buńczukiem, cierpliwie przepuszczał przed sobą nawróconych zbiegów. Z niektórych woda jeszcze ciekła; snadź z przeciwnego już brzegu prutowego wracali. Dojrzwawszy Jakimowskiego i jego druhów, wezwał ich do siebie.

— Niecały huf Łagoni szukał, widzę, chwały za Prutem. Zagadnięci spuścili głowy, by ukryć rumieniec wstydu.

— Porucznik Złotopolski przyjmie was do chorągwi — mówił hetman. — O! toś ty lirnik, chłopcze! —• zwrócił się do Stefana. —• To ty tak wyśpiewywałeś o bosmanach zapraszanych w tan z czterdziestu armat? Słyszałem nieraz a podziwiałem i kunszt dobry, i thema. Zaśpiewasz i zagrasz mi kiedy w weselszej chwili.

— Wedle woli waszej wielmożności — odparł Satanowski. Hetman odjechał z pół staja i znów wzywał żołnierzy:

— Do służby, chłopcy! Panowie oficerowie, ordynujcie nowe chorągwie! Wszyscy na okopy! Do pana hetmana polnego!

Ludzie już nie umykali, ale też nie słuchali nakazów wodza.

— Marsz na okopy! •—• wołał coraz gniewniej.

Daremnie. Wlokła się za nim coraz większa ciżba istot zatrwożonych, w niczym niepodobnych do dziarskiego żołnierstwa sprzed kilkunastu godzin. Rozkazy nie odnosiły skutku: żołnierze bali się iść na szanice. Eozgniewany Żółkiewski porwał się do obuszka i dalej walił nieposłusznych. Aż i otaczający go oficerowie jęli okładać niesforną zgrają a" pędzić na opustoszałe pozycje. Upadli na duchu żołdaci, którzy do niedawna zadziwiali świat męstwem, woleli sromotnie dać się bić niż odstąpić od wodza.

— Byś nas, mości hetmanie, zabić miał — wołali ci nieszczęśnicy — ciebie się nie puścimy, z tobą i za tobą umierać chcemy!

Żółkiewski otarł pot z czoła, opuścił bezradnie ręce.

— Czas jeno może przynieść opamiętanie — rzekł do świty. — To chociaż pociecha, że zbiegowie wracają, pojawszy swe szaleństwo.

I Impune (łac.) skiego).

— bezkarnie, bezpiecznie (autentyczne słowa KoniecpolPrzed jego koniem stanęli rotmistrz Tyszkiewicz oraz na j złośliwi poza Kalinowskim mąciciele, książ Korecki i Struś.

— Wasza miłość zmarnowałaś armię! — wybuchnął Korecki.

— I zmusiłem waszą mość do rejterady, co? — zgrzytnął hetman.

— Nie uciekałem wcale! To wasza miłość dążyłaś do ucieczki! Hetman spojrział ze wzgardą na kniazia i rzucił mu w twarz:

— Jam tutaj i woda Prutu nie ciecze ze mnie. I Książ zapłonął jaskrawym rumieńcem i odszedł bez słowa. Żółkiewski wrócił na chwilę do swej kwatery odetchnąć. Teraz dopiero wybuchnął towarzyszący mu Kurzański:

— Dlaczego ty nie zastosujesz najsurowszych środków, jakie wodzowi przynależą? Powiesić bodaj samych hersztów knoń!

— A kędy ich masz? Uciekli •— odparł hetman. •— Przyjdzie czas, przed sądem narodu staną, który ich srogo pokarze.

— Czekaj, tatka, latka! Masz w ręku tych, co wrócili!

— Wszystkim łby uciąć? Bo panika powszechna. Strach odjął wolę, rozsądek... Wyślemy do Polski wieści o buncie, by miała się na baczności, i do Kozaków wezwanie, aby przybyli z pomocą.

Posępny ranek, chmurny, zamglony, wilgotny, ukazał dowod-niej zgliszcza i ruinę obozu, zmniejszoną liczbę załogi. Ludzie po okropnej nocy przeważnie spali, gdzie popadło — w nie swoich kwaterach, pod resztkami szałasów, w ziemiankach pod wałami. Rzadkie posterunki strzegły bezpieczeństwa. Wszędzie snuli się żołnierze, żadnej nie pełniący służby. Gdyby bisurmanie przypuścili szturm, noga by nie uszła z obozu.

Armia stopniała prawie o połowę. Przewaga nieprzyjacielska zatem wzrosła do dwunastokroć.

Kilka dni trwało formowanie nowej armii z rozbitków. Dochodziło nieraz do popłochu, gdy bisurmanie przypuszczali do szaniców szturm — czasem za osłoną stad bydła spędzonego z

okolic. Jesienne zimno dawało się we znaki, deszcze siały często, głód doskwierał, bo jeno z koni trochę było mięsa, a innego jadał brakło. Bisurmanie podciągnęli szańce i kosze w pobliże wałów polskich i z armat ostrzeliwali — nawet namioty hetmanów. Ci pracowali 1 Autentyczne.

16 — Kawaler złotej ostrogi i nad uładzeniem hufców, podniesieniem ducha żołnierzy, zwodzeniem nieprzyjaciela, a jednocześnie ślali gońców do króla i Kozaków z żądaniem najrychlejszej pomocy. Dochodzące do sprawy wojsko dzień i noc trwożyły krzyki zza wałów: „Ała! Ała! Ała!”

Marek i Stefan, służąc teraz w chorągwi Złotopolskiego, byli blisko osoby hetmańskiej. Pewnego dnia wezwał ich do siebie Żółkiewski.

— Jesteście roztropni i okazałego wyglądu kawalerowie — rzekł. — Znacnie może języki pogańskie: turecki i tatarski?

— Władałem cokolwiek tatarskim — odparł Marek — bo w Joł-tuszkowie służywali plenni Tatarowie. Alem go dawno nie. używał.

Eotmistrz Druźbie, siedzący obok hetmana, zagadnął Jakimow-skiego pg tatarsku. Próba wypadła jako-tako.

— Nie chodzi o szczególne konwersacje — orzekł hetman. — Pojedziecie z panem Druźbicem jako asysta do Iskintera-baszy.

Radzi z zapowiedzianej przygody, gotowali się do wyprawy. Tymczasem kanclerz udzielał Druźbicowi ostatnich wskazówek:

— Rób, acan, dobrą minę i stawiaj kondycje nie do przyjęcia, których podałem ci cały rejestr. Chodzi nam o zyskanie na czasie.

Niebawem Druźbie i asysta z białą chorągwią i otrębywaniem wyjechali za wały. Kłusowali zrazu po pustym polu albo między rzadkimi, stratowanymi zaroślami. Aż opadła ich zgraja Tatarów z przeraźliwym: „Ała! Ała!” Ordyńcy, widząc jednak białą chorągiew i słysząc wyjaśnienia, otoczyli wystąnców i poprowadzili do kwatery Iskintera-baszy, urządzonej w obozie tureckim.

Iskinder skwapliwie i bez świadków przyjął polskiego posła.

Ogromny namiot baszy, ozdobiony drogą draperią i sprzętem, dywanami, lśniący od złota, podzielony na wiele pomieszczeń, roił się służbą, oficerami, kobietami haremu.

Druźbie skłonił się z umiarem, bez czołobitności, siedzącemu na sofie Turkowi i podawszy mu list hetmana, rzekł po turecku:

— Dostojny pan kanclerz przesyła ci, panie, pozdrowienia.

— Nie mogę mu się odwzajemnić — odparł basza — gdyż targnął się na własność pana królów (niechaj Allah osłoneczni młode życie padyszacha!).

— Rzeczpospolita takż ma prawa do Wołoszy. Ale nie o to chodzi, jeno o układy w sprawie zawieszenia broni.

— Raczej chyba poddania...

— Poddania? Na każdego poległego Polaka przypada dziesięciu waszych poległych. Po kilkunastu dniach boju wasza wspaniałość będzie musiał odstąpić od Cecory. Poza tym pan kanclerz pragnie powiadomić, że wydając bitwę spodziewał się jeno Tatarów, a nie Turków. Rzeczpospolita nie chce wojny z Turcją. Pan kanclerz pragnie takż rozpoczęcia układów w sprawach zawieszenia broni, swobodnego odmarszu wojsk polskich do Mohylewa, wypłaty przez pana kanclerza 100 000 czerwonych złotych podarku waszej wspaniałości i znacznych sum dla jego sułtańskiej mości.

— Muszę zwołać naradę wojenną — rzekł basza zlakomiony.

—, Racz więc, efendi 1, wstrzymać szturm i dać nam jako zakładnika wodza Tatarów nogajskich Kantemira-murzę.

Iskinder zaklaskał w dłoń, a na ten znak wszedł aj basza 2.

— Odprowadź posła na strażnicę. Kto tam dzisiaj czuwa?

— Kapudan 3 Kara Nurum z janczarami i spahisami 4 hufca damiatyńskiego, którego od trzech dni pełni służbę.

W strażnicy Druźbie zastał swoją asystę pod dozorem smagłego oficera o twarzy sępa.

•— Może mi powiesz, efendi, jak cię zowią, bo nuż pobratymstwo zawrzemy — zagadnął.

— Jestem Kara Nurum, kapudan w hufcu jego wspaniałości mudira 5 damiatyńskiego Kassima-bega (oby mu Allah szczęścił!).

— Mudira? Więcżeś aż z Egiptu? — zdumiał się Druźbie.

— Wojska z całego prawie świata stają na wezwanie padyszacha (oby imię jego budziło miłość wiernych i trwogę niewiernych!).

Tymczasem na rozkaz Iskindera ustała akcja bojowa. W jego kwaterze odbywała się narada zwołanych naprędce dostojników tureckich. Zebrali się więc baszowie: beglerbeg 8 rumelijski Issuf, czerkies-basza Hussein, mustaszerif 7 sandzaku 8 widyńskiego 1 Efendi (tur.) — pan; tytuł nadawany dostojnym osobom.

2 Ajbasza (tur.) — kapitan janczarów, czyli zaciężnej piechoty.

3 Kapudan (tur.) — oficer, kapitan.

4 Spahis (arab.-tur.) •— żołnierz dawnej nieregularnej jazdy tureckiej.

5 Mudir (arab.) — gubernator turecki lub egipski.

6 Beglerbeg (tur.) — dosłownie: beg begów (bej bejów) pan panów: namiestnik, rządca prowincji.

Mustaszerif (arab.-tur.) — dostojnik piastujący wysoki urząd. 8 Sandzak (tur.) — tu: powiat. Chyzyr, Sarymsak Teriaki. Przybył także mudir damiatyński Kassim-beg i inni agowie 1 a bejowie. Wszyscy byli za układami, omawiali jeno warunki.

—• Może wasza wspaniałość raczysz zaprosić na radę wodzów tatarskich: kałgaja 2 Dewlet-Gireja i Kantemira-murzę 3 •—• rzekł ugodowy Kassim-beg, mudir egipskiego Damiatu.

— Tatarowie muszą mnie słuchać! — odparł wzgardliwie basza. Wezwano na radę rotmistrza Druźbica.

Nagle rumor zabrzmiał w sąsiedniej kwaterze, gwar zmieszanych głosów, a po chwili wdarł się na radę mąż dzikiego wejrzenia, zakuty w żelazną zbroję, z ogromnym na głowie kołpakiem, rycerz niezmiernie na kształt słonia postawy. Był to Kantemir-murza, wódz Ordy Nogajskiej. Powiódł przekrwionymi z gniewu oczyma po zebranych, a zatrzymawszy je na Druźbicu, zakrzyknął wzburzoną głosem:

— Co znaczy obecność tego giaura?

— Witaj, Kantemirze, i siadaj między nami —• rzekł z udaną uprzejmością Iskinder. — I radźmy pospołu nad trudną materią, którą nam przedstawił poseł kanclerza polskiego.

Poznawszy propozycje Polaków Kantemir zerwał się z miejsca.

•—• Jak to? — ryknął wściekle. •—• Więc dla miłości niewiernego złota sam niewiernym zostałeś? Ja, przez lat trzydzieści rżnąc swoim żelazem ich ojce i syny, mam dzisiaj siebie oddawać w ich ręce, by mnie żywcem na rożen wsadzili? To są niewierni, z nimi żadnego nie ma przymierza, żadnych umów oprócz kindżału...

—• ...od którego możesz sam zginąć, murzo! — dokończył zuchwale Druźbie.

Kantemir zmilczał. Klnąc, spiesźnie opuścił namiot.

— A więc nie będzie układów — rzekł zawiedziony Iskinder-ba-sza. •—• Wracaj do swojego obozu, panie pośle.

Druźbie podążył do strażnicy Kara Nuruma. W drodze dogonił go konno mudir damiatyński Kassim-beg i jął namawiać, by wespół z innymi panami nakłonił Żółkiewskiego do kapitulacji.

1 Aga (tur.) — pan, naczelnik.

2 Kałgaj (tat.) — zastępca chana tatarskiego.

3 Murza, mirza (pers.) •— tytuł postawiony po imieniu oznacza księcia krwi, czyli członka dynastii panującej; przed imieniem oznacza — pan, szlachcic albo uczony.

— Daremne twoje słowa, efendi! — zgniewał się Drużbie.

Ledwie wystąpił wrócił do obozu, bisurmanie ponowili ataki.

Kilka razy jeszcze wiódł hetman rokowania z nieprzyjacielem, by uzyskać bodaj chwilowe zawieszenie szturmów. Podczas przerw w bojach pułkownik Marcin Kazanowski z wielką umiejętnością i energią przygotowywał armię do odwrotu.

Wreszcie Żółkiewski zwołał koło rycerskie. Wyszedł na środek zgromadzenia, wsparty na ramieniu rannego syna, stary wódz, tak sławny w świecie, a tak poniżony ostatnio.

— Żołnierze! — przemówił. — Z bólem wspominam haniebne dni, kiedy nas towarzysze sromotnie odbieźali, mieszając nam rzeczy. Przypominam je ku przestrodze. Wróg chciał napaść państwa Rzeczypospolitej, aleśmy go tu zabawili, odważywszy na to swoje zdrowie. I dalej, co się godzi dobrem synom ojczyzny, czynić będziemy.. A takeście znieważyli powagę moją hetmańską i zaniedbali obowiązek, że miast gromić nieprzyjaciela, musimy przed nim uchodzić. Ani zapomnieć mogę strasznej chwili, gdy patrzył na haniebną ucieczkę, na obóz spalony i zrabowany nie przez wroga, ale przez swoich! I jaki skutek? Położenie tak ciężkie, że pozostaje albo zginąć z głodu, albo szablą przebić się do ojczyzny. Nie ma wątplenia, że ta ostatnia droga słuszna. Żołnierze! Nie będziemy gorsi od naszych przodków i towarzyszy, którzy tylu sławnych czynów wojennych dokonali. Tutaj wielki Zamojski przed ćwierćwiekiem poraził tłumy pohańców, kośćmi ich usłał tę ziemię. Żołnierze! Żądam od was pogardy śmierci! Tylko ona zapewni pomyślny odwrót! Jeśli trzeba będzie umrzeć, ja pierwszy głowę położę, w tej przecie nadziei, że takowa śmierć sławę i życie rycerstwa zachowa. Żołnierze! Ojczyzna czeka nas! wzywa, byśmy ją osłaniali! Do ostatniego tchu utrzymamy wierność królowi i miłość ojczyźnie!

Powściągliwy zwykle Jakimowski pierwszy wykrzyknął:

— Do ostatniego tchu! Prowadź, mości hetmanie!

— Prowadź! — zagrzmiało rycerstwo podniesione na duchu. —• Jutro ruszamy tabor! — obwieścił hetman.

O nieszpornej godzinie wojsko rozpoczęło odwrót z Cecory. Prostokątny tabor, długi na pół wiorsty a szeroki na ćwierć, złożony z siedmiu rzędów wozów sprzężonych łańcuchami, stanowił ruchomą fortecę, ze wszech stron uzbrojoną w armaty. Wzdłuż taboru maszerowali od pola piesi rnszukieterzy i spieszona konnica. Chorych, rannych, bagaże i konie jazdy wprowadzono do środka. W przerwach między rzędami wozów także maszerowała piechota. Tabor sunął powoli. A ledwie ruszył sprzed okopów, zewsząd opadła go z wrzaskiem ćma Tatarów. Zagrzmiał z dział i wszelakiej strzelby, okrył się chmurami dymu. Ziejąc ogniem i żelazem, obalając przeszkody, pełził prosto na kosz tatarski i gniótł koczo-wiska, szałas, namioty niby taran niszczący a niepożyty. Pierzchały watahy ordyńców, znacząc ziemię mnóstwem poległych. Ale pierzchający zasypywali tabor strzałami, zbierali się na nowo i powtarzali napady. Droga wiodła górami i jarami bronionymi przez nieprzyjaciela ogniem dział i muszkietów. Kto z Polaków padł, zostawał na szlaku krwawego pochodu, wśród trupów wroga, tratowany nogami towarzyszy, kopytami koni, miażdżony kołami armat i wozów. Rannych przenoszono na furgony środkowe, ociekające już krwią.

Hetmani konno przemierzali kolumnę, kierując marszem i obroną, walcząc chwilami niby szeregowi żołnierze.

Wiele godzin trwał mozolny, krwawy pochód wśród huk, wrzasku, ognia, dymu, przez góry, doliny, bagna, strumienie... Walka była bezustanna do końca dnia, przez noc całą. Żołnierze omdlewali z wysiłku, muszkiety parzyły dłonie, brzeszczoty spływały krwią. Podczas nocnej przeprawy przez jedną z rzek wojsko postradało wiele wozów, koni i ludzi w bojach z Tatarami oraz pod ostrzałem artylerii tureckiej. O świcie u przeprawy przez inną rzekę orda znowu zaatakowała armię polską^ a ze wzgórz ostrzelały ją baterie tureckie. Jazda, wyszedłszy z taboru, po uciążliwej walce rozpedziła bisurmanów, za czym całe wojsko przeprawiło się i korzystając z czasowego spokoju, zapadło na odpoczynek.

— Nie zmogą nas! — zapewniał Żółkiewski, obchodząc posterunki i legowiska żołnierskie.
— Dniestru jeno patrzeć.

Ale bał się znużenia i zniechęcenia żołdatów.

Wieczorem armia ledwie ruszyła, zewsząd z wyciem doskoczyły watahy Tatarów. Hucząc, rozbłyskując w mroku ogniami strzałów i dymiąc, tabor sunął niepowstrzymanie niby żelazny, gorejący smok.

Dotychczasowe zimno ustąpiło letniej wprost duchocie. Między gwiazdy wtoczył się księżyc, oświetlając krzyżową drogę odwrotu.

Dopiero o świcie, gdy ustały ataki nieprzyjacielskie, hetman zarządził postój. Ledwie jednak wojsko rozłożyło się nad wielkim stawem w dolinie rzeki, nieprzyjaciel runął na znużonych Polaków tak potężnie, że omal nie wdarł się w głąb taboru. Ale po kilku godzinach daremnych szturmów odstąpił z dotkliwymi stratami.

Wnet potem przybył goniec tatarski z propozycją układów i wysłania rotmistrza Drużbica do kosza. Żółkiewski odprawił gońca, wezwał natomiast Drużbica i przedstawił mu sprawę, — Domyślam się, że kałgaj szuka jeno zwłoki, bo czeka na posiłki — rzekł. —• Mogą, mniemam, zatrzymać waćpana.

— Gotówem na wszystko! Oby jeno moja misja dała pożytek! — Dzielnyś kawaler! Ale pomyśl: grozi ci śmierć.

— Takowa groźba nie nowina żołnierzowi.

— Twoja ofiara może uratować wojsko. Bo w czasie układów nastąpi armistycjum 1, a wtedy żołdat nasz odpocznie. — Niczego tak się nie lękam, jako znużenia żołnierzy.

— Wszystko uczynię pro publico bono! — Pięknie powiedziałeś, rotmistrzu! — rzekł z uznaniem wódz. — Szkoda, że całe wojsko tego nie słyszy.

Teraz wezwał z kolei Marka a Stefana i obwieścił im:

— Pojedziecie z panem Drużbicem do kosza tatarskiego. Z onej „polityki” możecie, ostrzegam, już nie wrócić.

•— Przecie my żołnierze, a wojna wre — rzekł Satanowski.

Niebawem trzech Polacy z gońcem kałgają podążyli do kosza.

Hetman długo z narożnika taboru spoglądał za nimi. Potem do późna w noc daremnie czekał na swych wysłańców, podczas gdy wojsko spało kamiennym snem, wystawiwszy tylko nieliczne straże. „Za ich bezpieczeństwo kupiłem chwilę ciszy dla armii” — myślał.

Dniało już, gdy powrócili z poselstwa Marek i Stefan.

— Pan Drużbie uwięziony — oznajmił Jakimowski. — Nas ta! Armistycjum (łac.) •— zawieszenie broni.

2 Pro publico bono (łac.) — dla dobra publicznego.

koż trzymano w zakratowanej kleci. Ale kraty wyłamawszy i pobiwszy strażę, uciekliśmy na porwanych z kosaru koniach tatarskich.

— Niechże was kule biją! Dziw! dziw! A waść, mości Satanowski, widzę, nawet lirę ocaliłeś! — zdumiał kanclerz.

— Tak — odparł rozanielony Stefan. — Jeno mi ją strzała tatarska, gdyśmy uciekali, drasnęła.

— Niesieni nowinę — rzekł Marek. — Nadeszły poganom posiłki. Jakom podsłuchał, mają nastąpić na nas jeneralnie.

Jakoż niebawem na obóz polski runęła ze wszystkich stron istna lawina. Tabor trząsł się od huku, ział ogniem i dymem. Piechota odpierała ataki janczarów, jazda •— spahistów i ordyńców. Zaskoczeni potęgą obrony bisurmanie jęli cofać się w nieładzie. Wówczas husaria spadła żelaznym taranem na mrowie wrogów, rozpraszając je. Nieprzyjaciel poniósł ogromne straty. Polacy zyskali kilka godzin odpoczynku przed nocnym pochodem. Wojsko już tak nabrało ducha, że pomyślny odwrot i szczęśliwą po nim kampanię nad Dniestrem, gdzie o pomoc z Polski łatwo, uważało za pewne.

Nazajutrz rano wojsko znalazło się w głębokim padole. Wokół płonęły wsie, brogi i sterty, nawet stopy, podpalane przez pohańca. Z góry panującej nad padołem artyleria raziła Polaków z armat, podczas gdy janczarowie przypuścili szturm do taboru. Obrońcy odparli kilkakrotny atak. A gdy zdziesiątkowani bisurmanie pierzchli, sami ciurowie wyskoczyli za nimi i siekąc ich niemiłosiernie, wdarli się na obsadzoną działami górę, tu zaś wybili do nogi artylerzystów i piechotę nieprzyjaciela, zagwoździli armaty.

•— Tak się wojuje, mości panowie! — ocenił Żółkiewski na kole starszyny. — Nie herby, lecz męstwo ich zdoła.

•— I porabowane nam rzeczy! — krzyknął któryś z oficerów.

•— Trzeba odebrać czerni nasze dobro! •—• wspomogli go inni.

— Rabusie muszą być ukarani!

Żółkiewski przybladł jak zwykle, gdy był wzburzony, i rzekł:

— Nie mówmy lepiej, kto winien ponieść karę. A dziś dzięki ciurom mamy spokój i wytchnienie.

Jakoż cicho było. Zniesiony wróg zapadł kędyś daleko, a znużeni Polacy odpoczywali na dnie padołu okolonego pożarami.

Ale obrabowani na Cecorze panowie, sami zasługujący na srogie kary za zbrodniczą niesubordynację, nie chcieli zapomnieć o wi nach plebejów. Wymogli na hetmanie obietnicę, że po osiągnięciu Dniestru podejrzani o rabunek ciurowie a lisowczycy zostaną zrewidowani i pociągnięci do odpowiedzialności.

— Dojdę każdego wykroczenia! •— zakończył Żółkiewski.

Tego się nie bali wiedząc, że władza, bardzo surowa dla plebea-nów, łatwo pobłąza szlachetnie urodzonym.

Pojmani przez ciurów jeńcy ujawnili, że bisurmanie chcą ustawiczną pożogą odjąć Polakom zaopatrzenie i uniemożliwić odwrót. Wyznali także, jakoby zdziesiątkowanym wojskom Iskindera-baszy bardzo się dała we znaki niniejsza kampania.

Kiedy tabor ruszył w dalszą drogę, czerwone łuny pożarów urosły po sam szczyt wieczornego nieba. Na maszerującą kolumnę ziało gorąco nie do zniesienia. Dyrn wyżerał oczy, zasychało w gardle z pragnienia, piersi dyszały chrapliwie od żaru i coraz cięższego trudu, stopy parzyły popielisko, po którym trzeba było stąpać. Żołnierze krztusili się, zanosili kaszlem. Niektórzy padali, by wnet zerwać się spod nóg ośleptych od dymu towarzyszy i w męce maszerować dalej i dalej... A nieprzyjaciel szedł za kolumną trop w trop, dręcząc ją bezustannymi napadami.

Ranek odsłonił pola pozbawione roślinności, straszliwą pustkę, po której przeszły pożary i szarańcza. Żołnierz z odrazą deptał złowrogie robactwo, rojące się grubą warstwą na martwej już ziemi, koła wozów i dział gniotły je z chrzęstem, grzęzły w obrzydłej miazdze, płoszyły się konie. Te resztki stepów, które ocalały od żarłoczności szarańczy, stały w ogniu. Armia maszerowała dniem i nocą wskroś nieskończonej pożogi. Nie było już ani chwili odpoczynku: natarcie nieprzyjacielskie trwało teraz bez przerwy. Ramiona mdlały od wysiłku, dłonie parzył muszkiet, konie i ludzie padali od trudu i pocisków, a po ich trupach przetaczała się ruchoma twierdza taboru •— przez pustynię gorejącą żywym ogniem. Wśród bezustannego pochodu i walki nie było ani czasu na posiłek, ani możliwości. Żołdaci wybili wprawdzie trochę koni na pokarm tudzież zabezpieczyli padłe, ale nie mieli opału i nie mogli zdążyć upiec mięsa. Dotkliwiej jeszcze dokuczało pragnienie. Znikąd kropli wody: ni rzeki akurat po drodze, ni studni w pobu-rzonych osadach.

Cały dzień i noc następną nie było chwili spoczynku. Huk wszelakiej strzelby rozsadał głowę. Ludzie padali ze znużenia, głodu, 249.

pragnienia, bezsenności. W marszu przewracali się zasypiając i nie mogli się obudzić, aż dopiero w łykach nieprzyjacielskich. Konie również padały z wyczerpania. Tabor stawał, usuwano z zaprzęgów trupy, pogruhotane wozy i maszerowano dalej — coraz wól- ' niej,

coraz ciężej... Tu a tam ktoś w szaleństwie wrywał się z szeregów, pędził prosto na watahy Tatarów i ginął pod ich szablami lub szedł w niewolę. Tu a tam w obłąkaniu spowodowanym męką i rozpaczą śmiał się ktoś dziko i tarzał po ziemi. Tu a tam ktoś palił sobie w łeb z pistoletu. Na tę garstkę widm o szerniałych twarzach, dyszących gardzielach, błędnych oczach — co chwila zwałała się lawina szabel, kuł i strzał, lawina ognia i żelaza z armat ukrytych w załomach mijanych wzgórz.

• — Pić! pić! — jęczeli żołnierze z obłąkańczym szlochem.

Jedni chłeptali krew ubitych koni, inni walczyli o dostęp do byle kałuży, niejednokrotnie powstałej z moczu końskiego, lizali błoto, ssali zgnojone, stratowane źdźbła trawy...

— Dzieci! — wołał do żołnierzy wódz, sam wynędzniały, chwiejący się na siodle. — Zaraz rzeka Reut. Ugasimy pragnienie! Jeszcze dwie mile do ojczyzny! Ona wynagrodzi nam udreki.

Ale wróg nie dał dostępu do rzeki. Bił z armat, olbrzymią lawiną runął na tabor. Tysiące rozwierzganych kopyt końskich wzbijały taką kurzawę, że człowiek człowieka nie dojrzał przez żółtawą poémę, słońca nie było widać, ludzie i konie krztusili się, dławili... Kule armatnie druzgotały wozy, siały śmierć, wzbijały ogromne chmury pyłu... Tabor również bluzgał ogniem na baterie nieprzyjacielskie, szarżującą konnicę i janczarów... Wróg, liczniejszy wielokrotnie od udrezonej armii polskiej, począł się cofać, jego działa milkły. Kurz stopniowo rzedł.

Nagle zza żelaznej obręczy taboru runęły na bisurmanów gromady ciurów z przerażającym wrzaskiem:

— Bij! Mordu j!

Jedni konno, inni pieszo dopadali pierchających pogan, berdy-szem lub szablą podcinali nogi ich koniom i upadłych rznąli bez miłosierdzia, w rozpacz, wściekłości, szale bojowym.

— Bij! Morduj!

Poganie, oszołomieni furją napastników, klękali błagając o litość. Daremnie. Od rzezi poczerwieniały piaski i gliniaste brzegi rzeki Reut, nareszcie uwolnione od nieprzyjaciela. Nie bacząc na spływające z prądem trupy, Polacy rzucali posterunki, padali na brzegu i chłeptali wodę aż do utraty tchu. Konie również rwały się do picia. Ale przytwierdzone do skutych żelazem wozów, nie mogły się uwolnić. Zanim przyszła i na nie kolej, rzały boleśnie, chrapały.

Ugasiwszy pragnienie wojsko zapadło w kamienny sen: na brzegu rzeki, w błocie, na trupach towarzyszy, w obozie i na zewnątrz niego — gdzie popadło. Był to sen straszny, podobny do agonii.

Po kilku godzinach, gdy nadszedł wieczór, należało maszerować dalej. Żołnierzy nie można było dobudzić. Niektórzy pomarli we śnie, niektórzy wili się w skurczach konania — od trudu, surowej koniny, zgniłej wody. Jednych brano na wozy, drugich zostawiano „na łasce boskiej”. Ledwo hetmani postawili armię na nogi.

— Jeszcze kilka godzin! — pocieszał Żółkiewski. — Pokonaliśmy wroga. Jeńcy zeznają, że jutro nieprzyjaciel wycofa się na południe, zwątpiwszy w zwycięstwo. Skończą się udreki!

Znowu, gdy rozpoczął się pochód, wojsko opadła konnica nieprzyjacielska, od tyłu nękali ciągłym ostrzałem muszkietowym janczarowie. Ponownie nastąpiły godziny strasznych cierpień. Żołnierze konali w walce, i ze śmiertelnym wyczerpaniem, i z wrogiem.

O świcie wojska przebyły rzekę Kobeltę i jej brzegiem szły aż do południa. Konnica nieprzyjacielska nie nacierała, tylko od tyłu muszkiety janczarskie dawały się we znaki. Ale i tabor kąsał dotkliwie piechotę wroga —• sam krwawiąc szedł po trupach.

— Naprzód! Już niedaleko! —• wołali hetmani. — My padamy, ale i bisurman nie z żelaza.

Lada chwila boju poniecha.

Wojsko stanęło nad Kobeltą. Nie odpoczywało jednak, lecz gotowało się do bitwy, acz żołdaci mdleli w szeregach. Wróg nie nacierał, ukazując się ledwie tu a tam na horyzoncie.

—• Bisurman, który za jednego Polaka tuzinami poległych płaci, upadł na duchu. Żołnierze! To wiktoria! — wołali hetmani.

Ale był gorszy od bisurmana wróg: brak snu. Chorągwie topniały. Ludzie leżeli na ziemi i krzyk ni potrząsanie obudzić ich nie mogło. Zasyпали w marszu, spadali we śnie z koni. Po koszmarnej nocy męczeńska armia podeszła w pobliże płonącej wsi Serwirni. Tutaj znów nastąpił zmasowany atak nieprzyjacielski. Zdawało się, że garstka mdlejących obrońców zostanie zniweczona przez wielokroć liczniejszych napastników. Ale nie. Natarcia zostały krwawo odparte. Nieprzyjaciel cofnął się daleko i tylko ordyńcy z dala śledzili niewyciężoną twierdzę polską.

•— Wiktoria! — wołali hetmani. — Wiktoria!

Ale mieli przed sobą tylko półżywych nieszczęśliwców, zrozpaczone, omdlałe istoty, nieświadome swej siły.

— Jeśli dziś nie dojdziemy do Dniestru, daremny trud wasz śmiertelny! Do Polski ostała mila! Dziś dojsć musimy!

Daremne rozkazy i apele, daremne prośby i groźby. Sen był władniejszym rozkazodawcą. A ci, co jeszcze nie zasnęli, szemrali. Czeladź zwłaszcza maglowała uporczywą pogłoskę, kursującą od kilku dni, że starszyzna rozprawi się nad Dniestrem z tymi, co rabowali namioty owej strasznej nocy na Cecorze. Aż i wśród rycerstwa podniosły się szemrania, że skoro Dniestr tuż i nieprzyjaciel przycichł, odpoczynek dłuższy trzeba zarządzić.

Hetman schronił się do pałatki, położył na barłogu. Omdlewał już z trudów ponad starcze siły, a groźba ponownego buntu przywodziła go do rozpacz. Wszystkie zwycięstwa, odnoszone przez pół wieku — Rewel, Kłuszyn i inne — zdawały się niewarte tej jednej potrzeby nieszczęsnej. Rozpacz towarzyszył strach przed osądem narodu, króla, historii. Nie, po Buszy, Oryninie i Cecorze nie wolno mu wracać do kraju! Wezbrała pierś starego wodza bólem. Nie umiał zapobiec niebezpieczeństwu, zaważyć wrogom drogi, nagrodzić armii sławą za jej straszną ofiarę.

Wyszedł z kwatery, złakniony tchu. Otwartymi usty chłonał rzeźwe powietrze wieczoru. W wartownikach strzegących pałatki poznał Jakimowskiego i Satanowskiego.

Niebo zaciągnięte było purpurowymi łunami. Obraz to zwykły od siedmiu nocy. W nozdrza biła woń spalenizny, stąd i zowąd — zaduch trupi. Nieliczne ogniska żołnierskie, nieliczne straże...

Wnet hetmana zoczyli oficerowie •— ciżba niespokojna, groźna. Cofnął się do namiotu. Weszli za nim. Kazał pachołkom wnieść zapalone pochodnie. Panowie otoczyli stół, na którym leżała wielka mapa Mołdawii. Jastrzębimi oczami uderzyli w wynędzniałą twarz wodza. Na szczęście ukazał się w wejściu Konięcpolski, który jakby wyczuł, że starzec potrzebuje wsparcia.

— Mości panowie! — rzekł twardo Żółkiewski, okrzepły nagle w sobie. — Jeszcze dziś musimy, musimy stanąć nad Dniestrem!

Tam, na naszym pograniczu, łącno zaopatrzenie dostać i za okopami się bronić, gdy tu obrona trudna i odpoczynek niemożliwy, — I moje to zdanie! — opowiedział się Konięcpolski.

Zakrzyczano hetmanów: nie mogło być już mowy o subordynacji wojskowej. Stali naprzeciw siebie nie wodzowie i ich podkomendni, lecz skłócona, złamana klęskami i rozpaczą gromada rozbitków.

— Każdy niech uchodzi na własną rękę! Nie ma innej rady!

— Wytchnąć trzeba!

—• Nie! W nocy ruszamy dalej!

—• Do jutra czekać należy, by od czerni odzyskać porabowane mienie, a potem, za Dniestrem, pokarać ją sprawiedliwie.

Wreszcie między sobą jęli się wadzić oficerowie. Atoli wielu popierało zdanie hetmanów. Przemogli jakoś malkontentów.

Śmiertelnie znużony Żółkiewski został sam. Otarł pot z czoła, pociągnął tęgi łyk wina. Długą chwilę siedział z zamkniętymi oczyma na ławie, oparty plecami o słup podtrzymujący pałatkę.

Po krótkim odpoczynku napisał list do żony.

Miłościwa jejmość pani a pani małżonko ma, sercem ukochana ł wieczyście miła!

Tak było :i tak będzie, aby prawość i sława narodu naszego nie zaginęła, Pan Bóg wszechmogący dopuszcza utrapienia, by ciało w wojnach hartować i umysł zaprawiać do dzieł rycerskich... Jam pewien, że wasz-mość ukochana i miła małżonka, czytając to moje pisanie, nie będzie żalić starca i sił mych, a chociażby i życia dla obrony Rzeczypospolitej i chrześcijan. Toż to pociecha będzie sercu memu. Tu, w obozie mym, jakby rokosz powstał, tak się rycerstwo spiknęło, by na własną zgubę, i chcą koniecznie odchodzić od sprawy, że onych ledwo uhamować mogłem... Przetoż nie turbuj się waszmość,' najukochańska małżonko... a choćbym i poległ, toż ja stary i na usługi Rzeczypospolitej niezdatny, a Pan Bóg wszechmogący da, że i syn nasz, miecz po ojcu wzięwszy; na" karkach pogan zaprawi i chociażby tak było, jak i rzekłem, pomści, się krwi ojca swego. Na wypadek jako bądź, załączam waszmości... miłość dla dziatki, pamięć na me zwłoki, bo je styrałem ku usłudze Rzeczypospolitej. Co Pan Bóg chce ze swej łaski dać, niech się stanie,.. Z tym mnie modlitwom ł łasce waszmości... polecam i dziatki nasze na Pana Boga pamiętać upominam. Dnia 6 października 1620 roku Jejmości do zgonu kochający małżonek i ojciec Stanisław Żółkiewski hetman w.k.

Zasypał piaskiem mokre od inkaustu pismo, a wezwawszy posłańca, który mu przyniósł był list od żony, wysłał przezeń swój.

— Kiedy jejmość pani małżonka moja czytać to będzie — powiedział do niego — my już albo nad Dniestrem wroga bić zaczniemy, albo — nie dokończył, głos mu wygasł całkiem.

Po odjeździe gońca wezwał o. Wybirka i wyspowiadał się/

— Zali gotujesz się na śmierć? — zapytał spowiednik.

— Na śmierć lub największe zwycięstwo mego żywota...

— Umrę wraz z waszą wielmożnością — rzekł z uczuciem Wy-birek — jako żołdat u boku hetmana!

— Tyle wojen odprawiliśmy razem! Oby ta nie była ostatnia!

Żołnierzy ledwie obudzono i zmuszono do działania. Niestrudzeni hetmani sprawiali szyki.

— Zataczać tabor! — zabrzmiała komenda.

— Zataczać tabor! •— powtórzyli oficerowie.

Ale zgryza malkontentów opadła hetmanów i żądała przedłużenia postoju do jutra, aby odebrać czeladzi zrabowane rzeczy.

— Panowie! — wołał ze zgrozą Żółkiewski. — Maszerujmy!

— Nie ruszym z miejsca chorągwi!

Żółkiewski, przerażony groźbą nowego buntu, zgodził się na rewizję u ciurów, ale dopiero nad Dniestrem.

Żądania panów w lot dotarły do czeladzi u czoła formowanej kolumny marszowej. Ciurowie stawili opór panom i oficerom. Zataczany tabor zwichrzył się. Ciurowie wyrwali wozy z ciągów, rabowali je, odprzęgali konie i dosiadali ich, po czym ślepo uciekali w głąb nocy. Za nimi poszła część lisowczyków i rycerzy poważnych znaków. Wierni hetmanom oficerowie z szablami wpadli na uciekinierów. Polała się krew. Ale mimo ciosów ciurowie dalej odcinali konie, spychali z wozów rannych i chorych, mordowali ludzi przeszkadzających im i w dzikim popłochu gnali ku Dniestrowi. Straszliwy krzyk walczących, kwik koni, łoskot druzgotanych w ciemnościach wozów, bezładna strzelanina, wybuchy prochów, na które padł ogień —• wszystko to czyniło potworny hałas.

Żółkiewski stał zrazu nieruchomo, trupio blady, jakby nie rozu miał, co się dzieje. Potem usiłował wstrzymać falę rozrywającą obóz. Daremnie.

Tabor przestał istnieć, zamieniony w - rumowisko wozów bez koni. Zwarte oddziały przestoczyły się w bezładne gromady, w bandy rozszalałych złoczyńców. Rozbiegane konie bez jeźdźców potęgowały zamęt, tratowały rannych żołnierzy, kwiczały dziko.

Wokół hetmanów zebrały się resztki chorągwi porucznika Zło-topolskiego i innych, garstka oficerów, jezuici, lisowczycy.

— Jedyne wyjście to uformować mniejszy tabor — radził pułkownik Marcin Kazanowski.

— Komunikem iść, wozów poniechawszy! — wołano.

Spory zwichrzyły tę gromadę zrozpaczonych ludzi. Na próżno niektórzy próbowali spełnić radę Kazanowskiego. Koni i żołdatów było coraz mniej.

Nagle do hetmanów przypadł cwałem Jakimowski i krzyknął:

— Tatarzy idą od rzeki Kajna!

— Do broni! •— skomenderował Żółkiewski.

Spośród otaczających go ludzi część znowu uszła, ale reszta uderzyła na Tatarów dopadających już tyłu zwichrzonego taboru. W krótkiej walce za kilku poległych obrońców zapłacił pohaniec setkami zabitych. Podczas tej walki na tyłach taboru ciurowie i rycerze u czoła odprzęgali konie od wozów i uciekali. Ledwie lojalnym oficerom udało się powstrzymać topnienie resztek.

Po odparciu napadu i pohamowaniu ucieczki Żółkiewski zgromadził znów koło siebie pozostałych żołnierzy.

•— Trzeba obyczajem kozackim pobatożyć 1 konie i maszerując za nimi ostrzeliwać napastników — domagała się większość.

Zgodzili się hetmani. Ale gdy wydano rozkazy, wielu ciurów i rycerzy, pobrawszy konie do batożenia, wsiadało na nie i uciekało. Atoli inni wykonali plan. .

Beładne watahy ruszyły szeroką falą za pobatożonymi końmi zostawiając za sobą rumowisko taboru. Na jasnym horyzoncie nocnym, na tle nieba, widać było ciemną, ruchliwą masę Tatarów: sunęli w ślad i po bokach wojska polskiego, gotowi do napaści.

Nagle rozdarł noc krzyk straszny, przesywający jak świder:

— Hetmani uciekają! Hetmani uciekają!

Batożyć konie — wiązać je z sobą uździenicami w szereg.

— Ludzie, na Boga ukrzyżowanego! Oto jestem! — odkrzyknął w ciemność Żółkiewski. •—

• Jesteśmy! Opamiętajcie się!

W świetle pochodni zsiadł z konia i przebił go szablą na znak, że nie myśli o ucieczce.

— Nie pożałowano mi żadnego upokorzenia — szepnął. — Nie słuchają wodza swojego, więc pogina. A jeno mila do Polski.

Osłabiony, chwiał się na nogach. Wsparty jedną ręką na Ku-rzańskim, drugą na Złotopolskim, kulejąc bardziej niż zazwyczaj, szedł ku Dniestrowi. Przodem kroczył Koniecpolski. Za tą czwórka jechał wóz z rannym synem kanclerza, a po obu stronach zaprzęgu maszerowali Jakimowski, Satanowski i Sielecki oraz jezuita Wy-birek. Ten orszak otaczało kilkuset rycerstwa.

Zadudniła nagle ziemia i zabrzmiał dziki krzyk:

— Ała! Ała! Ała!

Tatarzy, gnając lisowczyków, runęli w chaos ginącego taboru i wycięli w pień myszkujących tam jeszcze rabusiów. Za czym pomknęli ku uchodzącym z hetmanami oddziałom. Jeno ludzie hetmańscy szczepili się z Tatarami w śmiertelnym boju, inni uciekli. Hetman Koniecpolski, ile strzał w kołczanie, żadnej darmo nie puścił, jeno z siodeł zwał ordyńców jednego po drugim.

Hetmanom pozostała już tylko gromadka jedenastu osób.

Armia polska przestała istnieć.

Rozbitkowie szli po ziemi usłanej trupami, kadłubami pogruchotanych wozów, szczątkami broni. Żółkiewski tracił siły. Wtedy syn jego, Jan, jadący z tyłu na wozie dla rannych, polecił odprę-gnąć konia i przez Jakimowskiego przysłał go ojcu.

— Odpowiedz synowi mojemu — rzekł wódz — że gdzie owce giną, tam winien i pasterz, boby go spytano: „Kędyś podział owce?”

— Siadaj, panie, na miłość Boga jedynego! — zaklinał Konięcpolski. —• Potrzebnyś ojczyźnie bardziej niż ktokolwiek!

— Siadaj wasza wielmożność! — wołali inni.

— Nie! •— odparł Żółkiewski twardo. — Miło mi przy was umierać. Niechaj Pan Bóg nade mną wyrok swój, który uczynił, kończy.

Po pewnym czasie Konięcpolski znów podał mu konia.

— Proszę cię, ty wsiądź nań a uchodź — odpowiedział Żółkiewski. — Niechaj szczęśliwy los zachowa cię na usługę Rzeczypospolitej, a ja swym tułowiem zawalę wrogom drogę do ojczyzny.

— Siadaj! — krzyknął Konięcpolski słysząc tętent z tyłu.

Razem ze Złotopolskim i Kurzańskim wsadzili przemocą starego wodza na kulbakę. •—•

Żegnaj, Stanisławie! — szepnął Łzawo Kurzański.

Od tyłu nadbiegł z tętentem i krzykiem oddziałek jazdy polskiej, ściganej przez ogromny czambuł Tatarów. Koń kanclerza spłoszył się i poniósł, porwany falą zbiegów. Za nim pocwałowali Stefan, Marek, ksiądz Wybirek i rotmistrz Denhof.

Konięcpolski zaciął zęby i począł znowu szyc z łuku spokojnie, jak na popisie, w nadciągającą émnę tatarską. Ile razy brzękła cięciwa i w mdłej poświacie księżycowej świsnęła pierzasta strzała, tyłu Tatarów spadało z siodła lub konie ich, ugodzone w biegu, waliły się z rozdzierającym kwikiem na ziemię. Ale wreszcie on sam, trafiony bisurmańskim pociskiem, padł ranny i otoczyła go wnet wrzaskliwa zgraja ordyńców.

Tymczasem Żółkiewskiego i jego towarzyszy ogarnęła chmara konnicy: Tatarzy, Czerkiesi, Turcy. Rozpoczął się bój, tym okrop-niejszy, że toczony w milczeniu. Brzmiał tylko tętent kopyt i nóg, jęki rannych i ginących, szczęk broni.

Jakimowski, Satanowski i Denhof nie odstępowali wodza. Cięciom jego szabli towarzyszyły ciosy ich oręża. Z morderczą sprawnością obalali ludzi i konie. Wśród strasznego szmeru walki co raz rozbrzmiewał wysoki, błagalny głos księdza Wybirka:

— Boże, bądź miłościw nam grzesznym! —• Boże, bądź miłościw nam grzesznym!

Wybirek zsiadł był z konia i klękawszy niemal u stóp hetmańskiego rumaka, powtarzał swe posępne zaklęcie. On padł pierwszy. A wnet po nim zwałił się z konia Denhof z okrzykiem:

— Niech żyje Rzeczpospolita!

I hetman zachwiał się w siodle: kilka szabel zrąbało mu pierś.

Marek i Stefan ze wzmożoną furią runęli na atakujących Czer-kiesów i Tatarów. Rozpędzili ich watahę, strącali z siodła dziesiątki wojowników, sami nie tknięci, acz zbryzgani krwią.

Rozpacz i sztuka szermiercza czyniły ich niezwycięzonymi.

Zadawszy jeszcze parę ciosów hetman runął z siodła głową w dół. Marek skoczył na ziemię i chwycił go w ramiona. Poczuł Cała ta scena i wypowiedzi Żółkiewskiego są autentyczne.

«

17-

' Kawaler złotej ostrogi na rękach krew gorącą, obfitą. Odwrócił hetmana twarzą do księżycowego światła. Siniejące lica, białe włosy, z których spadł kołpak, odrąbane prawie zupełnie prawe ramię, rżące piersi, roz-orane żelazem. . Rżenie przeszło w charkot, konwulsje zatargały ciałem.

Marek ze zgrozą wpatrywał się w gasnącą twarz wodza, niebaczny na to, co się w pobliżu niego dzieje. Łkanie bez łez wstrząsnęło jego potężnymi barkami. Nie widział ani

rozpaczliwej walki towarzyszy, ani ucieczki pogan, ani nadejścia Stefana, jeno udręczone ciało hetmana, które naraz znieruchomiało.

Wokół panowała teraz pustka i cisza. Niebo kryła łuna. W oddali brzmiała palba i zmieszane głosy, głucho tu, jakby nierzeczywiste. Poczzerwieniały od łun księżyc rzucał krwawą poświatę.

Marek i Stefan ułożyli ciało wodza na zdeptanej murawie koło zwłok księdza Wybirka i jęli odmawiać modlitwę za zmarłych...

Nie dokończyli. Zerwali się z klęczek. Opadła ich bowiem wataha spahisów. Śmierć kosiła Turków jednego po drugim. Straszliwe męstwo i siła bosmanów królewskich zmieszały pogan.

Marek poznał w dowódcy Kara Nuruma, kapudana spahisów damiatyńskiego mudira Kassimbega. Podciął szablą nogi jego konia, a gdy ów zwałił się wraz z jeźdźcem, wzniósł oręż, by odrąbać łeb kapudana. W tej samej chwili spętało go kilka arkanów. Runął na ziemię. Zerwał się i legł znowu, szabla wypadła mu z rąk. Rzuciło się nań kilkunastu spahisów, a jeden usiadłszy mu okrakiem na piersiach, wyjął nóż i przyłożył mu do gardła. Ale Kara Nurum powstrzymał rękę spahisa, mówiąc doń coś po tu-recku.

Stefana spotkał los podobny. Spętano im nogi tak, by mogli iść, ręce związane z tyłu. Dwaj spahisi siedząc na koniach trzymali końce powrozów krępujących jeńców.

O świcie oddział ruszył. Przed końmi gnano Marka i Stefana. Obejrzelisi się na zwłoki Żółkiewskiego, leżące na wydmie podobnej do grobowca. Zdało im się, że wraz z wodzem i armią tu zniszczoną zginie Rzeczpospolita.

W ZIEMI EGIPSKIEJ W DOMU NIEWOLI II W miarę jak maszerowali na południe, ocieplało się stale. Koło Stambułu było już tak ciepło, jak w Polsce pod koniec lata. A przecież kończył się listopad. Przed kilku dniami Turcy obchodzili swój muzułmański Nowy Rok 10301. Pod Stambuł kolumna jeńców w eskorcie konnicy zaszła na początku grudnia. Tutaj oddzielono od niej znaczniejsze osoby, jak księżę Korecki, hetman Koniecpolski, pułkownik Farensbach, obaj młodzi Żółkiewscy i inni.

Idąc z Markiem i Stefanem Piotr Sielecki rzekł zawistnie:

— Takim panom wszędzie dobrze. Niebawem familie wykupią ich za ciężkie dukaty. A ty, człeku, zdychaj u bisurmanów!

— Jak Bóg da, bracie — mruknął dobrodusznie Satanowski.

— Waćpan to się powinienes Anielski zwać, a nie Satanowski — powiedział Sielecki z przekąsem. — Zawdy ci dobrze.

— Jeśli nas do Stambułu wprowadzą, uciekniemy. Nie spętają nas, skoro dotąd tego nie uczynili — szepnął Jakimowski.

Ale nie wprowadzono ich do Stambułu, otoczonego potężnym murem, zjeżonego wieżami i kopułami. Zatrzymano kolumnę na równinie przed zachodnim krańcem miasta, wśród namiotów, szałasów i budynków wojska. Tutaj oddział jeńców Kara Nuruma został odłączony od innych, które pomaszerowały dalej, i zakwaterowany w kilku szałasach pod strażą.

Ledwie się jego cecorczycy ulokowali, Kara Nurum zwołał przed 1 Nowy Eok muzułmanie święcą pierwszego dnia miesiąca Muharrem, czyli pierwszego miesiąca roku księżycowego (354—5 dni). W r.-1620 n. e., PO kłesce cecorskiej, muzułmański Nowy Rok przypadł na koniec listopada.

szałasami zbiórkę. Przekazawszy ich jakiemuś brodaczowi w odzieniu majtka i w zielonej chuście na głowie, jak to naszają regularni bosmani lub korsarze, dosiadł konia i odjechał. Majtek przeszedł przed frontem oddziału. Każdemu zajrzał w gębę niby wódz na przeglądzie. Widać, że żołdat z profesji. Skończywszy przegląd, ku zdumieniu wszystkich przemówił po polsku:

— Ja ninie z wami potańcuję. Dostojny kapudan Kara Nurum kazał mi ostro z wami. Będzie ostro, jeśli zajdzie potrzeba. Będzie miękko jako u matuli, jeśli okażecie rozum.

Głos miał iście żołdacki: dziarski, donośny, groźny. Atoli przybierana sroga mina jakoś nie przerażała jeńców.

— Siadać! — skomenderował przyjrzawszy się ich mizerii. Rzucili się na trawę. Trudy, odparzone w długim pochodzie nogi i inne części ciała, nędza, rozpacz — to wszystko odbierało . moc. Niektórzy od razu usypiali, drudzy żuli z głodu czy pragnienia zwiędłe żdźbła trawy, inni patrzyli tępo w ziemię.

•—• Kazałem siadać, a nie leżeć! — zagrział znów Turek. — No, ale niech tam! Leżcie i słuchajcie, co powiem! Ja nazywam się Sa-far i jestem majtkiem na „Ak-Kałkan”, przedniej galerze kole1 jego wspaniałości Kassim-bega (oby żył wiecznie!).

•— A co z nami będzie? — zawołał Jakimowski.

•— Wystąp ten, który mówi! •— huknął Safar. — Do mnie!

Marek leniwie podszedł do niego.

— O! chwyt z ciebie! — zawołał Safar. — Tyś może był między tymi, co przy „kulawym diable” do końca wytrwali?

— Tak — odparł w ponurym zamyśleniu Marek.

—• Podobno we dwu dziesiątki naszych wybiliście. Lubię takowych. A twój komiliton? Satanowski podszedł do rozmawiających. Na jego widok Safar znowu się zdumiał:

— Istne dęby, no! Kędyż to takich płodzą i hodują? Jeno orać wami! A co to masz na ramieniu, baranku?

— To lira, którą mi pozwolił mieć i sam beg, i Kara Nurum.

— Takiś grajek? Zagrajże no!

Satanowski zawahał się. Przeszło mu przez głowę, że grać przed bisurmańskim dozorcą jenieckim to może poniżej rycerskiej godności. Ale w końcu zdjął instrument z ramienia, nastroił i uderzył w struny. Po kilku biegnikach 1 zaśpiewał:

Czuj-duch! Hej, bosmani! Wróg lonty zażega I z armat czterdziestu daleko od brzegu Zaprasza w tan!

Pal! ognia po stokroć! — za tany w podzięce! Burt wrażeń się czepić! topory wziąć w ręce! Bosman to pań!

— Skąd u ciebie bosmańska pieśń? Byłeś bosmanem?

— I bosmanem, między innymi profesjami, Bóg mi kazał być.

— I na koniec niewolnikiem tureckim •— zaśmiał się Safar.

Podszedł nagle do niego grubas o gębie jakby naoliwionej, również majtek, w czerwonej chustce na głowie. Po rozmowie z Sa-farem jął przyglądać się niewolnikom. Nieznacznym a upokarzającym ruchem wskazującego palca polecał wstać wielu jeńcom. Kto nie zrozumiał tego ruchu czy zbyt powolny, otrzymywał smagnięcie biczem albo kopniaka. Przybysz odznaczał się dziwną właściwością: miał stały uśmiech na twarzy, nawet przy zadawaniu razów.

— Jeśli mnie smagnie, skręcę mu kark i zginę — szepnął Marek.

— Nie czyn tego, na Boga! — zaklął Sielecki. — Postawiliby nas wszystkich pod lufy.

Jakimowski wziął to pod uwagę. Na gest grubasa wstał bez oporu. Jego wzrost i groźna twarz uczyniły na Turku wrażenie. Wycofał się z cizby jeńców, a po rozmowie z Safarem odszedł.

— Nie daj bóg podpaść takiej kanalii! •— szeptali jeńcy..

— Ode mnie przejmie was szyper Mustafa (ten, co tu był przed chwilą) — oznajmił Safar. — Radzę wam jego myśli w lot zgadywać.

— Turek, a do Turka niepodobny — zauważył Sielecki.

— Bo Mustafa nie Turek, jeno Neapolitańczyk. Allach (przenajświętsze jego imię) go oświecił i nakłonił do przyjęcia naszej wiary, wiary prawdziwej, a porzucenia chrześcijańskich zabobonów.

1 Kolej — konwój statków, flotylla, 1 Biegnik — pasaż, szereg tonów szybko po sobie następujących, melodyjne przejście.

— O, bodaj cię! — mruknął Marek.

Aż nadszedł pocziwy Halim z kilkoma innymi żołdatami, co w drodze dozorowali jeńców. Oznaczało to bliski posiłek. Poweselili więc wszyscy/ Halim wybrał kilku jeńców do noszenia kotłów ze strawą i mis, po czym oddalił się wraz z nimi.

Jakimowski podszedł do Safara i rzekł:

•—• Powiedz mi z łaski swojej, gdzie jesteśmy.

— Pod murami stolicy świata: Stambułu. Niech wasze ślepe oczy zobaczą ten cud! Stoimy na płaszczyźnie Daud-Pasza, gdzie padyszach, pan królów, błogosławiony przez Allacha, trzyma swe niepokonane wojska niby wierne charty na smyczy.

— A co z nami będzie?

— A co może być z niewolnikami? — parsknął Safar. — Jedni do czyftlików 1, drudzy do kopalń, inni na galery...

Kilkanaście dni stacjonowali na równinie Daud-Pasza.

I tu wreszcie przyszła zima: trochę śniegu, co topniał, nim do-sięgnął ziemi, przymrozek. Ale po kilku dniach znowu pocieplać. Turcy mówili, że tutaj też bywa czasem sroga zima, ale tego roku jakoś oszczędzała miłe Allahowi ziemie.

Pewnego dnia, po pobudce, Sielecki nagle ogłosił:

— Bracia! Dziś Wigilia!

Nie mógł więcej mówić. Odwrócił się szybko od towarzyszy i ukrył twarz w łachmanach, które przywdziewał. Niektórzy za-łkali. Nie czas był jednak na sentymynty, na płacze...

Niebawem kolumna jeńców Kassimowych pomaszerowała pod przewodem Mustafy na północ, okrążyła Stambuł i znalazła się •u ujścia rzeki Ali-Bei-Su do zatoki Złotego Rogu. Tutaj załadowano ich na galerę. Za trapem czekał już na nich Safar i basował, gdy weszli:

— Macie honor być na „Ak-Kalkan”, przedniej galerze jego wspaniałości bega Kassima (oby w sławie chodził, niby w słońcu!). Tą nawą raczył kiedyś płynąć sam padyszach, potomek Proroka! Ninie zaś wy, nędzne pachoty. Winnicie pokład całować, po którym stapały jego święte stopy. A nie całować, to lizać! Zrozumiano!

1 Czyftlik (pers.-tur.) •— folwark, majątek ziemski.

Domyślili się. Tym lepiej, że Mustafa już kogoś strugnął harapem, wskazując jednocześnie wiadra, szmaty, szczotki.

Jakimowski, nim zaczął mycie pokładu, podszedł do Safara.

— Zapowiedz tej bryle sadła, Mustafie, i innym kompanom — ostrzegł ponuro — że jeśli który mnie tknie, rozmaślę go na pokładzie jak żabę, zanim sam polegnę.

Safar podszedł do poturczeńca Mustafy, majtka Abdula i Hali-ma, dozorujących mycie pokładu wedle grotmasztu. Powtórzył groźbę Marka. Zapalczywy Abdul, suchy, podobny do sępa, chciał biec z harapem do Jakimowskiego. Mustafa powstrzymał go i sam z biczem postąpił ku zuchwałemu Polakowi. Safar chwycił go za rękaw.

•—• Nie waż się! — ostrzegł. — Popłynie krew. To przecie tygrys! Może wybuchnąć bunt, bo to z Polakami sprawa, którzy nawet przeciw swym królom się burzą. Poza tym jego wspaniałość Kassim-beg (oby żył wiecznie!) zalecił łagodność wobec jeńców, a Satanowskiego i Jakimowskiego zastrzegł do swojej osobistej posługi. Satanowskiemu trzeba nawet zostawić lirę, albowiem uzyskał na to zezwolenie dostojnego bega. Podobno to znaczny pan, a panowie, na całym świecie umieją cenić szlachetną krew, bo też i kosztuje ona drogo. Pomnicie onego dona hiszpańskiego? Podobno za niego Hussein-basza dostał sto tysięcy pia-strów okupu! A ile za hetmana Koniecpolskiego będzie?... No, ale wróćmy do naszych kafirów 1. Wszystkich możesz, mości szyprze, przykuć do wiosł, jeno tych dwu nie: taka wola jego wspaniałości.

•*

— Wola ich dostojności jest dla mnie święta (oby wielki Allach złocił im losy!) — rzekł Mustafa pochylając głowę, jakby wybijał salam 2. •— Aliści gdyby raczyli ją odmienić, ci dwaj kafirowie pożałowałiby, że ich matki na świat wydały.

— Warn się narazić, mości szyprze, to już lepiej Eblisa 3 spotkać — rzekł naiwnie dobroduszny Halim.

— Nie zaprzeczę — odparł Mustafa szczerze. — Ci dwaj do 1 Kafir (tur.) •— niewierny, chrześcijanin; po arabsku: giaur.

2 Salam (arab.) — salamy. powitania; np.: pokłony połączone z trzykrotnym przykładaniem palców do czoła, ust i piersi.

3 Eblis — główny czart, Belzebub, w mitologii rei. muzułmanów.

pojazd1 nie pójdą, atoli skuć ich muszę i trzymać w kubryku2 po wypłynięciu na morze, boby tu jeszcze harce jakoweś czynili.

— Skuć ich możesz, albowiem nie było zakazu. Tymczasem Marek szorując pokład mówił wściekle do Stefana:

— Za takie pomiotła dzień w dzień będziemy u bisurmanów. Patrzą j, ile naw w zatoce! Różne flagi: francuskie, hiszpańskie, angielskie, niderlandzkie... Można skoczyć z burty w wodę i dopłynąć na przykład do 'tego trójmasztowca francuskiego.

Jakoż Złoty Róg bielił się żaglami, mrowił mnóstwem naw: najeżone działami fregaty; wielkie galery; smukłe tartany „wiatrem chodzące”; brygantyny o dwu rzędach pojazd; pękate galio-ty; wąskie, szczególnie żaglami uskrzydłone karawele; szkunery; czworogranne karamzały o wyniosłych rufach; nawet niezdarne dhau arabskie znad Oceanu Indyjskiego; tudzież pomniejszy drobiazg wodny — komięgi, dubasy, szkuty, zwinne łodzie i czółna rybackie...

— Skaczemy! — syknął Marek stanąwszy z druhem u zabrodła3.

— Skaczemy! — powtórzył jak echo Satanowski4.

W tej samej chwili opadła ich zgraja majtków a żołdatów. Skuwszy im ręce i nogi, zawlokła ich do kubryku, tam zamknęła na klucz i wróciła na pokład. Tu królował Mustafa. Co chwila zacinał kogoś harapem, skopał jeńca. Wobec jego okrucieństwa, ci, co popadli pod dozór Safara i Halima, czuli się uprzywilejowani.

Po ochędożeniu pokładu i kabestanu4 Mustafa część jeńców wysłał do podstołecznego majątku Kassim-bega. Resztę zaś, stu osiemdziesięciu Polaków, zapędził pod pokład i przykuł do pojazd. Zastali już tu wielu galerników przy wiosłach: dwudziestu dwu Turków skazanych za ekscesy przeciw władzy, czterestu Moskwy, trzech Greków, dwu Angielczyków, Włocha. Wszystko brodate, ponure, brudne, w łachmanach. Przybyszów witali bez słowa, złymi spojrzeniami.

Mustafa rozkazał Safarowi przemówić do nowych wiosłarzy.

1 Po jazda — długie wiosło, poruszane przez 4 lub 5 wiosłarzy.

2 Kubryk — na przedzie okrętu pomieszczenie dla załogi.

3 Zabrodło — parapet burty.

4 Kabestan — winda okręt.; kołowrót do wyciągania kotwicy.

— Bądźcie sumienni w pracy, którą wam Allach wyznaczył — rzekł Safar. — Otrzymacie w zamian wyżywienie. O głupstwach nie myślcie, bo tu wasze życie i wasza śmierć...

Zgroza malowała się na twarzach skazańców.

Kassimowa kolej galer podniosła kotwice i mimo wzburzonych wód wypłynęła ze Złotego Rogu na Morze Białe 1.

Marek i Stefan z za przepierzenia słyszeli, jak jedna zmiana majtków i galerników kładzie się spać w kojach 2, druga zaś wstaje objąć służbę. Marek przez bulaj 3 wyglądał na niebo.

— A słowo ciałem się stało! — wykrzyknął nagle. — Jutrzenka! Gwiazda betlejemaska!

Satanowski usiadł na słomie. Po ciemku zmacał struny liry, po czym zagrał i zaśpiewał znaną kolędę Piotra Skargi:

W żłobie leży. Któż pobieży Kolędować Małemu? Jezusowi Chrystusowi Do nas dziś zesłanemu?

Pomimo szumu morza i łoskotu fal niewolnicy przykuci pod pokładem do wiosł usłyszeli jego muzykę i pieśń.

Piotr Sielecki zerwał się z siadanki⁴, po czym. z brzękiem łańcuchów zaintonował w ślad za Satanowskim:

W żłobie leży...

Galernicy z siadank osuwali się na kolana i wtórowali: ...Kolędować Małemu...

Dozorował właśnie poczciwy Halim żołnierz. Nie napędzał biedaków z powrotem do pojazdu. Nie chcąc być gorszy od kafirów, u których domyślił się religijnego uniesienia, sam począł mrużyć muzułmańską modlitwę:

Allach jest Bogiem, Mahomet jego Prorokiem!

O, bądź pochwalony, Stwórco!

O, bądź pochwalony, Proroku, oblubieńcze boży!

1 Morze Białe (po tur.: Ak Denis) — Morze Marmara.

2 Koje — sypialnie na okręcie.

3 Bulaj (iluminator) — okrągłe okienko w burcie lub nadbudówce.

4 Siadanka (burtnica) — ławka dla wiosłarzy.

Wiele jeszcze razy galernicy śpiewali kolędy. Nieraz kończyły je łzy, nieraz chłosta lub tylko zakaz...

Płynęli parę tygodni, zatrzymując się w różnych portach niezliczonych wysp Egei oraz dalszych obszarów Morza Śródziemnego.

Zatrzymali się dopiero w porcie Damiat na wybrzeżu Egiptu. „Ak-Kałkan” i inne galery kolei przycumowano do nabrzeża.

Niespodziewanie do odosobnionego kubryku obu wyróżnionych przez bega Polaków wpadł Safar i ryknął na całe gardło:

•—• Jakimowski i Satanowski! Wychodzić! Marrsz!

Wyprowadziwszy ich na nabrzeże portu rzekł:

— Winnicie dziękować Bogu. Idziecie w służbę domową dostojnego mudira Kassim-bega (niechaj mu Allach ukwieca drogi żywota!), który w was dziwnie sobie upodobał, luboście kafirowie. Służcie wiernie, przyjmijcie prawdziwą wiarę, a źle wam nie będzie. Albowiem jego wspaniałość (oby żył wiecznie!) już niejednego jeńca wyzwolił i na prawowitego muzułmanina wykierował.

•— Brr! — wzdrygnął się Jakimowski i mruknął do druha: — Od razu nas psią strawą częstuje.

Rozkuwszy obu jeńców Safar oddał ich w ręce trzech Turków uzbrojonych w jatagany i muszkiety, na odchodnym zaś powiedział:

— Pokój z wami! Obyście już nigdy nie zaznali łańcucha! Jeńcy poszli przodem. Postępujący za nimi strażnicy nie byli dokuczliwi, pozwalali na częste odpoczynki i pogawędkę.

— Może idziemy do kamieniołomów łupać skałę albo w pustynię bić studnie, ciągnąć drogi... — domyślał się ponuro Marek.

•— Przecie Safar mówił o służbie domowej u bega — rzekł Stefan. —• Lepiej popatrz, jaki cudny widok! Woda błękitna nie mniej niż firmament!

— Co mi tam! Ni wodą, ni niebem nie opędzę głodu.

— Idziemy podobno w takie miejsce, że i raj nie piękniejszy. •—• A palze diabli takowy raj!

— zgrzytnął Marek.

—• Pięknie tu, pięknie!

— Co ci z tego, skoroś niby pies na łańcuchu?

— Zawsze to lżej znosić wszelką niedolę, gdy ręka boża wokół cuda maluje, wonności rozsiewa słodkie niby z jakowejś czary... — mówił dobrodusznie Stefan.

— Ani chybi, tyś zgłupiał! — wybuchnął Jakimowski.

Panowało łagodne ciepło, odświeżane przez wiatr od morza.

Droga wiodła przez żyzne pola uprawne, poprzecinane mnogimi strumieniami i kanałami nawadniającymi, między gajami palm i innych, nie znanych Polakom drzew, krzewów. W krajach północnych była jeszcze zima, a tu ziemia kipiała już bujnym zbożem, błękitniała kwitnącym lnem. Koło lepianek skleconych z mułu i słomy krzatali się fellachowie 1 w brudnych, poszarpanych galabijach 2. Tu a tam w przedziwnych studniach czerpali wodę. Tu a tam popędzali woły, które obracały kieraty ciągnące wodę z kanałów i dołów. Tu a tam zmagali się z trzeszczącymi żurawiami o cudacznym kształtach i podlewali zagony porośnięte zielenią.

Chwilami szli przez gęstwinę krzewów, bezludziem, pustkowiec.

— Może doczekamy się wykupu? — rzekł Satanowski.

— Wykupu! — parsknął Jakimowski. — Przecie Turek zmógł Rzeczpospolitą. Skoro nasze wojsko poszło w rozsypkę, to...

— Nie gadaj! Rzeczpospolita nie zdzierży jednej klęski?

— Jednej? A Szwedzi? A inni? Łacniej byłoby znosić pęta, gdybyśmy wiedzieli, że jeszcze ojczyzna walczy, że myśli o nas...

Jakimowski rozejrzał się, zerknął na strażników.

— Spójrz! — szepnął, gdy przechodzili przez zarośla. — Tu możem uciec: nigdzie żywego ducha, dopiero tam, daleko...

Istotnie, miasto było widać o kilka wiorst. O kilkanaście łokci w lewo błękitniały wody zalewu Menzaleh, o pół wiorsty w prawo — smuga dobrze obwałowanego Damiatu, czyli wschodniej odnogi Nilu.

— Dokąd będziemy uciekać? — rzekł Stefan. — Nie znamy kraju ni języka, schwytają nas wnet. Czekajmy na lepszą sposobność.

— Ty swoje! Mogliśmy uciekać już w Wołoszy: nie chciałeś. Ich sprzeczką wywołała podejrzenia strażników. Skuli przeto jeńców z powrotem i nie spuszczali ich z oka ni z cyngla.

— Jeszcze jedna okazja przysnęła! — syczał wściekle Marek.

1 Fellachowie — chłopcy egipscy.

2 Galabija — długa do kostek, luźna szata Egipcjanina, z okrągłym dekoltem, podobna z wyglądu do nocnej koszuli.

Miasto rekomendowało się już z daleka szarzyzną przedmiejskich ruder, nad którymi panowały wysokie minarety, ogromne kopuły meczetów, dachy okazalszych domów. Położony o milę od morza Damiat osiadł na przesmyku między rzeką a zalewem. Miasto, ciasno zabudowane, wielce ruchliwe, miało na ogół kręte, wąskie, brudne uliczki, pełne harmideru i woni smażonych potraw. Ale było znacznie większe i ważniejsze dla tureckiej żeglugi od wspaniałej niegdyś Iskandariji.:

Zgodnie z nakazami islamu tylko gmachy publiczne — świątynie, szpitale, szkoły, urzędy, łaźnie — odznaczały się zewnętrzną okazałością. Natomiast budowle prywatne, nawet do zamożnych należące rodziny, były parterowe i jednopiętrowe: murowane do wysokości piętra, a powyżej z drzewa, gładkie, nagie ściany, w których ledwo gdzieniegdzie widniało wysokie okno opatrzone drewnianą kratą, pośrodku zaś domu — podwoje i nad nimi balkon opleciony gęsto powojem albo bluszczem. Domy plebejskie były niemal ruderami: z cienkich dylów i desek otynkowanych gipsem. Mnóstwo przed nimi mrowiło się ludzi, którzy pożywiali się na ulicy, golili, wiskali, handlowali, zebrali i inne nader rozliczne załatwiali sprawy, ściżbieni, hałaśliwi, namolni. Przechodnie i przejezdni, nie szczędząc wyzwisk ni pięści, przeciskali się przez ten tłum.

Na widok giaurów, prowadzonych pod muszkietami, ulica przycichła. Wspaniała postawa jeńców budziła zaciekawienie. Nawet zakwefione niewiasty nie kryły upodobania, uśmiechały się do nich.

Ktoś zaproponował straży kupno prowadzonych niewolników.

•— Precz! •— krzyknął strażnik. •—• To jeńcy jego dostojności mudira (oby żył wiecznie!). Za małyś bogacz. Polacy najdrożsi ze wszystkich nacyj na targach niewolników: po sto piastrów za jednego!

— Jakiej są nacji, powiedziałaś?

— Z Lehistanu 2.

— Bodaj trąd ich stoczył! Zali na Cecorze pojmani? •— Zgadłeś. No, ale z drogi! Rozstąpcie się!

1 Iskandarija — arabska i turecka nazwa Aleksandrii.

2 Lehistan (tur.) — Polska.

Okrzyki nie wystarczyły, trzeba było użyć pięści i kolb. Pałac Kassim-bega, zwany Dar-el-Amirun, stał nieco' za Da-miatem, nie opodal ruin starożytnego meczetu. Z zewnątrz nie zapowiadał tego przepychu, jaki rozpoczynał się już za skromnym portalem, strzeżonym przez warty.

Otworzysty dziedziniec brukowany zdobnymi różnobarwną markieterią płytami z marmuru, częściowo był zacieniony ni to namiotem, ni dachem z wzorzystego adamaszku. Jedną stronę dziedzińca stroiły wznoszące się pochyło trawniki i grzędy wonnych kwiatów o przepysznych kolorach. Z drugiej strony pięły się jasno malowane ściany, kolumny i arkady wspierające przy-sionki a galerie, u okien balkony uwieńczone zielenią. W środku i po rogach dziedzińca biły fontanny, a woda z cichym szumem spadała roziskrzonym w promieniach słońca deszczem w marmurowe czasze i baseny.

Nawet trzeźwy Marek, niezbyt wrażliwy na piękno przyrody czy dzieł ludzkich, patrzył z upodobaniem na otwierające się widoki. A już egzaltowany Satanowski po prostu piał z zachwytu. — Chryste! Sen czy jawa? Nie do wiary! Toż my w niebie! W dalszej perspektywie dziedzińca widniały ukwiecone krzewy, drzewa, klomby, szpalery splecionych z sobą pnaczy... Wśród tego wszystkiego zaś ażurowe kioski i altany, mieniające się kolorami tęczy pióropusze kropel z licznych wodotrysków.

Stefan chciał iść dalej, zanurzyć się w ową chmurę zieleni a innych barw, w tęczową mgłę - rozpylonej wody. Ale ostry głos strażnika strącił go z obłoków na ziemię. Nie ku tym wielkopańskim czarom, lecz do tylnej, czeladnej części domu należało iść. Stamtąd biegli już zarządcy czyftliku Kassimowego i słudzy oglądać przyprowadzonych chwatów. Aż cmokali z podziwu. Rychło jęli się między sobą chandryczyć, chwycić jeńców za odzienie, wrywać ich sobie wzajem z rąk.

— Zgodnie z wolą dostojnego pana naszego (oby go Allah miał w łaskach swoich!) kafirowie ci u mnie zatrudnieni ostaną — twierdził główny koniuszy, otoczony masztalerzami.

— Jakoż to, Fuadzie? — zakwestionował gruby zarządca. — Ja przecie do robót polnych potrzebuję z tuzin tęgich parobków.

— Ci należą do mnie, bo pono sztukę układania koni znają.

— Bierz jednego, a ja drugiego...

— Ależ, Muharremie! Jego dostojność obu mnie wyznaczył. Rozstrzygnął spór przysłuchujący się dotąd w milczeniu brązowolicy, opasły eunuch, dozorca haremu bega.

— Wolą jego wspaniałości (oby ślady stóp jego obrodziły kwieciem!) jest, aby ci dwaj Polacy objęli służbę u koniuszego Fua-da — rzekł piskliwym głosem. — Nie masz bowiem w świecie jeźdźców nad Polaków, chyba nedźdyjcyx al-farisowie². Bierz ich tedy, Fuadzie!

— Rzekłeś, Selimie synu Haleba, który żyjesz samą prawdą. Satanowski spoglądając ku owemu pięknemu ogrodowi poczuł na sobie czyjś uporczywy wzrok. Na jednym z

opieczonych bluszczem balkonów ujrzał młodą niewiastę. Znad jaszma³ patrzyły nań czarne oczy... Spojrzenia zatopiły się w sobie. Acz niewiasta wnet znikła w głębi komnaty za balkonem, Satanowski jeszcze patrzył, jakby miał zajrzeć do wnętrza pałacu poprzez bluszcze i ściany.

— Takie chyba te ich hurysy w pogańskim raju — mrucał.

— Przestańże gonić ślepiami! •— zgromił go Marek. — Dadzą ci hurysę! Oni za takowe spojrzenia płacą sztyletem!

Stefan jednak mimo woli spoglądał ku balkonowi. Nawet wówczas, gdy zaprowadzono ich pod budynki gospodarskie, skąd ledwie było widać ów balkon.

Aż oto znów zobaczył „hurysę” na balkonie. Wydało mu się, że patrzy ona wręcz na niego, i to z upodobaniem. Mimo woli wyprostował się, uśmiechnął, pogładził włosy dłonią.

„Hurysa” jednak zlekceważyła te zabiegi: znikła ponownie niby zjawa. Na próżno już teraz wypatrywał. Natomiast poczuł na sobie zimny wzrok Selima. Rzezaniec rozmawiał z siwym osobnikiem, odzianym w powłóczysty strój z wysoką czapką, podobny do stroju muezzina czy uczonego.

Ów siwy człowiek podszedł do ogrodniczków strzygących trawnik pod balkonami i pouczał ich", co czynić.

Nagle oderwał się od pracy i podszedł do Satanowskiego.

1 Nedźdyjski (arab.) — z Nedźdu, wyżyny w Arabii, ojczyzny najpiękniejszych koni (koni nedźdyjskich, nedźdów).

a Al-faris, farys (arab.) — jeździec arabski, rycerz.

J Jaszma (tur.) — zasłona okrywająca szyję i twarz po oczy u kobiet muzułmańskich.

— Nigdy, chłopcze, nie rób zalotnych oczu do kadyn * jego dostojności — ostrzegł życzliwie — bo może cię to drogo kosztować.

— Umiesz po polsku? Skąd? — zdumiał się Satanowski.

— Jam Tatar. Spędziłem długie lata w Polsce jako braniec wojenny... Pod jakim wy znakiem służyli?

— W husarii podczas cecorskiej potrzeby — odparł za Stefana Jakimowski. — Ale my z profesji wojskowej bosmani w armadzie jego królewskiej mości.

— Bosmani? — zdziwił się Tatar. — I zabrano was do koni? Chyba jego wspaniałość nie wie, bo majtków przecie potrzebuje.

Rozmowę przerwał nagle zarządca Muharrem.

— Idź do swoich zajęć, Uriasz! — polecił Tatarowi. •— I bacz pilnie, bo może cię wezwać dostojna pani Alima — wskazał balkon „hurysy” — albo jej wspaniałość kadyn Sara (niechaj Wszechmocny szczęści im w każdym poczynaniu).

— Rzekłeś, Muharremie, synu Burnaka: niechaj im szczęści. Ale nie masz prawa niczego mi polecać. Tych zaś dwu Polaków radzę nie odsyłać ani do stadniny w Ain-el-Faras, ani na południe. Albowiem jego wspaniałość sam zajmie się nimi.

To rzekłszy Uriasz podążył do pałacu.

Muharrem ustąpił. Atoli koniuszy Fuad na przekór Uriaszowi kazał rozkuć Polaków i zaprowadzić do stajni.

•— Nie będzie mnie muła pouczał! — rzekł rozdrażniony.

Przed progiem stajni ogolono Polaków, albowiem tureckie prawo zabraniało niewolnikom nosić brody, tego przywileju wolnych.

W stajni pod dozorem komuchów i masztalerzy francuskich a hiszpańskich stały w przegrodach wspaniałe wierzchowce: smukłe nedźdy i inne araby, okazałe dzianety włoskie i hiszpańskie, siedmiogrodzkie sekiele, ogniste, wysokie, cienkonogie, masywne fryzy, lekkie jednochodniki kujawskie i żmudzkie.

Atoli prawdziwe mrowie końskie, a nie tylko, bo i wielbłądzie, było dopiero w kossarze opodal domostwa, gdzie posiadał stadninę mudir. I tam Polaków zaprowadzono.

Ledwie zaszli, a tu bieży Uriasz i woła do koniuszego:

— Zawróć Polaków, Fuadzie! Albowiem jej dostojność panna Alima życzy sobie, aby poszerzyć widok z jej balkonu na Menza-leh i aby oni ścięli drzewa, które widok ów zasłaniają.

Fuad pokrył fałszywym uśmiechem niezadowolenie i rzekł:

— Życzenie jej dostojności (oby kwitła w szczęściu!) jest dla mnie święte. Weź obu Polaków, ale odeślij mi ich potem.

— Odeślę. Ale co do dalszego ich losu, to dostojny mudir zadysponuje po powrocie z lustracji.

— Ciebie, Uriasz, synu Dowleta, zamianuje chyba zarządcą czyftliku, na miejsce Muharrema, albo muezzinem — zakpił Fuad.

Koniuchowie zarechotali wielkim śmiechem.

— Chyba tam — szeptali wskazując ruiny meczetu za pałacem.

— Aż dziw, że wam na czaszkach końskie ogony nie porosły: tyle we łbach macie rozumu

—• odciął się na odchodnym Uriasz.

Na wprost balkonu Alimy, która była nie kim innym, tylko ową „hurysą” Satanowskiego, rosły drzewa zasłaniające zalew Menzaleh, upstrzony zagłami łodzi i stateczków. Drzewa te Alima, wbrew przesadnemu kultowi, jaki żywią Turcy do roślinności, rozkazała wyciąć, gdyż, rozrósłszy się, zasłaniały widok.

Satanowski z radością przyjął nowe zajęcie. Podrabując pień drzewa, gapił się na balkon, z którego poglądała ku drwalom Alima. W męskiej próżności sądził, że umyślnie nakazała ona tę pracę, by go widzieć. Przybierał więc najkorzystniejsze miny, pozy i gesty, mówił sposobnie modulowanym głosem.

Tak się zgrywał, tak gapił, że przeoczył upadek podciętego drzewa. Zabrzmiał trzask; łomot, na balkonie przeraźliwy krzyk niewieści — i pień zwalił się na tokującego Stefana.

Marek i inni drwale rzucili się na ratunek. Nie mogli jednak udźwignąć pnia. Jęli więc wzywać pomocy. Ku ich zdumieniu, pierwsza przybiegła Alima — wstrząśnięta, błada. A oto dopadli Stefana słudzy i żołnierze. Pień odwalono, a Stefan został ułożony na trawie. Żył, ale całe ciało broczyło krwią.

Alima — ku zgorszeniu Turków — osobiście cuciała rannego, zanim nadbiegli hakim i pałacowy z pomocnikami i Selim.

— Dostojna kadyn Sara prosi — oznajmił jej rzezaniec.

1 Kadyn (tur.) — kobieta, pani.

1 Hakim (arab.) — lekarz.

18*

Teraz dopiero Alima, jakby się ocknęła. Bezwłocznie poszła do pokoju Sary, swej matki, a pierwszej żony ojca, mudira. •— Jestem, mateczko — rzekła cicho.

— Dlaczego postąpiłaś jak służebna? — padło surowe pytanie.

— Wybacz, pani! Ilekroć widzę nieszczęście, jakaś siła pcha mnie z pomocą.

—• Bardzo to chwalebne, mroja córko. Miłosierdzie jest cnotą. Aliści nie zapominaj, żeś córką mudira damiatyńskiego, jedną z pierwszych kadyn paszali i egipskiego! Damę obowiązuje złoty umiar. Nie wolno go przekraczać ani w radości, ani w rozpacz, ani w gniewie, ani w litości.

— Przecie ów człowiek mógł umrzeć bez rychłej pomocy...

— Ani w obliczu śmierci nie wolno damie przekroczyć granic umiaru. Chrześcijański karawusz², kafir, nie jest dostateczną przyczyną dla damy, by zapominała cna, kim jest.

— Ale on rąbał drzewo z mojego rozkazu, kaprysu, więc poniekąd moja w tym wszystkim wina.

— Jego obowiązkiem jest czynić to, co mu każą. Kaprys pana nie jest mniej ważny dla służby niżeli ostatnia potrzeba. Dodam jeszcze: dla karawusza łaska i zaszczyt, że nasz przyboczny ha-kim zajął się nim. To powinno wystarczyć.

— Ten przygnieciony drzewem człowiek wygląda niby...

— Nie obchodzi mnie wygląd niewolnika - - przerwała ostro Sara, na ogół łagodna kobieta.

— Zali wolno mi, gdyby ów Polak wyżył, posłać mu lepszy posiłek? •— spytała nieśmiało Alima.

— Miłosierdzie nakazane jest przez Allacha i nie uwłacza ludziom naszego stanu, o ile zgodne jest z umiarem.

Tymczasem Satanowski wrócił już do siebie. Nic mu się groźnego nie stało. Był pokiereszowany trochę i omdlał od uderzenia w głowę. Nadworny medyk opatrzył go i z polecenia Alimy kazał położyć w izbie czeladnej na przyziomiu pałacu.

Gdy Uriasz wyjaśnił Stefanowi, jaka go łaska spotyka od samej córki mudira, Polak zakrzyknął:

—• O! zgoła nie żałuję tego, co się stało!

i 1 Paszalik, paszałyk (tur.) — prowincja rządzona przez paszę.

2 Karawusz (tur.) — niewolnik, parobek.

Uriasz inaczej to rozumiał.

— Zacznij młodzian. Umiesz być wdzięczny. Człowiek uczciwy winien służyć panu swemu bez nagrody. Jeśli na domiar umie być wdzięczny za łaskawość, uczciwość jego ma miarę podwójną.

Wraz ze Stefanem leżało w izbie kilku chorych służebników. Dla wszystkich Alima była dobrym duchem: przysyłała im łakocie i nadwornego hakima. Aczkolwiek Stefan wolałby być wyróżniony przez nią, to jednak z 'satisfakcją stwierdzał w Alimie te oznaki dobroci dla wszystkich. W czasie choroby wytworzył sobie idealny jej obraz. Tęsknił do zobaczenia Alimy, a raczej jej oczu, bo przecie przy obcych nosiła jaszczak na twarzy. Pomimo to wyobraził sobie jej wygląd i taki, domniemany, uwielbił swoją romantyczną duszą „błędnego rycerza”.

Rychło wyzdrowiał i musiał wrócić do kosary.

Marek ogromnie się ucieszył z powrotu druha.

— Cięższe rzeczy będę robił za ciebie — obiecywał — dopóki całkiem nie wydobrzejesz.

Ujeżdżali i układali wierzchowce do jazdy, wdzięcznego chodu i marszu w zwartych oddziałach, pełnili także przy koniach najprostsze posługi. Sypiali z wieloma innymi niewolnikami w ogromnym szałasie, strzeżonym przez zbrojne warty.

Klima tutaj panowało łagodne, ciepłe, mówiono, że zbyt wilgotne dla zdrowia. Toteż roślinność wokół była nad wyraz bujna, bo i urodzajność gleby dorównywała aurze.

Uriasz nawiedzał czasem Marka i Stefana.

— Dostojny beg wróci i losy wam odmieni — obiecywał. A gdy przywożono lepsze wyżywienie, mówił: — Oto serce dostojnej panny Alimy! Ile ona dobra wyświadcza biedakom w Damiacie! Oby żyła wiecznie w słońcu łask Allacha!

Stefan zachwycał się wymagowanym przez siebie obrazem dziewczyny, nie znając jej samej-.

Jakimowski, który nie myślał o kadynach mudira, namawiał:

— Okazja! Mamy niedościgłe bieguny. Trzeba uchodzić!

— Uchodzić? — mruknął z roztargnieniem Stefan. — Jak, skoro wszędy strażę, załogi wojskowe, a wokół nieprzebyte ziemie sułtana? Wnet nas bisurmanie pojną, bo nawet ich mowy nie znamy.

Więcej teraz myślał o Alimie niż o ucieczce.

— Tobie amory we łbie! — kipiał Marek. — Mało ci tego, że cię drzewo przywaliło? Gapiłeś się, puszyłeś i bach! A teraz? To karygodne! Do bisurniańki, no!

Łagodna twarz Stefana stała się surowa.

— A twój afekt do Marfy?

Pracowali właśnie w ogrodzie pod nadzorem Uriasza.

Satanowski z westchnieniem spojrzał ku balkonowi Alimy.

Ilekcio tu pracowali, niezliczone razy jego oczy i myśli bieżyły do tego balkonu, czasem tylko nawiedzanego przez wymarzoną istotę. I wiedział, że gdyby nawet zaistniała sposobność, to ów balkon Alimy byłby nie lada przeszkodą w ucieczce.

II Pewnego dnia Uriasz oznajmił Polakom:

— Jego wspaniałość wzywać raczy was do siebie. Koniuszego Fuada to zaniepokoiło. Znał się na ludziach: wiedział, że takie łebskie chwaty mogą, choć niewolnicy, wiele osiągnąć na dworze łaskawego mudira, nawet miejsca zarządców. W drodze do pałacu Uriasz mówił do Polaków:

— Przypomniałem was dostojnemu panu (oby żył wiecznie!).

— Dzięki ci, Uriasz. Przecz to dla nas czynisz?

— Odpłacam Allachowi, najlepszemu ojcu, że mi niegdyś w niewoli, w Polsce, dał dobrego pana... Zaiste, spotyka was łaska dobrotliwego Allacha (błogosławione jego święte imię!).

Nie zaznacie już niedoli, skoro dostojny mudir (oby żadna troska nie maciła mu serca!) raczył zaciekawić się wami.

Umyli się i przybrali ochędożnie w szatni dworskiej na przyziomie pałacu, gdzie i kuchnia była, i mieszkania służby a domowników pańskich. Uriasz gorąco zalecał pokorę.

— Nasz pan (niech mu Allach błogosławi!) człek słodki niby miód. Najlepiej paść na kolana, a na pewno łask nie poskąpi.

— Szkoda słów, Uriasz! — obruszył się Marek. — My, Polacy, takowych czołobitności nie uznajemy. Przed Bogiem jeno kłękamy.

— Moglibyśmy jeszcze przed monarchą naszym zgiąć kolano — złagodził Satanowski. — No i przed lubą niewiastą.

27 I Teraz obruszył się Tatar, albowiem jako muzułmanin nie żywił do niewiast takiej uwagi. Pod arkadami, wśród cyprysów w ogrodzie, przed pałacem stało wiele orszaków, lektyk, wielbłądów, koni, których właściciele — zarządcy dóbr, naczelnicy nahij 1, szejkwie beduińscy, urzędnicy — odbywali audiencje u mudira.

Zabrzmiało nagle z pobliskiego minaretu przeciągły głos muezzi-na, obwołujący namaz.

Ludzie na dziedzińcu i w parku, zwróciwszy się przodem ku Mekce, czyli na południowy wschód, padli kornie na twarz przed majestatem Allacha.

Satanowski, patrząc na białe burnusy, turbany, kolorowe ubiory rozmodlonych muzułmanów, rzuconych dziwnym hasłem w proch pokory, ocenił, w czym mu i Marek przyświadczył:

— To przypomina modlitwy w kościołach i cerkwiach. Czekali na posłuchanie, chodząc po domu, objając się o rozbieganą służbę, urzędników, gońców, żołnierzy, interesantów.

Przyziom stanowił jakby część gospodarczą. Stąd szerokie schody wiodły na górę do diwan-kane, czyli obszernego korytarza, biegnącego wzdłuż całego dornu. Poziom diwan-kane nierówny, podwyższał się lub zniżał, tak że przed drzwiami komnat, wychodzącymi nań, urządzono schodki. Dostojniejsi goście bega, paląc tabakę w fajkach i nargilach, czekali na audiencję w zdobionych kunsztownymi arabeskami kioskach, umieszczonych na takich podwyższeniach lub zakrętach owego korytarza.

Satanowski wszędzie szukał wzrokiem Alimy. Czynił to codziennie na każdym kroku, choć słyszał, że tylko niewiasty z pospólstwa ukazują się w tłumie, damy zaś pędzą życie w haremach, ogrodach, niby zniewolone ptaki, a gdy już muszą udać się dokądś, to w osłoniętych lektykach, niesionych przez konie lub służbę.

Kiedy znalazł się, chodząc po diwan-kane, przed zamkniętymi drzwiami zagrządzającymi korytarz, chciał je. otworzyć. Ale wystraszony Uriasz schwycił go za rękę.

— Niechaj Bóg broni! — ostrzegł. — Przecie to mabein! Kwatera domu, do której może wchodzić jeno pan, ojciec rodziny. Za mabeinem jest harem, do którego takż obcemu mężowi wejść nie wolno... — wskazał korytarz, po którym się przechadzali, a izby po 1 Nabija (tur.) — powiat, okręg.

bokach i rzekł: — Ta jest jeno dla obcych mężczyzn kwatera domu: salemlik 1. Nawet nie powinniście spojrzeć w stronę mabeinu czy haremu! Bądźcie skromniejsi!

Przerwał mu przyboczny pisarz Kassim-bega:

— Jego wspaniałość wzywa przed swoje dostojne oblicze.

Weszli do dużej komnaty o pięknym błękitnym sklepieniu, zdobionym złotymi gwiazdami i ornamentami w kolorach żółtym, czerwonym i zielonym, misternie skomponowanymi. Kosztowne dywany perskie osłaniały niemal całkiem podłogę. Nad drzwiami umieszczony był w ramach, niby obraz, wyimek z „Koranu”, wypisany czarnymi literami. Jedynym sprzętem w komnacie była niska, szeroka sofa, ciągnąca się nieprzerwanie wzdłuż trzech ścian, pokryta jedwabną materią błękitną z frędzlami, a nad nią, w miejscu, gdzie z podkurczonymi nogami siedział Kassim-beg, wisiała przytwierdzona do ściany półka z jakimiś drobiazgami.

— Klękajcie! •— szepnął Uriasz, sam padając na kolana.

Ale oni pokłonili się tylko tak, jak nakazują zwyczaje w Polsce. Przyboczny pisarz uczynił ruch, jakby ich chciał zmusić do czołobitnego ukłonu, ale beg skinieniem ręki powstrzymał go.

•— Wstań, Uriasz — polecił — i tłumacz, co powiem. A więc. Kara Nurum, który was pojmał na Cecorze, powiadał, żeście we dwóch ponad trzy tuziny wiernych wycieli. Zali to prawda?

Uriasz przełożył tureckie słowa bega na język polski.

— Tak jest! — odparł chełpliwie Jakimowski, wyczuwając szczęśliwą odmianę losu.

— W całej armii, a takż w armadzie morskiej, nie mieliśmy sobie równych w ćwiczeniu rycerskim.

— Jeśli mistrzostwo wasze, tak wielkie, jako chełpliwość, toście chwaty ponad zwykłą miarę

— zadrwił beg. —• Jaki wasz stan?

— Jesteśmy obaj szlachcicami. —[^]

— Rodziny chyba wykupią was.

— Jeśli przez Tatarów nie zniszczone, to chyba tak.

— Za okup uwolnię was z nastaniem pokoju.

Polacy spojrzeli na siebie z radością. A więc wojna trwa dalej! A więc Rzeczpospolita nie została pogromiona po klęsce cecor! Salemlik, salamlik (arab.) — mieszkanie mężczyzn w domu muzułmańskim, miejsce przyjęć interesantów i gości.

skiej! Boże, chwała ci! Jednakowoż zagony tatarskie mogły zniszczyć Jotuszków i Aleksandrówkę.

— Gdybyście przyjęli naszą świętą wiarę, puściłbym wam w dzierżawę kawał ziemi w jednym z kafrów 1 czy ezb 2 tutejszych — powiedział znowu Kassim. — Moglibyście pojąc sobie żony spośród niewiast damiatyńskich lub beduińskich... Byliście bosmanami królewskimi. Znacie więc sztukę żeglarską. Zali umiecie posługiwać się instrumentami nawigacyjnymi?

— O tak! — odpowiedział żywo Marek w nadziei, że otwiera się nowa droga. — Każdy z nas poprowadzi nawę przez ocean!

W istocie nie byli tak wytrawnymi żeglarzami. Nigdy nie wypadło im samodzielnie żeglować przez morza. Ale teraz gotowi byli powoływać się na wszelkie umiejętności, byle poprawić swój los, zdobyć możliwość wyrznięcia na świat, a więc i uciezki.

— Znów samochwalstwo, chełpliwość bez miary — skrzywił się beg. •— Na razie zostanieie tu. Od dziś będziecie uczyć władania bronią i jazdy konnej moich synów, którym

dwanaście i trzynaście roków życia. Zamieszkacie na przyziomie wedle szatni, w osobnej izbie, a wikt otrzymacie taki, jak reszta zamieszkałych na dole domowników. Nie będziecie strzeżeni ani skuwani. Nie sądzę jednak, byście zechcieli uciekać. Bliżej czy dalej schwymano by was. A wtedy przeszłość wasza byłaby nie do pozazdroszczenia.

Posłuchanie było skończone.

Uriasz, który przez cały czas wpatrywał się bałwochwalczo w twarz mudira, popadł w zachwyt.

—• Dostojny pan (oby żył wiecznie!) dał wam wielkie szansę. Dziękujcie Allahowi i błagajcie, by was prawdziwą oświecił wiarą.

Atoli Marek, gdy został sam z druhem, wyraził zawód:

— Spodziewałem się czegoś więcej. A tu żadnej poprawy!

— Całkiem nam się los odmienił! — zaprzeczył Satanowski. — Niezły człek z bega, Uriasz zaś niezwykle pocziwiec.

— Tobie by się dobrze nawet na gwoździach siedziało.

— Byliśmy przygotowani na kamieniołomy, roboty w pustym, na mękę i śmierć. A tu promocje... Kiedy pomyślę, gdzie jesteśmy, 1 Kafr (egips.) — wieś w dobrach obszarnika.

2 Ezba (egips.) — wieś poza dobrami obszarnika.

to mi w głowie wiruje. Marku, my w Egipcie! w tej ziemi, któ- rąśmy jeno z Pisma świętego znali! „Jam jest Pan Bóg twój, który cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli”. To jakby o nas! Może i nas wywiedzie...

Marek popatrzył na druha i wzruszając ramionami wyszeptał:

— Co tobie we łbie, człowieku? Niby cię znam, niby wiem, że latasz kędyś po powietrzu, ale tak mnie zatkało, że nie mam słów.

— Zresztą twoje położenie jest odmienne od mojego — rzekł Stefan z powagą. — Obaj wprawdzie pragniemy wolności, ale oprócz tego ty masz do kogo wracać, ja zaś nie mam nikogo...

— ...a tu masz Alimę — dokończył Marek drwiąco. — Masz ją tak samo, jak słońce albo gwiazdę, he-he-he...

— Chciałem ci jeno unaocznić, dlaczego ty goręcej się stąd wyrывasz niżli ja. Ale jeśli stąd umkniemy, to razem.

Jakimowski zamyślił się — coś w sobie przetrawiał.

— Co tu zresztą medytować! •—• rzekł w końcu. — Póki nie ma możliwości ucieczki, poty musimy cicho siedzieć i nie zatruwać sobie życia do reszty.

— I ja tak myślę, drogi bracie.

Od razu w szatni, gdy przyszedli zwrócić audiencjonalny przyodziewek, odczuli zmianę. Szatny dworski na rozkaz mudira polecił im zachować nowy ubiór. W zbrojowni dodano im szablę.

Wyglądali teraz na janczarów: w bufiastych szarawarach, czerwonych płaszczach i takich samych butach, w wysokich czapach.

— Widzisz? Już promocja! — triumfował Satanowski.

— Oby coraz wyżej!

Niebawem z szałas na kosarze przenieśli swój dobytek — jakieś łachy i lirę — na nowe mieszkanie. Wygodnie tu było: sofa przy dwu ścianach, niskie pufy, wzorzysta mata z palmowych liści na podłodze, wysokie do powąły okno, opatrzone dla chłodu malowaną na zielono żaluzją drewnianą, otwieraną w całości lub częściami. Ale najważniejszy był widok stąd na balkon Alimy.

Tego wieczoru Satanowski usiadł z lirą przy otwartym oknie, zapatrzył się w czarny przestwór poznaczony gwiazdami, zagrał, zanucił. Smutna była ta gędzba i ten śpiew cichy, płynące ku gęstwie parkowych drzew i wodotryskom.

Moja ojczyzna jakże daleko! Za siódmym morzem, za siódmą rzeką, Za siódmą gprą, za siódmym lasem, Jeno ją we śnie widuję czasem...

Jakimowski wstał z sofy i wyjrzał oknem. Wychyliwszy się spojrzął na balkon zwisający nad krzewami w zagiętym skrzydle pałacu. Na balkonie stała Alima — postać czarna na tle wejścia do komnaty, rozjaśnionego płonącymi lampionami. Słuchała chyba pieśni Stefana, patrzyła w prostokąt ich nie oświetlonego okna.

— Spójrz! — szepnął do odwróconego bokiem Stefana.

— Widzę od dawna — odparł tenże. — Mógłżebym nie widzieć?

Codziennie wieczorami śącył polską nutę w egipska obcą ziemię. I codziennie ze swego balkonu słuchała polskiej pieśni Alima. Niebawem umiała na pamięć te ciche śpiewy, smutne niby cyprysy, wśród których ginęły nie budząc echa.

Cieszyli się teraz swobodą i próżnowali, ponieważ synowie be-ga przebywali gdzieś za Iskandariją. Ale przez nominację na fech-mistrzów Polacy awansowali powyżej innych niewolników na pół-wolnych ludzi. Otrzymali też zaraz lafę na cały rok.

Z lafą tą Satanowski wybrał się cichaczem do Damiatu. Wrócił ze skórzanym futerałem.

— Spójrz, co mam! — rzekł do Marka. Na dnie futerału leżała nowa lira.

—• Roztrwonileś roczną lafę! —• zawołał ze zgrozą Marek. —• Co tam lafa! Spójrz, jaka piękna!

— Przecie masz starą, którą tak zachwalałeś.

— Tamta jest „święta” — odparł Stefan z dobrym uśmiechem. — W stu bojach ze mną była i ocalała. Ma rany od kuli szwedzkiej i strzał tatarskich. Ona teraz będzie tylko od wielkiego dzwonu. Wiesz? Tę nową lirę widziałem w kramie żydowskiego lutnika koło rezydencji biskupów koptyjskich, gdy nas gnano przez Damiat. Od razu pomyślałem, że musi być moja, lubo nie przewidywałem, w jaki sposób to się stanie.

Nie, tego Jakimowski nie pojmował. Zawsze bywały między nimi takie sprawy, w których nie mieli wspólnego języka.

Satanowski godzinami wypróbowywał teraz nową lirę, nie mogąc się nią nacieszyć. Starą traktował zaś niby jakowyś czcigodny amulet. Położył ją na półce nad sofą i postawił koło niej kwiaty w glinianych wazonach.

— Ołtarz — kpił Marek. — Pomódl się do świętej Liry: może nas do domu uwolni.

Wiele czasu spędzali w ogrodach, u boku Uriasza. Rosły tam jabłonie, grusze, czereśnie, brzoskwinie, tamaryszek, pomarańcze, cytryny, palmy, oliwki, granatowce, migdały...

— Figi z sykomor mniej smaczne i okazałe niżli z palm figowych — gawędził zamiłowany ogrodnik Uriasz. — Ale niech rosną, skoro Allah udzielił im dechu. I daktyle w Teбайдzie lepsze niż tutaj. A oto palma kokosowa, wyniosły basza wśród palm, lubo zwana krową, że to mleko dawa. Spróbujecie niebawem mleczka onego... A oto dum pocziwa, co leków człowiekowi dostarcza niby hakim. A oto zwięzła, balanit, jujuba... — zatrzymał się przy drzewku obsypanym różowym kwieciem. — A oto migdał zasadzony ręką samego dostojnego bega. Ów zaś biało kwitnący to migdał dostojnej pani Fatmy, małżonki mudira (oby w łaskach męża swego kwitła!)... żeby im tylko chamsin nie zaszkodził! •

Rozgadał się pocziwina, a z szerokiej jego twarzy biła sama dobroć. Jak to wytłumaczyć, że jego pobratymcy w ordach tak straszni, podczas gdy on jakby miodem czuł i mówił?

— Podoba wam się tutaj, synkowie, co? — mówił Uriasz z uśmiechem. — Ziemia wiernych jest wielka i piękna, a prawa najsprawiedliwsze w świecie. Ustanowił je bowiem z natchnienia Allacha wielki Prorok Mahomet (błogosławiony na wieki wieków!).

„O bodaj cię!” —• zaklął w duchu Jakimowski, przejęty odrazą do tego imienia, którym straszono dzieci na Podolu.

Atoli Satanowski umiał prowadzić rozmowy o „świętych tureckich”. Toteż Uriasz zapragnął przełamać skrupuły kafirów i nakłonić ich serca do „prawdziwej wiary”.

— Allah łaskawy i pobłażliwy. Jakże mało żąda od człowieka! — zapewniał. — Jeno modlitwy i obmywania, jałmużny, postu i pielgrzymki do świętej Mekki. Modlitwę, jak

widzicie, odmawiają wierni pięć razy dziennie: przed wschodem słońca, w południe, pod wieczór, o szarej godzinie i wieczorem. Pobożni szóstą jeszcze, oznaczając ją na różańcu, ofiarują Bogu, która brzmi prosto: „Bóg jest wielki i potężny! Bóg jest wszechmocny!” A gdy oświecony łaską bożą przyjmiesz prawdziwą wiarę, uczynisz jej wyznanie wznosząc w górę palec i wołając: „Allah ii Allah, Muhammad Rasul Allah”...1 Na usługach Boga są aniołowie, istoty doskonałe, stworzone z ognia, bezpłciowe, wolne od ułomności i namiętności wszelakich, nieśmiertelne. Najmędrszy podzielił aniołów na kasty: jedni ważniejsze pełnią dłań posługi, drudzy skromniejsze. Jedni cześć mu oddają obchodząc tron jego z ukłonami, drudzy wiecznie śpiewają na bożą chwałę, inni mianowani pośrednikami między Niebem a Ziemią albo między ludźmi... Król Królów pięci ma archaniołów, którzy niby rada u tronu zasiadają. A toż Gabriel, nosiciel objawień i pisarz wyroków boskich. A toż Michał, wojownik walczący za wiarę prawdziwą. A toż Azrael, duch śmierci. Izrafil natomiast ma uderzyć w trąbę Sądu Ostatecznego. Aż i piąty archanioł, Azazil. Ten jednak przez pychę zbuntował się, kiedy Allach rozkazał aniołom oddać cześć Adamowi, ojcu ludzkości. Za ten bunt z raju wygnany został i przezwany Eblis, czyli Rozpacz. I odtąd, mszcząc się, czyha na zgubę ludzi, zastawia na nich sidła, podsuwa im pokusy a złe myśli...

— Piękne to wszystko niby baśń! — zawołał Stefan.

— Baśń? Ach, obmyj wargi ze szkaradnych porównań a serce z wątpliwości! — oburzył się Uriasz.

— Nie gniewaj się, Uriasz, i mów dalej.

— Za archaniołami idą aniołowie, czyli moakkibaci. Każdy człowiek ma jednego po prawej, drugiego po lewej stronie. Siedzą jego czyny, słyszą każde słowo, czytają myśli. Dobry uczynek po dziesięćkroć naznacza anioł prawy* A kiedy człowiek zgrzeszy, ów anioł prawy mówi do anioła z lewej strony: „Zechciej, towarzyszu, na siedem godzin zapomnieć o grzechu. Może się człek ten spostrzeże, poprawi i uzyska przebaczenie”.

Marek był zgorszony. Myślał, że nawet słuchanie „bisurmań-skich zabobonów” jest grzechem. Natomiast Satanowski domagał się dalszego ciągu opowieści. Uriasz, zadowolony, że choć jedną duszę zaczyna chwytać w niewód „prawdziwej wiary”, mówił z zapałem, nie zważając na wrogość Jakimowskiego:

— Oprócz aniołów powołał Allach dżiny, też duchy z ognia, atoli ułomnościom ludzkim podległe i śmiertelne. Tym Eblis pał Allach jest Bogiem, a Mahomet jego prorokiem (arab.). nuje. Jedne są srogie i olbrzymie, drugie lekkie, żyjące wonnościami, i te zowią się pery. Są też półduchy takwiny, czyli przeznaczenia. To skrzydlate niewiasty cudnej urody, broniące ludzi od sideł szatana... Takie jest jedno z dzieł Nieomylnego!

— Za głoszenie go raj cię czeka — zakpił Marek.

— Prostsza miałbym do niego drogę z pola bitwy — westchnął Uriasz, jakby nie pojął kpiny.

— Atoli Bóg, odebrawszy moc kościom, niejako zabronił mi pochodu na wojnę.

— Cha! cha! cha! Żałuj, żeś nie był na Cecorze i nie wpadł pod mój brzeszczot, boby ci on wyprostował tę drogę.

— Ale beze mnie ucierałbyś nadal zady koniom.

Uriasz rozejrzał się raptem, wpatrzył w niebo, za czym poślinił palec i wznosił go do góry poddając powiewom wiatru, pociągnął raz-drugi nosem, a wreszcie rzekł niespokojnie:

— Chamsin,1 zda mi się, w drodze i niebawem tu zawita.

Przerwali nagle rozmowę i jęli ciekawie patrzeć ku pałacowi.

Ciągnął stamtąd w głąb ogrodu, opodal nich, różnobarwny korowód: żony, nałożnice, krewne i dzieci Kassim-bega. Niewiasty były bez jaszmaków, śmiało podawały twarze słonecznym promieniom i powiewom wiatru. Niektóre z nich trzymały się za ręce i płały w takt muzyki cytr, na jakich grały towarzyszące im dworki. Dzieci rzuciły się do wodotrysków i marmurowych zbiorników. Jedne opryskiwały się między sobą, drugie z piskiem pluskały się w wodzie, inne, starsze, zrywały kwiaty, plotły wieńce.

Satanowski spośród niewiast wyłowił wzrokiem Alimę. Kruczowłosa i śniadolica, wydała mu* się piękna. Ale chyba tylko jemu. Bo na przykład Marek z większym upodobaniem przyglądał się dwudziestokilkuletniej kobiecie, wiodącej za rękę małego chłopczyka.

— Kto to? — spytał wprost Uriasza.

— Dostojna pani Fatma, czwarta małżonka naszego pana (oby nie łaknęła nigdy przychylności swego męża!), z synem (niech rośnie panicz w świetle łaski bożej!)... A oto dostojna pani Dina, trzecia małżonka... Aż i pani Chawa, ulubienica dostojnego bega... Aż i dostojna pani Sara, pierwsza małżonka, z trzema córkami...

1 Chamsin (arab.) — suchy, gorący wiatr pd. i pd.-wsch. w Afryce pn., wieje wiosną i w innych porach, trwa około 50 dni.

„A. to kogut pioruński! —• pomyślał Marek. —• Przecie tylu kurom nie podoła. Złaknione na pewno jak wilczyce”.

— Podejźmy bliżej! — szepnął Stefan robiąc krok ku owemu orszakowi, rozsypanemu teraz po zielonej murawie niby naręcz różnych kwiatów opuszczona niebacznie.

Uriasz spiesznie zastąpił mu drogę i rzekł surowo:

— Stój! Wolno ci wprawdzie, jako domownikowi, widzieć dostojne oblicza kadyn odkryte, ale nie godzi się ludziom niewolnym stawać przed nimi, skoro nie wezwani.

Marek spojrział nań ze złością, po czym odwrócił się plecami do rodziny bega, mruczając pod nosem:

— Ważne cuda: nie chrzczone baby.

Stefan był mniej obraźliwy. Usłuchał wprawdzie Uriasza, stanął jednak w polu widzenia niewiast, tak że Alima wnet go zobaczyła. Zmieszana się, zarumieniła — zauważył — i choć odwracała głowę, przecie mimo woli zerknęła na niego. A gdy wzięła od dworki cytrę do rąk, zagrała i zaśpiewała wraz z innymi dziewczętami słyszaną wiele razy pieśń: „Moja ojczyzna jakże daleko!” Satanowski zapamiętał się w patrzeniu na cytrzystkę. Obudził go dopiero Uriasz szarpnąwszy za rękaw, Nazajutrz Stefan od rana czatował sam między drzewami parku na ponowną zabawę kadyn. Doczekał się. Tym razem niewiasty obsiadły murowane ławki zatopione w gęstwie ukwieconych krzewów i haftowały, strzegąc rozigranych pociech. Chociaż się krył, Alima go dostrzegła i, jak wczoraj, objawiała niepokój na jego widok. I tak już było co dzień. Aż mu się w końcu ubrdało, że Alima umyślnie urządza te „spotkania”, aby go zobaczyć, że nie jest jej obojętny. Całkiem zapomniał o swym nędznym, niewolniczym a jej książęcym stanie. Widywał ją teraz nie tylko w ogrodzie. Rozkochał się w urodzie Turczynki, w jej głosie pełnym ciepła i słodyczy, w dobroci, którą rozgłaszała fama i którą na każdym kroku okazywała fellachom, służbie, niewolnikom, żebrakom, chorym... Jakimowski zżymał się na tę miłość przyjaciela.

— Burczysz na mnie, a sameś zakochany — śmiał się Stefan.

— Zakochany? Phi! — parsknął Marek. — Wiem: myślisz o Fatmie. Tak? Mnie ona potrzebna do... •— acz nikogo przy nich nie było, jał druhowi szeptać na ucho przeróżne trywialności.

— Filucie! — mruknął Stefan, po czym dodał z westchnieniem: — A mnie Alima potrzebna niby... zbawienie...

Jakimowski już się rozsierdził:

— Baba i zbawienie, też! Lepiej byś pomyślał o poprawie doli lub o ucieczce, a nie o próżnych amorach z księżniczkami.

— A ty byś o spaniu z mężatkami myślał — odgryzł się Sata-nowski — i to takimi, co nawet na cię nie spojrzą.

Marek poczuł się dotknięty w swej męskiej próżności. Poza tym Stefan przypomniał mu Marfę. Daleka już była, ale w duszy pozostały po niej ślady, w które teraz wstępowała Fatma.

Pewnego razu pierwsza małżonka bega, kadyn Sara, w towarzystwie córek miała udać się na przejażdżkę konną po wchodzących w granice parku odcinkach wybrzeża zalewu Menzaleh. Z paniami wybrało się kilka dworek i rzezaniec Selim.

Widział tę wyprawę Satanowski, starający się zawsze znaleźć na ścieżkach Alimy. Gdy masztalerze niezręcznie pomagali panience dosiąść konia, pobiegł na odsiecz. Ale Selim koniem zastąpił mu drogę wznosząc szpicróżgę do ciosu. Zabrzmiał wtedy mimowolny okrzyk Alimy, potem gorączkowe jej słowa. Bicz Selima opadł. Stefan oczywista domyślił się, że obroniła go. Ruszając do zalewu obdarzyła Polaka powłóczytym spojrzeniem, które poczytał sobie za najwyższą zapłatę.

Selim także nań popatrzył. Gdyby Stefanowi nieobce było uczucie trwogi, dojrzałby w mętnych i zimnych niby mgła oczach eunucha przestrogę i groźbę. On jednak widział teraz tylko źrenice Alimy, które mogłyby go przywieść do każdego hazardu. Kawalkada już dawno znikła w zaroślach osłaniających drogę do jeziora, a on patrzył za nią i szukał w duszy pięknych słów, w jakie by mógł przybrać tę chwilę.

Wszędobyłski Uriasz zmącił mu zadumę.

— Masz ty szczęście! — rzekł. — Oto dostojna panienska wzięła cię w obronę. Wielka to łaska, wielka!

I dalej mu wywodzić o Mahomecie a jego nauce, mieszając w to rozważania o łasce boskiej, chamsinie, wylewach Nilu...

Czynił to coraz częściej. Satanowski jednak mniej myślał o Proroku, a więcej o jednej z jego wyznawczyń, żywiąc nadzieję, że wreszcie spotka się z nią naprawdę. Nie odstraszały go bynajmniej przestrogi Uriasza ni oczy Selima. Do spotkania tego przygotowywał się nawet przezornie: na gwałt uczył się języków tureckiego i arabskiego. Toteż wyprzedził Marka, mniej pilnego.

Tymczasem niektóre niewiasty bega, a wraz i Alima, wyjechały do jednego z czyftlików, gdzieś na wschód od jeziora Menzaleh. Pomimo rad Kassima, który zresztą nie nalegał, zamiast drogi wodnej przez zalew, wybrały dłuższy szlak pobrzeżem Menzaleh, by zażyć lądowej podróży, a uniknąć płycizn i mielizn na zalewie zmieniającym się gdzieniegdzie w moczary.

Satanowski daremnie chciał uczestniczyć w eskorcie, bodaj do sołoneczaków 1 pod Fareskur. Ale widział wyjazd Alimy.

Ponownie znalazł się w pobliżu niej. Piękne oczy nad jaszma-kiem, które widywał z daleka, teraz patrzyły nań z bliska, a czoło nad zasłoną pokryły rumieńce. Podszedł jeszcze bliżej i szepnął wyuczone pozdrowienie arabskie:

— Assulam alekum 2...

Alima odpowiedziała uśmiechem. Postąpił za nią, nie bacząc na Selima patrzącego tak złowróźnie, że trzeźwiejszy od druha Ja-kimowski, obecny przy wyjeździe, chwycił go za rękę i zatrzymał.

— Opamiętaj się! Nie leć tam! Ja bieję do ujeżdżalni, bo mnie Fuad wzywa. Ale pamiętaj: nie rób głupstw!

— Idź, Marku. Bądź spokojny. Już po wszystkim.

Stefan wyszedł na drogę. Selim już wrócił do pałacu. Kadyny siedziały w kolorowych wozach egipskich, podobnych do arb, zaprzężonych w spokojne konie. Zbrojna eskorta dosiadła rumaków i wielbłądów: dromaderów 3 meharia⁴, dwugarbnych z Azji.

Gdy karawana znikła mu z oczu, zawrócił do ogrodu. Natknął się tu na Uriasza, choć go unikał.

— Panie pojechały bliżej pustyni, a tu chamsinu jeno patrzeć — rzekł stary. — Lepiej doma w taki czas.

Stefan chciał odejść, ale Uriasz uwziął się przecie, by go nawrócić na islam, toteż ledwo nieboraka zdybał, ciągnął go do rajju.

1 Sołoneczak — miejsce, gdzie na powierzchnię ziemi występuje sól, sol-nisko.

2 Assulam alekum (arab.) — pokój z tobą! •

3 Dromader — wielbłąd jednogarbny.

4 Mehari — wierzchowy wielbłąd z niskim, płaskim garbem.

Kawaler złotej ostrogi — Poczekaj! Powiem słów kilkoro, co ci w głowie rozjaśnia.

— Tyś był chyba mułłą, Uriasz.

— Allah nie dozwolił, alem pobierał nieco nauk w Krymie.

Stefan nie umiał się wywinąć.

— To już powiadaj, skoro natchnienie cię przepelnia. Jeno spiesznie, bo mnie koniuszy Fuad wzywa.

Uriasz odchrząknął i głosem zawodliwym kazał:

— W Siódmym Niebie umieścił Allah księgę, w którą anieli wpisują jego nieomyłne wyroki. Z niej archanioł Gabriel udzielał światła Prorokowi Mahometowi, czytał mu wyjątki, z których powstał „Al-Koran”, objawienie praw boskich i ludzkich. Czytanie go ulgę przynosi w nieszczęściu, wskazówki dawa na drogę żywota.

— Tam Fuad czeka — jęknął Stefan.

— To nic! Posłuchaj jeszcze! Moslem I, czyli pokorny wobec Allacha (bo nasza wiara to islam, pokora), ma drugi oprócz „Al--Koranu”, nieomylny drogowskaz w życiu: „Sunne”, zawierająca zdania i rady zebrane przez Mahometa, oblubieńca bożego. W tych dwu pismach cała mądrość się mieści. Nie tylko Mahometa zesłał Allah do ludzi na proroka. Jest ich sześciu dla głoszenia prawdy, ale wszystkich, co lud uczą, dwakroć po dziesięć tysięcy.

— Całe wojsko! — zawołał zdziwiony Stefan.

— Idź, synu, i przemyśl, coś usłyszał, albowiem przyjdą nowe •nauki, których byś nie pojął, gdybyś te zapomniał.

— Oczywiście, że przemyślę wszystko — zapewnił Satanowski, ale wnet zadał dalekie od rozważań o prorokach pytanie: — Nie wiesz, Uriasz, na długo wyjechały kadyny?

— Na zawsze — padła gniewna odpowiedź. — Ja tu o boskich rzeczach, a ten... Nie wiem, czyś godny takowych.

— Mnie się też zdaje, że niegodny — pokwapił się Stefan.

— Pytasz o kadyny jak równy im. Radzę ci być skromniejszym. Stefan, wróciwszy na stację, długo grał na lirze i nucił. Uriasz stale gadał o chamsinie, aż go wreszcie wygadał. Od dalekich pustyń wschodnich i południowych zadał uparty wiatr niosąc tumany pyłu i piasku aż ku morzu. Nie napotykały 1 Moslem, 1. mn.: raoslemim (arab.) — pokornys uległy, czyli muzulmanin.

one bowiem na żadne przeszkody w swej długiej wędrówce. Czyste dotąd powietrze stało się szare, duszące. Czasem chmury pyłu całkiem przesłaniały słońce.

— Żniwa niedługo — stwierdził Uriasz. — Narzekacie, synkowie. A wiecie wy, co chamsin potrafi na południu daleko? Piersiom brak tchu, słońce ustawnie biało zasnutę, że cienia przedmiot nie dawa, drzewa tracą liście od palącego dechu pustyni, jeno daktyl niby niezmożony junak beduiński znosi jakoś te wiatry.

Ziemia wysychała niepokojąco. Aby w promieniach słońca i w żarkich powiewach chamsinu nie zwiędły szitwil, fellachowie w ostatecznym pocie czoła musieli je nawadniać. Była to praca, od której, mdleli i umierali, jak od chamsinu ślepli. Skrzypiały po ogrodach i polach szadufy 2, kołowroty z wiadrami, sakije 3, tam-bury 4.

Brano się jednocześnie do letniego zasiewu — fellachowie wędrowni i pańszczyźniani, fellachowie-dzierżawcy i koloniści tureccy, niewolnicy. Wszędzie pracy towarzyszył śmiertelny trud, głód opędzany suchym daktylem, batogi w łapach wypasionych dozorców.

— Widać wszędzie batog panuje — wzdychał Satanowski.

— Bez batoga nie byłoby ładu — twierdził Marek.

— Sam się wszak buntujesz przeciw batogowi.

- Ale rozum powiada mi, że i bity bywa winien.
- A jakie prawo ma jeden górować nad drugim? Gdyby tobie...
- Porównujesz mnie z byle fellachem? — przerwał Marek.
- Tak — rzekł twardo Stefan — • boście obaj z mułu ziemi jednako ulepieni.
- Dzięki za komplimenta. Ale dość tej filozofii!

1 Szitwi — rośliny zimowe: pszenica, jęczmień, koniczyna, trawa wielbłądzia, zwana chulbe, bób, groch, fasola, soczewica.

2 Szaduf — prymitywny dźwig, żuraw nad rzeką, jeziorem, kanałem; za jego pomocą wyciąga się wodę na wyższe miejsca i wlewa do rowu nawadniającego.

3 Sakija — urządzenie ciągnące wodę za pomocą kieratu obracanego przez wołu.

4 Tambur — „śruba Archimedes”, urządzenie nawadniające.

III Pozycja Stefana i Marka na dworze bega. niebawem znacznie okrzepła. Stało się to w dniu dwudziestym miesiąca tureckiego Dżemasiul-ewwel, ustanowionym jako święto na pamiątkę zdobycia Konstantynopola przez Turków. Po uroczystych modłach porannych w meczecie damiatyńskim urządzono w Dar-el-Amirun turniej rycerski.

Żaden farys prowincji Gharbieh nie dorównał w jeździe konnej Jakimowskiemu. ' Satanowski zaś wyłuskiwał z rąk szermierzy szable, jatagany, szpady, a kilku z nich omal nie posłał do raju. Wojennicy tutejsi aż cmokali z podziwu. Niektórzy słudzy, wietrząc niezwykle promocje Polaków, już tytułowali ich „efendi” lub „sidi” 3. Nieraz bowiem w ich oczach wyzwolenicy stawali się panami. Atoli Fuad, Muharrem i Selim zapalali nienawiścią do • ludzi, których uważali za niebezpiecznych współzawodników.

Obecny na popisach przybysz z Easzidu, brat i współnik handlowy mudira Mahmed, wielki kupiec, tak sobie upodobał w niezwykłym schwalstwie i urodzie zwycięzców, że zapragnął ich kupić.

— Szkoda słów, miły bracie — odmówił Kassim. Mahmed nie nalegał. Od razu przystąpił do interesów.

— Zali przygotowałeś, dostojny bracie, wszelakie kupie, które mam zabrać do Grecji? — zapytał.

— Pszenicę, daktyle, jedwab damiatyński. Następnym razem popłynę ja. Albowiem spodziewam się dalszego napływu jasyru. O! potrzebni robotnicy w czyftlikach! Zamierzam też uruchomić jeszcze dwie nawy. Trudno o majtków. A ci dwaj Polacy są żeglarzami. Mam nadzieję zaszcześcić im prawdziwą wiarę, wyzwolić ich i uczynić kapitanami dwu statków kursujących po wodach śródziemnych.

Mahmed zaśmiał się pobłaźliwie.

— Wybacz, dostojny bracie: jesteś niepoprawny. Zawsze ta wiara w ludzi! Powierzyć nawę Polakom? To już lepiej lwu gazelę.

1 Dżemasiul-ewwel (tur.) — Dżemadi-el-awwel (arab.) — V miesiąc w kalendarzu muzułmańskim, mający 30 dni.

2 Efendi (tur.) — pan.

3 Sidi (arab.) — pan; tytuł ludzi znakomitych, Kassinia to bynajmniej nie rozgniewało.

— Taką już naturę dał mi Nieomylny — rzekł. — Skoro mówimy o lwach, muszę cię przestrzec: ukazały się w naszej mudiriji]. Już ich tu nigdzie nie było. Raptem przywędrowały z Nubii.

— Wedle Sidi Salim trzech fellachów rozszarpał lew!

— Nawet pod Sidi Salim lwy? — przeraził się Kassim. — A cóż dopiero w Ain-el-Faras! Tam wysłałem rodzinę! O, Allah!

— Wiem przecie: byłem w Ain-el-Faras, gdy przybyła.

— Jakiego bezpieczeństwa tam zażywa?

— Zawsze chroniona dostatecznie — uspokoił brata Mahmed. — Wszak nie tylko o lwy chodzi, ale i o nędzarzy, co jeno czyhają na osoby wysokiego stanu. Po ostatnim buncie salimskich fellachów i rękodzielników raszdzkich nikomu nie ufam, nawet dzierżawcom. — Właśnie wśród dzierżawców, mianowicie wedle Kalabaszy — rzekł Kassim — pojawił się niedawno „prorok”, który podaje się za mahdiego 2 i głosi, że to on, w innym wcieleniu, wiódł zastępy Beduinów 3 przeciw sułtanom przed czterema wiekami⁴, że to on podniósł fellachów i Beduinów razem w kilkadziesiąt lat później⁵, a potem znów fellachów i niewolników 6. Miał gębę pełną kłamstwa. Kazałem go pojmać. Ale ta hołota przeklęta, którą podburzał, pomogła mu umknąć. Znikł jako kamień w głębokiej a mętnej wodzie. Rozmowa braci przeszła na wojny i rozejmy w Europie, planowaną przez sułtana Osmana II nową wyprawę przeciw Polsce.

— Lehistan zostanie podbity przez padyszacha⁷ i stratowany kopytami naszych koni — oświadczył mudir. — Tak ogłodzimy Europę, którą Rzeczpospolita zasila jadem. Będzie to wielki krok na drodze do opanowania świata przez prawdziwą wiarę.

1 Mudirija •— obszar w Egipcie, rządzony przez mudira.

2 Mahdi (arab.) — oczekiwany przez mahometan prorok, który ma być zesłany przez Allacha, aby dokonał dzieła Mahometa.

3 Beduin (arab.) •— Arab koczujący.

4 Powstanie plemion bed. przeciw sułtanom mameluckim w r. 1253.

5 Wspólne powstanie Beduinów i fellachów przeciw władzy feud.

6 Liczne powstania fellachów i niewolników w w. XV—XVI - przeciw uciskowi mameluckiemu i tureckiemu.

7 Padyszach (pers.) — pan królów; tytuł monarchów tureckich i perskich.

— Nie byłoby lepiej żyć w pokoju z Lehistanem, jako przedtem bywało? — wyraził wątpliwość Mahmed.

•— Przede wszystkim bluźnierczy Lehistan winien zostać ukarany za pomoc wojskową, jakiej udzielił cesarzowi Ferdynandowi II przeciw Siedmiogrodzianom, naszym sprzymierzeńcom i sługom. Allah (najświętsze jego imię!) pokarał ich na cecorskich polach. Ninie nasz monarcha, spełniając jego nieomylną wolę, dokona reszty, a skorzysta przy tym z wojny polsko-szwedzkiej.

Mahmed popatrzył z wahaniem na brata.

— Podobno janczar-agał prowadzi w Buyuk-Dere rozmowy z obalonym sułtanem Mustafą 2 — odważył się wreszcie.

•— Niechże ci rozum zamknie usta! — zawołał beg. — Kogo Nieomylny wyznaczy panem Wielkiej Porty, temu ja czołem biję.

— Wszak ubolewałeś nad upadkiem sułtana Mustafy. —• Allah wskazał mi, kogo mam czcić jako monarchę.

— Zali wzbronili ci czcić pokrzywdzonego cesarza? Kassim-beg rozłożył dłonie i rzekł z namaszczeniem:

— Jestem jako tambur, który nie pyta, w czyich rękach spełnia swą rolę nawadniania pól egipskich.

— Możesz być obojętny wobec walki, jaka wstrząsa Serajem? — Skoro mnie ciągniesz za język, powiem. Gdyby obłąkany Mustafa wrócił na tron, janczarowie rozpanoszyliby się wszechwładnie. Dawniej myślałem inaczej. Teraz widzę, że-obecny pady-szach Osman 4, lubo młodzian dwudziestoletni, zamysły i talenta ma niepospolite. Pragnie przywrócić Turcji świetność, jaką miała za Solimana Wspaniałego 5, zawojować cały świat...

— Ale i przenieść stolicę do Damaszku — przerwał Mahmed. — A oto oznacza upośledzenie paszaliu Egiptu 6, przyrost znaczenia Syryjczyków, którzy zepchną Egipt na ostatni plan.

— Powrót Mustafy to nowe zamieszki, ponowna detronizacja, 1 Janczar-aga — naczelny dowódca janczarów.

2 Mustafa I — pierwszy raz na tronie w latach 1617—18, obalony przez Osmana (II), swego bratanka; drugi raz na tronie w latach 1622—3, znów obalony.

3 Seraj — pałac sułtański, a także dzielnica w Stambule.

4 Osman II — sułtan tur. panował w l. 1618—20, zamordowany.

5 Soliman Wspaniały — sułtan tur. w l. 1520—66.

6 Egipt stanowił paszalik, czyli prowincję pod rządami paszy tur.

a może i Murad : sułtanem. Murad zaś, acz dopiero trzynastoletni, potrafi sługom ścinać głowy.

— Za Osmana będzie wojna bez końca. A że dla janczarów zabraknie żołądu, bunt do wojny dojdzie. Wielki wezyr 2 Dilawer ma tęgich przeciwników w osobach Dziurdziego i Husseina-baszy, za którymi stoją janczarowie. Osman i Dilawer gotują nową wojnę przeciw Lehistanowi, czemu Hussein-basza przeciwny. Padyszach groził dowódcom, że sto tysięcy łbów straci, jeśli Lehistan się ostatecznie i rumaki tureckie nie napiją się wody z Bałtyku. A wiesz, co to znaczy? Wojnę na dziesiątki lat! Albowiem Lehistan po pokonaniu Moskwy i zawarciu sojuszu z Austrią stoi u szczytu potęgi.

— Dla begów i kupców najgorsze są zamieszki i zmiana władzy najwyższej — ocenił Kassim. — Wojna umacnia nasze stanowisko.

Mahmed zadumał się żując figi podejmowane z tacy na niskim stoliku zastawionym owocami, ciastem, dzbanami sorbetu.

— 'Więc za kim ty, Kassimie?'

— Jakom rzekł poprzednio: nieomylny Allah wybrał pady szachem Osmana, a nie kogo innego. Tobie radzę uznać także ten wybór. A jeśli zmieni swą świętą wolę, nie wolno się będzie prze-ciwiać.

— Za każdym spotkaniem muszę podziwiać twoją mądrość, dostojny bracie — rzekł z uznaniem Mahmed. — Jest ona mądrością i bega, i kupca. Jako kupcowi nie wolno zbyt pochopnie szacować kupi, tak statyście wzbroniono nie słuchać woli Allacha.

•—• Rzekłeś, Mahmedzie.

Nazajutrz Mahmed z kupią egipską odplynął do Grecji.

Rozmowa z bratem poruszyła Kassima. Nie był on tak zdecydowany, jak to okazał. Aby utrzymać damiatyńską mudiriję, dobrze musiał kręcić głową i lawirować między koteriami stambulskimi.

Miał też mniejsze kłopoty: żniwa pszenicy i jęczmienia, bo już koniec miesiąca Dżemasiul-Ewwel, no i najście lwów oraz wył Murad IV — sułtan w l. 1623—40, panujący po zamordowaniu Osmana II (rodz. brata) przez janczarów i ostat. obaleniu Mustafy I.

2 Wielki wezyr — pierwszy minister sułtana, kanclerz, premier.

stępki „mahdiego”. Te dwie ostatnie sprawy budziły troskę o rodzinę wysłaną do czyftliku Mahmeda w Ain-el-Faras, a zwłaszcza 0 Alimę, ukochaną ponad inne dzieci córkę. Toteż postanowił wysłać po nią czym prędzej zbrojny oddział pod dowództwem Kara Nuruma.

Tymczasem w całym imperium ottomańskim ogłoszono świętą wojnę przeciw Lehistanowi.

Po wszystkich prowincjach rozpowszechniono wojenne firmy¹ sułtańskie i fetwy² szejka-ul-islam³, wysławiające walkę z gjaurami i słodycz śmierci na polu bitwy.

Pójdą więc na daleką wojnę, oprócz regularnych wojsk, tłumy pospolitego ruszenia z niezmiernych obszarów.

Ponieważ Kassim-beg również spodziewał się wezwania do boku „pana królów”, zarządził rozpoczęcie żniw i wysłał do Ain--el-Faras oddział zbrojnych, a drugi — za Iskandariję, po synów.

Do pierwszego oddziału, dowodzonego przez Kara Nuruma, przydzieleni zostali Marek i Stefan oraz Uriasz na pośrednika i tłumacza między nimi a resztą żołnierzy i dowódcą.

— To chyba pierwszy krok na wolność — cieszył się Marek. Jechali na śmigłych arabach, odziani w bufiaste szarawary, czerwone płaszcze i takie same buty, zbrojni w muszkiety, lance, jatagany. Kara Nururn miał podobny moderunek, tyle że do wysokiej czapki dodano mu pióro, a płaszcz przystrajało futro. Uriasz jechał między Markiem a Stefanem.

— Umieście skorzystać z łaskawości dostojnego bega — zalecał. —• Niejeden już braniec zażywa swobody, ponieważ we właściwym czasie był wierny i posłuszny.

— O bodaj cię! — mruknął Jakimowski.

W orszaku mówiono o wojnie z Lehistanem. Polacy, zwłaszcza Satanowski, rozumieli już po trosze tureckich współtowarzyszy.

— Ach! gdyby pan hetman wielki litewski Chodkiewicz stanął na czele naszych wojsk! — roił Satanowski.

-^- Jeżeli on powiedzie hufce — uniósł się Marek — to ziemia zadrży wraz ze Stambułem i usmarkanym cesarczykiem tureckim.

\ Firman, ferman (pers.) — rozkaz sułtański, zarządzenie.

2 Fetwa, fetfa (arab.) — dekret, odezwa.

3 Szejk-ul-islam (arab.) — najwyższy duchowny mahomet., mufti.

Ciągnęli najpierw na południe, potem zaś na południowy wschód — drogami i groblami rozdzielającymi pola uprawne, między kanałami i zbiornikami wody, wśród złotych łąnów pszenicy i jęczmienia, wśród ogromnych palm daktylowych o łuszczastych pniach i wielkich pióropuszcach liści, przez beładnie zabudowane wsie. Za orszakiem biegły wynędzniałe, nagie dzieci żądając datków. Sklecone z mułu i słomy, kryte poszyciem z liści palmowych lepianki fellachów, pozbawione okien niby ślepcy oczu, szarzały i czerniały na tle złocistości i soczystej zieleni równin.

Żniwa już się rozpoczęły. Żęto jęczmień, koszone bersiml i chulbe 2, zbierano bób, fasolę, groch.

Jechali wedle osady Fareskur i el-Menzaleh, wedle białych sol-nisk na bagnistych brzegach zalewu, którego siwe wody poznaczone były rybackimi wysepkami i białymi żaglami mnogich statków.

Przenocowali w polu, na pokosach wonnej bersim, gdy zagroziły im drogę nieprzebyte błota i liczne odnogi zalewu.

— Jutro od rana będziemy szukać przejścia, co się zowie Kan-tara el-Hasne — objaśnił Polaków Uriasz.

Nazajutrz, przebrnąwszy przez bagna i jakiś skalisty wąwóz, znaleźli się w odmiennym kraju. Przed wąwozem owym była zielona, urodzajna ziemia, gdzieniegdzie jeno bielejąca plamami sol-nisk. Tutaj zaś, za wąwozem, poczynały się wydmy piaszczyste, nagie, bałwaniące się za każdym mocnym podmuchem wiatru tumanami szarego pyłu. Aczkolwiek to zaledwie kilkanaście mil różnicy, czuło się tu bardziej niż tam władanie chamsinu, tchnienie wielkiej Pustyni Arabskiej i małej pustyni Tih. Było to najdogodniejsze, na wiorstę lub dwie miejscami szerokie przejście między bagnami i odnogami zalewów.

— Jesteśmy na Kantara el-Hasne — oznajmił Uriasz. — Jak świat światem, zawsze podróżni, karawany wszelakie do Palestyny i Syrii dążące, przez Kantara el-Hasne chodzą.

Po obu stronach szlaku ciągnęły się wydmy na kilkanaście łokci wysokie. Wiatr usypał miejscami pagóry skoftunione z traw, krzaków, skał, piasku, spiętrzone do stu i więcej stóp.

Tu a tam pol Bersim — koniczyna egipska.

2 Chulbe — trawa wielbłądzia.

rzeźbił szarozółte usypiska w regularne barchany. Gdzieniegdzie w oddali zieleniały między wydmami i skalistymi wąwozami, na dnies dolin, gaje palm i półka skupione wokół studzien. Na jakimś urwisku wśród skał, wyniesionym nad wydmy, ukazał się brodaty kozioł. Chwilę mierzył czujnymi oczyma sunący w dole oddział. Niektórzy wycelowali doń z muszkietów i łuków. Kozioł jakby rozumiał zakusy ludzi, bo nagle czmychnął i znikł w rozpadlinie

pobrzmiwającej już stokrotnym echem wystrzałów. Jakiś czas jeszcze słyhać było suchy stukot wielu kopytek, tętent: snadź brodacz wiódł całe stado.

Palba jak gdyby rozbudziła okolicę. Niemal spod nóg końskich uciekały jaszczurki i żmije, chowając się w załomy skał, w nory. Z wolna wydmy przechodziły w suchy, szary, jakby zetlały, a miejscami soczystozielony step. Tutaj i stadka muflonów można było spotkać, i wielbłądy wypasane przez półdzikich pasterzy. Wśród takich stepów i piasków leżało odwieczne el-Kantara. Było to osiedle w oazie o przepysznych palmach, zwalistej roślinności, zamieszkałe przez rolników i rzemieślników obsługujących liczne karawany ciągnące tędy znad Morza Czerwonego i z Egiptu do Arabii, Palestyny, Syrii tudzież odwrotnie. Wśród drzew, domów kamiennych i drewnianych, namiotów z wielbłądziej' wełny i lepiank czy na pustych placach osady błyszcząły zbiorniki wody. Stada koni, wielbłądów, owiec, kóz przewalały się przez el-Kantara, zalegały kosary, stajnie, wolne miejsca. Wszelaki jazgot zwierzęcy mieszał się z krzykliwymi głosami uzbrojonych podróżnych, Beduinów, mieszkańców osiedla.

Przebiegała tędy granica między Afryką a Azją, jak również granica mudiriji damiatyńsko-raszidzkiej.

Ośrodkiem osady był karawanserajl, własność Kassim-bega, puszczonej w dzierżawę człękowi, który dawniej arendował łaźnię publiczną w Damiacie. Okolice bywały widownią krwawych walk poważnionych plemion koczowniczych, karawan z rozbójnikami synajskimi, porachunków osobistych, gwałtów, najazdów.

Oddział Kara Nuruma przybył do el-Kantara o wieczornym chłodzie. Zarządca karawanseraju, mały, sprytny grubas, bijąc pokłony mówił do kapudana:

— Pokój z tobą, sidi (oby Allah pamiętał o tobie na każdym skrawku ziemi i w każdej chwili!).

— Chodź ze mną, Gamalu ibn * Jakub, do zacisznej izby — powiedział Nurum. — Chcę poufnie z tobą pomówić.

— Twoja wola, sidi, a mój obowiązek. Nigdy nie zapominam, że łasce naszego wspólnego pana, jego wspaniałości mudira (brak mi rozumu na wysłowienie jego szlachetności), zawdzięczam wszystko — przy tych słowach zarządca padł na kolana.

Po chwili znaleźli się w małej izdebce bez okna, przybudowanej do tylnej ściany zajazdu, od strony ogrodu pełnego fig, kokosów, tamaryszku, akacyj.

— Dumny jestem, iż potrafiłem wzbudzić odrobinę ufności w sercu mojego pana. Słucham cię, sidi. Rozum i uszy moje łowią pilnie każde twe słowo, panie dostojny.

— Jak ci się wiedzie, Gamalu?

— Bieda, panie, bieda — odparł żałośnie dzierżawca. — O zaopatrzenie hanu2 coraz trudniej, a gdy jakowys dostojnik przejeżdża, to i nałaje, i harapa nie poskąpi. Zdarzają się karawany, co za posługi, jadło i paszę nie zapłacą (oby trąd stoczył takowych ludzi!). Człek się zagapi, a niecnotliwy podróżnik tymczasem czmychnie.

—• Skoro ci tak źle, to może ustąpisz dzierżawy komu innemu?

— Ależ jakoś żyję o daktylu i wodzie. Nigdy nie poniecham obowiązków! Bieda bo bieda. Taka już, dola człowieka pospolitego. Allah nieomylny (chwała mu na niebie i ziemi!) takową dolę przeznaczył. Jakoż tedy jego woli świętej się przeciwiać?

— Nie opłaciłeś podatków, danin, dzierżawy, Gamalu.

— O, nędzo żałosna moja! Atoli na głowie bodaj stanę, a nim słońce trzy razy wzejdzie, uiszcę wszystko.

— Niebawem skarbnik jego wspaniałości sprawdzi użytkowanie funduszków na rozbudowę hanu i utrzymanie straży drogowej.

Gamal skłonił się w pas i wyznał z przejęciem:

— Chciałem właśnie prosić dostojnego skarbnika (oby opływał w dostatki), aby tu przysłał kontrolerów, albowiem pomogliby i Karawanseraj (pers.) - dom zajezdny na Wschodzie.

1 Ibn, ebn (arab.) — syn.

2 Hań (pers.) — gospoda, dom zajezdny na Wschodzie.

mi i poradzili w pewnych poczynaniach. Chciałbym podnieść ka-rawanseraj na wyższy szczebel ku chwale wielkiego mudira. Kara Nurum po dłuższym namyśle podjął rozmowę na nowo:

— Jedziemy do Ain-el-Faras po rodzinę jego wspaniałości mudira (oby żył wiecznie!). Jak drogi tutejsze, Gamalu?

— Allach (wieczny pan ziemi) usłał je wygodnie dla swych wiernych wyznawców: równe, jakby wygładzone kasabą l.

— Widzę tu pełno Beduinów, którzy mi hieny przypominają.

— To spokojni hodowcy kóz i wielbłądów, szukający pastwisk. Surowa twarz kapudana przybrała grymas uśmiechu.

— Takowi spokojni hodowcy kóz wymordowali przed trzema laty oddział Omara, wysłany przez dostojnego mudira w te strony.

— To niegodziwcy spod bajraku 2 Haleba (oby skonał w chwili największej radości), który się mahdim głosił i łgał nikczemnie, że według Allacha wszyscy ludzie są równi, a panowie winni zostać wygubieni. Zresztą karawany ciągną tym szlakiem, co zapewnia bezpieczeństwo. Wszak kadyny jego wspaniałości jechały tędy niedawno, a żaden pyłek nie zakłócił im spokoju (niechaj zażywają go w błogości do najdalszej chwili żywota!).

— Wiedziałeś, że jada? •— zaniepokoił się oficer. Gamal dobrodusznie rozłożył dłonie.

— Zali mógłbym przeoczyć blask słońca? I jakbyś nazwał, sidi, zarządcę, który nie' wie, co się koło jego hanu dzieje?

Kara Nurum chwycił go za brodę owijając sobie szochrane kłaki dookoła dłoni, podniósł mu twarz ku swojej i patrząc w jego rozbiegane oczy rzekł twardo:

— Za dużo gadasz! Ciebie czynię odpowiedzialnym za każdy zamach zbójów pustynnych, z którymiś za pan brat. Pojąłeś?

Gamal, uwolniony z uchwytu, opanował wściekłość kipiącą z nabiegłego krwią oblicza i uśmiechnął się uniżenie.

— Słowa twoje, sidi (obyś żył wiecznie w szczęściu!), rozjaśniły mi rozum, jakby nań padły promienie słońca.

— Nikt ma nie wiedzieć o przejeździe dostojnych pań!

— Nikt ma nie wiedzieć o przejeździe dostojnych pań!

— Rozstawisz strażę wzdłuż drogi do el-Katija!

1 Kasabą — socha, prymitywny pług egipski do wyrównywania ziemi.

2 Bajrak (tur.) — sztandar, chorągiew, znak.

_ . Rozstawię strażę wzdłuż drogi do el-Katija.

_ Przygotuj teraz dobrą a sutą wieczerzę na trzydzieści osób i sio pięćdziesiąt oka l obroków dla koni.

Gamal dwoił się i troił, aby dogodzić przybyszom.

A nazajutrz po ablucji 2, namazie i śniadaniu, powtarzając pełne czci zaklęcia, wywiódł gości poza osadę. Pożegnał ich niezliczonym wybijaniem pokłonów i głosem pełnym wzruszenia:

— Pokój z wami! Niechaj Allach nieomylny kieruje waszymi krokami i szczęści wam w każdym poczynaniu!

Gdy zniknęli za pagórkiem, wrócił spieszenie do domu.

W karawanseraju stacjonowało istotnie kilkudziesięciu strażników przeznaczonych do obrony hanu, osiedla i ochrony kilkumi-lowego odcinka szlaku. Rozesłał ich bezzwłocznie. Ale nie ku el-Katija, lecz na południe, ku dolinie Ballah, na wzgórze el-Gisir, i ku jezioru Timsah, odległemu stąd przynajmniej 0 sześć mil.

Wyprawiwszy strażę wezwał synów, ognistych wojowników be-duińskich, i przemówił do nich bez zwykłych obsłonek:

— Ziemia nam płonie pod stopami. Albowiem nie zapłaciliśmy dzierżawy ni innych powinności, na domiar złego zużyliśmy pieniądze, zapasy żywności i wielbłądy przekłętogo mudira (oby łaknął wiecznie krzty jadła i kropli wody!). Musimy stąd uchodzić!

— Wola twoja, ojciec - - rzekł najstarszy syn. ; — Atoli han to dobra łyżka strawy, a w ucieczce czeka nas pościg mudira i tułaczka po pustyni z próżnym brzuchem a wyschłymi wargami.

— Mamyż łaknąć strzępka daktyla i kropli napoju? — wołali inni synowie. — Błagajmy mudira o łaskę podobną tej, jaką nam wyświadczył w Damiacie.

Gamal zarechotał rozgłośnie, po czym rzekł:

• — Wasz ojciec wymyślił coś lepszego niż błaganie jego pieskiej dostojności o litość. Kiedy rodzina mudira przejeżdżała tędy do Ain-el-Faras, już powziąłem pewien zamiar. Ale nie mogłem wtedy go 'urzeczywistnić, bom zając się musiał karawaną Husseina--baszy, ciągnącą z Beni-Suef przez el-Kantara do Arabii.

1 Oka — turecka jednostka wagi = 1285 gramów.

2 Ablucja (łac.) — umycie, obmycie jako obrządek religijny.

— Jakież to zamiar, ojciec?

— Zanim słońce ileś razy wypłynie znad skał wadil Asfaru, wracać tędy będzie z Ain-el-Faras do Dar-el-Amirun harem mu-dira. Ale więcej przezorności, synkowie mili! Wszak ściany mają uszy, a zwłaszcza ściany węzłowego hanu.

Wyszli na ogród gubiący się w skalnym rumowisku między ścianami wąwozu, z którego brano kamień do budowy w ta li wielkich ilościach, że wąwóz ów stawał się coraz płytszy i groziło mu całkowite zrównanie z otoczeniem.

•—• Gdybyśmy mieli sto tysięcy piastrów — rzekł Gamal — uszlibyśmy do Persji, tam uruchomili karawany z kupią i prowadzili własny karawanseraj w serdabie 2. Te sto tysięcy piastrów leży na drodze między el-Kantara a czyftlikiem Ain-el-Faras. Otóż porwiemy harem bega albo przynajmniej Alimę, która światłością oczu swego ojca. Dostaniemy sto tysięcy okupu, a może więcej.

— Jakoż damy sobie radę z eskortą?

Dzierżawca stanął i objął wzrokiem gromadę swych synów.

•— Siedmiu was, farysów roślących niby palmy a dzielnych jako lwy. Ja jestem ósmy, który mózg całej drużyny stanowią. Żeby zwycięstwo było pewne, potrzeba nam jeszcze sprzymierzeńców, towarzyszy na dobre i złe. Kędy ich szukać, synaczkowie?

•— Wiadomo! U szejka Izmaela! — wykrzyknęli.

— Głowy wasze rozumu pełne jak zdrowe owoce miąższu. Z okupu ofiarujemy kilka tysięcy piastrów, zdobyte konie, wielbłądy, rynsztunki, materie, niewolników szejkowi i jego wojownikom... A my resztę! Tyle, ile da się wydusić z bega, który mudiriję obdziera! Allach (przenajświętsze jego imię!) pomoże nam w przedsięwzięciu, miłuje on bowiem ubogich a pobożnych.

— Co mamy czynić? — spytał najstarszy syn.

— Ty, Ibrahimie, pojedziesz ze mną — odparł Gamal. — Wy zaś zajmiecie się hanem, jak gdyby nic nie zaszło. Jeśliby rzecz się nie udała, ujdziemy z Egiptu. Alimę zaś, w razie pojmania, trzeba by... — uczynił wymowny ruch po gardle.

1 Wadi (arab.) — sucha dolina w pustyni, stanowiąca łożysko rzeki podczas deszczów.

2 Serdaba (pers.) — miejsce postoju karawan przy zbiornikach z wodą-

—Albo uprowadzić do Persji na sprzedaż, bo ponoć piękna —
dokończył przezornie Ibrahim.

Kiedy z minaretu zabrzmiał przeciągły hejnał piszczałki, łagodna melodia i zawodzenie muezzina, ogłaszające salę1, Gamal i synowie uklękli kornie, zwróceniem twarzami ku wschodowi. Bijąc pokłony odmawiali przepisana zakonem modlitwę. Oprócz niej mieli do

Allacha szczególną prośbę, nie bacząc, że Miłosierny słucha jednocześnie mudira, jego kadyn i żołnierzy eskorty.

Niebawem Gamal z Ibrahimem, tego uzbrojeni, na ściągłych nedżdżach pomknęli kryjomo ku południu. Jechali dość długo — przez doliny, wąwozy, wydmy, pagórki, omijając osiedla. W dolinie Ballah, częściowo bagiennej, zielonej, częściowo piaszczystej, nie było już obozu szejka Izmaela. Pozostały po nim śmietniska, kloaki, poniszczone krzewy, spasiona, wydeptana trawa, rowy i doły. Nie zasypane jeszcze przez wiatr ślady kopyt po przepędzie bydła, pochodzie koni i wielbłądów poprowadziły ich ku niemu. Nie znaleźli go także na pagórkach el-Gisir ni na brzegach jeziora Timsah, którego zielonawe wody odbijały jaskrawo od szarozółtych piasków pustyni, ani na gołoborzach Tussun. Nie szcędząc koni, spienionych i robiących bokami, szukali wśród piasków i stepów na przestrzeni kilku mil... Wreszcie z wysokiej skały, wskroś tumanów pyłu wzbijanego < przez podmuchy chamsinu dojrżeli na widnokręgu uchodzące ku Bir-el-Mahadam plemię Izmaela.

Było już dobre popołudnie, ale słońce stało jeszcze wysoko. Z pagórków śledzili pochód hordy, oddzieleni od niej stromym wąwozem po wyschłej rzece i karkołomnymi zwaliskami skał.

Horda, ciągnąca bezładnie na koniach i wielbłądach oraz pieszo, zwolniła. Wojownicy jęli spośród niej wyjeżdżać na czoło pochodu. Reszta — rodziny na koniach a wielbłądach, gromady pieszych, zwierzęta z jukami, stada bydła i wierzchowców — zostawały w tyle, uładzając nieco swe szyki. Przez obłoki kurzu przedzierał się zgiełk: głosy ludzkie, rżenie a kwik koni i wielbłądów, beczenie kóz i owiec.

— Zajmują nową smalę 2 — rzekł Gamal. — Naczelnicy rodów gotują się zająć miejsca. Poczekamy, aż wytyczą swe stanowiska...

1 Sala (arab.) — modlitwa odmawiana 5 razy dziennie, namaz.

2 Smalą (arab.) — wieś beduińska, złożona z namiotów.

Już mija trzydzieści trzy lata — rozmarzył się el-kantaryjski dzierzawca — jakem opuścił pasterzy z el-Hisma, daleko, ale m.l zawsze do nich... — głosu mu zabrakło, przełknął ślinę. Od hordy oderwało się kilku jeźdźców i pognało w zieloną dolinkę nad niewielkim rozlewiskiem wody: to naczelnicy rodów. Pędzili z pikami nastawionymi niby do natarcia. W pełnym galopie obiegli po kilkakroć dno dolinki, oznaczając w ten sposób zakres obozu, jaki miał być tu rozbity. Każdy w biegu wbił pikę w ziemię na upatrzonym miejscu, zeskoczył i przywiązał do piki swego konia. Wtedy nadbiegali inni mężowie — na koniach i wielbłądach — po czym zrobili to sarno. Za nimi nadciągnęła w nieładzie i zgiełku reszta hordy, popędzając harapami wierzchowca. Za starszyzną nadeszły wielbłądy niosące kobiety, dzieci, sprzęt gospodarski, juki z żywnością, odzieniem, kupią. Aż i stada, aż i poganiacze, aż i tłum pieszych. Rody pośpieszyły do miejsc naznaczonych pikami.

Wielbłądy i konie wierzchowe przystrojone sznurami paciorków, wstęgami, kobiercami —• zależnie od zamożności właścicieli. Wielbłąd Izmaela wyróżniał się strojnością. Siedział na nim szejk, dla którego wybrano już miejsce: w samym środku obozu. Za szejkiem kroczyły wielbłądy z palankinami w kształcie olbrzymiego buta otwartego z przodu dla kierowania wierzchowcem. W palankinach tych mieścił się harem Izmaela: niewiasty i dzieci. Dalej postępowały inne haremy.

W oka mgnieniu dzieci wyskoczyły z palankinów niby wróble z gniazd, rozpierzchnęły się po dolinie, po wodzie, między skąpe zarośla — zgiełkliwie, nie zważające na upomnienia, nawoływanie. W zajęтым obozowisku zawrzała gorączkowa praca. Szybko po-j wstała smalą — rozbity kostejki z ze skór koźlich i wielbłądzich, malowanych na kolor brunatny. Namiot szejka nie różnił się od innych.

Ibrahim i Gamal zsiadli z koni na linii pierwszych kostejek.

— Pokój z wami! — zawołali. — Bracia pozdrawiają was najświętszymi słowami: „Allah ii Allah, Muhammad Rasul Allah!” Obyście nigdy nie zapragnęli źródlanej wody ni daktyla!

1 Palankin (ind.) — lektyka umieszczona na grzbiecie słonia lub wielbłąda, albo noszona przez tragarzy.

2 Kostejki — namioty.

Wielu Beduinów witało przybyłych znając ich z dawna.

Zamożniejsi Beduini odziani byli w burnusy z kapturami opatrzonymi w opaski; inni nosili na głowach kolorowe chusty jedwabne z frędzlą albo zawoje. Ubożsi mieli na sobie długie, szerokie koszule, przeważnie złachmanione, i brudne szmaty na głowach. Prawie wszyscy byli bosi. Niektórzy obuli łapcie gałganiane, z łyka lub skóry, niektórzy — obuwie europejskie, chyba zrabowane. Chociaż zbrojni tylko w drewniane czy żelazne pałki, maczugi, liche jatagany, piki i dzidy, wyglądali nader bojowo i groźnie. Twarze mieli orle, spalone wichrem i słońcem pustyni a stepów, postury na schwał, albowiem w nieustannej walce z przyrodą i ludźmi jedynie najsilniejsi utrzymywali się przy życiu.

— Ledwie kilku posiada broń palną — szepnął do syna Gamal.

Szejk Izmael ibn Hassan był mężem w średnim wieku, brodatym i roslym. Ogorzała jego twarz na tle jasnozielonego turbanu wydawała się maską wykutą w brązie. Zbrojny w sadzony turkusami jatagan, opasany pasem z mosiężnych kótek naszytych na rzemień, miał złote pierścienie na palcach, w uszach kolce, na nogach safianowe trzewiki. Jego kostejki ustawiono najwcześniej. Podczas gdy on już odpoczywał siedząc na trzcinowej macie okrytej kobiercem i zajadając owoce, trudom podwładnych daleko jeszcze było do końca. Przy wszystkich namiotach szejka krzątały się niewiasty, służba, niewolnicy. Osobista jego kostejka, salemlik istny, przybrana i wyścielona kobiercami, ze zrabowaną jakimś bejowi tachą *, była już gotowa na przyjęcie gości.

Do środka Gamal wszedł sam, bez Ibrahima. Po długich ceremonialnych salamach i wielokrotnym wezwaniu Allacha szejk zaprosił gościa, by usiadł naprzeciw niego.

— Z czym przybywasz, Gamalu, synu Jakuba? •— spytał łaskawie.

— Z najniższym pokłonem i pozdrowieniem pełnym serdeczności. Oby tobie, twoim ludziom i wielbłądom nigdy nie brakowało źródlanej wody ni smacznego jadła! Poza tym, jeśli pozwolisz, syn mój wniesie dary, na jakie mnie, nędznego, stać, a jakie wypłynęły z.- głębi miłującego ciebie, sidi, serca.

— Będą mi one tak miłe, jako twoje odwiedziny, cny gościu.

1 Tachtą (tur.) — rodzaj kanapy. 20 — Kawaler złotej ostrogi powiada się w krainie Tih, z której pochodzę: „Allah czuwa nad namiotem, w którym gość przebywa”.

Gamal wstał i uchylił kobierca zasłaniającego wejście. Na ten znak wszedł Ibrahim z darami, położył je przed szejkiem, po czym opuścił namiot. Dary stanowiły sztuka czerwonego adamaszku, amarantowy czaprak 2 anatolski i piękny pistolet francuski w kościanej oprawie. Były to rzeczy nader kosztowne.

— Dzięki ci, Gamalu. Wspaniałe dary! Gdyby ci się podobały te dwa karę rumaki rodem z Nedżd, któreś widział przed namiotem, darowałbym ci je, lubo wiem, że nie dorównają twoim darom.

— Byłbym szczęśliwy, sławny Izmaelu, synu sławnego Hassa-na. Rumakowi, który z rąk twoich wychodzi, jeno orzeł w locie sprosta.

Długo wymieniali grzeczności i życzenia.

— A ninie wyjaw mi cel swego przybycia — rzekł w końcu szejk.

— Między el-Kantara a osadą Ain-el-Faras Allah rzucił tysiące pistrów dla pobożnych — odparł po swojemu Gamal.

Zrozumiawszy intencje gościa Izmael zawołał ochoczo:

— Jeśli pozwoli, wybieramy je do ostatniego miedziaka!

— Stu wojowników odważnych jako lwy i bystrych jako orły, wśród nich zaś co najmniej dwudziestu ze strzelbami, potrzeba. Zali to potęga nie nazbyt wielka dla twego obozu? Gdyby wszyscy mieli strzelby, pięćdziesięciu jeźdźców wystarczy.

Długo naradzali się i targowali o podział łupów.

— Po udanym porwaniu pociągniem na słodką wyżynę Nedżd i dopiero stamtąd będziemy pertraktować przez posły z mudi-rem — zakończył swe wywody Gamal. — Albo może już z Persji.

Nie przyjął zaproszenia na nocleg. Pragnął przed wyjazdem zobaczyć się z pobratymcami, jakich miał w hordzie.

Odwiedził więc niektóre kostejki, pobudził ich mieszkańców.

Kostejki te były do siebie bliźniaczo podobne, o wiele uboższe od siedziby szejka. Każda ledwie pilśniową kocą na dwie kwatery — salemlik i harem — rozdzielona.

1 Adamaszek — gruba, wzorzysta, cenna tkanina jedwabna (nazwa pochodzi od miasta Damaszek).

2 Czaprak (tur.) — przykrycie na konia.

20*

Nocny przybysz, uśmiechnięty kusiciel, wskazując sfatygowane maty trzciniowe, cuchnące bukłaki na mleko i wodę, drewniane, szczerbate kubki i misy, nędzne uzbrojenie, łudził ich posiadaczy:

— Łatwy łup leży na drodze el-katijskiej. Mów to szejkowi. Cynowe naczynia, strzelby, jedwabie, pieniądze czekają was na szlaku karawanowym. Allach nieomylny (bądź jego wola święta!) sprzyja odważnym wojownikom. Głoście to na radzie starszyny.

Pocwałował w drogę powrotną wraz z synem, w chwili gdy obozowy mułła ogłaszał wieczorny, ostatni namaz. Zaryli konie, zeskoczyli na ziemię i rozłożywszy abbasy 1, czółmi uderzyli przed majestatem Nieomylnego. Za czym pognali w głęboką noc...

Księżyc obielił pustynną drogę wiernym wyznawcom Allacha, którzy nie zaniedbywali nigdy żadnej modlitwy ni obrzędu, nakazanych przez Proroka.

IV Już osiedle el-Katija było zielone, pełne drzew i kwiatów, otoczone łąkami zbóż padających właśnie pokotem u nóg żniwiarzy w zawojach, oddychające rzeźwym wiatrem od morza. Ale Ain-el-Faras, położone w odległości kilkunastu wiorst od el-katij-skich pól, wydało się Polakom najpiękniejsze z napotkanych osad.

Była to szmaragdowa dolina wśród skalistych wzgórz, związana ze światem trzema jarami o stromych zboczach, porośniętych krzewami rozpierającymi różowawe głązy. Na tle doliny błękitniało jezioro o niskim z jednej strony brzegu, na którym urządzone w zagrodzie haras² dla nedżdzyjskich koni. Stąd nazwa osady³. Na drugim brzegu, wysokim, stromym i skalistym, wznosił się kamienny grodek z ogrodami, otoczony domkami fellachów i rękodzielników.

Przez ogród pełen oplecionych bluszczem altanek, przez bujną zieleń, przepływał srebrzysty strumień wpadający do jeziora pod urwiskiem zamkniętym u góry murami gródka.

1 Abbas (arab.) — dywanik, na którym klęka muzułmanin do modlitwy, zwracając twarz ku świętemu miastu Mekka.

2 Haras (arab.) — stadnina, nastawiona szczególnie na ulepszenie rasy koni.

3 Ain-el-Faras (arab.) — Ain — woda, źródło, Faras — koń.

Osiedle miało niewielki meczet z minaretem opatrzonym krużgankami, z których muezzin wzywa pięć razy dziennie wiernych na modlitwę. Minaret połyskiwał w słońcu spiczastym dachem niby grotem.

Satanowski zdradzał rosnące podniecenie, mówił niezrozumiale dla Marka o tęsknotach nurtujących duszę.

— Przemyslałem: ja istotnie miłuję Alimę! — wyznał.

Jakimowski aż spurpurowiał i parsknął gniewnym śmiechem:

— A może sułtankę? Bodajby cię najmowali do miłowania, to-byś dużo pieniędzy miał.

— Ile dobroci w niej, słodczy, urody! Dałbym życie za nią!
— Życie za bisurmankę! To poniżające!
— Kochanie nigdy nie poniża! Daje skrzydła nawet niewolnikowi, które go na wyżyny niosą!
— O, bodaj cię! Potrzebujesz bisurmanki, żeby ci sprośny Mahomet patronował a zasmarkany mufla ślub dawał? Trzeba uciekać, nie o amorach myśleć! I to o niedorzecznych, bo tyś niewolnik, a ona pani.
Satanowski patrząc na druha odpowiedział z uczuciem:
— Już mi nie tak, jako pierwiej, miła wolność. Bez Alimy...
— Tyś oszalał? — przerwał gwałtownie Jakimowski.
— Może... Aliści wołę schnąć tu w podmuchach chamsinu, na łańcuchu, byle ją widywać, niżli kędy indziej kwitnąć bez niej. I czy kwitnąć? Tęsknota gorsza niż piekło!... Ty wydziwiasz, ale i tobie oczy błyszczą, gdy Fatmę widzisz lub wspominasz.
— Ja potrzebuję niewiasty jeno tak, jako napić się wody albo zjeść sarni comber.
— Tyś niby. ten ogier, którego dosiadasz, Marku.
— Pewno, że nie owca żałośnie becząca jako ty.

Oddział z klekotem kopyt końskich po bruku przetoczył się otwartą przez warty bramą na dziedziniec gródka.

Kara Nurum, polecivszy rządcy czyftlika zakwaterować zdrożonych żołnierzy, sam spiesznie ochędożył się z pyłu drogi i kazał zameldować bawiącej tu Sarze, pierwszej małżonce Kassima.

Zastał Sarę nie samą, lecz z Alimą. Przyjęły go w jednym z pokojów salamliku, pustych pod nieobecność bezzennego Mahmeda. Wybiwszy należne pokłony, podał Sarze owinięte w jedwab pismo.

— Oto list do ciebie, dostojna pani, od jego wspaniałości.
— Dzięki. Przeczytam bez zwłoki słowa pana mego i małżonka, wybac mi przeto, kapudanie, chwilowe zajęcie.
Obie nachyliły się nad listem. Były podobne do siebie. Jeno że Alima sięgała zaledwie niesytych dni wiosennych, Sara zaś miała już urodę i dojrzałość lata.
— Jego wspaniałość życzy, abyśmy wracali do Dar-el-Ami-run — rzekła Sara. — Wyjedziemy więc za dziesięć dni. Przez ten czas ty, kapudanie, i twoi żołdaci zażyjcie do woli spoczynku.

— Zali woła twoja, dostojna pani, dotyczy jednako żołnierzy Turków, jako i dwu Polaków — karawuszów dodanych do oddziału?
— Tak... Możesz odejść, kapudanie.

Alima z rumieńcem na twarzy podeszła do okna i stanęła w okiennej niszy, odwrócona plecami do matki, aby ukryć wzruszenie. Ujrzała żołdatów Nuruma, a wśród nich wyniosłego niby cyprys Stefana. Na jego widok zarumieniła się jeszcze bardziej, oczy jej "zwilgotniały". Rozgniewała się sama na siebie za to wzruszenie. Ale po chwili wzrosło ono napełniając serce nie znaną do niedawna błogością.

Tak chyba, jak ten urzekający rycerz z Lehistanu, wyglądają aniołowie chrześcijańscy, mający błękit nieba w oczach i miecze w dłoniach, aniołowie, o których niegdyś opowiadała niewolnica Litwinka Agata i Koptyjka Miriam. Oczy wilgotnieją, rumieńce palą lica, pierś wzbiera smutkiem. Bo i z Ain-el-Faras, kolebką dzieciństwa, trzeba się pożegnać. Dobrze chociaż, że wojna z Le-histanem. Albowiem wojacy pójdą walczyć, a z nimi Harun-bej, który ma zostać jej, Alimy, małżonkiem. Stary i dziesiątki nałożnic a setki dzieci posiada. Ale Kassim-beg, czuły ojciec, tego małżeństwa sobie życzy, ponieważ Harun cieszy się łaskami sułtana. Zresztą obojętne, jaki małżonek, byle jeno w jego haremie panował spokój i nie było waśni, intryg, trucizny.

Obojętne? Tak było do niedawna, dopóki oczyma tego karawu-sza nie wejrzało w jej serce niebo Lehistanu, dopóki jego śpiew i lutnia nie objawiły jej duszy dalekich krain, podobno szarych, złych, lodowatych, a przecie w jego pieśni pełnych dobroci i ciepła. Teraz każda myśl o starym beju kłuje niby rozżarzona igła. Dlaczego? dlaczego? Powiadają ludzie, że w Lehistanie mąż ma tylko jedną żonę, że kochanie tam wiele waży. Co znaczy kochanie?

Agata i Miriam chybaby niniejsze wzruszenie nazwały kochaniem. Jakież to dziwne! Obie nie miały mężów, bo jedną od małżonka w jasyr zabrano, druga zaś była wdową, a tyle wiedziały o kochaniu.

— Ach! — wyrwało się Alimie, gdy Stefan, wodząc oczyma po oknach, dostrzegł ją i powitał ukłonem a uśmiechem. Cofnęła się odruchowo i nagle poczuła lekką dłoń matki na ramieniu.

— Co tobie, kwiatuszku?

— Ach, tak mi żal opuszczać Ain-el-Faras! Jestem tu niby mała dziewczeczka, beztroska u twoich kolan. A tam... Boże! Boże!

Sara pogładziła córkę po uwolnionej z jaszmaru twarzy. Przez jej doświadczone oczy przemknął cień.

— Prawda, nie spieszo człekowi do smutku.

— Tyś mądra, pani! Ty wiesz wszystko.

— Wszystko wie tylko Allah. Ale ja wiem, że tobie nie spieszo do haremu beja Haruna. O, dziecię moje, wiedz, że żadnej dziewicy nie chce się wychodzić z domu rodzicielskiego.

— A tobie, matczko, żal było opuścić progi ojcowskie?

— Moje życie tak smutne, jak źródło u stóp cyprysów ria cmentarzu. Allah jednak wie, co czyni. Dlatego nigdy nie buntowałam się przeciw jego najświętszej woli.

— Allah więc wysyła dziewice do haremów starych bejów?

— Allah (szczęśliwe wargi, którym dane wymawiać to imię) jest stwórcą — rzekła surowo Sara — stwórcą świata, gwiazd, słońca i ludzi, i ich praw, i ich serc, wszystkiego, wszystkiego...

— Czuję się nieszczęśliwa! — załkała Alima. Matka objęła ją, utuliła. Ale czy zrozumiała? Smęt dziewiczy, drapieżny, bolesny, wybuchowy minie za progiem małżeńskiej łożnicy, gdzie nie przeistoczy się wprawdzie w szczęśliwą dojrzałość, ale stanie się znośny. Wszak lepiej poślubić niemiłego człowieka, którego przeżycia miłosne są obojętne żonie, niż tak, jak Sara dawniej, cierpieć każdej nocy, gdy drzwi mężowskiej sypialni zamykały się za inną kobietą, i każdego dnia, gdy stykała się z następczynią lub rywalką. Gorąca zrazu miłość do Kassima nie przyniosła szczęścia, przeciwnie — udrękę, zanim wreszcie wygasła i zmieniła się w bierną niechęć oraz w obłudną Walkę o pierwszeństwo na dworze bega. O ileż lepiej niewiastom zniewolonym do małżeństwa! Po pierwszym buncie godzą się z lo sem, potem zaś uprawiają jak gdyby zyskowny proceder, wymyślą politykę. Alima będzie należała do takich •— szczęśliwszych.

Sara uspokoiła córkę, ale jej nie przekonywała, zostawiając dziewicze myśli własnemu tokowi.

Ochłonawszy Alima nie mogła już usiedzieć w domu. Zapra gnęła podumać w miejscach, które od zarania życia najbardziej kochała. Furknęła więc w ogród — bez cienia tej powagi, jaką okazywała zazwyczaj obcym. Sara tkliwie patrzyła na nią z balkonu. „Kwiatuszku — myślała — winienes stroić seraj l pady-szacha. Ale cię los rzuci na czarszaf 2 przeciętnego rozpustnika”.

Alima wyszła na ogród tylnymi drzwiami. Stefan nie mógł jej przeto widzieć z dziedzińca przed frontem domu.

Natomiast Jakimowski wypatrył stąd Fatmę stojącą na balkonie swej komnaty. Ta nie drożyła się tak, jak tamta. Ujrzawszy Marka, uniosła jaszniaku, uśmiechnęła się, po czym kokieteryjnie umknęła za firanki i stamtąd śledziła go dalej. Pokraśniał. Zuchwalstwo

podsunęło myśl: przed oknami Fatmy rósł rozłożysty platan anatolijski, zachodzący gałęziami na balkon. Postanowił. Nie zważał, że za podobny postępek można zapłacić głową. Z rozkazu Sary żołnierze zostali zwolnieni z wszelkich zajęć i dyscypliny. Rozpierzchli się przeto po dolinie, kąpali w jeziorze, przechadzali, gawędzili ze służbą, z rolnikami, zagadywali pasterzy na pastwiskach i rybaków przy sieciach. Pod nieobecność Mah-meda ustał jakby wszelki rygor. Mieszkańcy Ain-el-Faras poczuli się swobodnie. Nawet imam³ skromnego meczeciku w osadzie i podległy mu stary muezzin, ogłaszający z minaretu namaz, wydawali się teraz tutejszym ludziom rańniejsi.

Stefan błąkał po ogrodzie w nadziei, że tu spotka Alimę.

Nagle przystanął na jednej z górnych alejek. Przecucie nie zawiodło. W dole, pod zwisającymi nad strugą gałęziami drzewa, siedziała na brzegu Alima. Długo trwał nieruchomo, nie chcąc jej spłoszyć. Wstała wreszcie i ramionami objęła pień drzewa, przytulając doń policzki. Ze zdumieniem spostrzegł, iż Turczynka płał Seraj (pers.) — pałac sułtański; także mieszkanie kobiet.

2 Czarszaf (tur.) — prześcieradło, płat materii.

3 Imam, iman (arab.) — uczony duchowny, muzułmański albo przełożony meczetu, albo sędzia duchowny.

cze. Bezwiednie prawie zbiegł ku niej. Sięgnęła po jaszmak zwisający z szyi, by zasłonić twarz. On jednak, niepomny na nic, ujął roztrzęsioną rączkę jedną dłonią, a drugą serdecznie ją nakrył i wyrzekł wyuczony zwrot turecki:

— Nie zasłaniaj się, dostojna pani. Już dawno zamierzam wyznać, że jesteś piękna •— więcej nie umiał powiedzieć. — Piękna pani... piękna pani... — powtarzał, zanim znów ułożył zdanie: — Będę grał wieczorem na lirze w ogrodzie. Wyjdź na balkon...

Od uścisku jego silnych dłoni przenikało ją gorąco, biło serce, pulsowała krew. Oszołomiona tym nie znanym dotąd wrażeniem, długo pozostawiała rękę w tym uścisku.

W końcu opamiętała się i wyrwała.

— Jam w Polsce rycerz — powiedział. — Nie gardź mną, pani.

— Zuchwały! — szepnęła.

Pośpiesznie wspięła się na górę i odeszła do domu. Patrzył długo... Miał uczucie, jakby ta krótka styczność zbliżyła go z Alimą, zobowiązała ich jakoś względem siebie wzajemnie. Po ostatnim namazie i wieczery opuścił z lirą w ręku kwatere. Przed progiem natknął się na Marka.

— Dokąd, Stefanie? — zapytał ten z roztargnieniem, wpatrzony w ogromną koronę platanu, oszronioną światłem księżyca.

— Idę do ogrodu pograć na lirze.

— A idź! Nie trać czasu.

Stefan zniknął między drzewami ogrodu. Po chwili do uszu Marka dobiegły dźwięki liry i znany śpiew:

Moja ojczyzna jakże daleko! Za siódmym morzem, za siódmą rzeką, Za siódmą górą, za siódmym lasem — Jeno ją we śnie widuję czasem ... , Marek dość długo nasłuchiwał i wpatrywał się w jedyne z tej strony oświetlone okno balkonowe u Fatmy, prześwitujące przez listowie platanu. Było cicho. Czasem jeno trochę szelestu przywiał wietrzyk od posterunków na murach gródka, czasem parskały konie, czasem nadleciał skądś głos nocnego ptaka. Marek jął skradać się ku platanowi. Postął chwilę, za czym wdrapał się zrećcznie na rozłożyste drzewo. Z pochylonego nad balkonem Fatmy konara spojrzął prosto w głąb jej komnaty. Zobaczył leżącą na sofie Fatmę w przejrzystej szacie nocnej.

Postyszała snadź szelest gałęzi, bo nagle wstała i poczęła wpatrywać się w gąszcz korony platanu. Nie widział teraz jej twarzy, światło bowiem miała za sobą. Nie był pewny, czy pragnie ona jego nie zapowiedzianych odwiedzin. Wahał się chwilę i jakby wsłuchiwał w

kolejną pieśń Stefana, kwilącą z przeciwnej strony domu. Wreszcie, nie bacząc na nic, zuchwały jak zawsze, spuścił się z gałęzi na balkon. Fatma stała w drzwiach balkonu nieporuszona. Dopiero gdy przekroczył próg komnaty, zgasła światło.

Stefan inaczej uczył planetę zakochanych — księżyc.

Rozmarzony, śpiewał i wygrywał swe uczucia. Miał za to stokrotną nagrodę: Alima, odesławszy spać służebne, wyniosła sobie zydel na balkon, usiadła. Choć nie widział jej twarzy, wiedział, że jest wzruszona jego gędźbą i oddaniem, że wpatruje się w niego, że czuje ten węzeł, co ich łączy, im dwojga tylko wiadomy.

Wstała raptem, bo było już późno. Wychyliwszy się za barierę balkonu, wyciągnęła ręce, jakby je chciała podać na pożegnanie nocnemu śpiewakowi, stojącemu o dziesięć łokci niżej.

— Pokój z tobą! — szepnęła, a on usłyszał ten szept. Ukląkł na jedno kolano i szeptem również odpowiedział:

— Jam twój niewolnik, pani, wzięty w jasyr przez ciebie. Żałował, że nie umie powiedzieć więcej na pożegnanie. Afekty, piękna noc miesięczna, przychylność Alimy — nastrajały go niby lutnię, że grałby najczulszymi, najodborniejszymi słowy.

Nazajutrz z samego już rana Satanowski pośpieszył do ogrodu. Ale zamiast Alimy spotkał tani Uriasza, który z wielkim znawstwem oglądał drzewa, kwiaty, trawniki, altany.

Zawiedziony mułła niemal bez wstępu uraczył Stefana swymi naukami:

— Kiedy archanioł Azrael przetnie nić żywota ludzkiego i zwłoki spoczną w mogile, stają nad nimi dwaj srodzy sędziowie, czarne anioły: Munkir i Wenekir. Zmarły, wstawszy z grobu, zdaje im sprawę z życia swego.

— A czemu, jakom zauważył, grzebiecie zmarłych bez trumien? — spytał pojętny uczeń.

— Otóż dlatego bez trumien, lecz owiniętych w całuny i w sklepionych grobach, aby badania sędziom onym ułatwić. Dusze pro roków idą natychmiast do Raju. Dusze męczenników i poległych w boju Allah zmienia w zielone ptaki, które bujają w przestworzach. Dusze zwykłych śmiertelników błakają się koło swych mogił...

— O Mahomecie Proroku, synu Allacha! —• zawołał zdesperowany słuchacz, przewidując długą opowieść.

Okrzyk ten spowodował niespodziewaną dla Polaka radość Uriasza.

— O! w świetle prawdziwej nauki zaczyna już kiełkować w mózgu twoim ziarno, które plon wyda życiodajny. Wzmagajmy więc owo światło! Słuchaj, chłopcze! Przed dniem zmartwychwstania okropne nastąpią zjawiska. Zaćmi się księżyc, słońce wschodzić będzie na zachodzie, zachodzić na wschodzie. Żywy pozazdrości zmarłym snu. Aż zagrzmi trąba archanioła Izrafila! Zadrży ziemia, runą miasta, zamki i góry, stopnieje firmament. Słońce, miesiąc i gwiazdy spadną w kipiące oceany.

„Co za baśnie! — pomyślał Satanowski. •— I w chrześcijańskiej wierze pełno cudowności, a niektóre w obu religiach podobne. Ale tam wydają się czymś poważnym, a tu zabawną bajką. Czy to jeno przyzwyczajenie od dzieciństwa nadaje tym cudownościom znamiona prawdziwości i powagi?”

•— Nadchodzi ninie godzina sądu! — ciągnął Uriasz uroczyście. — A oto „próba szali”!

Archanioł Gabriel na ogromnej wadze odmierza ludzkie uczynki. Jeśli, człowiecze, skrzywdziłeś bliźniego, zapłacisz mu swoimi dobrymi uczynkami. Nie masz ich, przyjmiesz na karb swój odpowiednią część jego grzechów. Nawet pyłek przeważy na onej szali... Aż i „próba mostu” wykaże wreszcie, czyś miły Allahowi, czy nie. Oto idzie za Mahometem, oblubień-cem bożym, tłum nieprzeliczony przez wąski jak ostrze miecza most, zwany Al-Syrat, zawieszony nad otchłanią Gehenny, czyli Piekła, gdzie okropności się dzieją, a drzewa mają węże za konary i łby szatanów za owoce. Straszna, lubo sprawiedliwa to próba!

Niewierni i występni spadają z mostu Al-Syrat w przepaść i tam, pogrążeni na wieki.

Prawowiernych zaś cudowne światło wiedzie do Al-Dżainat, raju wiecznej szczęśliwości.

Umilkł i zadumał się, a po chwili rzekł znowu:

— Idź, synu, i przemyśl to, coś słyszał. Kiedy indziej opowiem ci o dalszych cudach boskich. Satanowski oddalił się spiesznie. Gdyby przyszło zostać tutaj, należy poznać religię otoczenia. Zostać? Toż niewola w pętach chimery! Bo przecie wszelkie nadzieje są tu płonne. Wszelako ani się od nich uwolnić.

Błądząc po parku zapominał z wolna o muzułmańskich zaświatach i wracał na świat doczesny, po którym stąpała Alima.

Wszystkie uniesienia i sentymenty, w jakie obfitowała jego czuła dusza, były z tej ziemi, z tego żywota. Może dlatego tak łatwo godził się na możliwą zmianę religii. Obie były mu dość obojętne.

Alima szukała go także. Ale gdy się spotkali, udała zaskoczoną. Kiedy jednak przemówił swą ułomną turecczyzną, złożoną z niewielu wyrazów powtarzanych w kółko i przeplatanych arabskimi, kiedy najpierw bezwiednie, a potem świadomie dotknął jej ręki, kiedy wreszcie, schodząc ze wzgórza, potknęła się i oparła o niego — mimo woli stała się szersza.

Upodobała sobie nawet w owych potknięciach, przypadkowych rąk spotkaniach, śmiesznych wyznaniach.

Niebawem znów uświadomiła sobie, że to, co czyni, jest występne. Sam na sam z mężczyzną, cudzoziemcem, karawuszem! przechadzki i śmiechy! z odkrytą twarzą! — O Allah! O czystości moak-kibaci¹. Brońcie szejtanowi² dostępu do duszy prawowiernej dziewicy! — Wyrwała nagle dłoń z rozkosznego a zarazem zgubnego uścisku i pośpieszyła ku domowi.

Dopiero teraz przyszło mu na myśl, że wcześniej czy później schadzki ich zostaną odkryte. A wtedy? Nie znał jeszcze muzułmańskich praw, ale przewidywał najgorsze.

Na dziedzińcu spotkał się z Jakimowskim. Ten gębę miał zadowoloną, dawne ogniki w oczach. Snadź w ślicznym Ain-el-Faras otrząsnął się ostatecznie z jenieckiego przygnębienia. Lecz nagle spowaźniał i rozejrzawszy się baczenie, jął żywo mówić:

— Niespełna trzydzieści mil stąd Palestyna. Można by tam łatwo czmychnąć szlakiem karawanowym. A potem do Nedżd znowu mil z pięćdziesiąt (to przecie jak z Gdańska do Warszawy). Tani władza turecka ledwie sięga. Uriasz zna drogi, pustynie, oazy...

— Zali Uriasz chce uciekać jak ty? — zaśmiał się Stefan.

1 Moakkibaci (arab.) — w mitologii muzułm. aniołowie.

2 Szejtan (arab.-tur.) — szatan.

• — Uriasza można by na powrót, między konie czy wielbłądy, ostrze do gardła i prowadź, poganinie! A nie, to jazda do swojego zafajdanego raj!

Satanowskiemu zrobiło się nieprzyjemnie. Uriasz nie był już dla niego obmierzłym poganinem, nie był nawet obojętny.

Jakimowski chwilę badał wzrokiem twarz druha, a nie widząc na niej pożądanego wyrazu zgody i ochoty, podsunął, co innego:

— Albo morzem. Wszak wybrzeże morskie blisko. Ot, chwycić jakąś większą łódź rybacką i hajda do Wenecjan! Nadarza się sposobność: mamy swobodę ruchów. Satanowski, nieporuszony, patrzył w ziemię i milczał. — Co ty na to? No mówże! — naglił Marek.

— Ja ostaję — odparł Stefan. • — Nigdzie się nie ruszę, aż mnie prawnie zwolnią. A i wtedy rozważę jeszcze, czy wracać do kraju, gdzie nikt mnie nie czeka. Jużem ci to wyznał nieraz.

— • Myślałem: chwilowe humory. A tyś naprawdę sfiksował! Może zamierzasz zbisurmanieć?

— Iluż chrześcijan tu ostaje i układa sobie życie! A ja przecie tak łąco z pęt niewolnika przeszedłem do stanu żołnierza. To mi dawa nadzieję, że...

— ...ostaniesz sługusem bejowego babińca, co? — przerwał zjadliwie Marek. • —

Tyś przedawczyk! Zdrajca! Ty bracie ślubny!

Stefan milczał zgębiony. Nie chciał i nie umiał się bronić.

— Gromiłeś mnie, kiedy się wahał iść na Cecorę, sto razy bywałeś mi sumieniem, potępiałeś cudze słabości — mówił Marek. • — A ninie sam uległeś niedorzecznym,

haniebnym amorom! — Toż przecie niewolnictwo gorsze od tego, w jakie popadliśmy na Ceorze! Uległeś wytartusowi haremowemu, gamratce sprzedajnej i przeniewierczej jak wszystkie tu... —• urwał nagle.

Potężna dłoń przyjaciela zwała mu się niby kłoda na ramię, druga chwyciła głowicę szabli, aż żelazo zgrzytnęło w pochwie, a jednocześnie zabrzmiał złowrogi szept:

— Milcz! Milcz, na honor, bo... bo zginiesz!

Twarz jego i głos miały teraz ten wyraz osobliwy, wobec którego chłód przenikał druhów i wrogów. Marek stropił się, wyrwał ramię z miazdzącego uścisku Stefana. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy: lżej dotąd ważył uczucie przyjaciela.

— Jeśli chcesz mi być nadal bratem, nigdy tak, nie mów o tej dziewczce, którą miłuję ponad żywot własny — powiedział Stefan głosem drgającym od wzburzenia.

Odszedł spiesznie. Jakimowski uczynił ruch, jakby chciał biec za nim, pogodzić się. Ale poniechał zamiaru.

Dopiero po obiedzie podszedł doń i rzekł:

— Wybacz mi. Odszczekuję, com powiedział przeciwnego twemu mniemaniu. Jedna waśń przecie nie może i nie powinna rozerwać węzła, jakimeśmy połączeni.

Podali sobie dłonie w mocny uścisk.

— Ponieważ Amor tak opanował twoje serce, nie będę z nim walczył — rzekł znowu Marek.

— Przeciwnie, będę ci ze wszystkich sił pomagał w poczynaniach względem Alimy.

Zechcesz ja porwać, łba za was nadstawię. Zechcesz ostać przy niej tu, będę chronił tajemnicy waszych schadzek.

•— Porwać? Nie — odparł Stefan melancholijnie.

Nie sądził, by żyjąca w przepychu Alima była zdolna do podobnego hazardu. Bo może wszystko to, co dla niego stało się sensem życia, jest dla księżniczki tylko kaprysem, • rozrywką? W każdym razie — za wcześniej jeszcze wystawiać wszystko na próbę.

Marek, jakby odgadując jego myśli, powiedział z powagą:

— Jeśli cię miłuje prawdziwie, na kraj świata za tobą pójdzie, na śmierć! Jeśli nie uczyni tego, rozważ, czy trwać w afekcie tak upokarzającym, bo jednostronnym.

Stefan poklepał go po ramieniu i bez słowa odszedł.

Tak, najgorsza to niepewność co do Alimy: niepewność, czyniąca wszelkie nadzieje i zabiegi śmiesznymi. Głowę unosiło się z wielu hazardów, można więc i z tego. Ale ta niepewność...

„Jakkolwiek będzie — pomyślał w końcu — muszę poznać tych, wśród których może mi żyć wypadnie. Języka i obyczajów uczy mnie każdy dzień, każda chwila. Religii zaś...”

Odszukał Uriasza łowiącego w jeziorze ryby na wędkę.

— Przyszedłem prosić, byś mi dalej mówił o Al-Dżainat i Gehennie oraz o innych prawdach waszej wiary.

— Widzę już rękę Allacha nad tobą. Niech cię błogosławi! Niedoszły mułła przerwał dotychczasowe zajęcie. Miał bowiem znaczniejszą rybę do złowienia niż jeziorna.

— Al-Dżainat, czyli Raj, to ogród wspaniały, jakiego za życia oko nie ogląda. Po osądzie prawowierny ochładza się kąpielą w Je złorze Proroka, cudnym i wonnym, a tak wielkim, że miesiąc dro -gi\potrzeba, aby obwód jego przemierzyć. Wody są miodowej słodyczy, lodowato zimne, przejrzyste jak kryształ. W Al-Dżainat królują wesołość i rozkosz. Troska i ból tutaj nie znane. Gleba tu z najdelikatniejszej mąki owsianej, skropionej wonnościami, obsiana kwieciami i perłami. Strumyki szemrzą cudnie. A nie są napełnione wodą, jeno mlekiem i winem...

— Jakoż to? Przecie nie wolno muzułmanom trunków zażywać.

— Za życia nie, ale w Al-Dżainat wolno... Strumienie owe, o łożyskach piżmowych, płyną między ukwieconymi brzegami z kamfory, pokrytymi mchem szafranowym. O! cudowny jest Dżainat, który Allah dla pobożnych stworzył! ... Tu rośnie Taba, drzewo życia, tak ogromne, że dla przebycia jego cienia trzeba sto lat pędzić na rączym rumaku! Mieszkańcy

Raju, odziani w szaty i korony lśniące klejnotami, zajmują przepyszne pałace i jedwabne pawilony. A każdemu sto sług posługuje.

— To i tutaj panowie a słudzy?

— Taki ład boży... Każdy ucztować może ustawicznie, a nie nasyci się, pić bez upojenia. W powietrzu brzmi czarowny śpiew Izrafila i cudnych niebianek, muzyka, którą tu szmer gałęzi stanowi... Oprócz tych uciech przygotował Najlepszy swym synom także rozkosze miłosne. Poza żonami ziemskimi, przywróconymi do dziewiczych wdzięków, mieć będzie prawowierny siedemdziesiąt dwie kuszące hurysy. Potomstwo, jeśli takowego zapragnie, w godzinę od urodzenia dorastać będzie! By łacniej zażywać rozkoszy, wierni zmartwychwstaną jako trzydziestoletni mężowie, w pełni dojrzałej młodości, słusznego wzrostu i mocy, o nadludzkich cechach. W niczym zaś przesycenia nie doznają, aby ich szczęście tym większe było...

— Pan Jezus takowych uciech nie zapewnia — rzekł Satanowski melancholijnie, pół drwiąco.

— Poddaj się Prorokowi, a rajskie posiadasz rozkosze i żywot twój ziemski stanie się szczęśliwy. Jeśli tego nie uczynisz, to czeka cię Gehenna. Straszny to los! ... Gehenna dzieli się na Siedem Piekieł, a jedno okropniejsze od drugiego. Potępieni muzułmanie odpokutują grzechy cierpieniami trwającymi od 900 do 9000 lat, za czym wejdą do Raju, a gjaurowie zostaną w Piekło. Allah zmiłuje się w końcu nad wszystkimi: muzułmanie odpokutowawszy wstąpią do Al-Dżainat, a gjaurowie zostaną wprawdzie uwolnieni od mąk, ale Raju, niestety, oglądać nie będą.

— Zali to sprawiedliwe?

•— Chronj wargi swe od podobnych pytań, kafirze! Wszystko sprawiedliwe, co Allah postanowił! ... Między Al-Dżainat a Gehenną Wszechmocny zawiesił Przesławie zwane Al-Arai. Tam umieszczeni zostaną ci, których szala podczas pierwszej próby na Sądzie Ostatecznym nie przechyliła się na żadną stronę, a wraz z nimi dzieci, głupkowie, obłąkańcy. W końcu jednak miłościwy Prorok wyjedna dla nich miejsce w Raju.

— To do katolickiego Czyśćca podobne! — zdumiał się Polak.

— Al-Araf jest rajem w porównaniu z Gehenną, ale pękłem wobec szczęśliwego Al-Dżainat ... A wszystko to uczynił Allah (wszechświat zaledwie pyłem u jego sandałów) dla chwały swojej oraz dla łacniejszego władania stworzeniami ... Oświeci cię on w końcu. Opowiem ci w przyszłości niejedno, co cię utwierdzi.

Stefan, zostawszy sam, poszedł do parku. Nie omyliło go przecucie. Alima podeszła do niego, zawstydzona bardziej niż zazwyczaj. Podeszła! Serce zakołatało w nim z radości. Stała przed nim, zapłoniona, z oczyma wbitymi w ziemię. A więc zwyciężył!

— Pani! pani! dzięki ci, żeś przyszła! — wyszeptał. Podniosła wreszcie oczy i odpowiedziała cicho:

— Przyjdź wieczorem jako wczoraj...

Chwylił jej ręce i począł zapamiętale całować. Rozpaczliwie wyrwała mu je. Bo przecie nie znała zwyczaju całowania niewiast w rękę. Wydało się to jej bezwstydnym, zuchwałym. A jednak było rozkoszne! Nie umiała pogniewać się za ten najmilszy i bezczelny zarazem wybryk. Ale nie mogła też po tym, co zaszło, zatrzymać się przy zuchwalcu ani sekundy dłużej. Odeszła biegnąc chwdami.

Długo potem medytował, co ważniejsze: wezwanie czy g;niew i ucieczka? Oczywiście, że to pierwsze — stwierdził w końcu.

Gdy wracał na kwaterę, z minaretu ogłoszono trzeci namaz dzienny — przedwieczorny. Sam omal nie klęknął i nie zawołał: „Allah jest dobry, skoro nakłonił do mnie serce Alimy!”

'Nie gniewała się Alima na „pieśniarza z Lehistanu”, jak nazy- wała Stefana. Przeciwnie. Ledwie rano otwierała oczy, uśmiechała się 'do myśli o nim, do snów, których był treścią i panem. Spieszył^ do ogrodu po czuły dotyk jego rąk, po wyznania, acz powolność swą

uważała za występłą. Tęskniła za wieczorami, kiedy mogła słuchać drogiego głosu i tkliwej lub skocznej muzyki.

Po kilku wieczorach gęźba przywabiła na sąsiednie balkony inne niewiasty. Alima utraciła swobodę, nie mogła już porozumiewać się z grajkiem. Bo na domiar i pochodnie rozkazała palić w parku Sara, i kolorowe lampiony zawiesić pod oknami. Balkony rozkwitały wzorzystymi strojami kadyń, rozbrzmiewały oklaskami, a na artystę z pielęgowanych rączek spadały kwiaty, słodczyce, monety. Między drzewami zbierali się też żołdaci, słudzy, oficjaliści.

Wieczne concerti per lira 1 stały się wystawniejsze, lecz Alima tęskniła do tamtych, prawie tajemnych.

„A jak będzie w Dar-el-Amirun? Ustaną spotkania — myślała z lękiem. — Harun-bej? O Allah, jeśli masz litość nad niewiastami, zmień wolę ojca! ... Zmień? A jaka jest wola Przedwiecznego? Jeżeli przeznaczył mi Haruna, nie może być odmiany. Nikt nie uniknie swojego przeznaczenia! Nikt!”

Przechadzała się po komnacie, siadała, próbowała spać. Słuchała chwilami cichego śpiewu Fatmy za ścianą i hałaśliwych igraszek jej dzieci, słuchała szumu drzew, dalekich głosów z osiedla, doliny, wzgórz...

„W ostateczności — myślała — pozostaje nóż i trucizna, jak owej Aminie z Raszidu. Tamtą miał poślubić jakowyś bej syryjski. Rzuciła się na sztylet... Uela zażyła trucizny w dniu swoich zaślubin...”

Te gorzkie wspomnienia wycisnęły łzy z oczu Alimy. Do niedawna była szczęśliwa. Pierwszy cios to zapowiedź małżeństwa z Harunem. Drugi — to miłość do „pieśniarza z Lehistanu”. A powiadają niektórzy, że miłość winna być niewyczerpaną krynica radości i szczęścia. No tak, ale to jest zła, występna miłość.

Chciała wyjść do ogrodu, ale bała się matki. Sara bowiem jakby coś podejrzewała. Nakazała córce szczególną powagę i pilniejsze przygotowania do odjazdu. Śledziła chyba nawet jej kroki.

1 Concerti per lira (wł.) — koncerty na lirze.

21-

• Kawaler złotej ostrogi Alima wypatrywała Stefana to z balkonu od strony parku, /to z okien komnaty, wychodzących na stronę przeciwną — na pełen hałasu dziedziniec.

Właśnie od bramy dziedzinca warty odpędzały żebraka. Ob'dar-ty, brudny, błagał o litość i wsparcie. Ktoś smagnął go różgą, ktoś wypychał za mury, ktoś złorzeczył. Zewsząd biegli do przybysza żołnierze, służba.

— Kerymie! — zawołała Alima na mknącego koniucha. i— Rozkazuję wpuścić i nakarmić tego biedaka!

— Rozkaz, wasza wspaniałość! — odparł gnąc się w ukłonie.

Niebawem odebrał przybysza z brutalnych łap straży i przyprowadził go na szerokie kamienne schody tuż pod oknami pokoju Alimy. Żebrak, dowiedziawszy się o dobrotliwym orędownictwie Alimy, odszukał ją wzrokiem w oknie i jął bić pokłony.

— Dzięki ci, dostojna pani! — wołał. — Oby Allah obdarzył cię szczęściem, jakiego pragniesz! Dzięki! dzięki! Serce twoje niby cień i ochłoda dla strudzonego wędrowca, niby rześkie źródło dla Beduina mrącego z pragnienia...

Cofnęła się za firanki. Nie wypadało bowiem kontaktować się w jakikolwiek sposób z włóczęgą, a i pani Sara zabrania konfiden-cji z ludźmi niskiego stanu. Zza firanek widać było jednak dziedziniec i słycać rozmowy siedzących na schodach osób.

— Spytaj, zacny młodzieńcze, swej dostojnej pani, zali bym mógł za tydzień przyjść z pewnym złotoustym meddahem 1, który tysiące baśni umie — mówił derwisz. — Potrafiłby dostojnym...

•—• Dostojne kadyny wyjeżdżają — przerwał Kerym. — Nie potrzebują zresztą baśni łachmaniarzy. Ty myślisz, że w takim stanie ty i twój meddah możecie pokazać się dostojnym?

— Dostojne panie wyjeżdżają? A kiedy?

— Mnie się nie zwierżają 2e swoich zamiarów ... Ale co cię do takiej nędzy przywiodło? Powiadają ludzie, że wasze klasztory bogate i dostatnio w nich żyjecie2.

— Jam się poświęcił szerzeniu chwały Allacha i ubóstwu miłemu Stwórcy, bom mnich-pustelnik, tamci zaś mnisi klasztorni.

1 Meddah (arab.) — bazarz, opowiadacz bajek.

2 Derwisze — mnisi mahometańscy, podzieleni na różne zakony i bractwa, żyją najczęściej w bogato opatrzonych klasztorach, choć sama nazwa „derwisz” oznacza „biedak”.

\— Umiesz ty chociaż jakąś bajkę?

A_ Bajkę? — derwisz skrzywił się z lekceważeniem. — Naj-prawdziwsze opowieści o zdarzeniach z życia Proroka (błogosławiony między prorokami!), które i ty znać winienes, skoro jesteś prawowiernym muzułmaninem. Zwołaj tu towarzyszy! Opowiem wam o narodzeniu Proroka Mahometa.

— Opowieść tę przecież wszyscy moslemim znają! Derwisz zaniepokoił się, łypnął ślepiami.

— Znacie, znacie — rzekł z udana nonszalancją. — Jakożbyście znać nie mieli, prawowierny wyznawcy Proroka? Atoli dla utwierdzenia ducha i wiary winniście nieraz wysłuchać na nowo niby dżumii1 w Jaum-el-Dżuma 2. Zwołaj no ludzi, chłopcze! Jeno prędko, by cię Prorok o opieszałość nie posądził!

Niebawem przed schodami zebrała się spora gromada służebnych, fellachów z pobliskich pól, żołdatów, nawet niewiast. Derwisz bystrym wzrokiem przyglądał się zebranym, najwięcej żoł-datom.

Przymknął wreszcie oczy i śpiewnym nieco głosem recytował:

Allah ii Allah, Muhammad Rasul Allah! Farysem bez trwogi i człekiem bez skazy był piękny Abdalla ibn Abdal-Motallib. Miał duszę tak czystą, jak woda źródłana, jak gdyby pogodne czasu żniw niebios, jak tchnienie zefiru po deszczu w oazie, niby kryształ górski czy diament z Golkondy. Miał ciało tak wdzięczne i urok miłosny tak zniewalający, że w dzień jego ślubu z Aminą precudną jak ranek wiosenny zmarło dwieście dziewic rodu Korejszytów3 z kochania, zazdrości, trującego żalu, że Abdalla ona wziął, a nimi wzgardził.

Acz miłe to stadło było Allachowi, jedynym dziecięciem obdarzył je tylko.

Ale dziecię owo to był sam Mahomet, 1 Dżumia (arab.) — nabożeństwo w meczecie dnia Jaum-el-Dżuma.

Jaum-el-Dżurna (arab.) — Dżuma (tur.) — piątek, dzień świąteczny u muzułmanów, jakby niedziela u chrześcijan.

v " " " v Hedżasie (na Płw. Arab.); z plemienia tego po ulubieniec boży, który świat odrodził. A jakież uczynił cuda Wszehmogący, by wskazać, że dziecię, które na świat idzie, /

zesłane jest z nieba dla dobra ludzkości! /

Oto bogobojna Amina, mać jego, boleści rodzenia nie odczuła wcale. A w chwili, gdy wreszcie na ten świat zawitał, cudowne się światło rozjarzyło wokół, iż lud, w niebo patrząc, przeczuwał cud boski. Natomiast dziecię wzniosła ręce w górę i (dziwuj się, człecz, wszehmocy Allacha!) głośno zawołała niby mąż dojrzały: „Bóg jest wielki! Nie ma nic nad Boga, a ja jestem jego prorok!”

Ledwie głos ten przebrzmiał, zatrzęsała się ziemia, powietrze i niebo; cofnęło się w źródła swoje tajemnicze odwieczne jezioro, które zwie się Sawa, zostawując suche po sobie łożysko; burzliwy zaś Tyger, rwąc dziko swe brzegi, jak nigdy szeroko rozlał się po kraju; pałac Kozroesa1 złego króla Persji, zatrzęsł się w posiadach, iż runęły wieże; święty Zaratustry2 ogień, co lat tysiąc płonął bezustannie w pieczy Madianitów, zgasł, a ich bożyszczą moc

tajemna strąca; diabły i geniusze złe a czyhające pośród gwiazd zodiaku na zgubę ludzkości
•— zgnębione ostały przez aniołów bożych i wraz z wodzem swoim, przeklętym Eblisem, poglązone w morza bezdennej otchłani. A imię dziecięciu nadano Mahomet, które najświętniejszą oznaczało przyszłość.

Derwisz podniósłszy oczy i ramiona zakończył głośniej:

Niech rychło wybije godzina szczęśliwa. Gdy cały lud świata, zwrócony do Mekki, powtórzy najszczerzej te słowa Proroka:

Allah ii Allah, Muhammad Rasul Allah!

1 Kozroes — właściwie: Chosro Anoszyrwan, z dynastii Sasanidów, król perski w latach 531—78 (Mahomet urodzony ok. r. 570 n.e.).

2 Zaratustra (z grecka: Zoroaster) — twórca religii Parsów, tzw. maz-dełzmu; żył w VI wieku przed Chr.

.__ Co się tu dzieje? — zabrzmiał nagle głos Kara Nuruma.

Wszyscy zerwali się na równe nogi. Derwisz spoglądał na bramę, jakby chciał uciekać.

.__ Pokój z wami, dostojny panie! — wybąkał w końcu. — Rzuciwszy w dusze prostaczków słowo boże niby życiodajne ziarno, wracam do swojej pustelni. Assulam alekum!

Kara Nurum zastąpił mu drogę i rzekł swym twardym głosem:

.— Miałeś wszak, pobożny mnichu, pożywić się w kuchni.

— Allah nawet na pustyni pożywi prawowiernego, jeśli taka jego wola święta.

— Skąd jesteś?

Derwisz wskazał południe i odpowiedział:

— Z pustyni Tih. Ale obecna moja siedziba to Żółte Skały.

— Nie będziesz tedy jadł w kuchni?

— Ślubowałem ubóstwo i wstrzeźliwość. Jadam jeno raz dziennie, a dzisiaj pożywałem już dary boże.

— Niech cię tedy Allah prowadzi!

Derwisz niezdarnym krokiem ruszył ku murom. Za bramą, gdy owionęły go rześkie wiatry z doliny i wzgórz, nabrał sprawności. Szedł coraz dzielniej. Spieszył się snadź, bo żadnego już domu na swej drodze nie częstował słowem bożym, nigdzie nie przystanął, nawet nie ukląkł do modlitwy, gdy z minaretu ogłoszono namaz, jeno z drogi zstąpił w zarośla. Minąwszy wzgórze otaczające Ain--el-Faras, wszedł do pieczary wydrążonej w ścianie mijanego urwiska. Po chwili wyprowadził stamtąd karego rumaka w pełnym rynsztunku beduińskim. Skoczył nań lekko i pocwałował w kierunku Bir-el-Mahadam.

Po odejściu derwisza Kara Nurum przykazał straży w bramie:

— Bez mojego pozwolenia nie wpuszczajcie tu włóczęgów!

— Rozkaz, efendi! Atoli pobożnego derwisza kazała nakarmić jej dostojność panna Alima.

Tymczasem Alima z balkonu od strony ogrodu obserwowała .Stefana krążącego wokół miejsca, gdzie się zwykle spotykali. Była wielce zalterowana. Nie mogła wyjść do ukochanego, gdyż matka jej siedziała na sąsiednim balkonie.

Jakże mało tych spotkań! Na domiar trzeba wracać do Dar-el--Amirun, gdzie i swoboda mniejsza, i rozpoczną się przygotowania do małżeństwa. Gdy myślała o tym, traciła chęć do życia.

Przez następne dni nie mogli spotkać się ani razu. Sara bowiem przebywała ustawicznie z Alimą w domu i na przechadzkach, a na noc zabierała ją do swojego pokoju. W te końcowe dni ustały nawet concerti wieczorne, ponieważ Stefana zatrudniano teraz wieczorami przy ostatecznych przygotowaniach do wyjazdu.

Natomiast romansu Marka z Fatmą nikt się nie domyślał, a więc i nie przeszkadzał im w spotkaniach.

Nadszedł wreszcie ostatni dzień pobytu w Ain-el-Faras. Był akurat Jaum-el-Dżuma, świąteczny dzień schadzek wiernych na dżumii w meczetach, ustanowiony na pamiątkę „hedżry” :

Od rana meczet w dolinie wypełniony był tłumem — mieszkańcami osady, tudzież przejezdnymi z karawan.

Tuż po el-Asr, czyli modlitwie południowej, przykuśtykał do dworu ów derwisz sprzed paru dni, i to w chwili, gdy wedle bramy przechodziła matka z Alimą. Począł wybijać niskie pokłony.

— Pokój z wami, dostojne panie! — (oby wam Allah szczęści!) Wasza wspaniałość (kwitnij w promieniach łaski bożej!) — zwrócił się do Alimy — raczyłaś miłościwie zezwolić, bym przychodził do kuchni. Skoro mi wolno, od dziś przyjdę codziennie po garnek postnej polewki. W zamian mógłbym uczcić uszy waszych wspaniałości pięknymi baśniami rycerskimi i miłosnymi. Byłem bowiem niegdyś głośnym w krainie Tih meddahem.

Sara ubiegła Alimę z odpowiedzią:

— Nakażę, by cię zawsze karmiono, dobry człecze. Atoli nie możemy słuchać twoich kasyd 2, gdyż jutro opuszczamy Ain-el-Faras.

—• Na Proroka! jaki żal! — zawodził. — Toż jakby słońce zaszło nad naszą ziemią! Niechaj Allah wiedzie dostojne panie drogą szczęścia i pomyślności!

Sara przywołała stojącego w pobliżu rządcę i poleciła wypłacić pobożnemu derwiszowi dwanaście piastrow jałmużny.

—• O, niech Allah błogosławi hojne dłonie waszej wspaniałości! — rzekł derwisz. — Alem ślubował nie brać do rąk pieniędzy.

1 Hedżra, hedżira, hegira (arab.) — ucieczka Mahometa z Mekki do Me-dyny 622 r. n.e., od niej muzułmanie liczą lata, swoją erę.

2 Kasyda (arab.) — w poezji wschodniej utwór poetycki treści rycerskiej, pochwalnej lub żalobnej.

Sara wzruszyła ramionami zniecierpliwiona i odeszła.

W domu odesłała Alimę do jej apartamentu, sama zaś w jednej z komnat salamliku odbyła z Kara Nurumem naradę co do wyjazdu.

— Winniśmy już o świcie wyruszyć stąd do brzegu jeziora Menzaleh, a tam zabrać się jakimś tombazem 1 w dalszą drogę — rzekł kapudan. — Menzaleh za pasem wydm, o dzień jazdy od Ain-el-Faras. Dalej podróż wodna będzie bezpieczniejsza od lądowej. Zwiady doniosły mi, że aż hen po Jeziora Gorzkie włóczę-gują dzikie plemiona Beduinów, nie uznające żadnej władzy ni świętości. Winny, wedle zarządzeń dostojnego baszy Egiptu, koczować na południu, poza szlakiem karawanowym, ale nie są posłuszni.

— Nie zamówiliśmy statku — powiedziała Sara — a i woda niska, można rzec: błoto aż daleko poza el-Matariję.

— Właśnie. Ośmielam się przeto radzić, by dostojne kadyny wraz z dziećmi i Uriaszem popłynęły bodaj małymi łodziami rybackimi spod el-Kantara. My zaś pociągniemy łądem. Za el-Mata-riją znajdują się szkuty 2 z rybami...

•— Takowe nie wchodzą w rachubę! — wzdrygnęła się Sara.

— Obyśmy jeno szczęśliwie dobili do Mezaleh! Po naradzie Sara pośpieszyła do córki. Alimą, rozstawszy się z matką, weszła do swej komnaty. Za progiem struchlała: koło jej panińskiej tachtę stał „pieśniarz z Lehistanu"! Krzyczeć czy uciekać? Obcy mąż, i to chrześcijański karawusz, w haremie mudira! To się chyba nigdy nie zdarzyło w rodzie. Oniemiała, wrośnięta stopami w podłogę, chwytając się za szyję, jakby z braku tchu.

— Pani! pani! — wyszeptał. — Musiałem! Przebacź!

Ujął oszołomioną za rękę i znowu obsypał pocałunkami. Jęła nagle -żywo mówić, rozszłochała się. Ale nie wyrывała dłoni. Mało rozróżniając słów w potoku jej wymowy, z roztkliwienia w twarzy, z uległości rąk domyślał się przychylności.

— Miłuję cię! — rzekł nie umiejąc obcym językiem dodać szczegółowszych wyznań.

— A ty? ty mnie? miłujesz?

1 Tombaz, tumbas (tur.) — mały stateczek żaglowy.

2 Szkuta (skandyn.) — mały stateczek towarowy.

— Ach, nie mów! — odpowiedziała boleśnie, wrywając się. — O, jąkam nieszczęśliwa!

• — Uciekajmy! Tam konie — wskazał kosary w dolinie. — Blisko morze, Menzaleh, łodzie, statki...

— Nie! nie! nie! — bąkała rozpaczliwie, cofając się, jak przed widziadłem. — Odejdź! odejdź natychmiast! Niech cię Allah ma w swojej opiece! Uchodź, na miłość boską! Ktoś się zbliża!

Wpadł na balkon. Po splotach dzikiego wina i gałęziach drzew niby po masztach i linach okrętowych zręcznie jak wiewiórka umknął w głąb ogrodu. Odmowę Alimy uważał za klęskę; a więc nie była ona tak zakochana i zdeterminowana, jak on.

Tymczasem do pokoju Alirny weszła Sara.

Zobaczywszy córkę zapłakaną, przytuliła ją do siebie. Trwały tak w uścisku długo, nie mówiąc prawie nic. Jednakowoż od czułych rąk matczynych spłynęło na Alimę niejake uspokojenie.

Po wyjściu Sary dziewczyna wyjrzała z balkonu na ogród. Satanowskiego już nie było. Wróciła na tachtę.

Tak, nie ma odwagi uciekać. Bo przecież to nie tylko próba wyzwolenia od zakusów obleśnego beja Haruna i ślepego pójścia za karawuszem, ale i możliwość klęski, hańby, kary. A przekleństwo ojcowskie najgorsze ze wszystkiego. Allah nigdy nie błogosławi dzieciom wyklętym przez rodziców.

Wiele razy wyglądała zażawionymi oczyma to z balkonu na ogród, to na podwórze przez okna po drugiej stronie domu.

Derwisz opróżniał miski na progu kuchni, koło której zebrała się znowu gromada służebnych i żołnierzy, ciekawych dziwnego łachmaniarza, co łączył w sobie pokorę mnicha z zadzierzystością pustynnego zabijaki. Pryncypialność jego jakoś zelżała po obfitym posiłku, dał się zarządcy namówić na przyjęcie jałmużny pieniężnej, wyznaczonej przez panią Sarę.

— Rozdam przy sposobności ubogim — rzekł na odchodnym. Tak samo jak za pierwszym razem dokuśtykał się do pieczary i tu raptem nabrał chwackiej sprawności ruchów.

Dosiadłszy ukrytego w pieczarach konia, pocwałował znowu ku Bir-el-Mahadam. Po przebyciu wiorsty spotkał się z opasłym jeźdźcem beduińskim.

— Jak sprawy stoją? — spytał niecierpliwie grubas.

— Jutro po pierwszym namazie ich pieskie dostojności ruszają w drogę powrotną do Dar-el-Amirun. Eskorta wyniesie czterdziestu żołdatów, albowiem zarządca dodał dziesięciu (oby go Tabek ' wziął w swoje obroty!). W najbliższej przystani na Menzaleh będą, zda mi się, szukać statku do dalszej podróży — wodą. Ale nic to Gamalu: Allah poszczęści wiernym synom pustyni.

V Karawana ciągnęła ostrożnie w kierunku zalewowego portu pod el-Kantara — z ubezpieczeniami bocznymi, przednim i tylnym — niby wyprawa wojenna.

Za wysuniętą daleko w przód szpicą 2 jechała na wielbłądach rodzina bega w dużych palankinach: Sara na jednym, Alima na drugim, Fatma z dwojgiem dzieci na trzecim.

Większa część eksor-ty, na koniach, tworzyła pierścień ochronny wokół tych trzech wielbłądów, w którym byli obaj Polacy. Stefan jechał koło Alimy, Marek zaś równo z Fatmą. Tuż za głównym członem karawany jechali na wielbłądach słudzy haremuwi płci obojej oraz objuczone dobytkiem wielbłądy, osły, muły. Pochód zamykali konni żołdaci z załogi gródka Ain-el-Faras i kolorowe wozy pań.

Rżały a parskały konie, muły i osły, porykiwały wielbłądy. Ludzie otrzepywali się bezustannie z pyłu nawiewanego przez niezbyt dokuczliwy ostatnio chamsin, przecierali

oczy, nosy, usta. Kurz chwilami przyćmiewał słońce, czego nie było w zacisznym Ain-el-Faras, dawał się we znaki ludziom i zwierzętom, iż pokaszliwali, • krztusili się, kichali. Ale powiewy wiatru ustawały na długie godziny. Wówczas słońce świeciło jaskrawo, powietrze stawało się przejrzyste, ludzie gwarzyli swobodnie lub drzemali na siodłach i w palankinach. Od czasu do czasu ktoś zawodził modlitewnie:

- El hamdu Lillahi! El hamdu Lillahi! - Allah ii Allah, Muhammad Rasul Allah!

1 Tabek (arab.) — u muzułmanów: rządcą piekieł, Belzebub; dosłownie: Kat —. tak muzułmanie zwą diabła dręczącego potępionych w piekle.

Szpica (niem.) — awangarda, przednie ubezpieczenie maszerującego w warunkach wojennych oddziału.

El hamdu Lillahi (arab.) — Niech będzie pochwalony Allah.

Do wielbłądów Sary i Alimy podjechał Kara Nurum.

— Pozwolisz mi mówić, dostojna pani? — spytał Sary szeptem, by jadący po stronie Alimy Satanowski nie słyszał.

— Mów, kapudanie.

— Jesteśmy na ziemiach nawiedzanych przez rozbójników be-duińskich. A mamy w oddziale dwu polskich karawuszów. Dostojny beg zaufał im wprawdzie, ja jednak na tym niebezpiecznym pustkowiu nie mam do nich takowej ufności.

Twarz Alimy spurpurowiała od nagłego wzburzenia.

— Chyba niesłusznie ich podejrzewasz — odrzekła Sara.

•— W razie napadu Beduinów ci kafirowie mogą zdradzić, uwiedzeni nadzieją odzyskania wolności. A tak sprawni junacy za tuziny zwykłych żołdatów staną. Należy ich wziąć w pęta!

—• Och! — jęknęła wbrew swej woli Alima. — Ostrożność nadmierna, a więc niepotrzebna. Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie liczy na dobrodziejstwa z rąk Beduinów.

— Pełne starczej mądrości są słowa dostojnej pani (oby tę mądrość pomnożył jeszcze Allah!). Atoli ośmielałam się twierdzić nadal, że trzeba Polaków zwięzać. Nikt bowiem czasu grozy nie jest tak niebezpieczny, jako niewolnik, choćby najhojniej łaskami obsypany.

•— Oni doskonale wiedzą — uniosła się Alima ponad dozwolony damie obyczaj — że od Beduinów powędrowaliby w łapy piratów algierskich lub marokańskich, których ajenci włóczą się po Egipcie i Arabii dla skupu niewolników.

Kara Nurum patrzył na nią zdumiony.

— Jak wasza wspaniałość rozkaże? — spytał Sary.

— Nie trzeba ich zwięzać. Znajomość ludzi i przeczucie nie mówią mi nic złego. Ponadto żywię przekonanie podobne do przekonania mojej córki: Polacy wiedzą, że lepiej u nas niż u Beduinów.

•—• Twoja wola, dostojna pani — rzekł z ukłonem Kara Nurum, po czym wrócił na czoło oddziału.

Alima, korzystając z zamyślenia matki, zwróciła twarz do Stefana i uśmiechnęła się serdecznie. Odpowiedział tym samym. Coraz częściej teraz wymieniali spojrzenia i uśmiechy. Jakimowski znowu pod pozorem troski o bezpieczeństwo Fatmy powodował jej wielbłądem na manowcach, jakie się trafiały.

Wiatr ustał, jeno kopyta zwierząt wzbijały przyziemny tuman, rozedrgany w słońcu. Ciszę mąciło człapanie nóg, parskanie koni i czasem owo modlitewne zawodzenie:

— El hamdu Lillahi!

Wjechali w wąwóz; z jednej strony mający łagodne piaszczyste wzgórza, z drugiej obrzeżony stromymi urwiskami nagich skał.

Spośród tych skał padły nagle strzały muszkietowe, głązy i chmura włóczy na idącą dołem karawanę. Ktoś runął z siodła na ziemię, gdzieś zwałił się w piasek koń wraz z jeźdźcem. Od łagodnych piaszczystych wzgórz pędzili co koń wyskoczy Beduini. Snadź ubezpieczenia oddziału zostały wybite zniemacka, nim zaalarmowały karawanę.

Stefan i Marek zeskoczyli z koni i oparłszy muszkiety o siodła, wystrzelili do głów widocznych między skałami na samej krawędzi urwiska. Dwaj Beduini zwalili się w dół, pod nogami rozbieganych wielbłądów.

— Ognia! — skomenderował Nurum całemu oddziałowi. Zagrzmiało, skały odpowiedziały echem. Celna salwa obronna okryła dymem karawanę, zmieszała na chwilę napastników.

— W cwał! — skomenderował znowu kapudan, chcąc przyjąć bój w wybranym przez siebie miejscu.

Atoli było to niemożliwe. Po kilku już sążniach okazało się bowiem, że wąż z zawałony został głazami. Wierchowce, płoszone hukami wystrzałów, stłoczyły się w zbitą kupę, gryząc się, kopiąc.

— Ognia! — zabrzmiała ponowna komenda.

Z chmury dymu, kryjącej karawanę, co chwila wybiegał spokojny, twardy głos Kara Nuruma:

— Ognia! — Ognia! — Ognia!

Niebawem skały przestały dymić i umilkła beduińska palba. Natomiast z przeciwnej strony, z płaskich wzgórz spadła na żołnierzy ze straszliwym wrzaskiem wataha zbrojna w szable, dzidy, maczugi, siekiery.

Żołnierze i służebni osłonili sobą niewiasty z dziećmi, a oddawszy z muszkietów salwę w nacierających, jęli bronić się szablami. Nawet Uriasz brał udział w boju. Choć nacierający falami, jedna za drugą, napastnicy znacznie liczbą przewyższali obrońców, żołnierskie ćwiczenie wzięło górę nad natarczywością. Przed żołnierzami rosły góry trupów.

Największe spustoszenie szerzyli Marek i Stefan. Ktokolwiek wpadł pod ich szable, ginął.

Doskonale wyćwiczeni, walczyli jak maszyny. Żaden ruch nie był daremny. Spokojne, pewne ciosy, zwroty i uniki wyglądają niby na musztrze lub ćwiczebnym fechtunku.

Każda fala natarcia, rozbita o mur obrony, rozpraszała się, za-wracała na tyły i po odtworzeniu szyku spadała znów na żołnierzy niby stado sępów pustynnych.

Szejk Izmael, dowodzący napaścią, raz po raz rzucał się w śmiertelny wir walki.

— Bij! Morduj!

— Allah! Allah!

Przez dziki zgiełk przebijało rozpaczliwe wycie niewiast i dzieci, stłoczonych między skałami pod urwiskiem, z którego krawędzi po przerwie znowu zagrała palba beduińska.

— Litości Litości! Litości! — krzyczały kobiety.

— O Allah! Allah!

— Poddajmy się! Poddajmy się!

Trafiony w czoło wielbłąd Alimy zwał się ciężko na ziemię i znieruchomiał przygniatając sobą dziewczynę.

— Zabił! Zabił... — wyszeptwała Sara zbielełymi wargami. —

O, córko moja!

Satanowski widział upadek Alimy. Przerwał walkę i podążył na ratunek. Zastąpił go na tym miejscu Marek, na którego spadło teraz podwójne brzemie. Ale rychło wokół niego zrobiła się pustka: jedni napastnicy marli pod jego szablą, inni umykali. Wyglądał jak upiór. Twarz, ręce i ubiór miał zbroszone krwią, odzienie nawet podarte brzeszczotami i kulami, sam jednak był nietknięty.

— Szejtan! — rycze Beduini. — Szejtan! Szejtan! A straszliwy junak szedł jak niszczycielski płomień, przebijając sobie przez watahy drogę do druha.

Stefan bez trudu wy dobył Alimę spod zwłok wielbłąda. Była potłuczona, ale na szczęście nic groźnego się jej nie stało.

Dopadły ich Sara i Fatma z dziećmi. Sara zachowała wyniosłe opanowanie. Natomiast Fatma, mniej odporna, czepiała się rąk i odzienia Stefana, błagała torującego sobie do nich drogę Marka, krzyczała wniebogłosy:

— Ratunku! O Allah miłosierny! Poddajmy się! Poddajmy!

Inne niewiasty — dworki i służebne — rzucały się na kolana zanosząc do Allacha rozpaczliwe modły. Pociski napastników zdawały się omijać tę oszalałą gromadkę, jak gdyby Beduini celowo ją oszczędzali.

Stefan wepchnął kobiety i dzieci między skały tworzące tu jakby osłonę, a sam chciał biec na odsiecz Markowi. Atoli niewiasty, przejrzawszy te zamiary, czepiały się jego ubrania, nie puszczając go od siebie i krzyząc przeraźliwie:

— Litości! Zostań! Broń nas!

—• Poddajmy się! Poddajmy się!

— O Allah wielki i wszechmocny, ratuj nas!

Wielu obrońców poległo lub odniosło rany. Nurum i Uriasz padli. Zabite zwierzęta zawały szlak, tworząc jednak dodatkowe osłony dla strzelców. Ranne kwiczały okropnie, czołgały się między walczącymi, gryzły oszalałe ze strachu, zrywały się na swe kalekie nogi i padały znów...

Marek przedarł się wreszcie do Stefana i kobiet. Zebrał po drodze kilka strzelb, nabił je w ruchu, po czym wystrzałami zatrzymał nieco napór Beduinów.

Aż i stała się rzecz najgorsza: wataha pod przewodem szejka Izmaela i dzierzawcy Gamala rozdzieliła obrońców na dwie części. W jednej znaleźli się Polacy, Sara, Alima i Fatma z dziećmi, w drugiej — reszta karawany. Fatma, wyczerpana już do cna, osunęła się, przywarła twarzą do kamienistej ziemi, a przytuliwszy do siebie dzieci, półżywa, czekała na śmierć.

Sara zaś i Ali-naa, splecione ramionami, stały oparte o skałę.

Los bitwy zdawał się przesądzony. Na dwu Polaków nacierały ze wszech stron dziesiątki wojowników. Nie strzelano jednak do nich wcale, a bój na białą -broń przeciągał się w nieskończoność:

Sara podbiegła nagle do Stefana i zawołała z rozpaczą: — Ratuj Alimę! Uciekaj z nią! Satanowski, zaskoczony, na oka mgnienie przerwał walkę. Z tej krótkiej chwili skorzystali napastnicy. Nad Stefanem błysnął jatagan Izmaela. Lecz Marek, rzuciwszy się rozpaczliwie w jego stronę, zdążył podstawić swoją szablę, a następnie zadać straszliwy cios. Szejk z rozplątanym łbem runął na kamienie. Atoli między Polaków a kobiety z dziećmi zdołali wdrzeć się Gamal z synami i wielu innych. Na domiar jakaś gromada odcięła Marka od Stefana. Śmiertelna walka trwała jednak dalej, a pod szablami Polaków Beduini padali pokotem.

Niestychane męstwo nie zdołało wszakże zapobiec temu, co się stało: gamalicy jęli wlec niewiasty z dziećmi ku hordzie mrowiącej się na płaskich wzgórzach. Polacy nie mogli przebić się przez watahy, by porwanym dać pomoc. Przyparci plecami do skał, wprawdzie bronili się jeszcze, ale wiedzieli, że nadchodzi koniec.

Beduini odstępili kilkanaście kroków i wymierzili w nich z muszkietów, rusznic, łuków...

Atoli nagle zaszła rzecz niespodziewana!

Ze wszystkich stron na hordę Izmaela spadła inna horda beduińska. W wąwozie, wśród skał i na piaszczystych pagórkach rozpętała się potworna rzeź. Piaski i głązy spłynęły ponownie krwią. Chmury pyłu i dymu rosły wszcz i wzwyż, wstrząsane wrzaskiem walczących, skowytem rannych, jękami a rżeniem konających...

Rozgrywał się jeden z porachunków plemiennych.

Napastnicy wzięli wkrótce górę nad hordą Izmaela.

Już na początku pogromu Gamal i jego synowie zaciągnęli Sarę, Alimę i Fatmę z dziećmi do wielbłądów przygotowanych za głazami tarasującymi wąwóz. Umieściwszy związane ofiary przed sobą na wierzchołkach, jęli uciekać mijając bokiem walczące hordy.

Atoli Polacy, ocaleni i uwolnieni z okrażenia dzięki kłęsce izma-elitów, widzieli porwanie.

Zatrzymawszy dwa spośród rozbieganych dziko po wydmie wielbłądów, dosiedli ich i rzucili się w pościg za porywaczami.

Wiatr wył im w uszach, piasek pierzchał spod kopyt biegunów.

Kilka godzin, niemal bez wytchnienia, aż wielbłądy spieniły się i potykały, ścigali uciekających. Choć ostrzeliwani przez gamali-tów, sami nie strzelali do nich, by nie ugodzić osób, które chcieli uratować. Zresztą ściganych od ścigających dzieliła najczęściej taka odległość, że kule nie donosiły. Ale wreszcie odległość ta jęła maleć. Albowiem pięć spośród ośmiu wielbłądów Ganiała dźwigało na sobie po dwie osoby.

Wobec tego Gamal rozkazał siedmiu swoim synom rozprawić się z lekkomyślnymi natrętami. Z pagórków zjechali w dół, na zarosła suchymi trawami równinę, i tu, zdjęwszy swe ofiary z wielbłądów, ułożyli je na ziemi. Na ich straży został Gamal.

— Synkowie, pośpieszcie się z tymi namolnymi durniami —

rzekł spokojnie — albowiem rano musimy stanąć na Wadi-ed-Dau, gdzie będziemy bezpieczni. Zaprawdę, powiem wam, sokoły: maluczko, a krocie powędrują do naszych kies. Młodzi Arabowie w pędzie zaatakowali Polaków, pewni, że im od razu w pierwszym starciu zdejmą jataganami głowy z karków. Gdy to zawiodło, poniechali natarć w biegu, lecz wdali się w walkę na miejscu. Spadali jeden po drugim lub razem z ubitymi wierzchowcami walili się na ziemię, rażeni mistrzowskimi ciosami. Nie pomogły im nawet strzały ojca, od których padły wielbłądy zwycięzców. Polegli wszyscy siedmiu.

Odniósłszy to zwycięstwo Polacy rzucili się ku Gamalowi. Ale ów, jakby oszalały z rozpacz, począł na osłep uciekać przed siebie z przeraźliwym krzykiem. Nagle zniknął, jak gdyby zapadł się pod ziemię. Kiedy dobiegli w to miejsce, ujrzeni przed sobą urwisko i przepaść na sto łokci głęboką, a na jej skalistym dnie skrwawione zwłoki Gamala.

Teraz dopiero, u kresu tej śmiertelnej walki, poczuli takie zmęczenie, że nogi ugięły się pod nimi. Unurzani w błocie z piasku, krwi i potu, w łachmanach, wyglądali okropnie. Dysząc szli jednak, mimo wyczerpania, do miejsca, gdzie leżały związane, z zakneblowanymi ustami kadyny i dzieci.

Po uwolnieniu wszystkich z więzów jęli cucić zemdloną Sarę. Ale nie było kropli wody. Na domiar dusiło pragnienie, wyschły wargi, skołkowaciał język. Wokół zaś rozciągały się wydmy, ka-raieniska, spłachetki twardej trawy, nędzne, przyziemne krzewy. Na wodę naprowadził ich dopiero wielbłąd Gamala, jedyny, jaki został na tym placu boju: jedne bowiem padły, drugie uciekły.

Pierwszy przypomniał go sobie Marek. Na pustynnym bezludziu wielbłąd był skarbem, niemal ratunkiem. Marek, wabiąc zwierzę okrzykami, ciężko pobiegł za nim, by je schwytać. Uciekło zrazu, lecz raptem stanęło i spuściło łeb. Dzięki temu Marek je dogonił. Piło mętną wodę w jednej z kilku kałuż, resztek rzeki w wadi.

Marka ogarnęła nieposkromiona chęć na tę odrażającą wodę. Ukłął, odsunął ręką łeb wielbłąda, rzucił się twarzą w kałużę i począł zachłannie chleptać błotnistą, cuchnącą cieczą, nagrzaną przez upalne słońce i gorące tchnienia chamsinu. Oderwał się od kałuży wzmocniony jakby cudownym eliksirem. Raźnie rozejrzał się po stokach zbawczego wadi. Tu a tam piasku i kamieni w rozpadlinach, gdzie więcej wilgoci i cienia, uczepliła się kępka jakichś roślin o zdrewniałych łodygach i bezlistnych gałęziach. Tu a tam wegetowała karłowata akacja, cherlawy tamaryszek, podobny do podolskiej wrześni.

Po ugaszeniu pragnienia Marek poczuł głód. O zaspokojeniu go nie mogło być mowy. Pozazdrościł wielbłądowi skubiącemu zeschłe pędy, liście tamaryszku, obsypane białymi ziarnkami. Powodowany głodem, zaczął żuć kwiaty akacji. Z pewną obawą sięgnął po owe białymi kuleczkami znaczone liście tamaryszku, za jadane ze smakiem przez wielbłąda. Ziarenka miały smak słodki, nieco mdły.

Powróciwszy spieszenie do towarzyszy, zabrał ich nad wodę. Tu ocucono Sarę, napojono wszystkich, umyto się, orzeźwiono. Długi odpoczynek na posłaniu z czapraków zdjętych z zabitych wielbłądów przywrócił wyczerpane siły.

Kadyny ze wschodnią kwiecistością dziękowały Polakom, nie zapominając też o Allachu i Proroku:

— Oby Allah błogosławił wam do końca dni waszych!

— Nie jesteście już niewolnikami naszymi, jeno przyjaciółmi i gośćmi, a my waszymi dłużnikami po kres żywota. Szczęśliwy dzień, w którym nawiedziliście nas! Wdzięczność nasza bez granic!

— Dzieci! oto zbawcy wasi (oby nigdy trosk nie zaznali!).

— O Allah, chwała ci! O Proroku, pośredniku między Stwórcą a ludźmi, dzięki ci!

Błogosławcie zbawcom naszym!

Nieopanowana Fatma śmiała się przy tym i szlochała, ścisnęła swoje dzieci z wybuchami płaczu, śmiechu, modłów, podziękowań.

Dzieci, zrazu ledwie żywe, odzyskały siły przed dorosłymi i na-i tarczywie domagały się jedzenia, ani zważając na perswazje.

Markowi przypomniały się słodkie kuleczki na liściach tama ryszku i kwiecie akacji. Zabrał przeto wszystkich ponownie do wysychającego wadi.

__ Manna! Chwała Panu! — zawołała Fatma.

Wszyscy jęli posilać się tymi darami Allacha.

Fatma podczas chwilowego sam na sam z Markiem jęła coś żywo mówić. Pojmował za ledwie piąte przez dziesiąte. Ze znanych wyrazów i z domysłów dorozumiał się, że Fatma żałuje swej grzesznej do niego miłości, za którą karze ich teraz sprawiedliwy Allah. Roześmiał się szyderczo, lekceważąc niewczesne skrupuły.

Wrócili do legowiska na krawędzi wadi.

Byli w nieznanym kraju, w stepie przeplatany pustynią, bezwodnym i bezludnym. W chaosie walk i pościgu stracili poczucie kierunku i odległości od szlaku, na którym odbyła się bitwa.

Po chwilowym odprężeniu Sara i Fatma — każda po swojemu — znów popadły w krańcowe przygnębienie. Tylko Alima, mając dowody oddania i nadludzkiej niemal dzielności Stefana, wodziła za nim rozkochanymi oczyma, pewna, że on wszystkiemu zaradzi. Pod wpływem tej ufności uspokajała się łatwiej niż towarzyszki.

Było popołudnie, a więc blisko noc, podczas której mogą atakować jadowite żmije rogate i kobry, zażarte feneki², szakale, ba! nawet lwy przepłoszone z Szarkiji czy Arabii.

- I lira moja przepadła — rzekł Satanowski.

- Co tam lira naprzeciw tego nieszczęścia! — burknął Marek.

- To prawda. Na szczęście miałem z sobą tę nową lirę, z którą mnie tyle, co z tamtą, nie wiąże. A widzisz, mówiłeś, że niepotrzebnie drugą kupiłem.

- Nie brzęcz mi tu o lirach! — rozsierdził się Marek. — Strzelby przepadły! To jest dopiero strata! Gdyby lew zawitał do nas, to jeno pacierze odmawiać. Szablami nie poradzimy.

- Trzeba by tu a tam na zwiady... — rzekł Stefan, ale sam nie chciał wypuścić Alimy spod swej opieki nawet na chwilę.

- Ostaniesz z nimi, a ja na dromaderze Gamala wyskoczę. Do zachodu słońca może znajdzie jakąś siedzibę ludzką.

Wszyscy, stojąc na krawędzi wąwozu wzrokiem odprowadzali Manna — niektóre gatunki tamaryszku sączą słodki sok, krzepnący na ściach w postaci białawych ziarenek, które zwą się po arabsku i hebrajsku: manna. ² Fennek — gatunek lisa na półwyspie Synaj.

22 —

Kawaler złotej ostrogi Marka, który cwałem przeskoczył wadi, równinę za nim i zwolnił dopiero na gołoborzu, szukając przejazdu w labiryncie czarnych głazów. Nawet gdy znikł już, ciągle jeszcze za nim patrzyli... ' Nagle Alima krzyknęła gorączkowo:

__ Ogień! Ogień! Chwała Allahowi na wieki wieków!

__ Chwała Allahowi! — zawtórowały Sara i Fatma.

Daleko za gołoborzem błyskał chwilami błahy z powodu oddalenia i jasności dnia płomyk, szarzało kilka smużek dymu.

Nie mogli doczekać się powrotu zwiadowcy.

Słońce było już nisko nad horyzontem, gdy nadjechał.

— Godzinę jazdy klusem stąd osiedle — oznajmił rażno. —• Fellachowie życzliwi byli, nakarmili mnie i wielbłąda. A oto dla was gościniec: bukłak z kozim mlekiem i jakoweś placki czy podpłomyki. Zapłaciłem im za to wszystko owym malinowym czaprakiem. Musimy tam pociągnąć, ale zdążymy zejść dopiero późną nocą.

— Nie boisz się podstępu? •—• spytał Satanowski.

— Ani tak, ani owak. Rolnicy, ludność osiadła, więc może nie drapieżcy. Trzeba iść, nie ma innej rady, i tylko mieć się na baczności. Odpoczniemy godnie, wskażą nam drogę. Bobyśmy może dreptali po całym Synaju na próżno.

Posiliwszy się przywiezioną żywnością, wzmocnieni na ciele i duchu, ruszyli w drogę ku wyszukanej przez Marka smali. Fatma z dziećmi zajęła miejsce na grzbiecie wielbłąda.

Reszta, niestety, musiała pójść pieszo..

Zanim przebrnęli przez kałuże wadi i gołoborze, zaszło słońce i ciemności okryły świat.

Szczęściem, wkrótce po zachodzie na niebo wtoczył się księżyc.

W mroku dłoń Alimy nieraz odnalazła się z dłonią Stefana.

VI Kara Nurum i Uriasz nie polegli w boju, lecz zostali ranni i ogłuszeni. Odzyskali przytomność dopiero w kostejce Hamzy, szejka plemienia, które pogromiło hordę Izmaela.

Na Allacha! Gdzież my? — krzyknął kapudan. - W namiocie pobożnego moslema —• odparł Hamza.

22*

— Co z kadydami i dziećmi jego wspaniałości mudira? Hamza rozłożył ręce i odpowiedział uroczyście:

— Najświętszy Allach wziął je pod swą niezawodną opiekę.

— Jak to? — wykrztusił kapudan siadając na posłaniu.

— Porwał je Gamal z el-Kantara i dwaj kafirowie, którzy byli wśród twoich żołnierzy.

— O przekłeci! Bodaj ich piekło pochłoneło! Ale powiedz mi, kim jesteś szlachetny wojowniku?

— Jam jest Hamza syn Lahaba, szejka plemienia Aswadu. Od lat toczyliśmy boje-z nikkzemną wśród nikkzemnych zgrają Izma-ela, wydzierającą nam pastwiska i stada, porywającą niewiasty i dzieci. Aż oto dziś rano Allach (chwała mu na wysokościach i na ziemi!) uczynił między nimi, Ahmaru, a nami, Aswadu, sprawiedliwy sąd. Żaden mąż Ahmaru nie uszedł z życiem spod naszych brzeszczotów. Wyście walczyli z Ahmaru, jesteście więc naszymi przyjaciółmi a gośćmi (oby Allach mnożył wasze dostatki!).

— Czemuś mnie nie zabił, Hamzo, synu Lahaba? Pan mój miłościwy spyta mnie: „Coś uczynił z ukochanymi osobami, którem powierzył twej pieczy?” Odpowiem, żem pozwolił im zginąć, a sam żyję i bezwstydnie patrzę mu w oczy, żem pies nędzny, którego winien oddać pod nóż rakarza? O doła moja, doła!... Racz opowiedzieć o porwaniu onym, szlachetny szejku.

— Gamalici porwali dostojne kadyny wraz z dziećmi, widząc, że moi wojownicy biorą górę, i uwieźli je na wielbłądach, a za nimi pognali owi dwaj kafirowie, zmówieni snadź z tamtymi.

— Na okrutnego Tabeka! — zgrzytnął Nurum. — Eadziłem skuć tych zdrajców!...

Uczyniłem, com uczynił, a ninie muszę stanąć przed swym panem miłościwym i zdać sprawę z powierzonego mi zadania. Ach, gdyby jego wspaniałość powierzył mi jeszcze odszukanie owych kafirów i gamalitów! Żaden człowiek nie umarł w takich mękach, w jakich by oni pomarli z mojej ręki!

— Rozkosz zemsty jest większa nawet niż rozkosz miłosna.

— Kto i co ocalało z mojej karawany?

— Straciłeś wszystkie niemal wielbłądy, konie, osły i muły. Wiele dobra z juk zaginęło. Dziesięciu wiernych żołnierzy i sług — przeniosło się do Al-Dżainat. Kilkunastu rannych junaków jęczy w kostejkach moich wojowników i pięć rannych służebnic w moim haremie. Uriasz, jeszcze ciężiej ranny, na wieść o zdradzie Polaków począł się modlić za nich.

— Czeka cię, waleczny Hamzo, nagroda — rzekł Kara Nurum. —•

Wypożyczywszy nam wielbłądy, pojedź z nami, a będziesz świadkiem przed obliczem jego wspaniałości mudira.

— Jakoż mam zostać nagrodzony — rzekł Hamza z uśmiechem — skórom przekroczył pas karawanowy, wyznaczony przez jego dostojność baszę Egiptu?

— Nie obawiaj się, Hamzo. Trudy twe opłaca ci się sowicie.

— Rzekłeś, Kara Nurumie. Wypożyczę wielbłądy i sam stanę przed obliczem dostojnego bega (oby żył wiecznie!).

Skoro świt, po odmówionym kornie soubhg l, ruszyła ku wschodniemu wybrzeżu jeziora Menzaleh karawana: na wielbłądach wojownicy plemienia Aswadu oraz żołnierze Kara Nuruma i ocalałe bagaże, a następnie muły obciążone sporządzonymi z rzemieni i koc pilśniowych kolebami, w których' spoczywali ranni opatrzeni przez plemiennych znachorów. Ciężiej poszwankowanych zostawiono na kuracji w smali plemienia.

Wschodnia połać zalewu wyschła i stanowiła grząski moczar, daleki od spławności. Dalej na zachód, już na obszarze Dakahliji, gdzie Menzaleh był nadal spławny, panowało zupełne bezpieczeństwo na drogach.

Ciągnęli wolno, z licznymi postojami, kilka dni.

W Esbe 2 otoczyła karawanę ciżba fellachów, dzieci, ludzi z Dar--el-Amirun. Ci wnet ponieśli smutne wieści do siedziby mudira.

Tu uderzono w okrutny lament. Rodzeństwo porwanych dzieci bega tłukło głowami o ścianę, wyło. Tak samo druga żona Kassi-ma, Aisza, i trzecia, Dina, i ulubienica Chawa, i wszystkie były a obecne nałożnice, i inne niewiasty. Ale jednocześnie kobiety owe już gotowały się do zajęcia miejsc zaginionych żon, do walki. Służba i dworzanie w ślad za dostojnymi rozdierali szaty z żalu, rwali włosy z głowy, płakali i wrzeszczeli wniebogłosy.

Kassim-beg, gdy mu doniesiono o nieszczęściu, rozdarł na sobie biały chałat domowy, runął na dywan twarzą i tak trwał wywraSoubhg (arab.) — pierwsza (po wschodzie słońca) modlitwa. 2sbe, czyli wieś — wieś pod Damiatem, w której mieszkał koło ruin =zetu Kassim-beg, gubernator Damiatu i Raszidu.

cając boleśnie oczy. Dopiero ulubiony sługa, opasły rzezaniec Se-lim, nakłonił go do zajęcia zwykłego miejsca na sofie.

— Biada mi! biada! — zawodził mudir. — O, ja nieszczęśliwy! O, ja sierota! Cóżem zawinił? Co zawiniły te czyste istoty? Zali, klątwa ciąży na naszym rodzie? Zali szejtani uwzięli się na pobożnych moslemim? O Allah! O Proroku miłościwy! Okażcie miłosierdzie prawowiernemu, który nigdy namazu nie przeoczył, zawsze obmywał się wedle przepisów, zachowywał posty i pielgrzymki, nie uchylał się od jałmużny ni od walki z gaurami... Ludzie, ludzie, dajcie mi popiołu na grzeszną głowę! Niechaj idę do pustelni pokutować o suchym daktylu i wodzie za grzechy! Słońce mi zgasło, świat obrzydł! Aj-aj-aj! Aj-aj-aj! Aj-aj-aj!

Selim jakoś wyperswadował zrozpaczonemu panu te desperackie zamiary. Kassim teraz popadł w nastrój bojowości i zemsty:

— Dla 'ugaszenia mojego bólu — wołał — potrzeba mi krwi plemienia Ahmaru i zdradzieckich karawuszków, i niedbałego Kara Nuruma, któregom tak miłował, któremu tak ufałem! Krwi! krwi!

Wyglądający oknem Selim podpowiedział skwapliwie:

— Raczysz, panie, żądać krwi Nuruma? Oto przywieziono go! Mudir zerwał się z sofy i z kordem * w dłoni wypadł na krużganek, z którego widać było dziedziniec.

— Na brodę Proroka! Toż orszak pogrzebowy! — zawołał. Wnet koło niego i Selima zebrali się dworzanie i słudzy. Wniesiono kolebkę z Nurumem. Widok i stan wiernego oficera ostudziły gniew mudira.

•—Zabij, wasza dostojność, niegodnego sługę — kajał się słabym głosem Kara Nurum. •— Nie zasłużyłem na nic więcej. Albowiem postąpiłem niby niedowarzony ogłan 2, któremu obcy rycerski bułat³.

•— Mów, usprawiedliwiał się! — huknął mudir.

— Przysięgam na świętą brodę Proroka, że chciałem okupić życiem błędy swoje. Allah najmędrzy nie przyjął okupu.

Kara Nurum opowiedział wszystko.

— Na Allacha! Zdrada zakradła się w mój dom! — beg chwycił 1 Kord (tur.) •— miecz, szabla, pałasz.

2 Ogłan (tur.) — młodzieniec, młokos, gołowąs.

3 Bułat (tur.) — szabla z szeroką głownią (klingą, brzeszczotem, ostrzem, częścią sieczną), miecz; polerowana stal do wyrobu brzeszczotów.

się za głowę. — Zaufałem nędznikom: Gamalowi i Polakom. Nie mogę więc winić nikogo za omyłkę, w której sam uczestniczyłem.

Słuchacze cmokali z podziwu nad sprawiedliwością mudira.

— Zwołać tu oficerów! — rozkazał.

Jedni dworzanie i słudzy podsunęli mu tachtę i nargile dla ukojenia, inni podążyli zwoływać oficerów obecnych w Esbe. Osnuł się obłokiem wonnego dymu i nieco uspokoił. Nurum był już bliski omdlenia, atoli beg nie uwolnił go od zarządzanej akurat odprawy.

Niebawem oficerowie nadeszli bijąc i szepcąc salamy przed mu-direm. Stanęli u schodów, na wprost pańskiej tachty.

Zwięźle wyjaśnił im, co zaszło, po czym rozkazał:

— Na wszystkie strony niech biegną pogonie! Synaj, Garbieh, Dakahlia i Szarkija mają być przeszukane piędź po piędzi! Gońcy powiadomią o nieszczęściu wszystkich bejów, mudirów, namiestników z Arabii, jak również samego dostojnego baszę Egiptu. Setki ludzi mają pomknąć we wsze strony na najściglejszych nedźdach.

Zamierzał mówić dalej, gdy na krużganek, roztrącając oficerów i dworzan, wpadł pędem dowódca straży chroniącej brarn Dar-el--Amirun i klękawszy przed mudirem, rzekł rozplomieniony:

- Allah jest wielki! Pozwól mi mówić, dostojny panie!

- Mów!

- Allah jest wielki! Szczęśliwe wargi, co to rzecz mogą! Dostojne kadyny, które oplakujemy, raczyły właśnie...

Mudir nie słuchał dalej. Zerwał się z tachty, minął klęczącego i spośród gęstwy bluszczów wyrzwał na dziedziniec.

— Na Proroka! Szaleństwo zapanowało nad tym domem! — krzyknął, a zdjąwszy gwałtownym ruchem naszyjnik, rzucił go dowódcy straży. — Weź to za szczęsną wieść!

• bez żadnej powagi zbiegł po schodach na dziedziniec. _Tu, pod krużgankiem, stała gromadka łachmaniarzy i zdrożone błędy, które już służba trzymała za kantary. Kassim-beg, po-ladły ze wzruszenia, otworzył ramiona. Pierwsza wpadła w nie z łkaniem Alima. emię Aswadu zostało nagrodzone pieniędzmi, przywilejami na wypas stad w zakazanych dotąd ziemiach i licznymi nadaniami.

i ze switą odjechał po krótkim postoju w Dar-el-Amirun.

Prawiono też z nagrodą Arabów, których Jakimowski znalazł był w el-Firdan, a którzy udzielili zabłąkanym pomocy i wypożyczyli wielbłądy do dalszej drogi. Wszyscy oni śpieszyli się do swych siedzib, aby zdążyć na dzień pierwszy miesiąca Dżemasiul--acchir *, uroczyste Święto Objawienia się Archanioła Gabriela Mahometowi².

Teraz mudir zaprosił do siebie Polaków, którzy stali się bohaterami chwili. Poczował się do długu wdzięczności względem nich. Ponieważ Uriasz ciężko chorował, z „Ak-Kałkan”, zakotwiczonej akurat w damiatyńskim porcie, sprowadzono Safara na tłumacza.

Polacy, wyświeżeni, w nowym odzieniu, traktowani jako goście, usiedli na dywanie, przy niskim stoliku zastawionym owocami, sorbetem, ciastem, kawą. Usługiwały zwinne, przyuczone do tego pacholeta oraz śliczne niewolnice białe i czarne. Świadcami przyjęcia byli eunuch Selim, zarządca Muharrem i koniuszy Fuad. Ale stali oni kornie u drzwi, jako słudzy, z zawiścią patrząc na nowych faworytów mudira.

— Allah wam pobłogosławi, a ja nagrodzę hojnie — mówił po turecku beg, majtek Safar zaś tłumaczył na polski słowo w słowo. — Nie jesteście już niewolnikami, jeno gośćmi naszymi. Jeśli wola, możecie wracać do Polski, acz, muszę wyznać, polubiliśmy was i miło nam mieć was u siebie.

Przed wizytą u bega, spodziewając się wyzwolenia i nagrody, umówili się byli, że przystaną na czasową służbę jako wolni ludzie. Chcieli bowiem koniecznie z bogacieć i dopiero potem wrócić do kraju. Satanowski po wiążących go z Alimą wydarzeniach obiecywał sobie nawet o wiele więcej.

— Przyjmujemy służbę u waszej dostojności na dwa lata — rzekł Marek za pośrednictwem tłumacza. — Pragniemy otrzymać 500 piastrów żołdu na kwartał.

— Otrzymacie 1000 piastrów kwartalnie — odpowiedział mudir skwapliwie, zadowolony, że wyzwoleńcy nie żądają nadań ziemi, której jako raczej kupiec niż rolnik, nie posiadał zbyt wiele.

1 Dżemasiul-acchir — VIII miesiąc w kalendarzu tureckim (Dżemadi-el--accher w kalendarzu arabskim), mający 29 dni.

2 To święto wypływa z nast. podania: 40-letni wtedy Mahomet spędzał czas na rozmyślaniach, poście i modłach w Jaskini Hara koło Mekki; raz pojawił się arch. Gabriel w ludzkiej postaci, przedstawił mu Koran, natchnął go umiejętnością czytania i poczuciem, że jest on prorokiem.

A że chciał ich koniecznie nagrodzić, sygnął pieniądzem, zaofiarował im dostatni apartament w pałacu, kilkoro służby osobistej i kilka prześlicznych nedżdów.

Olśnieni byli tymi świadczeniami i tak wielką lafą.

— Należycie więc do mojej świty — rzekł Kassim. — Wybieram się do Stambułu.

Popłyniecie ze mną. Niemniej jednak tak rozumiem naszą umowę: w każdej chwili możecie od niej odstąpić i wracać do ojczyzny.

Od mudira wyszli oszołomieni promocją.

— Wrócimy doma bogaci! — Marek zacierał ręce.

Satanowski myślał i o cudownej odmianie losu, i o Alimie, która mimo wszystko nadal nie była dlań dostępna. Ale, jak słyhać, w imperium ottomańskim, pomimo rażącego bizantynizmu, łatwiej niżli w Europie wspiąć się po drabinie społecznej, a wyzwoleńcy dochodzą nieraz do dygnitarstw i majątku.

Tymczasem Fuad, Muharrem i Selim, którzy zostali jeszcze u bega, dawali upust swej zawiści.

- Wasza wspaniałość raczył już osądzić. Aliści powinnością moją, wiernego sługi, jest wyjawić to, co mnie nurtuje — rzekł zarządca patrząc w oczy pana psim spojrzeniem. — Zadaję sobie pytanie, zali ci Polacy nie używają jakowegoś podstępu, by się wkraść w szlachetne serce waszej wspaniałości, zając godne miejsce na dworze, miejsce poufników, wiernych sług...

- Ładny podstęp: uratować mi rodzinę i uwolnić mnie od rozpacz, która by mnie do śmierci nie opuściła — odparł Kassim--beg. - - Bodajby wszyscy moi słudzy byli tacy, jako ci dwaj!

- Oby złote były twe słowa, dostojny panie! — wtrącił koniu-- Ale troska o ciebie, miłościwy, każe nam ostrzegać.

Mudir zaśmiał się i powiedział drwiąco:

- Z góry was uspokoję: ani zarządcami, ani koniuszymi, ani dozorcami haremu nie zostaną, bo i oni tego nie pragną, i ja nie. Mogą natomiast zostać bejami, co wam w niczym nie przeszkodzi.

Ż nie obawa o własne korzyści, ale czysta zazdrość, najbrzyd-a najpowszechniejsze z uczuć, opanowała ich serca. aedy opuścili pokój bega, milczący cały czas Selim rzekł: Bardzo mi się nie podoba bezczelność, z jaką śmie Jakimowski wracać się do dostojnej pani Fatmy . (oby kwitła w wiernej miłości małżeńskiej, tak miłej Allachowi!). Jeśli ten brak należytej czci potrwa, będę musiał...

— O tak! — wykrzyknęli domyślnie Fuad i Muharrem.

— A teraz, drodzy przyjaciele, musimy pomodlić się u przenajświętszych stóp Allacha, aby nam szczęścił. Niebawem zachód słońca 1 i rozpocznie się Święto Objawienia.

Po wizycie u bega Satanowski odwiedził Uriasza, by dowiedzieć się o jego zdrowie i pochwalić zapowiedzianymi promocjami.

Stary mieszkał samotnie w oficynie pałacu. Z jego mieszkania roztaczał się piękny widok na park i wybrzeże zalewu oznaczonego łodziami i żaglami.

Dowiedziawszy się o wyzwoleniu Polaków Uriasz rzekł:

— Łaska Allacha nad tobą, synu. Oto znak, którego nie wolno przeoczyć! Czas, abyś uwierzył w prawdziwe oblicze Boga.

— Ach, nie mów tak głośno i żywo! — napominał go Stefan troskliwie. — Wszak hakim Meram zaleca ci spokój i milczenie.

Atoli niedoszły mułła, choć ciężko chory z powodu uderzenia obuchem w pierści, nie mógł przepuścić sposobności zarzucenia muzułmańskiej sieci na chrześcijańską duszę.

— Oto nadchodzi święta noc 2... — mówił uparcie, acz krztusił się czasem krwią.

— Ależ, Uriaszu. Opowiesz mi kiedy indziej.

— Zali uważasz, że wspaniałe słowo boże jest mniej ważne od nędznego zdrowia ludzkiego? Słuchaj!... Nadchodzi święta noc, obchodzona przez wiernych na pamiątkę objawienia, jakie miał Prorok. Nocy tej aniołowie z archaniołem Gabrielem na czele zstępują między ludzi: cisza zalega ziemię, spokój ogarnia wszystko przyrodzenie. I trwa to aż do brzasku...

— Odpocznij, Uriaszu! Wszak hakim...

— Nieraz Mahomet oddawał się szlachetnym rozmyśleniom w Jaskini Hara wedle Mekki. A tak był żarliwy w wierze, która w nim kiełkowała i rosła, że nieraz popadał w ekstazę, ogarniały go konwulsje, wydawał głos źrebienia wielbłądziego, duch jakby unosił się nad ciałem. Czasem jego małżonka Chadidża, widząc 1 Muzułmanie rozpoczynają następny dzień po zachodzie słońca, nie zaś po północy jak my.

2 Muzułmanie datują według nocy, a nie według dni.

go leżącym bez oznak życia na ziemi, a nie pojmując jeszcze natchnienia bożego, mniemała, że to nawiedzenia złego ducha. Kiedyś chciała biec po czarnoksiężnika, by czary odczytał.

Mahomet powstał i rzekł: „Jakże miałby mnie kto widzieć w takim stanie, gdy rozmawiam z Allachem? Często ukazuje mi się anioł w ludzkiej postaci i mówi do mnie. Dopiero po jego zniknięciu całą objawioną mi prawdę pojmuję. Często słyszę słowa z ust samego Boga...”

Uriasz zakrztusił się, krew buchnęła mu ustami.

Satanowski, przerażony, podbiegł ratować. <Ale nieudolnie mu szło. Począł więc oknem wzywać ratunku.

Nadszedł hakim, uczony Meram, z pomocnikiem. Spojrzał z wyrzutem na Stefana, ale nie śmiał wyrzec słowa nagany wobec nowego faworyta pańskiego. W milczeniu wziął się do zabiegu.

Ale obaj z pomocnikiem przerwali zaraz i ukłękli.

Albowiem na minarecie zabrzmiało smętne granie piszczałek, zawodzenie muezzina, ogłaszającego modlitwę i Noc Objawienia.

VII Czas upływał pod znakiem wielkiej wojny z Lehistanem. Po zawarciu pokoju z Persją nic już nie stało na przeszkodzie spragnionemu sławy sułtanowi Osmanowi II i wielkiemu wezyrowi Dilawerowi, obu wrogom Polski, w rozpoczęciu inwazji Rzeczypospolitej. Z niezmiernych obszarów imperium ściągano wojska i pospolite ruszenie. Szli więc na świętą wojnę mamelucy, fella-chowie, Beduini, szli więc czarni Nubijczycy, brązowi Arabowie, mieszkańcy Libii, Maroka, Tunisu, Algierii, szli bejowie i plebeani, Turcy, Rumelijczycy, Grecy, Serbowie, Bułgarzy — nieprzeliczona potęga, która miała przysporzyć władcy miru wśród poddanych.

Egipt odczuł także ciężar wyprawy. Zwiększono podatki i daniny, dostawy żywności i żołnierza. Imamowie, mułlowie, muezzi-i głosili w słowie i piśmie świętość wojny z gjaurami, przepo-idając zwycięstwa i rajskie rozkosze po śmierci na polu chwały. Kassim-bega zwolniono od udziału w wyprawie, gdyż potrzebny w mudiriji dla tłumienia niepokojów wśród fellachów i Beduinów oraz dla ochrony drogi morskiej między Aleksandrią a Stambułem. Natomiast brat jego Mahmed został powołany do boku pady-szacha.

O Rzeczypospolitej powiadano, że też wystawia ona potężne wojska i najznakomitszego wodza swego, hetmana wielkiego litewskiego Jana Karola Chodkiewicza, wodza, który nigdy, nawet przy dużej przewadze wojskowej przeciwnika, nie przegrywa bitew.

— Skoro pan Chodkiewicz hetmani, jestem spokojny o Rzeczpospolitą — oceniał.

Jakimowski, — Jeno ta druga wojna, ze Szwedem, trapi mnie — smęcił Sa-tanowski. —

Takowe potencje od południa i północy!

— Niby tak, ale Rzeczpospolita jest niepożyta — rzekł Marek, a potem dodał

niespodziewanie: — Chyba to nie nastąpi, ale gdybyśmy się spotkali z Janem... — urwał nie wiadomo dlaczego.

Satanowski był zaskoczony: dotąd unikali tego tematu.

— Nie wiem, jak postąpisz, ale ja... Boże! — wykrzyknął.

— A gdyby szukał pomsty na mnie? Gdyby mi w gębę plunął? Jam nie ojciec, ja mu wybaczyłem, że nas okłamywał...

— Wybaczyłeś? To kpiny! Ty jemu?

— Warn, ponurzeńcom, wszystko jedno... Wy...

— Czy Jana masz za brata ślubnego? — przerwał Stefan.

— Mam. Ale...

— Jeśli Bóg pozwoli, musimy go odzyskać!

— Jako żywo! — zakrzyknął Jakimowski.

— O! to rozumiem! — rzekł Stefan z rozczuleniem. Odtąd coraz częściej wspominali Jana.

Opływali teraz w dostatki. Pracy żadnej od nich nie wymagano, Z własnej woli jednak, zgodnie z dawnym zobowiązaniem uczyli rzemiosła wojskowego dwu nieletnich synów bega. Sami też, dla własnej sprawności, przerabiali ćwiczenia żołnierskie, atletyczne, jeździeckie, którymi zadziwiali otoczenie.

Przez miesiąc Redżeb 1 i znaczną część Szabanu² podróżowali z begiem po mudiriji. Kassim dokonywał urzędowej lustracji, 1 Hedżeb — III miesiąc w kalendarzu tureckim, VII w arabskim, mający 30 dni.

² Szaban — VIII miesiąc w kalendarzu tureckim i arabskim mający 29 dni.

a a przy sposobności sam i przez powierników skupował towary na wywóz za granicę.

Podróże te były krótkie i częste. Pojechali też na targi niewolników do Raszidu i sławnej Aleksandrii, mieściny, lichej teraz w porównaniu z Damiatem. Muharrem ledwie znosił przybłądów, zwłaszcza gdy wtrącali się do traktowania niewolników.

Od niedawna karawanowymi szlakami z różnych stron ciągnęły rzesze wiernych na wschód, do Mekki. Bo choć daleko do miesiąca Dsul'hedże 1, pory religijnej pielgrzymki, którą

muzułmanin powinien odbyć chociaż raz w życiu, przecie miały szmat drogi przed sobą, i to najgorszej.

Uriasz bardzo pragnął powędrować do Mekki, aby, jak mówił, po raz ostatni dotknąć ustami świętej Kaaby 2. Jednakże lizał się jeszcze z ran leżąc na lichej tachcie krytej matą i ciągle odmawiając na paciorkach różańca nieodzowną szahadę 3: „Allah ii Allah, Muhammad Rasul Allah!”

Ta skromność mieszkania, ubioru i bycia tym się dziwniejsza zdawała, że Uriasz piastował wysokie stanowisko na dworze bega. Był przecie głównym ogrodnikiem, zarządcą ogrodów Dar-el-Ami-run i terdżumanem 4 mudira. Bo jakże wpływowy jest bostandży 5 w sułtańskim Seraju! Na domiar wykształcenie Uriasza, acz niezupełne, czyniło go niemal hafizem 6. Wprawdzie hakim Meram, rodzina bega i służba mieli o nim pieczołowite staranie i to przypominało jego rangę dworską, niemniej mógłby sobie pozwolić na więcej zbytku.

— Niebawem wstanę — obiecywał. • — Muszę obaczyć przybór Nilu. Stale odmawiam tesbih 7, aby mi Allach przywrócił siły.

— Już płyną „wody zielone” — rzekł Meram.

Jakoż niskie od kilku miesięcy wody Nilu opadły jeszcze więcej ostatnio. Rzeka, przezroczysta dotąd, spływała teraz istotnie zielonymi, cuchnącymi zgnilizną wodami. Niosła bowiem z południa 1 Dsul' hedże — XII miesiąc w kalendarzu arabskim, ma 29 lub 30 dni.

2 Kaaba (arab.) — świątynia mah. w Mekce 1 św. kamień w niej.

3 Szahada (arab.) — podstawowe wyznanie wiary mahom.

4 Terdżuman (tur.) — tłumacz.

5 Bostandży (tur.) — zarządca ogrodów sułtańskich.

8 Hafiz (arab.) — uczoney muzulmanin, umiejący Koran na pamięć.

7 Tesbih (arab.) — modlitwa z użyciem różańca: różaniec mahom.

gnijące rośliny. Ludzie w napięciu śledzili ją codziennie, wyczekując odwiecznego cudu natury: przyboru Nilu płynącego z niewiadomego krańca ziemi. W środku lata wody jeszcze bardziej zmętniały, przybrały barwę czerwonobrunatną, spieniły się...

Mudir rozkazał wtedy bić z armat na cześć przyboru Nilu. Wieczorem różnokolorowe race pokryły czarne niebo, przyćmiewając gwiazdy. Gwar wesółych uczt wypełnił pałace, domy, rudery, lepianki. Po świątyniach odbywały się dziękczynne i błagalne modły.

Nil wzbierał. Podnosił coraz wyżej swe wody, podobne teraz do potężnego, spienionego potoku rzadkiego błota, rozlewał się coraz szerzej, w ciągu dni i tygodni zamieniając kraj cały w olbrzymie jezioro, po którym pływały łodzie i tratwy. Na nieprzejrzanym rozlewisku drzewa i osiedla wyglądały jak wysepki. Uriasz na tyle już pozdrowiał, że co dzień przez wiele godzin oglądał przybór Nilu, tutaj — odnogi Damiat.

Popłynął nawet kiedyś tombazem z Polakami do portu sprawdzić przygotowanie statków do zamierzonych rejsów. Ciągle załadowywano je rozmaitymi kupiami.

— Trzy tysiące dariba * cukru! — zdumiał się Marek. — Toż fortuna! U nas, w Europie, za funt cukru można kupić krowę albo dobrego wieprza opasa.

Zamyślili się Polacy. Mudir to jakby polski czy litewski wojewoda, magnat. A handlem się para niby mieszczuch. Ani sobie wyobrazić coś podobnego w Rzeczypospolitej.

Zlustrowali też cztery bojowe galery bega, przeznaczone do patrolowania szlaku morskiego Aleksandria—Stambuł. Na „Ak-Kał-kan” spotkali się z Mustafą, Safarem, Halimem, Abdulem. Piotra Sieleckiego nie zastali: odkomenderowano go gdzie indziej. Przykre było spotkanie z galernikami. Dawni towarzysze niedoli odnosili się do lustratorów nieufnie, szepotali między sobą o ich ło-trowskim zaprzedaństwie i zbisurmanieniu.

— Mają nas za łotrów, ale im pomożemy — rzekł Marek. — Wstawię się za nimi u mudira. Poturczeniec Mustafa nadal wydawał się im wierutnym nikczemnikiem, zdolnym do każdej podłości.

1 Dariba — egipska jednostka wagi, równa mniej więcej 95 kilogramom. .___ Nie sposób o tej kanalii myśleć bez abominacji — rzekł Jakimowski, gdy w dunecie * zostali sami, •—•
Ilekoć go widzę, garść mnie świerzbi, by mu sprać gębę!

___ Uczynisz to w sposobnej chwili — odparł Stefan.

Jakoż nie było trudno o tę chwilę — niebawem nadeszła.

Właśnie Uriasz pod pokładem mówił o sprawiedliwości Allacha przykutym do pojazd Turkom, skazanym na galery za wykroczenia przeciw władzy. Załoga natomiast stłoczyła się wokół Mustafy, u rufy, wielce ożywiona.'

Polacy wyszli z dunety niepostrzeżenie dla rozbawionych majtków. Przystanęli słuchając zaciekawieni.

___ Dostojni bejowie do mycia kloak i wszy wiskania •—• szydził Mustafa. — Jego zafajdana mość pan Jakimowski i jego zafajdana mość pan Satanowski...

Załoga gromko się zaśmiewała. Abdul i Safar minami a gestykulacją uzupełniali błazeństwa szypra.

Jakby nigdy nic, Polacy zeszli na pokład. Mijając zamilkłego nagle Mustafę, Satanowski niespodziewanym ruchem naciągnął mu jębę jego czerwoną chustę, a Marek podstawił nogę. Szyper na rymnął jak długi. Zapadła głucha cisza. Mustafa zerwał się na równe nogi, wyciągnął zza pasa kindżał. Nie jemu jednak mierzyć się z takimi przeciwnikami. Pod,ciosem pięści Marka upadł powtórnie.

Załoga jęła groźnie sunąć ku Polakom. Ci dobyli szabel. Ale Mustafa, który pomyślał, że tylko wysokie znaczenie może dawać Polakom tak wielką pewność siebie, skinieniem ręki powstrzymał majtków, po czym jął swym pogromcom bić salamy przykładając palce do czoła, ust i piersi.

Jakimowski przerwał mu te czołobitności: wziął go za brodę, podniósł do góry jego twarz oblepiona straszonym uśmiezkiem i patrząc złowrogo w przymrużone ślepia wycedził:

- Masz być sprawiedliwy dla wioślarzy przykutych do pojazd pod pokładem! Tak ci jego dostojność zawsze nakazuje. Pomnij! Jeśli będzie inaczej, biada ci!

- Rzekłeś, efendi •— bąknął Mustafa. — Wola dostojnego bega (oby żył wiecznie!) i twoje słowa są dla mnie, robaka, święte.

1 Duneta — wystawka, w rufie statku miejsce dla kapitana.

Nie koniec na tym. Polacy jeszcze pobili kilku dozorców, którzy źle obchodzili się z przykutymi do pojazd niewolnikami. Wtedy kapitan „Ak-Kalkan”, dotąd pozornie obojętny na ich ekscesy, zszedł na brzeg, dosiadł konia i pocwałował do Dar-el-Amirun.

— Zejdźmy natychmiast z galery! — wzywał Uriasz wzburzony. — Jego wspaniałość nie zniesie samowoli wyzwolęńców.

— Ukaraliśmy jeno mierzawców — rzekł Jakimowski.

— Nie macie prawa sądzić ni karać! Chleb was rozbada. Wrócili do Dar-el-Amirun już po el-Asr J.

Stefan, nie czekając na wezwanie bega, wyszedł z domu.

Na krańcu Esbe, w której leżał Dar-el-Amirun, wznosiły się wielkie ruiny starożytnego meczetu, uwikłane w gąszcz samorodnych drzew i krzaków. Zaroślisko to graniczyło z parkiem mudira.

Satanowski przedarł się wskroś gęstwiny do ruin, za czym popsutymi schodkami, spiralnie oplatającymi wewnątrz minaretu, poszczerbionego zębami czasu i klęsk, wspiał się na jego najwyższą galeryjkę. Widać stąd było cały Dar-el-Amirun, całą Esbe i okolice, znaczne połączenie zalewu z kajasami² i łodziami tudzież morze wraz z portem damiatyńskim. Przyglądał się dość długo rozległym polom, zalanym w dużej mierze wodami przyboru nilowego.

Ujrzawszy u stóp meczetu rozglądającą się trwożnie wokół niewiastę, odzianą w długą białą symarę jedwabną i czarną chustę, zbiegł na dół.

— Jesteś, Alimo... — szepnął.

Nie bronila się, kiedy pod chustą, w fałdach lekkiej prążkowanej surah, odnalazł jej ręce i począł je całować. Nie bronila się nawet wówczas, gdy uchyliwszy czewry³, całował usta, policzki, szyję. Oddawała pocałunki, tuliła się doń, szepcząc czułe słowa.

Od powrotu z Ain-el-Faras spotykali się tutaj we wszystkie dni, które miał wolne od wypraw z begiem i zarządcą. Alima odmieniła się, poznawszy smak pocałunku. Śmielsza teraz, zdecydowana, pragnęła pieszczoty, ważyła się na wszystko.

— Podśluchałam rozmowę między moimi rodzicami — rzekła 1 El-Asr (arab.) — południowa modlitwa u muzułmanów. * Kajasa (tur.) — niewielki statek turecki. 3 Czewra (tur.) — zasłona na twarz.

nagle. — Jego wspaniałość na dniach odpływa do Stambułu wraz z wami.

— Znów rozłąka — westchnął.

— Tym razem nie boleję nad nią. Nie dziw się, ukochany. Gdy będziecie w podróży, bej Harun nie zabierze mnie. Aż po powrocie... Jego dostojność zapowiedział, że wtedy będę poślubiona Ha-runowi... Pozostanie mi jeno... zażyć trucizny...

— Ależ nie! — zawołał. — Pozostaje ucieczka! Albo... Wargi jej poczęły drgać, z trudem powstrzymywała płacz.

—'. Przyjmę islam, do nóg padnę twemu ojcu...

Spojrzała na niego jak na bezrozumne dziecko. Wybuchła:

— Mam już osiemnaście lat! Już dawno winnam być zamężna. A wiesz, dlaczego nie jestem? Bo dostojny mój ojciec nie widział odpowiedniego małżonka dla mnie, odrzucał konkurentów, tzeakał na baszę, emira, sułtana. Ninie, gdym już nie pierwszej młodości, przyjmuje beja Haruna.

Słuchał zdumiony. I w Polsce osiemnastoletnie dziewczki nie uchodziły za bardzo młode. Ale jakoś o tym dotąd nie myślał. Miał oto przed sobą istotę uroczą, co tchnie wiośnianą świeżością ciała i ducha. Wprawdzie jej rówieśnice tutaj, w Egipcie, bywały już nieco zawiędłe, zwłaszcza ubogie plebeanki, ale ona — kwiat wypielęgowany wśród przepychu — nie podlegała ogólnym prawom.

- Po powrocie ze Stambułu urządzę ucieczkę. Jeno odważ się. Jeśli nas dosięgnie pościg, zginiemy razem. Ale nie dosięgnie! Z gorszych opresyj ratowaliśmy się z Markiem.

Władał już niezłe językiem tureckim, ale w tak żywej i trudnej rozmowie plątał się, dukał. Długo stał zamyślony, gdy się rozstali.

Dotąd spotkania ich były niemal beztróskim gruchaniem. Dziś okazało się namacalnie, że muszą stoczyć śmiertelną walkę o swoją miłość albo się jej wyrzec.

Marek czekał na Stefana w domu bardzo niecierpliwie.

— Wiem, że miewasz schadzki z Alimą — rzekł poważnie. —

YTT.

A lenes mi wyznać, gdzie. Szukają, zda mi się, Alimy: matka Selim, słudzy. Mógłbym was ostrzec. Na domiar -lada chwila mur wezwie nas na posłuchanie w sprawie lustracji naw w porcie.

— Spotykamy się z Alimą w ruinach meczetu — odparł Stefan. Domyślałem się tego.

23 —

Kawaler złotej ostrogi — A gdzie wy, ty i Fatma?

— O! Nas byś nie zdążył ostrzec! — zaśmiał się szelmowsko Marek. — Jeśli nas wykryją, to amen z nami.

Satanowski nie pytał więcej: domyślał się.

— Popadłszy w pęta —• rzekł — wszystkiego się spodziewałem: harówki, wszelakiej udręki. Nie liczyłem zaś na promocje, a teraz nie liczę na to, że dostanę Alimę.

— Porwiemy ją! — wykrzyknął Marek. — Po powrocie ze Stambułu już nam nikt z pewnością na ręce nie będzie patrzył.

— A jeśli Alima nie zechce?

— Porwiemy ją z wolą jej czy bez woli. Kancelaria mundiriji wystawiła nam, jak mówi pisarz bega, takowe pasporta, że całe imperium osmańskie bez przeszkód możemy przejechać. Jakoż i tak było.

Na posłuchaniu u bega Uriasz wezwany na terdzumana, acz obaj Polacy nieźle już władali językami arabskim i tureckim, pośredniczył jeszcze między stronami.

— Jesteście od dziś nawet formalnie wolni —• oznajmił mudir. Tę oto tezkere J wystawiam, byście swobodnie żyli w naszych krajach i mieli wolną drogę w razie powrotu do ojczyzny. Uriasz przełożył na polski tekst dokumentu, napisany w dwu językach, tureckim i arabskim, po czym odczytał:

Kassim syn Omara, derebey2 Cesarstwa Osmańskiego, mudir Damiatu i Raszidu oraz wszystkiej prowincji Garbieh.

Wiadomo czynię, iż jeniec wojenny, dwadzieścia dziewięć lat życia liczący Marek Jakimowski, nacji polskiej, stanu szlacheckiego, rycerz, w potrzebie cecorskiej roku 1029 Hedzry miesiąca Silkade 3 (Dsu'1-kade) dnia 12 pojmany, a w czyftliku Esbe koło Damiatu jako karawusz zatrudniony, uwolniony przeze mnie został i wolnym jest człowiekiem. Za którym pilnie proszę, aby swobodnie przez wszystkie państwa Wysokiej Porty przebyć mógł za niniejszą tezkere.

Co ręką własną podpisuję i pieczęcią oznaczam.

Tezkere dana w Damiacie dnia 22 miesiąca Szaban 1030 roku Hedzry.

Ręką własną Kassim-beg.

1 Tezkere (arab.-tur.) — świadectwo, dokument.

* Derebey (tur.) — feudał turecki, książę.

* Silkade (tur.) Dsu'1-kade (arab.) — XI miesiąc roku w kalendarzu mah., mający 30 dni.

Taki sam dokument wystawiono Satanowskiemu.

A jednak mudir zazwyczaj tak uprzejmy dla nich od dnia wyzwolenia, dziś okazał się chłodny, a nawet jakby gniewny. Domyślili się, że doniesiono mu o zajściach na „Ak-Kałkan”.

Pomimo to Jakimowski jał mówić o okrucieństwie Mustafy i innych dozorców okrętowych. Twarz bega mierzchła coraz bardziej.

—• Gorąco upraszamy waszą wspinałość — rzekł wreszcie Marek — abyś raczył zmienić szypra na „Ak-Kałkan”, a najwięcej wycieńczonych wioślarzy...

. — Dość — przerwał ponuro Kassim-beg. — Przeciągacie strunę. Winnicie z umiarem korzystać z uprzywilejowanego stanowiska, jakie wam dały wasza uczciwość i męstwo a moja wdzięczność. Proszę, aby nigdy między nami nie było podobnych rozmów.

Jakimowski zagryzł wargi. Opanowały go złe uczucia.

Kassim-beg, jakby je w nim wyczuwając, z abominacją odwrócił odeń głowę i dłuższą chwilę patrzył w okno. Potem, wysłuchawszy uwag o swej flotylli i porównawszy je ze spostrzeżeniami tureckich lustratorów, rzekł z naciskiem:

— Życzę, aby porządki moje na okrętach były ściśle przestrzegane, aby żadnych nie czyniono awantur...

Jakimowski wrzał. Po powrocie na kwaterę wybuchał:

— Jeszcze zatańczę z tym nie chrzczonym mahometą! Nie mogę być niewolnikiem ani potulnym wyzwoleniecem! Gdyby nie ty, ja bym już nie wrócił tu z Europy, ze Sztambułu.

- Wracaj do Polski, ja ostanę: taki mój los — rzekł Stefan.

— Nie! Bez ciebie nie! Wrócimy dopiero we troje z Alimą.

— Jesteś zacny. Ale czemu masz cierpieć przeze mnie?

- I ty nieraz cierpiełeś z mojej przyczyny.

Po odprawie Polaków i Uriasza Kassim-beg przyjął kapitanów swej flotylli, wyższych urzędników mundiriji oraz kupców, którzy również posiadali nawy na morzach. Obsiedli

dywan, kurzyli fajki i nargile. Skarżyli się na piratów algierskich, tuniskich i marokańskich, którzy zagarniali całe koleje naw.

Nasłuchawszy się skarg i zawodzeń Kassim-beg powiedział:

— Moi mili! Mam w służbie dwu kafirów — doświadczonych żeglarzy i żołdatów.

Zamierzam powierzyć im w przyszłości dwie stare galery z kilkunastą dział do zwalczania piratów na szlaku "bijskim. Jeśli okażą się wierni i przydatni, chwała Allahowi:

Jeśli nie, trudno. Mogą uciec, sami powiększyć liczbę rozbójników morskich, szkodzić nam, aliści warto zaryzykować.

Wszystkim te projekty przypadły do gustu. Zaofiarowali składki na odnowienie i zaopatrzenie starych naw bojowych.

Przed wieczorem sekretarz mudira zawiadomił Polaków, że Kassim-beg zarządził wypłynięcie do Sztambułu na pojutrze rano.

Nazajutrz Satanowski niecierpliwie czekał na spotkanie z Alimą, które miało być pożegnalnym.

Do ruin meczetu przyszła zapuchnięta od płaczu.

— Wasz wyjazd wprawdzie oddala ode mnie -beja Haruna — mówiła łkając — aliści ty... tęsknota za tobą... Tyle dni, tygodni, miesięcy! Tak daleko! na końcu świata... Ogromne morze, Wene-cJanie, piraci... O Allah! Allah miłosierny!

— Wrócę i znów będziemy razem. Zawsze! — powiedział żywo. Miał wyjawić zamiar porwania, ale w ostatniej chwili zląkł się, że ją tym wyznaniem spłoszy. — Obronię cię! — zawołał z mocą.

— Jak? Jak, kochany?

•— Sama wszak twierdzisz, że Allah jest najlepszy. •— Tak. Ale czym godna jego dobroci, łaski?

— A któż godnie j szy od ciebie?

Tym i dalszymi wywodami trochę ją uspokoił. Uśmiechnęła się, otarła oczy. A potem, zarzuciwszy mu ręce na szyję, przywarła ustami do jego ust, ciałem do ciała. Trwali tak aż do utraty tchu, do utraty wszelkiego opamiętania... Legli w soczystą, bujną trawę, okraszoną różnobarwnym, kwieciami, na dnie kotlinki otoczonej krzewami.

Gdy po pewnym czasie wstali, mieli w sobie dziwny spokój.

— Jestem ninie całkiem twoja i niczyja więcej nie będę! — rzekła. — Jedź pod opieką Allacha, jeśli nie przeklął nas. Będę czekać... Jeżeli nie wrócisz... — zacięła się — i tak nikt nigdy mnie nie dostanie! —• dokończyła twardo.

Niebawem pożegnała kochanka tkliwie i odeszła.

Z wierzchołka zrujnowanego minaretu patrzył na idącą wskroś dzikiej gęstwy, a potem alejami parku, aż i na niknącą pod arkadami pałacu.

VIII Prawie cały święty miesiąc Ramadan : spędzili w drodze. Muzułmańska załoga kolei Kassim-bega musiała zachowywać codziennie, od wschodu do zachodu słońca, surowe posty. Liczne święta Ramadanu — „Spuszczenie z nieba na ziemię Księgi Abrahamo-wej”, „Spuszczenie Koranu”, „Spuszczenie Tory”, „Spuszczenie Ewangelij” — obchodzili w portach napotykanym wysp lub na otwartym morzu. Oprócz postów, wiele przy tej sposobności było modłów poza namazem. Atoli nocą, gdy posty nie obowiązywały, wierni wyprawiali huczne ucztę. A na tych ucztach i raki 2 nie brakło, albowiem Koran zabrania pić wino, nie wspominając jednak ani słowem o gorzałce.

Po ostatnim święcie ramadanowym pustawe dotąd szlaki morskie ponownie zaroily się nawami zdążającymi do różnych portów ottomańskich, a zwłaszcza do tureckiej „stolicy świata”. Każdy, skoro już -był w podróży, pragnął zdążyć do Sztambułu na trzydniowe święto Wielkiego Bajramu, zamykające posty Ramadanu.

Niedaleko za. Kizil-Adalar 3 majtek Safar z bocianiego gniazda ogłosił swym potężnym głosem:

— Istambu! Istanbul!

Stambuł, położony na wzgórzach nad Białym Morzem, u wejścia do Kanału Morza Czarnego, i nad głęboko wrzynającą się w ląd zatoką Złoty Róg, połyskiwał w słońcu kruszcowymi dachami meczetów i wielkopańskich serajów. Po drugiej stronie tegoż Kanału, już w Azji, leżało miasto Iskudar, uważane za przedmieście „stolicy świata”, spinającej dwa kontynenty. Mury miejskie i ogrody zstępowały z pagórków aż po same wody morskie, rojące się nawami najróżniejszych rodzajów i bander z całego świata.

Kolej Kassima stanęła w przystani koło Aj-Kapu, czyli Świętej Bramy. Beg ze świtą wysiadł na ląd i podmurzem, a potem ową Aj-Kapu wszedł do miasta i zostawiając za sobą Seraj sułtański Pociągnął ulicami na północ.

Znaczna ilość stambulczyków, zwłaszcza biedoty, wyruszyła na Ramadan (arab. i tur.) — IX miesiąc (30 dni) w kalendarzu mah. * Raki (tur.) — wódka. Kizil-Adalar (tur.) — Wyspy Książęce na Morzu Marmara.

Leh muharebe:- zamożni na czas upałów opuścili duszne mury i rozkoszowali się podstołecznymi osiedlami a pobliskimi wyspami.

Kassim-beg zamieszkał we własnej rezydencji, położonej nieopodal siedziby patriarchatu greckiego i pałacu gospodarów mołdawskich, zwanego Bogdan-Seraj. Była to ustronna dzielnica Ke-feli, która wraz z zaniedbaną dzielnicą sąsiednią, Balat, wchodziła w skład greckiej części Stambułu, północno-zachodniej, Fanar. Mudir miał stąd blisko do swego czyftliku sąsiadującego z czyftli-kami sułtańskimi za miastem. Z jednej strony pałacu Kassima roztaczał się widok na Złoty Róg i zakotwiczone w nim nawy, a dalej na lasy i wzgórze oraz dzielnice Kassim-Pasza, Pera, Ga-lata, z drugiej zaś strony — na starożytny Tekfur-Seraj cesarza Konstantym Porfirogenety, na bramy miejskie: Egri-Kapu i dalszą Edirne-Kapu, wiodące za miasto. Komnaty od strony zatoki zajął sam beg ze swymi dwiema niewiastami, które wziął w podróż; trzecią żoną Diną i ulubienicą Chawą. Polaków, Kara Nuruma i Uriasza zakwaterowano w izbach z oknami wychodzącymi na Tekfur-Seraj i obie bramy miejskie.

Mudir bez zwłoki zajął się wyładowaniem towarów na ląd i rozwożeniem do hurtowników i detalistów. Najwięcej kupi przyjął skład towarów egipskich, zwany Misr-Cziarsysy, położony niedaleko Aja-Sofija, dziwnie podobny do krakowskich Sukiennic.

Nazajutrz z samego rana Marek i Stefan pod przewodem Uriasza wypłynęli wynajętym kajakiem na wody Złotego Rogu. Ogrom i ruchliwość portu stambulskiego wzbudzały podziw.

Oplłynęli Kassim-Paszę, Perę, Galatę, miasteczka po drugiej stronie Złotego Rogu, zaliczane do przedmieść Stambułu. Wysiadłszy na ląd, obejrzeni z dala ogromny arsenał i działolejnię w Top-chanie, świątynie chrześcijańskie w Perze i Galacie. Aż i miasto Iskudar na brzegu azjatyckim, aż i wieżę Leandra, starożytną basztę na wysepce Kanału Morza Czarnego. Popłynęli też trochę w głąb Kanału, podziwiając zielone pagórki nadwodne, gaje i doliny, a wśród ich zieleni nieprzerwany po obu stronach ciąg dworków, -pałacyków, wiosek, aż po samo Biiyukdere z jego cudnymi platanami i domkami wypoczynkowymi możnych tego świata.

1 Leh muharebe (tur.) — polska wojna. Oprócz wykwintnych osiedli podstołecznych, kipiało przepychem, zadziwiała pięknem zamieszkałe przez sułtana, wielkich panów, bogatych kupców śródmieście — dzielnica Seraj, biorąca nazwę od siedziby padyszacha. W dalszych dzielnicach natomiast biedota gnieździła się w lepiankach, ruderach, nawet w ruinach. Ciasne, plugawe uliczki wypełniał harmider, brud, nędza, występek. Mieszkali tu przekupnie, rzemieślnicy wędrowni, namiotni-cy, rybacy, powoźnicy, tragarze, wielbłądnicy i bezrobotni, a wreszcie szumowina społeczna —• ludzie różnych wyznań i narodowości. W smrodliwych zaułkach uciekało się przed natarczywością nędzarzy •— sprzedawców, dzieci,

żebraków, nierządnic, oszustów, złodziei •— przed trzodami osłów, mułów, wielbłądów, pędzonymi przez zabiedzonych poganiaczy.

Wszędzie tu przepych graniczył z ruiną, bogactwo z nędzą, piękno ze skrajną brzydotą — jak nigdzie. Albowiem i zbytek tu był większy niż gdziekolwiek, i niedostatek straszniejszy. W ruchu ulicznym uderzał prawie zupełny brak pojazdów. Nawet dygnitarze poruszali się konno, mniejsze znakomitości również i na wielbłądach. Czasem tylko przemknęła karoca zagranicznego dyplomaty albo kryty powóz damy, zaprzężony w konie czy bawoły. Nawet materiały budowlane dźwigały juczne zwierzęta.

Na poznanie ogromnej metropolii potrzeba było długiego czasu. Toteż codziennie zwiedzali i zwiedzali...

Położone na siedmiu wzgórzach miasto otaczały stare mury o kwadratowych basztach, od strony ładu podwójne, od morza pojedyncze, przecięte kilkunastoma bramami.

Na innych, idących środkiem miasta, osiadły wspaniałe budowle, na ostatnim zaś, od północy — zamek Gedikuła o siedmiu wieżach krytych ołowiem, więzienie polityczne dla znanych osób, jak dostojnicy tureccy lub władcy podbitych krajów. Koło tegoż pagórka ciągnął się starożytny akwedukt, zbudowany przez cesarza rzymskiego Konstantyna Wielkiego, a rozbudowany na całe miasto, na różne miejsca publiczne, przez sułtana Solimana Wspaniałego. Z niego wodę brało ponad sześćset fontann, dwieście kilkadziesiąt łaźni w samym mieście i wiele kąpielisk za miastem. Spośród mnóstwa świątyń różnych obrządków •—• meczetów, kościołów, cerkwi, bożnic — wyróżniały się džamije. Aja-Sofija, przerobiona ze starożytnego kościoła greckiego Sw. Zofii, meczet Solimana Wspaniałego i meczet Ahmeda.

— Suleymaniye 1 wszystkie inne fabryki 2 pięknnością przechodzi, prawda? — zachwalał Uriasz. — Patrzcie! A oto medresa 3, w której byłem zofą 4. Ostałbym hafizem, gdyby nie ochota do wojaczki. Umknąłem na wyprawę wojenną do Polski, gdzie popadł w niewolę... Pół wieku z okładem minęło od tamtych czasów...

Suleymaniye, otoczona wieńcem wyniosłych cyprysów, stała przy okazałej, wysadzonej platanami i obudowanej ładnymi serajami ulicy Divanyolu, która przed samą świątynią, spiętrzoną nad nią, rozszerzała się w zadrzewiony plac.

Skręcili z Divanyolu w jedną z bocznych ulic z niewielkim placikiem, przy którym rozsiadł się duży zajazd z podwórcami i wieloma budynkami gospodarczymi, rojny i gwarny, otoczony osiodłanymi końmi i pojazdami wszelkich rodzajów.

Wskazując stojącą nie opodal tegoż placyku potężną kolumnę z czerwonego porfiru, spiętą obręczami, Uriasz rzekł:

— Oto Tavuk Bazar, co się na polskie przekłada Kurzy Targ. A kolumna to Czemberli Tasz, czyli Kolumna z Obręczami. On zajazd to Elczy-Han, co znaczy Zajazd Posłów. Od stu lat bez mała posłowie niektórych państw tu przemieszkują. Polscy także.

Miasto, przygotowujące się do świąt Wielkiego Bajramu, mała .j służba miejska zielenią — domy, pałace, świątynie, ulice, kolumny na placach. Czyniono wszędzie porządki świąteczne, zamiatano, , chędożono zaułki i ulice. Na statkach w porcie zakwitły różno- i barwne flagi, girlandy kwiecica, zielone wieńce.

Wśród placów i rynków wyróżniał się At-Mejdan, czyli Koński Majdan. Od wszystkich ulic bramami i wartami przed publiką -1 zamknięty, służył sułtanowi do zabaw rycerskich.

Miejsce to szcze- '. gólnie dekorowano pod przewodem samego teszrifatczy5 sułtań-skiego. Z jednej strony At-Mejdanu stał piękny, otoczony jawo-' . rami meczet o kilku spiętrzonych jedna nad drugą kopułach i lekkich minaretach, po drugiej — imponujący pałac z arkadami 1 Suleymaniye (tur.) — džamija Sulejmana (Solimana).

2 Fabryka — w jęz. staropolskim znaczyło też: budowla.

3 Medresa (arab.) — uniwersytet muzułmański.

4 Zofa (gr.-tur.) — student.

6 Teszrifatczy (arab.-tur.) — ochmistrz sułt., marszałek dworu.

i dziedzicami rozłożonymi ku morzu. W pośrodku placu przyciągały oko dwa wysokie obeliski kamienne i miedziana kolumna, wyrobiona przemyślnie na kształt trzygłowego smoka.

— Ta piękna dżamija to Ahmediye I, czyli Ałty-Minarely — objaśnił Uriasz. — Tu będą główne uroczystości bajramowe... A ten smok z rozdziawionymi gębami węzowymi: zacna robota, ale diabelska. To czary po Grekach pozostałe. Patrzajcie: jeden z węzów ma pół gęby utraconej. Sam cesarz Mahomet II, kiedy zdobył Stambuł, co się natenczas zwał Konstantynopol, utracił stworze pół gęby, rozumiejąc, że to była rzecz na jakie czarnoksiężstwo uczyniona. Nie wiem, czemu nie zniszczył smoka całkiem.

Nazajutrz przed wschodem słońca Stambuł był już na nogach. Odświętnie odziani ludzie czekali na znak rozpoczęcia Bajramu.

Nagle w sułtańskim Seraju zagrzmiały działa, a odpowiedziały im baterie Topchany.

Na ten sygnał Kassim-beg i jego świta udali się do siedziby padyszacha. Ze wszech stron ciągnęli tam dostojnicy z orszakami, by złożyć życzenia świąteczne trzynastoletniemu Amuradowi, bratu sułtana Osmana II. Zwykle takie życzenia odbiera sam pady-szach. Ale pod jego nieobecność zastępuje go niepozorny chłopiec, o którego okrucieństwie fama stugębna roznosi niesłychane wieści. Amurad ma opiekła buzię, lecz zetknięcie z nim niewytłuma-czenie przeraża nawet najśmielszych wojowników.

Przybyły też z Eski-Seraju 3 niewiasty poprzednich sułtanów oraz te, które oddalił od siebie i tam zakwaterował obecny młodociany władca. Dostojnicy ustawili się rzędami. Tron stał w sali audiencjonalnej pusty. Obok na szczerozłotym krześle, wysadzonym klejnotami, spoczywał książę Amurad. Koło niego stał czujny teszrifatczy. Damy i panowie podchodzili do księcia z życzeniami.

— Niech płyną szczęśliwe dni wielkiego padyszacha! - Niech płyną szczęśliwe dni waszej książęcej mości!

Amurad z kamienną twarzą przyjmował życzenia i hołdy, nieruchomy, wpatrzony w jeden punkt. Nie odpowiadał. Czasem 1 Ahmediye (tur.) — dżamija Ahmeda (sułtana Ahmeda I, 1603—1617).

2 Mahomet II — sułtan tur. (1451—1481); położył kres Cesarstwu Bizantyjskiemu zdobyciem Konstantynopola w r. 1453.

3 Eski-Seraj (tur.) — Stary Seraj, mieszkanie kobiet poprzednich sułtanów, zajmujące osobny pałac.

tylko teszrifatczy zwrócił się do kogoś z cichą, krótką wypowiedzią. Wielu dostojników otrzymało już przed świętami zaproszenie na poczęstunek u książęcego stołu. Teraz teszrifatczy je ponawiał. Mimo nieobecności sułtana postanowiono zwyczajowo, jak co rok, odznaczyć szesnastu dygnitarzy sobolowymi futrami.

Kassim-beg łudził się daremnie: nie otrzymał zaproszenia ani przed świętami, ani teraz. Mogło to oznaczać zagrożenie turbanu mudirskiego, a przynajmniej — koniec awansów. Wyszedł z Seraju zgębiony. Pocięchą było tylko dopuszczenie go do nabożeństwa w Ałty-Minarely, gdzie zebrało się mnóstwo dostojników.

At-Mejdan otwarty dziś był dla śmietanki. Na krótkiej trasie od siedziby sułtańskiej zgromadziły się tłumy żądne widoku niedostępnych wielmożów i zwyczajowych „niespodzianek”.

Po przyjęciu hołdów książę Amurad podążył do meczetu Ahme-da na At-Mejdan, gdzie tradycyjnie sułtanowie odprawiają baj-ramowe modły. Podczas przejazdu czerpał garściami pieniądze ze szkatuł wiezionych przez skarbników i ze swoim niesamowitym uśmieszkiem rzucał je pod nogi tłumów oddzielonych od trasy kordonami wojska. Po półgodzinnej modlitwie w Ahmediye wrócił tą samą drogą, powtarzając sypanie tłumom pieniędzy. Po nakazanych modłach lud ucztował i odpoczywał.

Mimo wścibstwa szpiegów sejbaszy 2 wydziwiano powszechnie, że sułtan toleruje swego braciszka. Wszak Amurad może zagrozić jego panowaniu. Przy stołach biesiadnych wspominano, jak to Selim I wymordował braci i ojca dla zapewnienia sobie władzy, jak Amurad III uczynił to samo z pięcioma braćmi, jak Mahomet III kazał po wstąpieniu na tron zabić dziewiętnastu braci i utopić dziesięć brzemiennych żon ojca, tegoż Amurada III, jak nawet mufti, człek natchniony duchem Allacha, uważa, iż sułtan winien wszelkimi środkami chronić swą koronę przed samą możliwością zakusów... A do tych zgoła nie biesiadnych materyj dodawano wieści o morderczej wojnie z Lehistanem, nieudolnie jakoby prowadzonej. Po świętach Uriasza odwiedził stary znajomek Aram, właściciel małego ogrodu w sąsiedniej dzielnicy Balat.

1 Futra te mają znaczenie orderów.

2 Sejbasza (tur.) — wielki sędzia, nadzorca więzień.

3 Mufti (arab.) —• najwyższy kapłan muzułm. w Turcji.

— Ciężka moja dola! — narzekał, nie skrępowany obecnością Marka i Stefana. — Allach zważył grzechy sprawiedliwie i nie pobłogosławił, bo snadź źle w boskim beracie 1 wyszło. — Zali tak bardzo grzeszyłeś, Aramie?

— A tak wiele trzeba, by się narazić Allachowi?... Przemarsze na mieście. Wojsko powoli wraca z pola chwały, które mu wyznaczył padyszach (oby żył wiecznie! kędy chce: tu czy w raj). Ponoć jasyr z krajów niewiernych wzięło. No, pędzę na rynek niewolników! Biedny ja, żony mi jeno dwie stare, do roboty niezdatne, a żarłoczne i swarliwe, ostały, nie ma komu pracować, człek ledwie się z woli Miłosiernego rusza. Może taniego karawusza Allach poszczęści kupić do pracy w ogrodzie. Nagoniono ich znowu i pod Kuczuk-Bezestan, i do Galaty, i ponoć nawet do Eski-Bazar.

Aram chytrze łypnął przygasłymi oczyma na Uriasza.

— Ale mało mam pieniędzy. Więc jak sobie dolę poprawić?

•— Pożyczę ci ze dwadzieścia ałtynów — zaofiarował Uriasz.

•— Zawdyś był szlachetny ponad zwykłą miarę. O, niech ci Allach błogosławi! O, niech ci Prorok ozłoci drogi żywota! Nie zasłużyłem na przyjaźń tak wielkiego człowieka. Dzięki! dzięki!

Po wyjściu Arama Polacy zapragnęli zobaczyć na targowicach nieszczęsny jasyr. Poszli. Eski-Bazar był wielkim targowiskiem starzyzny, na którym sprzedawano w niezliczonych kramach broń, materie, ubiory, sprzęty. Ponieważ tu nie zastali już niewolników, poszli dalej. Biiyuk-Bezestan był ogromną halą targową, otoczoną murem na dwa sążnie grubym i zasklepionym, z czworgiem wielkich podwoi. Sklepienie owo wspierało się na dwudziestu czterech czworogrannych potężnych filarach kamiennych z wyrobionymi pięknie kapitelami. Kramy przy murze, zastawione almariami, pełne były drogocennych materyj, kurdybanów, sreber, kryształów, porcelany, fajansów. Umieszczone koło filarów gioiellerie 2 olśniewały klejnotami najwyszukańszej roboty. Ogrom zdobionych malowidłami i rzeźbami ścian a sklepień, nagromadzone skarby, bogactwo kupców i klienteli —• wszystko to czyniło 'wrażenie oszołamiające.

1 Berat (tur.) — dyplom nadania godności, przywileju; dokument; tu w żartobliwej przenośni.

2 Gioielleria (wł.) — sklep jubilerski; sztuka jubilerska.

Kuczuk-Bezestan był mniejszy, ale też jeszcze nader wielki. Miał również czworo podwoi wejściowych. Skromniejszy, o sklepieniu wspartym na szesnastu filarach, zawierał kramy z pospolitą kupią, jak bawełnice, jedwabnice, płótna. Atoli targowica ta posiadała pewną wstrząsającą osobliwość: na zewnątrz dokoła — targ niewolników.

W jednakowych przedziałach dostawionych rzędem do muru, jakby kłatkach otwartych z jednej strony i okratowanych, przebywali niewolnicy płci oboje j, różnego wieku i narodowości, zawsze jednak młodzi. A więc dzieci, pacholęta i młodzieńcy, niewiasty i

dziewczęta. Jedni siedzieli zamknięci w owych kleciach, drudzy stali skuci wśród drzew na placu. Kupcy i ich najemna straż z biczami i bronią w ręku strzegli „towaru” a porządku. Po chodnikach wzdłuż klatek stąpali wolno ci, którzy oglądali niewolników.

Sprzedawcy nurkowali w tłumie przechodniów i gapiów. Natrętnie zachwalając swą żywą kupię, ciągnęli ludzi za ubranie do klatek i gromad pod drzewami, odkrywali wdzięki wystawionych na sprzedaż kobiet, pokazywali zęby i muskuły mężczyzn. Jedni niewolnicy płakali lub tępo milczeli. Inni znosili spokojnie swój los. Znaleźli się też tacy, co z niesamowitą nonszalancją sami siebie zachwalali, śmiali się do przechodniów, podśpiewywali, stroili zachęcające miny: chyba zrodzeni w pętach czy od dzieciństwa do nich nawykli. Rozpacz mieszała się tutaj z upodleniem, godność z bezwstydem. Targowica rozbrzmiewała swarami, krzykiem, płaczem, wyrzekaniem, śmiechem...

Co i raz panowało poruszenie wśród kupców, bo z miasta przybywały w kajdanach gromadki niewolników — białych, żółtych, czarnych. Zdarzało się, że byli to chłopcy dziesięcio-dwunastoletni, którzy ledwie mogli udźwignąć żelazne okowy.

Niektóre urodzive niewolnice kokietowały przechodniów, obnażały się pokuśnie, namawiały, błagały lub natarczywie żądały, aby je kupić. Czasem zyskiwały w ten sposób nabywcę.

Jakiś kupiec podprowadził do Polaków i Uriasza kilka białych i czarnych niewolnic w powłóczystych szatach, bez jaszma-ków.

— Po sto pięćdziesiąt piastrow za białe, po siedemdziesiąt pięć za czarne — rekomendował.

— Białe piękne perły! klejnoty nie oszacowane! Jakie usta, jakie piersi, łono! A czarne: kibić tancerki, ogień w żyłach, miód w sercu! I służba, i rozkosz! pociecha na dni przyszłe! Kto kupi? kto kupi? Popatrzcie, efendi, popatrzcie! To przecie nic nie kosztuje.

— Odejdź — odsunął go Uriasz. — Czegoś odmiennego szukamy.

Kupiec już upatrzył sobie kogoś innego i do niego wołał:

— Perła! klejnot! Oto ona, efendi! Racz spojrzeć!

Jakiś stary Turczyn w wyświechtanym chałacie, przyjrząwszy się jednej z białych niewolnic, począł obmacywać jej twarz, zęby, ramiona, piersi, brzuch, uda... To samo uczynił z czarną Nubijką. Długo potem targował się o nie z kupcem...

Polacy i Uriasz poszli dalej, nie czekając końca transakcji.

— Wśród handlarzy niewolników zdarzają się esirdzi! — mówił Uriasz. — Na ogół to chciwcy i podlece. Ale bywają tacy, nieliczni, co swój proceder z miłosierdzia uprawiają: skupują brańców i bez zysku odprzedają redempcyjnym 2 wyprawom trynitarzy 3.

Gdzieś wynikło srogie zamieszanie. Oto dotychczasowy właściciel oddzielał siłą dziecko od matki, którą kupił ktoś samą. Niewiasta wyła z rozpacz i nie pozwoliła oderwać się od wrzeszczącej dzieciny. Wleczono ją po ziemi, dziecku zatykano dłońmi usta. Kupujący już rezygnował z kupna. Albowiem pojawili się trzej duchowni katoliccy w wielkich płaskich kapeluszach i w białych habitach z krzyżami — o jednym ramieniu czerwonym, drugim niebieskim — na piersiach. Byli to> mnisi z zakonu trynitarzy, trudniącego się redempcją niewolników chrześcijańskich z rąk muzułmanów. Towarzyszyli im dwaj mihmanderowie 4 — przedstawiciele muchtara stambulskiego i Dywanu 6 — oraz dwaj strażnicy miejscy.

Mnisi zajęli się kobietą z dzieckiem i kilkorgiem innych nie1 Esirdzi (arab.-tur.) — Turek skupujący niewolników chrześcijan, aby następnie sprzedać ich wyprawom redempcyjnym.

8 Redempcją (łac.) — odkupienie z niewoli, z zastawu.

3 Trynitarze — zakon Sw. Trójcy, założony w 1198 r., mający na celu wykupywanie jeńców z niewoli tureckiej; do Polski sprowadzeni w r. 1685.

4 Mihmander (pers.-tur.) — turecki urzędnik państwowy, towarzyszący obcym dyplomatom i innym gościom władz tureckich.

5 Muchtar (tur.) — burmistrz, wójt.

B Dywan (tur.) — rada państwa, rada sułtana.

wolników, szczególnie pokrzywdzonych. Ale głównym ich zadaniem było wyszukiwanie a wykup jeńców zatrudnionych od lat w zapadłych zakątkach państwa tureckiego. Polaków tak podnieciła redempcja, że wykupili troje rodaków i oddali ich w opiekę trynitarzy. Uriasza wzruszyła nawet ta poczciwość, ale mówił co innego:

— Postąpiliście po bożemu. Musielibyście jednak mieć tyle pieniędzy, co sam padyszach, dopiero wasze wykupno przyniosłoby widoczne skutki. Wydaliście swoje liche aspry1, a niedola ostała.

— Bodaj jednej duszy pomóc!

— Winniśmy dziękować Bogu, jak mówi Uriasz, za dobry los — rzekł potem w domu Marek. — Ale on tak gwoli tego, byśmy muzułmańskie bałwochwalstwo przyjęli, proboszcz czarci! Tak mu na duszach naszych zależy, by nie osiągnęły zbawienia.

—• Krzywdzisz go. Robi to z pobożności i przyjaźni dla nas. •—• Z pobożności? Że do księżycy niby pies wyje?

— Wszak muzułmanie wierzą w tego samego Boga, co my.

— Ty równasz naszą świętą wiarę z ich gusłami? Uriasz? Ot, zwykły mahometa, co bije czołem przed bałwanami, i nic więcej. Ja go nawet i nawidzę. Ale gdy wspomnę, że czyha na dusze nasze, to mnie omal grom nie ubije.

Po tych słowach Marek długo milczał, zanim rzekł znowu:

— Z takim gniewem odjechałem z domu! A cóż winna matka? A i ojcu gdym z daleka, wszystko zapominam. Bo gniew jego też chwilami pojmuję... Szlachcic nie może uznać zalotów, które...

— Przestań! — nasrożył się Satanowski.

— Ty tego nie rozumiesz, bo was, arian, herezja otumaniała...

— Nigdy nie godzimy się w tej materii. Poniechajmy więc. Jeno powtórzę: wszyscy są bracia i jednak dzieci u Boga.

Codziennie chodzili na targi niewolników nie mogąc opanować bolesnej ciekawości.

Stambuł bombardowały rozmaite wieści znad Dniestru, z the-atrum wojny. Nie wątpiono w zwycięstwo. Bo z padyszachem pomaszzerowało na znużony długoletnim zmaganiem z innymi potęgami Lehistan 300 000 wojska! Żaden inny monarcha nie może 1 Asper (tur.) — najdrobniejsza moneta turecka; 124 asperów równa się 1 piastrowi; w pół. XVII w. 1 asper = 1 grosz polski.

nawet marzyć o takiej armii. Rzeczpospolita ma na domiar wojnę ze Szwecją. A jednak krążyła cicha wieść, iż padyszach został upokorzony, a o Chocim rozbiła się jego ambicja i potęga.

Marek i Stefan żyli tymi wieściami. Z napotkanymi Polakami czy poturczeńcami polskimi przegadywali całe godziny o Polsce, o Chocimiu i Chodkiewiczu.

Nad wszystkie w końcu pogłoski wybiła się jedna: że po zniszczeniu bastionu chocimskiego Rzeczpospolita przestała istnieć. Jakby na jej potwierdzenie część wojsk tureckich powróciła pod Stambuł, wiodąc gromadki jeńców, niewielkie co prawda, ale jednak. Na rynku niewolników w Kuczuk-Bezestan zaczęło brakować miejsca, bo jasyru tatarskiego trochę przyszło. W dodatku Stambuł jął gotować się do przyjęcia padyszacha wracającego z wojny. Dekorowano ulice i domy oraz port i zakotwiczone w nim nawy, budowano bramy triumfalne. Na domiar po pierwszych oddziałach napływały pod stolicę nieprzerwanie wojska znad Dniestru.

Marek i Stefan popadli w przygnębienie. Nadzieje i plany traciły wszelki sens.

Uriasz potrafił uszanować ich cierpienie. Chciał je nawet jakoś rozproszyć, natchnąć swych polskich przyjaciół siłą.

Przyszedł raz do nich z pogłoską, która wciskała się między wieści o zagładzie Rzeczypospolitej.

— Jeszcze raz miłosierny Allach oszczędził Lehistan. •— Co ty gadasz, człowieku?

—• Ano, słyszałem rozmowę naszego dostojnego pana z jego wspaniałością defterdarem I: pono tylko patrzeć pokoju z Lehi-stanem, który tak potężnie stawał, że obronił się przed naszymi.

- O Jezu! O Jezus—Maryja—Józef!

Szarpali go za ramiona, doświadczali się stokrotnie.

— Zali to prawda? Jak to było? Mów! opowiadaj!

•— A bom to ja seraskier 2 albo inny radżul³, żebym wiedział! •—• Wszak podsłuchiwałeś!

•—• huknął Marek. —• Nie łżesz aby? Uriasz popatrzył nań z niesmakiem i rzekł:

- Z ciebie polityk jako z wielbłądnika z Galaty.

1 Defterdar (pers.) — podskarbi.

1 Seraskier (pers.) — naczelny wódz.

1 Radżul (arab.) — dygnitarz.

Szczęśna wieść miewa moc życiodajną. Podniosła Polaków na nogi, podsunęła im rozumowanie przeciwne dotychczasowemu:

— Przecie siedemdziesiąt tysięcy wojska to potęga!

— A pan Chodkiewicz za drugą armię stanie.

— Głupota myśleć, że od jednego ciosu, na Cecorze, takowa potencja, jako Rzeczpospolita, mogłaby zginąć.

;— Pójdźmy jako co dzień na rynek niewolników — zaproponował Satanowski. — Smutne to miejsce, ale jakoś ciągnie człowieka.

— Co tam, synkowie, umartwiać się widokiem niedoli! — zaproponował Uriasz. —

Chodźmy lepiej na mejdan przed dżamiją sułtana Bajazeda. Prawdziwa tam uciecha!

Skoczkowie, kuglarze, komedianci, cierletani wszelakiej maści figle swoje wyprawują, co kto

umie. Popatrzysz na takowych ptaków bożych, człek poczuje się niby po ożywczej kąpieli.

A także i muzyki przedniej można tam posłuchać, i śpiewu, i tańca misternego napatrzyć.

Jakoż i prawdę mówił Uriasz o mejdanie Bajazeda.

Syryjscy komedianci cudnie tu śpiewali zawodliwe, smętne pieśni z Palmyry. Anatolczycy

j<rali na obojach i strunowych instrumentach przedziwnego kształtu a dźwięku. Jakowaś

brązowolica niewiasta bez jaszma i w przezroczystych szatach tańczyła tak wyraziście,

jakby żywym słowem opowiadała. A gdy spod płótna budy komedianckiej wyfrunęło

różnobarwne stadko lekkich jak ptaki dziewcząt i rozwinęło wokół brązowolicej niewiasty

czarodziejskie płasy, zdawało się zachwyconej gawiedzi, że pokazują rozkosze Al-Dżainat.

Ale i grubszej uciechy nie brakło. Tutaj odziany na wytwornego beja osobnik z turbanu, do

którego uprzednio włożył kamień, wypuszczał gołębie. Tam Hindus połykał ogień z

płonącego kwacza. Ówdzie cierletan przebijał się mieczem na wylot, a potem uśmiechnięty,

cały i zdrów, zbierał datki od widzów. Nubijka, smukła jak topola, zwiјаła się w kłębek, a

głowę wysadziwszy tyłem między nogami, jakby nieludzką była stwora. Olbrzym jakiś łamał

podkowy, przerąbywał jataganem kowadło, podnosił belkę obciążoną tuzinem tęgich

uliczników.

Sztuk było co niemiara, a gorączkowy zachwyty widzów wyrażał się nieopisanym zgiełkiem i hojnością.

Ale w końcu Uriasz i Polacy podążyli na targi niewolników.

Eski-Bazal i obydwaj Bezestany a także liczne dziedzińce koło meczetów zapchane były

jasyrem z Polski, Siedmiogrodu, Wołoszy Moskwy. Albowiem i spahia sułtańska, i Tatarzy

zagony dalekie zapuszczali w kraje nie tylko nieprzyjacielskie, ale też w neutralne, a nawet

sojusznicze i podległe, nie bacząc na układy ni prawa międzynarodowe. Na równinie Daud-

Pasza natomiast i w Topchanie kwaterowały garstki jeńców wojskowych, żołnierzy z armii

hetmana Chodkiewicza.

Polaków, ledwie wrócili do domu, wezwał do siebie Kassim-beg. Towarzyszyli mu Kara

Nurum i podskarbi damiatyński Hamid.

— Wojna między Turcją a Lehistanem została ukończona traktatem, który zawdzięczacie dzielności swoich wojsk, jeniuszowi hetmana Chodkiewicza i wspaniałomyślności naszego monarchy, pana królów (oby żył wiecznie w szczęściu i chwale!) — powiedział.

— Boże! Boże! — nie mogli powstrzymać szczęsnego okrzyku.

— Tymczasem wraz z Hamidem i Nurumem zakupicie mi trochę niewolników. A oto ferman 1 Dywanu i tezkere komendanta obozu na Daud-Pasza: otrzymacie na te dokumenty dwunastu jeńców wojennych spośród żołdatów wziętych w niewolę pod Chocimiem. Jeśli przystaniecie na dalszą służbę u mnie, tych dwunastu jeńców przyuczycie na żeglarzy, którzy będą obsługiwać tom-bazy.

Polacy wrócili na kwaterę wstrząśnięci szczęśliwą wieścią.

— Już bym biegał do Polski! — gorączkował się Marek.

— Bieżaj! Ja ostanę — odparł Satanowski.

— Pożałujesz tego! Wojna skończona, Rzeczpospolita nie tak daleko, akt uwolnienia w kalecie. Nie drażnij losu, nie nadużywaj cierpliwości Boga, bo jej może zabraknąć! Opamiętaj się!

Satanowski długo ważył w sobie odpowiedź.

— Wracaj, Marku, do Polski — rzekł wreszcie bez pretensji. — Nie będę ci miał tego za złe. Każdemu, okazuje się w końcu, inna droga pisana. Sądziłem zrazu, że iście pragniesz przy wysokiej od bega lafie zbożacie i dopiero wrócić doma. Dlatego zgodziłem się, byś ostał przy mnie. Ale skoro inak zamierzasz, żądam, byś odszedł. Bo pomyśl: może się wszystko odmieni i łaskawość bega 1 Ferman, firman (pers.) — rozkaz, zarządzenie sułtana lub Dywanu. 24 — Kawaler złotej ostrogi

o G q minie, może wybuchnie nowa z Rzeczpospolitą wojna i nienawiść Turków do Polaków wzrośnie jak nigdy...

— Ostanę z tobą! — rzekł twardo Jakimowski.

Teraz pewne się już stało, że od tej decyzji odwołania nie ma. Bo u Marka wola żelazna, postanowienia niezłomne.

— Chcę zbożacie, chcę poznać obce kraje i języki, chcę być z tobą — rzekł znowu. — Przyjdzie czas, wrócimy doma. No, nie ma o czym dumać! Musimy przede wszystkim z Alimą załatwić...

Wymowny Satanowski nie miał słów na wyrażenie swych uczuć.

Wkrótce wraz z Hamidem i Kara Nurumem, zaopatrzeni w dokumenty i pieniądze, z eskortą semenów udali się konno w zleconej przez bega misji.

Kupno niewolników w Kuczuk-Bezestan zabrało wiele czasu. Podczas gdy Hamid i Nurum wybierali najzdrowszych, Polacy chcieli kupować ludzi najbardziej sponiewieranych niewolą, a to w nadziei, że odżyją w nie najgorszych rękach mudira.

•— Gdy wrócę do Polski •— roił Marek — poświęcę wiele na redempcję brańców bisurmańskich. Pójdę bodaj do samego króla, na sejmie stanę, aby przedstawić dolę tych, co walczyli za ojczyznę, i tych, których dosięgną! arkan tatarski.

Zakupiwszy określoną liczbę niewolników, których cena spadła ostatnio, odesłali ich pod eskortą do pałacu. Sami zaś z resztą semenów pojechali przez Edirne-Kapu na płaszczyznę Daud-Pa-sza, gdzie obozowały wojska i jeńcy wojenni.

Obozowisko zatłoczone było wojskiem, ale jeńców polskich stacjonowało tu bardzo niewiele. Oficer służbowy obozu, przejrzawszy dokumenty wysłańców bega, którzy ledwo przedarli się przez sieć wart i patroli, rzekł:

•—• Ferman prześwietnego Dywanu i tezkere dostojnego pana są dla mnie święte. Aliści muszę wyznać, iż jeńców prawie wcale nie mamy. Bo skąd, efendi? Okrutna potęga lehicka była pod Chocimiem. Nikt się takowej nie spodziewał po cecorskiej potrzebie. Wybaczenie, efendi (oby mi ozór sparszał, jeśli mówię coś niestosownego!), aleśmy omal tej wojny nie

przebrali. O Allah przenajświętszy! Ilu wiernych poszło do Al-Dżainat, zanim Gehenna pochłonęła tego wściekłego tygrysa, Chodkiewicza!

— A więc Chodkiewicz poległ od naszej szabli? —• zdumiał się Hamid zdezorientowany sprzecznymi wieściami.

—Allah nie dał tej sławy żadnemu z wiernych, jeno sam skrócił życie giaura, bluźniącego nie tylko muzułmanom, pady-szachowi, ale i jemu samemu!

Szałas jeńców otoczony był drutem kolczastym i muszkietera-mi. Siedziało przed nim na szarzejącej już jesienno i wydeptanej trawie kilkudziesięciu nieboraków — przygnębionych, bosych, za-rostych, w złachmanionych uniformach.

— Okrutnie zmarnowani — ocenił Marek, gdy stanęli przed odrutowaniem. — Tak się poganin mści za cięgi, jakie dostał.

Wśród jeńców Polacy rozróżniali husarzy, arkebuzerów, rajtarów, piechurów, kozaków —• barwy i oznaki.

— Jest ich tu, powiedzmy, stu — mówił Satanowski. — Liczyć po sto piasstrów. Za kilka miesięcy moglibyśmy mieć tyle przy takiej lafie, jaką nam bęg wypłaca.

— Gdyby na nas czekali, trawa by na nich wyrosła — burknął Marek. — Trzeba ninie wybrać dwunastu i koniec. Psiakrew!

Na rozkaz oficera służbowego warta otworzyła wrota ogrodzenia i wpuściła do wnętrza wysłanników Kassim-bega. Zabrzmiały komendy. Jeńcy powstali. Oficer utworzył z nich dwa szeregi oddalone od siebie o kilka kroków, by łatwo było między nimi przejść.

Hamid i Nurum spacerowali między szeregami taksując każdą twarz i postać nawykłymi już do tego oczyma. Marek i Stefan zaś, wzruszeni niedolą rodaków, obrzucani przez nich wrogimi spojrzeniami, stali u wrót. Nie chcieli zrazu dać się poznać jeńcom, by uniknąć ich błagań o pomoc, którym by nie mogli przecież uczynić zadość. Z natężeniem wpatrywali się w zbiedzone, szare twarze.

Nagle Stefan jęknął, jakby go coś ugodziło do głębi:

— Chryste!

— Co ci? — zatrwożył się Jakimowski. Stefan przełknął ślinę i wy bąkał wreszcie:

• Patrzaj... tam... W drugim szeregu! Trzeci z lewa!

Trzeci? Raz, dwa trzy... — liczył Marek, a urwawszy nagle, wpatrzył się w wyniosłego niby sosna rajtara polskiego. — Na a*iy Ukrzyżowanego! — wycedził wzburzony, za czym spojrział w zmienione lica Satanowskiego. — Czyń coś! Czyń coś! Ja przecie po tym, co w Jołtuszkowie, nie mogę...

Rajtar także ich dostrzegł. Wybladła od jenieckiej nędzy jego twarz poczerwieniała tak, jakby miała zalać się krwią. Nagłym ruchem odwrócił się od Polaków ubranych po turecku.

Satanowski już opanował wzruszenie. Zostawiwszy Marka u wrót, podszedł do Hamida i Nuruma i wskazał wysokiego jeńca.

— Weźcie tego rajtara, efendi —• zalecił.

—• Dłaczego? — syptał Hamid.

•—• Jaka postura! I wiem, że majtek, jakich szukamy.

— Majtek rajtarem? Lehistan trzymałby takich w rajtarii? •— Bierz, efendi, choćby dlatego, że chłop jak dąb.

Nurum przytaknął upodobawszy sobie w chwackim rajtarze. Przechodzili właśnie koło rzeczonoego jeńca. Hamid i Nurum minęli go. Natomiast Satanowski stanął i spojrział mu w oczy.

— Nie waż się, bisurmanie, czynić szacherek z moją osobą! — zgrzytnął rajtar. —

Nienawidzę was!

— Bracie! — szepnął roztrzęsionym głosem Stefan.

— Precz! Wolę zdychać z głodu niż truć się waszą kompanią! Słyszając ten dziwny zatarg jeńcy odsunęli się od rajtara, zatrwożeni buntem wobec człowieka, którego uważali za Turka.

— Ja ciebie uratuję, Janie — obiecał Satanowski.

— Precz! Ostrzegam: jeśli nie odejdziesz, rzucę się na ciebie, przędą wężyku, na was wszystkich i zginę!

— Ja ci wszystko wyjaśnię, drogi bracie.

— Nie potrzebuję żadnych wyjaśnień.

Satanowski odszedł szybko do Hamida i Nuruma. Zamieniwszy z nimi parę słów, skierował kroki do Marka. Po drodze przystanął znowu przed Janem Stołczyzną i rzekł:

— Nie chcesz z nami, będziesz z Turkami. Trudno.

— Wolę bodaj z Lucyferem!

Stefan wrócił spiesznie do rozgorączkowanego Marka.

— Wracamy obaj do domu. Czemu, dowiesz się później. Za ogrodzeniem dosiedli koni i wrócili do miasta.

Stambuł już jutro miał witać sułtana, który wracał z przegranej wojny udając zwycięzcę. Jednocześnie szykowano się do dwudniowego święta, zwanego Ofiarny Bajram.

Powrót padyszacha poprzedzały teraz tylko czarne wieści. A to, że Polacy urządzili pod Chocimiem istną rzeź wojsk sułtańskich i teraz jeno rozbitkowie wracają. A to, że świetne dotąd pułki ianczarów zawiodły haniebnie, więc sułtan w drodze łby ścina ich dowódcom. A to, że młody monarcha, uległszy łatwowiernie statystom- moskiewskim, niderlandzkim, szwedzkim i innym, pod-iał tę wojnę, teraz zaś mimo niepowodzeń ma jeszcze za poduszczeniem intrygantów poprowadzić armię na nowe boje z cesarzem. A to, że Lehistan razem z Austrią sprzysięgły się na zgubę Półksiężycy. Aż i o zdradzie mówiono, aż i o nieudolności „syna Proroaka”, aż i o niepowodzeniach w zawieszanej niedawno wojnie z Persją, aż i o karze Allacha wreszcie...

Przy powszechnym wzburzeniu gotowano triumf dla pokonanych wodzów.

Stołczyzną zdumiewał się i niepokoił, gdy po wymarszu z obozu i wejściu do miasta oddzielono go od reszty jeńców i zaprowadzono do pięknego pałacyku. Tutaj kazano mu się wykapać w łaźni, a ochędżonego i ogolonego, z przyszczyżoną brodą i włosami, ubrano w podobną semeńskiej barwę. Powoli dorozumiewał się. Twardy gniew i upór zajęły miejsce zdumienia i obawy. Z właściwą sobie zapalczywością obmyślał jakiś niezwykły hazard. Wprowadzony do komnaty, spostrzegł oparty o sofę, jakby zapomniany jatagan. Usiadł przy nim, by mieć go pod ręką.

Skrzypnęły nagle drzwi, wszedł Satanowski.

Jan zerwał się z jataganem w rękę, ale pozostał przy sofie. Gdyby miał przed sobą Marka, nie wiadomo, co by nastąpiło. Widok łagodnej twarzy Stefana rozbroił go.

— Janie, usiądźmy, porozmawiamy —• rzekł Satanowski. Stołczyzną jakoś bezwolnie usiadł na sofie. Milczał z oczyma wbitymi w dywan zaścielający podłogę. Satanowski usiadł naprzeciw niego. Nie od razu zdobył się na słowa.

— Bracie, jakim szczęśliw, że cię znowu widzę w zdrowiu! — powiedział wreszcie z uczuciem. — Dłaczegoś zapomniał o naszym ślubnym braterstwie?

— Nie wymawiaj tych wyrazów! — warknął Jan. — Nie ma braterstwa między ogniem a wodą. Nie ma braterstwa między plebejem a szlachcicem. Nie rna i nie powinno być!

- Ale może być braterstwo między ludźmi, między żołdatami, którzy wspólnie przelewali krew za króla i ojczyznę, których śmiertelny trud żołnierski uczył prawdy, że jeno cnota i zasługa wywyższają jednych nad drugich. Krew ta kiedyś nas połączyła i, daj Bóg, znowu połączy nas na jakowymś pobojuwisku.

— Wszystko puste słowa jednego arianina. Prawda jest inna. Każesz mi nadal walczyć za króla i ojczyznę. A przecie to nie mój król i nie moja ojczyzna. Powiadają nawet panowie, że my, włościanie, zgoła nie ciało, nie członki Rzeczypospolitej. Od czasu, kiedym was opuścił, poznałem wiele, na co kiedyś bezwiednie zamykałem oczy. Jeślim na chocimską poszedł wyprawę, to jeno dlatego, żeby ból zagłuszyć, może zginać, może zapomnieć... Piecze, piecze

rana zadana przez swojego, rodaka, piecze bardziej niż niewola bisurmańska. Ninie zamierzacie wystroić ze mnie jako-wąs kukłę dla niewiadomych mi celów, może dla zabawy. Nie chcę tego! Puśćcie mnie! Każdy niech idzie swoją drogą...

— Jeśli nawet sądzisz świat podłym, to uwierz jednak, żeśmy obaj z Markiem sprawiedliwi przynajmniej względem ciebie, że cię miłujemy i pragniemy odnowienia naszych ślubów braterskich.

— Ja ci przedstawię prawdę — obiecał Stołczyzna.

Zadumał się, skupił bolesne wspomnienia i gorzkimi słowy, z afektacją opowiedział historię doznanej w Jołtuszkowie krzywdy.

— Nienawidzę ich! — kończył. — Tym więcej, że nie miałem w sobie mocy zniszczyć podłego gniazda. Pomsta zapiekła się we mnie i nie mogła wybuchnąć. A ninie i jej już chyba nie ma, jeno jakowyś dziwny afekt, którego nazwać nie potrafię...

— Podpałiłeś dwór Jakimowskich. Masz niejaką satysfakcję. A Marek nie ma żalu, żeś próbował wygubić mu rodzinę...

—• Przebóg! •— zawołał Jan wstając gwałtownie. — Aż dziw, że się kiedyś rozumieliśmy! To on miałby jeszcze żal do mnie? Jakim wy językiem mówicie? Jakim mózgiem myślicie?

•— Krzywda za krzywdę, pomsta za pomstę: rachuba wyrównana.

—• Rachuba nigdy nie zostanie wyrównana! Chyba że wszyscy wyginiecie! Nie ja dwór Jakimowskich podpałiłem, jeno moi przyjaciele, mszcząc mnie, bez mojej wiedzy... Miałem w ręku swoim Wandę, mogłem... Puściłem ją wolno, lubo to ona przecie najboleśniej mnie ugodziła... Ach, ten przekłety brak mocy!

Nagle do komnaty wtargnął z hałasem Jakimowski.

— Janie, bracie mój!

Nie dając odpowiedzi Stołczyzna cofnął się o kilka kroków. Jakimowski postąpił naprzód. Długo patrzyli sobie w oczy, a w tym spojrzeniu tajało chyba wszystko, co ich rozdzieliło.

— Wyjechałem z domu na wojnę, z której może nie powrócę —

spowiadał się Jakimowski. — Wyjechałem bez pożegnania, zagniewany na wszystkich o twoją krzywdę, o ich niesprawiedliwość. A przecie matka... •—• głos uwiązał na chwilę w gardle. — Słyszałem twoją opowieść i zrozumiałem, że my, bracia ślubni, krwią związani, winniśmy być niejako poza niesprawiedliwościami tego świata. Przypomnę ci, że i Kosiński 1 był szlachcicem. Jeśli możesz nakłonić z powrotem do mnie swoje serce, do mnie, który nie zawiniłem wobec ciebie, uczyn to!

Długo jeszcze mówił, wypowiedziami swymi krusząc upór i łagodząc udrękę Jana.

— Zali po tym wszystkim... —• zaczął chwiejnie Stołczyzna.

— A więc zgoda między nami? •—• zawołał szczęśliwie Marek. Ale otwarte jego ramiona pozostały puste. Albowiem Stołczyzna, niby człowiek z przykrego snu obudzony i usiłujący strząsnąć z siebie koszmar, potarł dłonią zmarszczone czoło nie ruszając się z miejsca i rzekł dziwnie wolno, bez zwykłego wigoru:

— Zali możebne wskrzeszać umarłe? Jak serca tak oddalone od siebie zejda się na powrót?

— popatrzył każdemu z osobna głęboko w oczy. —• Wszak żaden z nas nie jest już tym, kim był przed laty. Poślubili się inni, rozeszli inni, a ninie odnaleźli jeszcze inni...

Jak dawniej zapalili fajki i ćmili je w milczeniu. W myśli przeszłość wracała do nich, piękniejsza we wspomnieniu niż była w istocie, i nawiązywała między nimi nić nowego przymierza.

— Z taką lafą do fortuny dojdziecie —• rzekł nagle Jan.

— Będzie nasza wspólna, jeno po dobrowoli ostań z nami! — podchwycił Marek. —

Uprosilimy bega, którego człek niezły i nasz dłużnik, aby cię do świty przyjął. W każdej chwili będziesz mógł odejść ze służby, bośmy taki warunek wyjednali. Zgoda?

— Zgoda — odparł po długim namyśle Jan.

Jęli ścisnąć go i całować. Dopiero teraz witali się naprawdę. Ale zespoloną dawniej trójkę rozszczępił nadal jakiś klin.

Krzysztof Kosiński — przywódca powstania ludowego na Ukrainie w latach 1591—1593.

— Ponówwy próbę — mruknął Jan. — Obaczym, co z onej będzie. Satanowski wziął lirę do ręki. Marek zawtórował w śpiewie.

Czuj-duch! Hej, bosmani! Wróg lonty zażęga I z armat czterdziestu daleko od bręga
Zaprasza w tan!

Jan nie podjął pieśni. Słuchał chciwie, z wilgotnymi oczyma.

Nie był to już kipiący schwalec, nieokiełznany zabijaka. Miał w sobie powagę i smutek ciężko doświadczzonego człowieka.

Na stole obok tureckich łakoci i mięs pojawiły się flasze wina a gorzałki, kupione w chrześcijańskich dzielnicach Sztambułu.

A gdy podchmielili, dalej płakać z rozczulenia, dalej ścisnąć się i całować, dalej wspominać przeszłość i ojczyznę a roić o przyszłości... Nieraz przecie wśród tych dobrych afektów ów rozdzwięk straszny, który ich był rozdzielił, wracał niby upiór i zakłócał szczęście zgody.

IX Wjazdowi Osmana II towarzyszyło bicie z armat i muszkietów. Topchana grzmiąca bezustannie hukiem działowym, spowita obłokami dymu niby oblężona twierdza. Podobnie baterie w innych punktach stolicy. Rozrzuceni po mieście janczarowie z muszkietów strzelali salwami na wiwat. Ulice, strojne w makaty, drogocenne draperie, girlandy zieleni i kwiecica, zapełnił lud wzburzony złą famą. Bramy tryumfalne lśniły złotem i klejnotami.

Pod Sztambułem obozowały ocalałe z wojny wojska, przed kilkoma miesiącami wygnane przez padyszacha na „podbój Lehi-stanu”.

Trasa pochodu, wyściełana drogą materią, osadzona była barwnym migotliwym od złocień i błysku oręza szpalerem gwardii sułtańskiej, iczogłanów I, piechoty, jazdy. U Edirne-Kapu ustawiły się esnaufy 2 rzemieślnicze i kupieckie, duchowieństwo, uczniowie Iczogłan (tur.) — paż, młodzieniec w korpusie paziów. 2 Esnauf (arab.-tur.) — cech.

37?

medres i innych szkół. U bramy zaś wedle Aja-Sofija, wiodącej do sułtańskiego pałacu, stali strojni kapidzi Ł i spahisi² dworscy. Za owym błyskotliwym szpalerem po obu stronach kłębiła się hałaśliwa ciżba stołeczna, niezadowolona ze złych wieści, ale zarazem spragniona oglądania spodziewanego przepychu. W ostatniej jeszcze chwili pachotkowie miejscy, przebiegając konno ulice, przypominali tłumom, aby wszyscy za zbliżaniem się sułtana padali na twarz i bili czółmi w ziemię.

Padyszach wjechał do miasta udekorowaną Edirne-Kapu. Poprzedzały go prowadzone przez ajbaszów oddziały janczarów i grzmiące tołumbasami³ kapele. Za nimi, na sunących tanecznie koniach ciągnęli przybocznicy spahisi dworscy w białej barwie i turbanach sadzonych brylantami. Osman II, posępny z wyglądu drapieżca, jechał w orszaku dostojników na śnieżnobiałym nedździe, lśniącym od drogich materyj i klejnotów.

Szpalery pochyliły się nisko, lud stłoczony za nimi padł na kolana. Wszelka niechęć do sułtana przysła, gdy ujrzano młodego ambicjanta, który chciał odnowić imperium Solimana Wspaniałego. Przepych oszołomił ciżbę raz jeszcze, iż zapomniła o wszelkich niedolach swego życia, jeno oczarowanym, kornym wzrokiem szukała spojrzeń chmurnego „pana królów”.

Gdzie przejechał, całowano ślady kopyt jego konia. Gdzie spojrzął, znajdował uwielbienie. W tłumie byli i tacy, co pokaleczywszy sobie ręce, wyciągali je broczące ku niemu na znak, że gotowi krew za niego przelać. Nie brakło też fanatyków, którzy rozebrani do połowy, stanąwszy na miejscach wyniosłych, aby widziani byli przez władcę, rozpalonym żelazem przypiekali sobie ciało na dowód śmiertelnej miłości do sułtana. On sam i jego skarbnicy sypali garściami pieniądze w oczarowany tłum.

Osman bramą koło dzamiji Aja-Sofija wjechał na teren swej siedziby •—• Wielkiego Seraju, oddzielonego od miasta potrójnym murem. Mniej znakomita część orszaku została przed bramą.

Kassim-bega spotkał "bolesny zawód. Przed wjazdem nie dopuszczono go do osobistego powitania padyszacha. Później pozwolono 1 Kapidzi (tur.) — odźwierni.

2 Spahis (tur.) — dworski — dworzanin, gwardzista, w odróżnieniu od spahisów stanowiących nieregularną jazdę w ówczesnym wojsku tureckim.

Tołumbas (pers.) — bęben.

mu dojechać tylko do pierwszej bramy Seraju. Pamiętano snadź na dworze o sympatiach Kassima dla obalonego sułtana Mustafy.

W domu, wielce zmartwiony, odbył rozmowę ze swym bratem, bejem Mahmedem, również pominiętym w ceremoniale dworskim, a przecież okrytym chwałą na wojnie, z której wrócił wczoraj.

— Słońce gaśnie nad nami — rzekł Kassim.

— A takeś miłował tego młodzika! — wybuchnął krewki Mahmed. — On przejęty na wskroś duchem syryjskim, a ludzi z Egiptu ma za nic. Jakież ciepłe było panowanie Mustafy!

— Na brodę Proroka! Wszak nie można było przewidzieć. Spokojny człek, kierowałem się jeno wolą Allacha: kogo mi wskazywał jako władcę, tego czciłem. Biłem Mustafie czołem, biję Osma-nowi.

— Właśnie! Każdemu chcesz dogodzić. Nie można tak.

— Zali ja mogę porywać się na słońce albo na burzę?

— Rozmawiałem i w obozie nad Turla 1, i tutaj, z Dziurdzim, baszą Husseinem, janczar-agą: i topczilar-agą 2: dnia Ahad 3 mamy zjechać się w Anadoli Hissar — rzekł Mahmed cicho.

— Na Proroka! Wszędy węszą przecie szpiegowie.

- O garść prosa trzeba walczyć, Kassimie, a cóż dopiero o mu-diriję i przywileje kupieckie. Po długim namyśle Kassim-beg oświadczył:

— Postanowiłem jechać na zjazd w Anadoli Hissar.

— No, chwała Allahowi! Dam znać Husseinowi-baszy.

— Poczekaj, Mahmedzie! A nuż przyjdzie lepsza myśl. Ja we wszystkim kieruję się wskazaniem Allacha, on zaś jeszcze mi nic w tej materii nie wskazał. Poczekajmy. Jutro wieczorem powiadomisz baszę Husseina o naszym udziale w zjeździe.

•— Dlaczego?

Kassim-beg zachichotał, po czym rzekł:

— Jutro rano kapudan-basza 4' da mi rozkaz wypłynięcia ze Stambułu i patrolowania drogi morskiej do Iskandariji. Wieczorem ty powiadomisz Husseina o naszym udziale w zjeździe, a pojutrze okażemy mu rozkaz kapudana-baszy.

1 Turla — turko-wołoska nazwa Dniestru.

Topczilar-aga (tur.) — dowódca artylerii.] Ahad (tur.) — niedziela.

Kapudan-basza (tur.) — admirał, dowódca floty morskiej.

— Na świętą brodę Proroka! — zdumiał się Mahmed. — Jesteś wielkim statystą! Nie doceniałem, wyznaję, twojej mądrości.

— Jeśli fakcja Husseina i Dziurdziego zwycięży, pozyskamy zapłatę jako stronnicy. Jeżeli zjazd zostanie wykryty, nie znajdziemy się w więzieniu, bo nas na zjeździe tym nie będzie.

— Uczyc się od ciebie, jeniuzu!

— To się ucz... Mam na jutro rano zaproszenie do kapudan-ba-szy, a Dinę zaprosiła do siebie jego pierwsza małżonka.

Nazajutrz o wyznaczonej godzinie Kassim-beg konno, a Dina w oszklonej lektyce z jedwabnymi firankami, niesionej przez lek-tykariuszy, w strojnym i zbrojnym orszaku udali się do kapudan--baszy, którego pałac stał nie opodal dzamiji Solimana.

Na dziedzińcu pałacu złotowłosa Dina wysiadła z lektyki. Na bega czekał w ogrodzie, wedle wodotrysku otoczonego kwietnikami, kapudan-basza, otyły człek pod sześćdziesiątkę. Po wymianie salamów i komplementów poszli do salamliku.

— Dostojny seraskier jest zdania, że flotylla moja winna jeszcze długo stać na kotwicy w Złotym Rogu — rzekł mudir — a to dla przeprowadzenia jakowychś obliczeń w armadzie.

—• Eh! — zaperzył się kapudan-basza. — Droga morska do Iskandariji musi mieć ochronę! Seraskier wkracza w nie swoją dziedzinę. Nie będziesz stał w porcie, szlachetny Kassimie, jeno wypłyniesz na zlecony szlak. Kancelaria wyda pisemny rozkaz.

— Zawsze podziwiam przenikliwą mądrość twoją, panie.

Tymczasem Dina po odejściu męża została powitana przez ochmistrzynię haremu kapudana-baszy. Minawszy w drzwiach czarnych rzezańców, kłaniających się nisko, obie kadyny weszły do długiej galerii, witane ukłonami przez szpaler pięknych i strojnych dziewcząt, po czym udały się do okrągłej sali ze złoconymi szybami w oknach, przez które słońce oświetlało wnętrze.

Sala o sklepieniu malowanym w kwiaty i liście była tak wielka, że mieściła w sobie rzędy cyprysów i drzew pomarańczowych, krzewy róż i jaśminu, rozkwitłe, wonne. Marmurowa fontanna w pośrodku rozpylała upojne pachnidła.

Małżonka kapudana-baszy, jaśniejąca od brylantów, zdobiących suknię, wsparta o złote wezglowie, siedziała na sofie usłanej perskimi makatami, ustawionej na podwyższeniu wśród pomarańcz.

U nóg jej spoczywały dwie cudnej urody dziewczynki dwunastoletnie, ustrojone w suknie lśniące klejnotami.

Dina pokłoniła się nisko. Żona kapudana-baszy, piękna brunetka lat czterdziestu, podeszła do Diny i z ukłonem rzekła:

— Witam waszą dostojność, szczęśliwa, że raczyłaś pani nawiedzić mój dom. Jak uroczo wyglądasz! Snadź klima Egiptu i łaska Allacha sprzyja twemu zdrowiu, tak że pytać o nie, kwitnące, wydaje się zbyteczne.

— Dzięki waszej wspaniałości za życzliwe słowa — odparła Dina podając jej szkatułkę z kości słoniowej, inkrustowanej złotem. — Oto mały upominek dla ciebie.

Gospodyni otworzyła szkatułkę. Na wyłożonym jedwabną po-duszczką dnie znalazła złotą bransoletę, wysadzaną turkusami. -

—• Ach! Jakież to piękne! — zawołała. — Dzięki! dzięki! Masz pani gust godny wielkiej damy Egiptu. Cenię w tobie, miła, tę wytworność, która wyróżnia cię spośród niewiast.

Dina nie pozostała dłużna.

— Pragnę zbliżyć się do ciebie! Aliści jesteś wzorem niedoścignionym. Rozmowa z tobą olśniewa mnie i uczy, równocześnie jednak każe mi zazdrościć waszej wspaniałości rozumu i czaru.

— Stara jestem, zapomniana...

— Tchnie od ciebie urok świeżości.

— Tym gorzej dla mnie... A co u ciebie słysząc, Dino?

— O miła Imetullah! — zawołała szczęśliwie Dina. — Pan mój, małżonek, zwrócił do mnie znowu swoje serce.

— Dzięki Allahowi!

Na skinienie pani stojące u drzwi niewolnice rozpostarły obok sofy kosztowny dywan, na którym usiadły obie damy. Rozmawiając jadły słodczyce ustawione na stolikach, piły kawę i chłodzące napoje. Obsługiwały je śliczne odalisy *, na klęczkach podające naczynia, ochmistrzyni zabawiła stambulskimi plotkami.

Mając również swoje, damy chciały podzielić się nimi bez świadków. Odprawiły przeto służbę, a ochmistrzyni pani poleciła: - Przygotuj dziewczęta i niebawem przyprowadź je tutaj. Gdy zostały same, spytała od razu:

Odalisa, odaliska (tur.) — służebna pokojowa u baszy lub sułtana; pięk-i niewolnica na Wschodzie.

— Powiedz, Dino, jak wam się z Fatmą żyje?

— Jak to z Fatmą — odparła Dina. — Pocziwe stworzenie. Podbiła serce Kassima. Allah dał jej dzieci, czego mnie dotąd skąpi. Ostatnio jednak Kassim zajął się dudu : Chawą. Fatmą chciałyby nie dopuścić Chawy do Kassima. Już nawet jeła szukać czegoś złego przeciw niej. Tymczasem powiadają ludzie różne głupstwa o Fatmie. Ale ja nie wierzę! Zajął się ponoć karawuszem Polakiem. Ale ta niecna plotka pochodzi od Selima, wstrętnego intryganta. Okazało się, że Imetullah wie o walce na wydmach synajskich.

— Taka ofiarność, jaką wykazali owi Polacy, świadczy moja Dino, o czymś. Tylko przy wielkim uczuciu mężczyzna zdobywa się na nią. Tym bardziej niewolnik, który mógł szukać oswobodzenia raczej na drodze zdrady.

— Powiadają także, iż drugi Polak zaleca się do Alimy! I z wzajemnością! No, to już zupełna niedorzeczność! Alima jest dumna, a niewolnik wie, na co się naraża za takie zuchwalstwo.

— A cóż na to wszystko Sara?

— Ona nic nie wie. Bo to jeno cicha plotka.

— Tacyż gładysze owi Polacy? — spytała Imetullah.

— O! gładysze nad gładyszami! — wykrzyknęła Dina aż nazbyt entuzjastycznie, wstała i podeszła do jednego z okien. •— Możesz ich zobaczyć, miła: oto stoją w świetle mego pana małżonka.

Imetullah z niespodziewaną skwapliwością wyjrzała oknem.

— Ci trzej wedle kiosku! O, tam! — pokazywała Dina.

— Och, piękni! — wyrwało się poważnej matronie. Wróciły na swe poprzednie miejsce. Imetullah wezwała ochmistrzynię i ręką dała jej znak.

Po chwili z dalszych komnat napłynęła gromada zwiewnych dziewczyc w różnokolorowych sukniach. Jak wszędzie w wielkopań-skich haremach były to piękności różnych narodów i typów urody: Słowianki, Germanki, Semitki, Murzynki, Greczynki... Jedne stanęły we wdzięcznej grupie nie opodal pań i zagrały na lutn/ach a cytrach. Drugie zerwały się z miejsca niby ptaki do lotu i poczęły płynny taniec, w wirze otaczając się mgłą przejrzystych szat.

I Dudu (tur.) — pani, panna w odniesieniu do wytwornych Ormianek i Greczynek.

Po skończonych piasach tancerki posiadały, aby odpocząć, a wyglądały w swych barwnych strojach niby wielkie kwiaty, rozrzucone po dywanach, między krzewami pomarańcz.

Aż i kilka niewolnic jeło krążyć z kadzielnicami po sali, rozsiewając śliczne zapachy z kadzidel tlejących na rozżarzonych węglach. Aż i nowy poczęstunek wniosły inne służebne. Przy cichej, kojącej muzyce dworek panie pożywały dary Allacha, rozmawiając pogodnie i przyjaźnie.

Potem przechadzały się po zimowych komnatach Imetullah.

Były tu istne cuda: ściany wykładane perłową macicą i kością słoniową, a także chińską i japońską porcelaną, malowaną w najwymyślniejsze ornamenty, podłogi kryte kosztownymi dywanami perskimi, materie tkane złotem i srebrem, zdobione brylantami.

Dina przysięgała sobie w duchu, że podobnie urządzi swoje komnaty w Dar-el-Amirun.

Fatmą i Chawą pękła z zazdrości.

Dina została jeszcze w gościnie po odjeździe męża.

W końcu jednak z żalem — szczerym czy udanym •— rzekła:

— Jak zwykle, żegnam cię ze łzami, miła Imetullah. W imieniu domu naszego zapraszam cię do Dar-el-Amirun. Gdybyś sprawiła nam taki zaszczyt, byłibyśmy szczęśliwi.

— Dzięki. Jeśli Allah pozwoli, odwiedzę Dar-el-Amirun. Imetullah skinęła na czujną ochmistrzynię.

Dwie dworki spośród tanecznie przyniosły wielką szkatułę ze srebrnej blachy, grawerowanej we wzory. Po otwarciu szkatuły oczom Diny ukazały się cudnie -tkane materie złotolite, usiane brylancikami, iż w świetle słońca lśniły oślepiająco.

— Weź to, Dino miła, na pamiątkę od przyjaciółki.

— Dzięki ci, siostrze! Twój gust równie dobry, jak serce.

Wpadł nagle do komnaty zdyszany rzeźniczek i coś szeptem zameldował pani domu, po czym wybiegł tak samo spiesźnie, jak przybył. Imetullah nieco pobladła.

-7- Musisz, Dino, poczekać z odejściem — rzekła. — Nędzarze otoczyli nasz pałac krzyżąc wstrętnie.

Jakoż gdzieś w oddali grzmiał zgiełk. Poprzez mury i szyby wydawał się przeciągłym grzmotem.

— O Allah! Co ninie? — jęknęła Dina. — U nas także czasem podobne ekscesa. Trzeba było wojska, gdy nie pomogły jałmużny ni rozdawnictwo chleba.

— Dostojny małżonek mój również kazał wydać jałmużnę i żywność. Jeśli to nie pomoże... — Imetullah urwała nagle, po czym dodała z egzaltacją: — Ach, żal mi tych biedaków!

— I mnie ich żal. Ale gdy wspomnę, jacy potrafią być okrutni, gniew mnie ogarnia. Podczas ostatniego buntu fellachów pocięli piłą na kawałki bratanka beja Haruna!

Niebawem, po rozproszeniu napastującego pałac tłumu przez żołdatów kapudan-baszy i straż miejską, Dina pożegnała Imetullah.

Za bramą przez firanki lektyki widziała pachółków zasypujących piaskiem ciemne, mokre plamy na ziemi. Była bardzo wrażliwa. Sięgnęła po flakon z orzeźwiającą miksturą, powąchała ją i zażyła. Powtarzała to kilka razy, bo z zaufków co chwila zalatywał powiew nieznośnego smrodu. Widząc półnagie lub całkiem nagie dzieci, bawiące się w cuchnącym brudzie ulicy, rzucała im sutą jałmużnę. Pomimo to zbrojna eskorta dobrze musiała się natrudzić, by odeprzeć zakusy „podstępного motłpchu”.

W domu Dina od razu chciała pogawędzić z małżonkiem o wspaniałościach odaliku * dostojnej Imetullah. Ale Kassim zajęty był właśnie rozmową z bratem Mahmedem.

— A więc przed niedzielą otrzymamy rozkaz wypłynięcia ze Stambułu — rzekł na koniec.

— Powiadomisz baszę Husseina, że przybędziemy na zjazd do Anadoli Hissar. W ostatniej chwili zasłonimy się nagłym rozkazem kapudan-baszy... Tymczasem muszę sprowadzić z Serajany na galery pięćset moderunków dla koni i tyleż mundurów z janczarskich szwalni. Mam na to tez-kere od czeleb-baszy 2. Wyślę tam Kara Nuruma i Polaków. Oni dobrzy znawcy. Chciałbym też zakupić u tutejszych dżambasów 3 kilkanaście, zacnych nedźdów dla stadniny w Ain-el-Faras.

Nazajutrz Kara Nurum i Polacy udali się po te zakupy.

Obwarowana wysoko w kwadrat Serajana, wytwórnia siodeł dla wojska, do której dwoje wrót wiodło, kipiała jak wrzątek w kotle. Kilka tysięcy rzemieślników w trującym fetorze skór wyrabiała tu oporządzenia dla koni. Wokół warsztatów stały domy mieszkalne dla owych rzemieślników i ich rodzin, a w pośrodku dziedzińca 1 Odalik (tur.) — mieszkanie kobiet mużułmańskich.

2 Czeleb-basza (tur.) — główny intendent, zarządca gospodarski.

3 Dżambas (pers.-tur.) — handlarz koni.

Serajana miała nawet fontannę i meczet. Majstrowie i dozorczy natrętnie ponaglali rzemieślników w pracy. Tylko modlitwy i posiłki przerywały żmudny trud na krótkie chwile. Nie opodal Serajany stały dwa odolary janczarów, wielkie gmachy z odami 2 osobnymi dla szeregowych i oficerów. Koło tych odolarów zaś mieściły się obszerne warsztaty krawieckie, wytwarzające umundurowanie dla wojska.

Wysłańcy Kassim-bega załatwili wszystko pomyślnie, nawet przewóz zakupionych rzeczy na statki. Poza tym na at-bazarze 3 w dolinie między pagórkami stambulskimi i przed

Muhammadiye 4 koło Defterdarburnu 5 zakupili od arabskich dżambasów wspaniałe niedźdy różnych maści. Ale że najwartościowszych okazów było za mało, przeprawili się promem na brzeg azjatycki, gdzie w Isku-dar, blisko klasztoru derwiszów Rufai, istniała także targowica końska.

Zakupiwszy tu konie Kara Nurum zabrał je na brzeg europejski, Polacy zaś, zwabieni jakimś osobliwym hałasem, podążyli pod klasztor Rufai, gdzie działy się rzeczy niesamowite!

Na placu zebrała się gromada derwiszów pod przewodem starszego mnicha, przełożonego. Byli to wynędzniali, obdarcy osobnicy o zniszczonych, pooranych bliznami twarzach.

Zaczynali akurat swoje dziwaczne „nabożeństwo”. Zamiast na abbasach, czyli dywanikach do modlitwy, klękali na rozpostartych skórkach baranich. Po zwykłym namazie siedli w koło i przeciągłymi głosami odmówili pierwszą surę6 Koranu, stanowiącą podstawowe wyznanie wiary.

Satanowski przetłumaczył Stołczynie słowa modlitwy derwiszów: „Bóg jest Bogiem, Mahomet prorokiem Boga. Cześć naszemu Prorokowi, jego rodzinie i towarzyszom!”

Derwisze kilkanaście razy powtarzali tę krótką modlitwę...

1 Odolar (tur.) — koszary.

2 Oda (tur.) — izba, sypialnia.

3 At-bazar (tur.) — targowisko na konie.

4 Muhammadiye-dżamija (wielki meczet) Mehmeda II (1451—81) nad brzegiem morza.

3 Defterdarburnu — Przylądek Podskarbiego w Stambule. 6 Sura, surah (arab.) — rozdział; tytuł każdego ze 114 rozdziałów Koranu.

25 —

Kawaler złotej ostrogi A gdy wokół placu zebrał się tłum przechodniów, stale rosnący, powstali i jęli recytować miarowo część wyznania wiary:

„La Illah ii Allah! i La Illah ii Allah!”

Rozdzielając te słowa na sylaby — „La Il-lah-il-Al-lah” — powtarzali je coraz prędzej, a wymawiając pierwszą sylabę nachylali się do przodu, przy drugiej prostowali się, przy trzeciej przeginali się w tył. Po pewnym zaś czasie odmieniali kierunek przechyleń: w prawo, prosto, w lewo, znów prosto. Rozpocząwszy wolno swoją litanie, chór rozpędzał się coraz bardziej, a przyśpieszonym okrzykiem towarzyszyły przyśpieszone ruchy, tak, aby sylabom zawsze odpowiadały zamierzone skłony. Ruch i krzyk stały się wreszcie tak szybkie, że modlitwa przyjęła charakter niesamowitej, szaleńczej zabawy. Wyraźny zrazu werset brzmiał teraz bełkotliwie:

„Il-lah! Il-lah! Il-lah!”

Wszystko wreszcie zmieniło się w obłądny taniec orgiastyczny. Jednych widzów ogarnął nerwowy śmiech, drugich — przerażenie. Niesamowitość sceny wznagał fakt, że od początku ponuremu hałasowi towarzyszył łagodny, piękny śpiew dwu kantorów. W końcu derwisze popadli w szał. Rzucali się jak opętani, wili w męce czy upojeniu na ziemi, trzęsły nimi konwulsje, ryczeli i wyli sylaby, które skurczyły się do rozmiarów przeraźliwego wrzasku:

„Lah! lah! lah!”... albo po prostu: „Ha! ha! ha!”...

Część derwiszów pokazywała odmienne szaleństwa. Jedni kładli w usta rozpalone żelaza, drudzy szarpali towarzyszom ciała rozżarzonymi cęgami, trzeci, obnażeni do połowy, rzucali w siebie rozpalonymi kulami. A to wszystko bez śladu cierpienia. Między poszczególnymi sztukami ci przerażający mnisi-kuglarze rzucali się na ziemię tocząc z ust pianę, tarzali się w prochu. Twarze przy tym mieli zachwycone, wstrząsały nimi dreszcze rozkoszy.

I podczas gdy jedni wyli wniebogłosy wyraz: „Ja-hu” 2, drudzy odpowiadali: „Fa meded!” A w chwilach ciszy hymn owy dwu kantorów brzmiał szlachetnie i donośnie:

1 La Illah ii Allah (arab.) • — Bóg jest Bogiem.

2 Jahu (hebr.) — Jahwe, Jehowa, Bóg.

3 Fa meded — dopomóż.

O Pocieszycielu! O Kochanku!

O Lekarzu Duszy! O Wybrany!

O Wybawicielu na dniu ostatecznym!

Gdy szalejący derwisze legli z wyczerpania na ziemię, dysząc i rżąc, posypały się na nich z rąk widzów mnogie datki.

— Kuglarze plugawi, diabelscy, nie mnisi, psia ich mać! — wybuchnął Jakimowski. —

Od razu widać, że od szatana opętani.

Zgłodniawszy zaszli do gospody greckiej na flaki i smażoną rybę. Pragnienie po ostrym, korzennym jadle ugasił u jakiegoś ulicznego sprzedawcy sorbetu, trzymającego wonny napój w dzbanach, karafach i czarach ustawionych na straganiku podobnym do altanki. Pili też u fontann ulicznych •—• czworogrannych budyneczków kamiennych o szerokich dachach, z kurkami do wody przy ścianach. Opadli ich przekupnie pieczywa, owoców, makat, broni, a także wędrowali szewcy, krawcy, cieśle, murarze, balwierze, wmuszając swe usługi.

Wywinąwszy się natrętom Polacy umknęli w błotnisty zaułek pełen nierządnic i awanturników przepędzanych co chwila przez patrole straży miejskiej.

Właśnie strażnicy wyrwali gromadzie uliczników jakiegoś osobnika stawiającego opór.

•— Toż Piotr Sielecki! — zawołał Stefan wskazując tumult.

•— Jako żywoj on! — potwierdził Marek. — Brońmy go!

Widok wielkopańskich gwardzistów zaniepokoił wszystkich.

— Kto wy? — spytał Jakimowski urzędowym tonem.

— Strażnicy jego wspaniałości istanbul-kadiego1, efendi —• brzmiała odpowiedź. — Oto schwytaliśmy zbiegłego niewolnika.

— Puście go! To mój człowiek. Jesteśmy oficerami gwardii wielmożnego bega Kassima. - Ach, życie wieczne, efendi! Ale, wybaczenie mi śmiałość, unieć to nic mi nie mówi. A po wtóre — spełniam obowiązek.

Puście go! To mój człowiek. Jesteśmy oficerami gwardii wielmożnego bega Kassima.

Nie uczynim tego, efendi. Radzę natomiast udać się z nami 0 urzędu jego wspaniałości istanbul-kadiego albo jego wspania1 Istanbul-kadi (tur.) — naczelny sędzia stambulski.

25«

łości muchtara czy jego wspaniałości sejbaszyl. Tam wszystko zostanie sprawiedliwie wyjaśnione.

— Nie radź mi, jeno puść tego człeka! —• krzyknął Marek. Dziesiętnik cofnął się o krok, objął wzrokiem swych podkomendnych otaczających związanego Sieleckiego i skomenderował:

— Zabroń! Bij!

Ulica zawyła dziko, szczęknęły żelaza.

— Bij! — powtórzył dziesiętnik.

Zadał w strażniczy róg, wzywając inne patrole na pomoc. Nie przewidział jednego: po krótkim boju oręże jego ludzi zostały wytracone i porywała je gawiedź. Oni sami poszli w rozsypkę, Sieleckiemu zaś rozcięto więzy. Zwabiona graniem rogu ciżba nadbiegła z ruder. Nienawistna wobec władzy, jęła szarpać rozbrojonych strażników, naigrawać się z ich niemocy.

Korzystając z zamieszania Polacy zbiegli. Z przystani morskiej przepawili się wynajętą łodzią do Galaty. Aż i pomknęli w pola dla swobodniejszej rozmowy.

Sielecki nie mógł się nadziękować swym zbawcom.

— Mówże waść lepiej, co z tobą! — niecierpliwili się.

— Ano, uciekłem w Damiacie z galery —• odparł. — Przetarł się łańcuch. Wyszedłem na pokład i skoczyłem w morze. Płynąłem na oślep, nie wiem, jak długo, aby dalej od portu.

Natknąłem się wreszcie na rybaka, Egipczanina. Wziął mnie do łodzi. Dopiero nocą mieliśmy wpłynąć na zalew. Tam, wśród rybaków na wyspach, ukryłbym się. Tymczasem, imainujcie sobie, waćpanowie, zagarnął nas piracki statek! Z deszczu pod rynnę! Uprosilimy jednak kapitana okrętu, by wysadził nas na ląd w Anatolii, bo tam płynęli. Znaleźliśmy się w Licji. Stamtąd Egipczanin wrócił jakowymś statkiem do Damiatu, ja zaś dotarłem tu. Znowu, trafiłem w Iskudar na zacnego człeka: powroźnika. U niego skrycie zamieszkałem.

— Plebeani nie całkiem bydłeta, za jakie ich miewają panowie bracia, co? — rzekł ponuro Stołczyzna.

— Ano nie — przyznał Sielecki, po czyni dodał żałośnie: —• Gdyby mi Matka Przenajświętsza pozwoliła doma wrócić, to bym kaplicę dziękczynną erygował we wsi... Sejbasza (tur.) — naczelnik więzień i sędzia.

— Co wasze zamierzasz czynić dalej? — spytał Marek.

— Pomykać ku granicom Polski. Ale czy podołam bez dokumentów zwolnienia z jeństwa? Wszędy podjazdy wojskowe, patrole, a rnowę turecką znam słabo, innych zaś języków wcale. Marek zamyślił się, a po długiej chwili rzekł:

— Dam waści swój pasport, zwalnający mnie z jeństwa. Poradzę sobie jakoś bez niego, w potrzebie zaś wycyganę drugi. Weź także od nas pieniędzy na drogę.

Podał Piotrowi sakiewkę, a druhowie dołożyli swoje.

— Ach, jakże dziękować? Bóg zapłać! Bóg zapłać! Pozwoli Wszzechmogący, to się w przyszłości odwdzięczę. A właściwie dlaczego wy, panowie, nie wracacie do Polski, skoro macie wolność?

To naturalne pytanie zaskoczyło ich i zawstydziło. Bo ani wyznać, że zamierza się zdobywać pieniądze dobrowolną służbą u dotychczasowego ciemiezcy.

— Załatwiamy różne sprawy — odparł Marek wymijająco — Ja was nie pojmuję, panowie bracia! Ja na skrzydłach...

— My snadź skrzydeł nie mamy — zaśmiał się ponuro Marek. Wrócili do Galaty i tu się z Sieleckim rozstali.

— Co za moc fatalna trzyma nas tutaj? •— wybuchnął Marek.

— Mnie kochanie — odparł Satanowski.

— Mnie gorycz — dodał Jan. — Może ją tu zagubię.

— A co mnie, do pioruna?

— Ciebie przyjaźń, drogi bracie.

— Chimera! Chimera trzyma nas wszystkich! Obyśmy za nią kiedyś drogo nie zapłacili!

Gdy wrócili do domu, w różnych punktach Stambułu grzmiała strzelanina. Kassim-beg zarządził gotowość bojową w pałacu i na swoich nawach, a na miasto pchnął zwiadowców. Donieśli oni, że janczarowie wszczęli rozruchy.

— Jesteśmy za słabi, by wdawać się w bój mocarzy — rzekł mudir po naradzie z bratem.

W dwa dni później kolej Kassim-bega wypłynęła nocą ze Złotego Rogu w drogę powrotną do Egiptu, zostawiając za sobą rozdygotany różnymi niepokojami Stambuł.

Wiatr był tak powoźny, że odległość od Stambułu do Gelibolu *

1 Gelibolu (tur.) — Gallipoli.

— przez całe niemal Białe Morze — przebyli w pół doby. Beg naglił przy tym załogę, by pośpieszała. Zbliżała się bowiem pora gwałtownych burz na wschodnich wodach Morza Śródziemnego. Po wtóre, pragnął zdążyć do Dar-el-Amirun na Nowy Rok, a była już połowa miesiąca Silhidze 1.

Słońce jeszcze mocno przygrzewało, chwilami jednak od północy dął chłodny wiatr.

— Ale pojezdna galera! Jak fregata! — cmokał Stołczyzna. Polacy i Uriasz stali właśnie u zabrodła, gdy „Ak-Kalkan” mijała Gelibolu.

Uriasz ze skwapliwością niedoszłego hodży objaśniał:

— Tym murem obwiódł Gelibolu książę Soliman, syn pady-szacha Urszana 2. A oto widać Dżemenlik, dawne Cimpi, pierwszą twierdzę turecką w Europie, zdobytą przez tegoż Solimana.

Po paru godzinach flotylla osiągnęła miejsce, gdzie Dardanele bardzo się zwężają i pęd wody staje się ogromnie silny. Cieśniny strzegły tu potężne warownie: Abydos na brzegu azjatyckim i Se-stos na europejskim. Dalej, od południowego zachodu, cieśninę zamykały znowu dwie twierdze: azjatycka Janizzari i europejska Zedil-Bahr.

Tu kolej Kassim-bega zatrzymały o zmroku wojenne nawy, mu-dir zaś został wezwany do bawiącego w janizzarskim zamku baszy. Zanosiło się tedy na dłuższy postój. Jakoż Kassim dał niebawem znać, że gościna potrwa całą noc i dzień jutrzejszy.

Korzystając z tego Polacy nazajutrz rano zwiedzili słynne legendarne miejsca.

Grecy tutejsi, służący za przewodników, w języku tureckim objaśniali Homerowe dzieje trojańskie z taką pewnością siebie, jakby czytali z ksiąg sławnego syna nimfy Kriteis i bożka rzeki Melos. Po dwudziestu pięciu wiekach odzywał się jeszcze nieśmiertelny jego głos ustami tych ludzi — rzeczywistych potomków baśniowego plemienia herosów.

Pamiętna równina trojańska, rozciągniona między górami Idą a brzegiem morskim, porośla lasami. Koło wsi Jeni nad samym prawie morzem, na Przylądku Sigejskim, widzieli domniemane 1 Silhidze (tur.) — Dsul'hedze (arab.) — XII miesiąc w kalendarzu mUzułm., mający 29 lub 30 dni.

2 Urszan (Orchan) — sułtan turecki w latach 1326—1359.

grobowce Achillesa i Patrokla — wysokie na kilkanaście łokci mogiły ziemne, okryte trawą, nazwane teraz wzgórzem Hissarlik.

Minąwszy mury i wały forteczne Janizzari poszli brzegiem rzeczki Menderes, płynącej leniwie między łąkami, ujętej z obu stron w szpaler skołtunionych krzaków. Starym mostem drewnianym dostali się na przeciwny brzeg rzeki, do miejscowości Kara-Jur, gdzie najsilniej przemówili do nich bohaterowie Iliady.

Po tym obszarze oprowadzał ich zakonnik grecki, władający również językiem tureckim.

— Jedni twierdzą, że Troja Homerowa leżała na wzgórzu Hissarlik — objaśniał. — Inni, że Hissarlik to jeno grobowiec poległych w wojnie trojańskiej wojowników. Ci głoszą, jakoby owa Troja miała leżeć na Kara-Jur, czyli o dwie wiorsty na wschód od pagórka Hissarlik.

Jakkolwiek było, tu na obszarze od Hissarlik do Kara-Jur, „Trojanie z wielkim hukiem w pole pochodzali... a Gre-kowie zaś cicho z miejsca ruszali...”

Ruiny Troi! Rozpierzchłe, znacznie ziemią przywalone szczątki murów i baszt przemówiły do nich silniej niżli żywe miasto'. Wprawdzie po Homerowej Troi była na tym miejscu Nowa Troja macedońskiego Aleksandra Wielkiego, ale oni w tej chwili pamiętali nie znikome budowle królów, lecz nieśmiertelną epopeję ślepego pieśniarza jońskiego. Ze zwalisk wyróżniała się tylko brama zamkowa, zwana zamkiem Pryjama. Ze szczytu wzgórza, który też grobowcem Achillesa mianowali okoliczni Grecy, widziało się rozległy widnokrąg — aż na morze.

•— Powiada stary Homer, że całe wojsko greckie nad Helles-pontem stało — rzekł przewodnik. •— Może i przybyli tu Grecy lekkimi, a miałymi nawy, bo i brzegi niskie ... , Satanowski zdjął z ramienia lirę, zagrał na niej z przedziwną siłą. Nie śpiewał tym razem, jeno deklamował.

Gniew Achilla, bogini, głos, obfity w szkody, Który ściągnął klęsk tyle na greckie narody, Mnóstwo dusz mężnych wcześniej wtrącił do Erebu, A na pastwę dał sępom i psom bez pogrzebu Walające się trupy rycerskie wśród pola: Tak Zeusa wielkiego spełniała się wola Odtąd, gdy się zjatrzyli sporem niebezpiecznym Agamemnon, król mężów, z Achillem walecznym.

— Coś, panie, śpiewał i jaką mową? — spytał zdziwiony mnich.

— Deklamowałem początek Homerowej Księgi I „Iliady” w przekładzie polskim — .odparł Satanowski.

— O! Jesteś więc, panie, Polakiem! ... Niegdyś wasz król, Władysław z rodu Jagiellonów, niósł wolność Bałkanom. Bóg powstrzymał jego oręż: snadź uznał, że jeszcze nie dość kary za grzechy nasze. Atoli wiecznie pamiętać będziemy polskiego króla Władysława, co u Warny poległ w roku 1444.

— Wielki jest mój naród, który na końcu brzeszczota trzyma Półksiężyc! — zawołał wzruszony Stefan.

•— Grecy, Serbowie, Bułgarzy, Albańczycy, Wołosi, Węgrzy zawsze czekają na wyzwolenie, które im Polska przyniesie.

Na tym Grek skończył, jakby zatrwożony, że za wiele powiedział, za czym wrócił do tematu homerowskiego:

— Ilion, Troja białokamienna! Wielkie to i piękne było miasto, jakowych teraz nie masz, jeno pamięć po nim ostała. A zburzyła je grzeszna miłość niewiasty i męża, który niebacznie uległ trującemu smakowi zakazanego owocu ...

Marek nachylił się do Stefana i szepnął mu do ucha:

— To o tobie i Alimie mowa. Strzeż się!

— Raczej o tobie i Fatmie! — burknął Stefan.

•— Atoli ja mogę każdej chwili poddać Troję Menelausowi.

Wróciwszy na statek, niedługo już czekali.

Kassim-beg z gościny u baszy wyniósł zwiększone sympatie dla obalonego sułtana Mustafy I. Nie był jednak jeszcze pewien, kogo mu Allah zleci czcić jako monarchę. Toteż polecił swym statkom czym prędzej rozwinąć wszystkie żagle. Trwający dalej powoźny wiatr i pojazdy wioślarzy pociągnęły flotyllę gwałtownie naprzód, zostawiając za nawami wrzące bruzdy piany.

Satanowski zapatrzył się w zbryzgany wodą bulaj kajuty i towarzysząc sobie cicho na lirze, zaśpiewał:

Moja ojczyzna jakże daleko! Za siódmym morzem, za siódmą rzeką, Za siódmą górą, za siódmym lasem — Jeno ją we śnie widuję czasem...

•—• Kto by cię tam zrozumiał, cudaku! — mruknął Marek.

Upłynęło wiele tygodni od powrotu do Egiptu, a Satanowski ani razu nie spotkał się z Alimną. Widział ją tylko parokrotnie z dala.

Daremnie co dzień wyczekiwał w ruinach meczetu, nie wiedząc, czy Alima ochłodziła w uczuciach, czy jakieś przeszkody nie pozwalają Jej przyjść na spotkanie.

._ Nie zwlekaj z porwaniem! — przestrzegął go Jakimowski.

._ Podoba mi się tutaj — wyznał Stołczyzna. — I służba dobra, i lafa, i kwatery. Aliści w potrzebie liczcie na mnie.

Okazało się, że Jan i Marek mają plan jednakowy: zabrać ze stajni osiem najściślejszych koni i razem z Alimną, bez względu na jej stanowisko w tej sprawie, uciekać na zachód.

— Tylko za jej zgodą! — obstawał przy swoim Satanowski.

— To czyń coś i uzyskaj ona zgodę! — fuknął Marek. Żniwa były już w całej pełni, miesiąc Dżemadi-el-awwel dobiegał niemal końca.

Kassim-beg odbywał rejsy patrolowe na szlaku Aleksandryjsko--stambulskim. Trzej Polacy zaś szkolili w rzemiośle żeglarskim kilkudziesięciu miejscowych młodzieńców, będących w jego służbie. Wiele przeto czasu spędzali na tombazach pływających po zalewie Menzaleh albo po przybrzeżnych wodach Morza Śródziemnego.

Stołczyzna okazał wielkie zdolności do języków obcych. Przez siedem miesięcy od chwili pojmania na tyle poznał turecki i arabski, że mógł się już porozumiewać z tutejszymi ludźmi. Toteż porobił znajomości z okolicznymi fellachami i rybakami, pobratał się z nimi. Wiele czasu spędzał wśród nich.

— Egipcianie zębami zgrzytają na Turków i swoich panów — mówił. —

Wyrozumiewam, że się do poruszeństwa zmagają. Kiedy zamierzysz rapt, Stefanie, to ci takowa watahę z tutejszych chłopów wystawię, że będziemy mogli nawet na załogę turecką uderzyć. Zażarci na bejów, że jeno wężą, jak im zaskó-rzyć.

•— Nie zwlekaj, Stefanie! — powtarzał Jakimowski.

• Pierwej muszę rozmówić się z Alimą.

• Zobaczysz, że beg wróci i znowu odwłoka... Jakoż i tak się stało: zjechał do domu z pławby.

Od razu wezwał Polaków do siebie. Poszli bez tłumacza, bo już nie był potrzebny.

— Jestem z was zadowolony — oznajmił beg. — Z powierzonych sobie esbejczyków wyuczyliście żeglarzy... Przed miesiącem Ramadan wydam najstarszą córkę, kadyń Alimę, za mąż...

Przerwał, bo Satanowski jakoś nerwowo przestąpił z nogi na nogę, przy czym szablą zawadził o stół przy sofie mudira.

•— ... za dostojnego beja Haruna, jak zapewne słyszeliście —• ciągnął beg łaskawie. •—

Życzą, abyście załogi tombazów do godów przygotowali weselnych. Chodzi mi o iluminacje, sprawne zwroty nawami, sztuki przeróżne na zalewie i morzu. Jeśli wywiążecie się z zadania wedle moich wymagań, każdy z was otrzyma sto plastrów nagrody, a majątkowie po dziesięć... Ogłoszę wam jeszcze jedną nowinę. Otóż postanowiłem powierzyć wam, jako kapitanom, dwie galery do walki z piratami na szlaku libijskim.

— Któreż to galery? — spytał podniecony Marek. •— „Narun” i „Zaim”. Są właśnie w naprawie.

•— Aha, widzieliśmy je w porcie Damiatu.

— Proszę, byście doglądali ich naprawy. Ja za dziesięć dni udaję się w nową pławbę. Do połowy miesiąca Szaban macie niemal jedenaście tygodni na takie przygotowanie tombazów, załóg i uroczystości, o jakim wspominałem. Gody weselne wyprawię w dniach 15 i 16 miesiąca Szaban, czyli w święta Nocy Doświadczenia i Uznania Mekki za Kieblę. Po powrocie na kwatery Satanowski pociągnął tegi łyk wina dla dodania sobie ducha, za czym podążył na swą pozycję w ruinach meczetu. Jakież było jego zdumienie, gdy zastał tam Alimę!

— Ukochana! Ukochana! •—• szeptał nie znajdując innych słów z powodu wzruszenia. — Nareszcie! Nareszcie!

Z płaczem rzuciła mu się w objęcia, ogromnie wzburzona.

—• Już koniec! koniec! — mówiła w kółko. — Koniec! koniec!

Wziął ją za rękę i zaprzeczył twardo:

— Nie koniec, jeno początek! Dziś musimy postanowić! Zali godzisz się na ucieczkę ze mną do Libii a dalej?

—• Tak! — odparła z mocą. — Uchodźmy bodaj w tej chwili! Nie wrócę już do domu, jeno od razu, stąd, uciekajmy!

— Ależ! Nie mam przy sobie broni ani konia.

._ Jesteś schwalcem nad wszystkich, rozbroisz kogoś na drodze, zabierzesz konia...

._ Aliści moi druhowie głowy dadzą za mnie!

._ Tak, to prawda — rzekła przygnębiona całkowitą i nagłą utratą nadziei. •— Nie możemy budować naszego życia na czyjejś zgubie. Allah by nam tego nie darował, jeśliby nawet zapomniał o moim przeniewierstwie wobec wiary, rodziców...

._ Muszę przygotować ucieczkę tak, byśmy byli pewni dobrego jej skutku. Pomogą mi w tym druhowie. Umkniemy albo konno, albo nawą z zalewu: na morze i dalej...

— Ach, mężu mój i panie! •— mówiła z istic niewolniczym oddaniem. — Już muszę odejść, bo mnie pilnują. Snadź ten niegodziwiec Selim wzbudził podejrzenie w sercach moich rodziców. Na koniec jeszcze powiem, że będę albo twoja, albo niczyja!

Odczekawszy jakiś czas po jej odejściu, wrócił spiesznie do domu i opowiedział wszystko druhom.

- Przede wszystkim Alima nie powinna stawiać rodzicom oporu w sprawie małżeństwa z Harunem — rzekł po namyśle Marek. — A to dlatego, by uśpić czujność otoczenia.

— Ach, zapomniałem jej to powiedzieć! — zawołał Satanowski. —• Ona przeciwstawi się na pewno, acz tu ojciec to istny władca, możniejszy niżli u nas, a niewiasta niczym.

Alima zaraz po powrocie do domu została wezwana do ojca.

— Siadaj na sofie, córko — rzekł miękko, jak zwykle, gdy rozmawiał z tym ukochanym nad wszystkie dzieckiem. Przyglądał się jej z rozczeniem. Podobna była do swej babki, jego matki, którą bardzo miłował. — Pragnę, aby całe życie była przy mnie. Ale to przecież niemożliwe. Obowiązkiem i przeznaczeniem białołowy jest małżeństwo, macierzyństwo...

Alima rozdygotaną nagle dłonią podniosła z tacy na pobliskim stoliku soczystą figę i poczęła ją żuć nerwowo. Uciekła przy tym z oczyma spod badawczych, lubo czułych spojrzeń ojca.

•—• Obmyśliłem ci los, który uczyni cię jedną z pierwszych kadyn Egiptu, a zarazem nie oderwie cię od mojego domu. Jednym skokiem wielbłąda przemierzy się drogę od twego przyszłego oda-!ku do Dar-el-Amirun. Chodzi mi o twoje małżeństwo z bejem Harunem. Różne okoliczności, a ostatnio wojna z gaurami, odsu-Wafy tę sprawę. Ninie już nic nie stoi na zawadzie, abyś przekro czyła próg jego domu... Ponieważ wybierzemy się wszyscy (ty już jako żona Harun-beja i on- sam, oczywista) na świętą pielgrzymkę do Mekki, uważam, że najdalej w miesiącu Szaban, podczas świąt... Gwałtownym powstaniem z sofy przerwała ojcu potoczystą wypowiedź. Porwała ze stolika czarę z sorbetem i wypła do dna, głośno łykając wonny ożywczy napój, nieostroźnie rozlewając go sobie po brodzie i sukni.

— Co tobie, dziecię? — szepnął z niepokojem. Odstawiła czarę. Patrząc w oczy ojca rzekła:

— Owszem, jest zawada, i to nie do przebycia: mój wstręt do beja Haruna, a w potrzebie •— moja śmierć!

Mudir osłupiał. Chwilę nie mógł dobyć głosu.

— Nie poślubię Harun-beja, nie usłucham twego, panie ojcze, nakazu, choćby za to wszystko miał mnie pokarać Allach. Jeżeli zostanę zmuszona przemocą...

— Milcz! — krzyknął zrywając się z sofy.

Stali chwilę naprzeciw siebie mierząc się oczyma.

— W połowie Szabanu poślubisz Haruna! — wyskandował.

— Nigdy! — zawołała rozpaczliwie.

W jego ręku błysnął kindżał. Wściekłość uczyniła dzikim łagodne zazwyczaj oblicze.

— Zabij, panie! — wycedziła podając pierś do przodu. Cofnął się, opuścił broń, a potem rzucił ją na dywan.

— Bezwstydnico! — dyszał. — Taka hańba; hańba buntu niewiasty przeciw ojcowskiej woli, uświęconej przez Allacha i jego Proroka, jeszcze nigdy nie splamiła naszego bogobojnego rodu... Po tym wszystkim boje się gniewu bożego! O Allach! O Allach!

Wyprostowała się, podniosła wysoko głowę.

— Jeśli będę zmuszona do małżeństwa, zażyję trucizny albo rzucę się na sztylet, albo utopię się czy rzucę z wieży... I niechaj będę potępiona! Niechaj mnie pochłonie Gehenna! Atoli na prześladowców moich spadnie cześć mojej winy!

— O przekłeta! — jęknął zatykając sobie uszy.

Opadł na sofę, oszołomiony tym niesłychanym buntem. Uświadomiwszy sobie, jak miłują tę krnąbrną, bluźnierczą istotę, tak rozczulił się nad sobą, aż zapłakał. Wydała mu się niewdzięcznicą bez sumienia, bezwstydnicą zbuntowaną przeciw łaadowi społecznemu, ustanowionemu przez Allacha i Proroka.

— O, Allach! — biadał. — Starość moją, już niedaleką, własne dziecko zatruje, hańbą nasyci. O, Allach najmędrzy! ty znasz ścieżki każdego żywota. Przecz wykreślasz mi taką, po

której sroniał się będę iść ku swemu przeznaczeniu? Zali dorn nasz postanowiłeś podać we wzgardę ludzką? O Allah, Allah!

Wzruszenie i jej wycisnęło łzy z oczu.

— Ojczy, przebacz! — rzekła przejmująco. — Azali nie możemy zdjąć z siebie gniewu bożego przez dobrowolne porozumienie? Wszak Allah miłosierny i najlichsze stworzenie cieszy się jego łaską. Będzie ją miał i dla nas, jeśli się pogodzimy. Przecie są dziewczki, które nie zaznały męża, sami znamy takowe.

— To hańba, która świadczy o szpetocie ciała lub ducha i o dopuszcie bożym! A ty zadziwiasz urodą i wdziękiem umysłu — wezbrała w Kassimie nowa fala gniewu. — Ach! Precz, nieszczęsna! Idź! Nie wolno ci na krok opuszczać ody!

„Kismet * — myślała wróciwszy do swego apartamentu. — Nie mnie walczyć z przeznaczeniem... Cokolwiek się dzieje, wszystko postanowił Allah, a człowiek nie ma władzy zmienić swego losu” —• powtarzała wpajany jej całe życie pogląd. Ale zaraz otworzył on przed nią furtkę nadziei: „A może właśnie Allah przeznaczył mi ucieczkę? Gdyby tak było, to ni kraty, ni mury, ni warty nie zagroziłyby mi drogi. A jeżeli losem moim jest zostać żoną Stefana, jedyną jego, jak mówi, panią, to tak się stanie, choćbym już nawet była w progu Harunowej łożnicy”. Ale po nadziei przychodziło zwątpienie. I tak na przemian. Weszła nagle do ody Zainab, dawna piastunka Alimy.

— Córuchno —• rzekła czule — kiedy się jest młodą kadyną, to jeszcze nie warto się frasować, a na starość już nie warto.

— Ach, Zainab, Zainab! — jęknęła Alima zalewając się łzami.

— Znowu płacz? Przez całe życie nie wypłakałaś tylu łez, co ostatnio. Na smutek, powiadam ci, dziecino, najlepsza solenna dua 3 do Miłosiernego, Wystucha on każdego.

Zainab pogładziła Alimę po włosach, poprawiła wysadzany perłami tulbencik 3 na głowie, otarła jej łzy z oczu i policzków.

— Nie martw się, córeczko — szeptała z dobrocią. — Allah 1 Kismet (arab.) — przeznaczenie, los.

2 Dua (arab.) — modlitwa.

3 Tulbent, tulbencik (tur.) — zawój na głowę, zwłaszcza kobiecą.

sprawi, że wszystko ułoży się pomyślnie, i ty, tak ninie zafrasowana, zdobędziesz upragnione szczęście. Bywają ludzie, co żyją bez żadnej nadziei, a jednak najlepszy Ojciec przychodzi im z pomocą, choćby nawet obrazili go czym niegodnym.

Alima była zaniepokojona. Słowa powyższe, zdawało się jej, świadczą, że piastunka czegoś się domyśla.

—• Jakąż rozpacz musieli przeżywać nasi pierwsi rodzice? — ciągnęła Zainab swym ciepłym głosem. — Wgnani z Raju przez Pana, pogubili się i rozeszli daleko, każde w inną stronę. Adam powędrował aż na najwyższą górę wyspy Selendib 1. Ewa natomiast do Arabii na brzeg Morza Czerwonego, kędy ninie warownia Joddach... Dwieście lat (dwieście lat, córko droga!) błakali się, szukali wzajemnie, tęsknili za sobą, w rozpacz i trudzie śmiertelnym przeżywając każdy dzień, bez promyka nadziei, bez uśmiechu... Aż widząc ich żal i pokutę Allah skierował kroki Adama i Ewy ku jednemu miejscu: ku górze Arafat koło Mekki, kędy połączył ich na nowo. Pomyśl, córko: dwieście lat rozłąki bez nadziei! A przecie Allah okazał im miłosierdzie, lubo zgrzeszyli ciężko. Allah nie będzie dla ciebie gorszy niżli dla onych pierwszych grzeszników. Bo cóżeś ty winna, dziecino? Pociesz cię, zobaczysz!

— O czym ty myślisz i mówisz? — szepnęła ze zgrozą Alima.

— O miłosierdziu bożym, córko. Nie martw się, ptaszyno. Może już blisko chwila, gdy zapomnisz, że łzy i zgryzota istnieją, gdy uśmiechem jaśnieć będzie liczko twoje...

Zainab przyszła cicho jak dobry duch i równie cicho opuściła komnatę, zostawiając za sobą promyk nadziei. Jej słowa były niczym miękka chusta ocierająca zapłakaną twarz.

Alima pomyślała, że nigdy nie osiągnie beztrioskiego szczęścia, przepowiadanego przez piastunkę. Bo przecie trzeba wyrzec się albo Stefana, albo tego wszystkiego, co tu zostanie. Obydwa wyrzeczenia nader bolesne. A czy pożycie ze Stefanem będzie dostateczną rekompensą za utratę rodziny, stanowiska, kraju? Nazwa „Lehistan” brzmiała do niedawna ponuro w uszach Alimy. Przecie z tym królestwem jej współwyznawcy toczą dżihad, czyli świętą wojnę, nakazaną przez Proroka z woli Allacha. Jeśli tęsknota za Selendib (arab.) — Cejlon.

dławi kochanie, jeśli obcość w dalekim kraju szczęście zamieni w rozpacz, jeśli przekleństwo Allacha obrzydzi ukochanego? A drogi powrotnej nie będzie. Czy kochanie jest źródłem takiej rozterki? Jak dotąd dało ono Alimie tylko krótkie chwile szczęścia i długie dni udręki. Rozmyślenia przerwało wejście matki.

— Rozmawiałam z ojcem — oznajmiła Sara opanowując wzburzenie. — Wyjawiał mi przebieg waszego spotkania.

Alima przymknęła oczy. A więc jeszcze jeden atak!

— Pojmuję, że nie raduje cię opuszczenie domu — przemówiła znów Sara. — Pojmuję nawet twoją niechęć do Harun-beja. Ale jesteś na tyle dojrzała, by wiedzieć, że twoje afekta nie będą brane w rachubę! Nie ma na ogół kobiet pragnących małżeństwa. Nie powinny przeto wychodzić za mąż, tak? Miałam cię za rozumniejszą. W przyszłości zrozumiesz, że lepiej białogłowie poślubić człowieka niemiłego sercu niż miłego... A teraz idź przeprosić dostojnego ojca, który wielce boleje nad twoim bezwstydem.

Alima już zapanowała nad sobą, okrzepła.

— Nigdy nie zostanę żoną beja Haruna! — rzekła twardo. — Zali mogę prosić jego dostojność o przebaczenie, skoro odmawiam i nie przestanę odmawiać spełnienia jego woli?

— Milcz, bezwstydna! — krzyknęła Sara unosząc się jak nigdy. — To hańba, jakiej nasz ród nie zna! Pod tym się coś kryje!

— Nie! Nie! — krzyknęła Alima przerażona jej domyślnością. Sara wyszła z pałającymi policzkami.

Alima rzuciła się na sofę i tuląc twarz w pokryte brokatem poduszki, łkała — po raz już któryś dnia tego.

Przez następne dni nie mogła wyjść na spotkanie ze Stefanem. Dopiero gdy ojciec wypłynął na morze, a stryj wyjechał do Ain-el-Faras i gdy w związku z tym rygor domowy złagodniał, podążyła na schadzki, upatrzywszy sposobną chwilę. — Nikt nie strzeże teraz odaliku. Może mnie kto śledzi... - Któż by?

Moja matka — odparła z przykrością — albo twoi wrogowie: Selim, Fuad, Muharrem... Zali możebne? Cóżem im zawinił?

1 Oni was nienawidzą. Ponoć boją się, abyście nie zajęli czo-owych miejsc na naszym dworze, przyjąwszy islam.

Satanowski był zdumiony. Nigdy mu to nie przyszło do głowy. Spotkali się z Alimą jeszcze kilka razy bez przeszkód. Ta łatwość niepokoiła ich jednak.

— Spiesz się z ucieczką, bo najlepszy czas mija! — naglił Stefana Jąkimowski.

Ale zarówno Stefan, jak Alima, nie mogli zdobyć się na decyzje, żywiąc najróżniejsze zastrzeżenia i skrupuły.

Jąkimowski natomiast miał już całkiem wolne ręce.

Idąc pewnego razu przez ogród, natknął się w gąszczu na Fatmę, której już dawno nie widział.

— Czekam na ciebie — rzekła trwożnie. — Widzimy się ostatni raz. Nie próbuj spotkać się ze mną, zaklinam!

— Jak to? Fatmo?

— Czuję się śledzona. Boję się, boję! Żegnaj!

— Poczekaj chwilę! — szepnął biorąc ją za rękę. Wyrwała się i znikła w gęstwinie.

Poczuł się bardzo nieswojo. Po namyśle doszedł do przekonania, że tak będzie najlepiej. To wszystko nie miało sensu i, jak twierdzi Stefan, było nader szpetne. Marek, acz niezbyt gorliwy w religijności, ale nieodrodny pod pewnymi względami syn swego ojca, postanowił skwitować grzeszny stosunek z Fatmą i oczywiście sumienie spowiedzią. Księdza znajdzie się chyba w Damiacie. Są tam jacyś Koptowie i, też ponoć chrześcijanie, utrzymujący swego jakby papieża w Aleksandrii. Jeśli katolickiego kapłana nie będzie, to za następnym pobylem w Stambule oczyści się duszę w którymś z tamtejszych kościołów.

Tak, Marek miał lżejsze zagadnienia duszne i łatwiejsze sposoby niż Stefan. Bo ten, dla przykładu, miał teraz nowe skrupuły:

— Zdradzimy tego poczciwego Kassim-bega. On dla nas dobry, z bogactw nam pomaga, a my wykradniemy mu ukochaną córkę, pogwałcimy jego mahomeckie wierzenia, prawa, moralność...

— Właśnie! — warknął Jąkimowski. — A on, poganin, pyta, czy niewiasty, które porywa lub kupuje, chcą być nałożnicami muzułmanów? On dobry? On jeno płaci dług za bój na .wydmach. Mam go tylko za dłużnika. Takowy żółtek nie chrzczony, a śmie i Koptowie — chrześcijanie, chamiccy potomkowie starożytnych Egipcjan; obecnie mają własny „Kościół Koptyjski”. Koptowie wraz z fellachami muzułmanami stanowią rdzenną ludność Egiptu. nas, szlachciców polskich, traktować niby służebników! O, nie-doczekanie twoje, poganinie! Takiego ci szpasa utniem, że popamiętasz nas jeszcze w tej swojej zafajdanej Gehennie!

— Mam jednak skrupuły i względem kadyn Sary.

— To po co medytujesz nad porwaniem? Ty zawsze głową kręcisz we wszystkie strony: pójść czy nie pójść, zrobić czy nie zrobić, jńoże to dobre, a może złe... Krok naprzód, potem krok w tył, naprzód i w tył, naprzód i w tył... Trzeba mieć postanowienie. Chcę dziewczki, to ją biorę. Albo się jej wyrzekam.

— A! z tobą gadanie!

— Może i żadne. Ale to ja muszę całą imprezę urządzić. Bo ty jeno gadasz o porwaniu Alimy! A czyni? W taki sposób sto lat możemy przyglądać się balkonowi Alimy i wachać kwiatki koło ruin dżamiji. Trzeba działać! Ninie znów jest okazja: nie ma Kassima ani Mahmeda, ani Kara Nuruma. Trzeba się zdecydować! Umów się z Alimą, a już ja wszystko urządzę.

— Jakiś ty zacny, Marku!

Po powrocie Jana od rybaków naradzili się w trzech.

— To prosta sprawa — ocenił Marek, który w niczym nie znał przeszkód. — Ja i Jan weźmiemy ze stajni najściglejsze konie. Ty, Stefanie, spotkasz się z Alimą w ruinach meczetu, po czym za gajem daktylowym domkniecie do nas u zachodniego skraju Esbe. Dosiądziem niedźdów i wiatr nas nie dogoni! A jeśli chodzi o peri-cula i, to z gorszych fby unosiliśmy. Można ująć bodaj jutro rano!

Bojąc się o Alimę, Stefan widział trudne przeszkody.

— No to siedźmy na zadach i nie zwracajmy głowy! — huknął . Marek. — Ty się doczekasz, że nie będzie żadnych możliwości.

— Więc rozkazuj — rzekł Stefan z determinacją.

— Biegnij umówić się z Alimą na jutro o świcie. Stefan bez oporu spełnił polecenie. Przechadzając się w gęstwinie na prost okien Alimy, doczekał S1? jej wyjścia na balkon. Spomiędzy krzewów, dla niej tylko widzialny, dał ręką umówiony na schodkach znak, by przybyła natychmiast w ruiny meczetu, gdyż chodzi o ucieczkę. Gestem wyraziła zgodę. Pośpieszył więc na miejsce spotkania.

Alima miała właśnie wyjść, gdy zagrały rogi a bębny i na dziei Pericula (łac.) — niebezpieczeństwa.

Kawaler złotej ostrogi dziniec wjechał na czele orszaku Kassim-beg, wróciwszy z pławby patrolowej. Na domiar w drzwiach stanęła Sara.

— Dokąd się wybierasz, Alimo?

— Na przechadzkę po parku —• odparła zapytana czerwieniejąc. Matka popatrzyła na nią badawczo.

— Wrócił właśnie dostojny ojciec. Chodźmy go powitać, Alimo. Mudira powitała cała rodzina. Każdemu rzekł miłe słowo, każdemu wręczył upominek z podróży.

— Ty, Alimo, przyjdź zaraz do mojej komnaty — szepnął. Bez obmycia się i przebrania przyjął córkę.

— Radaś z klejnociku, jaki ci dałem? — spytał dobrotliwie.

— O, tak, cudny! Dzięki ci, ojcze, za niego i za pamięć!

— Zapomniałaś o czymś — rzekł marszcząc nagle brwi.

— O czym? Nie rozumiem.

— Nie przeprosiłaś mnie, Alimo.

Przymknęła oczy jakby z bólu i odpowiedziała cicho:

—• Przebacz mi, ojcze, i wierzaj, że nie chciałam cię urazić.

— Odwołujesz więc niedorzeczności, jakie wtedy wygłosiłaś? Kredowotolada, cofnęła się mimowolnie do drzwi i z istnym bohaterstwem, bo opanowała obezwładniające przerażenie, odparła:

— Nie, ojcze. Niczego odwołać nje mogę.

Zatrzepotał rękami, jakby mu tchu zabrakło, opadł na sofę.

— O Allah! Allah! Zesłałeś hańbę na mój bogobojny dom! Jakże ludziom w oczy spojrzę mając taką nędznicę za córkę? Bez-wstydnico! Wyrodna dziewczko! Każę cię związać i pod nogi rzucę Harun-bejowi nie jako żonę, lecz jako niewolnicę! Przedtem jednak w lochu będziesz rozmyślać o grzechu nieposłuszeństwa.

—• Wtrąć mnie, panie, do wieży: tam będę szczęśliwsza, bo chociaż wolna od upiora Haruna.

— Hej, służba! do mnie! — huknął potężnie. Zamiast służby wbiegła do pokoju roztrzęsiona Sara.

— Podstuchiwałaś! •—• syknął.

— Tak, panie — przyznała się Sara odważnie.

—• Oto jak wychowałaś swoją córkę. Hej, służba!

Potrząsnął dzwonkiem wziętym ze stolika. Sara ze zrównoważonej damy przeistoczyła się w drapieżną wojowniczkę. Schwyciła męża za rękę z dzwonkiem.

— Co chcesz uczynić?

— Wtrąć ją do wieży, jako sama chce. Hej, służba!

Nikt jakoś nie biegł na wezwanie. Sara zaś padła na kolana, błagalnie złożyła dłonie i wołała zbielełymi ustami:

— Meżu mój! Na pamięć naszej miłości, na dzieci nasze

zaklinani cię: nie przeklinaj jej jeszcze, nie karz, lubo masz za sobą prawo ojca i mudira!

Pozwól jej opamiętać się z szaleństwa, jakie ją nawiedziło! Zawsze bywałeś łaskawy dla niej.

Otarł czoło z potu i syknął:

— Precz z nią! Niech czeka na moje postanowienie!

Alima wyszła płacząc. U drzwi jej komnat kręcili się ludzie nasłani przez Selima, który znał troski pana. Jak napiętnowana przestępczyni minęła ich z oczyma wbitymi w posadzkę.

Tymczasem Kassim-beg, wypiwszy czarbkę kawy i zapaliwszy fajkę, uspokoił się na tyle, że mógł wznowić rozmowę z żoną.

•— Czego chcesz, Saro? — spytał nerwowo.

— Chcę doradzić, byś natychmiast wysłał nas do Batn-el-Bak-ra. Tam Alima przemyśli wszystko. Odłóżmy jej gody z Harun--bejem na czas po Nowym Roku. Może łaska boża odmieni jej duszę podczas świętej pielgrzymki do Mekki, którą w Kairze rozpoznam uroczyście.

Już w parę godzin potem karawana pod przewodnictwem Kara Nuruma uwiozła Alimę do Batn-el-Bakra.

Wieść o niesnaskach w domu bega obiegła szybko całą Esbę!

Ale Satanowski o niczym nie wiedział, czekając na Alimę w gruzach meczetu. Coraz wdrapywał się na zrujnowany minaret i wypatrywał. Ale nie zauważył nic szczególnego, nawet wyjazdu bega.

Zrozumiał wreszcie, że musiało zająć coś złego. Ale nim opuścił niefortunne czaty, nadszedł niespodziewanie Marek.

— Jakem przepowiadał, okazja minęła — oznajmił. — Wrócił mudir i wysłał Alimę do Batn-el-Bakra.

Satanowski popędził ku pałacowi. Marek pobiegł za nim, chcąc być pod ręką przyjacielowi skłonnemu do karkołomnych hazardów. Przed bramą spotkali Stołczyne jadącego konno.

•—• Daj mi konia! — zawołał doń Stefan.

Jan posłusznie zeskoczył z siodła. Ale Marek chwycił cugle i zagroził drogę Stefanowi.

— Ani kroku dalej! Wracamy! — rzekł władczo. — Nie pozwolę 26*

ci popsować wszystkiego. Przebojem tu niczego nie zdziałamy. Trzeba fortem, z rozwagą...

— W tobie nadzieja — rzekł ufnie Stefan.

Nieraz jeszcze w dniach następnych rwał się jechać pod Batn--el-Bakra. Zawsze jednak powstrzymali go przyjaciele.

— Zdradzisz się i będzie gorzej. Tak marudziłeś, przepadło tyle sposobności, poczekaj więc jeszcze trochę.

Stefan nie mógł sobie znaleźć miejsca. Szczęściem dlań były teraz ćwiczebne pławby po zalewie i wybrzeżu morskim, odprawiane wraz z druhami i nowo wyuczonymi majtkami z Esbe. Toteż niechętnie wracał do Dar-el-Amirun: tu popadał w depresję.

Pewna rozmowa z Uriaszem wpłynęła na jego plany.

— Zbliża się miesiąc Ramadan i wierni ruszą na świętą pielgrzymkę do Mekki i Medyny — rzekł niedoszły hafiz. — Mógłbyś i ty, synu, zaznać uświęcającej łaski boskiej jako hadździ.

— Jakże to? — zdziwił się Satanowski.

—• Poznajomiłem cię nieco z zasadami prawdziwej wiary. Znasz już pięć jej arkan, resztę poznasz później. Mógłbyś już przystąpić do społeczności moslemim. Od razu by ci się życie odmieniło na lepsze. A przecie wystarczy, abyś przy świadkach w urzędzie ka-diego wyznał kilkakrotnie szahadę: „la illaha ilallah Muhamma-dun rasul allahi"... — A jak odbywa się ona pielgrzymkę?

—• Wszystkimi drogami, ze wszech stron świata, gdzie jeno słowo Mahometa dociera, wierni lądem i morzem, na koniach, osłach i wielbłądach a pieszo dążą do świętej Mekki (oby świeciła wiecznie ludzkości niby słońce życiodajne!). Po drodze niektóre zbrodnicze plemiona beduińskie, w swej nieświadomości nie bojąc się gniewu Allacha, napadają na pielgrzymów. Krew się leje po żółtym piasku. Ale kto z pobożnych zginie podczas tej służby bożej, idzie do Al-Dżainat jako męczennik... Czasem karawanę, napadniętą przez pustynnych zbójów, ogarnia zamęt, iż się ona ledwie pozbiera. Ileż razy pobożnych pielgrzymów uratuje od zguby ręka Allacha i poprowadzi dalej spokojnie do świętych miejsc!

—• A kto z Dar-el-Amirun weźmie udział w pielgrzymce?

1 Hadździ (arab.) — mahometański pielgrzym do Mekki.

Szahada (arab.) — wyznanie wiary: „Allah jest bogiem, a Mahomet Jego prorokiem".

••— Cała rodzina jego wspaniałości, hakim Meram, Selim, Mu-harrem, Fuad, ja... Dostojny beg raczył mi mówić, że idą na pielgrzymkę panie małżonki. Sara, Aisa, Dina, Fatma. A z córek dostojnie panny: Alima i Miriam. O, wielkie łaski boże czekają dom, który tylu hadźdżich jednego rodu wyda! Satanowskiego olśniła nagła myśl.

— Wybacz, Uriasz, ale muszę odejść, bo w domu mam pracę. —• Czymże praca wobec słowa bożego? Przemyśl, com rzekł! Stefan pobiegł do druhów i powtórzył rozmowę z Uriaszem.

— W zamęcie pochodu i walk porwiemy Alimę — dodał. — Nikt by się nawet nie domyślił, że to my.

•—• Przednia myśl! —• pochwalił Stołczyzna. — A wiecie wy, że okolica aż się trzęsie od wieści, że Alimę zły duch opętał i ojciec pragnie, by w Mekce łaskę Allacha zdobyła? > W następnej rozmowie z Uriaszem Satanowski poprosił:

—• Opowiedz mi trochę o tym waszym hadźdżu.

Uriasza ucieszyła ta prośba. Dotąd, zdawało się, „prawdziwa wiara” była kafirowi dość obojętna.

— Mógłbyś sam najlepiej obaczyć wszystko, synu.

— Tedy wybiorę się z wami.

— O nie, mój drogi! Giaurowi pod karą śmierci nie wolno wejść w święte mury Mekki czy Medyny! Złóż publiczne wyznanie wiary, jako ci zawsze radzę. Znasz przecie pięć podstawowych arkan naszej religii: szahada, sałat², zakat³ i hadźdż⁴. Pielgrzymkę każdy muzułmanin powinien odbyć chociaż raz w życiu! Opuszczając dom winien pielgrzym uporządkować swe sprawy domowe i publiczne tak, jakby spodziewał się śmierci. Na wyruszenie z domu wybiera się te dni tygodnia: salasa ⁵,chamis ⁶ albo sebt⁷. Nie wolno w inne dni! Czasem wyznaczonym na hadźdż ¹ Sałat (arab.) — codzienna pięciokrotna modlitwa mahom., stanowiąca zespół przepisanych czynności, formuł, ruchów, skłonów, wymawiania tekstów itd.

² Zakat (arab.) — jałmużna, danina na cele dobroczynne, podatek.

³ Saum (arab.) — post, powstrzymanie się od jedzenia, picia, palenia.

⁴ Hadźdż (arab.) — doroczna pielgrzymka relig. do Mekki.

⁵ Salasa (tur.) — jaum el thalata (arab.) — wtorek.

⁸ Chamis (tur.) — jaum el chamis (arab.) — czwartek. ⁷ Sebt (tur.) — jaum el sebt (arab.) — sobota.

są właściwie miesiące Ramadan, Szewwal¹, Silkade i Silhidze, ale i wcześniej poczynają ludzie świętą pielgrzymkę, zwłaszcza dalej od Mekki żyjący, tak że cały okres pątniczny siedem obejmuje miesiący.

— A cóż to jest ona Kaab? — zapytał Satanowski.

._ Pamiętasz przypowieść o wygnaniu z Raju pierwszych rodziców i ich rozłące trwającej lat dwieście? — Otóż gdy się znowu połączyli na górze Arafat, Adam uprosił Allacha o zesłanie ołtarza, u jakiego modlił się był w Raju. Aniołowie znieśli mu z nieba ołtarz zbudowany z obłoków. Po śmierci Adama ołtarz uniesiony został do nieba. Atoli syn Adama, Set, zbudował tu ołtarz z kamienia, który potem w potopie zniszczał. W czasach patriarchy Abrahama, gdy Hagar z synem Izmaelem błąkali się po pustyni konając z pragnienia, wskazał im anioł studnię blisko miejsca, gdzie ongi stał ołtarz. To studnia Zem-Zem wedle Kaaby, studnia, którą moslemim, potomkowie Izmaela, uważają za świętą. Potem zbudowano tu Mekkę. Izmael, dorósłszy, pojął za żonę córkę miejscowego księcia i liczne miał potomstwo. Z nakazu Allacha zbudował Kaabę tam, kędy stał niegdyś ołtarz z obłoków. W zbożnej pracy pomagał mu ojciec, Abraham. Pewnego razu pojawił się 'archanioł Gabriel niosąc kamień, który razem z Adamem zesłany na ziemię w dniu stworzenia, zaginął w mule potopu. Obaj budowniczo wie głąz ten wmurowali w zewnętrzną ścianę Kaaby, gdzie dotąd tkwi, a pielgrzymi z całego świata całują go z pokorą. Kamień był przezroczystym hiacyntem², ale od pocałunków ust grzesznych szerniał. Na dniu zmartwychwstania jednak odzyska pierwotną czystość... A w czas hadźdżu nienawistne sobie plemiona zawieszają oręż: nastaje pokój boży. Wierni spokojnie pielgrzymują do Mekki, by dotknąć wargami świętego kamienia i na-, pić się uzdrawiającej wody z Zem-Zem na pamiątkę, że Izmael, nasz wielki praojciec, do życia ona wodą przywrócony ostał.

— Przecie Beduini napadają na pątników — zaoponował Polak.

— To jeno poganie ślepi na światło prawdziwej wiary. Bo, trzeł Szewwal (arab.-tur.) — X miesiąc roku w kalendarzu arabskim i tureckim, mający 29 dni.

2 Hiacynt (gr.) tu: odmiana cyrkonu (pierwszego metalu), przezroczysta, stanowiąca drogic kamienie niższego rzędu.

ba ci wiedzieć, Beduinów takich jeszcze wielu, choć już 1031 rok hedżry i tyleż trwa lat rzetelna cześć Allacha.

— A jak rodzina mudira hadźdz pocznie spod Kairu?

— Właśnie od Kairu ciągnie jedna z trzech głównych karawan (bo i z Damaszku a Bagdadu takoz). Jego wspaniałość pociągnie do Kairu. A z nim my wszyscy, co udział w hadźdzu weźmiemy. Pielgrzymka z Kairu wyrusza zwykle około dwudziestego piątego dnia miesiąca Szewwal. Uroczystość to taka, że człek omal skrzydeł nie dostaje, by wzniesć się do tronu Allacha.

Stefan długo jeszcze wyciągał z Uriasza wiadomości dotyczące pielgrzymki, jak zachować się podczas jej trwania, jak spełniać wszelkie obrządki. Stary muzułmanin był już pewny, że kafir przejdzie na islam. Satanowskiemu, wielkiemu skrupulatowi, nijako wprawdzie było zwodzić naiwnego Uriasza, musiał jednak choć trochę poznać tajniki hadźdzu, by nie zginąć z rąk pątników.

•—t, Dziwno mi — powiedział — że mudir bierze rodzinę w tak niebezpieczną podróż. Niedawno przecie rodzina ta ledwie uniosła głowy z wydm Kantara el-Hasne.

Uriasz zaśmiał się dobrodusznie i rzekł:

•— Bądź spokojny, synu. Dostojny pan umie wyciągać nauki z każdego doświadczenia. Wysłał on do Batn-el-Bakra potężną eskortę, a w pielgrzymkę pociągnie z jeszcze potężniejszą. Zaręczam ci: mucha nie doleci do kadyn czy dzieci jego wspaniałości.

•— Ale jak się będziecie bić z napastnikami — zadrwił Polak — skoro, sam powiadasz, pątnik musi podczas hadźdzu unikać kłótni, znosić cierpliwie urazy, nie zabijając nawet owadów?

— Owszem, trzeba zachować skupienie, skromność, dobroć. Ale wolno bronić się przed zbójem, kąśliwym psem, drapieżnym ptakiem, skorpionem. W tych wypadkach nie ma zakazu zażywać oręża.

Stefan bezzwłocznie zdał druhom sprawę z rozmowy.

— Beg lada chwila wyruszy na krótką, ostatnią przed wyjazdem do Kairu pławbę — rzekł Jakimowski. — Już dniami a nocami karawany pątników idą tędy na punkta zborne: do Kairu, na Synaj. Trzeba uprzedzić o naszych zamiarach Alimę.

Odjazd bega nastąpił rychlej, niż się spodziewano, a to z powodu niezwykłych wieści z Turcji.

W Stambule został zamordowany przez janczarów sułtan Os mań II, a krwawa rewolta wyniosła ponownie na tron obalonego przed czterema laty Mustafę I, miejsce Dilawera zaś na stolcu wielkiego wezyra zajął Dziurdzi.

Kassim popadł w rozterkę. Nie wiedział, czy od razu pokłonić się nowym gwiazdom, czy poczekać na ustalenie ich blasku. Modlił się, szukał przepowiedni u mułłów i wróżek, medytował...

Postanowił wreszcie udać się do Stambułu, a po drodze jeszcze przemyśleć sprawę i w różnych portach zasięgnąć języka, po czym w razie potrzeby — przyspieszyć lub opóźnić powitanie nowego monarchy. Nie rozgłaszał przy tym nowiny ni obwieszczał publicznej żałoby: niech się to lepiej stanie po jego wyjeździe. Jednocześnie wysłał gońców do Ain-el-Faras z wezwaniem, aby Mah-med wracał natychmiast do Dar-el-Amirun, zajął się interesami i zastępował go podczas obecnego rejsu, a następnie pielgrzymki.

Zanim wsiadł na okręt, wysłał tombazem do Batn-el-Bakra trzech Polaków i medyka Merama. Na to tylko czekali!

Tombaz załadowano żywnością, jakimiś rzadkimi nasionami dla tamtejszego czytlika oraz drogimi materiałami i sprzętami dla kadyn, przywiezionymi przez bega z Grecji. Kilkunastu majtków i żołdatów nubijskich stanowiło załogę statku, poddaną dowództwu Jakimowskiego, którego mudir uważał na najlepszego żeglarza.

— W Batn-el-Bakara czekajcie na mnie — zakończył odprawę. — Podczas hadźdzu będziecie pod przewodem dostojnego beja Mahmeda strzec Dar-el-Amirun. Po powrocie z Batn-el-Bakra obejmiecie galery „Narun” i „Zaim”, które mają patrolować szlak libijski. Skończycie, tuszę, z piratami, a zwłaszcza z okrutnym Hiszpanem Pablo Jarraną, dającym się we znaki na Mię-dzyziemnym Morzu.

Polacy już słyszeli nieraz to nazwisko. Jego rozgłos wzbudzał zazdrość Jakimowskiego, skrętnie ukrywaną. Aż dziw, ale Markowej żądzy nie znali nawet bracia ślubni.

„Jarraną żyje poty, póki się ze mną nie spotkał” — myślał złowrogo.

XI Pogoda była dobra, wiatr o tej porze zwykle od północo-zachodu i wiosła sprawne, więc chociaż woda niska i pod prąd, płynęli rażno Damiatem, czyli wschodnią odnogą Nilu, na południe. Mijały ich liczne statki kupieckie, dążące w obie strony. Z każdą niemal godziną stawało się coraz cieplej. Toń była na ogół przezroczysta, ale coraz przechodziła cuchnąca zgnilizną falą, albowiem należało spodziewać się rychłego napływu „zielonych wód”, poprzedzających przybór Nilu.

Na brzegach niezmiernie gęsto osadzone były wsie. Wznoszone na wysokich pagórkach, ludzką ręką sypanych, łączyły się z sobą groblami stanowiącymi drogi podczas wylewu. Przy ujściu Nilu do morza bywa sporo deszczów, przeto i warunki przyrodzone dobre. Atoli im bardziej na południe, tym aura staje się suchsza, więc i woda nilowa dla ról cenniejsza.

•—• Te groble takowym porządkiem sypane — gawędził Meram, który był Egipcjaninem i ogromnie lubił mówić o swoim kraju —• że gdy puści się woda jedną groblą (upustem albo przekopem), rzeka część ról zalewa. Kiedy je namoczy, puszcza się wodę na- •' stępną, niższą groblą. I tak, aż wszystkie ziemia namoknie.

Podziw majtków dla nieuchwytnego pirata hiszpańskiego, Pabla Jarrany, wzbudził w Marku zazdrość tak samo, jak ostatnie o nim słowa Kassim-bega. Zawiedziony na życiu Jakimowski spodziewał się wiele po obiecanych przez mudira galerach, — Chciałbym wrócić do Polski już nie takim chudopachołkiem, jakim byłem — wyznawał nieraz druhom.

„A ja?” — myślał Jan. — „Do czego ja mam dążyć po tym wszystkim? Tu, u niewiernych, wydaje mi się sprawiedliwiej niż w krajach chrześcijańskich.”

Satanowski nie trzymał się wcale ziemi. Myśli miał podniebne. Rozkoszował się krajobrazem i bliskim spotkaniem z Alimą.

Widzieli nieraz w oddali złożone z setek wielbłądów karawany, ciągnące w różne strony.

Widzieli pątników, dążących zawczasu na punkt zborny w Kairze, skąd szła jedna z głównych pielgrzymek do Mekki. Na bezludnych odcinkach drogi widzieli znów rzeczy całkiem odmienne od tamtych. Po błotnistych brzegach rzeki brodziły stadami różowe czerwonaki na wysokich purpurowych no gach, wielkie i ciężkie pelikany, białe ibisy o granatowych lotkach, czczone przez starożytnych Egipcjan ptaki, których przylot w te strony ponoć przybór wody zwiastuje. Z sitowi przybrzeżnych zagwizdały czasem złociste kuliki o białych ogonach.

Zarośla nadbrzeżne i wodorosty trzęsły się od wszelakiego żywiołu. Czasem rozdarł powierzchnię wody zrogowaciały grzbiet krokodyla. Czasem wygramolił się na brzeg ogromny, ociężały koń rzeczny. Tu a ówdzie wygarnęli z rusznic i muszkietów do nilowego zwierza, ale daremnie. Po prawdzie woleli mu się przyglądać. Po obu stronach rzeki, jak okiem sięgnąć, wypasały się na błoniach stada bawołów, krów, owiec, koni, osłów, mułów, wielbłądów... i — Bacność, efendi! •— ostrzegali Jakimowskiego majtkowie Turcy. — Zwłaszcza nocą! Bo Egipcjanie wierutni napastnicy! Pod wodą taki przepłynie do nawy, a co ułapi, to do wody we-wlecze. Ba! człowieka z pokładu ściągną, utopia i z sukien obedną. Albo wdrapią się na pokład i pobiją niebaczących żeglarzy.

Napastliwości Egipcjan nie doświadczyli, ale podziwiali nadzwyczajną umiejętność pływania. Nieraz rój ich cały nurkował nie opodal tombazu ze zdumiewającą zręcznością. Raz po raz wynurzali się na powierzchnię z rybami w ten sposób ułowionymi w rękach, po czym rzucali je towarzyszom na brzeg.

— Smaczne to ryby, ale niezdrowe i ludziom szkodzą, bo Nil gliną idzie, a nie kamieniem — twierdził Meram. — Ale woda zdrowa, gdyż płynie krętym korytem kilkaset mil, przez obadwa zwrotniki, aż z Gór Księżycowych *, przeto wielka gorącość wszystkie złe wilgotności z niej wyciągnie.

Pewnego dnia pod wieczór w szarozłotawej dali, prześwietlonej ukośnymi promieniami zachodzącego słońca, na widnokregu, uczony hakim wskazał Polakom ciemne stożki i wyjaśnił:

— Po wschodniej stronie Nilu mamy Kair, po zachodniej, nieco za Kairem — owe sławne pyramides w Gizeh, fabryki grobowe faraonów. Wybierzemy się tam kiedyś. Jego wspaniałość wysłał mnie tutaj również po to, bym dostojnym kadynom był przewodnikiem w wycieczkach po tej cudnej krainie od Gizeh do el-Lahun, kędy drzemie świetność Egiptu, zaklęta w wielkopomne głązy.

Źródła Nilu były aż do XIX wieku nie znane; nazwę Gór Księżycowych Prowadził Ptolemeusz, najznakomitszy geograf, astronom i matematyk starożytności, żyjący w Egipcie w II w.n.e.

Z pokładu nawy widzieli od pewnego już czasu, coraz bliżej, drugą rzekę, miejscami równoległą do Damiatu, którym płynęli. Był to Raszid, zachodnia odnoga Nilu.

Żarki dech ze wschodu i zachodu przyganiał chwilami tumany pyłu na dolinę rzeki, na wodę samą, wyciskał pot z czoł. Toń stawała się coraz mętniejsza w miarę upływu czasu i drogi: nadejdą więc lada chwila „wody zielone” może już jutro, pojutrze.

Batn-el-Bakra było żyzną równiną, na której Nil rozdzielał się w dwie odnogi: Damiat i Raszid. W samym rozwidleniu, nie opodal bagien graniczących z uprawnymi polami czyftliku Kassim--bega, stało kamienne domostwo, podobne do rezydencji w Ain--el-Faras. Siedzibę ową z trzech stron obejmowały nilowe odnogi, a że wszystkich — wielki ogród. Na bagnach rosła trzcina cukrowa.

Alima zobaczyła z okna tombaz, nim przybił on do przystani.

Poznała też Stefana wypatrującego zza burty.

Zarządca czyftliku przyjął dostarczone rzeczy, Kara Nurum powitał przybyszów. Jakimowski na posłuchaniu wręczył Sarze list od męża i przekazał ustne jego polecenia.

Alima po jego wyjściu uprosiła matkę o pozwolenie na wycieczkę pod przewodem uczonego Merama.

Nazajutrz wsiedli na tombaz Alima z siostrą i braćmi, Zainab oraz kilkoro służebnych i kilkunastu sulaków l tureckich z Kara • Nurumem na czele. Zabrano też lektyki dla kadyn. Jednocześnie lądem, zachodnim brzegiem Nilu, pociągnęli konno semenowie, wiodąc luźne muły i wielbłądy, których tombaz nie mógł pomieścić.

Pomimo tak licznej asysty Satanowskiemu udało się podczas pławby przeprowadzić sam na sam z Alima krótką rozmowę.

— Uciekniemy podczas hadźdzu, bo ninie żadnego nie ma sposobu — rzekł. — Zgadzasz się?

— O Allah! — jęknęła — przecie już wtedy chciałam...

— W czasie hadźdzu każdego dnia bądź gotowa, a w kolumnie pątników zawsze trzymaj się końca orszaku ojca...

— Nie mogę darować matce, że nie broni mnie, ale wręcz zmusza do poślubienia obrzydłego rozpustnika i podleca.

i 1 Sulak — janczar przyboczny. Musieli przerwać rozmowę, bo podeszła Zainab.

— O czym gawędziliście? — spytała po odejściu Stefana.

— O niczym — odparła szorstko Alima.

— Nie powinnaś wdawać się w rozmowy z kafirami.

— Przecie to mój wybawca! Gdyby nie on, moje kości białaby na piaskach synajskich.

— Obowiązkiem niewolnika i sulaka jest...

— On nie jest już niewolnikiem — przerwała Alima. — Tacy bywają nawet ministrami na dworze padyszacha.

— Owszem — przytaknęła Zainab z drwiną w głosie.

Ponad trzy mile, dzielące Batn-el-Bakra od stolicy, przebyli nader szybko. Już z daleka ujrzeni na wschodnim brzegu Nilu najpierw niebotyczne minarety a pękate kopuły meczetów i wyniosłe gniazdo kamienne cittedelli¹, a potem szarą masę pospolitych zabudowań Kairu, ujętą od wschodu łukiem gór Mokattam, aż i dalej na południe, po zachodniej stronie rzeki —

- dalekie piramidy.

W Bulak, rzeczonym porcie kairskim, stało, przyplływało i odpływało mnóstwo przeróżnych statków. Ładowano i wyładowywano najrozmaitsze kupie, handlowano na rojnych, zawalonych towarami nabrzeżach. W tłumie kupców, właścicieli naw, hammalów² i przechodniów nurkowali wścibscy celnicy, namolnie zagląający w każdy kąt, skrzynie, beczki, kieszenie i turbany w poszukiwaniu towarów do oclenia. Łodzie celników już gotowe były obskoczyć tombaz prowadzony przez Jakimowskiego. Ale ochroniły go od natrętów sandżaki³ damiatyńskiego. mudira i bogato haftowany poklat⁴, rozpięty nad statkiem dla cienia w czasie upału.

Na bulakskim nabrzeżu czekali już semenowie wysłani ładem. Wycieczkowicze wysiedli na brzeg. Przy niskim stanie wód mający dość znaczne zanurzenie tombaz nie mógłby przybić do przeciwnego, zachodniego brzegu Nilu. Aby dojechać do Gizeh, trzeba było pociągnąć miastem, a potem przeprowić się płytkim promem na drugą stronę rzeki. Tombaz został pod opieką szypra i majtków.

Kadyny w lektykach, służebnicy na mułach, zbrojni konno i na Wielbłędach, przedzierając się przez gawieź portową, wpatrzoną Cittadella (wł.) — cytadela, rodzaj warowni strzegącej miasto. Hammal — tragarz egipski. ' Sandżak (tur.) — tu: chorągiew. Poklat — dach, baldachim rozpięty nad statkiem.

w okazały orszak damiatyński, ruszyli ku staremu Kairovi odległemu od nowego o dwie może wiorsty. Stąd przeprowili się l promami na zachodnią stronę Nilu. Od brzegu do piramid w Gizeh było jeszcze z milę. Kadyny odbyły tę drogę na mułach.

Zdumieni się wszyscy na widok przygważdżających skalne wzgórze kamiennych olbrzymów, spiętrzonych nad ruinami przedwiecznej nekropolii¹. Biła od nich potęga nieśmiertelności. Prawie nikt z obecnych jeszcze nigdy tu nie był. W gromadzie uczyniło się cicho. Uczony Meram, Egipcjanin, jedyny z całego grona bywalec tych miejsc, długo w milczeniu sycił się podziwem towarzyszy. Wśród nich byli wszak Turcy, których drapieżne cesarstwo panowało od stu lat² nad podbitym Egipsem.

— Ta metropolia³ nieśmiertelnych dzieł świadczy, że Egipt jest ; wieczny i niepożyty — rzekł wreszcie wzruszonym głosem. — Niepożyty jako te budowle, nad którymi przechodzą tysiąclecia, burze, nieszczęścia...

Stali właśnie przed ogromną szarą ścianą największej piramidy⁴, otoczonej prawie całkiem rzędami grobowców '— złomów, skalnych, pokrytych w znacznej mierze piaskiem. Ściana ta, zasłaniająca wprost niebo niczym góra, królowała nad rumowiskiem i małymi piramidami wzniesionymi w pobliżu, od strony Nilu.

— Tu, albo nieco dalej na południe, było niegdyś sławne miasto Memfis. A oto grobowce dawnych królów egipskich: pyramides. Ta jest największa. Bok jej kwadratowej podstawy liczy bez mała ćwierć wiorsty, wysokość zaś sięga 260 łokci! Nie masz niczego podobnego na całym świecie.

Wewnątrz piramidy wielkie pomieszczenia, jedno nad drugim, mieściły groby starożytnych władców. Schodami tu można było do samego niemal wejść wierzchołka. Na zewnątrz — ku podziwieniu niewiast — mężczyźni wspinali się po wierzchu piramidy na sam szczyt. Ciężki to był trud, a to z powodu wielkości kamieni, z jakich piramidę zbudowano. Sam wierzchołek zwężającej się stopniowo ku górze, stożkowej budowli zakończony jest platformą kwadratową na dziesięć łokci wzdłuż i wszerz. Tam Sata1 Nekropolia (gr.) — miasto zmarłych, cmentarz.

2 Od roku 1517.

3 Metropolia (gr.) — tu: stolica.

4 Piramida Cheopsa — bok podstawy ok. 230 m, wysokość 140 m.

nowski, schodząc ostatni, przed zejściem wydrapał szablą na kamieniu polski napis: „Alima i Stefan, Gizeh, dnia 20 czerwca 1622 roku”.

Koło wykowanych w skale grobowców rodzin faraonowych przeszli do odległej o stajanie 1 drugiej ogromnej piramidy 2, niewiele mniejszej niż tamta. Nie miała wejścia, ale Meram zapewniał, że jakiś tajemny wchód istnieje. A po wierzchu także tylko do połowy wdrapać się na nią można, bo wyżej powierzchnia zbyt gładka.

O półtora stajania na południe stała trzecia wielka piramida 3 i trzy małe — jak koło pierwszej, największej. Ta, acz o połowę niższa i węższa od tamtych dwu olbrzymów, jeszcze stanowiła imponująca rozmiarami budowlę.

Aż i pobliskie ruiny świątyń odwiecznych oglądali, aż i ogromnego niby gmach sfinksa *: kamiennego lwa o głowie ludzkiej.

Skalne pustkowie, pełne uroku potęgi i nieśmiertelności, było nieodgadnione jak oblicze owego sfinksa, niesamowite jak śmierć, której nie podlegało. Znakomici a bezimienni, niemi do czasu świadkowie minionej świetności Egiptu, którzy przemówią może kiedyś konkretnymi prawdami zamierzchłej przeszłości i zobrazują mglistą tradycję, snującą się niby tuman nad brzegami świętej rzeki⁵.

Mając wolny czas Polacy, którzy mieszkali na tombazie, zwiedzali Kair i jego okolice aż po Beni-Suef na południu, aby poznać teren przed karkołomną grą o Alimę. Widzieli dziesiątki piramid, sławne kolosy memfickie, pieczary grobowe z mumiami dowolnie sprzedawanymi przez Arabów tamtejszych.

Kair był ogromnym miastem, kilkakrotnie większym od największych miast europejskich. Stare miasto i Bulak, zabudowane nieporządnie, nawet murem 1 Stajanie — staropolska miara długości, 1/36 mili, ok. 206 m.

2 Piramida Chefrena — rozmiary niemal takie, jak pir. Cheopsa. Piramida faraona Menkaure —• prawie 70 m wysokości. Sfinks — wysokość około 20 m, długość około 57 m.

W owych czasach, przed odcyfrowaniem hieroglifów egipskich, wiedza o starożytnym Egipcie była. znikoma.

nie były odwiedzone. Nowy Kair natomiast, opasany murami dookoła, posiadał mnóstwo wspaniałych pałaców i świątyń ze świetną Dżamiją Sułtan Hassan na czele. Ludność tu przeróżna: Egipcjanie, Arabowie, Turcy, Żydzi, Murzyni — w galabijach lub burnusach, w fezach albo różnych zawojach. Po ulicach krążyły liczne patrole janczarów i spahisów, a mury i bramy miasta żół-datami były osadzone. Nad całym Kairem panowała cittedella na wysokiej górze, kędy mieszkali baszowie Egiptu. Na ulicach, tak ciasnych, że ledwie przecisnąć się było można w tłoku przechodniów, jezdnych, jucznych zwierząt, ruch kołowy prawie nie istniał. Ponieważ piaszczystych ulic nie skuwały bruki, gęsty kurz wisiał w powietrzu, a wiatr przeganiał z miejsca na miejsce tumany pyłu. Wielbłądy i ludzie nosili w bukłakach po mieście nilową wodę, którą sprzedawano albo polewano ulice. Na targach niewolników handlowano Murzynom „upolowanymi” na bezmiernych obszarach Afryki. W Kairze też widywało się obłąkańcze praktyki derwiszów, a na domiar — mnichów

biegających nago po mieście wśród rozwrzeszczanej gawiedzi, ogarniętych szałem, wydających z siebie niesamowite wrzaski i śmiechy.

Czasem zanurzał się w kipiący tygiel stolicy jej stróż — basza Egiptu, wicekról tego kraju. Jeździł konno w otoczeniu sandża-ków i rządzących miastem, dworzan, czauszów, janczarów, spahisów. Czasem zbrojna wataha Beduinów napadła osadzone wojskiem bramy miejskie, wdarła się na przedmieściach, a po śmiertelnej walce i rabunku uciekała do swych tajemnych gniazd na pustyni.

Takie to różne dziwa Polacy w Kairze i jego okolicach oglądali, a każdy dzień przynosił nowe.

Satanowskiego nic nie cieszyło. Nie mógł bowiem ani razu zobaczyć się z Alimą. Nawet w oknie nigdy się nie ukazywała. Jak cień chodził za swymi druhami, nieobecny duchem. Tymczasem kairzanie coraz niecierpliwiej czekali na przybór Nilu. Przepłynęły już „wody zielone”, nurt jakby napęczniał, po-brunatniał. Ludzie przyglądali się rzece, zasięgali opinii wróżbitów, wypytywali mnichów, którzy bywali w Mikjasie, czyli Nilo-mierzu na kępie Roda, gdzie słup ze skalą wskazywał wysokość i Sandżak (tur.) — tu: rządca dzielnicy Kairu. wód nilowych. W meczetach, kościołach i bożnicach odprawiano błagalne modły o urodzaje. Po wyschłych kanałach jeżdżono i chodzono niby po ulicach. Roda, która w czas przyboru bywa wyspą naprzeciw starego miasta, teraz suchym parowem łączyła się z lądem. Z innymi wyspami nilowymi było podobnie. Medytowano, wieszczono, jaki też poziom wody będzie po przyborze: dostatecznie wysoki dla urodzaju czy zbyt niski, co by drożyznę i głód sprowadziło. Basza, rezydujący stale w zamku cittadelli, przeniósł się już, jak to było w zwyczaju, do pałacu na Roda, gdzie wraz z uczonymi mnichami strzegł Nilomierza w okresie przyboru.

W końcu czausze i jego rozbiegli się po mieście i okolicach rozgłaszając, że zaczyna się przybór Nilu. Jakoż leniwa dotąd rzeka stała się bystrzejsza, zgęstniała. I jęła w oczach rosnać. Czausze co godzina ogłaszali ludności poziom wód, na których pojawiło się mnóstwo barek gotowych do wielkiej uroczystości otwarcia tam i puszczenia wymodlonego żywiołu w kanały miejskie. W przeddzień i noc poprzedzającą owo otwarcie grały na tychże barkach i na brzegu kapele, huczały bębny i surmy — na wielką radość, na wielką nadzieję. Rzeczzone barki pokryły się czerwono-no-białymi chorągwiami sułtańskimi, proporcami i sztandarami sandżaków, haftowanymi poklatami. A i statki bez proporców czy chorągwi stawały za tamtymi i grzmiały triumfalną muzyką.

O świcie od strony pałacu na Roda wy płynęła złocista galera baszy, mieniąca się proporcami, a na domiar ozdobiona dwiema wielkimi chorągwiami: zieloną Mahometową i czerwoną haftowaną w półksiężyc. Galerze towarzyszyły barki sandżaków i niezliczone, również strojne, nawy innych kairzan. Ludu na brzegach stało takie mnóstwo, że od burnusów i galabij bieleło wszędzie, k[^]dy okiem sięgnąć, jakby śniegiem pokryła się ziemia.

Basza, wachlowany przez niewolnika, siedział w wyniosłym lotelu na dziobie galery, otoczony przez strojnych w czerwone zawoje z piórami sulaków, janczarów w białych turbanach, błękitnych czauszów, cywilów w różnobarwnych ubiorach. W pewnej chwili basza skinął ręką. Na ten znak działa galery zagrzmiały krotką salwą, a zebrane mrowie ludzi rzuciło się rozkopywać groble, czym kto mógł — narzędziem lub rękami.

Czausz (.tur.) — goniec. Kawaler złotej ostrogi Woda runęła z łoskotem w kanały. Roda i inne kępy rychło stały się wyspami. Palba i kanonada zwarły się z hukiem żywiołu a wrzaskiem tłumów.

Na ponowne skinienie baszy dworzanie ustawieni przy burcie po stronie miasta, wolnej od barek, jęli rzucać w wodę pudła konfektów:. Ludzie z brzegów na ten widok skakali do rzeki, chwytali łakocie, wydzierali je sobie, bili się o nie i topili. Basza nie patrzył już na skutki swej szczodroblewości, jeno galerą, poruszaną teraz wiosłami, popłynął pod prąd z powrotem do pałacu na wyspie Roda.

Kair ogarnęła jedna wielka zabawa. We dnie i w nocy, ustawicznie, rozbrzmiewające muzyką a śpiewem łodzie i barki pływały po pęczniewających wodach kairskich, pełne błyskotek i żywności na sprzedaż dla rozbawionej publiki — istne kiermasze ruchome. Ulicami ciągnęły barwne korowody konne i piesze, na placach odbywały się maskarady, huczały kapele, piałły chóry. A kto nie miał instrumentu, nie umiał śpiewać, ten po prostu bębnił w blachę, drewnem o drewno, klaskał w ręce, pokrzykiwał. Kąpiel we wzbierających kanałach trwała bez przerwy.

Ustało wszystko z nadejściem Ramadanu, świętego miesiąca postu, chociaż Nil pęczniał wodami dalej. Wierni wszczęli przygotowania do pielgrzymki, która z Kairu, jak ogłosił basza, miała wyruszyć tego roku dnia dwudziestego miesiąca Szewwal. Jakkolwiek czasu było wiele, przecie już karawany pątników ze wszystkich stron, zwłaszcza dalekich, i zatłoczone nawy napływały dniem a nocą do egipskiej stolicy i w jej okolice.

Przybył również do Batn-el-Bakra beg Kassim z resztą swego dworu, wśród której byli Uriasz i Selim. Natomiast Mahmed, brat mudira, został na gospodarstwie w Dar-el-Amirun.

Teraz o spotkaniu Satanowskiego z Alimą nie mogło być nawet mowy. Odaliku strzegła bowiem straż złożona z rzeźców i wprost sulaków bega. Czyżby podejrzewał? A może to była dodatkowa kara dla Alimy? Również o przejażdżkach czy pływankach kadyń nie można było marzyć. Niewiasty nie wychodziły prawie wcale z domu.

Na posłuchaniu mudir wydał Polakom pisemne nominacje na Konfekty (łac.) — cukry, owoce smażone w cukrze.

objęcie dowództwa galer „Narum” i „Zaim”, które miały strzec libijskiego szlaku przed piratami. Marek i Stefan zostali kapitanami galer, Jan szyprem na oddanym Satanowskiemu „Narunie”.

— Odplyniecie stąd do Damiatu lada dzień, a potem na morze .—. zakończył beg. — Jeśli zapolujecie pomyślnie na Pabla Jarranę, otrzymacie pięć tysięcy piastrów nagrody.

Jakimowskiemu i Stołczyźnie zabłyśły oczy. Satanowski natomiast ze smutkiem słuchał obietnic, a to dlatego, że nie mógł z nich skorzystać, po wtóre zaś — że swoimi sprawami utrudniał druhom dobrą drogę. Toteż gdy wyszli z salamlika bega, rzekł:

— Nie mam prawa zamykać wam wrót do promocji, której pragniecie. Rozstańmy się. Ja pójdę za swoim przeznaczeniem.

— Zgubi nas ono — warknął Marek. — Aliści my nie z tych, co przyjaciół opuszczają w biedzie.

— Nie chcę ofiar, poświęceń!

— A ty jak byś postąpił na naszym miejscu? Stefan zmilczał. Wiadomo: za nic by ich nie opuścił.

W parę dni potem otrzymali rozkaz powrotu do Damiatu.

— Jeśli od razu porzucimy tombaz, zaczną nas szukać i uniemożliwią wszelkie sposoby zbliżenia się do Alimy — mówił Marek. — Jadąc na rozkaz do Dar-el-Amirun, uśpimy ich czujność. Pod lada pozorem wrócimy natychmiast do Kairu i tajemnie pociągniemy z pielgrzymką, by w drodze, korzystając z zamętu wędrowni, wybrać odpowiednią do uprowadzenia Alimy chwilę. Najlepiej byłoby uwięzić Alimę do Damiatu, zawładnąć galerami na podstawie nominacyj, zanim z Batn-el-Bakra od bega przyjdzie do Dar-el-Amirun wieść o zniknięciu córki. Dzierżąc galery mielibyśmy otwartą drogę w świat. Ale przecież galery obsadzone mahometami. Załogi by się z nami rozprawiły, wywączawszy pismo nosem. Zresztą tu nie ma sposobu porwania Alimy.

Ruszyli o świcie ogromną, szeroko rozlaną rzeką, której kierunki wskazywał tylko nurt. Na rozlewiskach ciemniały zielone wysepki osiedli i kreski grobel służących teraz za drogi.

Płynęli >zybko z prądem wśród mrowia naw dążących w obie strony, Z daleka widząc karawany w pochodzie do Kairu. .» Dar-el-Amirun zameldowali się u Mahmeda. Utaiwszy

list, którego treści, mogącej pokrzyżować ich plany, nie potrafił odcyfrować, nie znając pisma tureckiego, Marek oświadczył:

— Jego wspaniałość rozkazał nam wracać natychmaist do Batn--el-Bakra z ośmioma najlepszymi mehari.

— Wszak po powrocie z Batn-el-Bakra-mieliście popłynąć galerami na szlak libijski, nie zaś jechać pod Kair.

— Nie znamy intencji dostojnego pana, efendi.

—• W waszych nominacjach — rzekł zdziwiony Mahmed — wyraźnie napisane, że przed trzydziestym dniem Ramadanu macie wypłynąć z Damiatu na morze. Jest tu nawet lista załóg, jakie obie galery obsługują, ich żołdu, obowiązków, przywilejów... Nie pojmuję doprawdy: dostojny mój brat nie ma zwyczaju zmieniać tak nieformalnie swoich zarządzeń:

Polacy poczuli się niepewnie wobec takich zastrzeżeń.

— Jak wasza dostojność uważa —• rzekł Jakimowski podstępnie. — Jeśli wypłyniemy na szlak libijski, wy, efendi, usprawiedliwicie nas przed jego wspaniałością za niewykonanie rozkazu. Iście, kto inny może iść z wielbłędami pod Kair.

— Nie! Jedźcie, jako wam kazano. Kiedy ruszacie?

— Jutro o świcie będziemy gotowi.

— Weźmiecie list ode mnie do jego wspaniałości. Odpowiedź przywiozą gońcy, gdybyście byli potrzebni dostojnemu panu.

Nazajutrz o świcie, zabrawszy osiem wielbłędów, żywność i wszystkie swoje manatki a pieniądze, puścili się w drogę. Żegnając na zawsze Dar-el-Amirun, doznali prawdziwego wzruszenia.

Po uciążliwej podróży przez rozlewiska, bagna, piaski, bezdroża, nocą zajechali w końcu do nie strzeżonego przez mury czy żołdatów starego Kairu.

Od razu udali się do pewnego balwierza katolika, mieszkającego w pobliżu koptyjskiego klasztoru św. Jerzego, który to klasztor posiadał i kaplicę katolicką. Wystraszyli nieboraka swoimi nocnymi odwiedzinami i rozgniewali.

— Na Boga! Jak można po nocy? Przecie my się prawie nie znamy, tyle że waszym mościom czupryny i brody podga-lam...

••• Wybacz nam — rzekł Jakimowski. — Za pewien zabieg bal-wierski otrzymasz ałtyna — wetknął złotą monetę w garść zaspanego poczciwca. — Zali umiesz, przyjacielu, farbować włosy?

Udobruchany sowitą zapłatą balwierz odparł chełpliwie:

— Oho! jakich ja zabiegów dokonuję! Ilu elegantkom i kobie iarzom! Nieraz komuś zasrebrzy się włosy, to aby przed światem zataić, do Jakuba śpieszy.

—No, dobrze. Odmienisz nam wygląd za tego ałtyna. Za drugiego przygotuj odzienie, byśmy na Egipczan wyglądali. Chcemy obaczyć hadżdż i Mekkę.

—O Boże! Toć grzech takim sprośnościom mahomeckim świadczyć i życie samobójczo na śmierć narażać!

.—. Pragniemy też uwolnić człowieka z łap mahomeckich. Odmień nas swoją sztuką, a tak, byśmy się z tłumu nie wyróżniali.

— Trzeba by was skrócić o łokieć — zaśmiał się Jakub.

O świcie wyszli od balwierza całkiem odmienieni: Jan był siwym starcem; Stefan — kruczowłosym Beduinem, u którego nawet modre oczy, ocienione przyczernionymi brwiami i rzęsami, wydawały się ciemne; Marek, wygolony do czysta, wydawał się gołowąsym niewolnikiem. Ubogie zawojki i wyszarzałe galabije, do ziemi długie, czyniły odmianę jeszcze skuteczniejszą.

XII Orszak Kassim-bega wjechał do Kairu przed zachodem słońca.

Zostawiwszy swoich ludzi na jednym z ośmiu dziedzińców Dżami el-Azhar, będącej siedzibą uniwersytetu oraz imama Egiptu i gromady mnichów, mudir sam udał się do wnętrza świątyni.

Na dziedzińcu wędli swą szaloną cykrę¹ derwisze. Skakali, wirowali, kiwali się i trzęśli, jęcząc, chrapiąc, wyparskując z ust pianę, wykrzywiając konwulsyjnie zniekształcone, obłąkańcze gęby, wyjąc owo posępne: „La Illah ii Allah!” Padali z wyczerpania, rządzili, jakby konając w drgawkach, potem zrywali się i szaleli dalej.

Kassim-bega wpuszczono do środka meczetu, zaproszony był bowiem przez imama i baszę. W sali, wysłanej materacami i dywanami, zebrało się już sporo ludzi. Wzdłuż ścian obwieszonych drogocennymi oponami, podwinąwszy pod siebie nogi, z jednej strony siedzieli świeccy dostojnicy, z drugiej — mułlowie. Opony te z ciężkiej czarnej brokateli, Cykra, cykr — modły i tańce regionalne derwiszów.

haftowane w złote arabeski i charaktery * przedstawiające ustępy z „Koranu”, przeznaczone były na dar dla świątyni Kaaby. Pośrodku sali stała makieta podobna do katafalku, symbolizująca grób Abrahama, osłonięta złotogłowie i oświetlona czterema olbrzymimi świecami. Niefrasobliwy, daleki od pobożności gwar rozbrzmiewał wśród ludzi zebranych na całonocne modły. Służebni roznosili w czarkach dymiącą kawę i podawali ją panom a duchownym.

Kassim-beg zajął miejsce wśród świeckich dostojników.

Nagle ucichło. Główny imam, nie wstając, a kiwając się w przód i w tył miarowo, zaśpiewał przeciągle, z długimi przestankami na niektórych nutach, wersety z „Koranu”:

Spraw, Panie abyśmy ci byli ulegli i wierni, a naszych potomków uczyn ludem uległym i wiernym...

Ona Kaabę przeznaczamy na zrok 2 ludzi, wewnątrz zaś jej, stopą Abrahama naznaczone, na miejsce modlitwy...

Po chwilowej ciszy zebrani, mimo że imam jeszcze śpiewał, znowu się rozgadali. Dopiero gdy umilkł, inni mułlowie podejmowali jego śpiew, tak że jeden kończył, drugi ciągnął dalej. Zapadła noc. Czarne niebo ozłociły gwiazdy i księżyc. Kair przycichł w chłodzie i ciemnościach.

Nad ranem z Dżambiji el-Azhar wyruszyła do pobliskiej citta-delli procesja mułłów i dostojników. Cicho, bez rozgłosu, jakby potajemnie, przyniesiono tam owe drogie materie dla Kaaby. Dopiero później odbyła się uroczystość. Ulice, dachy, okna, drzewa, parkany i wszelkie wzniesienia napełniło mrowie ludzi. W przedmurzu cittadelli także zaroj się nieprzejrzany tłum.

1 Charaktery — pismo, litery.

2 Zrok (staropolski) — zebranie, zgromadzenie.

Szeregi wojska w pełnej gali spinały cittadellę z najwspanialszą świątynią Egiptu: Dżamią Sułtan Hassan, ogromną budowlą, ozdobioną rzędami kolumn z szeregu marmuru.

Zagrały działa. Przy nieustannym ich grzmocie ruszył z cittadelli pochód mułłów i dostojników do Dżami Sułtan Hassan, rosnąc w drodze o gromady wiernych. Mułlowie nieśli na noszach owe opony, przeznaczone dla Kaaby, a za nimi postępował bogato przybrany wielbłąd ze złocistą machmalą na grzbiecie, czyli baldachimem, którego szczyt zdobił błyszczący półksiężyc. Do machma-li jako niezwyklej dla mahometan świętości, cisnęła się roz~ wrzeszczana ciżba derwiszów i ludzi z tłumu. Każdy chciał bodaj dotknąć baldachimu, by potem ucałować swoją dłoń, która dotknięcia tego dokonała. Przepychano się wpadając pod kopyta wielbłąda, rycząc i wyjąc z uniesienia. Kobiety z okien, pod którymi przechodziła procesja, spuszczały pasy materii, byle dosięgnąć mach-mali i czuć się dzięki temu wybrankowi losu, błogosławionymi.

Dopiero u ogromnych podwoi świątyni Hassana tłum musiał odstąpić. Do meczetu weszła z machmalą i oponami tylko właściwa procesja mułłów i dostojników — na modły.

Prowadzący procesję Daud-aga, który rna na czele oddziału wojska konwojować mach-małe do Mekki, otrzyma z rąk baszy Egiptu sznur od świętego baldachimu jako zaszczytną oznakę wodza tegorocznego hadźdzu.

Za dwa wypełnione modłami tygodnie rozpocznie się doroczna święta pielgrzymka.

W wielkiej, malachitem wykładanej sali domu zebrała się rodzina Kassim-bega, jako to żony, nałożnice, dzieci, krewni, oraz dworzanie, sulacy, służba. Rozmawiano szeptem, acz zza okien dobiegał tu zagłuszający szum wezbranego Nilu.

Szepty nagle ucichły i wszedł Kassim-beg w prostym burnusie, z kijem w ręku, niepozorny, z oczyma skromnie spuszczoneymi, cień zaledwie buńczuczności wielmoży. Nie siadał, jeno stojąc przed zebranymi rzekł przeciągle, śpiewnie:

— Allah niech będzie pochwalony!

— Allah niech będzie pochwalony! — odpowiedziano.

- Kochani moi! — przemówił. — Oto rozpoczyna się święta pielgrzymka. Postanowiłem, że wezmą w niej przy mnie udział moja pierwsza małżonka Sara, córka Alima, przełożony nad ogrodami Uriasz, intendent Selim oraz kapudan Kara Nurum i wyznaczeni uprzednio żołnierze a słudzy. Inni członkowie naszej rodziny i dworu spełni swój obowiązek w roku przysłym.

Ogólna uwaga kierowała się na Alinie. Wiedzano bowiem, że obecna pielgrzymka urządzona zostaje na tę przede wszystkim intencję, aby łaskawy Allah odmienił jej krnąbrną duszę i przywrócił domowi mudira, spokój.

—• Polecam was opiece boskiej — przemówił znowu beg. — Ci, co ze mną hadźdz odprawują, niech idą za • mną na plac wedle Dżamiji Sułtan Hassan. Ja na zachód słońca muszę zdążyć do pałacu jego wspaniałości baszy Egiptu... Udaję się na hadźdz. W imię Allacha przedsięwzięję to święte dzieło. Ufny w jego opiekę, składam mu w ręce czyny swoje i żywot.

—• Allah niech będzie pochwalony! — zaszemrali zebrani.

Beg ruszył ku wyjściu. Za nim wszyscy. Stał jeszcze w progu, na stopniach wiodących do podwórca, zwrócił się twarzą ku południowemu wschodowi, ku Mekce, po czym rzekł uroczyście:

— Zwracam oblicze do świętej Kaaby, do tronu Allacha, aby odbyć nakazany jego prawem hadźdz, którym się do niego zbliżę.

Odszedł od bramy, a za nim inni pątnicy: każdy w sandałach, w burnusie lub w turbanie i galabiji, z kijem podróżnym w ręku i orężem ukrytym w fałdach ubioru. Za ogrodzeniem dosiedli mułłów, osłów i wielbłądów, za czym pociągnęli do Kairu. Po drodze zostali wchłonięci przez gromady pieszych i karawany.

Alima i Sara jechały na wielbłądach obok siebie w wygodnych palankinach.

Alima była rozdygotana. Zapowiedziane uprowadzenie mogło nastąpić każdej chwili. Wynik niewiadomy człowiekowi, ale już przeznaczony, już zapisany w księdze niezbadanych wyroków Allacha. Szukała wzrokiem w tłumie, cedziła oczyma niezliczone twarze...

Kair zapchany był pątnikami. Na ulicach gnieździły się całe stada wielbłądów, koni, mułłów, osłów, napęliając powietrze kwikiem i rzeniem. Góry paszy piętrzyły się wszędzie. Między wierzchowcami, na garstce trawy lub wprost na gołej ziemi leżeli utrudzeni przybysze z dalekich stron. Rozmowy, zawodliwe modły, nawoływania, swary sprawiały niebosiężny zgiełk. Pływające po odnogach i kanałach Nilu nawy co chwila wyrzucały na ląd nowe gromady pielgrzymów.

Orszak Kassim-bega ledwie znalazł miejsce na wielkim majdanie w pobliżu Dżamiji Sułtan Hassan i cittadelli, zatłoczonym ludźmi i wierzchowcami. Pomimo hałasu mnóstwo ludzi spało na ziemi, między zwierzętami, nie bacząc na niebezpieczeństwo stratowania. Orszak

damiatyński spoczął na przywiezionych matach. Sulacy z nakazu bega zaciągnęli warty wokół miejsca postoj.

Po zachodzie słońca plac oświetlano pochodniami i zapalonymi stosami drzewa, siana, wysuszonego gnoju. Zapanowała cisza, maćona słabymi odgłosami. Światła i cienie migały po zaścielonej ludźmi a różnorakim sprzętem ziemi, po dalekich murach.

Alima, nim położyła się spać, wypatrywała tych, co mieli jej przynieść przeznaczenie. Teraz leżała z matką i Zainab w namiocie z koc, rozpiętym na palikach. Jej towarzyski już spały. Ona nie mogła zmrużyć oka. Jakże to będzie? Jak ją zabiorą ci junacy spomiędzy gwardzistów? Ba! jeśli to przeznaczone, nie pomogłaby armia padyszacha. Przez uchylone wejście namiotu widziała niebo i gwiazdy, niżej — oświetlone przez księżyc dachy domów ograniczających plac od strony widocznej stąd, bliżej sulaków, czasem zbitą masę tłumu... Nagle zatrzęsa się i pot oblał ją od stóp do głowy. Spod płatów kostejki, od dołu, z zewnątrz, zabrzmiał znajomy szept:

— Ja czuam...

Ale po oddechach poznała, że matka i Zainab śpią twardo. Poza tym szept ów. poczytany być mógł przez nie wtajemniczoną osobę za szept wartowników. Ledwo ochłonęła, koło namiotów wszczął się jakiś rozruch.

— Nie wolno tu się wałęsać! — ostrzegały warty. —• Precz!

Przed świtem majdan ożył, zaroził się. Na niebie srebrzą! jeszcze księżyc, od wschodu ledwie zajaśniała jutrenka, gdy z minaretu pobliskiej Dżamiji Sułtan Hassan zabrzmiał nawołujący do modlitwy głos muezzina. Moslemim klękali na abbasach i makatach, na gołej ziemi wreszcie, byli w czystych miejscach, i bili czółmi wy-magającemu Allahowi.

Kassim-beg po ablucji a sałacie pośpieszył do tejże dżamiji Has-sżna, by wziąć udział w uroczystości wyprowadzenia stamtąd na uniejszy plac machmali oraz darowanych Kaabie opon.

Rano znów zebrały się tłumy w całej dzielnicy. Na dziedzińcu dżamiji objuczono owymi oponami wybranego, strojnego wielbłąda, po czym przymocowano mu do grzbietu świętą machmalę. Wielbłąd — otoczony wojskiem i armatami, ruszył miarowym, wytresowanym krokiem na ów majdan pobliski, na którym gotowała się główna karawana pątników. Na majdanie zdjęto zeń machmalę i opony, okolono je parawanem. W sąsiedztwie tegoż parawanu żołnierze, którzy mieli stanowić zbrojną i dodającą splendoru eskortę machmali i opon, rozbili namioty dla siebie i naczelnika pochodu, Duad-agi, odepchnawszy zebranych już tu pielgrzymów na krańce placu. Obok tych namiotów pojawiły się wnet nowe — należące do rzemieślników, jak krawcy, szewcy, balwierze, kowale, rymarze, do medyków, wróżbitów, meddahów, do kramarzy i dostawców różnego towaru — do wszystkich tych, co mogą być w drodze przydatni rzeszom ludzi.

Alima czuła się dziwnie w zgiefkliwym tłumie. Choć otoczona swiłą, nie doznawała od obcych estymy, do której nawykła. Nie było tu żadnej różnicy między bejem a żebrakiem, między uczonym a dzikusiem. Wszyscy wydawali się równi w prochu majdanu, przed majestatem Allacha. Wszystkich jednako owiewał miotany wiatrami pył, tak że szarość tłumów była jednostajniejsza pod sandałem Sprawiedliwego. Alima bała się pobożnych pątników, wyjących modlitwy, publicznie wiskających sobie łby, cuchnących, a zrównanych z nią rozpoczętym szaleństwem. Obłędne misteria derwiszów, prymitywny kult machmali, gorączka tłumów, nie podniosły jej, lecz napawały niepokojem, acz nie wyobrażała sobie, by mogło być inaczej. Nie rozumiała nic z tych dziwnych rzeczy, które działy się wokół niej. Zrosła się z nimi. a nieświa- . domie czuła ich dziwność.

Po nocnych „odwiedzinach” Stefana oczekiwała go dziś ustawicznie. Przyglądała się każdej twarzy, wsłuchiwała w każdy głos.

Po trzech dniach przygotowań, napływu pątników, ponieważ, o świcie huk dział w cittadelli ogłosił początek hadźdzu.

Najpierw ruszyła cześć oddziału zbrojnej konnicy, przeznaczonego do eskortowania opon dla Kaaby. Potem w otoczeniu reszty jeźdźców, wielbłądy objuczone tymi oponami. Dalej — machmała w asyście oficerów z Daud-agą na czele. Aż i wyjąca, rozskakana ćma ludu. Pookręceni żywymi wężami derwisze nieśli chorągwie. Za nimi błazny w śmiesznych ubiorach, kramarze z jucznymi wielbłędami, rzemieślnicy z przenośnymi warsztatami w jukach i palankinach. Aż i na ustrojonym w świecidełka wielbłędzie przewodnik dobrze dróg świadom, półnagi brodac. Aż i kilka wielbłądów niosących nakardis — dzwonki, których ostry dźwięk ma sygnalizować miejsce karawany tym, co by zbłądzili odbiwszy od niej. Przy kanonadzie armatniej wymaszerowała z Kairu armia Alla-chowych pątników w straszną drogę, na której niejeden położy swe kości. Spod tysięcy stóp i kopyt podniosła się gęsta chmura pyłu. Rosła i gęstniała coraz bardziej, aż przysłoniła słońce, pomazała szarością głęboki błękit egipskiego nieba i od razu dokuczyła wszystkim. Rychło poranny chłodek przestoczył się w spiekotę, która obok zbójców i pogan będzie jeszcze jedną plagą pobożnych pątników na przestrzeni setek mil.

Karawana minęła cittadellę, Grobowce Mameluków i Grobowce Kalifów, za czym pociągnęła na wschód, przekraczając płytkie wadi, dopływy Wadi Tumulat. Wraz z kurzem unosił się nad nią pomruk:

— O, Allah, do ciebie!

Karawana pęczniała z godziny na godzinę, łączyły się z nią coraz nowe gromady. Sałat bywał w drodze szczególnie hałaśliwy, a wszelkim modłom towarzyszyły szaleństwa derwiszów. Pątnicy, zarówno w pochodzie, jak na postojach, wznosili często oczy do góry i półgłosem wypowiadali nakazaną przez zakon formułę:

— O, Allah, do ciebie!

Bywało, że te pojedyncze westchnienia i półokrzyki zlewały się w powszechne chóralne zawołanie tysięcy gąb: —• O, Allah, do ciebie!

Tumany kurzu, zgiełk i przenikliwe dzwonięcie nakardis znaczyły drogę pochodu.

Alima, która przed wyprawą przeprosiła ojca, bo zwyczajnie i re"gia nakazywały załatwić przed hadżdżem wszelkie nieporozumienia z otoczeniem, nadal jednak myślami bluźniła Allahowi, yczaJom, rodzicom. Wychowana w zaciszu haremowym przez chowawczynie idealizujące każdy przejaw życia, nieświadoma •aw świata, była teraz rozczarowana i rozdrażniona zachowa niem się hałaśliwej tłuszczy, u której spodziewała się powagi, skupienia, wlotu ducha. Drugi powód stałego zdenerwowania to własna zdrada, niepewny los, okropności uprowadzenia i walki. Na pierwszy nocleg karawana zatrzymała się w dolinie między dwoma wadi: Fura i Gafara. Część pątników zakwaterowała się u miejscowych fellachów. Większość miała postój pod gołym niebem, w „opiece" świętej machmali, której zbrojni i duchowni jej stróże służyli i hołdowali niby żywej istocie. Z doliny widać było Dżebell Iwejbid i gdzieś połykskiwe rozlewiska obu wadi.

Gdy orszak Kassim-bega nadciągnął w dolinę, część karawany już się rozłożyła.

Przejeżdżając między dwiema ruchliwymi falami tłumu, Alima z wysokości palankinu dojrzała nagle Stefana ukrytego za wielbłędem. Krew uderzyła jej do twarzy. Ale dziewczyna nie była zrazu pewna, czy to ukochany: tak go odmieniły zabiegi balwierza Jakuba.

Uśmiechnął się do niej i szepnął tak przenikliwie, że go usłyszała poprzez zgiełk powszechny:

— Ja czuam...

Zanim ochłoneła, pokazali się jej Marek i Jan, również wielce zmienieni. Oprócz niej nikt z orszaku ich nie poznał.

Odtąd przysł już wszelki spokój. To wyczerpywało Alimę więcej niż trudy samej wędrówki w upale, hałasie, kurzu.

Trzeciego dnia dobili do rozległych piaszczysk nad Jeziorami Gorzkimi. Między Małym Jeziorom Gorzkim a nadmorskim Suez przeszli na zachodni kres synajskiej Pustyni Tih. Tutaj

przyłączyła się do nich jakaś karawana, ale znaczna liczba ludzi wsiadła na statki w Suez i popłynęła Morzem Czerwonym do bliskiego Mekce portu Dżidda.

Kassim-beg pokładał duże nadzieje w uświęcającym trudzie lądowej pielgrzymki i w cudownym działaniu machmali, w którą kazał córce wpatrywać się bezustannie. Nie skorzystał więc z nawy.

Wstępującą na piaski karawanę przywitała Pustynia Tih nagłym, wyjątkowo dokuczliwym chamsinem, który po swych pięćdziesięciu wiosennych dniach już dawno ustał. Rzadko odzywał się w tej porze roku. Teraz wypełnił przestworze od ziemi po bezchmurne niebo sypką, duszącą mgłą, przyćmiewającą słońce i Dżebel (arab.) — góra.

i błękit firmamentu. Dał cały czas trwania kilkudniowej podróży przez Synaj — „drogą pielgrzymów” od Suez do Akaby. Nadwerężył znacznie siły pątników. Najślabi szukali nawet pomocy w smalch beduińskich, zdając się na łaskę i niełaskę pustynnych drapieźców. Uparci zaś, upadłszy, dogorywali na bezdrożu, nie tracąc nadziei.

W Kalaat el-Akaba, fortecy pilnującej bezpieczeństwa pielgrzymek i porcie nad Zatoką Akabską, znowu część pątników wsiadła na okręty, choć zatoka ta bardzo niebezpieczna dla żeglugi z powodu raf, zwłaszcza na południowym odcinku. Atoli karawanę powiększyły nowe strumienie pielgrzymów.

Za Kalaat el-Akaba, u podnóża Dżebel Murabak, na piaszczy-skach i kamieńcach tutejszych, uderzyła prawdziwa nawałnica.

Pochód zwolniał. Ludzie i zwierzęta kaszlali, krztusili się. Piersiom brakło tchu. Upał stał się dusznością, wiatr zamiast orzeźwiać dławił i palił. W zapopielonym, gęstym powietrzu ludzie błądzili, potykali się, przewracali. Pochód rwał się, przystawał. Zabrzmiały jęki, błagania o pomoc. Odgłosy te zostawały w tyle, albowiem ci, co nie padli, sami z największym wysiłkiem zmagali się z rozpetanym żywiołem. Świst wichru, twardy szelest skłębionych tumanów piasku, zgiełk karawany potężniały coraz bardziej.

Ktoś padł pod nogi wielbłąda Alimy. Krzyknęła przerażona, a zwierzę spłoszyło się, poniosło, iż je ledwie poganiacz utrzymał w ryzach. Spodziewała się teraz Stefana i jego druhów: skorzystają zapewne z zamętu i... Wielbłąd jej chrapał, stapał niepewnie, chybotliwie, potykał się, padał na kolana, wstawał znów, zmuszany do tego, i szedł dalej. Gdzieś wśród poświstów i tumanów pyłu brzmiał przeraźliwy śpiew, który był krzykiem rozpaczny lub fanatycznego uniesienia: - El hamdu Lillahi! El hamdu Lillahi!

Gdzieś rozbrzmiewały okropne, zatrważające głosy derwiszów, gdzieś — kwik wierzchowców, gdzieś — wrzaski przerażenia...

• Wracajmy — krzyknęła Alima tracąc panowanie nad sobą. Wracajmy! — powtórzyła jak echo Sara.

To wezwanie rozpętało nieopisany wrzask niewiast, który płoszył wierzchowce, z największym już trudem utrzymywane w porządku przez poganiaczy, komuchów, sulaków. Pochód rozpadł się na bezładne kupy, przypadł do ziemi, do załomów skał. Ludzie gromadzili się głowami do siebie, a nakryciem z płaszczy i koc usiłowali osłonić od pyłu nozdrza i usta. — Pomocy! Ratunku! Ratunku!

— Wracajmy! Wracajmy! Wracajmy!

Te głosy ginęły" wśród ogłuszającego hałasu. Nie można było zresztą wracać podczas szczytowego nasilenia nawałnicy. Tak czy owak, trzeba ją było przeczekać na miejscu, pod osłonami.

Polacy zaraz po pierwszych atakach burzy stracili z oczu orszak damiatyński. Ten przypożostał w tyle, gdy oni biegli naprzód poty, póki sami nie musieli ratować się podobnie jak inni, pod nakryciem uczynionym z koc i płaszczy, pod które jednak wdzierał się. jeszcze, choć znacznie mniej dokuczliwie, pył, wnikając do nosa, ust, w płuca.

—• Pójdę, odszukam — rwał się Stefan. — Może Alima potrzebuje ratunku, może kona jak owi starcy i słabeusze.

Druhowie zatrzymali go siła. Bo też ani jednego świadomego kroku nie można by zrobić w tumanach piasku i porywach wichury, między kupami walczących o życie pątników, wylekłych zwierząt.

Po paru godzinach burza ustała. Gdzieniedzie z nawianych wydm sterczały nogi i ręce męczenników hadżdzu — nieszczęsnych fanatyków wiary i ascezy, co już z Kairu wyszli osłabli od umartwień, rozgorączkowani od pobożności.

Jedni oskarżali Daud-agę i przewodnika, że winni oni po objawach w przyrodzie poznać bliskość nawałnicy i uniknąć zaskoczenia. Inni przypominali, że podczas świętej pielgrzymki obowiązuje wyrozumiałość i przebaczenie bardziej niż kiedy indziej. Każdy człek omylny, a Ten, co się nie myli, różnie próbuje swój lud. Przeznaczona była ta nawałnica. Palec boży wskazuje tych, co giną na drodze hadżdzu, by bez zwłoki poszli do Raju.

I teraz, jak przedtem, w chwilach śmiertelnej grozy, tu a tam rozbrzmiewało maniackie:

— Niech będzie pochwalony Allah!

— O, Allah, do ciebie idziemy!

Dosiadłszy wierzchowców Polacy jęli gorączkowo szukać po całej dolinie zagubionego orszaku damiatyńskiego. Ale odnalezienie małej gromadki w ogromnym, rozsypanym po dużej przestrzeni tłumie nie było łatwe. Stracili wreszcie panowanie nad sobą i już bez ostrożności jęli rozpytywać o ludzi Kassim-bega.

— Jego wspaniałość zawrócił z orszakiem do Kalaat el-Akaba •— odpowiedział wreszcie jakiś okazały pielgrzym.

— Znasz go więc, sisi? — zdziwił się Stefan.

- Oczywiście. Pochodzę bowiem z mudiriji Garbieh. Polakom uczyniło się nieswojo: mogli zostać rozpoznani. W takim razie pątnicy, choć podczas hadżdzu nie wolno zabić nawet owada, uśmierciliby bez wahania świętokradczych gjaurów. Mimo to Polacy rozpytywali dalej. Ale więcej się nie dowiedzieli.

— Czym prędzej zwracamy! — gorączkował się Stefan.

— Nie! — odparł stanowczo Marek. — Jeśli beg zrezygnował z pielgrzymki, to i tak nic z naszych planów. Jeśli nie, spotkamy go w Mekce. Zawracać to niedorzeczność!

Druhowie, jak zwykle, usłuchali Jakimowskiego.

Zanim karawana uporządkowała się na nowo i zmaltretowani pątnicy nabrali sił do dalszej wędrówki, z ropadlin i jaskiń Dzebel Murabak runęły na nich watahy pogańskich Beduinów. Dolina rozbrzmiewała strzelaniną i krzykiem. Krew zbryzgała piasek i ka-mieniska, padły trupy wiernych i niewiernych. W śmiertelnej walce napastnicy zdobywali wierzchowce pobożnych, rabowali dobro wszelkie. Porwali się nawet na machmałę i poświęcane opony. Ale tych strzegły niby mur szeregi żołnierzy z Daud-agą na czele. Niejeden świetny junak oddał życie na niegościnniej ziemi Murabaku, zanim horda beduińska została odparta.

Tak Miłosierny próbował dusze swych wyznawców.

Karawana po napadzie pociągnęła dalej, a spośród niej coraz wybuchał przeciągły śpiew:

— Niech będzie pochwalony Allah! - O, Allah, do ciebie!

Kassim-beg wskutek nalegań kobiet, jak też dla własnego spokoju, ostygłszy z początkowej gorliwości pątniczej, zarządził powrót do portu i dalszą podróż morzem. Przyczyniły się do tego w niemałej mierze wieści o szczególnej napastliwości Beduinów.

Trzydniowa podróż doskonałym karamzałem przez Morze Czerwone do portu Dżidda w Hedżasie upłynęła przy łagodnej pogodzie i pomyślnych wiatrach. Tylko przy wyjeździe z Zatoki Akab-na pełne morze omal nie wpadli na rafy.

Alima, zdesperowana zupełną rozłąką ze Stefanem, przekreślającą cały plan, godzinami spoglądała z wysokiej rufy na morze, jakby miała nadzieję zobaczyć ukochanego na jednej z naw przepływających blisko.

Otoczona murem obronnym i wałami Dżidda leżała na pozbawionym roślinności pustkowiu — na spalonej słońcem, suchej, piaszczystej równinie nadmorskiej. Brzeg tu był niski,

zasłany łodziami, obmywany spokojną falą. Przed bramami miejskimi przycupnęła do ziemi wioska złożona z lepiank i parę karłowatych drzewek, poza 'którymi nigdzie nawet włókienka zieleni. W przejętym żarem powietrzu nie ma najlżejszego powiewu, Martwota zupełna — ani ptak nie przeleci, ani owad. Ludzie snują się sennie po wybrzeżu. W samym mieście jednak ruch i hałas. Na rynku i ulicach istne targowice towarów zwiezionych z całego świata. Kamienne domy z balkonami tchną chłodem, wabiąc ludzi udręczonych skwarem. Kassim-beg ze swiłą zamieszkał u znajomka, bogatego kupca, w obszernym domostwie kamiennym koło Bramy Mekkańskiej. Z tarasu na dachu rozciągał się widok na morze i równinę piaszczystą.

— Co za straszna pustosz! — rzekła do Zainab Alima wskazując okrągłym ruchem domy i piaszczyska widoczne z balkonu zajętej dopiero co ody. — Jakiż tu smutek mimo żywego morza, złotego słońca, błękitu niebios!

— Czeka nas wesele — odparła Zainab. — Mamy dwanaście mil od świętej Mekki, a więc do środka świata, skąd blisko już do Allacha, który raczył wybrać ją sobie spośród mnogich miast.

— O ileż piękniejsza Garbieh!

•— U stóp Kaaby leczą się dusze i ciała w ogniu wiary. Pójdźmy do grobu prarodzicy naszej, Ewy, pierwszej niewiasty: pomodlisz się do Allacha o pokój dla swego serca.

Poszedł z nimi Uriasz i kilkunastu sulaków. Beg nie ufał spokojowi „kraju Allacha”.

U grobu mitycznej matki rodzaju ludzkiego Alima jakoś nie mogła się modlić.

Wiele dni spędzili na modłach, pobożnych rozmyślaniach i rozmowach, wiodąc pokutniczy tryb życia. Chodzili w prostych sukniach lnianych, puścili, dawali jałmużny, unikali zwad i złych myśli Alima grzeszyła przeciw temu ostatniemu nakazowi. Bezustannie bowiem myślała o Stefanie, a przy pobożnych rozważaniach nie mogła wytrwać. Z okien ciągle przyglądała się morzu, portowi i przybywającym pielgrzymom, jak również karawanom pątników, z których jedni odpoczywali tu, drudzy ciągnęli dalej.

Pewnego dnia przybył w asyście zbrojnych goniec z Dar-el--Amirun. Wybiwszy przed begiem salamy, podał mu list od Mahmeda.

— Jaką drogą przybyliście? •— spytał Kassim.

— Konno do' Suez, później morzem. Mudir zagłębił się w czytaniu listu...

— Jak to? — zawołał nagle zdumiony. — Jakimowski, Sata-nowski i Stołczyzna nie wypłynęli na morze?

— Na morze? — zdumiał się nie mniej wysłaniec. — Wszak wasza wspaniałość (oby Allah czuwał „nad tobą!) rozkazał im wracać do Batn-el-Bakra z ośmioma wielbłędami.

Pojechali, więc z nimi.

— Na świętą brodę Proroka! To zdrada! — zawołał wzburzony mudir. — Wrócisz do Dar-el-Amirun. Niech dostojny mój brat każe ich ścigać, a schwytanych zakuje i wrzuci do lochu! Powściągnął nagle swe uniesienie. W sąsiedztwie Mekki, podczas hadżdżu, nie trzeba żywić gniewu, należy łagodzić postępowanie. Atoli nie wolno też puszczać płazem występków... Kradzież wielbłędów jest występkiem, ale niewielkim. A ucieczka? Czy to ucieczka? Czyżby uciekali mogąc odejść legalnie z dobrowolnej, świetnie nagradzanej służby? Co się w tym kryje?

Niebawem zabrał się do pisania listu. Bez sekretarza. Nie chciał bowiem rozgłosu sprawy.

Doszedł do przekonania, że jego dług - wdzięczności wobec Polaków mogłaby zrównoważyć jeno wielka ich wina. Zalecił więc bratu łagodne do czasu zakończenia śledztwa traktowanie zbiegów w razie ich pojmania.

Z dnia na dzień ogarniała miasto coraz większa gorączka. Pęczniało pątnikami, rozbrzmiewało potężniejącym hałasem.

Ludzie z Dar-el-Amirun, zostawiwszy część swego ekwipunku i wierzchowców w Dżiddzie, ubrani w ihramy, ruszyli na wielbłędach do Mekki.

Kawaler złotej ostrogi Ihram to szata pielgrzymia, inna dla mężczyzn, inna dla kobiet. Pierwsza składa się z dwu pasów lnianych, którymi pątnik okrywa łądźwie i ramiona tak, że prawe ramię zostaje nie zakryte. Druga jest obszernym płaszczem, osłaniającym całą postać niewieścią. Do tego pokutniczego ubioru należą jeszcze sandały, w których podbicie stopy powinno być obnażone. Od chwili włożenia ihramu pątnik nie okrywa ogolonej głowy, zapuszcza wąsy, brodę i paznokcie. Nie wolno ich przyciskać do czasu zdjęcia ihramu. Tak przybrany pielgrzym może być już nazwany al-morem albo hadż-dži. Tytuł ten utwierdzą uroczyscie w Mekce i Medynie.

Odtąd obowiązuje jak największa skromność i dobrotliwość w myślach i uczynkach, albowiem wkracza się na ziemię świętą.

Żar bijący z nieba dał się od razu we znaki odkrytym głowom mężczyzn. Toteż Uriaszowi pozwolono użyć osłony, gdyż religijne przepisy nie zabraniają tego starcom. Wśród gromad widziało się pielgrzymów w podeszłym wieku z parasolami, a ubogich — wprost ze szmatami na kijach. Ale Uriasz nie chciał żadnej osłony.

Droga wiodła zrazu przez nagą równinę piaszczystą. Pałące promienie słoneczne i gorącość buchająca od nagrzanego piasku stawały się coraz bardziej nieznośne.

— Bez woli Allacha nic złego (jako i nic dobrego) nikomu się nie stanie — uspokajał Uriasz.

— A jeśli tutaj wskaże na cię palec śmierci, będzie to znaczyć, że ci takowy los przeznaczony, do którego nie masz odwołania. Śmierć zaś u bram świętej Mekki, to śmierć u bram Raju.

— O, Allach, do ciebie! — powtarzano coraz częściej formułę pątniczą albo pełne pokory:

— O, bądź pochwalony, Allach!

Czasem wielbłądy pochrapywały niespokojnie i zbaczały z drogi. Albowiem na szlaku tu a tam bieleły kości ludzkie czy zwierzęce, przysypane częściowo piaskiem, lub zetlały strzęp odzienia z roz-padłymi członkami ciała, albo świeży trup al-morema.

Za równinnymi piaskami podobna do łożyska wyschłego wadi droga podnosiła się i wiła między nagimi skałami gór, poprzez rząd głębokich a szerokich kotlin o płaskich dnach.

Cmentarna martwość okolicy zmały zawałania:

— O, Allach, do ciebie!

— O, Allach, bądź błogosławiony!

Coraz bardziej kręta droga prześlizgiwała się przez szczeliny bezładnych skał, oddzielających cyrk 1 od, cyrku.

Co chwila Uriasz, niedoszły mułła, intonował pobożne słowa:

— O, Allach, do ciebie!

— O, Allach, bądź pochwalony!

W połowie drogi między Dżiddą a Mekką zaskoczyła ich nagła noc podzwrotnikowa bez zmięchu. Rozłożyli się w jednym z cyrków. Ciemność rozprasały bardzo jasne tu gwiazdy, a potem i księżyc. Skały, kotlinę i przechodzące mimo karawany objęła zielonawa mdła poświataf w której cienie wydawały się niesamowite, drżące, jakby omglone. Mijając obozowisko Kassima-bega gromady pątników pozdrawiały zwyczajem wschodnim:

— Akbar Allah! Assulam alekum!

Acz to „kraj boży”, gdzie nie wolno pątnikowi zabić nawet muchy, doświadczony Uriasz ostrzegał:

— Trzeba się mieć ustawicznie na baczności! Złoczyńcy są złoczyńcami wszędzie. Nieraz tu, u tronu Allacha, w czasie świętego hadżdżu, rozgrywają się mordercze napady i boje.

Przejmujące zimno tropikalnej nocy dokuczyło wszystkim, a zwłaszcza mężczyznom, półnagim w skąpych ihramach. Bo przecie bez względu na pogodę — deszcz, zimno, upał — ni w dzień, ni w nocy nie wolno odziać się w co innego do końca pielgrzymki.

O brzasku ruszyli dalej. Szli z niezliczonym tłumem ludzi.

Droga wiodła przez piaszczyste wzgórza, a potem znów przez cyrki wśród ciemnych skał. Nagle Uriasz zatrzymał orszak przed kolumnami marmurowymi, za którymi nie stała żadna budowla, lecz jak dotąd leżało pustkowie.

•— O, Allah, bądź pochwalony! Oto „brama ziemi świętej"! —

. oznajmił wzruszony. — Na położonym za nią obszarze nie wolno polować, nie wolno zabić zwierzęcia. O, Allah, bądź pochwalony!

— O, Allah, bądź pochwalony! — zawodził chór głosów. Po modlitwie tłum pociągnął dalej, a rósł z każdą wiorstą.

O brzasku, po nocy spędzonej pod gołym niebem, Uriasz obwieścił uroczyście:

— Jesteśmy u progu domu bożego. Bracia i siostry! odrzućcie z serca wszelkie grzeszne myśli, weźcie na się pokorę najgłębszą!...

Cyrk (łac.) — tu: kotlina z płaskim dnem, podobna do krateru.

O, Allah, do ciebie, do stóp twoich przenajświętszych dąży rzesza moslemim!

— O, Allah, do ciebie! —• zawtórowano przeciągłe.

— Kto odbywa hadżdż, wraca tak czysty, jakim wyszedł z łona matki, a nie tylko dla siebie wyjednywa zasługi, ale i dla bliskich swoich, zwłaszcza zmarłych: im jedną, sobie siedmioraką nagrodę. O, Allah, do ciebie po łaski twe idziemy!

— O, Allah, do ciebie!

Wszyscy szli dalej pieszo w namaszczeniu wielkim, bo przecie zbliżali się do środka ziemi, w ściśle poblizę Allacha.

Gdy już z bliska ujrzeni świętą Mekkę, położoną niby gniazdo w dolinie między górami, z zachwyconych piersi wydarły się okrzyki uniesienia:

•—• Allah jest wielki!

— O, Allah, bądź pochwalony!

Nie brukowane, dość szerokie ulice Mekki, zabudowane kamiennymi domami wysokości do trzech pięter, żadnej prawie nie miały zieleni. Tylko przy niektórych okazalszych budowlach wystrzeżiła palma lub granat. Balkony o wymyślnych kształtach, pięknie rzezane w drzewie, zdobiły prawie każdy dom, uwieńczony rozległym tarasem na dachu. Wszędzie pełno handlarzy kupujących towarami z najdalszych krain Wschodu i Zachodu.

Przy głównej ulicy orszak Kassim-bega powitał umówiony już dawno metuaf 1, który nieraz już wodził pielgrzymów z Garbieh.

— Pokój z wami, bracia i siostry! Witajcie, drodzy hadżdżi! Oto jestem do waszych usług, ja i mój dom.

Ku odległej stąd o pół wiorsty świątyni płynęła rzesza pokornego ludu. Od czoła tej rzeszy szedł pomruk.

— Allah jest wielki!

— Allah niech będzie pochwalony!

—• Ostawimy, Abdullahu ibn Ali, w seraju twoim nasze niewiasty a rzeczy wszelakie oraz wierzchowce na dziedzińcu, nas zaś poprowadzisz do Beith-Allah 2, byśmy jak najbliżej Wszzechmocnego byli — rzekł do metuafa Kassim-beg.

1 Metuaf, metowef — przewodnik pielgrzymów w Mekce.

2 Beith-Allah (arab.) — Dom Boży; nazwa meczetu z Kaabą.

— Rzekłeś, sisi.

Alima nagle w tłumie pątników znowu ujrzała Stefana i jego druhow. Przejął ją do głębi strach przed zdemaskowaniem, a także przed grzechem, jaki miał spełnić się w tym świętym miejscu, u stóp Allacha, gdzie wszystko tchnie prawością. Wielokrotne świętokradztwo!...

Ale skoro ów grzech zostanie popełniony, będzie to oznaczać akt przeznaczenia, a więc...

Ach! jakże trudno to pojąć! Jakaż dręcząca ta rozterka!

Weszła za matką do domu Abdullaha.

— My niewiasty, nocą, jak wiara nakazuje, pójdziemy do świętej Kaaby — rzekła Sara wzruszona bliskością sanktuarium. — Tu, w pobliżu Allacha, serce zmienia się na lepsze. Co za szczęście, że tak łatwo Allah dopuścił nas do swego tronu!

— Tak — odparła bezwiednie Alima, myśląc o czym innym. Jeśli Polacy zostaną rozpoznani, to rozerwą ich pobożni pątnicy albo szeryf i rozkaże udusić. Dopiero teraz .odczuła w całej pełni grozę położenia i śmiertelną karkołomność. przedsięwzięcia.

Postanowiła popełnić samobójstwo w razie pojmania Stefana.

Zająwszy wyznaczone pomieszczenie w domu metuafa, wyszła na taras dachu przyjrzeć się miastu, okolicy.

Pomimo świętości miejsca Kassim-beg nie omieszkał otoczyć seraju Abdullaha obręczą zbrojnych sulaków.

Wszystkie domy wokół miały tarasy na dachach, obudowane ażurowymi ściankami z cegiełek ułożonych w zachodzące na siebie szachownice. W dużych domach, jak Abdullaha, tarasy wznosiły się amfiteatralnie jeden nad drugim. Tu mieszkańcy spędzają wieczory i noce, jeśli nie są zbyt zimne. W Egipcie, zwłaszcza na południu, bywały podobne urządzenia na dachach.

Z tarasu Abdullaha widać było góry otaczające Mekkę, w dole — Beith-Allah, najświętszy meczet Islamu, kawał wiodącej tam -ulicy, zatłoczonej pielgrzymami, podobnie jak domy i ich tarasy.

Alima ponownie zobaczyła Stefana i jego towarzyszy. Znowu serce rozkołysało się w piersi, znowu pierzchła ta odrobina spokoju, Jaką odzyskała po krótkim odpoczynku. Zwróciwszy przejętą twarz ku Beith-Allah, jęła modlić się żarliwie. Ale, jak zwykle, zatrwoił Szeryf (arab.) — tutaj: rządca Mekki.

żyły ją myśli, że modli się o sprawy wstrętne Allahowi. Ta rozterka była coraz bardziej dręcząca.

Niebawem mężowie damiatyńscy pod przewodem metuafa Ab-dullaha udali się do Beith-Allah — świątyni Kaaby, umieszczonej na samym dnie doliny, w jakiej leży Mekka. Szli parę sta j wraz z tłumem innych pątników. Tu a ówdzie w prochu ulicy, pod tysiącami nóg, leżeli ci, co ostatkiem sił dowlókszy się w pobliże „środką świata”, padli z przebytego trudu i wzruszenia na widok najświętszego przybytku. Te istne szkielety rzeźbiły swe ostateczne: — Allah akbar! El hamdu lillahi!

Beith-Allah, Dom Boży, to wielka dżamija, prostokątna, o siedmiu minaretach i dziewiętnastu bramach, otoczona trzy- i czte-rorzędową kolumnadą. Od tej kolumnady, długiej na trzysta prawie łokci i bez mała tak samo szerokiej, siedem brukowanych ulic prowadzi do umieszczonego pośrodku Kaaby, ogromnego sześcianu o boku ponad dwadzieścia łokci, obleczonego w bogatą czarną oponę. To największa świętość Islamu.

Metuaf Abdullah zwrócił się do damiatyńczyków ze słowami:

•—• I rzekł Abraham do Allacha: „Panie, ześlij apostoła, aby im objawił twe znaki i nauczył ich Koranu a mądrości”. I odpowiedział mu Allah: „Tę Kaabę przeznaczamy na zrok ludzi, wnętrze zaś jej, stopą Abrahama naznaczone, na miejsce modlitwy. Kto z wiarą zwraca wzrok ku Kaabie, tego grzechy tak się rozpierzchają, jako liście z drzewa”. Tutaj zbierają się modlitwy z całego dar--al-islam x i odchodzą prosto do nieba, do którego stąd blisko.

Świątynia pełna już ludzi. Tłumnie obchodzą Kaabę dokoła, szeleszcząc gołymi stopami po marmurowych taflach chodnika. Wszyscy winni ucałować lub przynajmniej dotknąć prawą ręką słynnego „czarnego kamienia”, wmurowanego w jedną ze ścian Kaaby. Ale jeśli ścisk zbyt wielki, mogą przesłać tylko pocałunek dłonią. Będący bliżej szczęśliwcy dotykają sobie rękami ust, co ucałowały kamień, i podają te ręce innym, którzy dotknąwszy ich z kolei, całują swoje. Ponieważ każdy jednak usilnie stara się dotknąć świętości wargami, ścisk przeto staje się coraz większy.

Wchodząc do świątyni przez Bab-el-Salam, czyli Bramę Pozdrowienia, damiatyńczycy oddali wedle wskazówek metuafa cztery 1 Dar-al-islam (arab.) — obszar zamieszkały przez wyznawców islamu; dar —• dom, obszar, zakres.

poклонy, po czym usiedli na posadzce i odmówili pierwszą modlitwę.

— Poczekamy, aż najgęstsza fala ludu spłynie —• rzekł Abdullah. — Bywają chwile, gdy czyni się niemal przestronno.

Jakoż i doczekali się takiej chwili.

Abdullah poszedł pierwszy i zaintonował przeciągły, cichy śpiew. Damiatyńczycy zawtórowali, obchodząc jednocześnie Kaabę po siedemkroć. Przy czym za każdym razem kolejno przystępowali do „czarnego kamienia”, osadzonego na wysokości wzrostu, człowieka w owalną obręcz srebrną o średnicy półtorałokciowej, i całowali go z namaszczeniem. Potem każdy przyciskał się do muru Kaaby, błagając o odpuszczenie grzechów.

Nowa fala pielgrzymów zepchnęła damiatyńczyków i sama rozpoczęła wstępny obrzęd. Ktoś w uniesieniu wył stłumionym głosem zwroty o Allachu. Ktoś bił głową aż do krwi o mur. Ktoś z szalonego rozbiegu bódł martwe głązy rozranionym ciemieniem i padał bez przytomności, by ocuciwszy się powtarzać obłąkańcze praktyki.

— Ninie odprawimy sai — zapowiedział Abdullah. Opuściwszy świątynię bramą Bab-el-Safa, wyszli na wzgórze Safa. Tutaj, odmawiając półśpiewnie przepisane modlitwy, rozpoczęli świętą przechadzkę, zwaną sai, a to prostą ulicą Messaa, na pół wiorsty długą, zakończoną wzgórzem Merowa. Przechadzkę ową, chwilami powolną, chwilami szybką, odbyli aż siedem razy. Śpiewali przy tym pod przewodem metuafa różaniec — litanie wyrażające dziewięćdziesiąt dziewięć przymiotów Allacha i zakończone setnym wyrazem: „Allah”. Za każdym podejściem do Safy lub Merowy zatrzymywali się na chwilę i recytowali za metuafem modlitwę. Sai ustanowiona została ku czci Hagar szukającej na pustyni wody dla Izmaela. Dlatego pątnik stąpa zrazu powoli, szuka jakby czegoś na ziemi, biegnie niespokojnie tu a tam i znów kroczy poważnie. Męcząca sai kończy się w razurze przy wzgórzu Marowa, w portyku, gdzie balwierz obcina pielgrzymom Paznokcie i goli głowy mruczając modlitwy.

Wróciwszy do wnętrza świątyni, zmordowani upałem i biegiem damiatyńczycy udali się do studni Zem-Zem, gdzie każdy pątnik tte prawo wypić tyle wody świętej, ile może. Służący meczetowi Podawali ją pielgrzymom w kubkach i czarkach.

— Studnia Zem-Zem to źródło znalezione przez Hagar na pustyni — objaśniał metuaf. — Woda z niej i ogień piekielny nie godzą się ze sobą. Przez gardło giaura nie przeszłaby nawet kropla. Udusiłby się. Natomiast dla wiernego jest lekiem ta woda błogosławiona. Pijcie, pijcie, bracia, ile kto może!

Gdy ugasili pragnienie i nadużyli „cudownego” napoju, wrócili do domu i zmienili ihramy na zwykłe ubrania. Po krótkim zaś odpoczynku wraz z wielkim tłumem innych Egipcjan ruszyli górzystą drogą na wschód.

— Sześć godzin wędrówki mamy przed sobą — zapowiadał metuaf. — Idziemy do świętej góry Arafat. A czynimy to na pamiątkę i na cześć Proroka (błogosławiony niech będzie na wieki!), który odbył tę drogę krótko przed śmiercią. A było tak... Ósmego dnia miesiąca Dsul'hedże udał się Mahomet na czele wszystkich pielgrzymów do doliny Mina i tam spędził dzień a noc. Dziewiątego dnia pojechał do góry Arafat. Tu z wielbłąda miał kazanie. Na górze Arafat zabawimy do zachodu słońca, a spędziwszy na modłach noc w Muzdalifa, pośpieszymy w dolinę Mina, kędy każdy hadździ rzuci po trzy kamienie na trzy tameczne słupy, a to na pamiątkę Adama praojca, który tamże odegnał kamieniami szatana i uzyskał od Allacha odpuszczenie winy. Tam odprawimy ofiarę krwawą ze zwierzęcia, każdy na jakąś intencję. Dzień dziesiąty miesiąca DsuFhedże jest dniem Ofiarnego Bajramu... A po odwiedzeniu Arafatu pobożni hadździ mogą, pełni łaski bożej, wrócić do domów. Atoli jest jeszcze jeden obowiązek, którego poniechanie karze nie podlega, lecz spełnienie zasługuje na

nagrodę: pielgrzymka do Medyny, gdzie grobowce Mahometa, Fatimy, jego córki, Abu-Bekra 1 i Omara 2, a także pusty grób przeznaczony dla Jezusa, syna Marii.

XIII Jakimowski i jego druhowie dowiedziawszy się, że Kassim-beg odpłynął morzem do Hedżasu, wyprzedzili kairską karawanę i sami pośpieszyli nieznanym, groźnym krajem.

Wiele razy śmierć 1 Abu-Bekr •— teść Mahometa, pierwszy kalif (namiestnik Mahometa, sułtan); panował w latach 632—4.

2 Omar — drugi kalif; panował w latach 634—44.

zaglądała im w oczy — nie tylko od oręza zbójów, ale i z głodu, pragnienia, upału. Z opresyj ratowało ich własne męstwo i zagon-czykowskie talenty Marka. Zawsze jakoś potrafili znaleźć wodę i pożywienie, unikać beduińskiej zasadzki czy fanatyzmu podejrzliwych pątników albo przejechać po karkach napastników przebojem.

Mijali wiele karawan, trupy ludzi padłych z wyczerpania i kości dawnych ofiar pielgrzymki, gjaurów rozszarpanych przez „pokornych” głoszących łagodność. Widzieli i słyszeli posępne modły fanatyków umierających u kresu wędrówki.

Do Mekki wjechali na kilka dni przed uroczystościami. Z trudem znaleźli pomieszczenie w dzielnicy Muszarafa, u jednego z licznych tu grabarzy.

Trudno im było porozumiewać się z ludźmi w drodze i tutaj. Znali bowiem język arabski używany na północy Egiptu i trochę stary egipski, którym już mało kto w Garbieh władał. Ale jakoś zawsze dogadywali się, zwłaszcza za pomocą tureckiego.

Całymi dniami zwiedzali miasto i okolice, uzupełniając swoją wiedzę o uroczystościach pątniczych. Na wiadomości o nocnych modłach kobiet w Beith-Allah oparli swój plan: porwą Alimę po niewieścim nabożeństwie, gdy niewiasty będą opuszczać świątynię. Odrzuciwszy usługi skwapliwych metuafów, sami udali się do Beith-Allah. Odprawili dziwne obrządki, naśladując mużułmanów. O zachodzie słońca na siedmiu minaretach Domu Bożego zabrzmiał śpiew muezzinów krążących po kamiennych balkonach: łagodny „Adhan”. Otaczające Mekkę góry oblało złote światło. Między kopułami meczetu i przez arkady docierało do wspaniałych marmurów a fajansów świątynnych, połyskujących niby zwierciadła. Z wolna zachód słońca ze złotego stał się różowy, a potem zasnuł się jasnym fioletem. Aż i nagle zapadła noc.

Odmawiający dotąd różańce wierni jęli opuszczać świątynię, w której słudzy zapalali już świece, pochodnie, lampiony. Nocą napływały do oświetlonego Domu Bożego kobiety.

Polacy nocami śledzili meczet czyhając na Alimę. We dniu penetrowali miasto.

Wreszcie koło domu Abdullaha zobaczyli orszak Kassim-bega. Wreszcie i Alima ich poznała.

Później, gdy mężowie damiatyńscy odbywali nabożeństwo u Kaaby, Polacy próbowali zakraść się do seraju Abdullaha. Daremnie. Całe domostwo otaczali gwardziści. Kassim-beg bowiem stał się bardzo czujny po zeszłorocznej próbie porwania jego rodziny przez dzierżawcę Gamala.

Czatowali więc od zachodu słońca koło Beith-Allah, wmieszani w gromady pątników, wałęsające się w pobliżu świątyni, po jej stopniach, między arkadami, w portykach.

Gdy po zachodzie słońca meczet zapłonął światłami, z miasta jęły nadchodzić gromady kobiet. Jedne szły same, inne w towarzystwie mężów, a jeszcze inne ze świtami.

Tak właśnie, w tłumnym orszaku, nadeszły Alima, Sara, Zainab i inne niewiasty dworu Kassimowego.

O ćwierć staja od Bab-el-Salam, przez którą miały wejść, czekali z wielbłędami i końmi Jakimowski i Stołczyzna, gotowi do działania. Stefan siedział wśród żebraków na stopniach wedle tej bramy, zakutany w burnus, z kapturem nasuniętym na twarz. Nikt go z damiatyńczyków, oprócz Alimy, nie poznał.

Nie było jednak sposobu uprowadzenia jej. Otaczało ją wiele niewiast, a przed świątynią czekał oddział sulaków.

Nie było tego sposobu i w dniach następnych.

Jakimowski i Stołczyzna poniechaliby imprezy. Ale czekali, aż się jej wyrzeknie sam sprawca, Satanowski. Nie śmieli odwozić go od chimerycznej gonitwy za mirażem, a tym bardziej w połowie drogi odstąpić zdecydowanego na wszystko straceńca.

Mekka tymczasem pękała w szwach od nadmiaru przybyszów. Brakowało żywności i kwater, a nade wszystko spokoju. Toteż pątnicy, którzy już odbyli, pobożne praktyki, powinni opuścić miasto. Aby im o tym przypomnieć, woźni szeryfa na koniach i wielbłądach a pieszo przebiegali ulice, wołając:

— Pobożni pielgrzymi! Nadszedł czas powrotu do domów! Jutro wyruszają karawany pochodzące z Egiptu i Syrii. W porcie Dżid-dy czekają okręty na tych, co wracają już do ojczyzny. Niebawem podniosą kotwice. Wy przeto, pobożni pielgrzymi, Przy pomocy Allacha wróćcie do domów w zdrowiu i z błogosławieństwem.

Karawany usłuchały na ogół wezwania. Jedne pociągnęły na Północ ku Saribie lub Hail. Inne wybrały powrót morzem. Jeszcze podążyły do Medyny zakończyć swój religijny poryw. damiatyński, włączony do większej karawany, pociągnął do Medyny. W jego tropy, wmieszani w tłum muzułmanów, szli Polacy.

— Dalej nie można już zwlekać — ocenił Jakimowski. — Nie znaleźliśmy żadnej sposobności, trzeba więc bez sposobności. Poprobujemy na każdym postoju. O tyle poza Mekką lepiej, że nie grozi nam śmierć za samo przebywanie w murach „świętego miasta”. Niepowodzenia podnieciły awanturników do zuchwalszego działania. Zmienione położenie wzbudziło nową żądzę hazardu.

Do Kassim-bega podjechał nagle Selim. Na puciołowatej twarzy eunucha znać było wzburzenie.

— Pozwól mi mówić, panie — rzekł. •—• Mam niezwykłą nowinę. Jeszcze się każde włókienko we mnie trzęsie...

— To weź je w garść i gadaj — odparł obojętnie beg.

— Sądziłem zrazu, że mnie pery omamiły...

— Gada j że po ludzku!

Selim rozejrzał się jakby z przestachem. Nachyliwszy się ze swego wielbłąda do pańskiego ucha jął w nie gorączkowo szeptać.

•—• Na świętą brodę Proroka! Bredzisz chyba — zdumiał się beg.

— Niech już nigdy grzesznymi usty nie dotknę świętego kamienia, jeśli łżę czy błądzę! — zaklął się Selim. — Gdyby mnie oczy zmyliły, każ mi je, wasza wspaniałość, wyłupić.

— A w Mekce takż widziałeś?

— Nie. Dopiero tu, gdyśmy wyszli z Dżedede.

Wiadomość wstrząsnęła begiem. Ochłonawszy, zalecił straży wzmóc czujność. Więcej przeczuwał, niż rozumiał niebezpieczeństwo, — Obejdz karawanę i upewnij się — rozkazał Selimowi.

Na pierwszym postoju odbył tajną naradę z Kara Nurumem i innymi oficerami. Podczas niej wrócił z poszukiwań Selim. Ale tym razem nie przyniósł nic nowego.

—• Róbcie, jakom kazał — polecił beg wojakom. —• W tajemnicy! Siedz dalej, Selimie...

Pierwszy nocleg wypadł wśród pagórków na parę mil przed Saribą. Rozbito namioty z koc, podobne do beduińskich kosteжек. Kassim-beg miał salamlik oddzielony ścianką od haremu. Spano na skórach i matach. Kosteжек strzegły warty sulaków.

Alima była roztrzęsiona, ustawicznie spodziewając się strasznej i zarazem pożądanej odmiany losu. Teraz, leżąc na postaniu o krok od Zainab, poprzez ciemności wpatrywała się w kocę oddzielającą ich kwaterę od pomieszczeń innych niewiast. Błada poświata gwiazd i wschodzącego księżyca przesiąkała przez .szpary między nie dociągniętymi płatami kosteжки, rozrzedzając nieco ciemności. Czasem ściana załopotala od powiewów wiatru, czasem otarł się o nią wartownik, którego kroki miękko dudniły w ziemię.

Wybrawszy sobie miejsce nie opodal obozu Kassim-bega Polacy czyhali na odpowiednią chwilę. Tenże obóz i ich stanowisko dzieliła kamienista rozpadlina, głęboka i szeroka zaledwie na trzy sążnie, ale nie do przebycia dla koni lub wielbłądów. Z trudem można ją było przejść po rumowiskach skalnych. Z ukrycia między głazami widzieli jak na dłoni kostejki, warty, wielbłądy...

Jakimowski i Stołczyzna stanęli w pogotowiu za zwałami skał, trzymając ściśle konie, na które wymienili swoje wielbłądy, jako zbyt powolne, acz przydatniejsze w warunkach pustyni. Chodziło wszak przede wszystkim o szybkość pierwszego kroku.

Po długim czekaniu, kiedy obóz przysnął, a wartownicy, nie dogładani, na całe kwadrans opuszczali swe posterunki, łącząc się w gromady dla pogawędki, Jakimowski zdecydował: — Ruszaj. Stefanie!

Satanowski opuścił się ostrożnie w rozpadlinę i między wielkimi kamieniami przeczołgał na drugą stronę, korzystając z tego, że strzegący namiotu bega wartownicy odeszli dokądś w inny zakąt obozu. Śmiały aż do szaleństwa, wdrapał się na przeciwny brzeg rozpadliny, na którym ciemniała kostejka mudira. Zapadł nagle w załom skalny, wrócili bowiem wartownicy. Gdy po pewnym czasie odeszli ponownie, podpełzł do kostejki.

— Ja czuвам — szepnął po swojemu.

Postłyszał szelest w haremowej części namiotu. Po chwili Alima porozumiewawczo zakaszła i zastukała leciusiętko, chyba palcem, w napiętą kocę.

'— Wyjdź przed namiot — szepnął znów ledwie słyszalnie.

Cisza. Płyną sekundy... Żadnego odezwu. A przecież zaraz na-aejdą wartownicy... Aż spotniał z wielkiego napięcia.

Koca namiotu odchyliła się — wyszła Alima.

-hwycił ją za rękę i pociągnął na krawędź rozpadliny. Już aieli zsunąć się w dół, gdy zabrzmiał nagły świst i zanim uświa domili sobie, co zaszło, legli spętani wieloma arkanami, a po chwili opadła ich zgraja sułaków.

Po przeciwnej stronie rozpadliny działy się również rzeczy, których przezorny Jakimowski nie przewidział. Gdy obaj z Janem przycupnęli na krawędzi, by wciągnąć Alimę, całe rumowisko skalne wokół zaczęło się jakby poruszać. Zza głazów wyskakiwali sulacy. Jan i Marek też padli spętani arkanami, napadnięci i zmożeni przez ludzi nadbiegłych zewsząd. Wszystko działo się w zupełnej prawie ciszy. Słyszać było tylko tupot nóg, zduszone szepty, świst arkanów, zgrzyt kamieni, szcęk żelaza... Nikt w namiotach nie został obudzony. Ta cisza, pełna niemych zmagañ i napięcia, była niesamowita.

Kassim-beg daleko od obozu czekał na wynik akcji. Gdy rzucono mu pod nogi cztery obezwładnione ciała, wydał z siebie wściekły pomruk, niby zwierz. W jego rękę błysnął jatagan.

— Stój! — huknął zuchwale Jakimowski. — Nie zapominaj, mu-dirze, coś nam winien,! Nie plam się krwią dobroczyńców!

Długą chwilę ważył się jego los, który by następnie podzielili druhowie. Złowroga stał opadła w końcu.

Alima leżała na kamieniach z zamkniętymi oczyma, bez oznak życia. W świetle miesięcznym lica jej wydawały się śmiertelnie blade. Żołdaci poglądali na nią ze zgrozą. Nie mogła, jeśli nawet nie omdlała, patrzeć na ojca i tych ludzi, co ją sponiewierali, poznali całą jej tajemnicę i wydali na śmierć ukochanego człowieka. Z całych sił hamowała krzyk rozpacz, by nie przysporzyć im okazji do politowania czy triumfu.

Kassim-beg stał długo z kamienną twarzą, w milczeniu, nad poj-mañcami, jakby nie wiedział, co robić dalej.

Z dala dobiegały tu stłumione, rzadkie, słabe odgłosy pątnicznych obozowisk. Miesiąc rósł i wspinał się coraz wyżej, a w jego mgła-wej poświacie widać było namioty jednych karawan i

pochód innych drogą. Tu, na kamieńcu, nad którym i pod którym zwisały postrzępione urwiska, panowała martwota i cisza.

— Kara Nurumie —• ozwał się wreszcie mudir — wrócisz natychmiast do Dżiddy z tymi... Tam od kupca Haleba wynajmiesz karamzał i nie biorąc na pokład obcych podróźnych, pozełgujesz do Suez. Stamtąd odeślesz kararnzał. W Dar-el-Amirun zanikniesz w jednym lochu tę nierządną dziewczkę, a w drugim trzech łotrów...

— Zali wasza wspaniałość pociągnie dalej do Medyny?

— Nie — odparł z bólem beg. — Hańba i zbrodnia pokalały mój dom, pokalały mnie... — odszedł z kapudanem na stronę. — Wysłałem cię w tajemnicy. My pociągniemy za tobą rano. O tym, co zaszło, nikt ma się nie dowiedzieć aż do czasu.

Kara Nurum ukradkiem wymknął się z obozu, pomiędzy skał i karawan. Na czele niewielkiego orszaku pomknął ku Mekce, ominął ją i nazajutrz rano już dobił do Dżiddy. Tymczasem Zainab odkryła nieobecność Alimy koło siebie. Zaniepokojona tym, wyszła przed namiot, zarzuciwszy jaszmak na twarz. Natknęła się na wartowników. Długo kręciła się przed ko-stejką, zanim spytała jednego z nich:

— Zali nie widziałeś, chłopcze, dostojnej kadyn Alimy?

—• Nie — odparł nie patrząc jej w oczy.

Zainab wyczuła coś niedobrego. Niepojęty lęk przejął jej serce. Cofnęła się do namiotu, obudziła Sarę i wyjawiała jej zniknięcie Alimy. Wybiegły przed namiot w chwili, gdy wracał doń Kassim--beg. Od razu z jego wyglądu wyczytały niedobre rzeczy.

•— Co się stało? — szepnęła Sara zdjęta złym przeczuciem i chwyciła go za rękaw. — Na Allacha! Gdzie Alima?

Szarpnął się, wyrwał i odparł z wysiłkiem:

— Odesłałem ją do Dar-el-Amirun pod opieką Kara Nuruma. Weszła za nim do salamliku w kostejce.

— Co się stało, na Allacha? Mów, Kassimie! Ja przeczuwam...

— Wychowałaś nierządnicę, Saro •— przerwał jej patrząc w chwiejne blaski pochodni oświetlającej salamlik.

Sara osunęła się na matę. Długo siedziała w milczeniu. Aż beg zaczął podejrzewać, że wiedziała o sprawkach Alimy. Ujawnił to z gniewem i sarkazmem.

— Jesteś moim mężem i panem — odparła z płonąca twarzą — ale czasem zda mi się, że mam przed sobą powroźnika z Gałaty.

— Czemu więc milczysz? Nie drzesz włosów z głowy? — wybuchnął. — Zachowujesz się, jakbyś nie była zaskoczona!

^powiedział całe zdarzenie poczynając od Selimowego odkrycia. Nie był twardy — zapłakał nad upadkiem córki.

— Tak ją miłowałem! Więcej niżli inne dzieci. Taka hańba! Taki grzech podczas hadźdzu! Nieraz Muharrem, Fuad i Selim szeptywali to i owo o kafirach, o Alimie. Nie rozumiałem pod szeptów! Ninie dopiero pojmuję ich półsłówka. Oto dlaczego buntowała się przeciw małżeństwu z Harunem! Teraz, po cuchnącej osławie, nawet wielbłądnik z Esbe wzgardzi córą mudira... O, Allah! doświadczasz mnie ciężko! A cóżem ci zawinił? Bodajbyś zabrał ją rok temu z wydm synajskich! O, ja nieszczęśliwy!

Sara była silniejsza. Oczy miała suche, rozgorączkowane, rysy twarzy zaostrome, głos dziwnie stwardniały.

— Inne mamy dzieci — rzekła. — Co uczynisz z Alimą? •— Kazałem wtrącić ją do lochu. W potrzebie, da głowę. Przerazenie i ból odmalowały się w licach Sary. Zapanowała jednak nad nimi i spytała zduszonym głosem:

— A co stanie się z kafirami?

•— Już by toczyły się ich łby po skałach tutejszych, gdyby nie nasz dług wdzięczności i doba hadźdzu.

Rozmawiali do białego rana, udręczeni nieszczęściem.

Inne karawany już dawno pociągnęły w dalszą drogę, a obóz damiatyński stał między skałami...

Wreszcie Kassim-beg zarządził powrót do Dar-el-Amirun, poniechawszy dalszej pielgrzymki do Medyny.

XIV Wieść o uwięzieniu Alimy obiegała bardzo szybko całą Garbieh. Był to wypadek niezwykle. Spodziewano się interwencji baszy Egiptu, a może nawet dworu padyszacha.

Niewiasty haremu Kassimowego popłakiwały — jedne szczerze, drugie" nieszczercze — nad losem Alimy. Sara, zamknięta w swej odzie, nie pokazywała się nikomu. Dworzanie i służba jawnie żalowali Alimy, acz jej postępek uważali za karygodny. Powszechna za to nienawiść otaczała uwięzionych Polaków. Gdyby nie mury więzienne, dokonano by może samosądu.

Ale Uriasz i Meram współczuli wszystkim uwięzionym.

Uriasz modlił się całymi dniami na intencję Alimy i Polaków, nie miał jednak żadnej wątpliwości co do ciężkiej ich winy.

Meram zaś powiedział kiedyś osłupiałemu ogrodnikowi:

— Jaka wina? Zamknij rzekę, a tamy zerwie, z łożyska umknie.

— Co ty mówisz, Meramie?

— Hodujesz drzewa. Ściśnij któreś obręczą. Cóż się stanie? Zerwie obręcz rosnąca żywią.

A tymczasem trzech Polacy cierpieli w nędzy, poniżeniu i trwodze, wtrąceni do głębokiego lochu. Przez mały otwór, umieszczony kilka łokci nad błotnistą polepą, sączyło się trochę światła i podawano więźniom raz na dzień dwugarncową stągiew wody i bochenek chleba, czasem miskę ryżu smażonego na owczym maśle. Od niedostatku, zimnicy piwnicznej i braku świeżego powietrza marnieli z godziny na godzinę. Skuci łańcuchami, leżeli na stęchłej, cuchnącej od zgnilizny i odchodów słomie, zalegającej dno lochu-. Po ścianach strugami ściekała gęsta wilgoć, w słomie chrobotały myszy, robactwo.

Po wejściu do lochu Marek i Jan napadli na Stefana:

— Boda j es szczę! Szaleńca słuchaliśmy!

— Wywiodłeś nas! Przez twoje amory giniemy!

Nie miał nic do powiedzenia. Nieraz wszak ostrzegał, chciał oddzielić swój los od ich losu.

Jednocześnie w postępowaniu swoim widział teraz wiele niecnoty. Czuł się zdrajcą wobec bega, tudzież pukusą do złego dla Alimy i druhów. Chwilami i Alimę wciągał do współwiny, oceniając wtedy, że od ich stosunku tchnął odór występku. Ale przecież kiedy indziej sądził, że wszystko było dobre i piękne, a tylko niesprawiedliwość ludzka zdeptała życie ich wszystkich. Bo gdyby Alima była dlań dostępna, nie byłoby niniejszego nieszczęścia, przedtem zaś — fałszu.

Po wybuchu mijały. z wolna złe uczucia, dręczące przyjaciół. Nowa niedola przywodziła na myśl wspomnienia, serca napełniała braterskim afektem, kazała zapomnieć o winie. W stu przygodach śmierć zaciskała swe kościste palce na ich gardłach, a przecie nigdy nie dociekali, kto ona na nich naprowadził. Związali kiedyś losy właśnie na taki hazard śmiertelny, na taką niedolę.

— Zowiecie mnie swoim hetmanem — mówił żałośnie Jakimow-ski. — A ja co? Dałem się podejść jak najgłupszy ciura i zmarnowałem okazję.

Byli pewni, że zostaną straceni. Spodziewali się tortur. Chwilami ogarniała ich rozpacz.

Stefan na domiar dręczył się nieznanym losem Alimy.

Myślmy o śmierci —• rzekł Jakimowski. — Gdy będą nam 29 — Kawaler złotej ostrogi podawać jadło, poprosimy o księdza, 'bodaj koptyjskiego. W obliczu śmierci porzucisz chyba swoje kacerskie błędy, Stefanie.

— Dozwól mi ostać przy nich i wziąć za nie odpowiedzialność przed Bogiem — odparł Satanowski z naciskiem.

— Opamiętaj się w godzinę śmierci! Czeka cię piekło! — • Raczej wstawię się za wami u Boga.

Tak naiwnie targowali się o swe dusze. Żarła ich nędza więzienna, zgryzota i swary, po których następowała rzewna zgoda.

Aż kiedyś zabrzmiał w ciężkich dźwierzach zgrzyt klucza. Do lochu weszło z zapalonymi pochodniami trzech zbrojnych pachołków. Za pomocą kluczy odpięli od ściany łańcuchy skuwające więźniów, za czym pognali oszołomionych na dwór krętymi schodkami.

Świeży podmuch powietrza zamącił im w głowach niby mocny trunek. Pełne światło dnia dęgało w oczy. Skuci, osłabli, otoczeni wrogim mrowiem, nie mieli żadnych możliwości ucieczki.

Wyglądali strasznie. W łachmanach niemal, brudni, cuchnący, zarośnięci, bladzi. Twarze pokryte krostami i bąblami od ukąszeń robactwa. Wyniosłe do niedawna postaci skurczyły się jakby. Raniący nogi łańcuch utrudniał chodzenie. Mało przypominali owych wspaniałych junaków, których podziwiała cała mudirija.

Na tej krótkiej drodze przyglądało się im sporo ludzi. Jedni szydzili, drudzy współczuwali, inni rzucali się na więźniów z pięściami i dopiero strażnicy musieli stawać w czynnej obronie. Gapiów z całego Dar-el-Amirum gromadziło się coraz więcej.

Zaprowadzono więźniów do wartowni. Zastali tam Kara Nuru-ma, poturczeńca Mustafę, żołnierza Halima i innych pachołków. Na gębie Mustafy malował się wyraz triumfu.

Stefan spostrzegł leżącą na ławie swoją lirę. Uczynił ku niej mimowolny ruch. Ale wnet strażnicy go powstrzymali.

•— Wyjdźcie wszyscy! — polecił żołdatom kapudan.

Gdy opuścili izbę, przemówił dopiero po długim milczeniu:

— Jego wspaniałość, pomny waszych poprzednich usług, raczył uchylić pierwotny swój zamiar ukarania was śmiercią za zbrodnie. Skazał was na galery.

— My wolni ludzie •— zaprotestował Jakimowski. — Może nas sędzić jedynie kadi darniatyński. Jesteśmy wyzwoleni!

' Kara Nurum utkwiał w nim swe sępie oczy i odparł:

— Dostojny mudir może osądzić niewolnika wedle swej woli. Cofnął on wyzwolenie. Po drugie, winniście być radzi, żeście nie pod sądem kadiego. Każdy sąd skazałby was na okrutną, śmierć.

— Lepsza śmierć niż powolne konanie przy wiośle.

— Dosyć — syknął Nurum zniecierpliwiony. •— Łotry! Jego wspaniałość jest tak łaskawy, że pozwolił nawet Satanowskiemu wziąć z sobą lirę. Zaiste, niepojęta dobroć tego człowieka (oby go Allah pocieszył najrychlej!) Ja bym was... — Surowy był, okrutny, prawdziwy żołdat z profesji, ale nie podły jak Mustafa, raczej prawy. Daję wam godzinę na ochędożenie się, posiłek i odpoczynek. Strażnicy będą z wami. Bierz lirę!

Stefan z dziwnym pośpiechem wziął instrument do rąk, wargi mu zadrgały, rumieńce wystąpiły na policzki.

— Wyjdźcie! — ostro skomenderował kapudan.

Po wyjściu Polaków, których za drzwiami od razu przejęli strażnicy, wezwał na powrót Mustafę i jego towarzyszy.

— Wolą jego wspaniałości jest, aby kafirowie ci byli traktowani po ludzku •— powiedział.

— Znam rozkazy dostojnego pana — odparł potulnie szyper.

Niebawem z pałacu Dar-el-Amirun wyszli więźniowie pod nadzorem Mustafy, Halima i kilku sulaków. Z okien i balkonów spoglądały kadyny, dworzanie, służba. Uriasz postępował równoległe z więźniami, w pewnej od nich odległości. W bramie, oprócz wart, stali uśmiechnięci drwiąco Selim, Muharrem i Fuad.

Satanowski musiał użyć całej siły woli, by nie zapłakać przy gawiedzi. Opuszczając dziedziniec, rozpaczliwie rozejrzał się po wszystkich oknach i balkonach. Serce mu nagle

stańto w piersi: za kratą najwyższego okna więziennej wieży zobaczył błękitną szatę. To Alima! Szarpnął się mimo woli, jakby chciał zawrócić. Brzęk łańcucha uświadomił mu położenie. Stefan spojrział jeszcze raz: błękit wypełniał całe okienko, ale kraty nie pozwalały zobaczyć ani ruchu, ani twarzy.

Za bramą zebrał się tłum gapiów z całej Esbe. Obrzucił więźniów, o których krążyła prawdziwa i nieprawdziwa fama po okolicy, obelgami i kamieniami. Plwał i krzyczał: — Psy niewierne! Wywłoki z piekła! Bodaj was trąd stoczył! — Łby pościnać! Rozerwać koźmi!

Ten a ów przyskoczył i uderzył. W tym miejscu, którego strzegł Mustafa, udawało się to napastnikom. Szyper bowiem przyzwalał na ekscesy, zachęcając do nich swą wiecznie uśmiechniętą gębą. Ale Halim, żołnierz, odgarniał natrętów kolbą muszkietu.

— Przeklęte plemie! — grzmiało. — Nieczyste świnię!

Ale brzmiały też głosy pełne współczucia. Z tłumy rzucano więźniom pod nogi owoce, chleb, zawiniątka z jadem. Mustafa jednak nie pozwolił im podnieść tych darów, depcząc i odpychając nogami. Monety, które rzucano, również sam brał do kieszeni. Do Satanowskiego podszedł Uriasz i rzekł z wyrzutem: — Czemuś mnie nie usłuchał? Gdybyś przyjął prawdziwą wiarę, Allah uchroniłby cię od występku.

— Za późno mówić o tym — odparł ze smutkiem Stefan. — Ale dziękuję ci, Uriasz, za każde dobre słowo, za serce...

Uriasz przysunął się do niego i wcisnął mu do ręki sakiewkę z pieniędzmi.

•— Bywaj zdrów, Stefanie!

Nie mógł nadażyć za pędzonymi szybko więźniami. Zostawał coraz bardziej w tyle... A do Stefana podbiegł niespodziewanie Mustafa i wyrwał mu sakiewkę z ręki.

•— Łotrze! •— syknął Stefan zamierzając się skutymi rękoma.

Ale Mustafa uniknął ciosu, a potem znieacka uderzył Polaka kolbą muszkietu w plecy, chichocząc szydersko. Wtedy do szypra podszedł pocziwy Halim, odciągnął go na stronę i jął mówić coś z wielką żywością. Pokłócili się chyba. Po krótkim starciu Halim wrócił na czoło pochodu.

Jakiś czas więźniowie mieli spokój. Ale Mustafa przypomniał im się za Darniątem, na drodze do portu.

— Prędeż, barankowie, prędeż! — popędzał ich popychając kolbą. — Hej, Halimie, przyspiesz no kroku! Pokaż tym wołom, jak trzeba maszerować!

Halim przyspieszył, by po kilkunastu krokach znów zwolnić.

— Idziecie na odpoczynek, synkowie •— drwił Mustafa. — O! już jego dostojność (niechaj mu Allah da pomyślność wieczną!) obmyślił dla was słodziuchną chałwę. Nie będziecie się trudzić, łamać główek nad pańskimi rozkazami. Wasze od dziś zadanie: siedzieć sobie na zadach i zabawiać się wioselkami. Tak-tak, jeno siedzieć. Cha! cha! cha! Ot, na co kapudanbaszom przyszło!

Jakimowski popatrzył nań z niezmierną pogardą i rzekł:

— Ciebie to chyba parszywa świnię zrodziła.

Po chwili otrzymał silne uderzenie w plecy, posłyszał śmiech. •— Bądź rozsądny, chłopcze! Mając rączki i nóżki w łańcuszkach, efendi, nie dasz mi rady.

— Takiemu jak ty zawsze dam radę! •— warknął Jakimowski. Odwrócił się gwałtownie i z całej siły plunął w gębę szyprowi.

Na domiar nagłym uderzeniem ramienia omal nie stracił go do wody jeziora Menzaleh, którego brzegiem właśnie szli. W zamian za to posypały się nań razy kolbą i wyzwicka:

— Ty psie nieczysty! Kafirze przeklęty!

Halim zrazu patrzył na to ze zmarszczonymi brwiami. Ale widząc, że razy nie ustają, podbiegł do Mustafy i pohamował go — Wszak dostojny beg zabrania katować więźniów. Ukarze nas, gdy się poskarżą. Bo ja nie będę świadczył za tobą, Mustafie.

— Łotrze! Zdrajco!

— Tyś łotr, nie ja. Allah nakazuje miłosierdzie nawet dla złoczyńców. Zdrajcą też jesteś, bo łamiesz nakazy swego pana.

— Przecie ten pies plunął mi w twarz, zniewazył mnie.

— Ale ty go do tego przywiodłeś. Zapytany, powiem prawdę. Przypozostali za więźniami, by nie być słyszani.

Mustafa opanował się. Beg bowiem nie lubił ślepego okrucieństwa.

Za willami bogatych kupców i tureckich właścicieli czyftlików rozciągały się na grząskich brzegach Menzaleh poletka ryżu, trzciny cukrowej, a wyżej nieco, na suchszyni gruncie — niebieskie teraz, w dobie kwitnienia, zagony lnu. Wąski przesmyk między odnogą Nilu a jeziorem przecinały strumyki. Na łączkach tutejszych bieleły się w słońcu niezliczone płachty płótna, które tu, w Damiacie i okolicach, wyrabiano na handel.

Płótno całkiem jak w Polsce. I jaśminy także same... Zadumali się, zasmucili do głębi, do dna...

Satanowski ścisnął pod pachą lirę, zatroskany, czy mu jej nie zabiorą. Spod powiek nie zniknął mu ani na chwilę obraz błękitnej szaty, pociętej więzienną kratą.

Mile na północ od miasta Damiat, przy ujściu damiatyńskiej odnogi Nilu do morza, leżał port na przesmyku oddzielającym rzekę od zalewu. Wyjścia z morza do rzeki bronił czworogranny za mek warowny o czterech wieżach, stojący na prawym brzegu odnogi.

Więźniowie mniemali, że w nim zostaną osadzeni. Ale okazało się co innego: rezydujący tu od niedawna Kassim-beg odbył z kapitanami i szyprami swych galer odprawę.

Do portu więźniowie zaszli wieczorem, kiedy już płonęła wielka latarnia morska i inne latarnie portowe.

„Ak-Kaľkan”, przednia galera Kassimowej flotylli, stała u nabrzeża portu w kręgu światła portowych latarni, a dalej, na redzie — inne statki bega wśród mnóstwa różnych naw.

Po trapie weszli na „Ak-Kaľkan”, potem schodnią pod pokład. Uderzył w nich trujący zaduch i gwar wioślarzy przykutych do pojazd. Łachmany na grzbietach, zarosłe gęby, ziemista cera, oczy złe, podpuchłe, jęk łańcuchów, krzyki... Mustafa od razu poczuł się w swoim królestwie. Ze swym zwykłym uśmieszkiem przejechał harapem po zwichrzonych łbach i wychudłych plecach.

— Noc zapada, cicho więc, dzieci moje! •— syczał. Bluznęli nań przekleństwami —• przeważnie po polsku.

— Czołem, bracia! — pozdrowił Jakimowski.

— Czołem! — odpowiedziało niewiele drętwych głosów. Wioślarze to przeważnie jeńcy z Cecory. Ale jakże odmienieni przez te dwa i pół roku! Poznali chyba przybyszów, nie wykazali jednak żadnego przyjaznego względem nich pochopu.

— Czołem, mości Jakimowski! — zabrzmiał pojedynczy głos.

W wołającym Marek poznał Piotra Sieleckiego! Nie mogli na razie rozmawiać, ale domyślił się jego losu. Coraz poznawał kogoś z cecorskich żołdatów hetmana Żółkiewskiego.

Przechodząc między siadankami, on i Stefan ściskali dłonie dawnych towarzyszy.

— Znowu my razem, bracia!

•— Do śmierci! — zawołał tragicznie Sielecki.

Przybysze, stare wilki morskie, poznali od razu, co galernikom dolega. Twarze zielonawożółte, podsinięte oczy, niebieskawe, opuchnięte dziąsła, widoczne przy rozmowie spod zakrwawionych warg. Niektórzy ludzie krzywili się co chwila, łapali się za różne członki ciała, przejęte bólem, cuchnące. Inni opatrywali sobie niebieskawe wrzody.

Niektórych rozděła już puchlina.

— Mustaf! •— rzekł Marek władczo, jakby zapominając o pętach. — Tych ludzi nęka szkorbut. Dostojny mudir nakazuje ci dbać, by na okręcie szkorbutu nie było. A ty go oszukujesz! Uśmiechnięta twarz Mustafy stała się straszna.

— Ty! ty! ty... — zakrzuszył się własnym krzykiem. Podniesiony już jego harap Jakimowski chwycił wraz z dłonią szypra w żelazny uścisk. Mustafa zaskrzeczał z bólu.

— Ja zginę, ale przedtem ciebie uśmiercę! — wychrypiał Marek. — Nie waż się mnie tknąć! Bo zanim to zrobisz, wyślę cię do tego twojego raj!

Mustafa zdryfł jak zwykle, gdy natrafiał na twarde opór. Uwolniony z uścisku, przybrał znowu na twarz swój uśmieszek. Pomyślał, że zuchwałe zachowanie się Jakimowskiego może świadczyć o szczególnym stanowisku, wyznaczonym mu przez bega na * galerze. Przecie i Kara Nurum odbył z tymi trzema odprawę bez świadków.

— Brałem cię na próbę — rzekł bezczelnie Mustafa.

— I ja cię wypróbuję, gdy wyjawię dostojnemu panu, że głodzisz wioślarzy — zagroził Marek. — A każdy z nich wart sto pia-strów, razem więc ponad dwadzieścia tysięcy! Wiesz, baranie, ile to? Zmniejszając wyznaczone im racje, okradasz dostojnego mudi-ra. Narażając ich zaś na choroby i śmierć, zdradzasz go, łamiesz jego wolę. Powiadomię o tym, kogo trzeba.

Mustafa był coraz pewniejszy, że tego kafira nasłano.

— Nie będzie to konieczne — zaśmiał się dziko.

— Teraz czyń swoje! — rzekł Marek odwracając się odeń.

— Pohamuj się! — szepnął Satanowski. — Przemoc nad nami.

— Ale on drży przede mną i jego brudne łapy.

Mustafa, chcąc Marka ująć, a zauważywszy jego konfidencję z Piotrem, posadził go przy nim u jednej pojazdy, do której byli też przykuci trzej Grecy.

— Będzie ci różnie z Sieleckim — rzekł przymilnie.

Stefana usadowił o kilka pojazdów dalej — z dwoma Anglikami, byłym ciurą obozu na Cecerze i Rusinem. Stołczyzna dostał za towarzyszy dwu Polaków, Moskala i Włocha.

— Co z tobą? — zagadnął Marek Piotra.

— Ano, złapali mnie bisurmani na granicy i odstawili na powrót do Kassim-bega — odparł Sielecki. — Szczyściem czy nieszczęściem, na chłóście się skończyło i u pojazdy... Ja to ja. Ale co, u licha, z wami, którzyście w takich faworach u bega żyli?

Jakimowski opowiedział mu całą historię.

— „Fortuna kołem się toczy”, mówi przysłowie, ale święta prawda — rzekł Piotr.

— A jak się zowią ci, co koło nas siedzą?

— Grecy. Ten siwy to uczony ateńczyk Arystydes Metaxas, któren ponoć włada wszystkimi językami. I naszym, polskim! Metaxas kiwnął głową Markowi i rzekł po polsku:

— Witaj, nowy towarzyszu niedoli! Pozdrawiam cię! Jakimowski ponad barkami Piotra uścisnął Grekowi dłoń.

••• Ten urodziwy Grek to Eleutherios Dopulos — informował dalej Sielecki. — A ów Grek z blizną na policzku to Leander Ka-ales. Ninie powiem ci o sąsiadach Satanowskiego: hrabia Harold of Castleborough i rzeźnik Winston Crow to Angielczycy, dalej Rusin Tymosza Kaliniczenko i Polak Walenty Kosmala, ciura cecorski, ten dziobaty. Trzeba się Kosmali strzec, bo gad.

— Bóg ci zapłać za życzliwość a dobre intencje.

— E, jakoś za nic płacić nie chce, chyba złem. Ale wyście mi już w Stambule sercem zapłacili... Posłuchaj dalej! Ze Stołczyzną siedzą: Jan Ostrowski spod Czerska, piaseczynianin Pafnucy Ro-wiński, Moskal Iwan Fiedorow i Sycylijczyk Benito Tagliani.

Między siadanki wszedł nagle Abdul i odkuł od wioseł Kosma-lę, Metaxasa i dwu innych galerników, po czym zabrał ich na górę.

— Pora wieczery — objaśnił Sielecki. — Abdul wziął ich do pomocy tym, co od rana pełnią służbę u kucharza w kambuzie1. Wszyscy po kolei odbywają po kilku takową służbę.

Jakimowski zamyślił się...

Z zadumy obudziła go głośna rozmowa Stołczyzny z Rowińskim.

— Skąd mam wiedzieć, co na świecie, skoro niby szczur pod pokładem siedzę? — zaperzył się Rowiński. — Tyle że się posługi czasem pełni na górze, a śpi w koi, i to też w okowach.

•—• Zdechnąć jeno, kula mi w łeb! •— huknął Stołczyńną.

•— Zdechniesz, zdechniesz, oczywista... Dla przykładu ci, na których miejsca wy przyszlście: puchlina wodna, męczarnie konania w zycie 2, potem za nogi i chlup w wodę! Znikąd ratunku! Kto bogaty, rodzina go może wykupi, znacznego — Rzeczpospoli1 Kambuz (holend.) — kuchnia okrętowa.

2 Zyza — spód statku, dokąd spływają wszelkie nieczystości.

ta Aliści kto biedny, zdycha rabem zawszonym, owrrodziałym... No ale powiedz, jeśli wiesz, co się stało z hetmanami na Cecorze, bo wojsko, wiem, w rozsypkę poszło.

— To wam Sielecki nie mówił?

— A! On z rozpacz po nieudanej wycieczce oniemiał.

— Pan hetman Żółkiewski zabit, pan hetman Koniecpolski w niewolę pojman, aliści pono wykupion...

— Takowym to i w piekle dobrze. A powiadają: panowie bracia, wszyscy szlachta i równi. Dopiero w niedoli ludzie są równi: nie masz herbowych ni plebeanów, jeno nędzarze i zjadacze niewolniczego chleba. A szlachetniejszy niekoniecznie ten, kto wyżej zrodzon. Tu serce i krzepa w gnatach najzdobniejszych klejnoty.

— Jak zawdy... A może nas kiedy WenecJanie oswobodzą?

— Co ty, człowieku? Gdyby nawet ich okręta w batalii morskiej rozbiły naszą kolej, to przecie, skuci, na dno byśmy poszli. Kto by nas ratował? Widać, żeś morza nieświadom. Stołczyńną zachnął się i zaśmiał.

— Jam bosman króla jegomości! Morze znam jak własną kaletę!

— Takiś chwat? — zdziwił się Rowiński. — A powiedz, co w Polsce... — głos mu zafalował. — Po Cecorze zwojowana, co?

Stołczyńną znowu nań oczy wybałuszył, bo mu się wprost nie mieściło w głowie, że ktoś może tak dalece żyć poza światem. Ale zaraz uświadomił sobie położenie tych nieszczęśników.

— Pan hetman Chodkiewicz pomścił cecorski pogrom! — podniósł głos, by wszyscy słyszeli. — Rzeczpospolita żywię, jeszcze potężniejsza! Bisurmanów na wodzy król jegomości trzyma! Pod Chocimiem potrzeba sławna była, a jam w niej uczestniczył i wiele wam o niej opowiem. Wiktoria to, jakiej równej nie masz!

Rozgorączkowane lub zgaszone oczy wpatrywały się z natężę- niem w mówiącego. Niektóre zamglone wzruszeniem. Tu a tam ktoś nagle ukrył twarz w dłoniach, zatrzęśły mu się zgarbione barki. Tu a tam w licach udręczonych odmalował się triumf.

Jeszcze nigdy Chocim ani Dniestr takowej potęgi nie widzia-y głośił podniecony Stołczyńną, zapomniawszy swą gorycz, która go przed dwoma laty zapędziła do armii Chodkiewicza. — Sto tysięcy naszego i jeszcze więcej bisurmańskiego żołnierza! I byłaby radość wielka, gdyby nie zgon pana Chodkiewicza...

— Jakoż to? — wołano ze zgrozą. — Znow poległ wódz?

— Nie! To był wódz, który nie znał kłęski! Kędy się pojawił, zwyciężał. A ziemia'pod nim drżała, gdy kroczył. A bisurmanie bledli z trwogi, gdy postłyszeli, jego imię. Pomarł własną śmiercią pod koniec bitwy. Atoli to już nie zamąciło, jako mądrzy powiadają, interesów naszego królestwa.

Stołczyńna sam się rozczulił, poczuł ściskanie w gardle. Gdy umilkł, zasypano go pytaniami, wybuchł gwar niesłychany.

Ale już od wejścia biegł dozorca Abdul. Usłyszał on z pokładu przemówienie Jana i acz go nie rozumiał, domyślił się, że podburzające. Nie szukając mówcy, przejechał wszystkim po łbach i grzbietach harapem, po czym znowu zniknął w luku 1.

— A tyś jakiego stanu? — zapytał Jana Rowiński. — • Chłop libertowany; O nobilitację zabiegałem.

— • Chłop, toś nawykły do harapa. Tam biją i tu biją. Tam bieda i tu bieda. Jeno że tam jeszcze można sobie wiatrem z łąk odetchnąć, ptaki na powietrzu latające obaczyć, przytupnąć w tańcu... Ach! teraz wiedziałbym, jak żyć! A ty myślisz, że wszyscy Turcy jednakowi? Jeno ten wściekły pies Mustafa i jego rab Abdul takowe łotry. Z innymi można wytrzymać. Takowy Halim żołdat, majtek Hussein czy dozorca Dowlet to zacni ludzie. — Znam przecie bisurmanów. Jako wszędy, są źli i zacni, „Ak-Kałkan” kołysała się lekko na wodzie. Przez bulaje wpadało trochę migotliwego światła latarń portowych. W szarej poświacie kaganków, zawieszonych u obu wejść na schodnie wiodące do luków, twarze galerników wydawały się niesamowite. Głośne wspomnienia, rozmowy o świecie wybuchały w ogłuszający zgiełk. Abdul po kilkakroć spadał z góry jak sęp, wściekał się, uciszał, groził, chłostał biczem. Ale za każdym razem po jego wyjściu — na nowo rozbrzmiewało hałasem wnętrze galery.

Aż nagle ponad zgiełk wybiła się znana prawie wszystkim melodia niespodzianie na lirze zagrana i głos Satanowskiego:

Bogurodzica Dziewica, Bogiem sławiona Maryja...

I Luk — otwór w pokładzie, którym wchodzi się do wnętrza statku lub ładuje towary. Galera zatrzęsała się nagle od chóralnego śpiewu znękanych ludzi którzy na skrzydłach tego hymnu szybowali hen, ku swoim domom, pod utracone strzechy ojczyste: ...U Twego Syna Gospodzina, Matko zwolena, Maryja! Ziści nam, spuści nam — Kyrie eleison...

Nagle dudnienie kroków na schodach nie zmąciło zbiorowego uniesienia. Ale po chwili wpadł między siadanki Abdul, ryczący i wściekły. Harap spadł na plecy i głowy podniesione do góry.

— Milczeć! — huknął Abdul. • — Milczeć, psy!

Podbiegł do Satanowskiego, niespodzianie wyrwał mu lirę i rozbił ją o pojazd. Aż jęknęła niby żywe stworzenie.

— Stój, nieszczęsny! — krzyknął rozpaczliwie Stefan.

Ale na widok drzazg z ukochanego instrumentu, który towarzyszył mu w dobrej i złej doli, zerwał się z siadanki.

— Kanalio! — ryknął zduszonym głosem.

Abdul dziwnie zakwilił w potężnych, brzęczących łańcuchami rękach i opadł jak szmata na przejście między siadankami. Wśród galerników zapanowała grobowa cisza, pełna zgrozy i podziwu dla Stefana. Stał nad siadanką błydy, z rozdętymi nozdrzami, z czołem poznaczonym kroplami potu. Nie siadał, czekał na siepaczy.

Z obu stron wpadli między galerników dozorca i żołnierze. Podnieśli zbroczonego krwią Abdula. Pod lufami muszkietów rozkuto Satanowskiego i wyprowadzono na pokład. Mustafa ze swoim obleśnym uśmiechem wskazywał pachołkom, kogo mają brać. Od-kuwali od siadank co dziesiątego wioślarza oprócz Turków przytwierdzonych do pojazd.

Jakimowskiego Mustafa ominął i wskazał Greka Dopolusa. Wybrani galernicy wychodzili z brzękiem łańcuchów, znikając w luku, popychani przez strażników.

Stołczyzna targnął się potężnie, jakby chciał zerwać okowy. Mądre słowa Jakimowskiego osadziły go na miejscu:

Godność można zachować jeno razem ze spokojem. Wszelki °pór daremny i wiedzie do poniżenia. Exemplum: nasz Stefan.

Mustafa szaleje, bo może go napuścił na nas Kosmala — rzekł Rowiński do Jana. — Za lepszy ochłap...

— O, taki syn!

Przybył znowu Mustafa z żołdatami. Odpięli wszystkich galerników od siadanek i skutych wyprowadzili na pokład.

Wybranych uprzednio wioślarzy obnażono i przywiązano do masztów ręce. Przy grotmaszcie 1 ustawiono resztę niewolników.

Znający język polski majtek Safar przemówił:

— Łotry! Lubo szlachetny szyper zakazał wszelkiego kałabały-ku 2, wyliście swe sprośne pieśni. Mało: ten podły pies — tu Safar wskazał Stefana przywiązanego osobno do haka wbitego w zabrodło — ten podlec na szlachetnego Abdula podniósł rękę! To bunt! I jako bunt będzie potraktowany! Dobra wasza, że dostojnego bega (oby mu Allah błogosławił!) nie ma na statku.

— Poczekajmy na jego dostojność! — krzyknął ktoś z tłumu. •— Milczeń! —• ryknął Safar. — Szlachetny szyper obmyślił tak łagodną karę, że Bogu dziękujcie: ten podły pies otrzyma sto plag, przywiązani do masztów po dwadzieścia, a wszystkim nie będzie dziś wydana wieczerza. Jeśli kałabałyk się powtórzy, wszyscy dostaniecie po setce batów i potem każdy powisi na rei dwanaście godzin, najkrnąbrniejsi zaś zostaną straceni.

Szmer przeszedł, po tłumie. Wyznaczeni do chłosty siepacze potrząsali już ochoczo harapami. Z kasztelu 3 na rufie i z zabrodła prawej burty szczyrzyły się lufy muszkietów skierowanych w ciżbę objętą światłem latarni okrętowych i portowych. Po nabrzeżu przechadzali się strażnicy miejscy i gromady wrogich muzułmanów. Galernicy nie mogli nawet marzyć o oporze.

Zabrzmiał gwizdek z kapitańskiego mostku: sygnał rozpoczęcia chłosty. Tłum zastygł. Na tle ciszy ostro dźwięczały smagnięcia. Krwawe pręgi poznały gołe ciała. Satanowskiego chłostano dłużej niż innych. Jeszcze nie skończono, gdy do Mustafy na mostek wspiął się żołdat Halim z jakąś nowiną.

•—• Jego wspaniałość idzie — zameldował.

— Na Proroka! Jak to? Miał wrócić o północy — przeląkł się szyper. — Hej tam! przerwać! przerwać chłostę!

W popłochu odwiązywano skazańców i odsyłano wszystkich gal Grotmaszt — główny, środkowy maszt.

2 Kałabałyk (tur.) —• zamieszanie, tumult.

3 Kasztel — z przodu i tyłu galery wojennej umocnione pomieszczenia drewniane dla żołnierzy.

1 mników pod pokład. Ale nie szło sprawnie. Niektórych skazańców trzeba było nieść lub wlec. Toteż Kassim-beg zastał galereę w stanie chaosu.

— Co to ma znaczyć? — zdumiał się.

Bunt, wasza dostojność! — odparł śmiało Mustafa.

— Bunt, powiadasz? Zaliś nie za pochopny w karaniu?

Beg rozkazał odwiązać zbrozonego krwią Stefana, odczekał, aż galernicy, majtkowie i żołdaci wrócą na miejsca.

— jak to było? •— zapytał wreszcie ostro.

Mustafa pokornie skrzyżował dłonie na piersiach.

— Śpiewali buntownicze pieśni, te, jakie śpiewają na wojnach toczonych przeciw nam. Zakazałem im przez Abdula i...

— Zaliś mniemasz, że od pieśni niewolnika zawali się imperium Proroka? Że los galerników trzeba uczynić jeszcze gorszym i że to miłe Allahowi?

— Proch jestem, dostojny panie, i nie ośmielam się niczego mniemać wobec tych mądrości... Zakazałem wrzasków przez Abdula. Wtedy Satanowski targnął się na jego życie.

— Skuty karawusz na zbrojnego dozorcę? — zdumiał się beg.

— To tygrys! Rozbił Abdula o podłogę! Biedny Abdul wprawdzie żyw, ale w koi leży i krwią pluje. Kazałem wychłostać Satanowskiego i dla odstrasżającego przykładu — co krnąbrnie j szych. Ponadto wstrzymałem wydanie wieczerzy wszystkim.

— Nie jestem z ciebie zadowolony, Mustafa. Zakazują karać galerników za śpiew! Bardzom nierad z kałabałyku przed samym rozpoczęciem pławu. Powinniśmy raczej poprawić dolę całej załogi, niżli ją pogarszać. Jaką jeszcze karę obmyśliłeś Stefanowi?

•— Żadną, wasza wspaniałość — odparł pokornie Mustafa.

— Kłamiesz! — zgromił go mudir. — Zameldował mi Kara Nurum, że zamierzałeś przeciągnąć Stefana po chłóście przez stęp, kę i i zawiesić na rei. A więc wszystkie kary naraz.

— Przecie Kara Nuruma tu nie było, dostojny panie.

— Będzie dowodził żołnierzom na galerach kolei. Byłeś tak zaciętrzewiony, że nie widziałeś jego wejścia. On właśnie dał mi znać o wszystkim. Dlatego jestem wcześniej, niż zapowiadałem.

Stępka — pozioma belka wiązania okrętowego, biegnąca przez całą długość spodu statku, od dzioba do rufy, z przodu zakrzywiona do góry; wspiera całą konstrukcję statku.

Kara Nurum zniecka podszedł do rozmawiających.

— Mów, Nurumie, co masz do powiedzenia — polecił beg.

— Słucham tego steku kłamstw, jakimi waszą wspaniałość obrzucono niby błotem — rzekł kapudan — i nie wiem, zali padają z paszczy psa szczekającego czy z ust szypra przedniej galery, wsławionej w walkach z niewiernymi. Nie folguję ja ani sobie, ani żołdatom, ani galernikom. Ale ponad wszystko cenię prawdę. Galernicy polscy śpiewali swój hymn, z którym chadzają Polacy w bój, to prawda. I od ciebie, dostojny panie, zależy, czy wolno im to czynić... Galernicy śpiewali, Satanowski wtórował na lirze. Na rozkaz Mustafy wpadł do nich Abdul, zbatożył ich, Stefanowi zaś strzaskał lirę. Wtedy on lirniki ostrzegłszy go przedtem, w uniesieniu miotnął nim o przejście między siadankami.

Kassim-beg odpowiedział dopiero po długim namyśle:

— Rozkazuję: nie wzbraniać galernikom śpiewu, zwiększyć im rację wyżywienia i traktować ich sprawiedliwie, wydać natychmiast wieczerzę. Tobie, Mustafa, i Abdulowi rozkazuję odkupić z własnej lify lirę Satanowskiemu. Ponieważ galernikom grozi szkorbut, rozdawać im będziesz aż do odwołania podwójną porcję cebuli, chrzanu, cytryn, surowej kapusty kiszanej l.

Mustafa ze strachem pomyślał, że o szkorbutcie doniósł Jakimowski, Kara Nurum zaś może znać matactwa pieniężne i żywnościowe na statkach. A przecie obu można było dać rybom na poczęstunek.

— Jeśli jeszcze raz nie spełnisz, Mustafa, moich wymagań — dobił go mudir — zostaniesz zdegradowany, a może i więcej...

Szyper zgiął się w niskim ukłonie.

•— Twoja wola, dostojny panie. Atoli Kara Nurum...

— Kara Nurum otrzyma nagrodę pieniężną za rzetelność prawdziwie muzułmańską — przerwał beg. — Skończyłem.

Niebawem położył się na wygodnej sofie w swej kajucie.

Męczyła go sprawa Alimy. Nie miał od niej chwili wytchnienia. Po stokroć rozważał swe rozmowy z córką, odbywane w więzieniu. Nieraz był bliski wydania rozkazu stracenia. Sama grozi samobojem. Głodzi się, odmawia przyjmowania pokarmu, usil Od pierwszych wieków n.e. żeglarze znali własności lecznicze tych produktów w odniesieniu do szkorbutu i gromadzili je na statkach.

łowała powiesić się na kracie — straż musi bezustannie czuwać. Co za silna wola u dziewczki! Co czynić, na Allacha? Tak ciężki występki nie może pozostać bez kary, a z drugiej strony — ból podszeptuje pobłażliwość. Jest sposób uratowania Alimy: niech Stefan przyjmie islam i

jako kapitan galery na szlaku libijskim okaże swoją wartość, zmierzy się z Pablem Jarraną, zagarnie jego bogactwa a wtedy poślubi córkę mudira... O, nie! Beg aż jęknął z obrzydzenia, z żalu za swoją, utraconą teraz wizją kariery i szczęścia Alimy. Wydało mu się to gorsze od śmierci, od najcięższego grzechu.

Nagle dano begowi znać, że przybył czausz sułtański z tajnym fermanem. Zatrwożyło to mudira. Tylko czarne miewał teraz myśli. Drapieżny brat zamordowanego Osmana II, Amurad IV :, który dopiero co stracił z tronu Mustafę I, może wie o sympatiach politycznych Kassim-bega. Podobno ulubiona hunkiar-kizy² jest zachłanna i wyprasza u Amurada dygnitarstwa dla swych braci. Przybycie czausza może oznaczać dla Kassim-bega, który wiązał się z inspiratorami mordu popełnionego na Osmanie II, utratę na przykład .mudiriji, jeśli już nie głowy. Bo Amurad mści teraz swego brata.

Ale ferman zawierał rozkaz popłynięcia flotyllą aż na Kara De-nis 3 — do czatogrodu 4 Kara-Kerman 5, aby go rozbudować dla skuteczniejszego zwalczania „chadzek” kozackich. Kassim, jak każdy Turek, bał się piekielnie Kozaków. Zawsze to jednak nie dymisja ni śmierć. Tylko dlaczego czausz tak szybko odpłynął?

Pomimo ciężkich myśli o Alimie musiał zająć się obowiązkami. Wezwał na odprawę oficerów dowodzących żołdatami i marynarzami.

- Jego sułtańska mość (oby mu Allah rzucił świat pod nogi!) — przemówił kłaniając się fermanowi, a wszyscy go naślado-'wali — raczył nam rozkazać, byśmy popłynęli na wody Kara De-nis uśmierzyć bezbożnych Kozaków (oby ich piekło pożarło do dziesiątego pokolenia!), którzy ośmielają się napastować okręty, 1 Amurad IV — sułtan turecki w latach 1623—40. • Hunkiar-kizy (pers.-tur.) nałożnica sułtańska.

Kara Denis (tur.) — Czarne Morze. 4 Czatogród — twierdza morska. Oczaków.

Kara-Kerman wojska i osiedla padyszacha. Zetrzem ich na proch w zasięgu naszego miecza! Nie było zbyt mocnego odzewu na to bojowe wezwanie.

Po naradzie starszyny „Ak-Kalkan” podniosła kotwicę. Na pojazdach i rozwitych żaglach popłynęła przy bocznym wietrze na północ, ciągnąc za sobą długi warkocz piany. Za nią poszły w morze dalsze galery kolei. Wysoka fala biła o burty, a wiatr z trzaskiem łopotał żaglami.

Żołnierze i majtkowie patrzyli smętnie w gwiazdy, szukając na nich swojego losu. Wiedzieli, jak groźni w boju morskim Wenecja-nie, jak straszni piraci, od których roją się wody i południowe wybrzeża Morza Międzyziemnego. Ale wiedzieli również, że pod względem męstwa i okrucieństwa nikt nie dorówna Kozakom, co potrafili niby orły spadać na całe armady sułtańskie i niszczyć je w boju. Kiedy o tym myślały Kassimowe chwaty, chłód przenikał ich serca i z ust wychodził smętny, żałośliwy pośpiew:

Allach jest Bogiem, a Mahomet jego prorokiem! Spraw, Panie, abyśmy ci byli ulegli i wierni, a naszych potomków uczyni ludem uległym i wiernym...

O, Allach, bądź pochwalony!

XV Z gór do północnego portu wyspy Rodos niósł się wonny powiew różany, albowiem wszędy tu obok winnic i gajów oliwnych kwitły łany róż.

— Wyspa róż — objaśniał towarzyszom różnymi językami uczony Metaxas. •— Podobnie pięknych w całym nie masz świecie. Dlatego się Rodos zowie. Bo po grecku róża to rhodon. Niektórzy galernicy wyglądali przez bulą j e na statki przycumowane do nabrzeża lub zakotwiczone dalej na redzie, patrzyli na miasto, na stoki gór, ubarwione zielenią i pysznymi kolorami różanych pól. Ale większość była zgnębiona, daleka myślami od tej Morze Międzyziemne — Morze Śródziemne.

kwietnej, słonecznej Wyspy, stanowiącej tylko jeden z niezliczonych etapów krzyżowej drogi.

Tutaj Satanowski otrzymał od Mustafy nową lirę. Ucieszył się nią niby odzyskaną istotą żywą. Ale przecież wolałby dawną, wysłużoną towarzyszkę tylu najserdeczniejszych zdarzeń,

złych i dobrych. Ta nie miała ani rysy od szabli tatarskiej, ani rany od szwedzkiej kuli, ani wrytego przez Alimę serca.

Zagrał i wszyscy poweseleli. A najwięcej Sielecki.

Aż tu wpada majtek Safar, rozkuwa go i woła:

— Zabieraj manatki i żegnaj się! Idziemy na inną nawę!

Sielecki osłupiał. Zdawało się, że wybuchnie płaczem.

— Safar, co ty mówisz? — jęknął. •— Może...

— Jazda! — huknął Safar. — To rozkaz dostojnego bega!

I Markowi ścisnęło się serce, bardzo bowiem polubił Piotra.

— Poproś bega, byś mógł z nami ostać — podszepnął mu.

— Nie! — odparł Sielecki'z nagłą determinacją. —• Idę! Lepiej niewolnikowi nie przywiązywać się do nikogo i niczego. Żegnaj, bracie! Żegnajcie, towarzysze!

— Żegnaj! Bóg z tobą! — zachrobotało posepnie.

Sielecki wyszedł i nigdy już nie powrócił na „Ak-Kałkan” 1.

Długo płynęli między niezliczonymi wyspami Archipelagu zatrzymując się w portach, walcząc z niepomysłnymi wiatrami i podwodnymi skałami, rozsianymi po wodach Egejskiego Morza. Na Morzu Czarnym poczuli się bardzo nieswojo. Wśród załóg zawrzały tajemne knowania, zmywy nocne, ukrywane przed starszyzną. Pomimo lepszego wyżywienia i żołdu niechęć rosła. Albowiem tu, acz patrolowały liczne nawy tureckie, groziły napady kozackie. A burze teraz, jesienią, drugim były na tych wodach utrapieniem żeglugi. Od Kozaków jakoś Allah uchronił zdrożoną kolej, coraz mniej żeglowną i zwrotną, a to dlatego, że podczas długiej pływby dna i boki naw obrosły w wodorosty, muszle, różne żyjątka niby w ciężki kozuch, utrudniający ruchy. Ale co do burz, nie okazał podobnej łaskawości.

Nie opodal Warny nawałnica omal nie weгнаła okrętów na 1 Rycerz Piotr Sielecki, wzięty przez Turków do niewoli w bitwie ce-corskiej 1620 r., przeżył 25 lat na galerach i dopiero w 1645 r. wróciwszy do Polski, prosił sejm o opatrzenie, gdyż nie miał z czego żyć.

> — Kawaler złotej ostroei brzeg, do którego pchał je huragan. Nawy zrazu lawirowały zręcznie, przy ciągłej zmianie ustawienia żagli. Wreszcie, gdy to nie pomogło i majtkowie omdleli z wysiłku, każda galera rzuciła po dwie kotwice i zwinęła żagle całkiem. Załogi w napięciu śledziły skutki zmiennych wichrów, zygzaki błyskawic, poddane ciosom żywiołów trzeszczące wiązania statków. Chwilami zdawało się, że ryczące zbałwanione morze zerwie nawy z kotwic i zdruzgoce je o brzeg.

Po wielu godzinach sztormu kolej ze starganym takielunkiem i podartymi żaglami zawinęła do Zatoki Warneńskiej, gdzie żaglomistrze mieli huk roboty przy zszywaniu a wymianie płótna i lin. Stojąc w samym końcu zatoki, łączącym się z wodami bagnistego jeziora Dewina, w zaciszu portowym lizała swe rany.

Warna po napadzie Borodawki w roku 1620 częściowo leżała jeszcze w gruzach.

Stołczyzna przez bulaj pokazywał towarzyszom osadę i zamek:

— Tameśmy janczarów wycieli w pień, klejnoty worami braliśmy niczym groch! Samem żagiew podkładał pod te domy wedle fortalicyj. Nikogo my z bisurmanów nie żywili! Dobrze się z Kozakami wojuje! A i w chocimskiej potrzebie stawali niezgorzej... Borodawka pono zabito od swoich. Ale nie wiem, bo go po chadzce zaraz opuściłem. Jenom słyszał, że Kozacy żale doń mieli. A i Ko-naszewicz, jako nas w Damiacie słuchy doszły, pomarł od rany, jaką wyniósł z Chocimia. Ninie zaś jakowys Gołub Kozakom hetmani.

Przed zamierzonym odjazdem z Warny powstało zamieszanie. Majtkowie i żołdaci kolei zgromadzili się na nabrzeżu u trapów przerzuconych na statki i podnieśli hałas.

Kassim-beg do swej kajuty wezwał Kara Nururna.

— Co się tam dzieje? Czemu nie odpływamy?

— Załogi burzą się, boją iść na Kozaków.

— To nie do wiary! — krzyknął beg zrywając się z sofy.

— Ośmielam się przypomnieć waszej wspaniałości, że po ostatnich napadach kozackich na Sztambuł, Sinope a inne grody anado-lijskie już się kilka razy zdarzył podobny opór.

—• Atoli ja ci przypomnę, że wówczas kijami zapędzono na statki opornych żołnierzy, a przywódców oporu uduszono. Nurum odpowiedział dopiero po wahaniu:

— Nie damy rady bojaźliwym, dostojny panie.

— Ja ciebie nie poznaję! — wybuchnął Kassim-beg. — Ty to mówisz, ty? Zaliby ciebie także strach obleciał?

Surową twarz Nuruma pokryły rumieńce. Pomimo hałasu na brzegu i pigułki zaaplikowanej mu przez bega powiedział:

— Rozkaż, dostojny panie, by spahisi i janczarowie z zamkowej załogi warneńskiej pomogli nam wpędzić tchórzów na pokład.

Niebawem konny goniec pocwałował do komendanta zamku, a wrócił z sotnią janczarów. Na ich widok zbuntowani przybrali postawę bojową. Janczarowie rozwinęli więc szyk do natarcia. Oporni znaleźli się pod lufami muszkietów.

Mudir nie chciał dopuścić do ostateczności. Powstrzymał janczarów i z mostku kapitańskiego galery „Ak-Kalkan” zapytał:

•— Dzieci! Wierni słudzy padyszacha! Czego chcecie?

— Za słabośmy zbrojni na Kozaków! — odpowiedziano z tłumu. — Umowy werbunkowe zobowiązują nas bronić szlaków śródziemnomorskich przed Wenecją i piratami, a nie zwalczać Kozaków.

— Pójdziecie pod sąd wojenny! — zagroził beg.

— Lepszy sąd niż Kozacy!

— Dacie gardła!

•— Wolimy dać gardła katu niż Kozakom!

Beg skinął na janczarów i skomenderował grzmiącym głosem: •— Gotuj broń!

Zgrzytnęły zamki muszkietów. Od warowni nadciągali spahisi. Oporne załogi galer, niewzruszone dotąd, ogarnęło zamieszanie.

— Ognia! — padł następny rozkaz.

Zagrzmiała palba muszkietów. Spośród tłumu runęło z nabrzeża do wody kilku opornych. Wrzask i druga salwa pochodziły już od zbuntowanych. Strzelanina rosła, po obu stronach padali zabici ranni — na brzeg i w wodę. Żołnierze warneńscy prowadzili rzał z ruin domów zburzonych przez Kozaków Borodawki. Buntownicy, wycofawszy się na galery, strzelali z wszelkich możliwych osłon. Atoli wierni begowi członkowie załóg razili ich z te-emów i i masztów. Krew broczyła obficie. Trup padał gęsto Dym osłonił pole walki.

~.....

ejn kasztel; z przodu i tyłu galery wojennej umocnione pomie-[a drewniane dla żołnierzy. 38*

Galerników pod pokładami galer ogarnęła panika. Rycząc miotali się niby oszalałe zwierzęta na uwięzi. Przez zaćmione dymem bulą j e nie można było dostrzec przebiegu walki. Rozpaczliwie próbowali oswobodzić się z pęt. Na próżno. Aż nadeszli ci galernicy, którzy dziś pełnili posługę w kambuzie i przy osprzęcie nawy.

— Bunt — powiadomili.

— Rozkuwajcie nas duchem!

— Sprawa przegrana. Niedobitki poddały się begowi. Animusze i nadzieje zgasły, twarze ogarnął mrok.

Jakoż i bój dogorywał. Strzelanina cichła, rzędły dymy osnuwa-jące nawy, małał krzyk. W końcu wszystko umilkło, nawet tupot na pokładzie. Z bulajów galernicy widzieli jeno kilka okrętów na wodach zatoki, opustoszałe nabrzeża. Wypychani na zwiady dyżurni, którzy przynieśli wieści o buncie, bali się wrócić na pokład.

Dopiero wieczorem ożywiły się statki i nabrzeże.

Mudir wyprawił gońców z listami do kapudan-baszy i wielkiego wezyra, powiadamiając ich o buncie. Bał się o swe stanowisko. Gotów był sam ponieść koszty buntu, byle do sprawy nie mieszały się sfery dworskie. Czekał w wielkiej alteracji.

Flotylla stała w Warnie wiele tygodni. Kassim-beg naprawiał galery i werbował nowe załogi i chwatów chętnych rzekomo do walki z Kozakami. W końcu otrzymał od wezyra i kapudan-baszy łaskawe odpowiedzi oraz nawet zasiłek pieniężny.

Podniesiono nareszcie kotwice na galerach.

Pełną już zimą zawinęli do Zatoki Hadżybejskiej, nad którą leżała licha osada Hadżybej¹, złożona z glinianych a chruścianych sakli² tatarskich i dostojnie j szych domków tureckich. Jakimowski zagrzewał towarzyszy do organizowania ucieczki zbiorowej na bliski już obszar Rzeczypospolitej. Ale nie zjednął dla swych zamiarów nikogo oprócz braci ślubnych.

Próbowali przeto uciekać we trzech. Nie udawało się.

I tak — o krok od ojczyzny — przeżyli prawie trzy lata.

Strzegli ujścia Dniepru. Brali udział w rozbudowie twierdzy: Ka-ra-Kerman, Kizy-Kerman i Aslan-Kerman, jako też fortalicji Hadżybej. Załogi flotylli zamykały łańcuchami Dniepr, by nie 1 Tu w końcu XVIII w. powstała Odessa; Hadżybej 2 Sakla — lepianka, chałupina tatarska, — obecna Odessa, puścić czajek kozackich, urządzały zasadzki. Ale nigdy nie stoczyły otwartego boju z Kozakami. Ci bowiem albo przemykali iepostrzeżenie pod lufami armat fortecznych i okrętowych, przerywając łańcuchy spuszczone na nurt dniewprowy pniami drzew, Ibo obchodzili twierdze ładem i zadawali skrytobójcze ciosy innym, nie spodziewającym się niczego flotyllom.

Przed murami warowni Kara-Kerman był szeroki na kilkanaście sążni przygródek. Spadał miejscami urwiskiem w morze, a w innych miejscach obniżał się w obszerne, płaskie wybrzeże, na którym leżały łodzie i towary zwożone statkami.

Pewnego razu Satanowski pełnił służbę na pokładzie. Nogi i ręce miał skute, przytwierdzony był do burty. Dość długie jednak łańcuchy nie uniemożliwiały pracy. Zszywał żagle, plótł liny.

Oczy miał teraz ponure, wyblakłe, twarz pooraną zmarszczkami i fałdami bólu, postać wyschłą na szczapę. Na pozór nie zostało w nim śladu dawnej łagodności. Przerывwał chwilami pracę i patrzył tępo w daleki horyzont albo na mury spinające urwiste pagórki. Pogoda była piękna. Słońce oświecało wodę, która w jego promieniach przelewała się niby płynne złoto lub srebro. Od pełnego morza wiał lekki wiatr, poruszając toń spokojnej zatoczki. Nie opodal brzegu stały na kotwicach galery kolei Kassim-bega i inne nawy, które właśnie przyplły. Tu a tam uwijały się łodzie i tratwy. W powietrzu, w załomach ziemi i murów roiło się ptactwo.

Stefan utkwiał wzrok w galery przepływającą mimo. Zadrżał nagle: to galera „Narun"! A więc przybyła z Damiatu, z pobliza Alimy! Płótno wypadło mu z ręki. Chwycił się dłońmi za parapet burty i patrzył, patrzył, patrzył... Po chwili doznał jeszcze większego wstrząsu: ujrzał za burtą galery Kassim-bega, a obok nie-- Sarę, Selima, Uriasza, Merama i inne osoby z Dar-el-Ami-un. Pot uperlił mu czoło, gorąco ubarwiło twarz.

„Narun" wpłynął do przystani opodal „Ak-Kalkan". Przerzuc-o nabrzeża pomostem Kassim-beg z towarzyszącymi mu oso-i zszedł na ląd, po czym wszyscy znikli w bramie zamku, latały teraz Stefanowi przy pracy, wspomnienia, które nigdy go nie opuszczały, nabrały okrutnej mocy. Zatopiony w dręczących myślach, nie zauważył, jak do „Ak-Kalkan" przyplły szalupa i na galery po drabince weszli ludzie przybyli tu z przystani. Zasłaniały go bodnie, skrzynie, zwoje lin i żagli. Dopiero gdy na deskach pokładu ujrzał przed sobą cień ludzki, zerwał się z antała, na którym siedział. .

Przed nim stał Uriasz.

Rzucili się sobie w ramiona, wzruszeni, przejęci do głębi.

— Myślałem, że się już nie zobaczymy —• szeptał Stefan.

— Synu! Synu! — w głosie Uriasza brzmiało ojcowskie uczucie.

— W jakiejżeś mizerii! Samotnik, umiłowalem cię, a oto... — zabrakło mu słów, rozejrzał się. — Nie wolno mi z tobą rozmawiać. Łamię zakazy prawa. Słuchaj! Nie mam ci nic do dania kromia jednej nowiny: Alimę zwolniono z więzy, wróciła do odaliku.

Stefan, osłabły nagle, osunął się na kolana. Z ust jego wydobył się dźwięk — ni to modlitwy, ni dziękczynienia. Zgrzybiały w ciągu minionych trzech lat Uriasz z trudem go podnosił.

— Synu! Drugi popełnię występki. Oto klucz od okowów, zdobyłem go przekupstwem: odemknę cię, skacz w wodę i uciekaj! Jestem stary, nad grobem stoję. Jeśli mi nawet dostojny mudir (oby go Allah pocieszył w zgryzocie!) skróci cię żywota, to...

— A oni, Stołczyzna i Jakimowski? — przerwał Stefan.

— Nic im pomóc nie mogę.

•—• Bóg ci zapłać, zacny Uriaszu — rzekł z przejmującym smutkiem Satanowski. •— Nie mogę ani przyjąć twojej ofiary, ani opuścić ich, których wtrąciłem w nieszczęście.

Uriasz spodziewał się tego, ale próbował jeszcze. . — Jestem tu już dwa tygodnie •— mówił żałośnie. •— Cały czas szukam sposobności spotkania cię, jego wspaniałość zabrania. Tyle starań na nic. Namyśl się, synu!

— Uriaszu, znasz mnie przecie. Nie ma mowy!

Uriasz musiał nagle odstąpić od Stefana. Nadszedł bowiem ze świtą sam Kassim-beg. Mudir pogardliwie minął więźnia, nie spojrzawszy nawet, podszedł do Uriasza i rzekł:

—• Widziałem cię w rozmowie z tym niegodziwcem!

— Wszak to człowiek — bąknął Uriasz.

•— Człowiek? To wieprz nieczysty! Zbrodniarz! Zaprawdę, jeno arniąc jego zasług, które w istocie nie są zasługami, jeśli się zwa- . dalsze postępowanie, wstrzymuje mnie od...

Wzburzony Kassim nie dokończył, a Uriasz skupił w sobie całą odwagę, by powiedzieć:

— Dostojny panie, służyłem tyle lat wiernie waszemu szlachetnemu domowi (niech rośnie tysiącem kwitnących gałęzi!). Nigdy nie prosiłem o łaski, o nagrody. Ale ninie błagam waszą dostojność: uwolnij tych trzech Polaków. Wycierpieli dosyć, a przecie z natury złoczyńcami nie są, jeno ułomnymi istotami, ofiarami nieszczęsnej namiętności.

— Zali ja dobrze słyszę? — szepnął Kassim.

Długo milczeli obaj, stojąc sami naprzeciw siebie, gdyż świta dyskretnie oddaliła się na odległe ubocze.

Przez ten czas b'eg opanował wzburzenie i rzekł z namysłem:

— Nakażę zwolnienie Stołczyzny i Jakimowskiego. Ale tego łotra nie uwolnię nigdy, tak jak mnie nie uwolni hańba.

— Rzekłeś, dostojny panie •—• szepnął Uriasz.

Satanowski z daleka widział rozmawiających, ale nie słyszał, co mówią. Domyślał się jednak, że o nim. Rozkoszował się nowiną Uriasza. Na tle ponurej doli to jasny promień.

Tego dnia Stefan, wróciwszy do pojazdy, po raz pierwszy od wielu tygodni wziął do ręki lirę i zagrał cicho. Jedni galernicy zasłuchali się w tęsknej melodii, drudzy nawet jej nie zauważyli, zatopieni w swej niewolniczej udęcie dusznej, inni jęli uciszać grajka, rozdrażnieni jego muzyką. Przestał więc. Ale w duchu piastował jeszcze ucichłą pieśń. Zapatrzył się w bułą j ochlapany wodą, myślami pomknął daleko...

Zadumę przerwało mu wejście Mustafy.

Z łaski jego wspaniałości pana naszego •—• obwieścił z patosem •— zostają uwolnieni, zejda na ląd oraz udadzą się, dokąd chcą, Marek Jakimowski i Jan Stołczyzna.

Wymienieni galernicy bezwiednie zerwali się z miejsc, uderzeni radosną wieścią niby obuchem.

apanowała grobowa cisza. Oczy galerników wyrażały najpierw nienie, potem nabierały żywszej barwy, aż odmalowała się w nich rozpaczliwa zazdrość.

ek i Jan po nagłym zrywie zastygli w bezruchu, coś szep cąc. Mustafa kluczem odpinał ich od siadek, a oni wciąż powtarzali swój cichy, nabrzmiały okrzyk: „Boże! Boże!”

I oto, gdy opadły z nich pęta, Jakimowski rozejrzał się i z nagłym przypiływem rozpaczy zapytał:

•—• Satanowski zali takż idzie z nami?

— Satanowski nie! — odparł Mustafa. — Może byś chciał wszystkich od pojazd zabrać, co? No, żywo! Wychodźcie!

Najpierw Stołczyzna opadł ciężko na swą siadekę. Potem Jakimowski włożył z powrotem na ręce i nogi obrączki z łańcuchami.

— Powiedz begowi, że jeno we trzech skorzystamy z jego łaski — rzekł głucho.

— Na Allacha! wyście poszaleli! — wykrzyknął zdumiony Mustafa skuwając ich na powrót.

— Jakże ja to wyznam dostojnemu panu? Głupcy! To nie do wiary!

A jednocześnie pomyślał, że miał jednak słusność przypisując Jakimowskiemu szczególne zadania na statku.

W miesiąc później „Nurun” odpłynął do Egiptu.

Wkrótce potem flotyla Kassim-bega otrzymała rozkaz opuszczenia wód Morza Czarnego i powrotu na szlak Aleksandryjski.

XVI W jaskrawym blasku słońca zbełtane, brudne wody portowe Złotego Rogu zdawały się pozłociste, a żagle licznych statków zakotwiczonych w przystaniach — srebrne. Kolej galer Kassim-bega stała u nabrzeża przystani fanaryjskiej, położonej u stóp Fa-naru, greckiej dzielnicy Stambułu, nie opodal Świętej Bramy.

Jakimowski wraz z kilkoma innymi galernikami sprawował dziś posługi przy czyszczeniu dział. Był więc rozkuty i niemal swobodnie poruszał się po pokładzie, to razem z - towarzyszymi, to sam. Nieraz dekował się na krótko po różnych zakamarkach nawy. Wszyscy ci dyżurni odziani dzisiaj byli odświętnie, w czystszy niż zwykle ubiór, a to z powodu gali, do jakiej przygotowywał załogę kapitan galery, szyper Mustafa i Kara Nurum.

Jakimowski dla wytchnienia stanął sobie właśnie za rufowym ' kasztelem, między zwojami lin i działami. Tęsknie przyglądał się miastu, wodom, okolicom. Tak niedawno przebywał tu jako wolny gwardzista magnata, sprawiedliwie biorąc — zanego człowieka. Ale co to? co to, na Boga? Zza Defterdar-Burnu płynie środkiem Złotego Rogu smukły trójmasztowiec ze zluowanymi żaglami. Cóż to dziwnego, w największym porcie świata? A jednak Jakimowski, zapatrzony w banderę trójmasztowca, szepce przejęty:

— Chryste! Chryste!

Biała bandera z niebieskim krzyżem ukośnym, zarysowanym po przekątnych — to przecie Krzyż Świętego Andrzeja! •— a w lewym górnym rogu Biały Orzeł w królewskiej koronie! Skoczyć z zabrodła w wodę, dopłynąć do trójmasztowca •— tam wyzwolenie, koniec tej udręki... nim kto zauważy, będzie po wszystkim... Zapomniał o druhach, którym był dotąd tak wierny. Ta bandera z Białym Orłem omamiła go. Wciągnął się na parapet. Już za chwilę... Nagle mocna dłoń ściągnęła go w dół. Na szczęście, to poczciwy Halim żołnierz.

— Co czynisz? Zali chcesz, by cię ryby pożarły, zastrzelonego przez strzelców na kasztelu?

— Puść, Halimie, puść — szeptał półprzytomnie Marek patrząc uporczywie w banderę z Białym Orłem. •—• Spójrz! spójrz!

Halim odepchnął go od burty, zasłonił sobą urzekający widok.

— Idzie Beduin przez piaski pustyni, wyzuty z sił, zabłąkany w tym morzu, groźnym jak morze wód •— rzekł. — Wargi ma spieczone, pierś wyschła, wielbłąd mu padł, Allah odebrał wszelką nadzieję... Aż nagle o tysiąc mil od sadyby ludzkiej widzi wśród ergu! kwitnącą oazę, zarysy domów, korony palm. Żłudna radość dodawa mu sił. Ach, stój, nieszczęsny synu pustyni! Widzisz ma-midła, Ittore zawiedzie cię poza krawędź śmierci. Strzeż się, człe-cze, mamidłaL. Bądź cierpliwy! Jeśli ci Allah przeznaczył, pęta spadną z ciebie, gdy przyjdzie czas.

Jakimowski popatrzył nań szklanymi oczyma, po czym chwiejnym, krótkim odszedł. Ale wnet znowu przystanął i zaczął wpatrywać się w banderę Królestwa Polskiego.

Trójmasztowiec polski nr 3 „Ak-Kałkan” i stanął wreszcie daleko, w samym niemal zakamarku • Ziemi Rogu: u nabrzeża Kara-Ałacz. Lubo zniknął na ręce zatoki, Jakimowski długo jeszcze za nim patrzył.

— i ...

(°d arab. irk. — żyła) — równina piaszczysta.

Ochłonawszy wyrzucał sobie, że samolubnie chciał w nieszczęściu opuścić braci ślubnych. A zarazem nie potrafił wyzbyć się myśli, że jeszcze by można, że z rufy widać banderę z Białym Orłem, maszty z polskich sosen, żagle z polskiego płótna...

Tymczasem załoga zebrała się wedle grotmasztu i pod komendą kapitana galery, Taliba, sformowała powitalny szpaler. Majtkowie i żołdaci w paradnych barwach. Nawet galernicy pod pokładem otrzymali dziś czyste koszule i hajdawery na miejsce łachmanów. Miał bowiem przybyć na „Ak-Kałkan” jako podróżny kadi Issuf z rodziną, mianowany przez Dywan sędzią egipskiej Aleksandrii. Od burty do brzegu przerzucono trap, okryto go zielonym suknem, jako też przestrzeń nabrzeża, zajmowaną przez kolej Kassim-be-ga. Ustrojono statek makatami, kwieciami, sandżakami i bajrakami Zabrzmiały komendy. Szeregi na pokładzie i nabrzeżu wyprężyły się na baczność. Od Świętej Bramy szedł osobliwy orszak. Przodem jechali konno Kassim-beg i sędzia Issuf w otoczeniu bejów i pałuków 2, dla chwilowej asysty przydanych im przez Dywan. Za dostojnymi mężami postępowała lektyka z żoną kadiego, Rahmet, niesiona przez lektykariuszy sułtańskich. Za lektyką szły służebne sędziny: pięć wielkiej urody niewolnic chrześcijanek. Dalej reszta czeladzi Issufa.

Jakimowski spod kasztelu na rufie zapatrzył się na jedną z niewolnic: złotowłosą, wysoką dziewczynę olśniewającej urody. Takiej piękności nigdy jeszcze nie spotkał. Nie mógł oderwać wzroku od jej cudnej twarzy i powabnej postaci. Na tle galery, pełnej brzydoty, brutalności i nędzy, wydała mu się istotą niezemską. Zapatrzył się na nią tak, że nie zauważył odjazdu dostojników sułtańskich. Stał na krawędzi rufy, oczarowany. Jeszcze nigdy nie doznał podobnego wrażenia.

Snadź uczuła na sobie jego wzrok, natarczywy a zachwycony, bo spojrzała w górę i spojrzenia ich skrzyżowały się. Spłonęła rumieńcem, widział, pośpiesznie spuściła oczy, odwróciła głowę. On zaś odczuł owo spojrzenie tak, jakby mu słońce zajrzało w serce. Już nie mógł o czym innym myśleć, jeno o tej niewieście czy 1 Sandżaki i bajraki (tur.) — chorągwie, sztandary.

2 Pajuk (pers.) — pokojowiec, żołnierz.

A -ewicy. Kim jest? Żoną, nałożnicą, służebną, krewną kadiego?

Tówno majestatyczna Rahmet, nad jaszlakiem której błyszczące oczy w oprawie wspaniałych łuków brwi i długich rzęs, iak jej pozostałe towarzyszyki, śmiałe niby topole, wydawały mu się przeciętnymi śmiertelnicami wobec tamtej — bogini.

Był nieszczęśliwy, gdy zagnano go pod okrętowy pokład. Jego towarzysze, z którymi posługiwał na pokładzie, także wrócili do wiosł. W gromadę nędzarzy wnieśli urzekającą legendę o pięknych, dobrych niewiastach, których spojrzenia dawały ukojenie.

Legenda ta spotkała się i z westchnieniami, i ze sprośnymi żartami. Aż wreszcie, niezależnie od niej, depresja ogarnęła wszystkich, wściekłość i gorycz. Z ust spiekłych od gorączki bluznęły przekleństwa, narzekania. Ten i ów popadł jakby w chwilowe szaleństwo — tłukł głową o burtę czy pojazd, szarpał pęta i wył: „Po co ja żyję? Przeklęte łono, które mnie wydało! Przeklęte niebo, które na mnie patrzy!” A ktoś: „Boże, wzywam cię i bluźnię przeciw tobie, więc skarż mnie śmiercią, zabij piorunem!”

Marek ponad głowami innych zwrócił się do Stołczyzny i Sata-nowskiego głosem nabrzmiałym:

— Widziałem Polskę!

Dziesiątki głów zwróciły się na niego. Powstał harmider.

— Blazgoni! Prześmiechów mu się chce! Oszalał jako i my wszyscy niedługo oszalejem...

—• Mówże do rzeczy!

Złe oczy, wściekle gęby, gorączkowe ruchy. Udręka przemawia przez tych, o których zapomnieli ludzie i los. „Bogatyh wykupiono, a my ścierwo” — ta myśl stale drażyła zawieszony łyb, te słowa rwały się z gardzieli, a były i chlebem powszednim, i trucizną. Widziałem trójmasztowiec pod banderą z Orłem Białym — oznajmił Jakimowski.

-isza zapadła zupełna, bo nawet ci, co nie rozumieli polskiej 'owy, odczuli nastrój wypowiedzi i zamilkłych towarzyszy.

••ej, bracia! — zawołał nagle swoim śpiewnym głosem Sata-- Zaśpiewajmy, łańcuchami przygrywając, pieśń, z którą ' b°Ju Polscy chadzają pławacze!

Czuj- Duch! Hej, bosmani! Wróg lonty zażęga I z armat czterdziestu daleko od brzegu
Zaprasza w tan!

Pal! ognia po stokroć! — za tany w podzięcie!

Burt wraży się cześcić! topory wziąć w ręce!

Bosman to pan!

Satanowski zaczął sam, ale wnet pieśń pławaczy podchwycili wszyscy. Nikt go nie gromił za śpiew, jak nieraz bywało. Dzisiaj snadź ów śpiew potrzebny był duszom zbolatym. Niebawem „Ak-Kalkan” na rozwiniętych żaglach i licznie obsadzonych pojazdach wypłynęła ze Złotego Rogu na Białe Morze ku Dardanelom. Za nią reszta kolei. Pomyślny wiatr od rufy pozwolił osiągnąć znaczną szybkość dziesięciu mil morskich na godzinę.

— Jutro o tej porze minimy Aftoni. Potem wyspę Afsia, przylądek Kara-Burnu i pojutrze nad ranem wejdziemy w Dardanele — przewidywał Kassim-beg. — Dalej będziemy płynąć wzdłuż wybrzeży Anadolii i przez Archipelag. Do wyspy Karpatos bezpieczeństwo: armada padyszacha (oby żył wiecznie!) da nam opiekę. Na dalszych wodach gorzej, bo i Wenecjanie, i piraci. No i Pa-blo Jarrana.

— Po ile dział posiadają galery twoje, efendi? — spytał zaniepokojony kadi Issuf.

— Po czterdzieści.

— Toż to potęga! Istne twierdze!

—• Atoli na przykład piraci drwią z wszelkich potęg.

Popijając sorbet siedzieli na tachcie w urządzonej niby komnata kajucie kadiego Issufa, pełnej kobierców a zapachu ambry i mirry, tłących się w srebrnych kadzielniczkach. Usługiwał panom Filip, młodziutki, niezwykle urodziwy karawusz z Rumelii.

— Dobrałeś, panie, służebnych! — podziwiał Kassim-beg. — Ile płaciłeś, efendi, za karawuszy? Ostatnio straciłem styczność ze światem. Kiedyś najwyżej płacono za Polaków i Czerkiesów, — O, i ninie także! Za jednego Polaka można dwu Moskali otrzymać albo trzech Niemców. Urodziwi, roztropni, silni. Toteż sto piastrów trzeba zapłacić za młodzieńca polskiego.

— A za dziewczkę polską ile płacą?

Kadi nieufnie spojrział na bega i odparł powoli:

— Jeśli piękna, dwa razy tyle.

W oczach Kassima zapłonął ogienek.

/.

— Zali Polką jest owa złotowłosa dziewczka w turkusowej szacie, jedna ze służebnych małżonki waszej dostojności?

— Tak — odparł niechętnie sędzia. — Mam nadzieję otrzymać za nie wszystkie sowity okup.

— Za Polkę dam waszej dostojności 250 piastrów. Issuf zarumienił się i mimo woli szarpnął za brodę.

— Tę ostawiam małżonce swojej — odparł nieszczercze. Kassim-beg pomyślał, że w pobliżu brzegów egipskich porwie jakoś sprzed nosa kadiemu złotowłosą Polkę, w której sobie upodobał od pierwszego wejrzenia, zapominając o trapiących go zgryzotach. W Issufie wyczuł pretendenta do wdzięków cudnej branki. Dla odwrócenia jego uwagi zmienił temat:

— Zali dudu Rahmet, żona twoja, efendi, zadowolona z kajut?

— Istny seraj! Dzięki ci, panie! Ale... — kadi nagle zasłuchał się, — Co to za dźwięk? — spytał szeptem.

— To śpiewają galernicy pod pokładem — odparł beg.

— Całkiem udatnie, owszem, owszem...

— Całe galery mam tych chwatów, i do roboty, i do śpiewu. Kadi Issuf pokornie schylił głowę i rzekł:

— Miłe byłoby Allachowi, gdybyś, wasza dostojność, uwolnił bodaj kilku tych biedaków na rok. Allach nie żąda wprawdzie od wiernych takowej ofiary, ale zawszeć to miły dla niego uczynek: litościwie wyzwolić niewolnika.

— Więc wasza dostojność uwolnisz chyba służebnice dudu Rahmet, by się podobać Miłosiernemu • — zażartował Kassim-beg.

Kadi złożyłszy ręce odparł obłudnie:

— Winienem to uczynić, wyznaję. Ale ułomna moja natura...

— Zupełnie jak moja! • — wykrzyknął mudir.

Zanim opuścił kajutę Issufa, wziął odeń listę członków jego świty, dla celów rzekomo ewidencyjnych. Chodziło mu przede wszystkim o pięć nazwisk:

Anna von Adlerhorst — Austriaczka, lat 18.

Katarzyna Porębianka — Polka, lat 20. Katarzyna Żemajtis — Litwinka, lat 19.

Małgorzata Acanti — Wenecjanka, lat 18.

Małgorzata Passini — Wenecjanka, lat 20.

Poszedł na pokład przyjrzeć się wymienionym brankom.

Urodziwe były nawet ponad wysoką miarę na j wytwornie j szych haremów. A więc Inianowłosa hoża Katarzyna Żemajtis; a więc ruda i zielonooka Anna von Adlerhorst; a więc dwie Małgorzaty Wenecjanki o kruczych włosach, podobne do siebie niby siostry. Z Katarzyną Porębianka na czele stanowiły zespół, jakiego by się seraj sułtański nie powstydział. Kassim-beg nie zamierzał pozbawić Issufa całego skarbu. Chciał zagarnąć część, co prawda najcenniejszą, ale tylko piątą.

Po namyśle, choć prawo a przepisy dobrego wychowania zabraniały mężczyźnie odwiedzać cudze żony i haremy, zaszedł do kajuty pani Rahmet. Była akurat sama. Te odwiedziny przeraziły ją; świadczyły o czymś poważnym. Poprawiła jaszmak.

— Stało się coś złego? — wyszeptwała.

— Nie, ale stać się może — odparł beczelnie, — Wyjdź, efendi, błagam! wyjdź! Bo jeśli...

— Wyjdę zaraz, pani. Jeno racz mnie wysłuchać. Pragnę od małżonka twojego, pani (oby Allach złocił dni waszego pożycia!), odkupić służebnicę, Polkę, za 250 plastrów. Mam brata bezzen-nego, któremu chciałbym dać w małżeństwo ona piękność, mającą, jakem spostrzegł, obok olśniewającej urody i układne maniery. Dostojny kadi nawet słuchać nie chce o sprzedaży, jakby osobliwie coś w tym miał. Racz, pani, wpłynąć na małżonka, by przychylił się do mej prośby. Chyba że sam zamierza ją poślubić...

Jaskrawe rumieńce oblały twarz kadyny, pierś zafalowała nagłym wzburzeniem, zapłonęły oczy. Zauważył to oczywista i postanowił kuć żelazo, póki gorące.

— Zali nie godzi to jakoś w twoje interesa, o pani?

— Nie — odparła. — Spróbuję nakłonić mojego pana i męża.

— Dzięki.

Po wyjściu bega przestała panować nad sobą i wybuchnęła płaczem. Pojmowała, czym grożą jej małżeńskiemu życiu z Issufem jego coraz bardziej widoczne zakusy na Porębiankę. Nie

mogła w ogóle, a tym bardziej teraz, w trzydziestym roku życia, równać się urodą z tą piękną dziewczką, która wszędzie —• w domach bogaczy i wśród gawiedzi ulicznej —• budzi podziw i zachwyt swą pięknnością.

Rahmet była ognistą brunetką o dojrzałych kształtach, ponętą Jeszcze, ale już bez tej świeżości, jaka opromieniała twarze i postacie dziewcząt.

Najpierw odziana, potem rozebrana do naga, przeglądała się uważnie w zwierciadle zawieszonym między dwoma bulajami.

„Przy moim wzroście 70 cali winnam, jak twierdzą nadworny hakim i kapu-aga 1 haremu sułtańskiego, ważyć najwyżej 47 oka 2, ja zaś ważę aż 53 •—• myślała zatroskana. — Precz więc z ciastem, słodyczami, chaławą! Nie mogę poddać się byle sroce z Lechistanu!" Myślami tymi wzmocniła się, zagrzała do walki.

Sama niegdyś swymi wdziękami usunęła w cień inne żony i nałożnice Issufa, nie szczędząc ich ani przejmując się ich bólem i losem. Nie spodziewała się przeto czyichś względów dla siebie.

Zaczęła gorączkowe zabiegi od tego, że kholem 3 poczerzyła sobie brwi i rzęsy, a sokiem cytrynowym rozjaśniła skórę.

Narzuciła raptem szatę na swe gołe ciało, bo posłyszła kroki męża za drzwiami kajuty. Wszedł cicho, albowiem — choć wobec świata zwał się panem małżonki — bał się jej nerwów nie mniej niż przeciętny piwosz europejski swej magnifiki. Czy zebrało mu się na amory, czy chciał uspić czujność żony, dość że objął siedzącą na tachcie i usiłował pocałować w szyję. Odepchnęła go.

•— Klęczałeś przede mną, całowałeś kolana moje, przysięgałeś na Allacha, że umiłujesz mnie jedyną, oddaliwszy inne niewiasty, mnie jedyną, jak każdy mąż chrześcijański swoją żonę •— mówiła gorąco. — Urodziłam ci dzieci. Nazywasz mnie swoją gwiazdą — wstała nagle i krzyknęła namiętnie: — Jestem twoją gwiazdą i będę! Zabiję ją! Otruję!

— Kogo? — szepnął wylekły.

— Przeklętą Katarzynę Polkę! A potem ciebie, zdrajco, wia-rołomco, przebiję jataganem, sama zaś utopię się!

— Oszalałaś! Winnaś mi posłuszeństwo, jak każe „Koran”!

— Tu mój „Koran”! — wskazała serce. —• Zanim uczynię to, co zapowiedziałam, doniosę wezyrowi, że bakszysze⁴ i kubany brałeś od rodzin spiskowców sądzonych na rozkaz obecnego pady-szacha.

t 1 Kapu-aga (tur.) •— nadzorca białych rzezańców w haremie sułt.

2 Oka — 1285 gramów.

3 Khol — czarna substancja roślinna, używana na Wschodzie do tego celu.

4 Bakszysz (turt-pers.) — podarek dla urzędnika na służbie.

.. Tyś podła! Żmijo!

Wybuchła płaczem, padła na kolana, objęła męża za nogi.

— Panie mój! Allah czy Szejtan rozpałił to miłowanie, które mnie do szału przywodzi.

Dziwisz się? A przecie i wy, mężowie, szalejecie, jeno że wam wolno, a my mamy obowiązek szłać wasz z pokorą znosić... Ach! jak ja, nastawszy do twojego seraju, cierpiałam, gdy zamykałeś się z inną w łóżnicy! Byłam bliska zbrodni. Nie mówiłam o tym nigdy, ale teraz milczeć nie mogę. Bo pomnę tamte złe noce, kiedy nieraz rękę kładła na rękojęści sztyletu.

Nie potrafię tego zapomnieć, a nie zniosę, gdy się powtórzy... Wzięłaś mnie znad Jeziora Wan, z czyftliku ojca, gdzie byłam szczęśliwa. Nie wrócę tam!

— Uspokój się, Rahmet. Nigdzie wracać nie potrzebujesz.

Żał mu było niewiasty. Miłował ją, choć pałał też żądzą do innej, jak to zwykle mężowie, którym tyle swobody dał Prorok.

— Sprzedam Polkę begowi: dla twojego spokoju — obiecał. Nie wystarczyło jej takie zadośćuczynienie.

—• Sprzedasz ją i myślą pójdziesz za nią. Zostaniesz przy mnie, bo ona odejdzie. Żadna to próba twojego miłowania. Ot, mus. Niech ona właśnie tu ostanie, niech oczy twe drażni urodą. Zobaczę wtedy, zaliś mi wierny sercem narażonym na pokusy.

Zrezygnowany pomyślał, że i bostandży ma kłopoty z żoną, która pożegnała po włościach jego harem, i defterdar ponoć przez ukochaną małżonkę policzkowany bywa i nawet zdradzany, i wezyr ma podobno zgryzoty z całym harem, słycać też, jakoby sam syn Proroka, padyszach, miał urwanie głowy z kobietami...

Może Katarzyna Porębianka pod maską pokory także ukrywa serce drapieżnej lwicy, podobne do nienasyconego serca Rahmet? Ba! Rahmet nigdy nie była uległa i cicha, jak bywają niewiasty w haremach. Ale też nie jest bezwolnym, wyjąłowionym z afektów stworzeniem, które małżonek nic nie obchodzi — ot, chlebowdawca. Na Rahmet można polegać. Potrafi ona miłować jak żadna niewiasta.

Pławba przez maleńkie morze trwała dłużej, niż zapowiadał ssim-beg. Można je było wprawdzie przebyć w dobę, ale długie postoje w napotkanych portach, gdzie mudir załatwiał handlo-: _ Interesy, przeciągnęły podróż przez Morze Białe do kilkunastu otej ostrogi Rahmet nieraz postanawiała otruć Porebiankę. Ale zawsze cofała rękę z trucizną. Miłosierdzie zwyciężało namiętność. Ale nie było aż tak silne, by wyzwolić dziewczynę. Obiecywała sobie sprzedać drogo całą piątkę branek w Egipcie.

Tymczasem Katarzyna Porębianka już drugiego dnia podróży odkryła ponurą tajemnicę statku: udrękę galerników. Słyszała niby nieraz o takich nieszczęśnikach, ale przecież nie wyobrażała sobie dotąd ich doli. Wstrząsnęło ją to odkrycie.

— Dostojna pani, jakże oni cierpią! — mówiła wzburzona do Rahmet, do której miała zaufanie. — Ach, żeby im jakoś ulżyć! Przecie w razie nawałności morskiej, my możemy ratować się na szalupach, a oni, w okowach, z okrętem pójda na dno. O, Boże!

—• Cóż, każdemu nieomylny Allach wyznaczył odpowiedni los •—• odparła Rahmet. —• Ani go zmienić możemy, ani winniśmy, bo taki przecie ład boski.

Katarzyna chwyciła rękę pani i całując ją mówiła:

—• Dostojna pani! sprzedaj mnie, a za pieniądze uzyskane z tej sprzedaży racz wykupić choć jednego wioślara i odesłać go do Polski. Mnie, niewieście, łatwiej, może dostanę się do haremu jakowegoś dobrego człowieka. A oni...

Zdumiała się Rahmet i wrzuciła ją wielkodusznością. Gdyby nie zagrożenie jej urodą, nie sprzedałaby takiej służebnicy.

— A kogo byś chciała wymienić na siebie? — spytała.

— Wszyscy oni nieszczęśliwi — bąkała Polka zmieszana. — Widziałam różnych...

Postługiwał tu wczoraj jeden...

—• Wiem — przerwała spostrzegawcza Rahmet. — Ten chwyt, który niby czarny orzeł między pospolitym ptactwem.

— Tak, pani — szepnęła Katarzyna.

— Zauważyłam takóž, że wpatrywał się w ciebie.

•— Ach, chyba nie! Ale skoro raczyłaś, dostojna pani, spostrzec... Ponoć to szlachcic znamienity.

•— Phi! Gdyby to ktoś znamienity, nie byłby galernikiem, rodzina bowiem wykupiłaby go od dostojnego bega Kassima.

Nazajutrz sama Rahmet zaczęła mówić o galernikach:

— Powinnaś im pomóc. Miłosierdzie jest cnotą. Po rozmowie z tobą posłałam wczoraj galernikom przez Filipa kosz zaniejszej żywności: mięsa, owoców, słodyczy. Pozwalam wam, dziewczęta, nieść im pomoc, jeśli, oczywista, dostojny beg nie zabroni.

— O, pani! Jakaś ty zacna!

Beg zezwolił odwiedzić galerników pod pokładem. Sędzinie, oczywista, nie wypadało brać udziału w obchodzie.

Na widok Porębianki Jakimowskiemu pojazda wysunęła się z rąk. Spotkanie i na niej uczyniło wrażenie. Aż to zauważył baczny na każdy jej ruch kadi Issuf. A z pomieszaniami, rumieńcem na twarzy i falującą piersią tak była cudna, że on, bywalec dworu sułtańskiego, gdzie bytowały tłumy najstrojniejszych piękności różnych ras, gość domów dygnitarskich, rojących się także od urodziwych ciał niewieścich, sam właściciel haremu, tracił kontenans i patrzył z uwielbieniem na brankę, do której zamykała mu drogę namiętność Rahmet. Kassim-beg był człkiem surowszej duszy: nie wielbił oczyma, jeno obmyślał sposoby wydarcia branki.

Nie tylko ci dwaj podstarzali rozpustnicy poznali się na urodzie Porębianki. Bo i oczy żołnierzy, majtków, a teraz znękanych galerników ślizgały się z zachwytem po jej licach i kibici.

•—• Oglądają nas jak małpy w zwierzyńcu — mruknął Stołczyzna.

•—• Żle ci, bracie? — rzekł Rowiński. —• Od czasu, jak się pokazały te wdzięczne panienki, łakocie dają, Mustafa zlągodniał.

Po ugaszeniu pierwszej ciekawości galernicy z nienawiścią po-glądali na utrzymane jak łanie niby-niewolnice, na uśmiechniętych, wytwornych dostojników. Po ich wyjściu zapanowała na siadankach najpierw krótka cisza, a po chwili wybuchł niesamowity hałas. Nie mógł go uciszyć, aż zdzierał gardło, dobroduszny Halim żołnierz, mający dziś znowu nadzór nad wiosłarzami.

— Bodaj ich gromy! Karmią nas dla zabawy jak psy pokojowe.

— Gdy ich gromy ubiją, to i nas nie miną.

— Gładkie dziewczki, że palce lizać!

~ O, dziewczek mu się zachciewa, gdy nędza go zre!

• A co? Przespać się z taką i zdechnąć...

• • Najgładsza ta nasza, co „pochwalony” mówiła. Istny anioł! - W haremie anioł? Ma dwanaście lat, a już ladaco.

„Anioł” był tą, o której Jakimowski marzył we śnie i na jawie. prośne żarty i sądy o niej bolały go dotkliwie. Gdyby był roz-rY, niejednego poczęstowałby pięścią. ~ Spadły do naszej nory niby kwiecie albo ptaszęta — mówił 31*

z sentymentem Satanowski — i odleciały, jakby wiatrem uniesione... — zamilkł nagle, bo przypomniał sobie Alimę.

Stołczyzna w ogóle nie mógł mówić o dziewczkach. A przecież dawniej rżał na widok lada podwiki. Zawód, jaki mu sprawiła Wanda, zniechęcił go do całego rodzaju niewieściego. Ocknął się nagle z ponurej, bolesnej zadumy, bo zwrócił się doń siedzący Jan Ostrowski rodem spod Czerska:

— Mnie się ta Litwinka z włosami jak len i oczyma niby węgle najlepiej podoba. A tobie która?

— Żadna — odparł posępnie Jan, po czym wyznał: — Niegdyś 'tak mnie jedna obuchem rąbnęła, że mi dotąd we łbie huczy.

— Aleś pamiętliwy!

— Takich rzeczy nigdy się nie zapomina.

— Chłopska w tobie, mściwa natura!

Stołczyzna popatrzył z szyderczą wściekłością na szlachetkę. — Jeszcze o czymś jaśnie pan śni, co? — zgrzytnął. Ci galernicy, którzy pochodzili z plebsu, a słyszeli teraz rozmowę obu Janów, zarzyczeli sztucznym, złym śmiechem.

— Może urynał podać waszej wielmożności? — drwili.

— A ile to batów raczył dziś dostać wasza miłość?

— Czołem! Na kolana przed wielmożą!

— Jeszcze mu mało, błazisynowi! W łeb go tam który!

Obrzucono Ostrowskiego mokrymi szmatami, ogryzkami owoców, pecynami błota. Kłął, odszczekiwał się. Aż zmaltretowany całkiem wybuchnął rozzwierającym płaczem. Na ten wybuch odpowiedziano znowu bezlitosnym śmiechem, brutalną kpina, wyzwiskami. Stołczynę rozgniewało okrucieństwo towarzyszy.

— Milczeć! •— ryknął. — Co ja mam z nim, to moja sprawa!

Poparli go Marek, Stefan, Metaxas i inni. Wynikła j jeszcze sroż-sza awantura. Bo doszły stare spory tudzież swary o piękność niewolnic kadiego i naśmiewiska z ich bisurmańskiej cnoty. Wśród takiej nędzy, gdy nerwy stale napięte, łatwo o powód do kłótni, bo czai się on pod skórą nędzarza. Kłócono się o urodę niedosiężnych gracy j, o ich uczciwość niewieścią. I znowu mała chmurka przeistoczyła się w ciężką, nabrzmiałą złym afektem burzę, podsycaną nie wygasającymi nigdy, zadawnionymi pretensjami. Wstał nagle otoczony ogólnym mirem Jakimowski i zagrzmiął:

— Uszanujcie zacność Halima! Nie czekajcie na harap Mustafy! Zali wam nie jedno, która z gwiazd na niebie piękniejsza? Czyście wy bracia wspólnym cierpieniem złączeni, czy wrogowie? Pomnijcie, że ta niewiasta gładsza, na którą patrzy się sercem!

Zakrzyczano go. Ale to już były ostatnie gromy.

Następowała z wolna nie dająca ulgi cisza, podczas której boleśnie ugodzeni lizali swe rany, odniesione w niedorzecznym boju.

Gdy już zupełna martwota ogarnęła siadanki, do Stołczyzny nachylił się Rowiński i rzekł bardzo cichym szeptem:

— Żebyś ty wiedział, jak tu z początku było, zanim harap wszystkich zrównał! Nic, jeno grafy i chudopachoły, lubo przy jednej pojeździe krwawe łzy wylewali i krwawe poty. Ile tu bójek było! Kiedyście wy nastali, już się znacznie zatarło...

O parę siadanek dalej Jakimowski wiódł rozmowę z Leandrem Katalesem. Przez lata ścisłego obcowania z Grekami Marek nauczył się trochę greczyzny, tak jak oni mowy polskiej. A że lubił mówić o swej ojczyźnie, do której go słowo zbliżało, dowiedzieli się sporo o wielkim królestwie na Północy, co trzymało Półksiężyc na długość miecza i było nadzieją ujarzmionych ludów bałkańskich. Po latach wspólnej męki wszyscy się tu już rozumieli, poznali na wskroś i mimo swarów czuli towarzyszami.

— Ach! ta rudowłosa'Anna! — wzdychał Leander.

•— Cicho! Bo nowy swar wybuchnie. Zaczyna się od podwiki, a kończy na Adamie i Ewie
•— pohamował go Marek.

Włoch Benito Tagliani ogniście zademonstrował swe afekty:

—• Margherita Acanti evviva M Evviva!

Omala nowa nie rozpetęła się burza, bo już go towarzysze jęli gniewnie uciszać.

Anglik Harold of Castleborough nachylił się do Stefana. — Ułóż mi, bracie, jakowys foremny madrygał miłosny, w ja-un chcesz i możesz języku — poprosił cicho, żeby go inni towarzysze nie słyszeli — abym go mógł kiedy zanucić tej drugiej Evvi -va (wł.) — niech żyje, wiwat.

i — Natchnienia mi teraz brak — odparł Satanowski.

— Poczekam, aż odzyszczesz. Bo i ona nieprędko tu wróci.

Pokład nad zacichłym kadłubem, nad rozpalonymi głowami galerników dudnił krokami biegających majtków. Sączył się stamtąd głuchy zgiełk zmieszanych głosów. Fale bodły z grzechotem burty statku. Skrzypiały miarowo pojazdy, okowy brzęczały w takt ich ruchów.

Ten ponury spokój, wymuszony jakby po zamieszkach, nie był lżejszy do zniesienia od swarów. Tu, na dnie ludzkiej udręki, nic nie dawało ukojenia. Nawet cicha, łagodna muzyka. Bo gdy Satanowski niespodziewanie trącił w struny liry i zaśpiewał —

Dalekie drogi do gwiazd w przestworza, a jeszcze dalsze za góry, morza do mej niebogi • — zakrzyczano go, obrzucono wyzwiskami. Ciszy snadź, tak trudnej do utrzymania, brak było tym najnieszczęśliwszym z nieszczęśliwych.

Za zezwoleniem bega i przy poparciu Rahmet miłosierne dziewczęta często odwiedzały galerników, niosąc im pomoc, łagodząc brutalność dozorców. Pod łachmanami na nowo zabiły przygasłe serca, w wyjałowionych, zokrutniałych duszach, zakwitły uczucia.

Bezwzajemne. Bo przecie do każdej z panien wzdychało kilkudziesięciu wyzutych z powabu wielbicieli. Najwięcej do obu Katarzyn — Polki i Litwinki — gdyż ogromna większość galerników to obywatele Rzeczypospolitej. Oprócz zachwytu przykuło ich do tych dwu dziewcząt braterstwo, możne uczucie na obczyźnie, w niedoli.

— Jakże to jest? — rzekł Jakimowski do mądrego Metaxasa. — Amory na dnie nędzy, w tym brudzie, w tym nieszczęściu?

— To cud miłości, który przypomina tym ludziom o traconym z dnia na dzień człowieczeństwie — odparł Grek.

Jakimowski spojrział nań nieufnie: te słowa pochodziły jakby od Stefana — tamten mówił podobnym językiem, tak nieraz druhów irytującym.

XVII Pewnego dnia flotylla — już na wodach Archipelagu —• zawinęła do południowo-wschodniej zatoki wyspy Midillii¹ i rzuciła kotwice w porcie o tej samej nazwie.

Były tu obok siebie dwa porty, jeden od drugiego w odległości niespełna mili morskiej: Port Szeroki i Port Wąski. Do Szerokiego wpłynęły trzy galery, przednia zaś, „Ak-Kałkan”, stanęła w Porcie Wąskim.

Wody pokrywało mnóstwo statków i łodzi. Na wysokim nabrzeżu i trapach roili się kupcy, majtkowie, tragarze portowi, podróżni i gapie z tutejszych osad. Jedne nawy odpływały, inne napływały i zajmowały wolne miejsca na redzie. Skrzypiały maszty, zgrzytały kabestany², turkotały po molu wózki z towarem, jazgotała ciżba ludzka. Na wietrze łopotały różnobarwne bandery, połyskiwały w słońcu złociste galery tureckie i chrześcijańskie.

Cisza była i lubo już pierwsze dni listopada — ciepło, niebo prawie bezchmurne, morze posiekane drobnouchną falą, mieniającą się aż po szarozłoty widnokrąg.

Wyglądając przez zamglone, brudne bulaje, galernicy widzieli tylko mały okrąg mętnej wody, czasem burty, sztaby³, zajdy⁴ okrętów.

— Mytilene! — ogłosił Metaxas.

— Może nam dadzą wytchnąć na brzegu? — roił Marek. — Bodaj lec na trawie, zajrzeć słońcu w gębę!

Bardzo już byli zbiedzeni. Spod strzępów odzienia widniały szramy po chłostach i wrzodach. Pomoc pięciu branek nie była w stanie zapobiec marnieniu tak dziarskich niegdyś junaków.

Jak zwykle, gdy dobijali jakiegoś portu, klęli teraz i bluźnili niebu albo modlili się rozpaczliwie, słowami pełnymi błagania lub groźby. Znowu wadzili się o byle co, nawet o miejsca przy bulajach, którymi każdy chciał wyglądać.

Satanowski inaczej niż wszyscy powitał lesbijską ziemię. Wstał Midillił — turecka nazwa greckiej wyspy Lesbos (Mytilene).

:stan — kołowrót do zwijania i rozwijania liny okrętowej: winda okrętowa; kołowrót do wyciągania kotwicy. 1 Sztaba — zaokrąglony do góry przodek statku. Zajdy — rufa; tył statku.

z siadanki i patrząc między głowami towarzyszy na wąski skrawek wody, jął recytować: O Lesbos, ziemio oliwek i winorośli! Rajski ogrodzie miłości dziewic eolskich! Wieczna Safony *, Ariona² i Teofrasta³ Ojczyzno! Kiedy twój zefir wonią róż tchnący Owionie lica moje i muśnie mi włosy...

Gniewny hałas przerwał tę niesamowitą deklamację skutego łańcuchem nędzarza. Wszczął się nieopisany rwetes. Posypały się na artystę grudy zgniłego żarcia i błota, jadowite słowa:

— Milcz! Głupek! Oszalał!

•—• Zawdy mu się pieśni zachciewa! Poezją bredzi!

•—• Bracia! — jęknął, ale go zagłuszono. — Profani! — dodał znacznie ciszej.

Może i ulegał obłudowi, jak go posądzano, bo oto klęknął koło siadanki, po czym z dziwnym uśmiechem jął się modlić.

Ucichło, gdy wszedł z żołdatami Mustafa. Odkuli kilkunastu tęższych chłopów, wśród nich Marka, Jana i Stefana.

Wyprowadzeni na brzeg, pod strażą nosili z nabrzeża towary na statek. Praca była ciężka, ale straż im folgowała, pozwalając na częste odpoczynki. Tylko Mustafa poganiał biczem i słowem:

— Przed zachodem słońca ruszamy. Pośpieszać, łotry! Jeżeli jego wspaniałość nie okaże zadowolenia z szybkości waszej pracy, obiecuję każdemu z was po trzydzieści plag.

Marek, znalazłszy się ze Stołczyzną i Satanowskim na osobności, wskazał wąskie miejsca na wodzie między nawami i rzekł:

•— Jakby hulnąć w wodę i dopłynąć do tego holenderskiego szkunera, co? W gorszych opresjach bywaliśmy, a jednak...

— Zali mogą być gorsze od niniejszej? — przerwał Jan.

— Upadłeś na duchu!

— Upadłem, wyznaję.

1 Safo, Safona — poetka grecka (przełom VII—VI w. p.n.e.) rodem z Lesbos, autorka pieśni weselnych i hymnów w dialekcie eolskim, zgromadziła grono dziewcząt, które uczyła poezji.

2 Arion — legendarny śpiewak grecki z VII w. p.n.e., uważany za twórcę poezji dytyrambiczej oraz za bóstwo opiekuńcze muzyki i poetów.

3 Teofrast — starożytny filozof grecki.

— Tam wyzwolenie albo śmierć męska! Tu powolne gnicie!

— Bóg zabrania samoboję, a twoje plany samobojowi równe. — Ja nie mam sił na nic — rzekł Satanowski niedołąźnie.

— Ale jakaż to okazja, żeśmy wszyscy trzej na raz odkuci! Może się to już nigdy nie powtórzyć!

Satanowski wybuchnął odgłębny, rozpaczliwym jękiem:

— Jam wszystkiemu winien! ja! ja! Wtrąciłem was do grobu za życia! I Alimę! I siebie!

Boże! Boże! Boże!

Jakimowski zrezygnowany odszedł od druhów. On jeden nie załamał się. Próbowaliby nieraz ucieczki, gdyby nie oni.

Ładowali towary na galerę, wiele godzin, aż z portowej osady wrócili w lektykach Kassim-beg i kadi Issuf.

Po opatrzeniu wszelkich potrzeb kolej galer głębokim popołudniem wypłynęła z portu ku wyspie Chios.

Zachodni widnokrąg płonął już czerwienią tonącego w morzu słońca, rzucającą purpurowe blaski na wodę, prawą burtę i żagle. Atoli bakburtę¹ i pozostawioną z tyłu zatokę ogarniała szarość zmierzchu, zanim ją rozproszyły portowe latarnie, zapalane przez latarników mytileńskich.

Wydęte wiatrem żagle i szybkie w rękach ponaglanych niewolników pojazdy niosły kolej na morze niby skrzydła.

Ledwie wybili się na szor², zerwała się gwałtowna wichura, niebo zasnuły ciężkie chmury, widnokrąg szerniał, pomarszczone drobniuchną falą morze napęczniało grzmiącymi bałwanami, zawrzało do głębi, zakipiało pianą. To zapadając w dół, to rosnąc w górę, przelewało się jakby z przedwiecznego łożyska w nowe. Woda biła z hukiem w burty, przetaczała się przez pokład, zalewała luki, parła w dół, pod pokład.

Do kajuty Kassim-bega wpadła bez jaszmarku, na wstyd niewieści niepomna Rahmet wraz z niewolnicami, aż i sam kadi w długim chałacie, bez zwykłej powagi. Niewiasty rzuciły się przed mudirem na kolana. Wypełniły kajutę lamentem, zaklęciami, błaganiem.

- Allah ci zapłaci, dostojny panie, za wszelkie straty! Wracajmy do brzegu, bo zginiemy! Na Proroka, wracajmy!

Bakburta — lewa burta statku. 2 Szor — głębia wód z dala od brzegu.

— Teraz burzliwy czas w tych stronach — rzekł ponuro mu-dir — spodziewam się codziennych nawałnic. Ale nie możemy wiekować w Midillii, Ważne sprawy wzywają mnie do Damiatu.

Nagle statek zachwiał się, przechylił znacznie na lewą burtę, na pokładzie łomot i krzyk ludzki.

—• Oto odpowiedź na wątpliwości! — krzyknął kadi.

Do kajuty wtargnął nagle Mustafa i bez zwykłych, czołobitnych wstępów oznajmił od drzwi:

•— Okręt pije wodę! Maszty wichrem powalone! Żagle podarte! Galernicy szaleją i łamią pojazdy!

—• Rozkuć owych dwudziestu dwu wiernych, co za ekscessa razem z giaurami przykuci — rozkazał beg. szarpiąc brodę. — Przygotować szalupy i drabinki! Kupie przed wilgocią zabezpieczyć pobitką* i oponami! Reszta galerników ostanie na swoich miejscach.

•— Jak to? •— rzucił się kadi. — Chcesz, efendi, posłać na dno tych nieszczęśliwych chrześcijan razem z galera?

•— A co, rozkuci, mają nam łby pourzynać?

Wtem do kajuty wpadł Talib, kapitan „Ak-Kałkan”.

— Pozostałe trzy galery kolei wracają! — zameldował. Spokojny dotąd beg spurpurowiał na twarzy.

—• Na pokład! — ryknął. — Zawracamy i my!

— Dzięki Allahowi! — zakrzyknęli wszyscy. Kassim-beg, Tąlib i Mustafa wybiegli na pokład.

Istotnie, jeden maszt został powalony. Bałwany z rykiem biły w statek, zmywały z pokładu luźne przedmioty, z traskiem i łoskotem atakowały pobitkę, zwały z nóg ludzi uczepionych lin, desek, parapetów, żagli. Hałas głużył rozkazy. Walka z bryzgami wody i porywami huraganu utrudniała wszelkie prace.

Wśród galerników panowało jeszcze większe zamieszanie, zwłaszcza po rozkuciu przestępców tureckich. Próbowali zerwać więzy, krzyczeli rozpaczliwie, zagłuszani przez ryk burzy, Szczęśliwie jednak cała kolej z powrotem dobiła do Midillii.

Kassim-beg uwolnionych galerników Turków przykuł na nowo do pojazd i zorganizował pośpieszną naprawę statków.

1 Pobitką deszczu.

przykrycie z desek nad rufą, aby towary nie mokły na Nazajutrz — pomimo perswazji kadiego i błagania kobiet — znowu wyprowadził swoją kolej w morze. Ale i tym razem burza zagnała statki na powrót do- portu.

Podobnie było kilka dni z rzędu. Po wielokroć puszczali się w drogę, ale z powodu sztormów musieli zawracać.

Wpłynęli wreszcie w najbezpieczniejszy zakąt Portu Wąskiego __ do zacisznej Przystani Karamzałów. Przednia galera „Ak-Kałkan” stanęła u wylotu Przystani, inni — bliżej nabrzeża.

Beg po tym wszystkim postanowił odpocząć na lądzie. Zabrawszy kadiego Issufa i część załogi, udał się w głąb wyspy. „Ak-Kałkan” objął w nadzór Mustafa. Ze stu pięćdziesięciu ludzi jej załogi zostało na pokładzie stu zbrojnych Turków.

— Jeśli pomyślną Allah da pogodę, ruszymy w morze o północy — zapowiedział beg na odjezdnym. — Gotuj nawę do pły-wanki!

Wieść o wyprawie bega rozeszła się szybko po galerach, docierając też do obsady pojazd. Ludzie odetchnęli, wolni od zwierzchności. Żołdaci i majtkowie senni snuli się po zakamarkach, drzemali lub grali w kości na pokładzie, w forkasztelu². Galernicy spali albo wiskali się wzajemnie, opatrywali sobie wrzody i rany, gawędzili, swarzyli się... Tak się akurat złożyło, że Marek, Jan i Stefan nie byli przy-kowani do pojazd, wypadła im bowiem służba na statku. Wraz z Haroldem i Eleutheriosem pełnili posługi w kambuzie i przy sprzątaniu pokładu. Po odjeździe bega oni także odetchnęli, dekowali się, acz ponaglał ich strażnik wyznaczony na poganiacza.

Dwie pozłociste fregaty, uskrzydłone żaglami, odpływały właśnie od nabrzeża Przystani Karamzałów. Na cześć podniesionych bander sułtańskich zabrzmiała hałaśliwa muzyka licznej kapeli. Podobne do smukłych ptaków, drogą wodną, uwolnioną od innych naw, pomknęły na południe przy huku armat zegnających je salwami.

Marek spotkał się akurat z braćmi ślubnymi koło forkasztelu, wracając z pustymi kotłami od żołnierzy, którym zaniesiono strawę z kambuza. Widok fregat i odgłosy uroczystości pożegnalnych Pływanka, czyli ryza — droga, którą ma przebyć statek. Forkasztel — dawna nazwa pomieszczenia dla załogi, znajdującego się na dziobie statku.

wzruszyły ich, przypomniały szczęśliwe czasy, gdy jako bosmani jego królewskiej mości pysznili się ponad wszystkich żołnierzy Rzeczypospolitej.

— Nigdy nie zażyj em tego lotu na żaglach, nigdy onej rozkoszy, którą zna jeno ryba i ptak... — rzekł Marek podstępnie.

— W rękach Boga wszystko, a Bóg nie dał — mruknął Stefan.

— W nic już nie wierzę — powiedział Jan beznadziejnie.

— Nie warcicie lepszego losu, skoro boicie się ucieczki. Spuścili udręczone twarze. Nigdy nie czuli tak jego siły, a własnej słabości, jak teraz, w ostatnich czasach. Milczeli.

Słońce dopiekało i gdyby nie poklatl rozpięty nad galera, dałoby się dotkliwie we znaki.

Ciężka duchota wisiała nad światem. Morze wygładzało się chwilami w niezmaconą taflę zwierciadlaną. W porcie ugrzęzło wiele statków, a przybywało coraz więcej z dalekich i bliskich stron: tureckie, włoskie, polskie, francuskie, holenderskie.

Marek z rozognioną twarzą szeptał do druhów gorąco:

— Beg i pół załogi zesłi na ląd. Tutaj Turcy zgoła rozklejeni, baby w kajutach, Mustafa spi. Takowa sposobność już się nie powtórzy, zrozumcie, u pioruna!

— Czego chcesz? — krzyknął Jan zdumiony.

— Dniem i nocą myślę o ratunku. A wyście zbabili do cna, pogodziliście się z losem niewolnika pełzającego na brzuchu do łapy z kromką spleśniałego chleba. Trzeba się ratować! Trzeba ratować siebie i wszystkich przykutych do pojazd!

•—• Jak, na Boga? Zgubisz siebie i nas wszystkich!

— Chcecie więc, by was wszy zjadły do reszty? Trzeba wybić załogę i uciekać!

— Wybić? Czym, gołą ręką? Trzech na stu?

— To szaleństwo!

— W tak odważnych zamysłach więcej trzeba mieć nadziei w Panu Bogu i potędze ręki niżli w rozważaniach racyj i trybu pospolitego — rzekł z powagą Jakimowski. — Nie gnijmy jako ścierwa, jeno jako bosmani króla jegomości polskiego ratujmy życie i honor! Ja was nie poznaję! Byliście nieustraszeni. Nieraz kpiPoklat — opona pokrywająca statek z wierzchu niby baldachim.

liście ze mnie, żem zbyt ostrożny, że za długo sprawę rozważam. A ninie co? Gdzie wasza fantazja kawalerska?

— Boże! Boże! — jęknął bezradnie Satanowski.

Marek wyjął z kieszeni spodni kawałek żelaza i pokazał go z triumfem, po czym oznajmił z błyszczącymi oczyma:

— To klucz do otwierania okowów! Wykradłem go Mustafie!

— Szczęście to albo nieszczęście nasze...

Stołczyzna podniósł się nagle w sobie, wyprostował i oto ze zgarbionego łachmaniarza przeistoczył się w owego wspaniałego bosmana, który zuchwałością najzuchwalszych zadziwiał.

— Rozkazuj — rzekł krótko.

.— Rozkazuj! — powtórzył jak echo Stefan natchniony jego nagłą siłą.

— Mam cały plan w głowie — oświadczył Jakimowski.

Przycupnęli między zwojami lin i naradzali się szeptem... Przerwał im strażnik dozoru roznoszenia strawy. Zaniepokojony długą nieobecnością roznosicieli, szukał ich. Był to na szczęście poczciwy Halim. Swym zwyczajem dużo się nakrzyczał, za czym pomknął szukać Harolda i Eleutheriosa.

Cała piątka roznosicieli spotkała się koło kambuza. Po gorączkowej wymianie zdań tylko Marek został u drzwi kuchni. Jego czterej towarzysze, porzuciwszy puste kotły, zbiegli pod pokład i poczęli więźniów uwalniać z łańcuchów. Jedynym wszakże kluczem niewiele mogli zdziałać, tym bardziej że często między sia-dankami przechodzili baczni dozorczy. Zapalczywsi więźniowie, uwolnieni z pęt, chcieli od razu rozbroić strażników zachodzących tutaj.

— Nie wolno się ruszyć! — zakazywał Stołczyzna. — Nie mamy broni, nawet kijów.

Jakimowski da znak. Spokój, towarzysze, albo śmierć! Cierpliwości!

Tymczasem Marek wszedł do kambuza. Musiał wyglądać dziwnie, bo kucharz przypatrywał mu się jak nigdy.

— Kocioł czeka — rzekł. — A gdzie drugi roznosiciel?

- Zaraz nadejdzie — odparł Marek.

Kręcił się tymczasem po kuchni, chcąc pochwycić leżący na stole tasak do mięsa, i to niepostrzeżenie dla Turka.

- Nie ma go długo — zniecierpliwił się kucharz. — Chłop z ciebie jak wół: bierz sam! Marek zwlekał.

— Bierz, mówię! Prędko! — zawołał kucharz ostro. Jakimowski, niby to zbliżając się do wskazanego kotła, nachylił się i z podłogi wedle trzonu kuchennego podniósł jedno z przygotowanych na opał drewnien.

— Połóż to! — ryknął kucharz rzucając się ku niemu. Trafiony drewnem w czoło, zwałił się pod nogi więźnia. Marek sięgnął po tasak i został zniemacka zaatakowany nożem przez kucharza, który tymczasem zdołał powstać. Drugi cios Marka, zadany tasakiem, pozbawił go życia.

Jakimowski wypadł z kambuza. Tuż za drzwiami natknął się na żołnierza, który zwabiony hałasem śmiertelnej walki w kuchni, biegł z dobytą szablą na pomoc kucharzowi. Polak odparował pierwszy jego cios krótkim tasakiem, ale wobec dalszych razów długiego brzeszczota był bezsilny. Wycofał się tedy do kambuza, chwycił z paleniska długie płonące polano i z rozpaczliwą furią natarł na Turka. Rażony zapaloną maczugą żołdat umknął z ciasnej kuchni i dopiero za drzwiami ruszył do przeciwnatarcia. Ktoś inny na miejscu Marka może by uległ w nierównej walce. Ale nie on, który wraz z braćmi ślubnymi zadziwiał sprawnością całą armadę króla jegomości. Szabla Turka dosięgła go już wprawdzie dwukrotnie, raniąc w głowę i łopatkę, wytrzymał jednak ból i drętwienie prawej ręki, przerzucił zgaszoną już, ale jeszcze rozżarzoną głównię do lewej i zwiódłszy przeciwnika tym ruchem, roztrzaskał mu łeb niespodziewanym rlnyńcem, w jaki wprawił swe polano.

Ledwie otarł pot z czoła rękawem, nadbiegli Jan i Stefan.

•— Harold rozkuwa tamtych, my Mężem ciebie salwować!

— Brac żerdzie z kambuza! Idziemu po broń na zajdy!

— Tyś skrwawion!

— Nic to. Duchem na zajdy po broń! — skomenderował Marek. Tymczasem uwalniani z więzów galernicy chwyтали, co w rękę wpadło: kije, wiosła, deski odrywane z siadanek •— i w to uzbrojeni, pieli się na pokład ku głowicy I, gdzie Turcy trzymali oręż. Tam już działali Marek i jego' bracia ślubni.

Przód statku był akurat pusty. Natomiast rufa rozbrzmiewała I Głowica — przodek okrętu. • z nawoływaniem Turków, niezupełnie jeszcze świadomych położenia. Tam także był terem pełen bojowego sprzętu.

U drzwi składu broni wyrósł przed Markiem jak spod ziemi Mustafa z dwie szablami w dłoniach. Marek zajechnął go tasakiem między żebra, nim szable poszły w ruch, padającego chwycił w pól i rzucił ponad zabrodłem w morze. Na ten widok radość opanowała galerników, jeszcze większa — po rozbiciu składu broni.

Ale to wszystko było dopiero łatwym początkiem. Turcy, zgromadzeni na zajdach, nie reagowali zrazu na hałasy, mniemając, że między galernikami wynikły zwykłe swary. Gdy jednak zobaczyli uzbrojony tłum na pokładzie, podnieśli niewczesny alarm. Za czym poprzecinali powrozy od poklatu, by olbrzymią jego płachtą nakryć i spętać buntowników, potem zaś przez ciężką materię wykluc ich pikami a mieczami.

Marek przewidział to. Galerników podzielił na dwie części: na czele większej stanął sam, drugą, znacznie mniejszą, poddał dowództwu Stołczyny. Ów mniejszy oddział miał zapobiec omotaniu w zwoje poklatu uporczywym ich rolowaniem. Toteż gdy Turcy przecięli powrozy, zwały płótna zostały przez buntowników zwinięte, a gotowi wykluc więźniów żołnierze wybici do nogi.

Atoli główna bitwa rozgorzała na rufie, wokół kasztelu. Na nieszczęście Turków broń palna, a nawet łuki, znajdowała się na przodku galery i została przez więźniów zagarnięta. Na zajdach toczyli więc żołdaci i majtkowie bój białą bronią, jak jatagany, piki, berdysze. Podobnym zresztą orężem nacierali buntownicy, acz mieli zdobyczną strzelbę. Chcieli bowiem jak najdłużej utrzymać bunt w tajemnicy przed innymi nawami zakotwiczonymi w porcie. Mogli jednak wykorzystać swe strzelnicze umiejętności łucznicy.

Pierwszy Satanowski ustrzelił setnika morskiej piechoty.

W chwilę potem strzała z łuku Stołczyny przeszła sternika. Aż majtek Abdul padł z czyjejs ręki, aż i coraz inni. Buntownicy szyli strzałami z ukrycia, nie ponosząc żadnych strat.

Rozstrzy-nięcie jednak zależało od walki wręcz, gdyż i bisurmani kryli się zed ostrzałem.

Śmierć kilkunastu towarzyszy osłabiła ich mowo). Gdy na domiar ściemniło się, giaurzy zaś przecięli cumy, a nawinawszy kordele I na kabestan odkotwiczili galere i odbili od brzegu, mużłmanie całkiem upadli na duchu. Chcieli się poddać, ale polegli w krwawej rzezi.

Buntownicy nie mogli pohamować zemsty za długie dni cierpień i upokorzeń. W dzikim ferworze nie darowali nawet zacnemu Halimowi ni innym poczciwym Turkom. Zostawili przy życiu tylko owych dwudziestu dwu galerników tureckich, nie odkutych oczywista na początku buntu. Pole walki spłynęło krwią, pokryło się pochlastanymi trupami, pogruchotaną bronią. Żywi potykali się o szczątki i ciała, ślizgali w czerwonych kałużach.

Był już najwyższy czas uchościć czym prędzej na morze. Nabrzeża i wody przyległe oświetlały portowe latarnie, zapłonęły lampy na statkach. Aby zaś widniej było, rozpalili Turcy wzdłuż brzegu olbrzymie stosy drzewa, tak że blask padał daleko na przybrzeżne wody, z których „Ak-Kałkan" miała wybrnąć na szersze. Tymczasem z nabrzeża i z innych galer Kassimowej flotylli zauważono już walkę na „Ak-Kałkan" i nagłą ucieczkę tej galery. Majtkowie, żołdaci i strażnicy portowi otworzyli ogień z rusznic i muszkietów. Po chwili ryknęły z osady i portu działa. Od pocisków wytryskały wieńcem wokół „Ak-Kałkan" fontanny wody. Jakimowski panował już nad położeniem. Błyskawicznie ze zbieraniny zorganizował załogę galery. Tylko on i jego bracia ślubni, a z cudzoziemców Grecy, Anglicy i Włoch znali rzemiosło żeglarskie. Razem więc ledwo dziesięciu. Galernicy tureccy, przykuci nadal, wiosłowali pod strażą. Stefan zastąpił ubitego sternika. Marek znalezionym

gdzieś gwizdkiem dawał znaki z kapitańskiego mostku. Mimo ran i upływu krwi nie ustawał w wysiłkach.

— Rozwinąć wszystkie żagle!

— Wszystkimi pojazdami naprzód!

Zanim mało sprawna załoga spełniła pierwszy rozkaz, upłynęło sporo czasu, Ale wiosła odbiły „Ak-Kałkan” nieco od przystani.

Tymczasem w tłumie na brzegu pojawił się Kassim-beg. Machał rozpaczliwie rękami, krzyczał, targał brodę. Aż skoczył do wody czerwonej od łuny ognisk. Brnąc w niej coraz głębiej —• po pas, po piersi, po szyję — wzywał buntowników do opamiętania, sam Kordele — liny od kotwicy.

je utraciwszy, błagał o zwrot galery. Zaklinał się, że jeśli wróca, zostaną wyzwoleni i nagrodzeni.

Na „Ak-Kałkan” niektórzy zachwiali się w postanowieniu.

— Poddajemy się! Przyrzeka nam wolność, nagrodę.

— Precz! — pieniał się Jakimowski pałaszem rozganiając malkontentów. — Na pale, na haki wam pilno?

Walenty Kosmala podszedł doń i położył ciężką, skrwawioną w boju dłoń na jego ramieniu.

— Poddaję się „wodzu”! — rzekł złowrogo.

Marek strącił jego rękę i krztusząc się gniewem odpowiedział:

— Zawdy stajesz okoniem. Odejdź a poniechaj poduszceń, bym nie zapomniał, że z komilitonem sprawa.

Rozdzieliło ich ponowne zamieszanie, bo kiedy mudir wrócił na brzeg, powtórnie zagrzmiały działa. Pozostałe galery jego flotylli, gotujące się do pościgu, zwróciły się bokiem do „Ak-Kałkan” i również dały burtą ognia, okrywając się chmurami dymu.

— Spokój, chłopcy! — wzywał Jakimowski — strzelają, a proszą Boga, by nie trafić: przecie u nas pani Rahmet gości. Dobra zakładniczka: dzięki niej zatopienie nam nie grozi. Gorzej, gdyby nas zahaczyli pomostami abordażowymi! Baczność tedy!

Na „Ak-Kałkan” rozwinięto już żagle. Wydeły się wiatrem i pociągnęły galerę szybko niby wielkie skrzydła. Ale i drugie galery flotylli, oddawszy salwy, ruszyły w pogoń.

Stołczyzna, wyznaczony wraz z innymi, co się na puszkarstwie znali, do armat, już czynił swoje.

— Nabić działa!

— Całą burtą ognia!

„Ak-Kałkan” zachwiała się przy wystrzale, pochyliła na bak-burtę, ale potem jakby nabrała szybkości. Za osłoną dymną, która ją otoczyła, odbiła znacznie od ścigających ją galer. A portowe baterie grzmiały bezustannie, zasnuwając dymem zatokę, port, osadę. Pomyślny wiatr nie tylko gnał „Ak-Kałkan” na wolny szor, ale i osłaniał ją owym dymem. Przykuci do pojazd Turcy pracowali sprawnie. Część chrześcijan wzięła się także do wiosł, byle co rychłej wybić galerę na wart2 morski. Udało się to wreszcie.

Pomost abordażowy (fr.) — pomost między dwoma statkami lub między statkiem a brzegiem.

Wart, czyli szor — głębina, otwarte, pełne morze.

32 —

złotej ostrogi Oświetlone okna domów portowych i latarnie, przebłyskujące zrazu poprzez dymy armatnie, znikły z oczu załogi „Ak-Kałkan”. Nawet działa w końcu umilkły. Snadź zaniechano pogoni.

Zapadł już gęsty, bezksiężycowy, ale gwiaździsty wieczór.

Jakimowski, gdy tylko uporał się z najgroźniejszym niebezpieczeństwem, pomyślał o niewiastach, które w czasie walki nie dały znaku życia. Obmywszy się z brudu i krwi, opatrzony przez Jana, zbiegł do kajuty Rahmet. Zapukał i acz nie słyszał zaprosin, wszedł.

Niewiasty zbiły się w ciasną gromadkę, przerażone jego widokiem, niby owce wobec wilka. Wargi im drżały, blade, napuchnięte od płaczu twarze wyrażały bezgraniczną rozpacz.

— Kiedy niebezpieczeństwo minie, obmyślę wasz los — oznajmił po turecku, za czym zwrócił się po polsku do Katarzyny Porębianki: — Zali waćpanna wrócisz z nami do Polski?

— Mogęż waćpanu ufać? —•• szepnęła.

— Jam bosman króla jegomości polskiego i szlachcic, a nie łotrzyk niewiasty krzywdzący.

Rahmet, nie rozumiejąc polskiej mowy, podejrzliwie na nich spoglądała. Bała się bowiem ich zmywy. Marek to odczuł.

— Jesteś, pani, w moich rękach — rzekł do niej. —• Nie potrzebuję więc zmuszać się na ciebie tajemnie. Aliści daję słowo rycerskie, iż będę miał wzgląd na twoją płeć niewieścią.

— O tak, dostojna pani! — podchwyciła zbyt skwapliwie Porębianka. — Byłaś dobra dla nas w czasach swojej chwały, nie zapominamy tego ninie, gdyś w nieszczęściu.

Rahmet zignorowała te pocziwe słowa i przemówiła wyniośle:

— Zali zdajesz sobie sprawę, zbuntowany karawuszu, że niebawem poniesiecie okrutną a zasłużoną karę?

— Nie jestem już niewolnikiem —•• odparł spokojnie. — Ponieważ w rozmowie oddaję pani cześć właściwą twojemu stanowi, żądam podobnej dla siebie. Jestem polskim szlachcicem, a więc stan mój równy twojemu. Po drugie, sama, pani, winnaś modlić się do swojego Allacha, by nas nie doścignęto. Bo jeśli to się stanie, „Ak-Kaľkan”, ostrzegam, zostanie prochami wysadzona w powietrze.

Kobiety patrzyły z lękiem w orlą twarz Jakimowskiego.

Na odchodnym rzucił zachwycone spojrzenie Porębiance, a ta snadź pojęła jego afekt, bo spuściła oczy i poczerwieniała. Po raz pierwszy widziała go wyniosłym, łaskawym i zarazem zwycięskim. A przecie i tam, u wiosła, wydał się jej dumny, niepokonany.

Na pokładzie owionął Marka wiatr, chłodził wypieki na licu, kołł piekący ból w ranach.

Łopotał w wydętych żaglach, grał -jękliwie na linach napiętych jak struny. Morze szumiało, woda grzechotała o burty, poznaczona cętkami odbijających się w niej gwiazd. Oprócz poszumu nie niósł się od Lesbos żaden odgłos niepokojący.

W kajucie bega Jakimowski zebrał tych towarzyszy, którzy znali sztukę żeglarską. Obsiedli stół mahoniowy, przyśrubowany do podłogi, na którym leżała rozpostarta wielka mapa Morza Śródziemnego i jego odnóg, wybrzeży i wysp Europy, Afryki, Azji.

Kajuta urządzona była ze wschodnim przepychem: inkrustowane złotem i srebrem sprzęty, wybijane złotogłowie ściany, kobierce, poduszki, hafty, bogate naczynia. W oszklonych gablotach widniały rulony map oraz instrumenty nawigacyjne.

Wszyscy, jak na komendę, nazywali Jakimowskiego kapitanem. Ale też umiał być dowódcą tak samo, jak żeglarzem.

- Jeśli przetrwamy niniejszą noc, zaczniecie uczyć innych rzemiosła żeglarskiego —

przemówił. — Bo sami nie zdołamy ani przebyć burzliwych mórz, ani umknąć pogoni.

Musimy nabrać sprawności i dążyć prosto do wyznaczonego celu, a nie wiecznie drożyć strychem morza l, bo tu wokół mrowie naw i wysp bisur-mańskich.

Do kajuty wtargnął nagle Rowiński i zameldował:

Kosmala podburza ludzi. Żąda powrotu do Midillii.

- Tak mu do pała spieszno! — wykrzyknął Jakimowski. —• Aliści chyba głupich na galerze, oprócz niego, nie masz.

- Niektórzy słuchają go niczym barany.

Jeszcze nie skończyli mówić o Kosmali, przybiegł Ostrowski. Sciśają nas trzy galery! —

oznajmił wzburzony. Na pokład! — skomenderował kapitan grzmiącym głosem, świetle wzeszłego właśnie miesiąca widać było w oddali trzy lego kształtu nawy, a jeszcze wyraźniej przez lunetę, która Dążyła z rąk do rąk.

ozyc strychem morza — tuc się po morzu.

Marek poniechał na razie Kosmali, a zajął się pościgiem.

Lekka, wilgotna bryza wypełniała żagle. Żadne manipulacje nimi nie mogły przyspieszyć statku. Jakimowski tedy dodał po dwu ludzi więcej do wiosła. Po zwiększeniu liczby wiosłarzy „Ak-Kał-kan” wzmogła szybkość. Prowadzona zrazu na południe, pożegło-wała teraz nagle na zachód. Wskutek tego manewru zwróciła się burtą do pościgowych galer.

Wyznaczony na konstabla l galery Stołczyzna skomenderował:

•— Do dział!

A gdy puszkarze zajęli stanowiska, dodał gromko:

— Nabić działa! Po czym znowu:

— Całą burtą ognia!

Ogłuszający huk przetoczył się po cichym morzu, ciemności rozbłysły plamami ognia.

„Ak-Kałkan” zionęła kilkakrotnie ogniem i żelazem —• z burty i rufy. Aż wreszcie, okryta chmurą dymu, pomknęła na zachód, oddalając się coraz bardziej od pogoni. Stracili wkrótce z oczu pościgowe okręty, które, nie oddały ani jednego strzału. Snadź przez wzgląd na bezpieczeństwo żony kadiego. Płynęli jednak w napięciu — przy stałym, rosnącym wietrze od rufy, wielce po-woźnym.

Jakimowski przed powrotem do kajuty zagadnął druhów:

— Czyżby nie rozprawić się od razu z Kosmałą?

— Poczekaj trochę •— odparł Jan.

— Chyba po to, by on rozprawił się z nami, co? Wiemy przecie z doświadczenia i opowiadań, czym pachną knowania załogi. Wszystkie bunty należy tłumić w zarodku, by nie było katastrofy.

— Nie wierzę, by Kosmałą znalazł posłuch — oświadczył Sa-tanowski. — Każdy wie, że wrócić do Midillii to śmierć na palach.

— Janie, przyprowadź Kosmałę! •— zdecydował Marek.

Po odejściu Stołczyzny zebrał przy sobie oddanych towarzyszy. Niebawem Kosmałą nadszedł wraz ze Stołczyzna.

— Czego chcesz? — warknął.

— Przed kapitanem stoisz! — odpowiedział mu Jan.

l Konstabl— dowódca artylerii okrętowej. — Każdy z nas może się tak zwać — zaśmiał się Kosmałą.

— Dostyć! —• rzekł władczo Jakimowski. — Słuchaj, Kosmałą! Dlaczego ty podburzasz ludzi i siejesz wśród nich zniechęcenie, strach? Nie czyń tego, ostrzegam!

;. — Bo co? — odparował zuchwale Kosmałą.

. — Bo za warcholstwo każę cię przeciągnąć przez stępkę albo przywiązać do rei czy masztu.

— Spróbuj!

— Brać go! —= huknął Jakimowski.

Kosmałą został obezwładniony i zawieszony za wykręcone do tyłu ręce na rei. Milczał, nie stawiał oporu zaciąwszy zęby. Z jego oczu Jakimowski odczytał taką nienawiść, aż go ciarki przeszły.

— Czuję, że to nie koniec •— prorokował.

Zwolennicy Kosmali patrzyli spode łba na kapitana i jego druhów. Czuło się bunt w powietrzu. Bosmani króla jegomości znali to ponure klima, poprzedzające zaburzenia wśród załogi.

Znacznie przed upływem czasu zawyrokozowanej kary Satanow-ski poprosił Marka o wcześniejsze uwolnienie Kosmali.

— Broń, Boże! — zachnął się Marek. — To go rozzuchwali. Ustąpił jednak naleganiom Stefana i zwolnił Kosmałę.

— Chwilowo poskromiony •— ocenił.

— Rozdrażniony — zakrakał Stołczyzna. Niedługo zażywali spokoju.

Wartownik na „bocianim gnieździe” *, a potem i inni ludzie, dostrzegli w różnych stronach ogniste sygnały, jakimi porozumiewają się na morzu pławacze. „Ak-Kałkan” została więc osaczona i to przez większą liczbę statków. Na szczęście, w dość dalekim na razie promieniu, co dawało możliwości manewru i wymknięcia się z pierścienia, który będzie się chyba zaciskał coraz bardziej.

Jakimowski zwołuje naradę wszystkich przy grotmaszcie. - Iść przebojem między nawami! Przemknąć się! — żąda.

Wielu go popiera, nawet ci, co o żegludze nie mają pojęcia.

Wydał rozkazy.

e Kosmała i jego zwolennicy szemrzą, zmagają się po ką-

u3On Q 4- \

Ł j. c oiczna, czujny niby żuraw, widzi wszystko i donosi drumasz. °Clanie gniazdo” — kosz dla obserwatora, umieszczony wysoko na -le> punkt obserwacyjny statku. hom. Trzymają niemal ręce na głowicach szabel, na pistoletach.

Znowu u pojazd zwiększono liczbę wioślarzy. Idąc powoźnym wiatrem „Ak-Kałkan” przemknęła w odległości zaledwie stajania od najbliższego okrętu pościgowego, a mijając go oddała doń z prawej burty kilka salw armatnich. W chwilę potem zaś ostrzelała go z baterii rufowej, aż i pociskami zapalającymi.

Nagły wybuch ognia na pościgowym statku rozdarł chmury dymu, zabrzmiał huk, łoskot walących się masztów, zdruzgotanych burt. Statek ów zamienił się w ognisty słup, sypiący wokół płonące drzazgi. Przechylił się, ale jeszcze z burty prawej, potem ze sztaby oddał salwy armatnie. Towarzyszące mu nawy także ostrzelały wymykającą się obławie „Ak-Kałkan”.

Dym przysłonił gwiazdy i księżyc, osnuł szeroki szmat morza i okręty grzmiące wystrzałami kierowanymi niemal na oślep. Huk przewalał się po wodzie, podobny do ryku burzy.

„Ak-Kałkan” oddaliła się znacznie od zmieszanych katastrofą napastników. W krótkim czasie płonący statek poszedł na dno, a inne poprowadziły dalej uporczywą pogoń za uciekinierem. Ale nieprędko wykryły go ponownie.

Wschodziło słońce, gdy Stołczyzna, obserwujący za pomocą lunety z „bocianiego gniazda”, krzyknął:

—• Od wschodu i północy żagle na horyzoncie!

— Alarm! •— zagrzmiał wachtowy. — Alarm! Alarm! Zadźwięczały gwizdki, trąbka i bicie młotem w kawał żelaza. Ludzie, zmordowani okrutnie przeżyciami i trudem minionych godzin, po ostatnim starciu z pogonią spali snem kamiennym, gdzie popadło, nawet strażę. Budzili się z przekleństwem na ustach.

Od wschodu i północy szły półkolem na „Ak-Kałkan” nawy tureckie, a wśród nich galery Kassim-bega. Na przedniej wywieszono białą płachtę, która powiewała u końca sztaby, na znak, że kolej płynie bez złych zamiarów i pragnie porozumienia z „Ak--Kałkan”.

— To podstęp! — ocenił Jakimowski.

Ale niektórzy chcieli pertraktować z pogonią, bojąc się i ponownego ataku, i beznadziejnej tułaczki po morzach, wśród burz, pościgów, piratów, skał i raf podwodnych.

— Niech kapitan szalupą popłynie pertraktować! —• szemrano.

.__Ja im wyperswaduję! — rzekł Jakimowski do druhów stojących z nim na rufie. —

Trzymajcie ręce na kurkach i szablach!

Z wysokiej rufy śledzili ruchliwe gromady w dole.

__. Hej! towarzysze! Zbliźcie się! — zawołał Jakimowski przez blaszaną tubę, jakiej używają na statkach.

Ci, którzy chcieli walczyć z pogonią i uchodzić bodaj na kraj świata, biegli ochoczo.

Malkontenci wlekli się posępni.

„... To, żeśmy ninie wolni jako te ptaki na powietrzu, jako ryby na głębinach, zawdzięczamy Bogu i odwadze naszych serc, dzielności ramion — zagrzmiał Jakimowski. — Nie wolno nam tej słodkiej zdobyczy utracić! Jeśli zaś, to razem z życiem!

— Trzeba paktować! Bo wyginie w męce! •— krzyknął ktoś. — Jeśli będziem paktować, otoczą nas i zniszczą, parlamentariusza zamordują. Snadź poświęcili już żonę kadiego. Jeśli poddamy się, pozdychamy na palach.

— Idź paktować, boś nas przywiódł do tego nieszczęścia! Marek wzrokiem wyszukał mówiącego.

- Słuchaj, Kosmala! —• rzekł surowo. — Zdychałeś już nad zysą, a ninie wiatr ci lica orzeźwia..; - Nie gadaj, jeno pływ szalupą paktować! — krzyknął Kosmala. — A nie, to cię związanego rzucim pod nogi Kassim-bega i życie nasze okupim!

— Bunt •— mruknął Marek do druhów. — Za chwilę możemy zginąć. Kosmala, mając popleczników, nie cofnie się przed niczym.

— Nie cofnie się •— potwierdził Satanowski.

- Bądźmy czujni! — dodał Jan. — Nie my jego, to on nas.

- Zaraz postanowię, co czynić — rzekł twardo Jakimowski.

W 4ole nabrzmiewał groźny harmider. Kosmalę poparło wielu. Błysnęły brzeszczoty, zarówno lojalistów, jak malkontenów. Oby-dwie^ grupy gromadziły się osobno: do bratobójczego starcia.

Śniada twarz Jakimowskiego pociemniała jeszcze bardziej. Jego bracia ślubni zacisnęli palce na głowicach szabel i pistoletów. °.Marka Podszedł Włoch Benito Tagliani, po Stołczynie obser-jający morze z „bocianiego gniazda", i zameldował szeptem:

ległość między nami a pogonią zmniejsza się. Pobunto-Kosmalę ludzie zwolnili żagle, podburzają Turków [P°J zdach, zegnali mnie z „bocianiego gniazda"...

- mruknął w odpowiedzi kapitan przez zęby.

Zszedł między tłum i jał zbliżyć się do Kosmali. Za nim Benito, Jan i Stefan. Zapanowała nagle grobowa cisza, pełna złowrogiego napięcia. Kosmala dźgnął Jakimowskiego swymi nieustraszonymi oczyma. Dobywszy błyskawicznym ruchem pistolet spod kaftana, krzyknął do swoich:

— Bij! Za burtę go!

I w tej samej chwili padł niby piorunem rażony. To Marek potężnym ciosem wbił mu nóż w piersi aż po samą rękojęść. Krew obryzgała jego i najbliższej stojących, ubarwiła deski pokładu. Atoli ani jeden oręż nie ugodził Jakimowskiego, ani jeden głos nie rozerwał milczenia tłumy zastygłego w zgrozie.

— Wrzucić to ścierwo w morze! — rozkazał Marek wskazując trupa. — Niech truje wodę, ale nas nie zatruje. Precz z nim za burtę! Ale to już! — huknął widząc, że nikt się nie rusza.

Teraz bez oporu spełniono rozkaz. Bo też rozkazodawca był straszny: miał w nabiegłych krwi oczach okrucieństwo i determinację, twarz wykrzywił mu wściekły grymas, z otwartych nieco ust błyskały białe zęby jak u dzikiego zwierza.

— Każdego, kto wyrzeknie słowo o poddaniu, spotka podobny los! — zagroził ściszym, przejmującym głosem, a potem huknął nagle tak gromko, jak wystrzał kolubryny: — Na stanowiska! Do żagli! Do dział! Do pojazd!... Wykonać!

Ludzi jakby rozmiotło po galerze.

Jakimowski odetchnął głęboko, a potem podszedł do beczki ze słodką wodą, zaczerpnął jej czerpakiem i pił, pił bez końca... Mimo ponownego zrywu załogi „Ak-Kałkan", pogoń zbliżała się.

— Towarzysze! •— zaklinał Jakimowski. — Zginiemy raczej z honorem, jak żołnierze, jak żeglarze, jak ludzie, niż mamy konać niby parszywe psy na powrozach bisurmańskich! Będziem bić z armat do końca, a potem prochami wysadzim się w powietrze.

Podszedł Stołczyzna i wskazując niebo rzekł:

— Albo wybawienie, albo zguba.

Czyste dotąd niebo zaciągnęło się gęstymi chmurami. Spokojny wiatr rufowy stał się porywisty, co chwila zmieniał kierunek, zbałwanił pofalowane łagodnie morze. Powietrze zszarzało, woda pociemniała w głąb, pokryła się pianą, jęła jakby rosnać ku niskim obłokom i zapadać w otchłań, miotając galera niby łupiną. Szum fal przerósł w ogłuszający łoskot i ryk bałwanów, nad które wyhił się grzmoty coraz bliższych piorunów. Błyskawice rozdarły poczerniałe przestworze, połamały widnokraż.

Ludziom nie chodziło już o walkę z wrogiem, lecz o obronę przed rozszalałym żywiołem. W ołowianym powietrzu z „Ak-Kalkan” nie było teraz widać okrętów pogoni. Maszty trzeszczały pod uderzeniami wichru. Statek przechylał się z boku na bok. Łopot żagli przeszedł w trzask i łomot, świszczwały i dzwoniły napięte liny. Bałwany rosły jak góry ze wszech stron. Padł rozkaz zwinięcia żagli, ale huragan i przetaczające się przez pokład fale zwały ludzi z nóg, uniemożliwiały pracę. Padali i wstawali czepiając się czegokolwiek. Zanim spełnili rozkaz, runął z łoskotem grotmaszt, druzgocąc kasztel na rufie i część parapetów, zamieniając je w kupę drewna, lin, płócien. Ledwie zostały zwinięte żagle na pozostałych masztach. Sternik i wiosłarze z największym wysiłkiem utrzymywali galera na kursie nakazanym przez Jakimowskiego.

Świat zmienił się w huczącą bryłę, wypełnioną huraganem, gromami, wodą, hukiem.

Wiosłowanie zdano na galerników tureckich. Inni wzięli się do uprzątań złamanego masztu. Przetaczany wstrząsami i falami z boku na bok, powodował niebezpieczne przechyły okrętu, łamał wszystko dokoła. Trzeba też było uprzątnąć drzazgi, płataninę lin i płótna, uniemożliwiające ruchy. Sto siekier i pił rozdrabniało w strugach wody i miotach wiatru ogromny pień masztu na kawały, które następnie wyrzucano w morze wraz ze szczątkami zgruchotanego teremu. W ciągu kilku godzin nawałnicy usunięto zawady i utrzymano statek w ryzach.

Burza wzmagała się z godziny na godzinę.

— Do pojazdu!

Mdlejącym od wysiłku Turkom przybyła pomoc. Ale pojazdy łamały się jak trzciny. Trzeba było poniechać wiosłowania i zdać Słę na prądy, bałwany, wichry. Wszyscy znowu musieli walczyć z burzą i klęską na pokładzie. Położenie jednak nie było bezna-gdyż ani wręgił, ani poszycie nie ucierpiały, nie rozluź-się, a więc nie groziło przenikanie wody do wnętrza statku. ręgi bale poprzeczne, żebra szkieletu statku, do których przytwierdzone poszycie. Gdy po wielu godzinach zmagania ustała wichura, podniosły się i pojaśniały chmury, nad południowym widnokrażem zaś rozblę-kitniała smużka czystego nieba, Jakimowski ukląkł na spustoszonej pokładzie, u stóp schodów wiodących na zniszczony terem rufowy, i zaintonował dziękczynny hymn:

•— Chwała na wysokościach Bogu...

Kto umiał tę pieśń, zawtórował, choć wszyscy byli już u kresu sił.

Stołczyzna, bardziej trzeźwy, rzekł do Marka po modlitwie:

— Mamy przed sobą trzy niebezpieczeństwa: pławba bez masztów, żagli i pojazd, pogoń turecka oraz napady piratów, nie mówiąc o innych. Będziem mogli śpiewać „tedeumy” i inne „sal-yereginy”, gdy dobiejmem do jakowegoś bezpiecznego portu. O ten zaś trudno ninie na tutejszych morzach.

— Popłyniem do Kandii: tam WenecJanie dadzą nam opiekę.

— Oby!

Jakimowski nagle przypomniał sobie uwięzione w kajucie kobiety. „Jak mogłem zostawić Katarzynę na tak straszne długie godziny?” — wyrzucał sobie. Pobiegł. Zastał niewiasty ledwie żywe. Ale sam, ranny przecież, a tyle czasu trwający w największym napięciu i trudzie, runął zemdlony na progu ich kajuty.

Katarzyna Porębianka dopadła go z bolesnym okrzykiem.

XVIII Choroba zwała • Jakimowskiego z nóg. Leżał na sofie w kajucie odziedziczonej po begu, kurowany przez Metaxasa i niewiasty.

Satanowski i Stołczyzna borykali się z uszkodzoną nawą. Za pomocą instrumentów pomiarowych i mapy morskiej wyznaczyli wspólnie z uczonym Metaxasem położenie galery: znajdowali się u progu Cykladów. Trzeba było wymknąć się z roju wysp należących do Porty. W drodze naprawiono, co się dało, połatano żagle. Satanowski i Stołczyzna sterowali na przemian, nie spuszczać niemal rąk z rumpla i nie powierzając steru nikomu. Szybkość nawy bez grotmasztu i jego ożaglowania była gorzej niż mierna.

Rumpel — drążek sterowy.

Ak-Kałkan" płynęła nadal pod ocalałą z burz turecką flagą 'białego jedwabiu, pięknie haftowaną w cztery półksiężycy • vv charaktery arabskie. Acz po Turkach została wielka latarnia okrętowa z pozłacanego mosiądzu, zwana sygnałową, przecie jej r>0 ciemku nie zapalali, by skołatana galera nie była widoczna.

Wiele dni lawirowali między wyspami i nawami tureckimi, mając na celu wenecką Kandię *. Nocami przemykali się koło wysp. za dnia drożyli z dala od lądu. Raz musieli ogniem dział wstrzymać pogoń tureckich naw i przy rozpaczliwym wysiłku wioślarzy umknęli. Innym razem turecką banderą oszukali pościgowe okręty. I tak po krawędzi zguby wypłynęli z obszaru Cykladów na wody Kandii. Ale wyspę tę w dalekim promieniu otaczał gruby pierścień naw tureckich, który pękał za ukazaniem się armady weneckiej, by w sposobnej chwili znowu spojść się w jednolitą obręcz.

Ponieważ nie mogli w żaden sposób przedrzeć się przez ową obręcz, zmienili kurs i popłynęli na zachód — ku Sycylii.

Na wieść o tym Sycylijczyk Benito Tagliani wznosił trzykrotnie okrzyk:

— Evviva ii capitano! Tymczasem oprócz burz, Turków i piratów, pojawił się jeszcze jeden wróg: brak wody do picia. Mieli bogactwa po begu, wokół rozciągał się bezmiar morza, a w bodniach zabrakło życiodajnej cieczy, po którą, zdawało się, tylko sięgnąć ręką. Ironia losu! Wodę należało racjonować. Ludzie omdlewali z pragnienia, gotowi dla zdobycia wody popełnić mord. Toteż Stołczyzna i Satanowski z pistoletami w dłoniach strzegli ostatnich beczek drogiego napoju. Gdy oni odchodzili, na ich miejsce stawał Metaxas z Anglikiem. Haroldem of Castleborough. Zdarzało się, że musieli o wodę staczać bójki z natrętami.

Jakimowski, choć osłabiony, wstał z posłania, czując znowu aurę buntu na galerze.

— Waćpan tu? — zawołała Porębianka widząc go na pokładzie.

— Już czas — odparł z uśmiechem. — Dość próżnowania! Zadałaś mi waćpanna takowe leki, że umarłego by wskrzesiły.

Rada bym była, gdybym waćpanu choć trochę pomogła.

I Karidia — Kreta.

ii capitano! (wł.) — Niech żyje kapitan!

— Trochę? Już by mnie ryby zjadły, żeby nie waćpanna.

— O, niewdzięczny! — prychnęła. •— A pani Rahmet? — A in...

— Rahmet chętnie by mnie otruła •— przerwał.

— A Kasia Żemajtis? A obie Małgosie i Ania?

— Wszystkim należy podzięką, aliści waćpannie najwięcej, bom oprócz onych kojących driakwi, balsamów, eliksirów najbardziej życiodajnego medykamentu od waćpanny zażywał.

— Jakiegoż to?

— Słodczy serca.

Spojrzała nań dziwnie i bez słowa odpowiedzi odeszła.

Nie spieszyło go to. W czasie choroby dochodziło do skromnych poufałości między nimi: a to żarty, a to rąk uściski, a to. wymowne spojrzenia. Tej granicy nie śmiał przekroczyć. Powaga

i królewska uroda tej niedawnej niewolnicy onieśmiały zuchwałego człeka, który nigdy nie prosił niewiast o względy. Tu gotów był błagać o chwilę uwagi. Z jej dumy, poglądów a zachowania się wnosił, że nie skalało jej jeszcze poniżające kobietę życie haremu, acz u kadiego przebywała od dzieciństwa. Nie wiedział, że od złej przygody strzegła jej namiętność zazdrosnej Rahmet.

Sprawdził pracę ludzi, popatrzył w chmurne niebo, wydał rozkazy, po czym zawrócił do kajuty, by odpocząć po nagłym wysiłku.

I znowu spotkał Porębiankę.

•— Czemuś, waćpanna, taka smutna? •—• zagadnął.

Zapatrzyła się gdzieś w dal i odpowiedziała po namyśle:

•— W służbie u pani Rahmet nie było mi wesoło. Ale przywykłam. A ninie, gdym oswobodzona, nie potrafię również być rada. Dziwne, prawda? Ogarnia mnie jeno coraz większa niecierpliwość. Prawie nic nie pamiętam z Polski. Gdy pomyślę, że kędyś chyba żyją moi rodzice, może rodzeństwo, że zapomniałam ich, nie znam, robi mi się niespokojnie i smutno. Pragnienie powrotu miesza się we mnie z jakąś niepojętą trwogą.

•— Jakaś ty mądra, pani! — podziwiał szczerze.

Zobaczywszy swoje towarzyski, spacerujące nie opodal z wielbicielami, rzekła melancholijnie:

•— Jakież to miłe, że wolno tutaj dziewczce rozmawiać z obcym mężczyzną! I mnie z waćpanem...

— Miłe to waćpannie?

— Tak — odparła śmiało, bez zmieszania.

..__ Ach, jakim rad! Jaki szczęśliw!

Dooiero ten okrzyk wprowadził ją w zakłopotanie. Zarumieniła się odwróciła głowę. On natomiast nie mógł oderwać od niej wzroku' tak była piękna i tak potrzebował jej widoku, stęskniony, gdy choć przez chwilę nie była przy nim.

..__ Znam jeno swoje nazwisko, imię i liczbę lat, bo tego mnie snadź kiedyś nauczono — rzekła znowu. — Jakże ja w Polsce odnajdę kogoś? Do kogo wrócę?

Chwycił ją za rękę mimowolnym, serdecznym gestem.

__ Pomogę waćpannie we wszystkim! Całą Rzeczpospolitą przemierzemy wzdłuż i wszerz, urzędy wszelkie nawiedzimy, rozpy-tamy ludzi. Nie jesteś waćpanna sama, jako potąd między bisur-manami. Jesteś wśród swoich. Nikomu nie damy zginać!

__ A jeśli nie znajduję rodziny? •— spytała żałośnie.

Długo nie mógł wymyślić odpowiedzi. Począł całować jej dłoń, której mu dotąd nie wyrwała. Ale była równie zdumiona, jak niegdyś Alima pocałunkami Stefana.

..__ Co waćpan czynisz?

— Jeśli nie odnajdziesz swoich bliskich, to pozwól mnie być bliskim! •— mówił z przejęciem. — Miłuję waćpannę od pierwszego wejrzenia! I wierz mi: od razu powzięłem zamiar odbicia okrętu i uwolnienia ciebie. Miłuję waćpannę i pytam: zali zechcesz mnie posłubić, gdy wyjdziemy z tej matni?

Wpatrzyła mu się w oczy i odparła poważnie: •— Tak... Ale gdybym się okazała sierotą? •—

Tym więcej bym, cię miłował! •— wykrzyknął. —• A jeśli uboga? Jeśli nie szlachcianka?

— Na nic rni twoje herby! Ciebie mi trzeba, serca twojego! Bogactwo na tym statku mamy.

To wszystko nasze wspólne, bośmy razem wywalczyli. Cóż zresztą bogactwa, cóż herby?

Przekonałem się w życiu, w srogich szkołach wojny i niewoli, że jeno bogactwo i szlachectwo duszy jest ważne.

Jakże cieszyłby się arianin Satanowski, gdyby to słyszał!

Po tym oświadczeniu długo stali bez słowa, patrząc sobie w oczy i trzymając się za ręce, zasłonięci przed wzrokiem ciekawych skrzyniami po Kassimowych towarach.

—: A skąd waćpanna znasz tak dobrze mowę polską? — spytał. - W domu kadiego było sporo Polaków — odparła. — Jak jeno sięgnę pamięcią w tył, opiekowała się mną mieszcza z Lublina, zacna Aniela Krukowa (Panie, świeć nad jej duszą!). Ona to uczyła mnie wiary katolickiej i mowy ojczystej. Rozmawialiśmy z sobą jedynie po polsku. Bez niej nic bym o Polsce nie wiedziała. Ani ja, ani Kasia Żemajtis, która, lubo Litwinka, nie umie po litewsku, bo Aniela nie władała tym językiem.

— A nie pomnisz, pani, jakieś dostała się do seraju Issufa?

— Nie. Ale mówiono mi, że na rynku niewolników w Stambule kupiona razem z Kasią Żemajtis.

— A skąd ona wie, jak się nazywa?

— Imię swoje znała. Nazwisko Żemajtis nadała jej Aniela na pamiątkę pewnego Litwina, który pomarł niewolnikiem Issufa. Jeżeli waćpan ciekaw, to i o drugich opowiem.

— Rad bym bezustannie słuchać głosu waćpanny! — zawołał.

•— Anna von Adlerhorst to hrabianka austriacka. Przed ośmioma laty płynęła okrętem z Włoch do Hiszpanii. Napadli piraci. Wuj, z którym podróżowała, zginął w walce z nimi. W Aleksandrii kupił ją Issuf. Miała dziesięć lat. Ona wszystko pamięta. Obie Małgorzaty Wenecjanki, córki bogatych kupców, także przez piratów porwane. Ale za ledwie przed kilką lat.

— Bogate panny, a nie zostały wykupione przez rodziny...

— A któż by o nas wiedział? Issuf kadim bywał w zapadłych sandżakach, dokąd ani komisarze, ani ojcowie trynitariusze nie docierają z wykupem... Dola tych trzech dziewcząt gorsza była niż moja czy Kasi Żemajtis. My nic nie pamiętamy z dzieciństwa, za nikim nie tęsknimy. One natomiast ile łez wylały? Ile daremnych błagań o wolność zanosily do pana sędziego! •

Katarzyna jakby się raptem spostrzegła: wysunęła dłonie z rąk Marka. Ale nie odeszła, tylko stała nadal przed nim, to podnosząc nań oczy, to spuszczać je w dół.

— Oboje nie mamy rodziców koło siebie, a może i w ogóle — przemówił z patosem. — Przeto niebo i morze nam zaświadczą! Proszę waćpannę o rękę, a kiedyś i przed rodzicami twoimi z tą prośbą przykleknę. Odpowiedz mi, nie zwlekaj, bo może nigdy do żadnego nie zawiniemy portu. Zali miłujesz mnie i poślubisz?

— Tak — odparła bez wahania. — Chcę być waćpanowa na wieki, tak mi dopomóż Bóg!

— Nie opuszczę cię aż do śmierci! •— rzekł Marek.

Wzięli się znów za ręce i długo, długo patrzyli sobie w oczy, przejęci tymi dziwnymi zaślubinami wśród niebezpieczeństw, gdy nie znali dnia ani godziny... Wiatr muskał im rozplomienione twarze, rozwiewał włosy, przygrywał na linach i żaglach, niósł z morza szum, a z całej nawy — ochocze głosy załogi.

Posłyszeli nagle donośny głos z „bocianiego gniazda”:

— Ziemia! Ziemia! Wyspy!

Rozłączyli dłonie, albowiem nadszedł uczony Metaxas.

— Przed nami wyspy Strophades, gdzie nabierzemy wody pitnej. — oznajmił. — Na jednej z nich jest klasztor Sw. Bazylego. Tam naprawimy galerę, sporządzimy nowy grotmaszt.

Jakimowski rozkazał zawinąć do tej wyspy. Zanim to uczynili, otoczyła ich flotylla uzbrojonych stateczków weneckich, albowiem Strophades, czyli Strivali, należały do Rzeczypospolitej Weneckiej. Dopiero w porcie komendant załogi, który mniemał zrazu, że przychwycił galerę turecką, przekonał się, z kim ma do czynienia. Rozgłos wyczynu mężnych zbiegów lotem błyskawicy obiegnął wyspy Strivali.

Tutaj ludzie z „Ak-Kalkan” dowiedzieli się, że Turek ukończył wojny z Polską, Persją i Wenecją oraz że w środkowej Europie dalej trwa zawierucha wojenna, rozpoczęta w 1618 roku, a więc osiem lat temu.

Niebawem i zakonnicy z klasztoru Sw. Bazylego przybiegli do przystani. Otrzymawszy od przybyszów sówitą jałmużnę, pospołu z żołdatami wzięli się do naprawy uszkodzonej „Ak-Kałkan”, tak że po kilku dniach była gotowa do pławby. Albowiem rzemieślników na wyspach było sporo, nawet w klasztorze, a grotmaszt bazyliananie mieli już gotowy. Gdy przybysze dziwili się temu, zakonnicy pokazali im na płaskim wybrzeżu skalnym opodal przystani szczątki rozbitej galery. Stąd pochodził i ów grotmaszt, dziwnym trafem, •— nie uszkodzony.

Jak zwykle, Metaxas służył za tłumacza.

A oto co o roztrzaskanej galerze opowiadał jeden z zakonników: • Kilka dni temu burza wyrzuciła na brzeg te szczątki. Z ludź- i nie wiadomo, co się stało. Rybacy, którzy się tu zapuszczają innych wysp, sądzą, że galera ta została niedaleko stąd zaata[owana przez piratów Pabla Jarrany. Grasuje on bowiem teraz tych wodach. Dwie niedziele temu najechał też naszą wyspę, spustoszył osady, spenetrował nasz klasztor, zanim się żołnierze spostrzegli. Dlatego ninie flotylla i załoga tak czujne... Klasztoru Jarrana nie obrabował, bo nic cennego nie mamy. Ale porwał dwu uczonych braci: Teofila i Konstantego, którzy jakowąś tajemnicę wyspy Lios badali, a których sługa klasztorny zdradził.

— Zali to imiona zakonne? — spytał Jakimowski. — Jak ci bracia zowią się naprawdę?

—• Brat Teofil to Filon Yenelos, a brat Konstanty nazywa się Cyryl Aronassis — brzmiała odpowiedź.

Nabrawszy wody do picia „Ak-Kałkan” poszła w morze, zostawiając za sobą białą skibę piany. Wnet wybiła się na pełny szor.

Do kajuty Marka zaszła niespodziewanie Porębianka. Nagłym ruchem wysunęła zza siebie rękę z płatem barwnej materii. Jakimowski aż krzyknął ze zdumienia. Powiewała bowiem polską banderą morską z Orłem Białym, którą sporządziła podczas pławby i postoju. Chwycił pannę w objęcia i jał gorąco całować.

Naprawienie statku, pomyślność pławu, dobra pogoda, widok Orła Białego — to wszystko ogromnie rozochociło zbiegów. Na wniosek Polaków, stanowiących większość załogi, wciągnęli na ' maszt polską banderę Porębianki, przepominając korzyści z tureckiej, galere zaś z „Ak-Kałkan” przemianowali na „Białą Tarczę” i.

•— Popłyniem do Italii jako bosmani miłościwie nam panującego Zygmunta III, króla Polski i wielkiego księcia Litwy — przemówił Marek. •— Serenissimus Sigismundus Tertius vivat2!

— Vivat! — zagrzmiało.

Ten potężny okrzyk po trzykroć uderzył w niebo, potoczył się po morzu niby huk armat, a po nim rozebrzmiały dalsze:

— Vivat Kespublica Polona s!

— Vivat! Vivat! Vivat!

Satanowski zaintonował pieśń pławaczów, znaną wszystkim:

Czuj-duch! Hej, bosmani! Wróg lonty zażega I z armat czterdziestu daleko od brzegu Zaprasza w tan!

1 Biała Tarcza po turecku „Ak-Kałkan”.

2 Serenissimus Sigismundus Tertius vivat (łac.) — najjaśniejszy Trzeci niech żyje.

3 Vivat Respublica Polona (łac.) — niech żyje Rzeczpospolita Polska.

Polaków ogarnęło uniesienie. Chcieli bić z dział. Płakali i tańczyli. Jakby minęło już niebezpieczeństwo, jakby zmiana bandery równała się opiece potężnego monarchy polskiego...

Stołczyzna już biegł z puszkarzami do dział, by wypalić na wiwat, gdy Marek, czujny jak żuraw, baczny, huknął:

— Stój! Nie możemy w jednej chwili uniesienia narażać całego dzieła, z takim wysiłkiem i chwałą naszą dokonanego. Huk armat mógłby ściągnąć na nas wielkie niebezpieczeństwo.

Jan rwał się jeszcze, dąsał, ale w końcu musiał ustąpić. Jakimowski zebrał na pokładzie wszystkich, po czym wyszedł do nich nie sam, lecz z Katarzyną Porębianką.

— Bracia! — przemówił. — Wybiwszy się na daleki wart morski, wyprawimy wielką ucztę. Albowiem dziś zaręczam się z jejmością panną Katarzyną Porębianką, która przyjęła moje oświadczenia i ma ostać moją żoną. Poślubimy się w Palermo, dokąd postanowiona pławba nasza. Zapraszam wszystkich na ona biesiadę.

— Vivat sponsi! Niech żyją narzeczem!

— Vivat! Vivat! Vivat!

Po długich latach śmiertelnego smutku łatwo było o wesele.

— Wystawić na pokładzie stoły! Wytoczyć bodnie z winem i piwem! Wynieść jadło z kambuza! Wiwat załoga „Białej Tarczy”! A ninie rozejść się, bracia! O zmierzchu zaczynamy!

Na uboczu Marek rzekł uradowany do druhów:

— Pogoda dobra, rześka, dość ciepło. Noc będzie prawdopodobnie bezchmurna, księżycowa i gwiazdzista.

Nie odpowiedzieli. Nie dla nich, zawiedzionych, było wesele.

Marek został na pokładzie, a oni dwaj zeszli do kajuty. Stefan pykał fajkę siedząc na zydlu. Jan przechadzał się od drzwi do bu-laju i wyglądał na wodę uciekającą spod „Białej Tarczy”.

— Wobec Markowego szczęścia nie mogę opanować własnej zgryzoty — ozwał się nagle Satanowski. — Doświadczyliśmy obaj, ja i ty, podobnego losu: ty na jednym krańcu świata, ja na drugim. Pogwałcono nasze serca, serce Alimy. Ja, mężczyzna, dam sobie jakoś radę. Mam przed sobą wojaczkę, łowy, trunek, żeglugę, bodaj pławbę do Nowego Świata, kędy w puszczech osady zakładają ci, którym w Starym Świecie źle. A ona, nieboga? Boże! jako ten ptak skuty, z rozdartym sercem, w złoconej klatce osa dzon, jako ten galernik, wiosłujący pod nieprzewyciężony prąd i widzący jeno tyle, co przez bulaj... Tom ja jej ukazał rozległe widnokregi, a potem wtrącił do kleci! Jam ją uczynił nieszczęśliwą! Gdyby nie ja, nie umiałaby pragnąć czego innego poza haremem... — Ilekroć rozważam swoje nieszczęście — rzekł Stołczyzna —

nienawidzę Marka, że z krzywdzicielskiego stanu, że brat tej, która mnie haniebnie zdradziła, że syn tego, który mnie tak upokorzył. Gdy myślę o ładzie ludzkim, nienawidzę całego świata. A przecie muszę w nim żyć!

— Jakże w humorach wisielczych pójdziem biesiadować, pić za sprawy, które rozjątrząją nasze rany?

Stołczyzna podszedł nagle do drzwi i rzekł:

— Od medytacji we łbie mi huczy. Idę na pokład.

— Ja zostanę tu jeszcze — odparł Satanowski.

Znowu w samotności przeżywał swój ból, a jeszcze więcej — mniemany ból utraconej Alimy. Poczucie bezsilności dopełniało kielicha goryczy. Gdyby wiedział, że ona pogodziła się z losem, że wróci do dawnej beztroski, byłoby mu lżej.

Ciemniało z wolna i ozłoczone słońcem bulą je szarzały...

Myślami był u balkonu Alimy, w cudnym ogrodzie Dar-el--Amirun na zielonym brzegu Menzaleh. To prawdziwy „dom niewoli”. Więził nawet jeszcze jego myśli, gdy ciało wyгнаły precz najdziwniejsze losy. I czy więzić kiedy przestanie? Czy nastąpi taka chwila, że Stefan nie zatęskni już do owego „domu niewoli”? Długo wpatrywał się w miraż dalekiego, raz na zawsze minionego Dar-el-Amirun —••• Domu Księcia, którego progi za wysokie dla przybłądy — „domu niewoli”, którego balkony spowite bluszczem, ustrojone szatą Alimy, nigdy nie znikną spod powiek, jak nie wygaśnie ów przejmujący obraz okienka wieży, zasnutego błękitem...

„Biała Tarcza” zatrzymała się nagle, targnęła, jakby osiadła na mięliźnie.

„Strąduje" i — pomyślał Stefan i wybiegł na pokład, ażeby galera wparła się, na szczęście niegroźnie, dziobem w mie-Ilisko nieznanego brzegu, częściowo oświetlonego przez za-żące słońce. Każda silniejsza fala mogła ją z uwięzi wyzwolić.

Strąduje — osiada na mieliźnie.

Tak się też stało. Rzucono kotwicę, aby utrzymać się w tym miejscu: u wybrzeża jakiejś wysepki.

Instrumenty pomiarowe wykazały, że „Biała Tarcza" znajduje się o jakieś dwadzieścia mil morskich na północny wschód od wysp Strophades. Mapy nie ujawniały tu nawet najmniejszego lądu. Wprawdzie opodal wyspy Zakynthos istniało wiele Strophades, skalistych, rafowych wysepek, ale ta, do której dobił okręt, była nie znana. W ukośnym świetle gasnącego dnia wydawała się raczej ogromną skałą, sterczącą z morza, niż wyspą. Na oko miała najwyżej do dziesięciu mórg powierzchni.

Dłuższy czas z dala obserwowali tajemniczą wysepkę.

— Dziękować Bogu, żeśmy jeno dziobem trochę w piasek zaryli — rzekł Jakimowski. — Mogliśmy bowiem nadzieć się na jeden z tych skalnych ostrogów niby na rożen. Wysepka wygląda na bezludną. Spenetrujemy ją! Hej! Spuścić szalupę! Satanowski, Stołczyzna, Tagliani, Castleborough, Rowiński i Ostrowski pójdą ze mną. Trzeba ostrożnie, bo może być zasadzka.

Wysepka była prawie naga. Gdzieniedzie tylko załomy skał porosły mchem. Ani śladu człowieka. Wysepka miała kilka głębokich zatok, wrzynających się w nią daleko, tak iż wyglądała niby palczasta ogromna dłoń, wystająca z morza. Jedna z zatok, kolistą, zamkniętą była przylądkiem w kształcie sierpa.

— Tu stanie galera — postanowił Jakimowski. — Woda w zatoce głęboka. Będziemy ze wszech stron osłonięci skałami.

„Biała Tarcza", przycumowana do iglic skalnych w owej kolistej zatoce, stała jakby w atolu, a raczej jakby w okrągłej sali bez sklepienia, otoczonej prostopadłą ścianą, w której była tylko wąska szczelina; do wjazdu i wyjazdu.

— Tutaj sprawimy ucztę — rzekł Jakimowski. — Nikt nas nie dostrzeże w tym zaciszu. Będziem jako w komnacie 1.

Wkrótce rozpoczęły się najdziwniejsze w świecie zrękowiny.

Satanowski nie mógł sobie odmówić spojrzenia na statek z góry — ze szczytu wysokiej ściany skalnej. Wdrapał się tam.

W dole, na ciemnej tafli wody odbijającej gwiazdy, świeciła „Biała Tarcza". Płonęły na niej pochodnie i owa turecka latarnia. Światła przeglądały się w wodzie, migotały na skałach, pogłębiając cienie w załomach. Na niebo wtaczał się właśnie księżyc.

„Pięknie! — pomyślał Stefan. — »Biała Tarcza« wygląda niby okręt piratów". Zwrócił się twarzą ku południowemu wschodowi. Tani gdzieś, kilkaset mil morskich stąd, był Dar-el-Amirun i Ali-ma.

Noc pogodna i ciepła przywiodła Stefanowi na myśl Polskę, gdzie zapewne trwa zima i szaruga jesienna, może przymrozki, może mrozy i śnieżyce. Tu — pogoda jakby wrześnieowa.

Wrócił na galere.

Ustawione wzdłuż pokładu stoły z desek opartych na skrzyniach i bodniach ugiwały się od jadła i trunków. Załoga odziana była odświętnie w uniformy bosmańskie i ubiory cywilne, znalezione w szatniach, składach a skrzyniach z towarami: jedni w kapeluszach z piórami, inni w turbanach. Rahmet, oczywista, nie było między biesiadnikami usadowionymi na ławach, zydlach, skrzyniach. Ale panny, przybrane najstrojniej, jak mogły, błyszczały wśród ciżby niczym gwiazdy.

Katarzyna Porębianka w błękitnej sukni aksamitnej siedziała obok Jakimowskiego, który miał na sobie czarny ubiór i kapelusz z piórami. Przy śniadej cerze, kruczonych włosach i ostrych

rysach twarzy, oświetlony migotliwymi blaskami pochodni, wyglądał groźnie, lecz pięknie. Dalej siedziały inne pary, również skojarzone afektem. A więc rudowłosa, barczysty Harold of Castelborough z czarnowłosą, smukłą Małgorzatą Passini. A więc atletyczny Jan Ostrowski z hożą Katarzyną Żemajtis. Aż i dwoje Włochów: Beni-to Tagliani z Małgorzatą Acanti. Aż i wreszcie ruda anielica, Anna von Adlerhorst, z groźnym Grekiem Leandrem Katalesem, o twarzy pokrytej bliznami od walk na wojnie i od pojedynków.

Wielu z zazdrością spoglądało na szczęśliwe pary. Panny miały tuziny wielbicieli, którzy musieli ustąpić wybrańcom losu.

Osobno siedział Satanowski z lirą opartą o stół. Zajął miejsce w cieniu, by nie widziano jego lic, nie pasujących do uczy.

Jakimowski wstał, ruchem ręki uciszył gwary i przemówił:

— Bracia! Nie tylko jejmość panna Porębianka i ja święcimy zrękowiny, ale i cztery inne pary, które zadeklarowały sobie mi-ioso dozgonną. Los pozbawił nas rodzin, was przeto mamy za rodzinę i waszego prosimy błogosławieństwa. A domem naszym we-elnym ta oto galera, na której cierpieliśmy i wywalczyliśmy bie drogę do szczęścia. Wiele było w złe lata niesnasek między bośmy byli zrozpaczeni, nieszczęśliwi, a więc skłonni do waśni. Zapomnijmy je! Przecie braćmi związanymi krwią jesteśmy! Pamiętajmy o sobie, kędykolwiek będziemy! Jedni do Polski wrócą, drudzy do Moskwy, trzeci do Grecji, inni do Albionu czy Italii. Ale styczość a pobratymstwo z sobą utrzymujemy bodaj przez góry, rzeki, morza, bodaj mimo wrogości naszych narodów, jeśli takowa nastanie! Przekonaliśmy się tutaj, w cierpieniu i walce, że nie nacja, nie stan, nie urodzenie stanowią o człowieku, jeno jego dusza, zła czy dobra, jego rozum. Ponieśmy to przekonanie w świat, uczmy go innych! Przysięgnijmy sobie, że bez względu na to, skąd więdziemy swój ród, i czy nasze królestwa wojna rozdzieli, my zawsze braćmi ostaniemy i będziemy pomagać sobie wzajem!

— Przysięgamy! — ozwał się potężny chór głosów.

—• Niebezpieczeństwo jeszcze trwa — ciągnął Jakimowski. — Ale z najgorszego wrzątku jużeśmy się salwowali. Z Palermo każdy pójdzie dalej swoją drogą. Wielka będzie chwila rozstania. Niejedna dusza zapłacze przy rozłące — umilkł wzruszony.

Dość długo wszyscy milczeli.

—• Zdrowie narzeczonych! — zawołał ktoś wielkim głosem.

— Zdrowie! •— zawtórowało dwieście kilkadziesiąt gardeł i tysięczne echo wśród skał.

— Zdrowie wasze, bracia! Toasty były coraz gorętsze.

— Pierwsza to wspólna biesiada nasza i bodaj nie ostatnia — wołał Marek. — Czujemy w sercach szczęście wolności!

Stołczyzna wstał i dał znak, że chce mówić.

— Na statku naszym, który winien zwać się „Galera Wolności”, nie wszyscy są wolni. Pod pokładem jęczy dwudziestu dwu Turków. Zali godzi się w czas wesela słuchać jęku nieszczęśliwych?

Różne padały zdania. Ale oglądano się na Jakimowskiego. Ten rozważał projekt Jana, wahał się, jak zwykle przed powzięciem decyzji, która potem bywała już nieodwołalna. Ale gdy nachyliła się doń narzeczona i szepnęła coś, wysłał pod pokład kilku biesiadników pod komendą Stołczyny.

— Rozkuć Turków! Niech się ochędożą a przebiorą w czysty przyodziewek i niech uczują wraz z nami!

Turcy nadeszli, gdy się biesiadnikom już ze łbów kurzyło. Przyjęci braterskimi uściskami, nie zważając na religijne zakazy, sami wzięli się za kielichy. Jakimowski, który dziś gotów był świat przygarnąć, zapowiedział rozczulonym bisurmanom:

.. Płyniem do Włoch. Tam zostaniecie zwolnieni.

Ponieważ zanosiło się na pijatykę i mogło dojść do nieprzystojnych rzeczy, Marek odesłał panny do kajut.

... Wielkie mam włości w północnej Anglii — mówił żargonem uplecionym z angielszczyzny, wyrazów polskich i innych, Harold of Castleborough. — Zapraszam was wszystkich, bracia! Jestem katolik, bo u nas, na północy Anglii, jeszcze Kościół Rzymski panuje. Wojuję ja z prezbiterianami, episkopalistami, anglikanami... Wy płynąłem, pomnę, roku Pańskiego 1620 z Marsylii do Ziemi Świętej, a tu piraci statek opadli i zdobyli: Pablo Jarrana. Ten sprzedał nas piratom algierskim, a oni odprzedali Kassim-begowi. Matka mnie w Castleborough czeka, ojciec, bracia i siostry. Myślę, że zginął... — roztkliwił się, zachlipał. — Ja, Dopulos, Metaxas i Tagliani byliśmy żeglarzami w służbie wicekróla Sycylii — podjął opowiadanie Leander Katales. — Me-taxas, uczony, do galioty naszej był przydany dla jakowychś eksperymentów... Stoczyliśmy krwawą bitwę z bisurmanami nieopodal Kandii. Zatopiliśmy z tuzin galer tureckich. Ale w końcu sami, straciwszy flotyllę, popadliśmy w niewolę: całe załogi. Nas czterech kupił Kassim-beg na rynku niewolników w Damiacie. —•• Ja byłem rzeźnikiem i kucharzem na statku króla Anglii Jakuba I — opowiadał Winston Crow. — Zbuntowałem załogę (Panie Boże, odpuść nam nasze winy!). Powiesiliśmy kapitana i szypra. Sarni nie umieliśmy należycie nawy prowadzić, a zachciało nam się pirackiego chleba... Wedle Gibraltaru marokańscy piraci dali nam łupnia, że dopiero na rynku niewolników w Stambule wylądował.

I tak, popijając, opowiadali swe dzieje •— jedni po raz pierwszy, inni już się niegdyś najbliższym druhom zwierzali.

Aż i do śpiewów doszło. Aż i za Satanowskim się obejrzano, by graniem na lirze usświetlił pierwsze, od lat wesele.

e ni jego, ni Jana przy stole już nie było. Nie mogli bowiem coraz huczniejszej zabawy. Wspięli się więc na skały i pa-^y i w czarne morze, przysrebrzone światłem księżyca, na zatokę 1 „Białą Tarczę”, słuchali szumu wód i hałasu uczy.

góry okrągła, wysoka stromizna przyładka wyglądała niby ściana kotła, na którego dnie falowała woda i kołysała się nawa.

Posłyszeli nagle plusk głośniejszy od szumu i poza przyładkiem okalającym zatokę ujrzeli dwu ludzi w czółnie.

Łódź przybiła do skał. Ale siedzący w niej ludzie trzymali się rękami wystających głazów. Po chwilowym milczeniu jęli rozmawiać i wskazywać stronę, z której dobiegał hałas biesiady. Jan i Stefan podeszli przybyszów cichaczem i skoczyli na nich jak żbiki. Zabrzmiał krzyk, odgłosy szamotania, łódź oderwała się od skał, rozkołysała, omal nie wywróciła. Silne łapy bosmanów zatkały wrzeszczące gęby, wprowadziły łódź do okrągłej zatoki, między 'burtę galery a ścianę skalną.

Jakież było zdumienie biesiadników, gdy ujrzeli dwu nędzarzy przywleczonych przed stoły! Nastąpiła nagle cisza. Stołczyna i Sata-nowski opowiedzieli całe zdarzenie.

Jeden z pojmańców był trzydziestoletnim mężem w ubiorze rybackim, drugi, znacznie starszy, miał na sobie strzępy mniszego habitu. Zaczęli coś gorączkowo mówić.

— Ja z nimi porozmawiam — rzekł Metaxas. — To Grecy... — zwrócił się do pojmańców:

— Nie lękajcie się! Nie jesteście ani w rękach tureckich, ani pirackich.

— O, Bogu chwała! — zawołał człowiek w habicie. —• Ktoście wy?

— Jam Teofil, zakonnik z niedalekiej wyspy.

Zdumienie ogarnęło wszystkich, gdy Metaxas przetłumaczył odpowiedź mnicha, bo przecie bazylianin wymienili w rozmowie to imię, jako imię jednego z dwu porwanych przez Jarranę braci.

•—• A jak zowiesz się z domu? —• próbował go Metaxas.

— Filon Yenelos.

—• Przebóg! Co z wami? Porwał was, wiemy, Jarrana. Metaxas opowiedział mnichowi o pobycie załogi w klasztorze św. Bazylego na wyspie.

— Mnie i brata Konstantego, czyli Cyryla Aronassisa, porwali piraci — mówił bazylianin. — Ja, jak wiecie, znam pewną tajemnicę. I brat Konstanty także. Jarrana wywiózł nas na wyspę Lios i tam, wymuszając z Konstantego mękami ona tajemnicę, zamordował go. I mnie by taki los nie minął, gdyby nie ten oto rybak, poczciwy Leonidas. Uwolnił mnie on z więzów i obaj umknęliśmy.

Leonidas, złożony ręce modlitewnie, wołał przejmująco:

— Dostojni panowie! Ratujcie! Piraci szaleją na Lios, porywają ludzi! Ratujcie bodaj resztki ludzi i dobra! Ratujcie!

Jakimowski rozejrzał się po towarzyszach i zapytał:

— Co czynim, bracia? Zali ostawim niewinnych bez pomocy?

— Uderzym na piratów i zniesieni ich! — zakrzyknięto: Wszyscy wyrazili podobną ochotę, nawet Turcy.

— Wobec tego koniec uczy! — ogłosił Jakimowski. — Przed tak ważną imprezą nie możemy więcej trunków zażywać. Powetu-jem sobie kiedy indziej. Zrękowiny nasze były prawdziwie żołnierskie: na galerze wojennej i larum je kończy bojowe. Pobiwszy Jarraną, bez przeszkód popłyniem na Sycylię, do Palermo.

Potem przez Metaxasa jako tłumacza pytał zbiegów: .— Jak wielka jest wyspa Lios?

— Ma piętnaście wiorst długości i dziesięć szerokości.

— Do kogo należy wyspa?

— Do Rzeczypospolitej Weneckiej.

— Jakimi siłami rozporządza Pablo Jarrana?

— Do czterechset piratów — odparł Leonidas. — Mają galerę, kilkadziesiąt na niej dział, dwa szeregi pojazd, ostrogi w przedzie do dziurawienia okrętów nieprzyjacielskich, pomosty abordażowe, kosz masztowy dla wyborowych strzelców, kasztele. Ich galera większa od waszej, bo wasza chyba turecka, tamta zaś taka, jakie w Hiszpanii czy Francji budują.

— A skądże ty takowe masz rozeznanie w żeglarstwie?

— My ludzie morza tak samo, jak pławacze. i— Jakże on Jarrana wygląda?

— No, taki słuszny, jako wielmożny pan kapitan, i w jego le-ciech — określił Leonidas przyjrząwszy się Jakimowskiemu. •—• Czarny, krogulczy niby sęp. W czerwonej chuście na łbie, ujętej w brylantową spinkę na karku, w czarnych wąskich spodniach, wpuszczanych w buty z cholewami, w kamizeli czarnej na białej koszuli, w prawym uchu złoty kolczyk. Od razu go poznać w gromadzie.

po krótkiej naradzie załogi „Biała Tarcza” poszła w morze.

kapitańskiej ojciec Teofil przez Metaxasa opowiadał Jimowskiemu i jego druhom:

Ja i brat Konstanty, zajmując się naukami, odkryliśmy pe wne zapomniane zdarzenie z dawnych czasów. Otóż, jak wiadomo, w roku 1453 sułtan turecki Mahomet II podbił do reszty Cesarstwo Bizantyjskie, zdobywając Konstantynopol i zmieniając go w stolicę ottomańską pod nazwą Stambuł. W samym Konstantynopolu żył pod opieką ostatniego cesarza bizantyńskiego, Konstantyna XI, groźny dla Mahometa pretendent do korony sułtańskiej, książę Urchan, zbiegły z Turcji, Gromadził on wielkie bogactwa, by skuteczniej ubiegać się o tron. Gdy armia turecka gotowała najazd na Konstantynopol, ukrył część onych skarbów na wyspie Lios... Świętej pamięci brat Konstanty wyznał na torturach coś z tajemnicy... Skarb Uruchana, ukryty na Lios, został przedtem zrabowany podczas bitwy pod Warną w 1444 roku królowi polskiemu i węgierskiemu Władysławowi, co tamże poległ.

— Nie do wiary!

•— Ja i brat Konstanty odczytaliśmy stare dokumenta, mapy i plany, z których wywnioskowaliśmy miejsce, kędy on skarb ukryty. Postanowiliśmy go odzyskać i przeznaczyć na wykupno jeńców z niewoli pogańskiej. Nędzny pacholek, któremu ufnie powierzyliśmy część tajemnicy, zdradził nas: gdy piraci najechali naszą wyspę klasztorną, wyjawiał im sekret. Zostaliśmy wraz z dokumentami zabrani na okręt piracki. Najważniejszy

papier, plan miejsca skarbu, zdołałem ukryć przed łotrami. A potem, na wyspie Lios, wsunąłem go niepostrzeżenie, nawet dla brata Konstantego, między kamienie. Bez tego planu nikt nie odnajdzie skarbu. Jeśli go odzyskamy, niechaj połowa bogactwa przypadnie wam, szlachetni pławacze, a druga niechaj służy redempcji.

•— Uchowaj Bóg, byśmy mieli brać pieniądze przeznaczone najnieszczęśliwszym z nieszczęśliwych! — zachnął się Jakirnowski.

O. Teofil wznosił nad pławaczami ręce i rzekł:

•— Zasługujecie na łaskę bożą i szczęście w życiu.

Wśród załogi panowało podniecenie zamierzoną walką z Jarraną, który budził postrach na wodach i wybrzeżach Południa. A najbardziej rozgrzany myślą o śmiertelnym starciu ze sławnym rozbójnikiem był Jakimowski.

Niebawem niebo na wschodzie pojaśniało, przygasły gwiazdy, zbladł księżyc... Światło...

Do Jakimowskiego zwrócił się Metaxas, wskazując ręką bardzo daleki brzeg wyspy, poznaczony ognistymi plamami pożarów.

— ' Leonidas powiada, że to Lios.

Jakimowski zarządził wzmożenie pogotowia. Nabite działa czekały na rozkaz ogniowy. W szkłe lunety ukazał się daleki statek Jarrany, przycumowany do brzegu oświetlonej pożarami wyspy Lios.

. — Spuścić szalupy na wodę! — rozkazał kapitan.

Szalupy zapełnili wybrani na ochotnika ludzie, tego zbrojni w nową, wziętą ze zbrojowni okrętowej broń. Razem bez 'mała secina chwatów. Na jednej z szalup umieszczono nawet falkonet i garłacz nabijany siekańcami.

— Stefanie! — rzekł Jakimowski do Satanowskiego. — Powtarzam: okrążycie Lios od południa tak, aby was piraci nie postrze-gli, i od zachodu wdrzecie się na wyspę. Potem będziecie maszerować do przystani północnej, w której stoi galera piratów. Weźmiemy ją w dwa ognie: my z morza, wy z lądu. Marsz w imię Boże! Ostrożnie! Jeno zaskoczeniem można ich pokonać.

Długo potem przyglądał się odpływającym szalupom, aż znik-nęły mu z oczu, a nawet z okienka lunety.

— • Za bardzo okrzyczany ów Pablo Jarraną — • rzekł do otoczenia. — Już powinien nas dostrzec, gdyby dobrym był graczem.

— I próbować zająć nam od burty — potwierdził Stołczyzna.

— Mniema, że mu tu nic nie grozi — • dodał Metaxas.

— Jakimowski przezorniejszy — rzekł Marek z przechwałką. Cofnęli się, tak że z „bocianiego gniazda" widać było teraz tylko wierzchołki masztów na statku Jarrany.

Niecierpliwie czekali, z największym trudem utrzymując „Białą Tarczę" na miejscu, a to przez ustawiczne zmiany nastawienia żagli i odpowiednie wiosłowanie. Kotwica tu bowiem nie sięgała dna.

- — Satanowski już chyba u celu — rzekł wreszcie Marek, przyłożył blaszaną tubę do ust i zawołał: — Wszystkimi żaglami i pojazdami naprzód! Obsługa do dział!

>„Biała Tarcza" pomknęła ku wyspie Lios. Kilwater l za nią pie-się coraz bardziej. Galera przy pomyślnym wietrze nabrała tak 2lkiej szybkości, iż zdawało się, że objęta pożarami Lios pędzi niby czarna chmura burzowa, nabita błyskawicami.

-ł water — ślad płynącego statku na wodzie.

— Zapalić lonty! — rozkazał puszkarzom Stołczyzna.

Piraci już spostrzegli pędzącą na nich galere. Burta ich statku rozkwitała obłoczkami dymu i płomieniami, po czym zagrzmiała salwą armatnią. Jeden z pocisków uszkodził forkasztel „Białej Tarczy".

— Ognia! — skomenderował Stołczyzna.

„Biała Tarcza” również pokryła się chmurą dymu, zatrzęsła i z dziobowej baterii zionęła ognistą ulewą żelaza w szeroki cel: piracką burtę. Grotmaszt statku Jarrany runął jak ścięty na prawą burtę.

— Ognia! — powtórzył Stołczyzna.

Druga bateria przodu, dotąd milcząca, oddała salwę. A jednocześnie na brzegu zagrzecgotały sucho muszkiety, garłacz, falko-net: Satanowski zaatakował piratów z lądu.

— Ster prawo na burt! — rozkazał Jakimowski.

„Biała Tarcza” ciężko obróciła się burtą do galery piratów.

—• Całą burtą ognia!

Dym przysłaniał już obie galery. Pod jego osłoną, mimo ponownej salwy od brzegu, „Biała Tarcza” dobiła do pirata i stanawszy .burta w burtę z nim, zahaczyła go bocznymi ostrogami. Załoga jęła w największym pośpiechu, prażona z muszkietów, przerzucać pomosty abordażowe na galerę przeciwnika. Teraz już grzmiała tylko palba małej broni i ogromny krzyk napastników a obrońców.

Po pomostach ludzie Jakimowskiego wdarli się na pokład pirata. Ktoś z krzykiem runął w wodę, ktoś bez jęku... Z drugiej strony, od nabrzeża wyspy, wtargnęli na okręt Jarrany zuchy Satanowskiego, aż i zebrani w drodze mieszkańcy Lios. Galera piracka przechyliła się na dziób, ugodzona uprzednio pociskami Stołczyzny. Na pochyłym pokładzie wrzała okrutna walka na białą i palną broń. Zaskoczeni piraci nie stawiali zbyt zacieklego oporu.

Reszta pirackiej załogi schroniła się na wysokiej rufie i stamtąd zza parapetów, z kapitańskiej wystawki, z kasztelu prowadziła muszkietowy ostrzał. Na wiodących tam schodach walczone wręcz. Krew zbryzgała pogruchothane działowymi pociskami maszty) parapety, deski pokładu, zwoje lin, beczki, skrzynie. Trupy zalegały wszędzie, jęczeli ranni, rżęzili konający.

Nagle na kasztelu ukazała się biała płachta i jakiś stentorowy głos zagrzmiął po hiszpańsku, potern po grecku i włosku:

.— Podda jem się! Przerwać ogień!

Metaxas podbiegł z zakrwawionym jataganem do Marka.

__ Poddają się — wyjaśnił. — Na cóż oni liczą?

Jakimowski podał gwizdkiem umówiony znak: zwycięzcy skupili się wokół kapitana.

Metaxas wyszedł przed ciżbę i rzekł po hiszpańsku:

__ Niechaj zejdzie do nas Pablo Jarrana!

Cisza. Nie było odpowiedzi z rufy.

__ Nasz kapitan żąda, aby doń zszedł na rozmowę Jarrana!

— Nie masz między nami Pabla Jarrany! — ozwał się wreszcie spod kasztelu wysoki głos.

Wnet zeszli do Metaxasa i Marka dwaj rośli piraci i rzucili im pod nogi na znak poddania swój oręż. Aż i reszta piratów złożyła broń, po czym stawała w szeregu u burty.

— Pablo Jarrana zbiegł — rzekł jeden z piratów. — Poddajem się na łaskę.

- Łaski nie będzie — odparł przez Metaxasa Jakimowski.

Piraci uczynili zamęt, jakby mieli stawić ponowny opór. Ale było już za późno: broń oddaną oddzielił od nich rząd ludzi Jakimowskiego z muszkietami gotowymi do strzału.

Do Marka podbiegł Stołczyzna i pokazał mu coś w górze na wysokim, skalistym brzegu wyspy. Jakimowski podniósł lunetę do oczu: w jej okienku ukazał się wysoki junak w białej koszuli pod czarną kamizelką i w czerwonej chustce na głowie. Oczy wszystkich skierowały się za lunetą Marka.

— Pablo Jarrana! — zakrzyknęli piraci.

Marek bez słowa skoczył ku trapowi przerzuconemu na brzeg, przebył go i po chwili biegł już co tchu po wąskiej ścieżce, wiodącej do urwistej skały, wiszącej nad morzem, na której stał Jarrana. Herszt piratów nie miał już dokąd uchodzić. Zbocza skał rowy się bowiem od mieszkańców wyspy, uzbrojonych w drągi, kije, noże, by pomścić na swym prześladowcy doznane odeń krzywdy. W sukurs Markowi biegli też Jan i Stefan.

dległość między Jakimowskim a Jarrana malała: sto kroków, aemdziesiąt, pięćdziesiąt, dwadzieścia...

iarek wymownymi gestami zatrzymał druhow i Liotańczyków, mających się po zboczu ku szczytowi skały.

— Walcz ze mną! — wezwał po turecku Jarraną uzbrojonego V/ turecki jatagan. — Jeśli mnie pokonasz, odejdiesz wolno.

Jarraną snadź rozumiał język turecki, bo przyjął postawę bojową i wysunął jatagan, w który był uzbrojony. Szczęknęło żelazo.

Ludzie na galerach, w dole na brzegu i na zboczach skał utkwili oczy w niezwykle widowisko. Zdawało się, że cała Lios patrzy na śmiertelną walkę. Z odległości ten straszny pojedynek wyglądał niby zabawa, taniec. Trwał długo, coraz dłużej...

Nieustępliwy dotąd Hiszpan jął ustępować przed ciosami Polaka. Na jego białej koszuli obok kamizelki wykwitła szkarłatna plama. Cofał się aż do krawędzi, za którą ciemniało morze. Świadkowie zamarli. Uczyniła się taka cisza, że daleko od miejsca walki słychać było szczęk żelaza, tupot butów.

Zerwał się nagle z tysiąca piersi krzyk ogromny: Jarraną runął w przepaść. Krótką chwilę spadał w dół niby ogromny czarno-bia-ły orzeł, śmiertelnie ugodzony strzałą, jeszcze krótszą — widniał na wodzie. Aż zniknął.

Jakimowski, pobladły z wysiłku, z czołem uperlonym kroplami potu, ściekającymi po twarzy, chwiał się na nogach i dyszał ciężko. W końcu jął wolno zstępować skalistą ścieżką w dół, podpierając się skrwawioną szablą. Podeszli doń bracia ślubni.

—• Wolałbym... go mieć... wśród swoich druhow... — rzekł przerywanym głosem, łapiąc z trudem powietrze.

Nagle podeszła doń Katarzyna Porębianka. Popatrzyła mu przeciągle w twarz i wybuchła płaczem. Wziął ją czule za rękę.

Na statkach czyniono już porządek, usuwano ślady zniszczeń. Przód pirackiego statku pogrążył się jeszcze bardziej w wodzie. Ludzie Jarrany, skuci, czekali na swój opłakany los. Opatrywano rannych. Kilku zuchów brakowało: ugodzeni, wpadli w wodę i utonęli. Kilku innych zabitych czekało na pogrzeb. Trapy i nabrzeże zalegały gromady mieszkańców Lios. Spod pokładu pirackiej galery wyprowadzono ludzi pojmanych na sprzedaż.

Jak okiem sięgnąć, na wyspie gaszono pożary. Z załomów skał, z jaskiń i innych kryjówek wracali zbiegowie do domów lub zgłiszcz. Tu a tam znoszono ciała pomordowanych wyspiarzy. Gdy na „Białą Tarczę” przybyli dostojnicy wyspy z podzięko waniami, po ceremoniach Jakimowski zażądał rzemieślników do naprawy uszkodzonych w boju galer i znachorów dla rannych.

Po odejściu dostojników, którzy zabrali z sobą skutych piratów, galery ogarnęła cisza. Ludzie legli na zasłużony odpoczynek. Przybyli z wyspy znachorzy i jakiś domorosły medyk zajęli się rannymi. Jęki i okrzyki zmąciły ciszę.

W kajucie Jakimowskiego wrzała narada. Brali w niej udział Jan, Stefan, Metaxas, Tagliani, O. Teofil i Leonidas.

. — Oto plan, o którym mówiłem, a który odnalazłem między skałami — rzekł zakonnik kładąc na stole brudny, częściowo podarty wskutek poniewierki kartelus.

Leonidas, gdy mu objaśniono rysunki i znaki na planie, domyślił się miejsca ukrycia domniemanego skarbu księcia Urchana.

Jakimowski zbudził kilkunastu zaufanych ludzi i kazał im się uzbroić w oręż, siekiery, łopaty, drągi. Gromada pod przewodem Leonidasa udała się z płonącymi pochodniami na poszukiwania. , Prędko doszli na miejsce. Dziwnym trafem znajdowało się ono tu, gdzie Jakimowski stoczył walkę z Jarraną: na ostrogu skalnym, spadającym pionowo w morze. Jarraną może torturami wydobyl wiadomości o skarbie od o. Konstantego i w ostatniej chwili próbował odnalezienia tegoż skarbu, co Jakimowski udaremnił.

Gdy w pewnej chwili o. Teofil pochylił nad ziemią pochodnię, wszyscy ujrzeli wał kamienny wielkości dużego pnia drzewa. Z piersi zakonnika wyrwał się okrzyk triumfu: to był gład, wyznaczony w planie i dokumentach! Wspólnymi siłami odwalono go i oczom wyprawy ukazała się szeroka na trzy stopy szczelina.

Spuszczono w nią na powrozie o. Teofila. Znikł pod pokrywą kamienną, a po chwili ozwało się głucho •— jakby z przestronnego podziemia — nieśmiertelne zawołanie Archimedes, towarzyszące wielkim wysiłkom, uwieńczonym zwycięstwem: - Eureka! I Niebawem zażądał, by go wyciągnąć na powierzchnię. Powróż napiął się niby struna: snadź duży ciężar przymocowano do jego końca. Z wielkim wysiłkiem wydobyto skrzynię dębową, okutą żelaznymi obręczami i ćwiekami, a wraz z nią o. Teofila.

Pieczara wielka jak komnata, całkiem pusta — oznajmił, 1 Eureka! (gr.) — znalazłem!

Każdy chciał zobaczyć na własne oczy. Spuszczano więc ciekawych po kolei. Wracali rozczarowani.

Z wielkim zadowoleniem odbyli pochód na statek.

— Pojutrze ruszamy w drogę do klasztoru bazylianów — zapowiedział Jakimowski.

— Bóg wam zapłaci! •— roztkliwił się o. Teofil.

Galeria piratów zatoneła już prawie. Rufa tylko sterczała nad wodą, zaczepiona kasztelem o jedną ze skał stromego brzegu.

Na „Białej Tarczy” rozbito skrzynię. Zawierała złote monety i drogie kamienie. Wnet wokół niej zebrała się cizba, gdyż dalej tajemnicy nie można było ukryć. Pożądliwość rozpała wiele serc. Nad statkiem znowu zawisła aura buntu. Zmawiano się, by związać kapitana i jego popleczników, zostawić ich na wyspie i uchodzić ze skarbem.

Czujny jak żuraw Jakimowski przejrzał knowania. Po naradzie z druhami i o. Teofilem ogłosił niespokojnej załodze:

— Towarzysze! Ciężko zapracowaliście na tę nagrodę. Otóż wyznaczam do podziału między was ćwierć skarbu księcia Urcha-na. Reszta niechaj za waszą niewymuszoną zgodą zostanie obrócona na wykup naszych braci, tych, których zwaliśmy najniezwyklejszymi z nieszczęśliwych, dopóki sami takowymi byliśmy.

Umiał przewodzić. Siłą charakteru, męstwem, rozważą i polityką zjednał sobie wszystkich.

—• Niech żyje kapitan! •—• wołali z entuzjazmem.

— Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!

Ale trzeba było zaniechać okrzyków i powagą uszanować poległych w walce towarzyszy, czekających na chrześcijański pogrzeb.

Nazajutrz w uroczystościach żałobnych brała udział ludność wysepki. Żegnano poległych za Lios cudzoziemców salutem armatnim i kwiecistymi przemówieniami.

W dzień później „Biała Tarcza” wypłynęła z powrotem ku wyspom Strophades, by tam w ręce bogobojnych bazylianów złożyć na wykup jeńców skarb króla Władysława i księcia Urchana. Żegnała ją znowu rzesza Liotańczyków.

Oziębło się znacznie, morze było zbałwanione, pociemniało w głąb, niebo zachmurzone. Zaczął padać deszcz, aż i śnieg, nieczęsty gość na tych wodach.

W miesiąc potem, przy dobrej, chłodnej, lecz słonecznej pogodzie, gdy już święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok 1627 mieli za sobą, Benito Tagliani zawołał wzruszony z „bocianiego gniazda”.

— Kalabria! Kalabria!

Później, płynąc wzdłuż strądu kalabryjskiego, minęli szczęśliwie niebezpieczne dla żeglugi przylądki Colonne i Spartivento oraz miasto Reggio.

— Sycylia! — obwieścił Tagliani.

XIX W Mesynie, gdy władze i publika dowiedziały się, jakim okrętem jest „Biała Tarcza”, na brzegu zebrał się tłum, a przedstawiciel prefekta zaprosił całą załogę na zamek. Okazało się bowiem, że sława jej wyczynów, głośnych na Południu, przymknęła tu rychlej niż ona sama.

Miasto było duże, ruchliwe, a wszędzie żołnierza hiszpańskiego wiele, albowiem lud sycylijski burzył się przeciw magnatom i Habsburgom *.

Tutaj, w kościele kapucynów, odbył się ślub pięciu par zaręczonych na pokładzie galery. Sława pomogła załatwić formalności prawne i kościelne. Już po paru dniach, bez zapowiedzi, nastąpiła solenna uroczystość.

Użyczonymi przez prefekta karetami ślubne pary udały się do kościoła. Karety otaczała załoga „Białej Tarczy” na kupionych lub wynajętych koniach. Dziwny orszak ślubny sunął wśród okrzyków, palby i życzliwej wrzawy tłumu meszyńców stłoczonych na ulicach.

Pogoda była słoneczna i konie parskały, co dobrze młodemu wróżyło.

Na zdrowie! Na szczęście! — wołali towarzysze.

Królestwo Obojga Sycylii, obejmujące Sycylię i południową Italię 2 Neapolem, powstało 1130 r., w latach 1505—1700 pod władzą wicekrólów 2 rannienia hiszpańskich Habsburgów; gdy tam przebywał Jakimowski, król (fm hlszP- był Filip IV (1621—1665), wicekrólem zaś Franciszek Ferdynand - !a Cuera książę d'Albuquerque.

34 —

Kawaler złotej J ostrogi Aż pojęta ulica meszyńska jąta powtarzać:

— Na srowje! Na szieriszie!

Sam prefekt w asyście wielu patrycjuszów meszyńskich i nobilów był w kościele wypełnionym ludźmi i otoczonym nieprzejrzanymi tłumami tych, co się do środka świątyni nie mogli docisnąć.

Kiedy organy zagrzały „Veni Creator”, wówczas nawet tak twardemu człowiekowi, jak Marek Jakimowski, pobladły od przejmującego wzruszenia policzki.

festynu weselnego, urządzonego w wielkiej gospodzie z kolumnami, gdy nowożeńcy i goście bawili się hucznie, Stołczyn wyszedł na krążganek. Zastał tam już Satanowskiego.

— Gniem za Polską, aliści, gdy już do niej blisko, przypomina mi się cała moja mizéria, której na obczyźnie nawet w niewoli nie czułem — wybuchnął.

•— Krzywdy można doznać wszędzie, drogi bracie — odparł Satanowski. — Tyś doznał w Polsce, ja kędy indziej. Ale mnie ciągnie do tego miejsca, w którym jej zaznałem. Zda mi się, że winien tam wrócić i próbować na nowo. I chyba wrócę...

— Będę ci towarzyszył! — pośpieszył Jan.

— Na Boga! Nie mogę przyjąć takiej ofiary!

— Skoroś przyjął ślub braterstwa, przyjmij też dozgonną družbę. Miłuję cię i nie miałbym chwili spokojnej, że ty mnie kędyś może potrzebujesz. Tak również było, gdy się z wami rozstał w zajeździe radomskim. Iłem wtedy bólu zaznał, że was tracę!

— Bracie! — zawołał z uczuciem Stefan. — Zawszy wiedziałem o twoim złotym sercu, aliści ninie to... — zabrakło mu słów.

— Postanawiamy przeto? Kiedy i skąd wracamy do Egiptu?

— Jam gotów bodaj zaraz! Jeno mi Marka żal ostawiać. Stołczyna odpowiedział dopiero po namyśle:

— Mnie już nie stać na takowy afekt do Marka, jako dawniej. Coś się we mnie po one j hańbie jołtuszkowskiej skończyło. Ciągnie mnie do niego i odpycha jednocześnie. I nie martw się o niego. Katarzyna mu wszystkich i wszystko zastąpi... A swoją drogą, jakże nie mam szczęścia! Adam Skoruta gotów był przyjąć mnie do herbu, pan hetman Chodkiewicz miał pomóc mi w nobilitacji.-

— Skorutę odszukasz, jeśli przeżył wojnę chocimską...

— Pijanica! Gdy mnie zabrakło, może zapił się na śmierć. Jeno ze mną liczył się ździebko, bał mnie i wstydził. A zresztą ninie już mnie nobilitacja nie ciągnie, wszystko mi jedno...

Z biesiadnej sali dobiegły ich weselne śpiewki polskie:

Pan młody się uśmiecha, znać, że gody czuje, Brodę głaszcze, wąż kręci, czapki poprawuje.

Po chwili odpowiedział ktoś śpiewką do niewiast:

Dziś- się sromasz, jutro się będziesz uśmiechała I żal ci będzie, żeś tak długo próżnowała. Pieści matka, a przedsię niesmaczne w pieszczocie, A z miłym przyjacielem smaczno i w kłopotcie.

Zupełnie jak kędyś w Polsce — w Łysogórach, na Mazowszu...

W Mesynie .załoga „Białej Tarczy" sprzedała ocalałe towary Kassim-bega. Po rozdzieleniu pieniędzy każdy posiadał sute zaopatrzenie. Po ostatecznym podziale łupów opuściła statek część załogi, a to Moskale, Rusini, Anglik Crow i niektórzy plebejusze polscy. Odchodzącym pozostali towarzysze wyprawiali huczne uczty pożegnalne, na których trunki i łyż łały się bez miary.

Stołczyzna miał swoisty sąd o tym wszystkim:

•— Na morzu, w dzikim świecie, kędy jeno Bóg rządzi, braćmi byliśmy bez względu na rody, herby, kondycje, religie. Ninie zaś, ledwo się począł świat uładzony, cywilizowany, już benenaci nad plebeanów nosy zadzierają, braterstwo gaśnie, już herbowych prefekt i nobile inak.traktują... I dlatego ludzie nas odchodzą.

— Nie zważaj na nic, bracie — mitygował po swojemu Stefan.

— Możnaż nie zważać, że ogień parzy albo nóż rani?

Załoga codziennie ucztowała w największych domach mesyńskich: rozrywano niebywałych chwatów. Sława ich rosła. Prefekt wysłał nawet gońca do Palermo z powiadomieniem, że „Biała Tar-C2a", której losem wicekról interesował się od pierwszej o niej wieści, przybyła do Mesyny. Zarzekając się tych festynów Jan mówił do Stefana:

Nie chcę stroić się nieprawnie w szlacheckie pióra. • Wszak stroiłeś się w nie tyle lat i dobrze nam wszystkim yło — rzekł naiwnie Satanowski.

— O! te czasy już nie wrócą!

Stroił się jednak Stołczyzna dalej w cudze piórka. Ciągnęło go przemożnie na gładkie posadzki dworskie, acz. się ich zarzekał. Zostawał, bywało, na statku, gdy inni szli ucztować. Ale niebawem doganiał ich i szedł na pańskie biesiady, przybrany właśnie w nieswoja skórę. „Ani mi się wyzwolić" — myślał. Gorzko mu było, zarówno w samotności, jak i na festynie, gdzie uświadamiał sobie swoją obcość. — „Lecę niby ćma do ognia, lubo już opaliłem sobie skrzydła w Jotłuszkowie. Czego ja szukam?"

Jakimowski, kapitan legendarnej galery, bohater, o którym układali już pieśni śpiewacy ludowi i dworscy, oklaskiwany był fre-netycznie na festynach i ulicach. Obok niego błyszczała swą królewską urodą Katarzyna. Z jednej strony zachwyty kawalerów hiszpańskich i włoskich napawały go dumą, z drugiej — zazdrosnym niepokojem. Wiele razy chwycił za szablę, ale zawsze małżonka przywoływała do go opamiętania.

Chcąc położyć kres adoracji mesyńczyków wobec Katarzyny, ogłosił załodze, że czas już opuścić Mesyne. Zanim odptynęli, nadeszło od wicekróla zaproszenie do Palermo, stolicy Sycylii.

Przed rozpoczęciem pławu Jakimowski zwołał wszystkich towarzyszy na naradę i oznajmił:

— Rozumiem za rzecz niesłuszną kupeczyć ludźmi, choćby i poganami, a z drugiej strony — za przystojną uszczęśliwić takowych, bośmy się sami oswobodzili bez zguby kogokolwiek ze swoich. Proponuję przeto, abyśmy wolno puścili Turków, co pod pokładem uwięzieni, a także panią Rahmet, żonę kadiego Issufa.

— Można duży okup wziąć, zwłaszcza za Rahmet! — huknął ktoś.

— Sprzedać ich kędyś, a za nią okup! — wołano tu i tam. Ale były też inne głosy:

— Azaz to po ludzku? Po chrześcijańsku?

— Miłosierdziem trzeba się Bogu odplacić za dobry los! Tych była większość, a poparła ich potężna wola kapitana.

Z narady Jakimowski podążył do kajuty żony kadiego Issufa.

Siedziała nieruchomo na tachcie. Przez trzy miesiące niewoli pobladła bardzo, albowiem nigdy nie wychodziła na świeże powietrze. Schudła ze zmartwienia i braku apetytu. Wzrok miała ponury.

- Chcę oznajmić, żeśmy uchwalili zwrócić pani wolność.
- Dziękuję... — odparła z wysiłkiem.
- Gdzie wolisz, pani, zejść na ląd, w Mesynie czy Palermo?
- W Palermo. A co będę mogła zabrać z sobą?
- Wszystko, co należy do pani, a co ocalało z walk i burz.
- A ze służby?
- Tylko tych, co wyrażą zgodę.

Turcy u pojazd byli wdzięczniejsi od Rahmed. Okrzykami radości przyjęli zapowiedź zwolnienia. Nie zamierzali wracać do Turcji, gdzie by ich może znowu więziono. Postanowili szukać zarobku na Sycylii albo w Tunisie czy Algierii.

W Palermo „Białą Tarczę” powitał wysłannik wicekróla, cava-liere * Baffo di Favara, niegdyś członek poselstw weneckich i sycylijskich do Warszawy, władający językiem polskim.

- Jego wysokość wicerej wita łaskawie najwaleczniejszego rycerza naszych czasów — rzekł dwornie —• oraz wszystkich dzielnych junaków, którzy świat zadziwili męstwem.
- Honor to dla nas niepomierne —• odparł z ukłonem Jakimowski. — Nie wiem, czyśmy na takowe pochwały zasłużyli, aliści dziękuję za nie jego królewskiej wysokości i waszmość panu.

•— Jego wysokość łaskawie zaprosi waszmościów wraz z ichmość paniami do siebie na prezentację, gdy odpoczniecie.

Nagle Baffo ujrzał Katarzynę Jakimowską i jej towarzyszkę. Z wysokiej rufy przyglądały się portowi. Włoch tak się na nie zapatrzył, że bezwiednie umilkł i postąpił ku białogłowom.

- Na Boga! Powiadano, że wiązanka kwiatów „Białą Tarczą” płynie — rzekł zdumiony. — Ale to raczej bogini wśród królewien.

Tak wlepił oczy w Katarzynę i takie go ogarnęło roztargnienie, że omal nie upadł, potknąwszy się o jakiś przedmiot.

- Bacz, panie, byś nie wpadł do wody — ostrzegł z przekazem Jakimowski, ale kawaler Baffo jakby nie słyszał tych słów.

— Zejdźmy na rozmowę do kajuty, mości panie •— dodał tak szczególnym tonem, że cavaliere opamiętał się.

Po jego odjeździe Marek odkuł Turków od pojazd. Odprawił ch, zaopatrzywszy w odzienie, jadło i pieniądze na drogę. 3by ci Allah złocił ścieżki żywota, efendi! •— wołali.

Cavaliere (wł.) — rycerz, kawaler, szlachcic, jeździec.

- Obyś nigdy nie zaznał troski, szlachetny panie!

— A ja wam życzę — odwzajemnił się Marek — abyście już okowów nie zaznali. Tuszę, że nie przyczynicie się nigdy do zadania komuś takiej udręki, jaką sami przeżyliście.

Nie czekali na poczęstunek, jeno rozbiegli się po Palermo. Jakimowski z niewiastami zaszedł do kajuty pani Rahmet. Rozpłakała się na ich widok.

- Przybywamy pożegnać cię, dudu — rzekł. — Mamy nadzieję, że poniesiesz, pani, w świat dobrą o nas sławę. Sama zaznałaś niewoli. Była ona wprawdzie rajem w porównaniu z tą, która niszczyła ludzi pod pokładem, ale płakałaś na nią krwawymi łzami. Zapamiętaj na zawsze tamtej obraz przerażający. I chyba odpowiednio do tego postąpisz względem niewolników, jakich masz w domu. Pamiętaj też, pani, że te oto niewiasty, lubo nie zamierzałaś obdarzać ich wolnością, przecie zło wszelkie zapomniały.

Wzięły zapłakaną Rahmet w ramiona, niepomne przeszłości.

- Co mam czynić? — spytała bezradnie, nawykła do obojętnego życia haremowego, gdzie o nic się nie troszczyła.

— Palermo wielki port — odparł Jakimowski. — Znajdziesz pani odpowiedni statek i odpłyniesz do ojczyzny.

— Jakże to uczynię, na Allacha? Słudzy mnie opuścili.

— Sama musisz sobie radzić, dudu.

— Kto mi pomoże? Te ciężary...

— Najmiesz, pani, tragarzy portowych — rzekł bezlitośnie.

Pierwszym jego odruchem na początku tego dialogu było pomagać, wezwać do tego samego towarzyszy. Ale wnet pomyślał, że lepiej, jeśli sama sobie wszystko załatwi, a surowość stanie się jedynym odwetem za dawny los Katarzyny i jej towarzyszek.

Niebawem Rahmet z bagażami znikła w tłumie na nabrzeżu. Miała szczęście: znalazła galeonę odpływającą do Stambułu.

Gdy galeona ta ruszyła w drogę, z rufy „Białej Tarczy” długo za nią patrzyło pięć młodych białogłów. I chyba miały one w oczach łzy. Bo takie już jest serce ludzkie.

Nazajutrz kawaler Baffo di Favara znów przybył na pokład „Białej Tarczy”. — Jego wysokość książę d'Albuquerque raczy prosić waszmości wraz z towarzyszami do pałacu na jutrzejszą godzinę jedenastą ranną — powiadomił Jakimowskiego.

— Nie napisał do mnie? W Polsce nawet król, który nad wielą narodów panuje, mając do mnie sprawę, listu by nie skąpił.

Kawaler Baffo zarumienił się po sarnę białka oczu.

— Idzie jeno o formę — pośpieszył Jakimowski, odczytując w oczach żony prośbę o spokój.

Nazajutrz załoga „Białej Tarczy”, odświętnie odziana, udała się do strzeżonego przez wojsko hiszpańskie pałacu wicekróla. Był to istny najazd polskich kontuszów. W westybulu gwarą, jurną ciżbę powitali dworzanie z kawalerem Baffo na czele.

• — To i pan tutaj, mości Favara? — zdziwił się Jakimowski.

— Do usług: interprete 1 z rozkazu wicereja — odparł Baffo. Majordomus 2 wprowadził przybyszów do sali o marmurowych kolumnach i posadzce, o ścianach pokrytych obrazami. U jednej ze ścian stało krzesło pod baldachimem, podobne do tronu.

Niebawem w asyście kilku dworzan wszedł do sali wysoki mąż w średnim wieku, odziany w surowy czarny strój aksamitny z ubiegłego stulecia — na wzór ubioru króla hiszpańskiego Filipa II. Był to namiestnik Filipa IV, obecnego władcy Hiszpanii i Obojga Sycylii, wicekról Franciszek Ferdynand de la Cuera książę d'Albuquerque. Białość sutej kryzy i koronkowych mankietów podkreślała śniadość twarzy i rąk wicekróla, wysoki kołpak wydłużał jeszcze pociągłe, suche oblicze, okolone okrągłą czarną brodą.

Witany niskim ukłonem dworzan i przybyszów wicekról usiadł na krześle pod baldachimem, jakby miał przyjmować oficjalną de-putację. Obok krzesła stanęli majordomus i Baffo di Favara.

Książę z ciekawością przyglądał się zuchom, którzy wyczynami swymi zadziwili świat. Nie odrywając od nich wzroku, przemówił cicho do kawalera Baffo. W chwilę potem ów zwrócił się do Marka:

• — Jego wysokość prosi pana Jakimowskiego na rozmowę.

Marek dziarskim krokiem, z wielką fantazją pobrzękując szablą, 2 niskim ukłonem podszedł do księcia — Przykleknij! — szepnął Baffo. — Książę zastępuje króla!

• Interprete (wł.) — tłumacz ustny, w mowie; w odróżnieniu od tłumacza dzieła pisanego: traduttore.

2 Majordomus (łac.) — marszałek dworu.

— Nie w polskim to zwyczaju — odparł Jakimowski. Wicekról uprzejmie skinął ręką i uśmiechnął się do Jakimowskiego. Ten podszedł jeszcze bliżej, kłaniając się znowu.

Wtedy Baffo przetłumaczył na głos powitanie wicekrólewskie:

— Witaj, wielki rycerzu, synu narodu, który my, ludzie Południa, zwiemy orłem Północy. Bo też niby orzeł zasłania on ludy przed Półksiężycem i herezją. Witajcie, wszyscy rycerze, którzy zadziwiacie na j męźnie j szych wojowników i zaciekawiacie koronowane głowy. Oświadczam wam łaskę swoją i ofiarowuję gościnę. Gdybyście przyjęli służbę w sycylijskiej armadzie morskiej, zapewniłbym wam wysoką łafę i dobry udział w zdobyczach.

W gromadzie zawrzało. Aż majordomus truchlał ze zgrozy na takie pogwałcenie etykiety. Po gorączkowej naradzie wielu przystało na służbę. Od razu sekretarz wpisał ich na listę. Potem wice-królewscy valletti¹ wnieśli na salę bogate dary. Były to pieniądze, klejnoty, drogie materie; na niektórych czekały w podwórku rasowe wierzchowce z ozdobnymi rzędami. Uciecha była wielka.

Uśmiechnięty książę zaprosił wszystkich na wieczorną ucztę i zapowiedział rewizytę „Białej Tarczy”. A potem zlecił swoim pisarzom nadwornym spisać opowieść o zdobyciu tureckiej galery.

— Zali nie mógłbyś, mości kapitanie, przystać do mojego dworu jako przyjaciel? —• spytał książę.

— Niestety — odparł Jakimowski. — Rodziców i siostry w strapieniu wielkim ostawiłem na Podolu, którzy mniemają, że poległ na wojnie. Po drugie, jako bosman wstąpię do armady króla jegomości polskiego, albowiem gwałt w naszej Rzeczypospolitej dla wojny ze Szwedem na lądzie i morzu. Chciałbym mojego władcę udarować „Białą Tarczą”. Po trzecie, tak mi już tęskno za ojczyzną, że mówić trudno. Po czwarte, muszę niewiastę moją na gospodarce ustalić i rodzinę jej zaginioną odnaleźć.

— Dokąd ninie udać się zamierzacie?

— Chcemy popłynąć do Rzymu i tam, jako pielgrzymi, poprosić Ojca Świętego o błogosławieństwo.

— Zbożna intencja — ocenił wicekról. —• Otrzymacie ode mnie salvacondotti² i credenziali³ do jego świątobliwości, a także kawał Yalletti (wł.) — paziowie.

² Salyacondotti (wł.) — listy żelazne, glejty.

³ Credenziali (wł.) — listy uwierzytelniające, kredencjały.

lera Baffo di Favara za tłumacza, obeznany on bowiem ze sprawami watykańskimi i polskimi.

— Dzięki waszej królewskiej wysokości!

Nie skończyło się na tej rozmowie ani na jednej biesiadzie u wicekróla. Podczas festynów karnawałowych u niego i innych panów arystokracja, zjechawszy z odległych stron, oklaskiwała gorąco sławnych zuchów.

Po lustracji „Białej Tarczy” książę Franciszek przez kawalera Baffo zaproponował Jakimowskiemu kupno galery za 1500 realów.

— Zamierzam przekazać „Białą Tarczę” mojemu królowi — odparł z zakłopotaniem Marek.

— Nie będziesz miał dostatecznej załogi do pławu tak wielkiego okrętu, gdy część do mojej zaciąga się armady i część rozbiega po świecie. Reszta wszak nie wystarczy do obsługi galery.

— Muszę porozumieć się z towarzyszami.

Po śniadej twarzy wicekróla przemknęło zniecierpliwienie.

— Zali musisz, kapitanie, odwoływać się do podwładnych? Wszak jako dowódca okrętu masz nad nimi prawo życia i śmierci.

— Nie nawykłem do absolutum dominium — zaśmiał się cierpko Jakimowski.

— Radź tedy z towarzyszami i donieś mi o wyniku.

Po odejściu wicekróla Jakimowski zebrał towarzyszy na radę, albowiem wszyscy czuli się współwłaścicielami nawy.

Niejedno serce ścisnęła żałość z powodu rozstania z okrętem i towarzyszami. Ale przecież każdemu inna droga dobra...

Ci, co postanowili objąć służbę u wicekróla, godzili się na spłatę. Również ci, którzy chcieli wracać do Polski nie odwiedzając Rzymu, domagali się odszkodowania. A jeszcze inni, ci, co pragnęli pirackiego chleba lub odmiennych przygód, wysunęli swój projekt za pośrednictwem Rowińskiego.:

— Was, którzy wybieracie się do Rzymu, jest trzydziestu i pięć cmość pań. Tych zaś, co by chcieli zażyć morskiego proceduru, takóž mniej więcej tyłu. Reszta łądem wraca do domów. Može reJ na „Białą Tarczę” zamieni dwie mniejsze nawy, które mi Pokazowa! cavaliere Baffo. O, nawet je stąd widać!

kupieni u burty, przyjrzeni się wskazanym statkom. mae 6n był lekka, brygantyną o dwu rzędach wiosel i jednym e z wielkim żaglem łacińskim. Wydawał się po jezdny, zwro tny. Takich piraei chętnie zażywali, kupcy, wojennicy, a pełno ich było w tych stronach. Drugi — to niewielka, wąska tartana, również o jednym maszcie z trójkątnym żaglem, nawa ulubiona przez rybaków i przewoźników, także pospolita na tych wodach.

Marek zwrócił się do Rowińskiego i jego popleczników:

— Przedstawię wicerejowi wasze projekta. A dokąd podążycie?

— Do Neapolu z wami, potem obaczmy — brzmiała odpowiedź.

W dwa dni Jakimowski załatwił bez trudu zamianę statków.

Przy opuszczaniu „Białej Tarczy”, gdy obsadzała ją sycylijska załoga, wzruszenie ogarnęło poprzednich jej użytkowników. A potem, kiedy „Ak-Kalkan” odpływała do wicekrólewskiej przystani, patrzyli i patrzyli na nią zza burt nowych statków. Brygantynie zajęli kandydaci na korsarzy, tartanę zaś ci, co łaknęli błogosławieństwa papieskiego i zobaczenia Wiecznego Miasta.

Tego dnia nawet festyn pożegnalny nie rozproszył ogólnego smutku. Bo przecie żegnali się nie tylko z „Białą Tarczą”, ale i między sobą. Nie wrócą już wszyscy na jeden statek, do wspólnego losu. A tak się złożyło, że tartanę objęło przedniejsze grono: benenaci, szczęśliwi nowożeńcy, ludzie potrzebujący tylko błogosławieństwa papieskiego. Na brygantynie zaś zebrali się pasierbowie fortuny, złaknieni poprawy bytu, szczęścia.

— Śmietana sama oddzieliła się od serwatki — sarkał Stołczy-na. — Uchodzimy, Stefanie! Trzeba wreszcie Markowi wyjawic.

Odwołali Jakimowskiego do kapitańskiej kajuty, zostawiając towarzystwo u stołów, pograżone w smętku.

— Musimy cię opuścić, bracie... — wyznał Stefan.

— Na Boga! A cóż to nowego? — zdumiał się Marek. Satanowski, wyjawivszy powzięte zamiary, mówił coraz goręcej:

— Nieprzerwanie gnębią mnie wyrzuty sumienia, zem tak niecznie poniechał prób ratowania Alimy, zem nie spełnił swoich względem niej obowiązków... Winienem uwolnić ją od nieludzkich dla białogłowy praw bisurmańskich, albo — polec!

— Co ty gadasz? Nic nie poradzisz! Cóż uczynisz?

— Wrócę do Damiatu.

•— Oszalałeś! Zginiesz, nic nie wskórawszy!

— Moim obowiązkiem jest nie ustawać w usiłowaniach...

— Co za głowa u .ciebie! — zawołał poruszony Jakimowski, a potem wymawiał gorzko: — W Dar-el-Amirun tyle razy wzywałem: bierz Alimę i uchodźmy! Ileż było dobrych okazji j! Zwlekałeś, zwlekałeś i wybrałeś najgorszą. Ninie wybierasz sposobność jeszcze gorszą od tamtej. Ta impreza to zguba! Opamiętaj się!

— Powinienem wrócić! Nie zaznałbym nigdy spokoju. Moc ja-kowaś we śnie, na jawie, w rozmyślaniach zmusza mnie iść, iść...

— Kiedy słucham tego, przypominają mi się owi błędni rycerze z dawnych wieków, którzy świat przemierzali w pogoni za urojonymi celami... Zresztą, gdybyś nawet dotarł do Alimy, zastałbyś ją w czyimś haremie...

Satanowskiemu ogniste rumieńce zapaliły nagle twarz.

— I stamtąd ją wezmę, jeśli zechce — powiedział głucho. — A ty Janie? — zapytał rozpaczliwie Marek.

— Ja idę za Stefanem na złe i dobre — odparł Stołczyzna.

— Tylko na złe, bo dobrego tam nie będzie.

— A co? — wybuchnął Jan. — Zali mi nie jedno być parszywym psem w Polsce czy indziej? W Turczach przyjmę islam, a jużem ich, już mnie do braterstwa dopuszczą. A w naszych chrześcijańskich krajach, żeby człek dał krew ojczyźnie, żeby skonał, żeby świętym czy mędrcecm był, to gdy plebeanus, za śmieć uważany...

— Jakowe słodkości w bisurmanii, toś sam widział.

— Jako wszędy. Aliści u wroga będąc, tej goryczy człek nie czuje, co między „swoimi”, gdy go precz od siebie gnają, jak, muszę wspomnieć, jak twój rodzic mnie... I sam widzisz, jako się na okręcie oddzielili przedniejsi towarzystwa od pośledniejszych. Ani myślę znosić takowe podziały.

Marek długo milczał z głową na piersi zwieszoną. — Czyńcie, jak uważacie — rzekł wreszcie z bolesnym wysiłkiem. — Ale pomnijcie zawsze, żem was miłował i ten afekt do grobu zaniosę, że u mnie drzwi otwarte dla was jak i serce, że lubom szczęśliw z powrotu doma i ożenku, przecie mi okropnie ciężko rozstawać się z wami... Rozbiła się „Biała Tarcza” nie od Pocisków tureckich, nie od raf czy sztormów, jeno od potrzeb ludzkich. Bo każdy ma inną ścieżkę żywota. A zawżdy sądził, że rozłączni dożyjem grobu wspólnego: w głębi morza, na po-jowisku albo pod przygodnym krzyżem na rozstaju czy cmen tarzu parafialnym. Hej! Nie dane człekowi cieszyć się wszystkim; zawżdy na uśmiech czyha iza.

— Ładnieś to rzekł — zdziwił się Stefan.

— Dziewiętnaście bez mała lat temu po raz pierwszy umyliśmy pokład statku jako jungi — wspominał rzewnie, całkiem nie po swojemu Marek. — Piętnastoletnie wówczas otroki, mamy dziś po trzydzieści cztery lata wieku. Bywaliśmy tak często w ogniu: raz potrzebnie, raz nie, raz ku pożytkowi Rzeczypospolitej, raz ku szkodzie... Wojna z Moskwą ninie skończona, z Turcją takież. Ale wszak wojna ze Szwedem goreje! Zaciągi tam, w Królestwie, na pewno wielkie. I armadę, słyhać, król jegomość okrutną sposobi...

Jan i Stefan spojrzeli po sobie. Zakłopotanie i jakiś szczególny żal uwidoczniły się na ich twarzach.

— Mniemałem — mówił Marek — że razem padniemy do nóg Namiestnikowi Jezusa Chrystusa i z błogosławieństwem jego rąk świętych wrócimy do ojczyzny...

— Mnie do papieża nakłaniać nie Iza! — rzekł z wielką powagą Satanowski. — Jam przecie chrystianin, arianin. Nie unoś się, bracie, gdy dalej powiem rzeczy, za które proszę cię z góry o przebaczenie... Jam arianin i jeno tym się od braci rnojej różnię, co od dawna wiecie, że oni oręza wzbraniają, a ja go miłuję. Ale jako arianin, nie tylko nie uznaję świętości papieża, ale nawet Chrystusa Jezusa za Boga nie uważam, lecz za człeka.

Potruchleli Jan i Marek słysząc to straszliwe, jak mniemali, bluźnierstwo. Sam Stefan, nawykły do obyczajowego katolickiego kultu bóstwa w Jezusie, wypowiadał ostatnie słowa z niejakim wahaniem. Ale, nabrawszy świeżego oddechu, ciągnął dalej:

—r U nas obowiązuje prostota, skromność, ubóstwo. A w Rzymie, na dworze papieża, obaczycie przepych i tyranie monarszą, komnaty i stroje od złota kapiące. Nic nie przypomni wam ubogiego Jezusa, który o chlebie żebraczym, otoczony biedakami, podobnie szlachetnymi jak on, głosił „dobrą nowinę” i wreszcie przez podobnych papieżowi arcykapłanów skazany ostał na okropną śmierć...

— W imię Ojca i Syna, i Ducha — krzyknął ze zgrozą Marek.

Stołczyzna nie mniej był wstrząśnięty. Przeżywał ciężką rozterkę. Zląkł się słów Stefana, podobnych wprawdzie do dawnych wypowiedzi na ten temat, ale o wiele bardziej

bluźnierczych. Nigdy herezja nie wydała mu się tak przerażająca. Spojrzał nań z wyrzutem. Ale dobroć opromieniająca piękną twarz Stefana przywróciła mu zaufanie.

Zapukano w drzwi i do kajuty weszło kilku towarzyszy.

•— Wychodźcie! — wołali. — Bo towarzystwo płaczu bliskie!

— Idziemy — odpowiedział martwo Jakimowski.

Wysypali się wszyscy na korytarz. Z sąsiednich kajut wyszły cztery pary małżeńskie i Katarzyna Jakimowska.

Przy stołach nie było nastroju biesiadnego. Kapitan i towarzyszące mu osoby powitała cisza.

— Za nasze braterstwo! — huknął Marek fałszywym tonem. Kielichy podniosły się do ust, ale nikt mu nic nie odpowiedział.

— Ha, cóż! Takie snadź życie! — zawołał znów Marek. — Na festynie jesteśmy, a tu w sercu smutno niczym-na stypie po pogrzebie... Zagraj no, Stefanie, zaśpiewaj naszą pieśń polskich pła-waczów. Popłaczmy sobie, skoro śmiać się nie potrafimy!

Zadźwięczała lira, zagrzmiała pieśń.

Czuj-duch! Hej, bosmani! Wróg lonty zażega I z armat czterdziestu daleko od brzegu
Zaprasza w tan!

Pal! ognia po stokroć! —• za tany w podzięce! Burt wrażych się czepić! Topory wziąć w ręce! Bosman to pan!

A jeśli polegniem, królewscy pławacze, Kochanka żałosna u portu zapłacze, Uczyni ślub...
Twój bosman już nigdy nie wróci, dziewczyno.

Weź kwiecie i rozrzuci je ponad głębiną —

Na jego grób...

Brygantyna poszła w morze pierwsza.

W poświacie księżycy pagórkowaty widnokrąg Sycylii ciemniał ostro na tle jasnogranatowego nieba. Tylko Palermo świeciło jaskrawo rojem lamp, latarni i pochodni, jakby dolina palermska usiana gwiazdami. Najjaśniej błyszczało nabrzeże — światami portowymi i okrętowymi.

_ artana miała ruszyć tuż za brygantyną, ale jakoś stała jeszcze meruchomo.

Jakimowski z żoną stał u burty, wśród skrzyń, bodni, zwojów lin, i patrzył na rozjarzone nabrzeże, na którym pozostali dwaj jego bracia ślubni. Wszyscy trzej machali sobie wzajem rękami, Katarzyna powiewała białą chustą, jak to zwykle przy pożegnaniu.

— Bóg niechaj was prowadzi! — wołał Marek nie swoim głosem.

— I was! — odpowiedzieli Jan i Stefan z nabrzeża.

— Pomnijcie, że u mnie wasz dom, jeśli będzie trzeba! Tartana drgnęła nagle, zatrzeszczał maszt, wydał się żagiel —

statek jął odsuwać się od brzegu.

Marek podniósł dłoń, chciał coś krzyknąć do druhów, ale nagły skurcz gardła nie pozwolił mu na to. W ręku Satanowskiego ukazała się lira. Pomimo szumu wody, portowego hałasu, pokrzykiwań załogi, do uszu Jakimowskich dotarł niezapomniany śpiew:

Czuj-duch! Hej, bosmani! Wróg lonty zażega I z armat czterdziestu daleko od brzegu
Zaprasza w tan!

Jakimowski, ten twardy niby skała junak, o którym mawiano, że na nim śmierć kosę wyszczerbi i połamie, zaszlochał ciężko. Tego nikt u niego nigdy nie widział! W zaszklonych łzami oczach te dwie drogie osoby na palermskim nabrzeżu jeły się oddalać, maleć, mgławieć... Chlusty fal zagłuszyły ukochaną pieśń, która tylko czasem przez wszystkie odgłosy przedzierała się do tartany:

Bosman to pan!

Twój bosman już nigdy nie wróci... Weź kwiecie i rozrzuci je...

W końcu i te urwane dźwięki ustały, i obraz ślubnych braci zatarł się całkiem, a w ciemnościach pstrzyły się jeno światła coraz dalszego Palermo.

Marek oparł czoło o burtę i tak trwał... Katarzyna ujęła nagle strapioną jego głowę w swoje czułe ręce i mocno przytuliła ją do piersi. Usłyszał miarowe, nieco przyspieszone od wzruszenia bicie jej serca.

xx Książę Mateusz Barberini, Biskup Rzymski, Namiestnik Jezusa Chrystusa, Następca Księcia Apostołów, Najwyższy Pasterz Kościoła Powszechnego, Patriarcha Zachodu, Prymas Włoch, Arcybiskup i Metropolita Komarii, Władca Państwa Kościelnego, czyli po prostu papież Urban VIII¹, bardziej przypominał tęgiego sbir-ro² niżeli swoich uduchowionych „poprzedników” — ubogiego Syna Cieśli czy znużonego nędzą Rybaka z Betsaidy. Był czerstwym, silnym mężem lat niespełna sześćdziesięciu. Oczy miał młodzieńcze, bystre, wesołe, włosy czarne, niewiele siwizną przyprószone.

Obudził się właśnie i patrzył w fałdy żółtej kotary oddzielającej łoże od sypialni. Pomimo wczorajszej biesiady, obficie trunkiem oblanej, czuł się doskonale. Tęgie miał zdrowie, głowę niezbyt nabitą troskami o podległą mu owczarnię, żadnych wyrzutów sumienia, a już trzy i pół roku pontyfikatu za sobą.

Siedział na łóżku, gdy primo cameriere³ przyszedł go obudzić.

— Laudetur Jesus Christus!⁴ Buon giorno!⁵ — rzekł kamerdyner poufałym tonem. — Ośmielam się przypomnieć waszej świątobliwości, że już kwadrans po godzinie dziewiątej. — No, mój drogi • — odparł pogodnie namiestnik ubogiego cie-sielczyka z Nazaretu — nie jestem przecie ptakiem: ani w jedzeniu, jak wiesz, ani w spaniu, ani w niczym. Jakaż dziś pogoda?

— Słońce, ciepło...

— Nie ma jakoś nowin o Jakimowskim od ostatniej wiadomości księcia d'Albuquerque i gazety genueńskiej o zniesieniu Jarrany i przybyciu tych śmiałków do Palermo.

— Może Jakimowski przez Gibraltar popłynął na-Bałtyk i do Polski. Spieszno owym Polakom doma po siedmioletniej niewoli.

— Ależ! — zaprzeczył papież. —⁷ Wicerej listem obiecał mi 1 Urban VIII, ur. 1568 r. we Florencji, obrany papieżem 1623 r., um. w r. 1644.

Sbirro (wł.) — strażnik miejski, policjant. Primo cameriere (wł.) — pierwszy kamerdyner.

Laudetur Jesus Christus (łac.) — niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

5 Buon giorno (wł.) — dzień dobry.

przysłać onych zuchów. Jakimowski dostanie order Złotej Ostrogi.

— Bo też i lazzaroni⁸ neapolitańscy a rzymscy cantastorie² już canzonette o nim pieją.

— I nic dziwnego! Ci Polacy to istne diabły!

Ubrawszy się papież ukląkł na klęczniku koło łóżka. Modlitwa nie szła mu jednak. Myśl odrywała się stale od tematu zbawienia i pokory. A to do zamierzonej budowy schodów, zaczętej jeszcze przez wielkiego Sangallo³, a to do wrogości hrabiów Pamphili, a to do pięknych oczu hrabiny Olimpii... Ten napuszony kardynał Jan Pamphili⁴, szwagier Olimpii, zawdzięczający paliusz kardynalski jemu, Urbanowi VIII, gotów ją ukryć przed wzrokiem ludzkim. A ukryjże słońce!... Co tam zresztą Jan czy Olimpia! Wrogowie warczą na Antoniego Barberini, bratanka papieskiego, że mając dwadzieścia lat został już kardynałem. Wielkie rzeczy! Ongiś taki Jan XII⁵ w osiemnastym roku życia zasiadł na Stolicy Pio-trowej, acz podlec i nieuk. Antoni zaś to wybitna osobistość: uczony, poeta, wojennik. Trzeba go zamianować generałem wojsk papieskich. Będzie miał w przyszłości prostą drogę do sedia gesta-toria⁶.

Przerwał papieżowi rozmyślania kapelan. Poszli obaj do jednej z licznych kaplic pałacowych.

— Dużo dziś pielgrzymów? — spytał Urban.

— Dwudziestu kilku Włochów i cudzoziemców.

— Ach, nie mam dzisiaj na nich ni czasu, ni ochoty!

— Oni jeno po błogosławieństwo i komunię z rak waszej świątobliwości. A czekają już od północy.

— Wystarczy im ucałować faldistorio⁷. Niech kardynał wice¹ Lazzarone (wł.) •— żebrak, włóczęga uliczny, zwłaszcza neapolit.

2 Cantastorie (wł.) — bard, śpiewak uliczny, zwłaszcza rzymski.

3 Sangallo — chodzi tu o najmłodszego z trzech wielkich architektów włoskich, mianowicie: Antonio de Sangallo (1483—1546), który m.in. kierował po śmierci Rafaela budową kościoła Św. Piotra w Rzymie.

4 Jan Pamphili, jako Innocenty X, papież (1644—55) po Urbanie VIII, b. surowo traktował całą rodzinę Barberinich.

5 Jan XII, papież w latach 955—63, był rozpustnikiem, pijakiem, ateistą; utracił tiarę.

6 Sedia gestatoria (łac.) — tron noszony wraz z papieżem.

7 Faldistorio (wł.) — klęcznik, który całują zawiedzeni pielgrzymi, gdy zamiast papieża ktoś inny odprawia poranną mszę w kaplicy papieskiej.

kanclerz odprawi im mszę świętą, a ja gdzie indziej. I muszę pośpieszać, bom dziś zajęty. W niedzielę będę celebrował, jak zwykle, w Sali Książęcej. Tam udzielię błogosławieństwa i komunii... A co sądzisz, synu, o bohaterstwie onego Polaka, Jakimowskiego?

— Nie myślałem jeszcze o nim, wasza świątobliwość.

— Nie myślałeś? Nie wiesz? Wróble o nim ćwierkają. Odprawiwszy spiesznie mszę papież udał się na śniadanie. Gdziekolwiek się ruszył, klękali przed nim niezliczeni prałaci, szambelani gwardziści, bussolanti — wytworni dworzanie, strojna służba. Wśród ogromnych sal i zacisznych komnatek, wśród niesłychanego przepychu pomieszczeń, sprzętów, ozdób, dzieł sztuki, ubiorów, wśród marmurów, alabastru, złocień, kolumn, drape-ryj — ta barwna, świetna rzesza nie przypominała wcale pokornych sług bożych, głoszących, że jej królestwo nie z tego świata.

Po śniadaniu zaszedł do Biblioteki, wspaniałej sali, zawieszanej obrazami wielkich mistrzów[^] Tam podyktował sekretarzom listy do różnych monarchów. Pracę nad pewną encykliką odłożył na kiedy indziej. Czas już bowiem na obrady z ministrami.

Przeszedł do sąsiedniej sali, nieco mniejszej niż Biblioteka, obitej pąsowym adamaszkiem w godła papieskie i herby Barberinich. Nie było tu obrazów ni sprzętów z wyjątkiem stołu i fotela, na którym zasiadł, czekając na kardynała sekretarza stanu.

Kardynał w szkarłatnym płaszczu i takiej samej piusce na głowie a z kapeluszem w rękę wszedł właśnie do odległej stąd Sali Klementyńskiej. Strojni w barwne, pasiaste uniformy gwardziści szwajcarscy, strzegący Portone di Bronzo² i innych bram, jak również podwoi wielkich apartamentów, sprezentowali przed purpuratem broń. Za nim postępował sekretarz z dokumentami urzędowymi w pąsowej torbie. Przy drzwiach sali odziany w szkarłat palafreniere złożył kardynałowi głęboki ukłon i poprowadził go do przedpokoju, którego strzegli czarno umundurowani gwardziści w kołpakach z czerwonymi piórami. Tam opuścił ministra² ukłonem, a poprowadził go dalej bussolante we fioletowej sutan-nie aż do- Sali Tronowej, pełnej kłaniających się nisko szambelaBussolanti (wł.) — świecka służba papieża, ubrana w czerwony aksa-[^] i pilnująca drzwi do tajnych przedpokojów.

Portone di Bronzo (wł.) — Spiżowa Brama, gł. wejście Watykanu.

- Kawaler złotej ostrogi nów w czerni i gwardzistów oddających honory wojskowe. Stąd kilku szambelanów towarzyszyło kardynałowi w drodze do sali zwanej Anticamera Segreta^{..} Tutaj, nie opodal drzwi[^] czekał już, maestro di camera² i jeden z szambelanów. Przed drzwiami wiodącymi do papieża kardynał zostawił swój kapelusz. Szambelan otworzył podwoje i przybysz wszedł do pąsowej komnaty. Padł na kolana, a ucałowawszy ręce i nogi papieża, otrzymał odeń pośpieszne błogosławieństwo.

Z raportów tego pierwszego ministra wynikało — już od pewnego czasu — że losy wojny europejskiej³, ponad osiem lat toczącej się między państwami katolickiej Ligi a protestancką Unią Państw, wspieraną przez Francję, przechyliły się na korzyść Ligi. Nowy a świetny wódz

cesarza Ferdynanda II, Waldstein *, zbierał ogromną armię, z którą od razu potrafił zadać klęskę protestantom zachodnim i sprzymierzonym z nimi Węgrom.

— Atoli — ciągnął minister — Francja udzieliła hrabiemu Mansfeldowi⁵ prawa werbunku wojska na obszarach francuskich oraz wielkich subsydiów pieniężnych. Summy te mogą zmienić sytuację na korzyść protestantów.

— Ach, pieniądze! pieniądze! — westchnął papież. — Ci wygrają wojnę, co je mają. Nie będę pomagał ani cesarzowi, ani Polsce w walce ze Szwedami, ani Hiszpanii, a od Francji potrzebuję pieniędzy. Muszę za nie uczynić z Państwa Kościelnego potęgę wojskową! Żeby nie było igraszką w rękach mocarstw! Fortece, wytwórnie broni, arsenały, morska armada, wielka armia lądowa: oto mój cel! Ponadto Stolica Apostolska musi opiekować się nauką, sztuką, profesorami, artystami, tworzyć dzieła sztuki, dawać natchnienie! Muszę podnieść Sapienę⁶ do poziomu padewskiego uniwersytetu! Muszę polepszyć płace profesorów i poziom 1 Auticamera Segreta (wł.) — Przedpokój Tajny.

2 Maestro di camera (wł.) — dostojnik zawiadujący audiencjami bez jego pośrednictwa nikt nie może być przyjęty przez papieża; co kwartał układa porządek posłuchań.

3 Wojna 30-letnia od roku 1618 do 1648.

4 Albrecht Waldstein (Walienstein), Czech, ur. 1583 r., genialny wódz, zamordowany w r. 1634.

5 Mansfeld — dowódca wojsk protestanckich w latach 1619—27.

6 Sapienza (wł.) — Mądrość; nazwa uniwersytetu rzymskiego, cieszącego się szczególnym poparciem Urbana VIII.

nauk! Ach! żeby założyć w Kzymie taką, jak w Bolonii, Accademia degli Incamminati! Zapalił się krewki Urban. Wstał i chodził wielkimi krokami, niby huzar po karczmie. Sekretarz stanu próbował go poskromić:

— Ależ my mamy bez mała trzydzieści milionów skudów długu państwowego! Na utrzymanie dworu waszej świątobliwości niespełna trzysta tysięcy znajdziemy. Osiągamy ledwie dwa miliony rocznego dochodu, a trzy ćwierci zabierają procenta od długów.

— Nie szkodzi. Będziemy pożyczać, gdzie nam jeno dadzą.

••• Można by ograniczyć autonomię Rzymu a prowincyj i zwiększyć podatki płacone przez pospólstwo, skupować od chłopów zboże po wyznaczonych cenach.

—• To stara polityka hrabiów Pamphili! —• rzucił się Urban. —• Podatki są już tak uciążliwe, że chłopci uciekają z ról, motłoch zaś miejski burzy się coraz częściej przeciw polityce agrarnej Kamery Apostolskiej. Ja tego nie zarządzają.

Po naradzie kardynał zabrał się do wyjścia.

— Jakoś brak nowin o „Ak-Kałkan” — rzekł Urban. •— Mam w Watykanie artystów, poetów, filozofów, dodałbym Jakimow-skiego do tego grona: wszak to poeta szabli! Ofiarowałbym mu wysoką pensję.

Sekretarz stanu drwiąco popatrzył na jego huzarską postać.

•— Mam ninie przyjąć prefektów kilku kongregacyj — rzekł papież — a potem kardynałów Antoniego i Franciszka Barberi-nich.

Kardynał skrzywił się nieznacznie. Ale ukląkł pokornie, ucałował jego potężną prawicę i wyszedł. Natknął się na sztywnego maestro di camera, czuwającego nad porządkiem posłuchań i etykietą. W odpowiedzi na jego ukłon nachylił się doń i szepnął:

— Nie daruj tym nepotom, gdy przyjdą, ani jednego przepisu etykiety: przypomnij im, że nie są u siebie w domu.

— Są u siebie w domu: stryj — papa rzymski, monsignor 2 Fran1 Accademia degli Incamminati (wł.) — dosłownie: Akademia Wprowadzonych na (dobrą) Drogę; słynna bolońska szkoła sztuk pięknych, założona Pod koniec XVI wieku, rywalizująca ze szkołami

neapolitańską i toskańską; w Rzymie krzyżowały się te wszystkie prądy; Urban VIII był mecenasem sztuk i nauk.

2 Monsignore (wł.) — tytuł duchownych; liczba mnoga: monsignori.

35«

ciszek — marszałek świętego pałacu 1, monsignori Antoniowie — kardynałowie wszechwładni, signor 2 Tadeusz — generał i prefekt Rzymu, a wszyscy razem — książęta Barberini. Jeno patrzeć, jak monsignor Antoni młodszy zostanie sekretarzem stanu, cha-cha... Kardynałowi od tego żartu pobladyli lica. Odszedł bez słowa.

Po kilku audyencjach papież ogłosił koniec posłuchań.

— Zali wasza świętobliwość uda się ninie na przechadzkę? — spytał maestro.

•— Nie. W saloniku obok sypialni przyjmę bratanków.

Maestro odszedł, aby oznajmić komu trzeba, że jego świętobliwość odmienił dziś porządek dnia.

Opuściwszy komnatę audiencjonalną, Urban w salonie — w swoich prywatnych apartamentach — czekał na ukochanych bratanków.

Przez niezliczone sale i komnaty, olśniewające przepychem(i pięknem, szli doń dwaj rośli, podobni do siebie kardynałowie, przybrani w purpurę. Jeden dobiegał trzydziestki, drugi — ledwie lat dwudziestu. Młodszy nie przywykł jeszcze do purpury i dygni-tarstwa. Mimo woli patrzył co chwila na swe kardynalskie odzienie, przeglądał się w mijanych marmurach, szybach, lustrach.

Urban bez urzędowej powagi przywitał się serdecznie z bratankami, po czym rzekł farnilijnie: — Gdyśmy sami, jam dla was, synaczkowie, jako zwykle, stryj, nie papież. Siadajcie. Dla wszystkich jest etykieta, nie dla was. Każę podać one j słodkiej ambrozji, w której tak gustujecie. Pogawędzimy o tych Polakach, co galereę poganom odjęli.

Przy wybornym napitku rozmowa toczyła się wartko. Rychło z bohaterów „Białej Tarczy” przemknęła na Kopernika i Keplera 3.-

•— Boję się o tego upartego Galileo Galilei4 —: rzekł nagle pa1 Marszałek świętego pałacu — dostojnik zawiadujący biblioteką watykańską.

2 Signore (wł.) — pan; przed imieniem czy nazwiskiem używa się formy: ii signor.

3 Jan Kepler (1571—1630) — niemiecki matematyk i astronom, stwierdził i poprawił heliocentryczną teorię Kopernika.

4 Galileo Galilei, Galileusz ((1564—1644) — fizyk i astronom włoski, empiryk, twórca lunety, odkrywca wielu ciał niebieskich, zwolennik nauki Kopernika, potępiany przez ówczesny Kościół, piez. — Znowu zaczyna mnie molestować, bym mu pomógł ogłosić drukiem jakoweś „Dialogi” o Ptolemeuszu i Koperniku, licząc na moją przyjaźń i słabość do jego nauk. Niepoprawny! Raz już przecie swój heliocentryzm uznać musiał za niedorzeczny filozoficznie a heretycki i błędny pod względem teologicznym. Belar-mino! nie śpi! Pomogę, oczywista, Galileuszowi. Ale obawiam się, że ten Belarmino nastawi na mnie wszystkich jezuitów.

- Pomnijmy Giordana Bruna i Campo dei Fiore2 — rzekł posepnie kardynał Franciszek Barberini, marszałek świętego pałacu. •— I Pamphilich, którzy patrzą nam na ręce.

— Pisał do mnie w sprawie Galileusza książkę Ferdynand To-skański i kilku członków kurii rzymskiej, i sam Galileusz był u mnie, prosił... Trafiał mi, muszę wyznać, do przekonania.

Przebiegłe, mądre oczy młokosa Antoniego zabłyśły.

— Nigdy nie zapominał — rzekł — że nie ma człowieka, który by zwyciężył w zapasach z Sanctum Officium 3.

- Cha-cha-cha! — zaśmiał się Urban. — Zamianuję cię, An-tonio, generałem moich wojsk.

Tadeusz prefektem i generałem, ty podobnie: obronicie stryja przed samym diabłem, co?

— Jako żywo! Doprowadzę ci, stryju, armię do rozkwitu!

— Trzeba mieć na to pieniądze, dziecko.

— Spod ziemi wyciągniemy! Sprzedaż urzędów, infuł, tudzież Francja, dla której opuszczamy Habsburgów, dadzą nam na to.

Urban sięgnął po kielich i zawołał beztrasko:

— Precz smutki! Precz powaga! Powiedzcie mi, chłopcy, co z Jakimowskim, bo i gazetarze genueńscy, i nasi corrieri * zamilkli. Chciałbym zobaczyć tego zucha! Wyobrażam go sobie jako Herku-lesa, wysokiego niby te cyprysy za oknami.

— Podobno — rzekł Franciszek — małżonkę ma cudnej urody (oni się poženili, zagarnawszy tłum branek tureckich).

— Apage satanas! — zażartował Urban. — A to zuchy!

— Taddeo chce ją nawet uwiecznić na portrecie i w rzeźbie!

Belarmino — jezuita, kardynał, znakomity teolog ówczesny.

Giordano Bruno (1550—1600) — dominikanin włoski, filozof, zwolennik s^orii Kopernika, spalony na stosie za kacerstwo właśnie na Campo dei Fi^ore w Rzymie.

^ Sanctum Officium (łac.) — urzędowy tytuł Inkwizycji.

Corriere, corrieri (wł.) — goniec, gońcy; posłaniec, posłańcy.

— A nic na to signora Anna?

Pytanie zostało bez odpowiedzi, wszedł bowiem maestro.

— Jego eminencja kardynał książę Antonio Barberini, biskup Senigalii, prosi o posłuchanie — oznajmił.

Urban, lubo oczekiwał tych odwiedzin, wydał się zaskoczony.

— Ach, ta płaczka! — mruknął, nim dodał głośno: — Proszę! Po odejściu maestra obaj kardynałowie wybuchnęli śmiechem.

— Stryj Antonio narzeka na senigalską societę, a zwłaszcza na tamtejsze donny — rzekł Franciszek.

Wszedł wysoki, przygarbiony, siwy kardynał, młodszy o rok brat papieża, ale wyglądający na znacznie starszego. Twarz miał wygoloną, suchą i żółtą jak kość słoniowa a wielce smętną. Przywitawszy się bez ceregieli z Urbanem i bratankami, uderzył w swój zwykły płaczliwy ton.

— Raz jeszcze przybywam, czcigodny bracie, abyś uwolnił mnie od huczącego kotła senigalskiego. To nie dla pokornego sługi bożego. Gdym był kapucynem, tak nawykłem do cichego życia klasztornego, że mi aż huczy w głowie od dworskiego wrzasku.

•— No, mój drogi, zakon nie dla książąt Barberini — rzekł dumnie Urban. — Dałem ci bogate biskupstwo, jedno z najlepszych w państwie św, Piotra, a ty przebredzasz. Nim zamknę oczy, pragnę widzieć dom Barberinich u szczytu! A, w końcu... złóż biskupstwo senigalskie, skoro ci tak ciąży, to zamianuję cię wielkim pe-nitencjariuszem 1. Będzie ci jak u Pana Boga za piecem.

— Niechaj ci Bóg zapłaci, Matteo! Tak, skromny, cichy tron wielkiego penitencjariusza całkiem mi wystarczy.

— No, ja myślę! — parsknął Urban. — Wysoka godność, a trud znikomy... Atoli wiesz chyba, że w Wielki Czwartek będziesz musiał spowiadać publicznie na j podle j szych grzeszników. Żeby cię jeno, biedaku, nie pociągnęli za sobą w otchłań grzechu.

Młodzi kardynałowie zarechotali grubym śmiechem.

— Matka Boża uchroni swego sługę od wszego zła — odparł potulnie biskup senigalski i jął coś szeptać bezgłośnie.

— Patrz, Antonio, na swego bratanka, imiennika! — zawołał papież. — On będzie moim następcą! A jeśli nie, to wodzem na 1 Penitencjariusz (łac.) — kapłan mający prawo rozgrzeszania w szczególnych wypadkach; kardynał wielki penitencjariusz — jedna z najwyższych godności na dworze papieskim.

wzór Aleksandra Farnese! On nasze państwo uczyni potęgą woj-' skową!

— Ach! Pycha unosi waszą świątobliwość! — jęknął Antonio senior. — Wymodłę u Matki Bożej cnotę pokory dla ciebie.

— Tom ja przecie bliżej onej Łaskawczyni niż ty.

Nie toczyli jednak zasadniczego sporu. Miłowali się nawzajem ponad zwykłą miarę, pospołu też starali się wywyżżyć Barberinich nad stare i nowe rody: Farnese, Chigi, Orsini, Colonna, La Rovere, Aldobrandini i inne.

Nazajutrz do Watykanu przybył goniec z listem wicekróla sycylijskiego. Urban posiadał nową uciechę. Albowiem powiadamiano go o podróży Jakimowskiego do Rzymu. Na festynach karnawałowych rzymska societa miała teraz korzenną przyprawę do mdłej stawy zwykłych plotek, w których nie szczędziła nawet najwyższego pasterza owczarni katolickiej.

W ciągu paru dni papież przeniósł brata na tron wielkiego penitencjariusza. Z niebywałą sprawnością potulny kardynał przeprowadził się -do Rzymu i ujął w swoje ręce cugle watykańskiego rydwanu, dążąc do okiełznania Urbana.

— Ja go nie poznaję! — na poły z podziwem, na poły ze skargą wyznał papież krewnym. — Taż to słaba głowina?

Starszy brat Urbana, książę Karol Barberini, typowy uomo di mondol, typ coraz częstszy w wielkich domach apostolskiego Rzymu, przeżywającego bezustanny karnawał, powiedział:

— Drodzy moi! A ja przeczuwałem w nim Makiawela! Jego synowie — kardynałowie Franciszek i Antoni oraz generał Tadeusz prefekt Rzymu •— wybuchnęli śmiechem;. Ale Franciszek spoważniał natychmiast i rzekł: •— Kochany stryju, wróćmy do poprzedniej materii.

— Wróćmy — odparł papież bez zapału. — Ale powtarzam: pieniądze nie są najmocniejszą stroną mojego pontyfikatu.

Wytrzymał jednak ataki bratanka. Franciszek, jak zwykle od czasu swej misji dyplomatycznej we Francji i Hiszpanii, mole-—tował go o znaczne fundusze na znikome sprawy tego świata: Uomo di mondo (wł.) — światowiec. * Makiawel, właściwie: Machiavelli (Maschiavelli) Mikołaj (1469—1527) —

s a mąż stanu, historyk i pisarz polityczny, uważany za uosobienie prze-•otności, przebiegłości.

rozbudowę nowego pałacu i zachłanny dwór. Dzielnie mu sekundowali bracia i ojciec.

Zadowolił się tym razem względnie skromną kwotą z papieskiej kasy, obiecaną przez dobrego stryja. Niespodziewanie wszedł kardynał Antoni starszy.

— Niechcący posłyszałem waszą rozmowę, kochani — rzekł swoim żalonym głosem.

— A czy wiecie, czcigodni bracia i cni bratankowie, że mogli ją usłyszeć hrabiowie Pamphili?

•— No! — huknął Urban. •—• Jeszcze do tego nie doszło, by...

•— Nie wiadomo — przerwał penitencjariusz. — No i skudów nie znajduje się na,ulicy ani łowi w Tybrze... Niezbędne jest, aby wydatki na dwór watykański zmalały! I wasza świątobliwość chyba tego pragniesz, prawda? Przypominam też, że krąży pewien wesoły motto o twoim, Franciszku, pięknym pałacu wedle Kwiry-nału. Powtórzę ci go: „Quod non fecerunt barbari, fecerunt Bar-berini" *. Budując swą wspaniałą siedzibę, targnąłeś się, syneczku, na pomniki starożytnej sztuki. Łatwo do powyższego motto dodać werset o tym i o kassie papieża.

Motto stanowiło przytyk zwłaszcza do osoby Urbana. On to bowiem ku oburzeniu miłośników starożytności kazał był stopić brązowy dach nad przedsionkiem Panteonu i ułać z otrzymanego metalu kolumny do wielkiego ołtarza Bazyliki Św. Piotra i działa do Zamku Św. Anioła. Żałował poniewczasie tego błędu. Był bowiem naprawdę mecenasem i za takiego pragnął uchodzić.

Książęta Karol i Tadeusz rychło umknęli spod inkwizycji peni-tencjariusza, opuszczając pałac. Wtedy potulny inkwizytor przy-, parł do muru resztę krewniaków. Ale niebacznie dał się wciągnąć w rozmowę na modny temat Jakimowskiego. Od razu jednak zagroził:

— Daj, święty Boże, aby ten bohater nie zbisurmaniał, nie popadł w sidła szatana •— rzekł dobrotliwie. — Umyśliłem stawić, w razie potrzeby, owych Polaków przed Inkwizycją.

— Nie daj Boże! — wykrzyknął papież zatrzwożony. — Nie ma żadnej potrzeby! Polacy są pobożni i wierni.

1 Quod non fecerunt barbari, fecerunt Barberini! (łac.) nali barbarzyńcy, dokonali Barberini. czego nie dokO'

— Może jeszcze wasza świętobliwość pożałujesz, podobnie jak protekcji nad Galileuszem... Urban otarł rękawem pot z czoła.

Kiedy wszyscy opuścili komnatę, w tej części pałacu zawrzała gorączkowa krzątanina. U drzwi Anticamera Segreta jeden z szat-nych położył na zydlu płaszcz podbity sobolami i futrzany kołpak. Maestro di camera zaszedł wtedy do papieża.

— Co wasza świętobliwość rozkaże?

— Rozmyśliłem się: nie pojedę do Villa Colonna — odparł Urban. — Przejdę się po ogrodzie.

— Podobno na Sycylii jak zwykle znacznie cieplej — mówił maestro pomagając papieżowi ubrać się w przygotowany płaszcz i kołpak. — Klimat rzymski nie jest przyjemny.

Wyszli z komnaty. Szpaler gwardzistów, rozciągnięty przez an-tykamery, poruszył się i zastygł. Zabrzmiały komendy oficerów:

— Prezentuj broń!

— Na kolana!

Z właściwym sobie pośpiechem błogosławiąc gwardzistów, szambelanów i palafrenierów, którzy tu lektykę wnieśli, wsiadł do niej. A po błogosławieństwie powtórnym przewodnik palafrenierów skomenderował:

— Podnieść! Marsz!

Przed lektyką postępowali czterej gwardziści, a za nią oficer gwardii oraz jeden z szambelanów świeckich, zwany partecipan-te 1. Orszak minął wspaniałe Stanze 2 i Loggie 3, budowane przez Bramantego4 a zdobione przez Rafaela 5, minął Galerie Gobelinów, Map i Kandelabrow, aż wielkimi schodami wyszedł do ogrodu.

Urban wysiadł z lektyki, ruchem ręki odprawił dwukonną karete, która miała obwozić go po watykańskich ogrodach, po czym 1 Partecipante (wł.) —• dosłownie: uczestnik; towarzyszy papieża podczas P^ejażdżek i przechadzek.

2 Stanze (wł.) — komnaty ozdobione freskami Rafaela. | Loggie (wł.) — krużkanki, galerie. Bramante, właściwie Donato d'Angelo (1444—1514) — wielki architekt oski, mistrz późnego Renesansu.

na. ^afael z Urbino (Raffaello Santi, 1483—1520) — malarz, jeden z trzech ^ększych mistrzów Renesansu włoskiego.

oznajmił nawykłemu do tego partecipante, że chce zażyć dłuższej przechadzki. Strzeżona przez konnych gwardzistów kareta jechała wolno za papieżem i szambelanem.

Minąwszy Wieżę Pawła IV 1 wyszli na obszar winnicy, oglądali czarne rozgałęzienia ogołoconej przez zimę z listowia winorośli, odwiedzili smutną Aleję Cyprysów i Aleję Platanów...

Urban miał podczas przechadzki odmawiać modlitwy, czytać brewiarz, wolał jednak pogawędkę, i to na wskroś świecka.

— Jakimowski mógłby już nareszcie przybyć! Per Bacco!2 — huknął. — Kosma de Torres 2 nie może się go doczekać. Oczywiście, że i ja. Ale dla Kośmy od czasu, jak wrócił z nuncjatury w Warszawie, Polska stała się istnym pallino4. Nie ma pielgrzymki, podróżnika, posła czy nawet ordynaryjnego włóczęgi z Polski, żeby go eminencja nie ufetowała.

Wyobrażam sobie, co będzie z Polakami Jakimowskiego! Co do mnie, to wyznam, że i ja Polaków lubię. Bodaj za to, że wojnę w 1621 roku z Turkiem wygrali. Ów conte 5 Chodkiewicz, ich wódz chocimski, na niejedną już u mnie modlitwę zarobił. Pomnisz, Palmiro? Na wieczną pamiątkę wik-torii chocimskiej, mój świątobliwy poprzednik, Grzegorz XV6, zezwolił Polakom dzień 10 października obchodzić obrzędem kościelnym, ja zaś na ona intencję poleciłem ułożyć mszę i pacierze kapłańskie, które po wieczne czasy mają być odmawiane.

- — O, wielkie to było wydarzenie! Jeśli chodzi o Jakirnowskiego i jego towarzyszy, to wszędy w portach, dokąd zawijają po drodze, goszczeni są niby triumfatorzy. Podobno nawet salwy z dział witają ich gdzieniegdzie! — Sto lat potrwa ich droga do Rzymu przy takowych rewerencjach — "jął gderać papież. Wtem od pałacu nadbiegł gwardzista i ukląkł przed nim.

1 Paweł IV — papież w latach 1555—1559.

2 Per Bacco! (wł.) — Na Bachusa! Znaczy tyle, co: Do diabła!

3 Kosma de Torres (1584'—1642) — arcybiskup adrianopolski, nuncjusz w Polsce za panowania Zygmunta III; wysłany do Polski w 1621 r., bawił tu tylko 18 miesięcy z wielkim zadowoleniem króla; wróciwszy do Rzymu został tzw. protektorem państwa poi.

4 Pallino (wł.) — konik, hobby, namiętność, mania.

5 Conte (wł.) — hrabia.

6 Grzegorz XV — papież w latach 1621—1623.

— Quali nuove? 1 •— spytał Urban zaciekawiony.

— List od jego książęcej mości pana prefekta.

— List od Tadeusza? Wszak dopiero co rozmawialiśmy! Urban spiesznie przeczytał pismo bratanka.

.— A słowo ciałem się stało! — wykrzyknął młodzieńczo. — Jakimowski w Rzymie! Zamieszkali w Hospicjum Polskim!

Skinął na karete, a gdy nie dość szybko jechała, sam do niej podbiegł, otworzył sobie drzwiczki i zostawiwszy zakłopotanego partecipante w alejce, wskoczył do wnętrza.

.— W cwał! — skomenderował gromko.

Potem, nie czekając na lektykę ni asystę, przebiegał komnaty. Dworzanie i służba nawykli do podobnych wybryków. Znalazłszy się w gabinecie, nie rozdiany jeszcze ze spacerowego ubioru, wezwał do siebie maestro di camera.

— A więc mamy Jakimowskiego! •— rzekł ożywiony.

— Tak — padła obojętna odpowiedź.

Urbanowiomal nie wyrwało się ulubione „per Bacco!”

— To bohaterowie stulecia! Podobnych już może nigdy nie oba-czymy. Najsprawniejsze igrzyska czy turnieje to bagatella naprzeciw ich imponującego rapimento 2.

- Po wyjściu waszej świątobliwości wpłynęły do mojego ufficio3 różne lettera di raccomandazione4 od wicereja, zalecające tych bohaterów •— rzekł niechętnie maestro. — Obmyślam posłu- <: chanie dla nich, atoli kwartalny porządek audiencyj nie pozwala na...

— Inezia!5 — przerwał gwałtownie Urban. — Nie pozwala przyjąć bohaterów, których świat oklaskuje?

— Ależ na jutro wyznaczeni lordowie szkoccy i węgierscy magnaci, i grandowie z Aragonii a kastylijscy hidalgowie, i...

— Dość! Ja na tomboli6 zdrowia nie wygrałem. Nie jestem niewolnikiem pielgrzymów, jeno benefaktorem, który ma chyba swobodę w rozporządzaniu swoją osobą i - błogosławieństwami. Ju1 Quali nuove? (wł.) — Co nowego?

Rapimento (wł.) — porwanie, uprowadzenie. 1 Ufficio (wł.) — biuro, urząd.

Lettera di raccomandazione (wł.) — listy polecające.

Inezia (wł.) — niedorzeczność, głupstwo.

Tornbola (wł.) — loteria; zabawa publ., połączona z loterią.

tro o godzinie dziesiątej przyjmę Polakowi. Oni po imprezach, jakie przeżyli, bardziej potrzebują błogosławieństwa niżli ktokolwiek.

— I co ja uczynię? •— jęknął maestro.

Urban objął rozbawionym wzrokiem fioletowego prałata.

— Wyślesz ludzi do Hospicjum Polskiego, by porozumieli się z Polakami w sprawie jutrzejszego posłuchania.

— Ależ to już wieczór!

— A co? Mniemasz, że takowi schwalcy chodzą spać z kurami? — zadrwił Urban, a wpatrując się w zegar ustawiony na inkrustowanym gerydonie w rogu komnaty, dodał: — Zjem podwieczorek i przyjmę biskupów bawarskie7-. A potem na festyn do Colonnów! Co za przepiórki podają! Jadłeś? No widzisz! A pasztety — palce lizać! Ponoć tylko w Polsce królewicz Władysław lepsze fety daje. No, ale do Polski nie pojedę. A szkoda! Przy sposobności osaczyłbym ich zdumiewające wojska, co dziesięć-kroć liczniejszego nieprzyjaciela potrafią gromić. Przydałyby się u nas takowe, mój Boże!

- Owe rekomendacje od wicereja podał do mojego ufficia znany nam już signor Baffo di Favara — zdołał wtrącić maestro. — Pytał, czy może być tłumaczem w razie posłuchania...

— Mamy swoich. Ale niech będzie. Snadź miły i wicerejowi, i Jakimowskiemu... — Urban ziewnął. — Muszę nieco odpocząć.

Po wyjściu maestra przez komnatę papieża przewinęło się jeszcze kilku prałatów oraz nie przewidziani porządkiem dnia jezuita i kardynałowie, którzy pokornie a uporczywie przypominali mu powagę apostołską i splendor papieskiego tronu.

We wczesnej młodości pragnął zostać żołnierzem, żeglarzem, wodzem, świeckim monarchą, opiekunem • muz i Marsa zarazem, acz wiedział, że „inter arma silent musae” J. Te dwa zamiłowania nie opuszczały go nigdy i górowały nad kapłańską pobożnością!

Rzucił się wreszcie na kanapę w odzieniu i butach, więcej raj-arskich niż księżowskich.

Zasnął, nim podano podwieczorek. Naj-srdziej zmożyło go dobroduszne rozważanie, jak pogodzić wy-d na dwór i zbrojenia z chęcią złagodzenia nędzy ludu w Pań-arma silent musae (łac.) — podczas wojny milczą muzy.

stwie Sw. Piotra. Ile razy myślał o tym, ogarniało go przemożne znużenie i zasypiał snem sprawiedliwego. A chrapał też po raj-tarsku.

XXI Z każdą godziną pławu rosło podniecenie załogi. Nieliczni innowiercy, którzy jeszcze wśród niej zostali, straszili się wzajem twierdzeniami, że niekatolikom grozi w Rzymie śmierć na stosie.

— Byłeś kiedy w Rzymie, kapitanie? — pytano Jakimowskiego.

— Tak się złożyło, że nie —• odparł. — Ale opowiem wam, przyjaciele, co w dawnych wiekach ludzie mniemali o Rzymie... W czasach Imperium Romanum panował nad światem rzymski Kapi-tol, wspaniały gmach o murach okrutnie wysokich. Nie były to zwykłe mury. Wykładane szkłem i złotem, stanowiły ogromne zwierciadło! Bo i było to Zwierciadło Wszystkich Narodów. A wewnątrz co za osobliwości! Stały posągi wszystkich cesarzy, królów, książąt, misternie robione ze złota, srebra, brązu, diamentów. Budowlę ona zdobiła wysoka pod niebo wieża z olbrzymią lampą na wierzchołku. Lampa ta dawała nocą tak mocne światło, że okręta daleko na morzu po tym blasku niezwykłym poznawały, kędy króluje stolica świata. A lampa owa była zarazem zwierciadłem magicznym: odbijały się w nim narody imperium, cesarz rzymski przeto mógł snadniej nimi rządzić. W dodatku pewien czarodziej' i poeta, niejaki Wergiliusz, co ponoć w samym piekle bywał, ustawił na Kapitelu opatrzone w dzwonki posągi wszystkich ludów podbitych przez Rzym. Gdy się jakowyś lud buntował przeciw Rzymowi, dzwonił na jego posągu dzwonek, o czym kapłan donosił cesarzowi. Wtedy ten wojskami, których miał niezliczone zastępy, tłumił one bunty, zanim na dobre rozgorzały.

Wraz z podnieceniem ogarniała katolików lękliwa pobożność. Modlili się, wystrzegali grzechu, mniemając, że wśród świętości Wiecznego Miasta nie ma miejsca na szpetotę, że z Bazyliki Sw. Piotra patrzy Bóg, przed którym nic się nie ukryje. W naiwnych sercach „namiestnik Chrystusowy” jawił się jako postać przeświecona duchem, prawie niezemska, żyjąca jedynie modlitwą i troską o zbawienie świata, promieniejąca blaskiem i mocą. W Rzymie też gromady ludu witały bohaterów żeglarzy, gdy poprzedzani przez wiatronogą wieść, przycumowali swoją tartanę do nabrzeża Porto Fluviale 1. Urzędnik prefektury, otoczony sbir-rami, skierował przybyszów do Hospicjum Polskiego. Tartana została w porcie pod opieką kilku niekatolików spośród załogi.

Do otoczonego murem miasta weszli przez Porta San Paolo 2, prowadzeni przez sbirów.

Od razu za basztą bramną powitała sławnych przybyszów pieśń ulicznego cantastorie, którą Baffo di Favara przetłumaczył, a nawet na prośbę Jakimowskiego zapisał następująco:

Płynie galera przez Archipelagi, A półksiężycem urąga niebiosom.

Zły naładował ją aga turecki Przedziwną kupią: męką i przekleństwem.

Na dnie galery, przykuci do wiosł, W rozpaczy młodzi jęczą niewolnicy, Na wieczną hańbę i wieczną udrękę Przeznaczeni.

To polscy rycerze, W boju o wolność pokonani.

Był między nimi capitario Marco. Zerwał on pęta i sobie, i druhom, Sprośnego agę stracił w głębie morskiej, Wspólnie z druhami wyciął w pień załogę, A uwolnioną mężnie nawet powiodł Przez morza, sztormy, zasadzki piratów, Uparty pościg mściwych bisurmanów •— Na świat jasny! Polscy wojownicy Pomścili klęskę swą i hańbę.

I mknęli jako białopióre ptaki Na skrzydłach żagli rozwitych na wiatr.

A szła przed nimi i za nimi pieśń •—

Z zamku do zamku, od chaty do chaty.

Pociągnęli ku śródmieściu, najpierw przez labirynt uliczek, dróg i placów awenturyńskich, a później brzegiem Tybru, w pobliżu spiętrzonych na Monte Palatino ruin starożytnych budowli. Stanowili orszak barwny, ożywiający ulicę rzymską kolorowymi kontuszami Porto Fluviale — Port Rzeczny nad Tybrem, na pd.-wsch. Rzymu. Porta San Paolo — Brama Sw. Pawła w pd. części murów miejsk.

mi polskimi. Gawiedź zgotowała temu orszakowi huczne powitanie.

Miasto wydało się przybyszom ogromne i wspaniałe ponad to wszystko, co kiedykolwiek widzieli. Ale ponieważ wyobrażali sobie twór bez wady, niby jakieś sanktuarium z kryształu, marmuru, złota i kwiatów, niby jakiś ołtarz nieskazitelny, doznali przeto niemal zawodu. Bo przecie piękno pałaców i świątyń przyćmiewały niechlujne ulice, rudery, wysypiska śmieci, zwały ruin, wypas owiec i kóz w zaroślach placów, zastępy włóczęgów i żebraków zalegających kruchty i schody kościołów, sienie i bramy domów, podwórka, chodniki, jezdnie... Bogate karoce, wykwintne stroje i mundury, przemykające wśród nędznego tłumu i miejskich brudów, wyglądały na widmową igraszkę. Już na pierwszy rzut oka widać było dwa Rzymy: górny i dolny, dwa Wieczne Miasta: pychy i poniżenia, dwie Stolice Apostolskie: kwitnącą w blasku sedia gestatoria i miotającą się rozpaczliwie w sieci Pio-trowej.

Po mieście snuła się uderzająco wielka rzesza duchownych •— od wycieńczonych obdartusów do wykwintnych prałatów, wydzielonych z motłochu jak złote krople oliwy z mętnej wody. Patrole miejskich sbirri i żołdatów, rozwrzeszczane watahy pielgrzymów, biczowników, pokutników wszelkiego rodzaju, poruszanych siłą fanatyzmu żywych trupów o twarzach napiętnowanych męką i obłędem, uzupełniały obraz „wiecznej” metropolii.

•—• Podobni derwiszom •— oceniła pani Jakimowska.

— O, tak! — przytaknął Marek. — A Rzym Stambułowi.

Przypominały mu się herezje Satanowskiego, który głosił, że między katolickimi fanatykami a muzułmańskimi nie ma różnicy, że wszędzie panuje mamona i ludowi źle, że tylko arianie dążą szczerze do zrównania wszystkich ludzi w braterstwie i uszczęśliwieniu... Teraz, po

rozłące z przyjacielem, nawet te błźnier-stwa wydały mu się czymś w osobliwy sposób drogim. Aż zląkł się tego mimowolnego poczucia •— świętokradczego.

Przybysze zamieszkali w Hospicjum Polskim u wylotu via dei Polacchi 1, obok polskiego kościoła pod wezwaniem Sw. Stanisława 2.

1 Via dei Polacchi (wł.) — ulica Polaków, ulica Polska.

2 Pełna nazwa kościoła: Zbawiciela i Sw. Stanisława.

Hospicjum było wzniesioną pod koniec XVI wieku budowlą, przeznaczoną na kwatery dla ludzi z Polski — pielgrzymów i młodzi studiującej w Rzymie. Kościół, zbudowany ongiś na potężnych zwałach ruin starożytnego cyrku Flaminiusza, wówczas przebudowano.

Na progu powitał gości opiekun i kanonik kościoła Sw. Stanisława, sędziwy o. Carittonius, niegdyś spowiednik króla Stefana Batorego. Ze łzami w oczach brał ich w ramiona, sam rozprowadził po gościnnych pokojach schroniska.

— W 1621 roku, gdy pan hetman Chodkiewicz na chocimskiej reducie trzymał potęgę osmańską, trwoga padła na świat — opowiadał. — Papież Grzegorz XV, poprzednik obecnego Pasterza, wydał breve 1, nakazując modły błagalne o zwycięstwo nad Półksiężycem. Szczególnie uroczyste nabożeństwo odbyło się tutaj. Kościół Sw. Stanisława ozdobiony był girlandami kwiatów, wśród których widniał Orzeł Biały i kielich z hostią. Po odśpiewaniu litanii do wszystkich świętych, pobożni z nacji polskiej biczowali się u wejścia. Mnie przypadło wielkie szczęście: przewodniczyłem ludowi w modłach o zwycięstwo polskich wojsk. Wystuchał miłosierny Bóg: Rzeczpospolita odparła najazd pogan. Ach, co za radość zapanowała w Wiecznym Mieście! Jaka sława opromieniła Polskę!

Ledwie się przybysze rozgościli, z urzędu maestro di camera przyszli jacyś duchowni i omówili z nimi posłuchanie u papieża.

Już w podróży przygotowano piękne stroje na tę audiencję.

Jakimowski miał chabrowe spodnie, uroczysty biały żupan ałasowy, zapinany na złote guziczki zdobione turkusami, i podbity sobolami kontusz jasnoniebieski o guzach turkusowych. Przepasany białym pasem jedwabnym o klamrze ze słoniowej kości, inkrustowanej złotem, w przystosowanej barwą do kontusza cza-Pie z piórem, w czerwonych butach, przy szabli o pochwie sadzonej turkusami — wyglądał bardzo okazale. Inni Polacy •—• podo-"nie, ale w różnych odmianach kolorów. Obie Katarzyny, Jakił Breye (łac.) — dekret papieski.

' Kawaler złotej ostrogi mowska i Ostrowska, ubrały się — jedna niebiesko, druga fiołkowo —• w uroczyste szaty aksamitne z kryzami i w czepce o bramkach z pereł. Każdej na gorsie widniało spod sukni śnieżnobiałe gieżło haftowane brylantami.

Harold of Castleborough i jego żona Małgorzata ubrani byli po angielsku. On w obcisłych spodniach czerwonych z żółtymi falbankami u kolan, nad szerokimi cholewami żółtych butów, w nałożonych na zieloną kamizolę śliwkowym kaftanie, zapinanym na liczne guzy i pętllice, o rozciętych rękawach ujętych u dłoni w białe mankiety koronkowe. Szeroka, płaska kryza biała, czarny kapelusz z zielonym piórem i czarny płaszcz — uzupełniały strój lśniący od diamentowych guzów i złotych zapinek. Przy tej barwnej postaci Małgorzata w sukni białej do ziemi i krótkim kontu-siku błękitnym, bramowanym złotą lamą, z wykładanym nań wielkim kołnierzem śnieżnej białości — przedstawiała się nader skromnie.

Ale druga Małgorzata, poślubiona Benito Taglianiemu, wyglądała po królewsku w białej sukni, naszywanej z przodu od dołu do góry złotymi lamówkami, w purpurowej narzucie ze złotym bramowaniem i stojącą białą kryzą, odsłaniającą dekolt i szyję zdobną w kolie. Benito ze szpadą u boku wyglądał przy niej jak paż — w obcisłych białych spodniach i pończochach zdobionych u kolan i czarnych pantofli czerwonymi kokardami, w fiołkowym, szamerowanym złociście kaftanie, nakrytym szeroką płaską kryzą, białą, przepasany wieńcem czerwonych róż z jedwabiu.

Leander Katales i jego małżonka Anna ubrali się po niemiecku. Ona w strój podobny do stroju Małgorzaty Tagliani, jeno że w narzutę ametysovą i w takiż sam kapelus z dużym rondem a białymi piórami. Kapelus Leandra był strojnieszy: miał pióra czerwone i białe. Brązowe buty, chabrowe spodnie i żółty kaftan z kryzą, przecięty w ukos z prawego ramienia na lewe biodro pendentem, na którego końcu zwiisał prosty pałasz, długa do kolan czarna peleryna — oto jego- odzienie.

O. Carittonius i niewiasty pojechali karetami przysłanymi z Watykanu. Mężczyźni — na wierzchowcach otrzymanych w darze i zakupionych w podróży.

Otoczeni gawiedzią, w tłoku przebyli smrodliwy labirynt ple bejskiego Zatybrza 1, gdzie pełno straganów ulicznych, przekupniów, gdzie pod gołym niebem smażono mięswo, gotowano, prano* w kamiennych korytach, uprawiano rzemieślnicze prace... Tyber przejechali mostem wedle okrągłego Zamku Św. Anioła. Budowano właśnie wokół zamku potężne baszty i mur obronny, co' utrudniało przejazd.

Stanęli wreszcie przed ogromną Bazyliką Sw. Piotra, której złoty krzyż zdobiący kopułę, zdawał się mieczem tkwiącym w niebiosach. Wybudowana na Wzgórzu Watykańskim 2 świątynia, poświęcona dopiero przed trzema miesiącami przez papieża Urbana VIII, uczyniła na przybyłych wielkie wrażenie. Wobec jej ogromu, nikł ustawiony przed Bazyliką wysoki obelisk granitowy, mający ponad trzydzieści wieków, który strzegł niegdyś świątyni słońca w starożytnym Heliopolis 3 egipskim.

Na placu czekało kilku świeckich camerieri segreti di cappa e spada 4, szambelanów niższego stopnia, odzianych czarno w aksamitne płaszcze i ubiory, kapelusze z piórami, pończochy, zbrojnych w szpady. Poprowadzili przybyszów bramą pałacu watykańskiego i szeregiem podwórców na dziedziniec Sw. Damazego, gdzie wszyscy zsiadli z koni i opuścili karety. Wśród wart i szpalerów gwardii, przez wspaniałe Loggie Bramantowsko-Rafaelow-skie, otaczające ów dziedziniec, wśród niezliczonych dworzan i służby, przez olśniewające zbytkiem komnaty — doszli do Sali dei Bussolanti, gdzie zostawili płaszcze i nakrycia głowy. Urzekające dzieła sztuki i pomieszczenia, monarszy przepych, ogrom pałacu, cisza mimo obecności niezliczonych ludzi i zatrwająca powaga wszędzie — oszołomiły przybyszów. Poczuli się żalonym* prochem wobec tej imponującej potęgi, po której spo1 Zatybrze (wł.: Trastevere) — plebejska dzielnica w Rzymie, na lewym brzegu Tybru (wł.: Teyere).

2 Wzgórze Watykańskie (wł.: Monte Yaticano) — na prawym brzegu Tybru.

3 Heliopolis — tutaj: starożytna grecka nazwa egipskiego miasta Om, czyli biblijnego Beth-Szemesz, położonego w Dolnym Egipcie, na wschód °d Nilu, nad kanałem łączącym w starożytności tę rzekę z Morzem Czerwonym.

Camerieri segreti di cappa e spada (wł.) •— dosłownie: szambelani tajni d płaszcza i szpady (szambelan — urzędnik dworski, pełniący służbę przy osobie monarchy, podkomorzy).

36'

dziewali się dobrotliwego ciepła, a która tchnęła marmurowym chłodem, niepojętą wspaniałością. Naiwne dusze pielgrzymów utwierdziły się w wierze w papieskie namiestnictwo Chrystusa. Ani na myśl im przyszły ewangeliczne nauki o ubóstwie czy porównanie tego, co tu było, z samozaparciem legendarnego głosiciela „Dobrej Nowiny”. Twarze płonęły jaskrawymi wypiekami albo bladły z wrażenia, oczarowane serca biły przyspieszonym tętnem.

Prefetto di cerimonia 1, majestatyczny prałat w fioletach, dał im — za pośrednictwem o. Carittoniusa i kawalera Baffo di Fa-vara — ostatnie wskazówki, i pouczenia.

•— Sua sancita 2 (oby Bóg błogosławił jego dostojnemu pontyfikatowi!) raczy przyjąć was na audiencji specjalnej i dopuścić do ucałowania swej apostolskiej ręki —• zapowiedział. Minęli jeszcze dwie sale, a w trzeciej, która służyła do przyjęć pielgrzymów i deputacyj... Papież siedział na tronie, odziany w białą szatę. Koło niego stało kilku szambelanów i brat, kardynał Antoni Barberini, wielki peni-tencjariusz. Olśnione oczy przybyszów nie śmiały

zrazu spojrzeć w owo słońce katolickiego świata. Ze złożonymi na piersiach rękami i wzrokiem wbitym w posadzkę, na znak prefekta ceremonii podchodzili do tronu i całowali wysunięty lekko spod szaty trzewik „namiestnika” ubogiego cieśli z Nazaretu. A potem całowali wystawioną łaskawie dłoń papieża, który każdego błogosławił.

Gdy podnieśli nań wzrok, ujrzeni nie prześwieconego duchem starca, promieniejącego nieziemską jasnością, prawie uskrzydłonego, lecz osobnika barczystego, o czerstwej twarzy i wesołych oczach, z trudem znoszącego przybraną sztywność, nakazy zwyczaju i etykiety. Zdawało się chwilami, że zstąpi z tronu między zuchów, którzy tak go ciekawili, i poprosi ich na ucztę, gdzie przy trunkach zawiązą się drużebne konfidencje, zabrzmia huczne wiwaty.

— Witajcie, drodzy synowie moi i córki moje! — przemówił io klęczących pielgrzymów. — Rad was tu widzę znając waszą Wierność dla Kościoła Bożego tudzież męstwo wasze i sławne 1 Prefetto di cerimonia (wł.) — prefekt ceremonii.

2 Sua sancita (wł.) — jego świątobliwość.

czyny. Płakaliśmy razem z wami, gdyście w 1620 roku ponieśli klęskę na Cecorze. A w rok później uradował nas triumf waszej Rzeczypospolitej nad poganami, kiedy wśród powszechnej trwogi narodów chrześcijańskich powstał Pan Zastępów i takim męstwem piersi Polaków uzbroił, że pokonawszy okrutnego wroga zmusił go do ciężkiego dlań pokoju.

Podziwia Europa cała Polaków i zwie ich oswobodzicielami. Krzyża a pogromcami Półksiężycy. Niechaj będzie wieczna chwała imieniu polskiemu! 1 Po przerwie ciągnął już z właściwą sobie familiarnością:

— Rozgłos waszego czynu na galerze tureckiej dotarł do nas wcześniej niż wy sami. Od dawna troszczymy się o wasz los i modlimy o pomyślność. Wstańcie, dzieci moje, i zbliżcie się do mnie.

Krąg rozpalonych twarzy zacieśnił się wokół Urbana.

Jakimowski na znak jednego z szambelanów wystąpił przed wszystkich i ukląkszy ponownie, złożył u stóp papieża wielką, haftowaną w księżycy mużułmańskie i arabskie charaktery chorągiew turecką z białego jedwabiu, która była flagą „Ak-Kalkan”. Następnie Ostrowski ofiarował dużą latarnię sygnałową, zwaną we Włoszech fanale, misternie zrobioną ze złoczonego mosiądzu, — Oto nasz dar dla waszej świątobliwości — rzekł śmiało Jakimowski.

•—• Błogosławieństwo, które otrzymaliśmy z dostojnych rąk Najwyższego Pasterza, będzie nam tarczą na całe życie.

Kawaler Baffo di Favara pełnił obowiązki tłumacza. Urban nachylił się i uściśnął głowę Jakimowskiego.

— Złożysz nam, synu, dar jeszcze jeden, na który wszyscy czekamy: szczegółową relację sławnych i bohaterskich czynów waszych. Ninie opowiesz raz, a potem podyktujesz naszym pisarzom, oni zaś w księdze uwiecznią wasze legendarne boje. Zanim przy, stąpisz do opowieści, mój synu, wobec wszystkich, wobec świata całego, wyrażam, uznanie odwagi a sprawności twojej i towarzyszy twoich, którzyście w tak srogich terminach potrafili odnieść zdumiewające zwycięstwo. Kreuję ciebie, rycerzu Marku Jakimowski, i mianuję kawalerem „Złotej Ostrogi”, czyli Orderu Sw. Sylwestra, ustanowionego w roku 1419 ku pomnożeniu chwały bożej i dla zachęty ludzi do zbożnych czynów.

1 Powyższą ocenę wojny chocimskiej Chodkiewicza wydała Stolica Apostolska w r. 1621, używając podobnych sformułowań.

ISat .Marek rozejrzał się rozpaczliwie po obecnych, jakby kogoś szukał. Żona zrozumiała jego spojrzenie. Schwyciła je swoim i popatrzyła na męża tak pokrzepiająco, że się opanował.

— Bóg zapłać — szepnął łamliwym głosem. — Byli przy mnie dwaj druhowie, bracia moi ślubni, bez których niczego bym nie dokonał, którym order ten należy...

Urban zdumiał się, gdy mu te słowa przetłumaczono na włoski.

— Skromność twoja, kawalerze, dodaje ci zasługi.

•—• Ślubuję Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedyńemu — recytował Jakimowski •— że odpowiedzialnie a godnie ten order nosił będę, honoru rycerskiego nigdy nie przestąpię i krew oddam w potrzebie za wiarę świętą i ojczyznę...

Na znak papieża prefekt ceremonii polecił Jakimowskiemu wstać, a kardynał Antoni Barberini opasał rycerza amarantową wstęgą w czarne pasy, ozdobioną orderem „Złotej Ostrogi”. Był to na tle złotym rozpięty krzyż maltański biały ze złotą obwódka, w którego błękitnym środku widniał złoty wizerunek św. Sylwestra.

Po audiencji — niebysiałem w systemie posłuchań obyczajem •— papież zaprosił jeszcze oboje Jakimowskich do prywatnego apartamentu i tam przez tłumacza długo z nimi gawędził, wyzwalając się coraz bardziej z okowów narzuconego sobie konwenansu.

W pewnej chwili niespodziewanie zwrócił się do Katarzyny:

— Jesteś bardzo piękna, córko. Ale uroda przemija niby wiosna, a nie wraca jak ona!

Cenniejsza jest piękność cnoty, którą należy w sobie pielęgnować. Wystrzegaj się próżności!

Atoli nie uda ci się chyba uchronić liczka od uwagi mistrzów palety, dla których pogoń za

pięknem, rozsianym przez Boga po świecie, stanowi cel najwyższy. Mamy aktualnie w

Rzymie i sławnego Domenichina : i mistrza Reni², i Spagnoletta³, i Campanę⁴ z Bolonii. A

już i Domenichino, właściwie Zampieri Domenico (1581—1641) — malarz włoski szkoły bolońskiej; obrazy treści mit., rei., portrety.

² Guido Reni (1575—1642) — malarz włoski szkoły bolońskiej; obrazy relig., portrety.

³ Spagnoletto (dosł.: Hiszpanek) — przezwisko Hiszpana, malarza szkoły neapolitańskiej, Giuseppe Ribera (1588—1656); obrazy relig., portrety; pracował przeważnie dla Hiszpanów.

⁴ Hiacynt Campana (1600—1650) — malarz włoski szkoły bolońskiej; był nadwornym malarzem króla polskiego Władysława IV; nie ocalały po nim żadne prace.

Bernini * tak lubi rzeźbić piękne ciała, że nie przepuści okazji.

„Ci Włosi — pomyślał ze złością Marek — powinni nosić pędzel u boku, a nie szpadę”.

Jakimowscy wyszli oczarowani urokiem papieża, człowieka bardziej świeckiego niż kapłana.

Owa świeckość ujęła wszystkich. *

W hospicjum zastali bogate dary od papieża i innych Barberi-nich oraz od Kośmy de Torres, byłego nuncjusza papieskiego w Polsce, obecnie zaś protektora Korony Polskiej. Wśród darów były klejnoty, materie i szkatułki, zegary, flakony pachnideł, kosztowny oręż i ubiory, konie z drogocennymi rzędami, pieniądze. Jakimowski na domiar otrzymał od papieża karetę z sześcioma końmi.

•— Gdyby mnie nawet rodzic wydziedziczył — powiedział do żony — zdobyczy i darów starczy nam do końca życia. Ach, gdyby jeszcze Jan i Stefan byli ze mną, dzielili nagrody, pochwały!

Trzeba się było jakoś za dary wywdzięczyc. Toteż junacy, nawiedziwszy hojnych dostojników w ich zbytkowych siedzibach, ofiarowali im piękne chorągwie, zdobyte na Turkach i piratach.

— Najokazalszą zostawimy dla Wawelu — postanowił Marek.

Ruszyli też procesją do kościołów. W tydzień obeszlili kilkanaście z wielkim nabożeństwem i udziałem tłumu rzymian. W kościele polskim przy hospicjum, u Św. Zuzanny nie opodał Kwiry-nału i w kościele Św. Hieronima obok Gospody Słowiańskiej nad Tybrem — zawiesili też chorągwie tureckie z „Ak-Kałkan”.

Z Monte Pincio widać było znaczną część Rzymu w obrębie murów i poza murami, Bazylikę Św. Piotra, Watykan, ruiny Colos-seum i Forum Romanum...

Wszędzie tu nowe mieszało się ze starym i bardzo starym, piękno ze szpetotą, bogactwo z nędzą — w stopniu uderzającym Wśród ruder rosły wspaniałe pałace i kościoły, obok nowo zabudowanych ulic tkwiły zwały ruin budowli antycznych. Przedwieczny Circus Maximus wrósł w narzucone przez stulecia gruzy i nawianą ziemię, podobnie łuk triumfalny Septamusa

Sewera, kolumna Phokasa, Termy Karakalli. Na umieszczonym z gruzu 1 Lorenzo Bernini (1598—1680) Przedstawiciel baroku.

— wielki architekt i rzeźbiarz włoski, Campo Vaccino, między ogromnymi złomami ruin, pasło się dłu-gorogie bydło kampańskie, owce, kozy. Tu a tam wykopywano coś z rumowisk. Stąd i zowąd wożono starożytne rzeźby i elementy dawnych budowli do nowo wznoszonych. Spośród pałaców wyróżniały się pięknnością i ogromem siedziby Medicich, Ludo-visich, Barberinich, Rospigliosich i wreszcie rozpoczęty pałac papieski na Monte Quirinale. Przez miasto i daleko poza nie ciągnęły się przygaszone zimą parki, ogrody, zieleńce, pełne wyrabowa-nych z ruin rzeźb klasycznych, a najpiękniejszy z nich i największy — w Villa Borghese — sięgał daleko od Monte Pincio, Porta del Popolo, Via Pinciana. Wśród licznych wodotrysków budziły uwagę szumiąca Aqua Paola na Monte Gianicolo i kipiąca rzeźbią studia na Piazza Navona.

Jakież tu wszystko było dziwne!

Widziało się uduchowionych kaznodziejów ulicznych, wygłaszających wzniosłe tyrady, i księży zamieszanych w bójki uliczne, pijanych, żebrzących. Obok ochrypłych nędzarzy — pięknie śpiewających uliczników, obdartych recytatorów, wycieńczonych grajków górnego lotu. Za ohydą nędzy, rozkrzewionej między wspaniałościami papieskiego świata, lśniły skarby sztuki i talentu, a w niespokojnej pokorze tłumów drzemały bunt i wybuch.

Z jakiejś rudery biegła tęskna pieśń miłosna:

Skradłaś mi spokój, signorina, Ogrodom zabrałaś kwiecie, A słońcu jasną koronę. Ale nie twoja przecież wina, Że kiedy chodzisz po świecie, Serca śpiewają kanconę.

A między straganami na jakiejś piazza : wychudły straccione 2, wysunawszy czapkę ku przechodniom, deklamował z przejęciem:

Przeze mnie droga w gród łez niezliczonych, Przeze mnie droga w boleść wiekuiłą, Przeze mnie droga w naród zatraconych.

Wchodząc tu, wszelką porzućcie nadzieję! 1 Piazza (wł.) • — plac, rynek.

2 Straccione (wł.) — łachmaniarz.

3 Początek Pieśni III części „Piekło” utworu „Boska komedia” Dantego Alighieri (1265—1321), wielkiego poety włoskiego.

Koło kościoła Sw. Hieronima, na placach i całej Via Ripetta, otoczeni tłumem gapiów szarlatani sprzedawali różne świętości:

— Cudowna woda święcona od pożaru! Wystarczy pokropić domostwo i zmówić modlitwę do św. Floriana.

— Bracia! Chrzęścijanie! Oto manna św. Mikołaja z Bari, na wszelkie skuteczna choroby! Jedna racja manny — na kaszel, dwie — na enterite 1, trzy — na tifo 2...

— Kup u mnie, katoliku, kamień z ołtarza Ablowego, przy którym niecny Kain popełnił zbrodnię bratobójstwa! Wszelaką pomyślność ci da takowy, gdy...

— A u mnie Baranek Boży św. Jakuba z Kompostelli! Chroni od pestilenzy!3 Do mnie, ludzie! Do mnie, chrzestijanie! Rzymianie!

— Wracam ja, moi bracia, z Jeruzalem, kędym wielu łask bożych i cudów doznał. W tych łągiewkach, sporządzonych z drewna oliwek, co rosną w Ogrójcu Oliwnym, kędy Pan nasz Jezus Chrystus z Bogiem Ojcem dyskurował, posiadam wodę z Jordanu, która ma moc nawracania żydów i muzułmanów na świętą wiarę katolicką.

Gdzieś ulicą maszerowała pod dozorem sbirrow miejskich i papieskiej milicji gromada skutych włóscian, którzy nie spełnili poddańczych swych powinności. Gdzieś gnano przestępców zwykłych.

Na Pazza Navona, nie opodal studni ozdobionej alegorycznymi figurami, sbirri chłostali skazańców wedle kar wymierzonych sądownie. Rozbawiona krzykiem i kłątami delikwentów publika wołała:

— Ancora! Ancora •— Ancora battere!⁵ Ancora frustare!⁶ Bastonare!⁷ Sbirri siepnęli coraz biczem kogoś z tłumu gapiów. Niby żartem. Gawiedź odpowiadała wesołymi piskami, zwłaszcza niezli¹ Enterite (wł.) — katar kiszek.

2 Tifo (wł.) — dur.

3 Pestilenza (wł.) — mór, morowe powietrze, morowa zaraza.

4 Ancora (wł.) — jeszcze.

5 Battere (wł.) — bić.

6 Frustare (wł.) — chłostać.

7 Bastonare (wł.) — bić kijem.

czone ulicznice, które skazańcy i sbirri nawoływali frywolnie, czyniąc nieprzyzwoite gesty.

Na niektórych placach wystawiono na widok publiczny głowy świętych złoczyńców, których coraz więcej liczyło Państwo Kościelne. Na tablicach u słupów, do których przytwierdzano te okropne eksponaty, wypisane były winy straconych i ostrzeżenia dla widzów.

Tu a tam w oczach tłumu ulicznego, żołnierzy i sbirrow odbywały się krwawe rozprawy nożowe, pojedynki, napady na przechodniów i pojazdy. Gdzieś terkotała palba, gdzieś z okien pałacu dymiły lufy skierowane na... sbirrow, którzy ponoć nadużywali swej policyjnej władzy. Z wszystkich prawie bram mizdrzyły się do mężczyzn przędą j ne dziewczki, z każdego niemal załomu ściany wyciągała się ku przechodniom dłoń żebraka.

Słońce wyszło zza chmur i wzbudziło w panującym nad stolicą krzyżu kopuły Sw. Piotra oślepiające blaski. Zabłyły dachy świątyń i pałaców. Spotężniałe światło pogłębiło cienie osnuwające zaułki, rudery, ruiny.

Z okien kwatery Jakimowskich widać było wygięty ku zachodowi łuk Tybru, Monte Yaticano, Monte Gianicolo, Zamek Sw. Anioła...

Powróciwszy z miasta Marek, niesyty go, stał w oknie i patrzył.

Wieczorem kopuła Bazyliki Sw. Piotra zapłonęła jakby pożarem: rozgorzała tysiącami lampionów i pochodni, rozjarzona niby drugie słońce, weszła po zachodzie pierwszego.

Świat wydawał się spoczywać w błogim spokoju pod okiem owego słońca Ale nie — bo gdzieś w pobliżu Hospicjum Polskiego dźwięczała łagodna muzyka gitary i cichy śpiew... aż nagle, gwałtownie z czerni nocy, do której nie dotarły blaski z kopuły, z zaułków nadtybrzańskich, wydarł się przejmujący krzyk:

— Aiuto! Aiuto!

• Dla uczczenia załogi tartany wielki penitencjariusz wydał obiad w klasztorze San Stefano Rotondo na Monte Celio.

Potrawy były wyśmienite, nawet trunków obfitość. Ale pod r 1 Aiuto! (wł.) — ratunku! sklepieniem refektarza panował też ciężki nastrój. Sam gospodarz wciąż kwękał o cnocie i modlitwie, a uczestniczący w obiedzie zakonnicy usiłowali go naśladować, lubo oczy rwały się im do żon gości i do trunków, serca zaś do krotochwili. Baffo i tłumacze kardynalscy, z trudem utrzymując powagę, nukali przekłady ubożuchnych wypowiedzi monsignora, znanego z miążkiego rozumu.

Wszystko się raptem zmieniło, gdy huczno, nie zapowiedziani ani spodziewani, wpadli dwaj młodzi kardynałowie, Antoni i Franciszek, bratankowie gospodarza, w otoczeniu rozbawionych cor-tigiane¹, cavalieri², canzonettisti³, sonatori⁴ — kompania podchmielona, w jaskrawych strojach, zbrojna w szpady i broń palną; niektóre twarze kryły się pod maskami. Na podwórku, przed oknami refektarza, został wielokonny „carnus navalis”, czyli wóz karnawałowy w kształcie żaglowego okrę-

• tu na kołach, ustrojony wstęgami i kwieciami, rozbrzmiewający muzyką, śpiewem, a nawet palbą z pistoletów przebywających w nim jeszcze ludzi.

Penitencjariusza przeraziło najście rozhukanych gagów⁵. Bratankowie jęli wmuszać weń trunki i podkpiwać — ku strytej ucieście zakonników oswojonych z wybrykami książąt Kościoła.

— Toż Babilon istny! Sodoma-Gomora! — mruzczał coraz nie-mrawiej. — Koniec świata bliski, gdy takowe duchowieństwo...

Słowa rozłążyły mu się w ustach, aż usnął nad pucharem.

Na znak dwudziestoletniego kardynała Antoniego Barberini grajkowie i pieśniarze huknęli dziarską kanconę. Polacy jej wprawdzie nie rozumieli, ale sam refren był sercu polskiemu zrozumiały i miły, a zwłaszcza sercu Jakimowskiego:

Viva la Polonia Viva ii capitano Jakimowski 1 Cortigiane (wł.) — zalotnice.

2 Cavalieri (wł.) — tu: kawalerowie.

3 Canzonettisti (wł.) — pieśniarze. * Sonatori (wł.) — grajkowie.

5 Gaga (wł.) — fircyk, strojniś.

6 Niech żyje Polska 7 Niech żyje kapitan Jakimowski!

Marek sposepniał, gdy obok jego żony usiadł kardynał Franciszek Barberini, przebrany za pieśniarza. Zuchwale patrząc jej! w oczy monsignore przy akompaniamencie gitary zaśpiewał płomienną kanconę, której każda zwrotka zaczynała się od słów: „Amore mio!”

Bombardowana spojrzeniami Katarzyna zarumieniła się po sam czepiec. Marek, choć wrzało w nim, nie śmiał przeszkodzić zakusom purpurata. Ten przerwał pieśń i przez kawalera Baffo di Fa-vara zagadnął sławnego rycerza:

—• Długo, mniemam, zabawicie w Rzymie, skoro jego świętobliwość raczył okazać wam tyle łaski, co jest wielkim darem niebios.

— Ależ my wracamy doma po latach niewoli! — odparł dość hardo Jakimowski.

— Odrzucisz więc szczęście? No i pozwolisz chyba portretować swoją czcigodną małżonkę. Albowiem olśniewająca jej uroda godna jest uwieńczenia, jak twierdzą wszyscy z samym mistrzem Reni na czele, który widział ją na festynie u wicereja Sycylii. Fama, jak waćpan widzisz, szybuje, chyże j niżli nawa.

•— Racz wasza eminencja spytać jejmości, czy chce portretu. Monsignore jakby nie dostrzegął rozdrażnienia Polaka.

— O, nie unikniecie! •— rzekł zartobliwie. — W Rzymie, pod ojcowską opieką jego świętobliwości, bawi wielu mistrzów dłuta i palety, którzy szukają pięknych niewiast. Katarzynę uradowały możliwości zdobycia mistrzowskiego portretu. Przez tłumacza jęła dopytywać o znamienitych malarzy, ze świętą naiwnością ignorując wysoką ich pozycję w świecie.

— A widzisz waść? •—• triumfował kardynał. — Czasem przechodzień trafniej oceni marzenia białogłowy niżli małżonek. A w ogóle to los uwziął się na ciebie, panie kawalerze: na niniejszym znów obiedzie gości młody mistrz z Bolonii, pan Hiacynt Campana, uczeń samego Franciszka Albani! Campana, jakeś chyba zauważył, nie odrywa oczu od pani Jakimowskiej.

Marek aż zatrzęsł się z gniewu. Owszem, na festynach w różnych miastach włoskich, a i tutaj, widział rzeczonoego Campanę. Snadź malarz jeździł za nimi trop w trop, uwielbiwszy Katarzynę.

Monsignore spróbował rozproszyć konfuzję rycerza:

r 1 Amore mio! (wł.) — kochanie moje! — Campana patrzy, oczywista, -na jejmość panią oczyma artysty oczarowanego pięknem. O, czeka go wielka przyszłość! Sam kardynał Santa Croce ma go w swojej protekcji. Jego eminencja, imaginuj sobie, kapitanie, został mianowany nuncjuszem w Polsce i zabiera tam z sobą Campanę.

— Może to okazać się niebezpieczne — wtrącił szyderczo dwudziestoletni kardynał Antonio, który słuchał rozmowy brata z Ja-kimowskim — niebezpieczne dla waści i dla...

Nie dokończył, a i Baffo przetłumaczył te słowa z wahaniem, bo Marek gwałtownym ruchem chwycił puchar z winem i — dla dodania sobie animuszu czy dla opamiętania — począł zachłannie pić. Ten gest miał wyraźną chyba wymowę, bo młokos, wielce skonfundowany, dorzucił:

— „Di carnevale ogni burla yale”. Po czym odszedł spiesznie do swej kompanii. Grajkowie i śpiewacy zawadzili teraz neapolitańskie madrygały. Wszystkim już dobrze ze łbów kurzyło. Coraz śmieiej pokrzykiwały kardynalskie cortigiany, atakowane zewsząd. Tu a tam koło stołu puszczano się w tany. Zakonnicy pobekiwali świeckie kancony.

Widząc, na co się zanosi, obudzony wrzawą wielki peniten-cjariusz tak pokierował ucztą, że się ona wnet skończyła.

Przed wyjściem kardynał Franciszek Barberini jeszcze raz zwrócił się przez tłumacza do Jakimowskich.

— Pozwolę sobie powtórzyć — rzekł do Katarzyny kłaniając się ze świecką galanterią — że winnaś, pani, zostawić Rzymowi swój kontrefekt na wieczną pamiątkę po najpiękniejszej białogłowie ziemi i po najwaleczniejszym wojowniku.

— Zalim godna? Zali... — bąkała Katarzyna wniebowzięta. Komplement kardynała rozbroił Marka. Nie śmiał zabronić żonie układow co do portretu.

•—• Skoro waszmość państwo wyrażacie zgodę — rzekł znowu kardynał — poproszę, abyś pani raczyła pozować do obrazu... na przykład... w moim domu koło Monte Quirinale...

Jakimowski uczynił gest, jakby chciał zaprzeczyć, ale bystry kardynał uprzedził go:

1 1 Znane przysłowie włoskie: „W karnawale każdy żart dobry”.

— ...albo u waszmość pani, jeśli ci to wygodniejsze: w recepcyjnej sali Hospicjum Polskiego.

— Dobrze — zgodził się Marek, ale wnet znowu go ugodzono.

— Poproszę tedy Campanę, aby nawiedzała panią — rzekł Franciszek. — Wyznacz mu pani, poranne sedute 1 od jutra.

Marek spurpurowiał na twarzy, ale przecież wstyd mu było wyznać, że wolałby starego mistrza nad tego gładkiego fircyka.

— Wyznaczę •— przypieczętowała Katarzyna.

Campana jakby czekał na to. Snadź słyszał rozmowę, bo oto już w niskim ukłonie zamiatał piórami kapelusza podłogę przed Katarzyną. Kawaler Baffo dobrze sobie nałamał głowy nad tłumaczeniem z mowy włoskiej na polską jego zawitych komplementów:

— O, czcigodna pani! Jakże łaskawy los przywiódł mnie tutaj! Posłużył się on przy tym sławą olśniewającej urody waszej mości. Szukam natchnienia i znalazłem je. Widok twój, pani, u której sama Afrodyta mogłaby z zaszczytem dla siebie służyć jako do-mestica 2, przywodzi na myśl, że niebianki nie są wymysłem favo-listów 3, lecz najszczerzą prawdą o aniołach, co między ludźmi żyją dla uszlachetnienia i ozdoby rodzaju ludzkiego. O, czcigodna pani! Jeśli łaskawość twoja równa się piękności, to ufam, że nie cofniesz swej zgody i potwierdzisz nadany mi przed chwilą przywilej malowania twego portretu. Zaszczyt to dla mnie i szczęście niewysłowione: uwiecznić urodę pierwszą między białogłowami.

•— Wszak postanowione — warknął opryskliwie Marek.

Campana, acz nie zrozumiał, popatrzył nań przeciągle, zaczepnie.

Na dziedziniec wysypała się hałaśliwa czereda. Zza murów od-1 dzielających klasztor od ulic przyglądali się przechodnie. Służba kardynałów perswazją, groźbą i przemocą rozpraszała gapiów.

— Może waszmość państwo udacie się z nami „wozem okrętowym” na przejażdżkę? — zaproponował kardynał Franciszek. — A potem będzie ciekawy yeglione 4 u prałata Savelli. Katarzyna błagalnie spojrzała na męża.

•— Dzięki! Nie możemy — rzekł Marek bez wyjaśnień.

Kardynał zrezygnował. Ale ognistooki Campana nie dawał za; 1 Seduta, l.mn. sedute (wl.) — posiedzenie, np. przy pozowaniu.

2 Domestica (wl.) — służebna.

3 Favolista (wl.) — bajkopisarz.

4 Yeglione (wl.) — bal maskowy, maskarada.

wygraną. Ignorując Marka, ledwie już panującego nad sobą, oszołamiał ją duserami. Baffo uchylał się jednak od tłumaczenia. Nie chciał awantury, a pragnął zabrać się wozem karnawałowym kardynałów albo jedną z ich karet, z których wyglądały już niecierpliwe damy. Marek poprowadził żonę do swej karety. „To duchowni? — myślał zgorszony. — Z tyła gamratek pokazywać się publicznie!”

Campana otworzył drzwiczki karety i pomógł Katarzynie wsiąść. Marek, sam wsiadając, niby niechcący odtrącił go. Włoch zmełł w ustach siarczyste przekleństwo i błysnął dobytą szpadą. Ale Ja-kimowski udając, że tego nie zauważa, huknął na woźnicę:

— Ruszaj!

Kareta śmignęła w ciemność wieczoru, upstrzoną światłami. . — Wiem, ile cię to kosztuje: dzięki ci, żeś nie dobył szabli — szepnęła Katarzyna.

— Nie wiem, czy jutro tego nie uczynię — warknął.

— Zali jutro przestaniesz mnie miłować? Zaiste, na takie dictum nie miał odpowiedzi.

Katarzyna westchnęła. Po haremowej niewoli pożądała swobody i rozrywki, jak więzień powietrza. Jakże pragnęła z tą wesołą młodzieżą wsiąść w „carrus navalis” i pomknąć pod jego żaglami na miasto, na drogi zamiejskie, do pałaców, między inne korowody... Wiedziała jednak, że •— czy w haremie, czy w stadle chrześcijańskim — niewiasta musi być posłuszna mężowi.

W drodze minęli się z wieloma wozami karnawałowymi kształtu różnych okrętów.

Rozbrzmiewały weselem. Po ulicach snuły się pochody kostiumowe z muzyką, taneczne korowody, rozbawieni ludzie — od nędzarzy do bogaczy. W pałacach i ruderach dźwięczały muzyka i śpiew, odgłosy płasów i pijatyk, bójek i miłosnych wyznań...

W domu kadiego — rzekła Katarzyna — znający świat chrześcijański Turcy powiadali, że o pewnej porze roku chrześcijanie dostają wariacji i dopiero proch, sypany im w kościele na głowy, leczący takową: myśleli o Popielcu kończącym zapusty, czyli karnawał. Jakież to wszystko dziwne i ciekawe!

• Mamy inwytacje od rozmaitych podkasańców na festyny:

Przestaną ci zapusty być dziwne. A myślisz, że u nas, w Polsce, karnawał gorszy niż tu? O, jeszcze jaka fantazja! Po wioskach chodzą turonie i różne wesołki przebierane a dziwadła. W miastach maskary urządzają ludzie. A masek bez liku! Panieńskie, białogłowskie, babskie, pańskie, senatorskie, chłopskie... Tańczy się chyba jeszcze więcej niż tu, ale i siarczyście]: i pod gołym niebem, i pod byle dachem... A trunków płynie! A szable w robocie! A wzdychania i amory, a swaty i oženki, a różności... Niektórzy plebani to nawet „rozpustami” takowe „zapusty” zowią i z ambon „zbereźników” gromią. Ale niechby tutejsze „rozpusty” zobaczyli! U nas to tak jakoś, panie dzieju, po bożemu, swojsko*...

— Radam, że niedługo już to wszystko obaczę.

— Aż ci się oczy śmieją do igraszek zapustnych —• sarknął. — Jużeś chciała hasać z onymi (aż trudno rzec, tfu!) prałatami, co?

— A chciałam — odparła śmiało. — Zdajesz się waćpan zapominać nasze dyskursa o nowej niewoli, w jaką chcesz mnie zamknąć.

Przemilczał. Zatrwożyły go nagle te drobne niesnaski, które zakłócały po trosze ich krótkie pożycie. Co będzie dalej? Czy tak, jak z jego rodzicami? Może u nich podobnie zaczęło się owo nieznośne piekło domowe, od którego całe życie uciekał?

Ujął rękę żony i podniósł do ust. Ona w odpowiedzi natychmiast uczyniła to samo z jego dłonią. W jednej chwili uczuli w sercach taką błogość, że wszystko złe i dobre, wraz z całym karnawałem, Rzymem, rozterką — przestało jakby istnieć.

Nazajutrz znowu dla par małżeńskich z tartaiiy odbyła się yisita di cortesia 1 w przepysznym pałacu Barberinich koło Kwirynału.

Spotkanie urządził kardynał Franciszek dla swej matki, Konstancji, oraz bratowej, Anny z rodu Colonna, żony generała Tadeusza, ciekawych głośnej awantury. I teraz goście zostali obdarowani upominkami, godnymi książąt Barberini i Colonna.

— Oglądają nas niczym simiae 2 i płacą za to — zgrzytnął Marek. — Gdyby nie ten zapiłowany konterfekt, tobyśmy hajda doma!

Campana wedle umowy odbywał z Katarzyną codzienne sedute 1 Visita di cortesia (wł.) — wizyta kurtuazyjna.

2 Simiae (łac.) — małpy.

portretowe w hospicjum. Kardynał Franciszek Barberini łaskawie nadzorował postęp prac. Ich adorację Katarzyna traktowała jako należny jej hołd. Z portretu coraz żywiej i piękniej wyłaniała się nieposzlakowane urodziwa jej twarz, pełne kształty.

Marek odbywał z młodymi kardynałami łowy nad Lago di Bracciano, uroczę przejażdżki po Kampanii, do pałacu Aldobrandinich we Frascati, do Castel Gandolfo nad lazurami, przezręczystym niby kryształ Lago di Albano, gdzie księżęta Barberini z Urbanem na czele budowali pomnik swego nepotyzmu i bogactwa — pałac z urzekającym widokiem na Rzym, Monti Albani, a nawet morze, które stąd teraz zimą, wyglądało niczym srebrzysta, omglona smuga...

Tymczasem Rzym opuścili państwo Tagliani i Castleborough, udając się do swych rodziców a teściów w Wenecji. W ich ślady poszli państwo Katales. Pojechali do Adlerhorst w Austrii, gdzie mieszkała rodzina Anny. Pożegnaniom, oczywista, towarzyszyły biesiady, serdeczne uściski, łzy i przysięgi braterstwa, obietnice odwiedzin. Aby swobodniej było, z hospicjum przenoszono się ucztować na pokład tartany zakotwiczonej nadal w Porto Flu-viale.

— I my lada chwila wyfruniemy — zapowiadał Marek.

Ułożywszy plan podróży morskiej do Polski, obwieścił je towarzyszom, samym już teraz Polakom:

•— Mamy ponad trzy tysiące mil morskich drogi. Pożeglujemy przez Gibraltar i Kanał La Manche, potem wpłyniemy na Bałtyk. Tu musimy przemykać się ostrożnie. Albowiem Rzeczpospolita toczy ciężką wojnę ze Szwecją na lądzie i morzu, pełne więc wody bałtyckie wrażeń. Atoli, jakom was wydobyl z niewoli, lubo się to wydawało niepodobieństwem, jakom was przeprowadził przez morza śródziemne i tureckie archipelagi, przez sztormy i podstępny korsarskie, jakom was z bogactw zdobyczą i darami diuków, tak was również przez szwedzkie zasadzki przeprowadzę do Gdańska.

Po tych chełpliwych słowach radosny rwetes wybiegł z pokładu tartany, gdzie odbywała się odprawa, na cały Porto Fluyiale. Jakimowski, przeczekawszy hałas, ciągnął dalej:

- Pan hetman Koniecpolski, który też dostał się na Cecorze 0 "niewoli, dawno już doma wrócił. Gromi ninie Szwedów, bo to -Kawaler złotej ostrogi wódz znamienity i cecorski pogrom zmyć pragnie bodaj krwią innego wroga. Na morzu, jakom wymiarkował u kardynałów, Rzeczpospolita nasza gotuje wielką armadę. My one j armadzie dodamy naszą eksperjencję i pławacką i tartanę niniejszą z kom-putem 2 zacnych dział!

— Damy! Tak nam dopomóż Bóg! — huknęli wszyscy wzruszeni.

— Atoli, zanim obejmemy służbę u najmiłościwszego króla naszego, drugą banderę „Ak-Kałkan" jako trofeum i wotum złożymy na Wawelu. Aby po wieczne czasy wiadome było, jak ręka boska wywiodła nas z ziemi egipskiej, z domu niewoli!

Wszystkich ogarnęło wielkie uniesienie.

— Niech żyje król! Niech żyje Rzeczpospolita! — wołano. Gdy wrócili do hospicjum, zastali dworzan kardynała Franciszka Barberini z zaproszeniem na zapowiedziany przedtem veglione.

We wspaniałym pałacu Barberinich, wzniesionym niedawno przez kardynała Franciszka, pełnym klasycznych rzeźb, marmurów, złocień, obrazów, galeryj, kolumnad, rojno było i gwarno.

Zaraz w westybulu dworzanie kardynalscy odłączyli Jakiniow-skich od przybyłego z nimi towarzystwa. Potem, rozdzieliwszy ich, uprowadzili każde z osobna dokądś w głąb pałacu. Marek, przebrany za Araba, wypłynął dopiero gdzieś w nieskończonej amfiladzie komnat, wśród tłumu cudacznych przebierańców.

Kawaler Baffo, słynny tancerz neapolitański Alato i malarz Campana, pełniący role mistrzów ceremonii, kierowali tą cizbą. Z ich pouczeń wynikało, że veglione będzie miał różne odmiany.

W ogromnej sali balowej przebywali już najdostojniejsi uczestnicy balu. A więc stary książę Karol Barberini z żoną Konstancją, kilkoro książąt Colonna, spokrewnionych z nimi. A więc przedstawiciele różnych innych rodów książęcych. Wszystko nazwiska dumne i stare lub starość udające. A więc kardynałowie: de Tor-res, były nuncjusz papieski w Polsce, i Santa Croce, dopiero na 1 Eksperienca (łac.) — doświadczenie.

2 Komput (łac.) — poczet, liczba.

to stanowisko mianowany. Aż i sławni mistrzowie pędzla, dłuta j cyrkla, bogactwem i znaczeniem dorównujący bez mała magnatom. Siedzieli wszyscy w ciężkich fotelach rzeźbionych pod wielkim na całą ścianę portretem Urbana VIII, który stanowił chwałę, opiekę, pomyślność i słońce familii. Papież był w szyszaku i zbroi, a jego dziarska twarz i wesołe oczy zdawały się mówić do zebranej ufnie u jego stóp gromady: „Radujmy się, póki słońce na niebie!” Mniej dostojni goście bawili w sąsiednich pomieszczeniach, skąd ich gwar dobiegał tutaj.

Zgromadzona na galerii kapela stroiła instrumenty. Zagrzmiała nagle żwawą intradą 1 na znak księcia Karola, który stwierdził że dostojniejsi są już w komplecie. Służba, strojna w brokatowe i aksamitne liberie, rozwarła naraz wszystkie podwoje, a na salę balową w tak muzyki jęli wkraczać goście dalsi, według rang i godności. Owi mieli na sobie stroje francuskie, niemieckie i włoskie, a twarze — odkryte. Inni weszli w kostiumach i maskach. Byli to bożkowie starożytni, boginie i nimfy², średniowieczni rycerze w przyłbicach kryjących twarze. Były osoby podobne do ptaków: przybrane w kostiumy z piór. Były rusałki i anielice. Byli paziowie i królowie. Było też wiele innych odmian postaci fantastycznych, biblijnych, wygrzebnych z historii czy mitologii... Na barwne korowody posypały się z galerij kwiaty, rozpylano z flakonów pachnidła...

Yeglione dzisiejszy został urządzony jako parada pomysłów i emocji ujawnienia osób utajonych w kostiumach i maskach.

Jakimowski nie mógł zrazu nikogo rozpoznać w tej hałaśliwej, rozbawionej cizbie koźlorogich panów i faunów³, ustrojonych w zieleń i kwiecie driad^{*}, najad⁵ w szmaragdowych jak woda sukniach i maskach na kształt nenufaru, odzianych na lazuruwe oceanid⁶ w woałach, srebrzystych oread⁷... Barwy, blaski, kształty, ruch • — wszystko mieniło się w oczach, oszołamiało. Wreszcie ntrada (wł.-fr.) — wstęp do utworu muzycznego, przygrywka, fanfara. Nimfa (gr.) — półbogini wiecznie młoda.

'an (gr.), faun (łac.) — bożek leśny/z rogami i nogami kozła. Driada (gr.) — nimfa leśna. 5 Najada (gr.) — nimfa wodna.

3ceanida (gr.) _ każda z 3000 cór Oceana i Tedyty; nimfa morska. 3reada (gr.) _ nimfa górską.

37*

wśród hożych nereid J rozpoznał Katarzynę Ostrowską, ale wnet znikła mu z oczu.

Przed oczami ludzi siedzących pod portretem Urbana VIII, patrona tego zbytkującego świata, przepłynął stubarwny orszak. Każdy jego uczestnik składał głęboki ukłon księciu Karolowi i jego małżonce oraz innym dostojnym w ich gronie.

Na znak dany przez Campanę, który widowisko projektował, korowód przemknął do sąsiedniej sali. Ucichło wszystko... Ale wnet na galerii zagrzmiała muzyka gwałtownym, rosnącym potężnie crescendo 2. Główne wejście większe od innych, zamknięte dotąd,

rozwarło się powoli. Wtedy na salę wtoczył się „carrus navalis”, opleciony kwiatami, poruszany przez ludzi poprzebie-rannych za trytony 3 i nereidy, a potem rój fantastycznych postaci. Zabrzmiał okrzyk zdziwienia wśród widzów. Na ukwieconym tronie ustawionym na pokładzie „wozu okrętowego” siedziała Katarzyna Jakimowska. W złotym, wysadzonym brylantami diademie, w sukni z mieniającej się lamy złocistej, zarumieniona, cudna jak nigdy, wyglądała na prawdziwą monarchinię. W postępującym na przędzie trytonie poznano monsignora Franciszka. A więc — wedle świeckiego obyczaju średniowiecznego — oddał się on w rycerską służbę uwielbianej damie.

Kapela zagrała teraz hymn pławaczy polskich, a chór męski na galerii zaśpiewał:
Czuj-duch! Hej, bosmani! Wróg lonty zażega I z armat czterdziestu daleko od brzegu
Zaprasza w tan!

Jakimowski stał w tłumie niemal wstrząśnięty. A więc ta poważna, cicha niewiasta królową kardynalskiego veglione! Królową rzymskiego karnawału! Podbiła wypalone serca zwodników! Obok zachwyty bo jaźń ogarnęła duszę Marka. Tyle mu wiadomo było o swawolności prałatów, o awanturach, uprowadzeniach, gwałtach...

1 Nereida (gr.) — nimfa morska, przedstawiana jako hoże dziewczęcę, siedzące na grzbiecie trytona.

2 Crescendo (wł.) — dosłownie: rosnąco; coraz mocn. dźwięki.

3 Tryton (gr.) — starożytne greckie bóstwo: pół-człowiek, pół-ryba: ro-i dzaj jaszczurki. Malarze i rzeźbiarze najbardziej tłoczyli się koło „carrus nava-ys” i „królowej”. Katarzyna, oszołomiona coraz bardziej, nie wiedząc, co czynić, siedziała nieruchomo. A gdy orkiestra umilkła, zagrzmiały oklaski na cześć „królowej”.

— Leggiadra!1 — szeptano. — Bella!2 Affascinante! Spośród orszaku kostiumowego wyszedł przebrany za fauna prefekt Rzymu, generał Tadeusz Barberini, i gestem ręki uciszywszy hałasy powiedział:

— Z nakazu boga Posejdona ogłaszamy jejmość panią Katarzynę Jakimowską królową dzisiejszego veglione! Eviva la re-gina! Ponownie zabrzmiały okrzyki i oklaski.

Z burty „wozu okrętowego” wysunęły się schodki. Kilku fau-nów sprowadziło po nich „królową”. Wtedy książęta Franciszek i Tadeusz przywiedli oboje Jakimowskich do swych rodziców siedzących pod portretem. Towarzyszył im niezastąpiony tłumacz Baffo.

— Racz usiąść, wasza miłość, proszę, między nami — z dwornym ukłonem przemówił książę Karol do Katarzyny. — Wiedząc, że waćpaństwo lada dzień opuścicie nas, wyprawiliśmy mniejszy mezzo-veglione5 na cześć Najpiękniejszej i Najdzielniejszego, abyście wywieźli stąd dobre wspomnienia i wiedzieli o naszej przyjaźni.

Kapela znów zagrała i tanecznicy jęli pisać wokół „wozu okrętowego”.

Maggiordomo, formalny wodzirej tańców, był na razie bezczynny. Zastępował go maestro Alato, który sam ułożył fantastyczny taniec dla kostiumowego orszaku. Płasy szły składnie, acz przygodni tancerze mogli być w ciągu krótkiego czasu tylko trochę przećwiczeni. Toteż za kostiumy, maski, grację, zręczność dostali huczne oklaski i naręcza kwiatów, które teraz roznosili. Potem hoże nereidy tańczyły ze swymi trytonami. I to nie według zwyczaju — pojedynczymi parami — lecz zbiorowo, tłumnie.

1 Leggiadra (wł.) — powabna, czarująca.

2 Bella (wł.) — piękna.

3 Affascinante (wł.) — urzekająca.

* Eviva la regina! (wł.) — Mech żyje królowa! Mezzo-yeglione (wł.) — pół-maskaradaf bal częściowo maskowy.

Patrzący wykrywali w ciżbie znajome twarze a postaci i wykrzykiwali imiona. Osoba rozpoznana musiała zdjąć maskę, przejść do szatni i stamtąd wrócić w zwykłym już stroju balowym.

— Kiedy waćpaństwo odjeżdżacie? — spytał Jakimowskiego przez tłumacza ksiązę Karol.

— Lada chwila. Albowiem pan Campana skończył portret jejmość małżonki mojej, co miała być hasłem naszego pławu.

Do rozmowy wtrącił się ojciec Anny Barbeini, synowej Karola, ksiązę August Colonna:

— Skoro jej wielmożność pani Jakimowska pozwoliła malować się Campanie dla jego eminencji Franciszka, pozwoli chyba panu Bernini wyrzeźbić swój posąg dla ksiąząt Colonna, a jako ich przedstawiciel daruję go waszmości, kapitanie.

To rzekłszy począł przyglądać się obecnym, by wyczytać wrażenie, jakie sprawiła jego wspaniałość.

Jakimowski, by nie uchodzić za gbura, przystał na rzeźbę Berniniego, ani przeczuwając, jakie dzieło powiezie do Polski. Ale nurtowała go niecierpliwość. Co tam rzeźba! I w Polsce się robi, czego dusza zapagnie. Rad by uciekać stąd czym rychlej. Dzieła sztuki nie były dlań czymś aż tak ważnym. Satanowski to może by nad nimi głową kiwał i na lirze brzęczał... Podczas uczty w sali jadalnej lały się trunki, znikwały wyszukane potrawy, rozwiązywały się języki, pogwar stawał się coraz swobodniejszy, przeplatany piskami niewiast. Starsi spod portretu Urbana nie brali już w niej udziału. Snadź nie wypadało. Przy stołach duchowni biesiadnicy zrównali się we frywolności ze świeckimi. Podskubywane służebnice potulnie przyjmowały grube zaloty, godząc się na jeszcze grubsze albo sprytnie ich unikając. Damy były szersze: broniły się lub zachęcały.

Po uczcie rozpoczęły się pawy według przyjętego porządku.

Maggiordomo odzyskał prawa wodzireja: wyznaczył pary do tańca.

Po ponownej intradzie i wkroczeniu biesiadników na salę balową suita I taneczna rozwinęła się w poważną pawanę 2. Zatańczyła I 1 Suita (franc.: suite — cykl, szereg) — utwór cykliczny, złożony z fragmentów o charakterze tanecznym; starszy typ suity, z przełomu w. XVI— XVII, miał układ: payana, galarda, allemande, kurant.

2 Pavana — poważny, wolny taniec włoski w takcie 4/4; pochodzi z Pad•j8 tylko pierwsza para: ksiązę Tadeusz z panią Jakimowska. Reszta towarzystwa, obsiadłszy fotele, krzesła, zydle, kanapy, oceniała taniec stanowiący popis. Toteż nagrodziła go rzęśistymi oklaskami i okrzykami, gdy ustał. Prefekt przy dalszej, już tylko dla słuchu, muzyce, którą orkiestra bawiła słuchaczy aż do następnego tańca, odprowadził Katarzynę na miejsce.

Nie przerywając muzyki kapela zagrała teraz szybką i wesołą galardę :, którą z kolei, przy aplauzie publiki, zatańczyli kapitan Jakimowski z księżną Anną prefektową. Brawom nie było końca.

Potem tańczono umiarkowaną allemande 2. Aż i na zakończenie tanecznej suity — żwawego kuranta 3, zwanego w Polsce „gonionym”. A każdy z tych tańców wykonywała tylko jedna para.

Jakimowscy po kurtuazyjnych tańcach zatańczyli z sobą, chociaż panie ubiegały się o Marka, a panowie o Katarzynę. Od braw drżała sala. Ludziom sławnym łatwo o poklask.

Po tańcu Marek, posadziwszy żonę na szerokim sgabello 4, obitym złocistą materią, sam usiadł na drugim i powiedział:

- Wszyscy mi ciebie zazdroszczą, a ja sam zazdrosny jestem 0 każdy twój uśmiech, wejrzenie, słowo. Pięknie tu, ale przecie żal rni, że komplementa nie tylko ode mnie pochodzą, twoje oczy zaś nie tylko na mnie patrzą. Dalipan! Wolałbym być z tobą kędyś na odludziu, bym jeno ja mógł poglądać na cię, słuchać ciebie;...

- Takowyś waćpan pazerny! — zaśmiała się.

— Jeśli ci fircykowie kardynałowie czy Campana nie poniechają adoracji, to płatne przez łeb, lubo ich armia tych zakicha-nych cavalieri ochrania.

- Uspokój się waćpan! — skarciła go surowo.

- Takiego tym Italianom kuranta popędzę, że im się Palestriwyna przyśni. A ty mogłabyś się nastroszyć, by nie śmieli ci kusi allamodowie robić maślanych oczu i podskakiwać jak pajace. Oczy jej zwilgotniały od ostrego uczucia przykrości.

— Dopiero po ślubie, a już taki. Co będzie potem? Na widok jej konfuzji serce mu od razu zmiękło.

— Wybacz mi! •— rzekł prosiebnie. — Do cna zdziczałem pod pokładem galery, a od kochania wszelka rozwaga rnnie opuszcza. No, wybacz mi, królowo, gwiazdo moja, żywocie mój!...

— Wybaczam, zazdrośniku •— uśmiechnęła się.

Umilkła nagle, bo podszedł Baffo w- towarzystwie jednego z książąt Orsini i Campany.

Jakimowski na nic nie był tak cięty, jak na umizgi tych trzech bałamutów. Gdyby nie żona, nieraz by już doszło do rąbaniny. I teraz błagalnie nań spojrzała.

Okazało się, że Orsini też zapragnął portretu Katarzyny, i to pędzła •—• znowu Campany. Tego już było Markowi za wiele.

— Ależ my lada chwila odpływamy! — zawołał gniewnie.

— Ach! Jakież to ból dla mnie! — jęknął Campana.

—• Bacz acan, byś ostrzejszego nie doznał! •— ostrzegł Marek. Baffo z wahaniem przetłumaczył Campanie te słowa. Malarz uśmiechnął się zawadiacko, położył rękę na szpadzie i odparł:

— Kto mi ból zada, musi i ode mnie podobnego doświadczyć. Baffo przełożył te słowa, ale przezornie stanął między kawalerami. Katarzyna zaś spiesznie zabrała męża na przechadzkę.

— Jeśli już waćpan odjeżdżasz — rzucił za nim ironicznie Campana — to niebawem zobaczymy się w Polsce.

Ale tego już kawaler Baffo nie przetłumaczył na polski.

— Pozwalasz więc, aby chłystek bezkarnie grał mi na nosie! — zbuntował się Marek.

Katarzyna wyniosłe nań spojrzała i odparła surowo:

— Nierada to mówię. Ale waszmość nie pojmujesz wcale galanterii. Oswobodziłeś mnie z jednej niewoli, a gotujesz mi drugą. Nawet bisurmani nie chwytają przy lada słowie za brzeszczot.

Jakimowski zdębiał. Ale też otrzeźwiła go ta rozumna, szorstka wypowiedź, przypomniała tyranię ojca, uciemiężenie rodziny. Miał tyle rozsądku, że nieraz potrafił porównać siebie z ojcem i unikać jego gwałtowności. Podobnie i teraz. Katarzynie żal się go zrobiło, bo widziała jego rozterkę.

— Zali naprawdę chciałbyś mnie w odosobnieniu trzymać? — rzekła żałośnie, czym go całkiem rozbroiła.

— Mam w tobie nie tylko żonę, ale i mądrego mentora — odpowiedział z uznaniem. —

Przodkowie moi poderwańcami bywali, & i ojciec gorączka: snadź po nich dziedzicę. Aliści wierzaj mi: wszystko uczynię, by statek zdobyć i zachować.

Uśmiechnęła się, z czułością uściśnęła mu dłoń. — Ta dobra chęć mi wystarczy, kochany...

Na okręcie zawsze podziwiałam twój umiar i rozwagę.

— Ach, bo mnie tu bolą spojrzenia tych gamratów na ciebie, jakby mnie rozpalonym żelazem dźgali — wyznał rozbrajająco.

— Tańczmy, mój mężu! Bo nam się ludzie nadto przyglądają. Wrodzona władczość pryskała w obcowaniu z tą przepiękną i rozumną kobietą, która drżała mu w ramionach jak uległa hu-rysa, a w potocznym postępowaniu z nim •—• onieśmielała.

— Jesteś sławnym junakiem, potrafisz być wodzem —• powiedziała jeszcze — umie j że być i statecznym kawalerem.

Włosi po trunkach stali się jeszcze bardziej hałaśliwi, agresywni, szukali zwady z Polakami. I znaleźliby ją, gdyby nie interwencja młodych Barberinich i pani Jakimowskiej.

— Biadałaś, aśćka, że ja przy lada słowie chwytam za szablę — rzekł rozdrażniony. — Popatrz na Włochów.

— Bądź od nich stateczniejszy — odpowiedziała.

— Campana w oczy mi się śmieje, naciera na mnie...

— Ignoruj go> asan.

Zalecane opanowanie było dlań coraz trudniejsze.

Wyszedł dla ochłody na krużganek. Wiatr od północy zawiął mu prosto w twarz. Marek studził się długo w jego lutowych, ale dość łagodnych powiewach.

Gdzieś od bram gwardziści kardynalscy odganiaли kogoś. Na tyłach pałacu pojawiali się co chwila jacyś ludzie z wiadrami czy skrzyniami, inni nieśli kosze i turaoki na plecach.

Marek tak długo mitrężył, że aż go począł szukać Baffo. - Jejmość pani Jakimowska prosi pana pilnie — oznajmił. ~ Już idę — odparł Marek. — Ale powiedz mi waćpan, co się tam na dole dzieje, bo ślepiam, ślepiam i mimo rześistych światłał jakoś niedowidzę z bliska.

Cavaliere spojrział i zaśmiał się szeroko.

— To przecież służba krzątała się przy robocie — wyjaśnił.

— Ale ci z onymi workami czy koszami...

— Ach! ci! To biedota z Zatybrza bierze resztki z kardynał-" skiego stołu. Zowią się resztki, a można by pułk wykarmić. Mon-signor Franciszek sławny jest z hojności i bogatego stołu, i otwartego domu dla gości. Przecie i nędzarzowi nie poskąpi. Ile czasem takowych resztek do Tybru pójdzie! To już lepiej niech te obdar-tusy mają. Smaczny dla nich musi być kasek, skoro aż biją się o niego. A najstabsi, odpędzani przez silniejszych, to, popatrz waść! w śmietniku'grzebią! I myślisz, że się zeń nie pożywią? O, jeszcze jak! Kardynalski śmietnik zasobniejszy niż pospolita spiżarnia czy szatnia... A wiesz waćpan? Tyber przybiera: pańska tartana już nie uwięźnie na żadnej mieliźnie! No, ale śpieszmy, bo jejmość pani czeka.

Baffo di Favara znikł na sali balowej, a Marek sarn odszukał żonę o kilka komnat dalej — na pustym podeście schodów.

Katarzyna stała blada i roztrzęsiona. Patrzyła nań dziwnie.

•— Co się stało? •—• zawołał z przestraczem.

•— Czytaj! •—• odparła krótko, podając mu zapisany kartelusz.

W miarę, jak czytał, śniada twarz bladła mu coraz bardziej aż do szarości.

Powiedz, Pani, słowo, a tartana pójdzie w morze, w śmiertelnie niebezpieczną podróż, bez Ciebie, choćby jej strzegł nawet hufiec cały najdzielniejszych kapitanów. Mocen jestem oprawić królewski klejnot w najlepsze i najobfitsze złoto. Pałace w Rzymie, we Frascati, w Tivoli, nad Lago di Bracciano, w Górach Albańskich — ba! na całym świecie! — staną przed tobą otworem, a najwierniejszy sługa będzie na klęczkach patrzył w cudną twarz Twoją i czekał na łaskę.

— Biada! — wyrwał się przyduszony, niedźwiedzi pomruk z atletycznej piersi Jakimowskiego.

Szabla wyblęsnęła z pochwy. Ale Katarzyna chwyciła gołą dłonią za ostrze i tak je unieruchomiła.

— Nie waż się! — rzekła nie swoim głosem. — Ta szabla zabiłaby nas wszystkich. Nie masz prawa zażywać jej do tego celu!

Jakimowski, jakby oblany zimną wodą, ochłonał. Tym więcej było to konieczne, że pusty przez dłuższą chwilę podest zaludnił się na nowo.

— Domyślam się, kto to napisał — rzekł przez zęby Marek.

— I ja także — powiedziała Katarzyna z kamienną twarzą. — Najbardziej przykro mi dlatego, że mi nie ufałeś całkowicie. Pragnęłam jeno zobaczyć świat. Ale w kompanii niecej zażywać go nie chcę i nie będę!

— Zabiłbym autora tego świństwa jako psa!

— Tak. Ale i nas. A my chcemy zobaczyć Polskę!

Autor kartelusza nie ujawnił się nigdy. Nie mścił się nawet za odrzucenie oświadczyn. Gdy w kilka tygodni po kardynalskim veglione Jakimowski stał na pokładzie tartany, która za chwilę miała odpłynąć z Porto Flu-viale po wezbranych wo4ach, czuł się jak człowiek, który zbyt długo musiał oddychać słodkim a trującym powietrzem. Rzym — niezrozumiały, przeciwny jego pojęciom, zasadom i odczuciu, obejrzany z wielu stron — zmordował go wielce i spotęgował w nim tęsknotę za ojczyzną. Nie wywoził zeń Marek ani zachwytu, na który Wieczne Miasto zasługiwało, ani uświęcenia, którego się spodziewał, ani zadowolenia, które pragnął z siebie wykrzesać.

— Odpływamy! Odpływamy! — mówił co chwila sam do siebie. — Do domu! Tyle lat! Tyle lat!

Wywoził z sobą posąg Katarzyny dłuta Berniniego, dziwną gorycz jakiejś wielkiej utraty czegoś, co już bezpowrotne, wywoził poczucie, że nawet najświętsze w pyłe ziemi staje się tylko ziemskie i żadne inne.

Najboleśniej myślał o Stołczyźnie i Satanowskim. Oto po raz pierwszy, jeśli dotrze szczęśliwie do kraju, pójdzie na wojnę bez ich niezastąpionej kompanii, pewniejszej niż tarcza, niż miecz. Oto po raz pierwszy rozpocznie życie bez ich braterskiego współudziału. Poszli jak we mgłę, niemal jakby bez celu...

Kiedy przemówił do załogi po raz ostatni przed wyruszeniem, nusił i o nich powiedzieć, opisać ich pamięć jako świetlaną — zupełnie jakby już nie żyli. A wspomniawszy ich, długo potem głosu wydobyć z siebie nie mógł... Gdy zaś do mocy wrócił, zaintonował na ich najdroższą cześć:

Czuj-duch! Hej, bosmani!

Wróg lonty zażega

I z armat czterdziestu

daleko od brzegu

Zaprasza w tan!

Pal! ognia po stokroć!...

Przerwano nagle pieśń, którą wszyscy podjęli, bo na trapie, jeszcze nie zdjętym, ukazali się kawaler Baffo di Favara i jeden ze świeckich szambelanów papieża.

Jakimowski, zdumiony i zaniepokojony myślą o jakichś nieprzewidzianych przeszkodach w rozpoczęciu pływby, podbiegł do przybyszów.

•— Jego świątobliwość, nieprzebranej łaskawości pełen — oznajmił Baffo di Favara •— raczył rozkazać, aby z opowieści twojej, mości kapitanie, pisarze nadworni tę oto relację sporządzili i drukiem ją na wieczną rzeczy pamiątkę całemu światu ogłosili. Tytuł jej brzmi, jak następuje:

La conquista delia galera di Alessandria nel porto Mytilene coli opera e grañ coraggio di capitano Marco Jakimowski Polacco...

•— Co w przekładzie na twoją piękną mowę, mości kapitanie — ciągnął dwornie cavaliere

•— daje taki oto tytuł:

Zdobycie galery aleksandryjskiej w porcie Mytilene za sprawą i wielką odwagą kapitana Marka Jakimowskiego, Polaka...